DZIEJE POLSKI.

NAPISAŁ: AUG: SOKOŁOWSKI
Z WSPÓŁUDZIAŁEM: AD: INLENDERA:

NAKŁADEM: MAUR: PERLESA-WIEDEŃ

SOKOŁOWSKIEGO
I INLENDERA:

DZIEJE

POLSKI:

TOM: III

4583
9

4583

N. H. t. 2 94(438).04, 15/17"
L.272
4583

DZIEJE POLSKI ILLUSTROWANE.

Napisał

Profesor Dr. August Sokołowski

z współudziałem

Adolfa Inlendera

z illustracyami

Jana Matejki, Walerego Eljasza, Juliusza Kossaka, Henryka Rauchingera

i innych artystów polskich.

---

we Lwowie

Tom III.

z 40 illustracyami.

Brak w FBC
L. 1319.

WIEDEŃ.

Nakład Maurycego Perlesa.

1898.

MIEJSKA W GDYNI BIBLIOTEKA PUBLICZNA
45'83/4265
4447/3 II 94(438)
4.449IV

Czcionkami J. N. Vernaya w Wiedniu.

DZIEJE POLSKI ILLUSTROWANE.

Na podstawie najnowszych badań historycznych

napisał

Profesor Dr. August Sokołowski

z współudziałem

Adolfa Inlendera

z illustracyami oraz reprodukcyami z obrazów

Jana Matejki, Walerego Eljasza, Juliusza Kossaka, Henryka Rauchingera

i innych artystów polskich,

planami dawnych miast i podobiznami zabytków historycznych.

DZIEJE POLSKI ILUSTROWANE.

Na podstawie najnowszych źródeł historycznych

napisał

Profesor Dr. August Sokołowski

z współudziałem

Adolfa Inlenderа

z ilustracyami oraz reprodukcyami z obrazów

Jana Matejki, Walerego Eljasza, Juliusza Kossaka, Henryka Rodakowskiego

i innych artystów polskich,

planami, dawnych miast i podobiznami zabytków historycznych.

Bezkrólewie.

Smierć Zygmunta Augusta, jakkolwiek z dawna przewidywana, zaskoczyła naród polski niespodziewanie, w chwili bardzo niedogodnej i dla państwa niebezpiecznej. Stosunki zewnętrzne nie budziły wprawdzie obaw żadnych: Turcya, poniósłszy świeżo klęskę pod Lepanto, roku 1571, wytężyła wszystkie siły swoje przeciw koalicyi, do której wszedł papież, Hiszpania i Rzeczpospolita wenecka, i pragnęła z Polską wszelkich uniknąć zatargów, wiedziała bowiem, że Kommendoni udał się na dwór Zygmunta Augusta, aby go wciągnąć do przymierza przeciw Porcie; Iwan Groźny, zawarłszy świeżo zawieszenie broni z Rzecząpospolitą i marząc o koronie polskiej, zachowywał się spokojnie, dwór austryacki i szwedzki nie miał najmniejszego powodu drażnić Polaków w przededniu elekcyi, której rezultat ostateczny obchodził zarówno Habsburgów jak i Jana III. Ale im jaśniejszym był horyzont polityczny wokoło, tem groźniej przedstawiało się położenie wewnętrzne. Unia lubelska, trwająca zaledwie lat 3, nie mogła się dotąd jeszcze ustalić, partykularyzm litewski, acz przytłumiony, odzywał się co chwila w rekryminacyach i zarzutach rozmaitego rodzaju; rody książęce domagały się miejsca w senacie, duma narodowa litewska znosiła niechętnie przyłączenie Podlasia, Wołynia i Kijowa do Korony, podejrzywano króla o zamiar mianowania Polaków na najwyższe dygnitarstwa litewskie i w listach poufnych użalano się gorzko na przewagę koroniarzy. Nie lepiej działo się i w Polsce, gdzie demokracya szlachecka zawziętą walkę toczyła z możnowładztwem, a protestantyzm dążył do ograniczenia dalszego władzy duchownej. Na rok niespełna przed śmiercią Zygmunta Augusta doszły rzeczy już do tego, że szlachta o rokosz wołać zaczęła i że Radziwiłł Rudy radził królowi, aby rokosz złożył u granic litewskich, bo „Litwa pana swego nie odstąpi“.[1]) Wydarzyły się potem owe skandaliczne zajścia na dworze królewskim, owo rozdrapanie i rozkradzenie skarbów przez Mniszchów i Giżankę. Z bogactw i klejnotów, nagromadzonych przez Zygmunta Augusta, nie pozostało nawet tyle, aby ciało królewskie przystojnie ozdobić, lekarz przyboczny zmarłego, Fogelweder, włożył własny łańcuch na szyję królowi, a przecież biskup kameryński oceniał niedawno wartość kosztowności królewskich na milion dukatów i twierdził, że papieskie i weneckie klejnoty nie mogą z niemi iść w porównanie.[2]) Powstały stąd narzekania pomiędzy szlachtą na niemoralność panującą u dworu i na niedbalstwo senatorów do tego stopnia, że aż księżna Zofia brunświcka, siostra królewska, musiała się listownie u stanów upominać, aby pamięć zmarłego brata szanowano.

[1]) A. Sokołowski: Archiwum domu Radziwiłłów. Kraków 1885. Str. 2.

[2]) Relacye nuncyuszów I, 99.

Niesnaski te, rozrywające naród w chwili tak ważnej, podniecała jeszcze bardziej niepewność co do dalszych losów państwa. Nie wiedziano dobrze, kto ma tymczasowo objąć naczelną władzę, zwoływać zjazdy, pilnować publicznego porządku. Od czasu śmierci Ludwika węgierskiego nie zaznała Rzeczpospolita utrapień i dolegliwości bezkrólewia, zmiana panujących w epoce jagiellońskiej odbywała się zazwyczaj spokojnie, jak następstwo w monarchii dziedzicznej, o elekcyi przypomniano sobie dopiero na dobre w czasach Zygmunta Starego i wtedy to wydał król owo zapewnienie wolnego wyboru stanom i ów dekret niejasny, o którym w swoim czasie wspominaliśmy. Rzeczpospolita znalazła się więc po śmierci ostatniego Jagiellona w położeniu niezwykłem, musiała radzić sama o sobie, ustanawiać prawa, układać sposób elekcyi i czuwać nad bezpieczeństwem publicznem. Przy dobrej woli i jakiej takiej skłonności do wzajemnego porozumienia można było zatargów i zamięszania uniknąć. Praktyka uczyła bowiem, że po śmierci Jana Olbrachta prymas kardynał Fryderyk elekcyą kierował i że przy wyborze Zygmunta Starego arcybiskup Andrzej Róża podobną rolę odegrał.[1]) Wiedziano także i z dokumentu Zygmunta I, łatwo to było wnioskować, że do elekcyi powołani są senatorowie na równi z posłami ziemskimi i że do utrzymania porządku wystarczy zupełnie wznowienie uchwał radomskich z roku 1382. Ale argumenty te nie przemawiały już do umysłów, rozgorączkowanych walką religijną i polityczną. Innowierców raziła przewaga katolickiej hierarchii, której reprezentantem był prymas, szlachta nie chciała się zgodzić na to, aby senatorowie tak znaczny wpływ jak dawniej na wybór króla wywierali. Samowiedza stanu rycerskiego, rozbudzona na sejmach za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, a podniecona przez ruch protestancki, wyłamywała się więc stanowczo z pod opieki „starszej braci“ i stawała się tem, czem była już faktycznie, czynnikiem nadającym ton i kierunek w polityce wewnętrznej. Kiedy zatem arcybiskup Uchański, idąc za radą Karnkowskiego, biskupa kujawskiego, na pierwszą wiadomość o śmierci królewskiej zwołał senatorów wielkopolskich z pominięciem szlachty na zjazd do Łowicza, zawrzało w całej Polsce jak w kotle. Szlachta, nie wezwana na zjazd łowicki, czuła się obrażoną, a zaproszenie samych wielkopolskich senatorów uraziło Małopolan. Odżyła więc nanowo dawniejsza rywalizacya pomiędzy Wielko- a Małopolską, powstali przeciw „uzurpacyi“ prymasa innowiercy, a marszałek wielki koronny Jan Firlej z Dąbrowicy, obecnie głowa protestanckiej partyi, zaprosił równocześnie prawie Małopolan na zjazd do Krakowa. I kiedy w Łowiczu uchwalono, aby każdy wojewoda zwołał szlachtę swojego województwa w celu naradzenia się nad elekcyą i korrekturą praw i wybrano trzech senatorów do ułożenia stosownych wniosków w jednej i drugiej materyi, zawiązała małopolska szlachta łącznie z swoimi senatorami konfederacyą na wzór konfederacyi korczyńskiej z roku 1438, sprawę wyboru króla pozostawiając zebraniu senatorów, które miało się odbyć dnia 10. sierpnia w Knyszynie pod przewodnictwem marszałka. A tak bardzo zacietrzewiły się umysły, że zjazd krakowski, jakkolwiek był przeważnie dziełem protestantów,

[1]) Porównaj mowę Uchańskiego w Kronice Joachima Bielskiego, str. 1252. (Wydanie Turowskiego).

nie wahał się przyjąć postanowień korczyńskich, chociaż zawierały ustęp przeciw heretykom,[1]) a z drugiej strony uchwalił wydalić z granic Rzeczypospolitej Kommendoniego, aby przeszkodzić agitacyi katolickiej przy wyborze nowego króla.[2])

Za przykładem zjazdu krakowskiego poszły także i inne. W dniu 21. sierpnia 1572 roku zebrał się w Radziejowie sejmik obu województw kujawskich, gdzie szlachta uchwaliła protest przeciw postanowieniom łowickim, podpisany „przez wszystkie kasztelany, urzędniki i rycerstwo obojga województw“, zniosła je i zawiązała konfederacyą na wzór korczyńskiej „dla dobrego a spokojnego zadzierzenia Rzeczypospolitej“. Kierowano się przytem zasadą błędną wprawdzie, lecz rozpowszechnioną ogólnie, że ze śmiercią królewską ustaje wszelka władza i że „na wolnego szlachcica nikt nic przez niego stanowić sub interregno nie może“.[3]) Wyniknęła stąd oczywiście potrzeba stworzenia jakiejś innej władzy dla pohamowania rozruchów, gwałtów i najazdów, a władzą tą mogło być tylko zbrojne zgromadzenie całego stanu rycerskiego, które miało dosyć siły i powagi, aby swawolę wszelaką poskromić i burzliwe żywioły w karbach porządku społecznego utrzymać. W ten sposób powstawały konfederacye, związki, sprzysiężenia lub spiski jak mawiano, zwane kapturami także, dla osłony ziemi, województwa. Może być, że to było i dobre i praktyczne na razie, ale wiodło niewątpliwie do rozbicia Rzeczypospolitej i do rozbudzenia partykularyzmu powiatowego, który ponad interes ogólny stawił życzenia sejmików ziemskich i potęgował do najwyższego stopnia i tak już usilnie rozwinięty indywidualizm szlachecki.

Tymczasem przygotowania do elekcyi szły swoim trybem, zebrał się zjazd senatorów w Knyszynie pod przewodnictwem Firleja i w obecności delegatów litewskich, uchwalił elekcyą pod Lublinem na dzień 13. października, sejmiki przedelekcyjne odrzucił i zapewnił całej szlachcie udział w wyborze króla, ale tymi popularnymi postanowieniami nie przejednał wcale Wielkopolan. Sejmiki w Kole, Środzie i Radziejowie nie zgodziły się na uchwały knyszyńskiego zjazdu, cała Wielkopolska bez różnicy wyznań stanęła po stronie prymasa przeciw marszałkowi, za Wielkopolską poszły Prusy, protestujące także przeciw nadużyciom Małopolan. Wtedy za pośrednictwem Piotra Zborowskiego, wojewody sandomierskiego, który, będąc w niezgodzie z Firlejem, acz protestant, ulegał wpływom Kommendoniego, zebrał się zjazd całego senatu w Kaskach pod Warszawą i uchwalił zwołać konwokacyą na dzień Trzech Króli roku 1573 do Warszawy. Konwokacya, która tu po raz pierwszy się pojawia, miała się składać z senatorów i posłów ziemskich i tworzyć w ten sposób sejm, bez króla wprawdzie, ale posiadający zawsze moc stanowienia uchwał obowiązujących Rzeczpospolitą. W tym celu zaproszono więc do udziału w konwokacyi warszawskiej i Prusaków i Litwinów przez osobne poselstwa.

Wśród tych zawziętych sporów pracowała obca dyplomacya gorliwie w interesie swoich kandydatów. Dom rakuski, pomimo błędów, jakie popełnił

[1]) Vol. leg. I, str. 64.
[2]) Piliński: Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście. Kraków 1872. Str. 27.
[3]) A. Pawiński: Rządy sejmikowe w Polsce (1572—1795). Warszawa 1888. Str. 36.

w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta, miał jeszcze zawsze znaczne widoki powodzenia. Poseł cesarski na dworze polskim, Jan Cyrus, opat Cystersów w spółce z Kommendonim pozyskali sobie panów litewskich Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła i Jana Chodkiewicza, starostę żmudzkiego, i zawarłszy z nimi formalną umowę, mogli liczyć śmiało na poparcie całej prowincyi litewskiej. W Koronie gromadziło się pod sztandarem rakuskim całe prawie stronnictwo katolickie z biskupami na czele, sprzyjał mu stanowczo Olbracht Łaski, wsławiony świeżo zuchwałą wyprawą swoją pod Oczaków i zwycięstwem odniesionem tam nad hordą tatarską.

Rycerskie czyny wojewody zjednały mu ogólną w kraju sympatyą; z zapałem odzywał się o nim Jan Kochanowski, Bielski przypisał mu swoją „Sprawę rycerską“, a Hozyusz pojmując znaczenie ambitnego magnata, pracował usilnie nad jego nawróceniem. Jakoż w roku 1569 przechodzi Olbracht na łono kościoła katolickiego i pracuje z podwojoną gorliwością nad przeprowadzeniem kandydatury rakuskiej, podsuwa Zygmuntowi Augustowi po śmierci Zapolii myśl adoptowania jednego z arcyksiążąt, donosi ajentom cesarskim o tem, co się dzieje na dworze dogorywającego króla, koresponduje bezpośrednio z Maksymilianem, słowem czyni wszystko, aby dogodzić ambicyi wiedeńskiego dworu i swoim osobistym widokom. Ale mimo tego pozornego powodzenia, nie miała kandydatura rakuska sympatyi w narodzie. Zarzucano Habsburgom, że „germańską wolność“ ujarzmili, że Czechom odebrali prawo wolnej elekcyi, że w celu pognębienia Niderlandczyków wojnę prowadzą. Nie dowierzała więc szlachta rakuskim stronnikom, a ajenci cesarscy, uwijający się gęsto po kraju, popsuli do reszty sprawę swojem niezręcznem postępowaniem. Za przykładem Korony poszła także i Litwa i kiedy Cyrus wkrótce po naradzie senatorów w Kaskach udał się za Niemen, zastał tam zupełną zmianę. Litwini zwrócili nagle sympatye swoje ku Moskwie i nawiązali układy z Iwanem Groźnym. Jakkolwiek dziwną może się nam wydawać dziś owa kandydatura moskiewska, to jednak zaprzeczyć się nie da, że miała ona wtedy w rozmaitych sferach poważnych nawet zwolenników. Litwini życzyli sobie Iwana, bo sądzili, że w ten sposób uwolnią się od napaści moskiewskich, w Polsce powoływano się na przykład Jagiełły, który, jakkolwiek barbarzyniec także, przejął się cywilizacyą zachodnią i zjednoczył państwo swoje z monarchią piastowską. W tym duchu pojmował kandydaturę moskiewską Andrzej Ciesielski, który właśnie przed konwokacyą warszawską wydał broszurę, zalecającą na tron młodszego syna Iwana pod warunkiem, że car odda Polsce Smoleńsk, Psków i Nowogród, a starszego syna swego osadzi na państwie moskiewskiem. Innym imponowała znaczna potęga północnego mocarza. Piotr Mycielski mniemał, że powinniśmy na tron powołać nie kogo innego jak „Moskiewskiego, który jest serca wielkiego i z wielkim dostatkiem wojnę wiedzie“.[1]) Ale argumenty te nie mogły jakoś trafić do przekonania ogółu, bo

[1]) Ciesielski: Ad equites legatos ad conventionem varsaviensem etc. Cracoviae 1572. Porównaj Tarnowskiego Stanisława: Pisarze polityczni XVI. wieku t. II, str. 1 i Krzyżanowskiego Stanisława: Andrzej Ciesielski. Studyum z liter. polit. Rocznik filaret. Kraków 1886 Mycielski Piotr: Przestroga z pokazaniem niepożytków z wzięcia Pana z poyźrzodka siebie. 1573.

jeżeli szlachcie nie podobała się rakuska polityka, to już stokroć mniej mogły ją pociągać okrucieństwa Iwana i związek z barbarzyńską Moskwą. Rozważniejsi obawiali się nadto, że Moskwa własne tylko mająca na celu korzyści, odetnie Polskę od morza.[1])

Jan Zamoyski.

Gdy tak w umysłach szlacheckich ważyły się wady i zalety dwóch potężnych kandydatów, wystąpił na widownią trzeci, najmniej znany wprawdzie,

[1]) Rozmowa kruświcka etc. Broel-Plater: Zbiór pamiętników. Warszawa 1858, t. II, str. 63—83.

ale też i najzręczniejszy, byłto Henryk Walezy, syn głośnej w dziejach francuskich Katarzyny Medycejskiej. Przezorna i przebiegła ta kobieta, widząc naprężony stosunek pomiędzy synami, panującym we Francyi Karolem IX i ulubieńcem swoim Henrykiem, pragnęła już oddawna wynaleść dla Henryka odpowiednie jakieś opatrzenie. Czyniła więc zabiegi w Konstantynopolu, aby go osadzić na tronie siedmiogrodzkim lub cypryjskim, chciała go ożenić z Elżbietą angielską, była gotowa nawet przyjąć dlań godność deja algierskiego pod protektoratem tureckim, a gdy wszystkie te fantastyczne plany bądź zawiodły zupełnie, bądź też rękojmi powodzenia nie dawały, zwróciła uwagę swoją na Polskę, gdzie właśnie dogorywał ostatni z Jagiellonów. Przypomniano sobie wtedy w Paryżu dawniejsze stosunki z dworem krakowskim i dawniejsze układy i wysłano na zwiady do Polski dwóch dyplomatów Jana Choisnin i Jana de Balagny, naturalnego syna słynnego Montluca, biskupa Walencyi. Przybyli oni wprawdzie już po śmierci Zygmunta Augusta, ale umieli sobie pozyskać Myszkowskiego, biskupa płockiego i przez niego trafili do królewny Anny. Byłato właśnie chwila, gdzie infantka pilnie przez senatorów strzeżona, rezydowała w Błoniu pod Warszawą. Nie powiodło się zatem posłom francuskim uzyskać audyencyi, listy do królewny, jakie mieli od swego dworu, przejęto, ale mimoto za pośrednictwem marszałka dworu infantki i Myszkowskiego, zdołano Annie przedstawić zamiary Henryka, który miał poślubić królewnę i utorować sobie tym sposobem drogę do tronu. Że królewna na to się zgodziła, to rzecz bardzo łatwo zrozumiała. Sama jedna, od sióstr oddzielona dalekimi lądami i morzami, osierocona do reszty przez brata, który pomimo całej swojej obojętności nie przestał dla niej być opiekunem, obecnie ściśle strzeżona, zapragnęła ona nareszcie z tej zawisłości nieustającej wyswobodzić się, los swój zapewnić i koronę polską utrzymać w posiadaniu dynastyi jagiellońskiej. Postanowieniu temu, pochodzącemu z głębi skołatanego nieszczęściami serca kobiecego nic zarzucić nie można jak tylko chyba nierówność wieku pomiędzy Anną a Henrykiem, jakkolwiek i pod tym względem historya rodzin panujących infantkę zupełnie usprawiedliwić może. Wiadomość o kandydaturze francuskiej nie mogła pozostać w tajemnicy, a raz rozgłoszona, znalazła wnet licznych zwolenników. Pojednawcza polityka, jaką prowadził w tej chwili dwór francuski względem protestantów, jednała Henrykowi umysły innowierców, obawiających się reakcyi katolickiej, uosobionej w Filipie II, głowie hiszpańskiej linii Habsburgów; katolicy widzieli w Walezym prawowiernego syna kościoła, który tylko z konieczności ustępował przed naciskiem Hugenotów, a jednych i drugich ujmował rycerski charakter księcia, zwycięzcy z pod Jarnac i Montcontour. Nie mało też ważyły względy polityczne, owe przyjazne stosunki dworu francuskiego z Portą ottomańską, dające Rzeczypospolitej rękojmią trwałego z tej strony pokoju, gdy wybór rakuskiego kandydata zapowiadał nieuchronne niemal starcie z islamem. Korzystne te warunki wyzyskał po mistrzowsku poseł francuski Montluk, przysłany w październiku roku 1572 do Polski. Z rzadkim taktem i przebiegłością umiał on sobie odrazu zjednać umysły senatorów. U granic polskich stanąwszy, prosił bowiem zjazd w Kaskach o pozwolenie na dalszą podróż, a znalazłszy się już w kraju,

zdobywał sobie serca protestantów zarówno jak i katolików. Wiadomość o rzezi św. Bartłomieja zachwiała wprawdzie z początku sympatye francuskie, ale Montluc umiał wytłumaczyć innowiercom, że rzeź była wymierzona przeciw spiskowcom i wynikała z nienawiści Paryżan ku Hugonotom, podczas gdy katolikom pocichu przedstawiał rzecz jako objaw gorliwości ze strony swego kandydata i całego dworu. Zdobywszy sobie w ten sposób podstawę do dalszego działania, zaczął szczwany ten dyplomata rzucać obietnice na prawo i na lewo; przyrzekał więc, że jego kandydat dostarczy znacznych posiłków na wojnę moskiewską, że napełni próżny skarb Rzeczypospolitej z własnych swoich dochodów i że nareszcie swoim sumptem wystawi flotę na morzu Bałtyckiem! Że te obietnice na pierwszy rzut oka nieprawdopodobne i przesadzone, znajdywały jednak wiarę u ogółu, to świadczy wymownie o niedojrzałości szlacheckich elektorów, ale zarazem i o zręczności niepospolitej Montluca. Nie znając kraju i ludzi, ocenił on natychmiast trafnem okiem położenie, widział, że wynik elekcyi zależy od masy szlacheckiej i działał na jej wyobraźnię i łatwowierność. Pod magicznym wpływem francuskich obietnic topniały też stronnictwa innych kandydatów; Litwini odstąpili Rakuszanina i wyparli się niebawem wszelkich układów z Iwanem; Jan III, król szwedzki, miał za sobą tylko marszałka Firleja i Mikołaja Mieleckiego, wojewodę podolskiego, a drobna frakcya, domagająca się wyboru Piasta, t. j. narodowego kandydata, nie umiała wskazać nikogo, któryby poważną liczbę głosów za sobą mógł pociągnąć. Tak stały rzeczy w przededniu konwokacyi warszawskiej. Zebrała się ona w czasie oznaczonym, wśród ogólnego niepokoju i rozdrażnienia. Województwa wybrały dowolną ilość posłów, ażeby w ten sposób przeciwważyć wpływ senatorów, Małopolanie polecili nadto delegatom swoim w instrukcyach sprzeciwiać się dalszemu odwlekaniu elekcyi i ograniczyć działanie konwokacyi do oznaczenia czasu i miejsca wyboru. Z tego powodu też izba poselska nie wybrała tym razem wcale marszałka, oddając przewodnictwo kolejno posłom z rozmaitych województw. Ale powoli zmieniało się usposobienie. Rozstrzygnąwszy spór pomiędzy marszałkiem wielkim koronnym a prymasem, tak że prymasowi przyznano prawo zwoływania sejmu elekcyjnego i oznajmienia wyboru (nominatio) a marszałkowi prawo obwoływania (proclamatio) obranego króla, wypowiedziano następnie zasadę, że Rzeczpospolita podczas bezkrólewia sama o sobie stanowić może i że urzędnicy natenczas jej a nie królowi są odpowiedzialni. W ten sposób konwokacya stawała się sejmem, który mógł dowolnie zmieniać ustawy i reformować państwo podług upodobania. Po tem ważnem oświadczeniu przystąpił sejm do właściwego swego zadania, do oznaczenia czasu i miejsca elekcyi. Zdania pod tym względem były różne. Firlej i całe jego stronnictwo przemawiało za Lublinem, otoczonym posiadłościami innowierców, katolicy domagali się zwołania elekcyi pod Warszawę, która była sercem prawowiernego Mazowsza. Życzenie to dogadzało oczywiście stronnictwu francuskiemu, opierającemu się na masach szlacheckich, a że Zborowscy, jakkolwiek innowiercy, oddani byli już wtedy zupełnie Montlukowi, więc katolicka partya zwyciężyła i elekcyą zapowiedziano na dzień 5. kwietnia pod Warszawę. Równie żywą dyskusyą wywołała kwestya,

w jaki sposób miano wybierać króla. Dawna zasada, według której elekcya odbywała się w zamkniętem kole senatorów i posłów, nie mogła trafić do przekonania głów szlacheckich, pragnących jak największego rozszerzenia praw politycznych. Jeżeli każdy ziemianin miał głos przy wyborze posła w swojem województwie, jeżeli każdy był obowiązanym do służby wojskowej, jeżeli na ogóle szlacheckim polegał porządek i bezpieczeństwo publiczne w czasie bezkrólewia, to wydawało się rzeczą słuszną, żeby ten ogół brał udział także w wyborze króla, co miał być głową Rzeczypospolitej. Zasada powszechnego prawa wyborczego, ograniczona oczywiście do jednego stanu, była więc tylko naturalną konsekwencyą całego dotychczasowego rozwoju społecznego, była epilogiem tej walki, która, rozpoczęta za panowania Kazimierza Jagiellończyka, skończyła się omnipotencyą mas szlacheckich i pociągnęła za sobą zgubę Rzeczypospolitej. Na razie jednak nikt sobie z tego sprawy nie zdawał. Stronnictwo francuskie i katolickie budowało nadzieje swoje na poparciu szlachty mazowieckiej, która jako najbliższa, tłumnie na pole elekcyjne stawić się mogła, ogółowi pochlebiała zaszczytna rola, jaką przy tak ważnej sprawie miał odegrać, oponowali tylko innowiercy, bo mniemali, że w zamkniętem kole sejmowem snadniej będą mogli kandydata swego przeprowadzić. W izbie sejmowej wystąpił po raz pierwszy wtedy młody starosta bełski, Jan Zamoyski, jako obrońca powszechnego prawa głosowania i zwyciężył.

Po załatwieniu spraw politycznych przyszła kolej na religijne. Zdawało się protestantom, że w przededniu zmiany panującego należy ubezpieczyć zdobycze, jakie uzyskali za czasów Zygmunta Augusta i ustalić stosunek wyznań do siebie dotąd jeszcze prawnie nie uregulowany. Pragnęli tego także i katolicy, pragnęło duchowieństwo, ograniczone w swojej jurysdykcyi i zagrożone utratą dóbr kościelnych, które zabierali innowiercy. Z tego powodu proponował Uchański zwołanie soboru narodowego, równocześnie z konwokacyą do Warszawy, ale zamiar ten wobec opozycyi Stolicy apostolskiej powieść się nie mógł. Rzecz wróciła zatem do sejmu, który obrał drogę kompromisową. Ułożono projekt konfederacyi, obejmujący wszystkie wyznania chrześcijańskie pod nazwą dissidentes de religione (stąd „dyssydenci“). Miały one wstrzymać się raz na zawsze od wszelkich sporów i prześladowań wzajemnych, nie dawać pomocy władzom, gdyby chciały wykonywać wyroki w sprawach wyznaniowych, a nawet bronić wspólnemi siłami wolności religijnej. Obok tego zastrzeżono jednak, że konfederacya „zwierzchności żadnej nad poddanymi tak panów duchownych jako i świeckich“ nie wzrusza i że owszem każdemu będzie wolno nieposłusznego poddanego „podług rozumienia swojego skarać“, chociażby upór jego z pobudek religijnych wynikał. Takie postanowienia zawierała słynna konfederacya warszawska z dnia 28. stycznia 1573 roku. Przypominała ona żywo pokój religijny augsburski z roku 1555, ale różniła się od niego tem, że zapewniała wolność wszystkim wyznaniom, że wypowiadała zasadę tolerancyi powszechnej, nie ograniczając jej do jednej sekty, tak jak to uczynili Niemcy. Z drugiej strony jednak w artykule o poddanych ścieśniała do reszty swobodę ludu wiejskiego i przyznawała panom nieograniczoną władzę karania wraz z prawem narzucania poddanym swoich przekonań religijnych. Od tego

czasu też rozpoczyna się zupełna niewola włościan i nieograniczona nad nimi władza panów, którzy nieposłusznych poddanych swoich tylko podług rozumienia swojego karać mogą.[1])

Konfederacya w ten sposób ułożona, nie mogła się oczywiście podobać katolikom, szczególniej duchowieństwu. W senacie powstali żywo przeciw niej biskupi, Uchański nazwał konfederacyą dziełem fałszu, przeciwnem prawom boskim i ludzkim i oświadczył, że aktu nie podpisze, chociażby miał to i życiem przypłacić. Podobnie wyrażał się także Karnkowski i rzeczywiście z biskupów jeden tylko Krasiński, biskup krakowski, z Firlejem ściśle związany, przystąpił do konfederacyi. Wśród tych sporów zawziętych ułożyła osobna komisya porządek elekcyi i na tem skończyła się czynność konwokacyi, a rozpoczęły się zabiegi stronnictw i targi o koronę, przyczem znowu zręczny Montluk stanowcze odniósł zwycięstwo. Nie poprzestając bowiem na poparciu szlachty i całej partyi katolickiej, rzucił on się pomiędzy zwolenników rakuskiego kandydata, aby tam najznaczniejszych i najbardziej wpływowych pozyskać. Należał do nich niewątpliwie Olbracht Łaski, i on też stał się celem zabiegów francuskiego dyplomaty. Do nawiązania stosunków z wojewodą posłużyły Montlukowi dawne związki Łaskich z dworem francuskim. Pogłaskawszy mile ambicyą Olbrachta wspomnieniem o rycerskich czynach jego stryja pod Pawią, upewniwszy go o łasce księcia Henryka, in spe króla polskiego, miał Montluc tem samem już otwartą drogę do serca pana wojewody. I jak zręczny gracz, który każdą słabość przeciwnika wyzyskać potrafi, wkradał się przebiegły dyplomata w zaufanie Łaskiego, schlebiając jego namiętnościom, podniecając uśpione w głębi duszy nadzieje, łudząc go łatwością dopięcia upragnionych oddawna zamiarów. Nic nie uszło baczności Montluka. Wiedział, że Olbracht, tak jak wszyscy Łascy, z wyjątkiem prymasa, był rozrzutnym, że stracił majątek pierwszej swej żony na awanturnicze wyprawy mołdawskie, wiedział, że dobra Beaty zastawił królowi Zygmuntowi Augustowi, że i własnej nadszarpał fortuny, ofiarował mu więc imieniem króla Henryka 50.000 franków, zapewnionych na dochodach księstwa Andegaweńskiego. Wiedział, że Łaski pragnie gorąco hospodarstwa mołdawskiego, więc jak wobec szlachty głosił, że król francuski wyjedna dla Polski u sułtana prawo mianowania wojewodów mołdawskich, tak Łaskiemu przyrzekał, że to województwo jemu się dostanie. Wojewoda sieradzki nie był w stanie oprzeć się tym pokusom, ale ostrożny i wyrachowany nie zrywał z stronnictwem austryackiem, nie oświadczał się stanowczo za kandydatem francuskim. Układając się z Montlukiem, utrzymywał zarazem stosunki z ajentami rakuskimi; jedną ręką brał zapis na owych 50.000 franków od posła francuskiego, drugą pożyczał 12.000 złotych u Sztolca, który był ajentem pełnomocnika cesarskiego Rosemberga, a umiał tak zręcznie lawirować pomiędzy stronnictwami, że dopiero dnia 1. maja 1573, a więc w przededniu elekcyi, dowiedziano się w Wiedniu, że pan Łaski popiera silnie kandydaturę francuską. Jeżeli tą drogą powiodło się Montlukowi pozyskać główny filar partyi rakuskiej, to o wiele łatwiej zapewne musiał on przeko-

[1]) Dr. M. Bobrzyński: Karta z dziejów ludu wiejskiego w Polsce. Kraków 1892.

nywać innych, mniej wpływowych i wymagających. Pomagała mu w tem wiele podejrzliwość szlachty względem austryackiego domu i niezręczność ajentów rakuskich. Opinia publiczna niepokoiła się listami, które cesarz do panów rozsyłał, mówiono, że książe pruski przyrzekł stronnikom rakuskim przysłać 2000 jazdy na pomoc, obawiano się więc jakiegoś zbrojnego zamachu tembardziej, gdy znany opat Cyrus, przebrany uwijał się po kraju tak długo, aż go po konwokacyi schwytał kasztelan gdański Jan Kostka i w Malborgu do więzienia wsadził. Z listów, znalezionych u Cyrusa, dowiedziano się o knowaniach rakuskich, co wywołało niesłychaną wrzawę i rozgoryczenie, tak że aż cesarz Maksymilian publicznie niezręcznych sług swoich wypierać się musiał.

Tymczasem zbliżał się czas wyznaczony na elekcyą i ze wszystkich stron spieszyła szlachta do Warszawy. Ciche, niegdyś prowincyonalne miasteczko, podniosło się wielce od czasu, jak Bona w niem często przemieszkiwała i Zygmunt August sejmy swoje odbywał. Położona w środku kraju, tuż nad brzegami królowej rzek polskich, Wisły, była Warszawa dogodniejszem miejscem dla zebrań politycznych i rezydencyi monarszej, niż pograniczny Kraków, od Prus i Litwy zbyt oddalony. Dostrzegł to już Zygmunt August i przewidując przyszłość, jaka czekała dawną stolicę mazowiecką, zaczął pierwszy gorliwiej pracować nad jej podniesieniem. Ażeby zapewnić miastu łatwiejszą komunikacyą, podjął on myśl zbudowania wielkiego mostu na Wiśle. Dzieło to, jak na owe czasy wielkie, wymagało znacznych nakładów. Ofiarą dwóch wiosek wykupił więc król od pisarza ziemskiego warszawskiego, Jeżowskiego, prawo przewozu na rzece, spłacił dzierżawcę myta przewozowego i dnia 25. czerwca 1568 roku wbito pierwszy pal mostowy w głąb „niepohamowanej dotąd rzeki“. Budowa trudna postępowała wolno, chociaż król wydawał tygodniowo po 400 złotych na nią, co razem wyniosło 83.200 złotych, ale po śmierci Zygmunta ustały owe zasiłki. Wtedy królewna Anna, stale rezydująca w Warszawie, podjęła pracę przez brata rozpoczętą. Pomimo braku funduszów, bo dochody miała szczupłe, uważała ona za obowiązek swój dokończyć dzieła przed zebraniem się elekcyjnego sejmu. Jakoż z pomocą Zygmunta Wolskiego, kasztelana czerskiego i starosty warszawskiego, powiodło się infantce rzecz prawie niepodobną do skutku doprowadzić. W pierwszych dniach kwietnia łączył już most, długi na 1150 kroków, oba brzegi Wisły i po nim wśród straży, złożonej z 50 pachołków, płynęła rzesza elektorów szlacheckich do wsi Kamienia, o milę od Warszawy, gdzie losy państwa rozegrać się miały. Zjazd i ścisk był niesłychany; ilość wyborców obliczano na 40.000, razem z służbą i zbrojnymi hufcami panów wynosiła ona do 100.000. Tłumy te mieściły się jak można było, w mieście i po wsiach okolicznych, ci co dachu znaleść nie mogli, stali w polu pod namiotami. W środku równiny, na której elekcya odbyć się miała, rozbito namioty królewskie. Tam odprawiano nabożeństwa, tam radzili senatorowie, tam miał się odbyć główny akt wyboru. Naokoło tego miejsca stanęły namioty wojewódzkie, gdzie się zbierała szlachta około swoich urzędników ziemskich.

Czynności sejmu rozpoczęły się od mszy św., poczem senatorowie zeszli się na radę w celu postanowienia porządku i bezpieczeństwa publicznego. Uchwalono cały szereg artykułów surowych i rozumnych, władzę wykonawczą

poruczono marszałkowi wielkiemu koronnemu i jego służbie, „na którą ktoby się targnął albo ranił, na gardle ma być karan“. Jakoż przepisy te odniosły skutek pożądany i cudzoziemcy jednozgodnie podziwiali ład i porządek panujący wśród tak licznego i na stronnictwa podzielonego zgromadzenia. Po tych wstępnych przygotowaniach przystąpiono do wysłuchania obcych posłów. Pierwszy stanął przed senatem legat papieski Kommendoni, zalecając wybór króla katolika i wykazując niebezpieczeństwa, jakie z przyjęcia konfederacyi dla Rzeczypospolitej wyniknąć mogły. Po nim czynił rzecz swoją poseł cesarski, Rosemberg. Wypowiedział on obszerną oracyą w języku czeskim, zachwalał kandydata swego arcyksięcia Ernesta, który, wychowany pomiędzy Czechami, mówi dobrze po czesku, więc i języka polskiego łatwo wyuczyć się może, podnosił korzyści, jakie z wyboru Rakuszanina Polska uzyskać mogła, a więc wieczne przymierze z Hiszpanią, traktat handlowy z Danią i miastami anzeatyckiemi, pomyślne załatwienie sukcesyi barskiej, sprawy pruskiej i inflanckiej, wreszcie odcięcie Moskwy od morza. Mowa ta, rozwlekła i nudna, nie mogła sprawić żadnego wrażenia, szczególnie wobec niechęci, aka panowała pomiędzy szlachtą dla rakuskiej kandydatury. Wszyscy z natężeniem oczekiwali Montluka, ale że pora już była spóźniona i przebiegły Francuz udał chorobę, aby przed znużonymi słuchaczami nie mówić, więc odłożono audyencyą do dnia następnego. Nazajutrz biskup „acz był w leciech zeszły“, prześcignął wszelkie oczekiwania swoich przyjaciół; głos donośny i mowa cała „bardzo cudna i wiecznej pamięci godna“, olśniła słuchaczów. Wyborny znawca charakterów ludzkich i usposobienia mas szlacheckich, nie zaniedbał Montluk niczego, co kandydata jego mogło podnieść i zalecić. Schlebiał więc dumie narodowej Polaków, porównywał z ich czynami dzieła rycerskie Francuzów, a podnosząc zalety kandydata swego, dziwił się niemal, że znaleźli się tacy, co z nim razem o koronę polską ubiegać się ważą. Mowa ta, rozrzucona w tysiącach egzemplarzy w języku łacińskim i w tłumaczeniu polskiem, zrobiła niesłychane wrażenie, szczególniej na pospólstwo szlacheckie, politycznie niewykształcone i wierzące z całą naiwnością w prawdziwość francuskich obietnic. Wobec tej gaskonady Montluka blado musiała się wydać trzeźwa i rozumna mowa posłów szwedzkich, o których wiedziano nadto, że walczą z niedostatkiem, że w Gdańsku srebra swoje zastawić musieli, aż ich królewna Anna pożyczką 600 dukatów poratowała. Tak rosły z dniem każdym nadzieje Henryka, bo i sułtan także listownie zalecał wybór Piasta, a w razie gdyby do tego nie przyszło, kandydata francuskiego, stanowczo zaś odradzał Rakuszanina i moskiewskiego i gotów był uważać wybór Ernesta jako casus belli.

Ale im więcej zbliżała się chwila stanowcza i im prawdopodobniejszym był wybór księcia andegaweńskiego, tem większe obawy budziły się w umysłach szlachty rozważniejszej i senatorów. Dokąd Polską rządzili królowie „cnotliwi i dobrzy“ z narodowej dynastyi Piastów lub hojni Jagiellonowie, tak długo nie lękał się stan szlachecki o swoje wolności i przywileje. Teraz atoli, kiedy na tronie miał zasiąść książe obcy pochodzeniem i wyobrażeniami, któż mógł zaręczyć za całość swobód, kto zapewnić, że nie użyje on swojej

władzy na ograniczenie wolności? A jeżeli pytanie to słusznie nasuwało się wszystkim, to więcej jeszcze musieli się niepokoić innowiercy. Rzeź św. Bartłomieja rzucała zawsze, pomimo tłumaczeń Montluka, cień pewien na religijne stosunki we Francyi i podawała w wątpliwość tolerancyą francuskiego kandydata. Uchwalono więc konfederacyą warszawską, ale i ona wobec opozycyi duchowieństwa, rękojmii bezpieczeństwa nie dawała. Zachodziła więc potrzeba, swobody uzyskane należycie ubezpieczyć i zakres władzy królewskiej ściśle ograniczyć. Na poparcie tego twierdzenia można było przytoczyć znane z przeszłości przykłady: pakt koszycki i ów słynny przywilej, Aleksandrowi w Mielniku przedłożony; w jednym i w drugim wypadku poprzedzała objęcie rządów ugoda pomiędzy elektem a narodem, zawierająca pomnożenie i rozszerzenie swobód dawniejszych. Nie mogli się sprzeciwiać temu pojmowaniu rzeczy senatorowie, bo i oni pragnęli, wobec dominujących wpływów szlacheckiego stanu w jakikolwiekbądź sposób znaczenie swoje podnieść, chociażby to się stać miało przez dalsze ograniczenie władzy królewskiej. Porządek elekcyi zresztą, ułożony w Warszawie, przepisywał wyraźnie, że wybór króla miała poprzedzić rewizya praw, czyli jak się wyrażano wtedy Correctura jurium. Po wysłuchaniu posłów zatem zabrała się do tego dzieła natychmiast osobna komisya. Ale jakkolwiek wszyscy zgadzali się w zasadzie na rewizyą, to podjęcie tej pracy ustawodawczej w tej chwili nie było po myśli Montluka i partyi katolickiej. Poseł francuski obawiał się zwłoki, która mogła otrzeźwić cokolwiek umysły, katolicy lękali się nowej walki religijnej. I jeden i drudzy więc postanowili przeszkodzić korekturze. W tym celu podburzono szlachtę mazowiecką. Najbliższa miejsca elekcyi i posłuszna rozkazom swego wojewody, stawiła się ona niemal w komplecie. Tłum dziesięciotysięczny mazowieckich szaraczków, pomiędzy którymi wielu „z kijem“ tylko przyszło, tworzył pretoryańską kohortę Montluka i katolickiej partyi. Znali się oni na polityce mało, o zaletach kandydatów nie mieli jasnego wyobrażenia, nazwisk nawet wymówić nie umieli poprawnie, Henryka zwali książęciem gaweńskim, a Ernest inaczej u nich nie był, jeno „Rdest“, ale właśnie dlatego nie rozumieli i nie pojmowali tej zwłoki, jaka teraz nastąpiła. Dokuczał im nadto niedostatek; „z kuchni biskupich i pańskich jeść dawano“ wprawdzie najuboższym, ale pomimo tego wielu było takich, którym głód doskwierał, „a przecież odejść od elekcyi nie chcieli“. Tych więc poruszono, że zaprotestowali energicznie przeciw wszelkiej dalszej zwłoce i wskutek tego musiała komisya ograniczyć czynność swoją tylko do ułożenia warunków, które miały być przedłożone nowemu królowi i wyłącznie władzy jego dotyczyły. Powstały w ten sposób tak zwane „Henrycyańskie artykuły“, zawierające w sobie bardzo znaczne „ocerklowanie“ władzy monarszej.

Nie wolno było mianowicie na przyszłość królowi wyznaczać po sobie następcy, albo też starać się o wybór jego za swego życia, nie mógł używać tytułu haeres, jako nie będący panem dziedzicznym, ożenienie królewskie zależnem było od przyzwolenia senatorów, przyczem król miał się zobowiązać, że ani o rozwód starać się nie będzie, ani też nie da powodu do zerwania związków małżeńskich. Oprócz tego miał król przestrzegać pokoju pomiędzy

różniącymi się w wierze i potwierdzić sądy wojewódzkie, ustanowione w r. 1563, a wznowione podczas bezkrólewia. Ażeby zaś utrudnić królowi prowadzenie wojny wbrew woli szlachty, wzbroniono mu wyprowadzać pospolite ruszenie poza granice kraju, chyba za stosownem wynagrodzeniem i zezwoleniem szlachty i to nie na dłuższy czas, jak na przeciąg trzech miesięcy. Że zaś i to wszystko jeszcze wydawało się podejrzliwości szlacheckiej nie wystarczającem, uchwalono zatem, że co dwa lata wybierać będzie sejm wydział z 16. senatorów złożony, którzy kolejno (co pół roku 4) przy królu rezydować mają i kontrolować jego czynność. Wrazie zaś, gdyby król warunków tych nie dotrzymał, może mu naród wypowiedzieć posłuszeństwo.

Takim sposobem sejm elekcyjny z roku 1573 skrępował do reszty władzę królewską, uniemożliwił skuteczne prowadzenie wojny i oddał Rzeczpospolitą w ręce oligarchii, która jako zwierzchność kontrolująca króla, wpływ przeważny na sprawy publiczne wywierać odtąd musiała. Nie brakło ludzi, którzy już wtedy to nieopatrzne postępowanie naganiali, wytykając śmiało błędy i niekonsekwencye „artykułów Henrykowych“. Jan Dymitr Solikowski, późniejszy arcybiskup lwowski, wydał w tym celu pismo ulotne [1]), gdzie owe pakta surowej a słusznej bardzo poddawał krytyce. Możność wypowiedzenia posłuszeństwa królowi, w razie pogwałcenia artykułów, otwierała zdaniem jego drogę do anarchii i swawoli. „Najdąć co zawdy — pisał on — ludzie swawolni, że się im niedosyć dzieje, a więc im już wolno będzie króla niesłuchać“. Tym sposobem upadały wszystkie królestwa, tak powstawały tyraństwa. A jakby jeszcze nie dosyć było tego „ocerklowania“, wymyślono „sedecemwirów“. I ten artykuł iza nie jest jawna oligarchia? woła z oburzeniem Solikowski. Ci sedecem viri króla będą strzegli i wolności Rzeczypospolitej, to drudzy senatorowie będą jako malowani, i ty ziemianinie milcz, lepiej ja wiem twoją wolność; to ten nowy urząd będzie miał moc nad królem, nad senatem, nad szlachcicem i nad wszystką Rzecząpospolitą“. Ale rozsądne to odezwanie się było głosem wołającego na puszczy, a umysły tak zacietrzewione, że po wydaniu owego pisemka marszałek wielki koronny kazał uwięzić drukarza Siebeneychera, upatrując w broszurze jeżeli nie znamiona zbrodni głównej, to w każdym razie targnięcie się zuchwałe na ustawy przez ogół narodu sankcyonowane [2]).

Wśród obrad nad tem dziwnem, a w skutkach swoich zgubnem dla państwa dziełem prawodawczem wzrosło niezadowolenie i niecierpliwość szlacheckiego gminu do tego stopnia, że mazowieccy elektorowie kupą wdarli się do senatu, grożąc, że sami ziemianie bez senatorów króla sobie obiorą. Firlej więc, ustępując przed naciskiem opinii, zapowiedział elekcyą na dzień 4. maja. Ale pomimo, że Montluk na trzy dni przedtem już zaufanym swoim opowiadał, że liczy na $^3/_4$ głosów, nie poszedł wybór tak gładko, jakby się tego było można spodziewać. Jednomyślnie za Henrykiem głosowało Mazowsze, województwo płockie, ziemia dobrzyńska i województwo podlaskie; poszła za niemi

[1]) Rozsądek o warszawskich sprawach na ellectiey przeszłey do Coronatiey należący. W Krakowie u Mateusza Siebeneychera.

[2]) Nehring: O życiu i pismach Jana Dymitra Solikowskiego. Poznań 1860.

i Litwa, gdzie Zborowscy dla francuskiego kandydata pozyskali szwagra swego Chodkiewicza, pod warunkiem, że Henryk ożeni się z infantką Anną. Ale województwo kijowskie i Prusy oświadczyły się za arcyksięciem Ernestem, a znaczna liczba szlachty mało- i wielkopolskiej domagała się wyboru Piasta i skierowała głosy swoje na Jana Kostkę, kasztelana gdańskiego. W tem trudnem położeniu uratował sprawę Walezyusza Jan Zamoyski i zwycięstwo zostało po stronie Francuza. Działo się to w sobotę przed Zielonemi Świętami, pora była spóźniona, wieczór zapadał, nazajutrz i w poniedziałek musiała być dalsza akcya wstrzymana, zaczęli więc Henrykowcy nalegać na prymasa, aby Walezyusza natychmiast królem nominował, chociaż jednomyślność wyboru nie była jeszcze stwierdzona. Temu życzeniu oparli się jednak stanowczo innowiercy z Firlejem i Mieleckim, wojewodą podolskim, na czele, domagając się poprzednio przyjęcia konfederacyi i ustąpili z pola elekcyi pod Grochów. Powstało skutkiem tego niemałe zamięszanie, z jednej i drugiej strony zatoczono działa, dobyto szabel i zdawało się, że lada chwila do bratobójczej przyjdzie walki. Ale protestanci nie mieli wcale zamiaru wszczynać wojny domowej i na przedstawienia senatorów, wysłanych z katolickiego obozu pod Grochów, oświadczyli gotowość do układów. Zgodzono się więc, po całodziennych namowach, na wyznaczenie delegatów z obu stron w celu ułożenia warunków, pod którymi protestanci do wyboru Henryka przystąpić mieli. Pojechali do obozu grochowskiego Andrzej Górka i Szafraniec i pod wieczór, w poniedziałek, wrócili z propozycyami protestanckiego stronnictwa na pole elekcyjne, gdzie tymczasem rzeczy niespodziewany wzięły obrót. Partya katolicka, chcąc przeszkodzić przyjęciu konfederacyi, wznieciła rozruch pomiędzy szlachtą, Jan Zborowski na czele tłumu zbrojnej mazowieckiej szlachty stanął przed namiotem, gdzie senat obradował, domagając się gwałtownie nominacyi Henryka. W tej chwili ujrzano wracających z pod Grochowa delegatów, ale nikt nie myślał już o wysłuchaniu ich poselstwa, zewsząd domagano się nominacyi króla, a prymas uczynił wreszcie zadość temu żądaniu. „Zaczem dopiero wrzask, trzask, po polu wszędzie bębnów, trąb słychać było, strzelania z dział, co tak na godzinę prawie trwało. A potem wszyscy do miasta w skok na koniach bieżeli i do kościoła św. Jana weszli i tam Te Deum laudamus śpiewali“.

Tak odbyła się pierwsza, właściwa elekcya, mająca dla dalszych dziejów Rzeczypospolitej niesłychanie doniosłe znaczenie, jako źródło późniejszej anarchii i korupcyi, psującej sumienie narodu. Podstęp i intryga z jednej, a łatwowierność z drugiej strony otworzyły do tronu drogę kandydatowi, który miał zawieść wszystkie nadzieje narodu. Ale w chwili stanowczej nikt sobie z tego sprawy nie zdawał, obietnice Montluka olśniły wszystkich do tego stopnia, że nawet rozsądniejsi i chłodniejsi całem sercem do Francuza przylgnęli. „Wiele nas było takich — pisze Bielski — cośmy sobie wszystko dobrze z tym panem obiecowali i tego rozumienia o nim byli, że nam lepiej i pożyteczniej żaden nadeń nie mógł panować; ale my tak, a Pan Bóg wszystko obrócił inak“.

Henryk Walezy 1573—1574.

Nominacya Henryka nie była ostatecznym aktem elekcyi, brakowało jeszcze obwołania przez marszałka i zaprzysiężenia paktów konwentów ze strony posła francuskiego. Skorzystali z tego protestanci i zażądali podpisania aktu konfederacyi warszawskiej przez senatorów świeckich, poczem dopiero obóz grochowski połączył się z stronnictwem przeciwnem i przystąpił do układów z Montlukiem. Poseł francuski, który po mowie swojej na polu elekcyjnem, bawił w Płocku i stamtąd kierował agitacyą wyborczą, pospieszył natychmiast do Warszawy, gdzie mu przedłożono pakta konwenta. Orzekały one, że pomiędzy Francyą a Polską wieczne ma trwać przymierze, że król francuski obowiązuje się dostarczyć bratu 4000 gaskońskiej piechoty na wojnę moskiewską i przez pół roku żołd dla niej płacić, że Henryk wystawi własnym kosztem flotę na morzu Bałtyckiem i zamknie ujścia Narwi, że obróci swoje dochody, 450.000 złotych, na potrzeby Rzeczypospolitej, że do akademii krakowskiej sprowadzi znakomitych profesorów, że przynajmniej 100 młodzieńców szlacheckich utrzymywać będzie dla wykształcenia na akademiach zagranicznych i że natychmiast po przybyciu swojem do Polski ożeni się z infantką Anną. Protestanci ze swojej strony żądali jeszcze amnestyi i wolności wyznania dla Hugonotów francuskich i zaprzysiężenia konfederacyi. Montluk nie wahał się długo i poczyniwszy tylko pewne zastrzeżenia co do równouprawnienia Hugonotów we Francyi, zaprzysiągł wszystkie inne warunki, poczem marszałek Firlej obwołał Henryka Walezyusza królem polskim.

Po ułatwieniu tych ostatecznych formalności wyjechało wspaniałe poselstwo do Francyi po nowego pana. Brali w niem udział najwybitniejsi senatorowie i przywódcy stronnictwa francuskiego: Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, marszałek litewski, Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, Jan Herburt, kasztelan sanocki, Jan Zamoyski, Jan Zborowski, starosta odolanowski, z duchownych Adam Konarski, biskup poznański jako reprezentant episkopatu polskiego i rzecznik infantki Anny. Trudności w odprawieniu poselstwa były niemałe z powodu niechęci cesarza, przez którego kraje jechać wypadło. Jakoż czyniono przeszkody znaczne posłom w Saksonii, hamowano ich w Naumburgu, Jana Tęczyńskiego zwrócono z Nissy, gdzie dni dwanaście napróżno stracić musiał. Jeden Olbracht Łaski, doświadczony stronnik rakuskiego domu, a teraz najżarliwszy zwolennik Francuza, poradził sobie inaczej, wyruszył bowiem przodem, w przebraniu przejechał przez kraje niemieckie i pierwszy przedstawił się nowemu panu, jednając sobie w ten sposób wcześnie jego łaski i względy. Powoli ściągnęli się także i drudzy posłowie do Metzu, skąd wyruszywszy, dnia 19. sierpnia wjechali w mury Paryża, dziwiąc Francuzów wspaniałością i rozmaitością ubiorów. Po uroczystem przywitaniu na zamku królewskim, gdzie biskup poznański imieniem ambasady przemawiał, przedstawiono Henrykowi pakta konwenta i artykuły na sejmie elekcyjnym uchwalone. Ale tu dopiero pokazały się właściwe trudności. Henryk, jakkolwiek z natury lekkomyślny, zostając jednak pod wpływem matki swojej, obawiał się przyjęcia warunków, zawierających tak wielkie zobowiązania i krępujących

władzę monarszą. Absolutyzm francuski nie mógł się żadną miarą pogodzić z wolnomyślnymi wyobrażeniami demokracyi szlacheckiej. Trzy tygodnie więc upłynęły na targach i układach, wreszcie po wyjaśnieniach, jakich mu udzielili posłowie polscy, wykonał Henryk przysięgę w kościele Notre dame dnia 10. września. Ale i tu nie obeszło się bez zajść przykrych. Biskup Konarski zaprotestował przeciw konfederacyi, a protestacyą poparł Łaski, ze strony Litwy Mikołaj Krzysztof Radziwiłł. Mimoto nie powiodło się warunku tego z przysięgi usunąć. Drugą dla Henryka niemniej ważną i drażliwą sprawą był warunek poślubienia infantki Anny. Postanowienie to mogło się w istocie nie podobać królowi. Oprócz pozyskania bowiem pewnych sympatyj u narodu polskiego, nie dawał mu związek ten żadnych zresztą korzyści. Skarby po Zygmuncie Auguście rozdrapane po większej części, musiały nadto iść w podział pomiędzy trzy siostry zmarłego: Zofią, Katarzynę i Annę, uzyskanie sukcesyi barskiej było wątpliwe, a nierówność wieku nie dawała nadziei potomstwa. Ostatnią tę okoliczność szczególniej rozważano na zjazdach senatorów podczas bezkrólewia ku niemałemu strapieniu królewny. „Lata moje — tak skarzyła się z tego powodu Anna — głoszą w radzie i na każdym zjeździe opowiadają; kiedy niektórzy chcieli, aby mi swoje życzliwości okazowali, a oni powiadali: jaka pociecha by nam była, ona potomstwa mieć nie może, bo tyle lat ma. Prawda, żem nie młoda, dodaje królewna, próżno to taić. To może Wasza Królewska Mość obaczy, z jaką żałością używam tego urągania, com ja krzywa jest. Tym Pan Bóg nawiedził krzyżem, tych lat tu doczekać w Polsce, tych przymówek dosyć mam za swe w tym krzyżu i sieroctwie“. Żal biednej infantki był tem więcej uzasadnionym, gdy tak ze względu na cnoty swoje jak i na powierzchowność swoją zasługiwała na większą wyrozumiałość i delikatność.

Hieronim Lippomano, poseł wenecki, kreśli w relacyi swojej obraz królewny bardzo sympatyczny i pociągający. „Królewna Anna — mówi on — mająca teraz około lat 40, ale tak świeża i czerstwa, że gdyby wyszła za mąż, mogłaby jeszcze spodziewać się potomstwa. Jest miernego wzrostu, płeć ma białą, jak prawie wszystkie Polki, jest bardzo przyjemna i mówi wybornie po włosku. Jest bardzo pobożna i tak gorliwie pełni obowiązki religijne, że nigdy nie opuszcza mszy i nabożeństwa i nietylko większą część dnia przepędza w kościele na modlitwie, ale nawet w Warszawie, gdzie mieszka zwyczajnie, chodzi w nocy na jutrznią, do czego ma w pałacu swoim okno wychodzące do kościoła. Ludzka i uprzejma, jak żadna w świecie królewna, posiada wiele innych przymiotów serca i umysłu, dla których jest szanowana i wielbiona przez samych nawet heretyków“.

Przymioty te, pamięć na zasługi jagiellońskiego domu i zabiegi przyjaciół infantki, odniosły wkońcu zwycięstwo nad niechęcią, jaką okazywała jej Litwa i Zborowscy i w pakta konwenta włożono ów warunek o małżeństwie. Henryk warunku wprost nie odrzucił, ale też i nie przyjął wyraźnie, obiecując tylko, że bez zezwolenia senatu i Rzeczypospolitej żony nie pojmie. W takiem położeniu sądził biskup poznański, że rzecz „nie najgorzej się skończyła“. W istocie było inaczej. Wrażenie, jakie wybór Henryka na króla polskiego sprawił

w Europie, było wielkie. Mało znany dotąd w świecie, stał on się teraz przedmiotem zabiegów ze strony dworów i stronnictw. Papież Grzegorz XIII,

Stefan Batory.

uważając elekcyą Henryka za walne zwycięstwo katolicyzmu, odprawiał z tego powodu uroczyste, dziękczynne nabożeństwo, elektor saski, głowa protestantów

niemieckich, ofiarował nowemu królowi rękę córki swojej i po śmierci Maksymiliana II koronę cesarską, innowiercy polscy wtajemniczeni w te sprawy, marzyli już o przyłączeniu Szląska i Czech do Polski. Nikt nie pytał oczywiście o to, czy Henryk, lekkomyślny z natury, trudnym tym zadaniom będzie w stanie podołać.

Tymczasem Walezyusz wysławszy przodem do Polski Zborowskiego Jana i Francuza Rambouilleta, wyruszył po długich zwłokach w podróż do swojego państwa, otoczony wspaniałym orszakiem posłów polskich i paniąt francuskich. Cesarz na żądanie Henryka dał mu glejt do przejazdu przez Niemcy, pod względem treści i warunków szorstki a nawet powiedzieć można niegrzeczny. Mimoto książęta rzeszy okazywali królowi wiele attencyj i podejmowali go wspaniale, a elektor brandenburski wyprawił nawet osobne poselstwo, które Henrykowi aż do Frankfurtu nad Odrą towarzyszyło. Stanąwszy w Międzyrzeczu dnia 23. stycznia 1574 roku odwiedził król po drodze senatorów wielkopolskich, nocował w Częstochowie, był w gościnie u biskupa krakowskiego w Siewierzu, a doczekawszy się tak wreszcie pogrzebu Zygmunta Augusta, 12. lutego, na którym zastępował go marszałek Retz, przybył do Balic do marszałka Firleja, skąd nazajutrz, 16. lutego, odbył niezmiernie wspaniały swój wjazd do Krakowa. Dzień ciepły i pogodny sprzyjał bardzo przyjęciu. Całe pole pomiędzy Łobzowem a Bronowicami zaroiło się od świetnych pocztów litewskich i koronnych panów, 4000 uzbrojonych mieszczan krakowskich pieszo, 120 stawiło się konno, karet i powozów ilość niesłychana. Nigdy może, jak pamięć ludzka sięgała, nie rozwinięto takiej wspaniałości na przyjęcie monarchy, który narodowi przynosił same tylko... nadzieje. Ale im większym był ten zapał, tem dotkliwszym musiał być i zawód, jakiego wszyscy niebawem doznać mieli. Henryk nie posiadał wcale przymiotów potrzebnych dla władzcy tak rozległego i urządzonego państwa jak Polska. Nie znając ani usposobienia narodu, ani jego przeszłości, ani ustaw obowiązujących, umysłu płytkiego, goniący za rozrywkami, do pracy poważnej nieskłonny, nie mógł on sobie pomimo hojności i pozornej przynajmniej pilności w sprawach publicznych pozyskać sympatyi narodu, przyzwyczajonego do powagi i surowych obyczajów jagiellońskiego dworu. I jeżeli wybryki, jakich się dopuszczał Zygmunt August w ostatnich latach swojego życia, wywołały tak wielkie zgorszenie, to cóż dopiero powiedzieć o owych nocnych włóczęgach Henryka po ulicach krakowskich, o bachanaliach wyprawianych na zamku i o tańcach nieprzyzwoitych, w których monarcha brał udział nawet w obecności infantki i jej niewieściego otoczenia. Powaga królewska upadała w oczach narodu tembardziej, gdy i w sprawach publicznych Henryk nie okazywał ani doświadczenia, ani rozsądku. Przyzwyczajony do rządów absolutnych we Francyi, innowiercom nieprzychylny, nie mógł on pogodzić się ani z ograniczeniem władzy królewskiej, zawartem w artykułach, uchwalonych na sejmie elekcyjnym, ani z konfederacyą, zapewniającą wolność wyznania. Protestacya katolików w Paryżu z jednej, a stałość niezachwiana akatolików z drugiej strony, którzy poprzysiężenia konfederacyi domagali się koniecznie, postawiła Henryka w położeniu arcytrudnem i niewygodnem. W duchu sprzyjając katolikom, musiał on się

liczyć jednak z wpływami Zborowskich, którzy mu do uzyskania korony wiele dopomogli. Prowadził więc politykę dwulicową: pocichu jednał sobie względy katolików, a na zewnątrz dogadzał we wszystkiem protestantom Zborowskim. Już przy koronacyi przyszło z tego powodu do przykrego zajścia w katedrze krakowskiej. Kiedy bowiem prymas w rocie przysięgi odczytanej królowi, opuścił ustęp o dyssydentach, oparł się temu marszałek Firlej i położywszy rękę na koronie, zażądał kategorycznie uzupełnienia przysięgi. Wszczął się zatem rozruch niemały, aż uspokojono protestantów zapewnieniem, że król artykuł o dyssydentach później zatwierdzi. Ale rychło po tym wypadku wydarzył się inny, o wiele gorszy. Ponieważ to były ostatki zapust, a zjazd senatorów i szlachty bardzo liczny, więc Kraków cały wrzał od zabaw i uroczystości. We wtorek znajdował się król na weselu Andrzeja Zborowskiego, następnie wyprawił gonitwy na zamku. W szranki rycerskie wystąpił i młody Samuel Zborowski, młodzieniec pełen fantazyi i buty szlacheckiej, i jak to było w zwyczaju zatknął kopią, wyzywając przez to każdego do walki. Kopią tę wyrwał sługa Jana Tenczyńskiego, kasztelana wojnickiego, Kroat jakiś, o co Samuel bardzo się rozgniewał, uważając to za zniewagę dla siebie, bo ani przez myśl mu nie przyszło mierzyć się z sługą kasztelana, do tego cudzoziemcem. Wyzwał zatem samego Tenczyńskiego, a przeciw Kroatowi posłał swego pachołka, którego jednak Kroat nietylko pokonał, ale i mocno zranił Król, uwiadomiony o tym wypadku, chcąc przeszkodzić dalszej kłótni, nie dopuścił do spotkania pomiędzy Samuelem i Tenczyńskim i Zborowskiemu z zamku odjechać kazał. Nieszczęście chciało, że Samuel wyjeżdżając z zamku, spotkał się z kasztelanem wojnickim i wszczął z nim zwadę, a kiedy towarzyszący Tenczyńskiemu kasztelan przemyski, Wapowski, hamować go usiłował, uderzył go czekanem w głowę i zranił śmiertelnie. Działo się to na podwórzu, dzielącem katedrę od komnat królewny Anny, wśród wielkiego zbiegowiska, pod bokiem majestatu królewskiego. Wapowskiego, krwią zlanego, zaprowadzono natychmiast do króla, który przestraszony bramy zamknąć kazał i do komnat swoich się usunął. Tymczasem Wapowski w tydzień potem umarł, a żona jego zwłoki męża powiozła na zamek. Za marami jechali w siedmiu saniach krewni i przyjaciele zabitego w żałobnych szatach, Stanisław Maciejowski, brat wdowy, przemawiał do króla, wzburzenie było wielkie i wszyscy domagali się surowego wyroku. Jakoż prawa przepisywały w takim wypadku wyraźnie karę śmierci. Król zwołał senatorów na radę, ale sprzyjając Zborowskim, widocznie karę złagodzić pragnął. Ujęli się za Samuelem krewni jego i przyjaciele: Jan Chodkiewicz, starosta żmudzki, Mikołaj Radziwiłł, Myszkowski, biskup płocki, i wyrok wypadł ku ogólnemu zdziwieniu nadzwyczaj łagodnie. Zborowskiego wywołano na zawsze z kraju, jednak bez pozbawienia czci, oczywista ta stronniczość sprawiła głębokie wrażenie; opinia publiczna zwróciła się przeciw królowi, pojawiły się paszkwile na niego, na Zborowskich, na Francuzów ogółem, zaczęto po mieście napadać na dworzan francuskich, słowem nastąpiła zupełna zmiana w usposobieniu narodu, który widział się zawiedzionym w swoich nadziejach. Wśród takich okoliczności miał obradować sejm koronacyjny i jak łatwo przewidzieć był niezmiernie

burzliwym. Wołano o potwierdzenie praw i przywilejów i o wykonanie paktów konwentów. Król znalazł się w trudnem położeniu, katolicy bowiem sprzeciwiali się artykułowi o dyssydentach, innowiercy o żadnych ustępstwach w tym względzie słyszeć nie chcieli. Skończyło się na tem, że król dnia 22. kwietnia wydał potwierdzenie praw, sporne artykuły zaś odesłał do sejmików. Krok ten nie zadowolnił żadnego stronnictwa, a rozdanie urzędów wakujących wywołało jeszcze większe rozdrażnienie, bo król i w tym wypadku poszedł za radą Zborowskich. Przyjaciel ich, Mikołaj Wolski, człowiek niezdatny, został podkanclerzym, Andrzej Zborowski otrzymał starostwo radomskie i urząd marszałka nadwornego, Krzysztof, brat jego został podczaszym, Jan Chodkiewicz, szwagier Zborowskich, kasztelanem wileńskim, Drohojowski, spokrewniony także z Zborowskimi, wziął po Wapowskim kasztelanię przemyską, a województwo krakowskie po zmarłym teraz Firleju Piotr Zborowski. Ta stronniczość oczywista, niewypełnienie paktów konwentów, mianowicie co do małżeństwa z infantką, od którego Henryk uchylał się widocznie, chociaż grzeczności Annie nie szczędził, rozczarowały szlachtę do reszty. Aby niezadowolenie to po części uspokoić, szafował król hojnie pieniądzmi, tak że nietylko roztrwonił wnet wszystko co przywiózł ze sobą, ale i w Krakowie znaczne pozaciągał długi. Żyjąc tak z dnia na dzień, prawdopodobnie wtedy już nie miał on zamiaru pozostać długo w Polsce, czekał tylko na wiadomość z Francyi, gdzie brat jego coraz bardziej na zdrowiu zapadał. Wreszcie w czerwcu jakoś nadeszła pożądana dla Henryka nowina o śmierci Karola IX i wtedy to powziął on zamiar odjechania do Francyi. Z początku myślał postąpić zupełnie legalnie, sejm zwołać i prosić stany o pozwolenie na podróż do ojczyzny swojej, wnet jednak zmienił to postanowienie i w nocy z dnia 18. na 19. czerwca uciekł z Krakowa. „Król JMć. — tak pisał Mikołaj Krzysztof Radziwiłł do biskupa wileńskiego Protaszewicza — wczora wieczór pół godziny w noc, z piątku na sobotę, do Francyi zjechał, któregośmy gonili aż do Pszczyny. Tam go zaskoczył podstarości oświęcimski i prosił pana Promnica, pana tego miasteczka Pszczyny, aby króla hamowali, ale powiedział, że tego uczynić nie mogą krom rozkazania cesarza. JMć. pan Wojnicki, dzisiejszy podkomorzy, dogonił go za Pszczyną półtory mile, padał krzyżem, prosząc, aby się wrócił, ale powiedział: by mi gardło dać wrócić się nie mogę, widząc co się w ojczyźnie mojej, królestwie francuskiem dzieje, ale ostawiłem list, do was wszystkich pisany, z którego wyrozumiecie wolę moją, a pewnie mnie tu za trzy miesiące mieć zasie będziecie. Gdyśmy do Krakowa przyjechali, naleziono ten list w pokoju, za listwą; do mnie też listek napisał privatim i do niektórych inszych“ [1]). Życzenia pobożnego księcia Sierotki spełniły się, Henryk nie zatrzymywany przez nikogo, przejechał bezpiecznie przez Wiedeń i Niemcy i w tydzień potem już tańczył na balu u hrabiego sabaudzkiego w Chambery, gdzie go dogonił ksiądz Solikowski, wysłany w trop za nim przez biskupa kujawskiego Karnkowskiego.

[1]) Sokołowski: Archiwum domu Radziwiłłów. Str. 9.

Batory pod Pskowem.

Stefan Batory 1576—1586.

Bezkrólewie. — Zjazd stężycki 12. maja 1575. — Elekcya. Ucieczka Walezyusza wywołała, jak można się było tego spodziewać, niemałe zaniepokojenie. Najbliżsi wiedzieli wprawdzie, że król miał zamiar odjechać do Francyi, spodziewali się jednak, że to uczyni za pozwoleniem sejmu, za wiedzą całego narodu, który mu dał tyle dowodów przychylności, graniczącej z uwielbieniem. Tymczasem zamiast tego nastąpił ów wyjazd nagły, tajemnicą nocy czerwcowej okryty i nasuwający rozmaite podejrzenia i domysły. W Krakowie wszczął się więc rozruch niemały, wszystkich Francuzów zwołano na zamek, poddano ścisłemu badaniu i dopiero, przekonawszy się o ich niewinności, opatrzono paszportami, na powrót do Francyi. Niektórzy z nich pod wrażeniem pierwszego przestrachu uciekli czemprędzej z Polski wśród rozmaitych, często nieprzyjemnych przygód. Pibraca schwytali chłopi w lesie koło Oświęcimia i odarłszy do naga, w koszuli tylko przyprowadzili do Krakowa.

Oprócz Francuzów najbardziej czuli się dotknięci ową ucieczką królewską najgorliwsi zwolennicy Henryka, na których teraz gradem sypały się zarzuty ze strony przyjaciół i nieprzyjaciół. Karnkowski, biskup kujawski, „w którym się król kochał i on też w królu bardzo“, wziął ze sobą na wóz starego Sędziwoja Czarnkowskiego i pognał za uciekającym, a widząc, że praca daremna, wysłał ks. Solikowskiego do Paryża. Nie sprawił nic oczywiście Solikowski, tak jak i Tenczyński w Pszczynie, Henryk obiecywał powrót, ale naprawdę widocznie powrócić nie chciał, a nawet wobec zawikłanych stosunków francuskich powrócić nie mógł. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko samym o sobie radzić, bo i ze wschodu dochodziły wieści groźne; Turcy, podrażnieni świeżo pomocą, jaką dali hospodarowi wołoskiemu, Iwonii, Kozacy pod Świerczowskim, gotowali się do odwetu, hordy tatarskie kręciły się nad Dnieprem. Prymas Uchański więc, jakkolwiek bardzo przychylny Henrykowi, musiał zwołać sejm do Warszawy, na dzień 10. września. Sejmiki, poprzedzające to zgromadzenie, wypadły burzliwie i groźnie dla stronników królewskich. Uderzano na nich zapamiętale, jako na sprawców obecnego stanu, gdzieniegdzie rwano się do szabel. Sejm, wśród takich okoliczności zebrany, zajął się najpierw pytaniem, czy Henryk przez swój wyjazd utracił koronę, lub nie? Zdania były rozmaite, wybrano więc po trzech z każdej strony: jedni mieli bronić króla, drudzy przytaczać dowody za bezkrólewiem. Do pierwszych należeli: znany pisarz polityczny Krzysztof Warszewicki, Stanisław Bykowski i Niedziałdowski; do drugich: Rafał Leszczyński, Abraham Zbąski i Stanisław Orzelski. Ze względu jednak na nieobecność Litwinów, posłów pruskich i inflanckich, nie powzięto ostatecznego postanowienia, lecz wysłano do Francyi posłów Hieronima Rozrażowskiego i Tomasza Drohojowskiego, którzy mieli wezwać króla, aby do dnia 12. maja 1575 r. powrócił do Polski, co gdy nie nastąpi, naród innego obierze sobie pana. Równocześnie pojechał Taranowski do Konstantynopola w celu odnowienia przymierza z Turkami. Na termin, oznaczony przez sejm warszawski, nie stawił się Henryk. Delegaci polscy przywieźli z Paryża

tylko obietnice, żadnej nie dające pewności, słusznie zatem domagała się szlachta na zjeździe w Stężycy 12. maja natychmiastowej elekcyi. Tymczasem jednak rozpoczęły się już zabiegi kandydatów i na polach stężyckich stanęły naprzeciw siebie trzy stronnictwa: francuskie, najmniej liczne, grupujące się około prymasa i Karnkowskiego, austryackie, do którego należeli Chodkiewicz, Radziwiłł, Mielecki, wojewoda podolski, Stanisław Tarnowski i Olbracht Łaski, szukający znowu punktu oparcia dla siebie w Wiedniu, wreszcie piastowskie, bez zdeklarowanego kandydata z Stanisławem Górką, Mikołajem Firlejem i Janem Zamoyskim na czele. Najgorzej stała sprawa Henryka, bo i relacya posłów polskich była dla niego niekorzystna i wypadki niespodziewane pokrzyżowały zupełnie jego zamiary. W ślad za Rozrażowskim i Drohojowskim wysłał Walezy do Polski osobne od siebie poselstwo, ale głowa tej ambasady Pibrac, zrabowany w Szwajcaryi, przyjechać nie mógł, a towarzysz jego kawaler d'Espesse, przybywszy bez pieniędzy i nie mając należytej powagi nic znaczniejszego zdziałać nie mógł. Jedno tylko powiodło się stronnikom Henryka pod Stężycą, że nie dopuścili do złożenia Henryka z tronu, wskutek czego znowu i Litwini na elekcyą zgodzić się nie chcieli. Doszło tak do ponownego rozdwojenia, do oddzielnych obrad, gdzie dwa koła przez poselstwa tylko ze sobą się znosiły, wreszcie odłożono elekcyą na czas późniejszy, zjazd skończył się na niczem. Tymczasem sroga klęska spadła na prowincye wschodnie. Od dawna już dochodziły wieści od kresów ukrainnych, że Tatarzy zbierają się, że przeszli Dniepr i stoją u Czarnego lasu.

Wojewoda kijowski, książe Konstantyn Ostrogski, zwołał więc swoich Wołyńców i położył się obozem pod Zynkowem, Kozaków zaś z Czerkas, Kijowa i Kaniowa wysłał na czajkach Dnieprem na zwiady. Podjazd napadł na przednią straż tatarską, rozgromił ją i powrócił z wiadomością, że 80.000 Tatarów wybiera się do Polski. Odstręczeni tą porażką, widząc gotowość ze strony polskiej, ustąpili Tatarzy zaczem i Ostrogski wojsko swoje rozpuścił. Ale 8. września ruszył nieprzyjaciel nagle na Podole i przeprawiwszy się przez Dniepr, rozpuścił zagony swoje w głąb krajów ruskich aż po Sieniawę. Od czasów Bolesława Wstydliwego może nie doznała Polska takiego spustoszenia. Podług obliczeń kronikarzy współczesnych uprowadzili poganie 55.000 ludzi i 150.000 koni, oprócz bydła, kosztowności i sprzętów rozmaitego rodzaju. Trwoga była tak wielka, „że ludzie wszędzie uciekali, Tatarów nie widząc".

Najazd, sam w sobie straszny, wywarł i na sprawy polityczne wpływ niemały. Mówiono szeroko o tem, że Henryk, rozgniewany na opozycyą, a zaprzyjaźniony z Turkami, Tatarów do napadu podburzył, były i inne podejrzenia, ale bądź jak bądź wszyscy zgodzili się na to, że elekcyą przyspieszyć trzeba; Piotr Zborowski, wojewoda krakowski, kazał też w Krakowie publicznie interregnum ogłosić. Wobec tego namyślił się i prymas także i zwołał na dzień 3. października konwokacyą do Warszawy, gdzie po bardzo krótkich, dzień jeden trwających obradach, wyznaczono elekcyę na dzień 5. listopada. Zjazd był nie tak liczny jak poprzednio, z powodu pory niedogodnej, ale za to stronnictwa przybyły z programami jasno sformułowanymi. Szlachta, której przewodził sędziwy Mikołaj Siennicki, nie chciała stanowczo Rakuszanina

i z oburzeniem odrzucała myśl o powrocie Henryka. Nienawiść do niego i do jego przyjaciół była tak wielka, że na Solikowskiego, który do Paryża jeździł, z rusznic w gospodzie strzelano przez okna, aż musiał uciekać do Wolborza, gdzie cały czas elekcyi w bezpiecznem przesiedział ukryciu. Senatorowie przeciwnie i Litwa prawie cała pragnęła Rakuszanina, bez względu na osobę. Cesarz Maksymilian II rozpoczął oddawna już w tym kierunku starania. Henryka, uciekającego z Polski przyjmował wspaniale w Wiedniu, a równocześnie przez Dudycza, który ożeniwszy się z Polką, siostrą Zborowskich, i biskupstwo złożywszy, w kraju pozostał, werbował stronników dla kandydatury syna swego arcyksięcia Ernesta. Partya szlachecka, wywiesiwszy na razie sztandar Piasta, nie miała gotowego kandydata, ale zgłaszających się było tak wielu, że wybór nie zdawał się być trudnym. Zgłaszali się mianowicie: król szwedzki, Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki, arcyksiąże austryacki Ferdynand, z bratankiem swoim Ernestem o koronę polską rywalizujący, wreszcie Alfons d'Este, książe Ferrary.[1]) Szczególniej ta ostatnia kandydatura była ze wszechmiar ciekawa, a i dziś jeszcze na uwagę zasługująca. Ubiegał się mianowicie o koronę polską książe nie wielkiego wprawdzie państewka włoskiego i nieznacznej potęgi, ale słynący jako mecenas sztuk i władca „nowoczesnych Aten". Dwór ferrarski miał swoje tradycye; przebywał na nim Petrarka, gościł Ariosto, cierpiał genialny Tasso, a obecnie nie kto inny jak przyjaciel Tassa, Guarini, twórca znanego Pastora Fido, przyjeżdżał do Polski w roli ambasadora popierającego esteńską kandydaturę. Na tej dobrze zasłużonej sławie esteńskiego dworu opierał książe Alfons swoje nadzieje, przyrzekając, że szkołę krakowską mężami uczonymi osadzi, różnych mistrzów sztuk ze sobą sprowadzi i przyciągnie „wszystkie te wzniosłe i wspaniałe umysły, które jak błyszczące promienie słońca jego otaczały, by o ile możności te ciemne, wiecznie zimne nieba cieplejszem światłem ogrzać i rozjaśnić". Ale jakkolwiek do tych obietnic dołączone były widoki znacznych korzyści pieniężnych, jakie Rzeczpospolita z dochodów książęcych otrzymać miała, to jednak wszystko to „głaskało więcej uszy niż serca poruszyło". Posłowie włoscy spotkali się bowiem nad Wisłą z tem, co oni „la pratica di Polonia" wtedy nazwali, a przyczem „danari" (pieniądze) dość znaczną odgrywały rolę. Przyczyniło się do tego niestety możnowładztwo nasze już przy pierwszej elekcyi, a Łaski Olbracht miał pod tym względem tak wyrobioną sławę, że i delegaci esteńscy wiedzieli, że nie dotrzymał słowa cesarzowi, chociaż dostał od niego pieniądze. Dziś, co prawda, stały rzeczy inaczej, pan wojewoda sieradzki powrócił całkowicie do obozu cesarskiego, bo ani od króla szwedzkiego, ani od Stefana Batorego większych korzyści spodziewać się nie mógł, ale za to szlachta sprzeciwiała się stanowczo kandydaturze rakuskiej. Zawiedziona raz przez Walezyusza, nie ufała ona zupełnie ponętnym obietnicom cesarskim, a zdawna niechętna Austryakowi, przechylała się raczej na stronę Piasta. Wśród takich okoliczności zebrał się sejm elekcyjny. Senat przystąpił jak zwyczajnie do wysłuchania obcych posłów. Imieniem cesarza przemawiał Gerstman, biskup

[1]) Don Alfonso d Este kandydatem do korony polskiej i jego poseł, poeta Guarini w roku 1575. Przez C. Przegląd polski z roku 1877.

wrocławski, zalecając Ernesta w podobny sposób jak na poprzedniej elekcyi Rosemberg, po nim przedstawiał rzecz swoją poseł arcyksięcia Ferdynanda, ożenionego z mieszczanką augsburską Filipiną Welserówną, dalej Lorch, poseł szwedzki, Blandrata, siedmiogrodzki, Baranzoni, ferraryjski. Po tej ceremonialnej audyencyi, która na zmianę przekonań głosujących niewiele chyba wpłynąć mogła, rozpoczął się dnia 18. listopada wybór właściwy. Prymas Uchański oświadczył się pierwszy za cesarzem, a za jego przykładem poszli biskupi i znaczna ilość senatorów. Jedni głosowali na Maksymiliana, inni na Ernesta lub Ferdynanda, byli tacy, co stawiali warunek, aby Ernest lub cesarz pojął w małżeństwo infantkę Annę, ale z tego wszystkiego przewaga rakuskiej kandydatury w senacie była oczywista. Na 48 głosujących oświadczyło się 30 za Austryakiem. Inaczej po województwach. Tu Piast, gdzieniegdzie car moskiewski, liczył najwięcej zwolenników. Za kandydatem austryackim przemawiał jurgieltnik znany wiedeńskiego dworu, referendarz Stanisław Sędziwój Czarnkowski, Secygniowski, marszałek dworu Henryka, Krzysztof Zborowski, wreszcie poeta Jan Kochanowski, który przeciw mytycznemu Piastowi postawił śmiało i wyraźnie arcyksięcia Ernesta. Ale mowcy ci nie byli w stanie sprostać argumentom przeciwników. Najwymowniejszy z pomiędzy nich i najzręczniejszy pod względem politycznym był niewątpliwie Jan Zamoyski, którego szlachta bełska i podolska swoim obrała rzecznikiem. W mowie wybornie ułożonej, uderzył on najpierw na kandydatury cudzoziemskie wogóle, lepszym wydał mu się już moskiewski, którego porównał z innymi i doszedł do wniosku, że barbarzyństwa carskie nie ustępują wiele tym, jakie popełniano współcześnie we Francyi, w Węgrzech i w Czechach. Ogółem zdaniem Zamoyskiego moskiewski kandydat „mało różnił się od Piasta i też same co Piast przedstawiał korzyści“.

Inne województwa oświadczyły się także za Piastem. Piasta zalecał marszałek sejmowy Siennicki i Orzechowski, sędzia przemyski. Wogóle Ruś cała prawie niechętna była rakuskiej kandydaturze ze względu na niebezpieczeństwo tureckie. Kasztelan biecki, Szafraniec, odczytywał nawet jakiś list sułtana, w którym padyszach wtedy tylko pokoju dotrzymać obiecuje, jeżeli główny jego nieprzyjaciel, Rakuszanin, obranym nie będzie. Po świeżym napadzie Tatarów, po tylu klęskach, jakich Ruś doznała ze strony Osmanów, musiał argument ten działać potężnie na umysły szlacheckie, kandydatura Piasta rosła z każdą chwilą, wołano, aby iść do senatu, wymieniano kandydatów do korony: Jana Kostkę, wojewodę sandomierskiego, i Andrzeja Tenczyńskiego, bełskiego, spisywano dla nich artykuły. W kole senatorskiem tymczasem brały sprawy inny zupełnie obrót, tu stanowczo była górą kandydatura rakuska; postanowiono, aby prymas po czterech dniach ogłosił królem cesarza i z tem poszli senatorowie do infantki, aby ją dla planów swoich pozyskać. Przekładano Annie, że chociaż panować nie będzie, zostanie synową cesarza i króla, żoną Ernesta. Królewna odpowiedziała wymijająco, że zależną jest od całej Rzeczypospolitej i że pozwoli na wszystko, czego wymagać będzie po niej prawo i Rzeczpospolita. Pomimo tego nie uważał senat za stosowne zwlekać dłużej. Dnia 12. grudnia więc na wniosek kasztelana wileń-

skiego, Jana Chodkiewicza, mianował prymas królem polskim cesarza Maksymiliana II, poczem wszyscy udali się do miasta i tu w kościele św. Jana odśpiewali „Te Deum“ wśród grzmotu dział i odgłosu dzwonów. Wiadomość o tym samowolnym kroku prymasa i senatorów wywołała niesłychane oburzenie w kole rycerskiem; zaczęły się narzekania i pogróżki. „Ruśniacy najwięcej narzekali — pisze Bielski — bo się wysiedzieć w pokoju za obraniem tego pana nie spodziewali, w gardle zwłaszcza nieprzyjaciela już będąc“. Niemniej utyskiwali dyssydenci, a ogół szlachty wołał: „Albo się już dziś z nimi bijmy, a pomoże nam Bóg ukrzywdzonym, albo się rozjeżdżajmy, a braci na gwałt zawołajmy“. Marne te skargi i postanowienia dla Rzeczypospolitej szkodliwe, chybiały zupełnie celu, wojna domowa bowiem, którą w ten sposób wzniecić zamierzano, podawała państwo całe w wielkie niebezpieczeństwo, groziła zniszczeniem i anarchią. Widział to Zamoyski i szukał drogi pośredniej. Jakoż nazajutrz, dnia 13. grudnia, kiedy stronnictwo rakuskie, przestraszone dokonanym cotylko zamachem na wolność elekcyi, zebrało się na zamku warszawskim, pod osłoną sił zbrojnych, Zamoyski w kole rycerskiem postawił kandydaturę infantki Anny, dla której szlachta zebrana pospolitem ruszeniem pod Kraków, męża stosownego obrać miała. Powołując się na przykłady z dziejów narodowych zaczerpnięte, na Wandę i Jadwigę, uderzył mowca zręcznie w strunę patryotyczną i zyskał applauz całej rzeszy szlacheckiej. Wtedy dopiero Stanisław Szafraniec z Pieskowej Skały, senator, trzymający z rycerstwem i stąd wielce popularny u szlachty, wysunął ostrożnie Stefana Batorego, o którym dotąd bardzo mało mówiono. Przypadła szlachta na ten projekt i nagle ozwały się krzyki na polu: „Dobry, dobry, przestaniemy na nim“. Mimo tego zapału, gdy przyszło do wotowania, chwiała się większość pomiędzy Piastem a Batorym, wpływ Zamoyskiego jednak, Szafrańca i Tenczyńskiego, jakoteż wzgląd na przyjaźń turecką, zapewniły ostatecznie zwycięstwo Stefanowi. Chodziło teraz tylko o to, aby królewnę dla planu tego pozyskać. Nie było to rzeczą łatwą, bo infantka znajdowała się w mocy stronnictwa rakuskiego, na zamku warszawskim, pod strażą Secygniowskiego i czujną opieką senatorów, którzy o żadnych paktach ze szlachtą słyszeć nie chcieli. „Nie pójdziesz Wasza Królewska Mość — tak mówił Mikołaj Radziwiłł Annie w obecności kasztelana Żarnowskiego — za nikogo innego za mąż, jak za arcyksięcia Ernesta, zwłaszcza, że cesarz Maksymilian jest już królem naszym, na co królewna odpowiedziała: „I mnie i Rzeczpospolitą woli Najwyższego oddaję“. Podobną deklaracyą dała ona także posłom koła rycerskiego, powołując się na swoich opiekunów, wyznaczonych testamentem Zygmunta Augusta. Nie była to więc odmowa stanowcza, Anna zdawała się na wolę Rzeczypospolitej, a tę Rzeczpospolitą reprezentowała od roku 1572 szlachta, masa narodu, powołanego i uprawnionego do życia politycznego. Jeżeli Henryk osiągnął koronę pod naciskiem szaraczków mazowieckich, to ileż więcej musiało znaczyć poparcie całej rzeszy szlacheckiej, która domagała się wyboru Anny i Stefana. Opozycya oligarchii litewskiej i senatorów koronnych musiała oczywiście ustąpić przed wolą Rzeczypospolitej szlacheckiej. Czuła to dobrze szlachta i uczyniła krok stanowczy. Skoro więc tylko powróciło poselstwo

z zamku, zażądano natychmiast od marszałka sejmowego, Mikołaja Siennickiego, aby obwołał Annę i Stefana. Obowiązek ten należał wprawdzie do prymasa albo jego zastępcy, gdy jednak wszyscy biskupi znajdowali się w obozie rakuskim, trzeba było od utartego zwyczaju odstąpić. Po nominacyi, dokonanej w sposób tak niezwykły, przystąpiło koło rycerskie do dalszych obrad i postanowiło na wniosek Zamoyskiego zwołać zjazd pod Jędrzejów na dzień 18. stycznia 1576 roku w celu dalszego poparcia elekcyi. Ułożono więc stosowny w tym celu uniwersał i przedstawiono warunki posłom siedmiogrodzkim, którzy bez namysłu na wszystko się zgodzili, poczem osobne poselstwo wyjechało do Siedmiogrodu, aby Stefana o wyborze uwiadomić.

Gdy to się działo w kole rycerskiem, nie próżnowali i Rakuszanie. Marszałek wielki koronny, Andrzej Opaliński, ogłosił na zamku królem cesarza Maksymiliana, do Wiednia wysłano świetne poselstwo, aby od elekta odebrać przysięgę na pakta konwenta, a przez ks. Woronieckiego ostrzegano wojewodę siedmiogrodzkiego, aby nie przyjeżdżał, bo Polacy już sobie cesarza za króla obrali.

Tak na schyłku roku 1575 rozerwała się Rzeczpospolita na dwa wrogie sobie obozy: z jednej strony możnowładztwo, skupione pod sztandarem cesarskim, z drugiej demokratyczny żywioł szlachecki, popierający kandydaturę nieznanego zupełnie Stefana, o którym dotąd z lekceważeniem tylko wyrażano się, nazywając go poddanym i sługą sułtana. Nikt nie mógł odgadnąć w tej chwili, jaki obrót sprawy wezmą, bo jeżeli za wojewodą oświadczył się cały stan szlachecki, to Rakuszanin, opromieniony blaskiem cesarskiego majestatu, poparty całą potęgą dynastyi habsburskiej i znaczeniem możnowładztwa polskiego i litewskiego, zdawał się być o wiele bliższym celu niż współzawodnik jego, pokładający wszystkie nadzieje swoje w osobistej dzielności, którą dopiero czynami miał udowodnić.

Zjazd jędrzejowski. — Przybycie Stefana Batorego. — Koronacya. Zaledwie co skończył się sejm elekcyjny i szlachta po 6-tygodniowych naradach do domów rozjeżdżać się zaczęła, kiedy przyszło już, zwłaszcza dalszym, wybierać się pod Jędrzejów. Mimo niewygodnej pory i bezpośrednio po sobie następujących kosztownych zjazdach, zgromadziło się w oznaczonym czasie na polach jędrzejowskich około 20.000 szlachty, taki był zapał ogólny i tak rozsierdzone animusze ziemiańskie zuchwalstwem i gwałtownym postępkiem „cezaryanów“. Pierwszy stawił się w kole zgromadzonych Hieronim Filipowski, zdawna służący Batoremu. Natychmiast po elekcyi podążył on przez Karpaty do Siedmiogrodu, aby elektowi zanieść wiadomość o szczęśliwie dokonanym wyborze. Stefan przyjął koronę polską jako „dobrodziejstwo i zaszczyt wysoki“ i ofiarował za to Rzeczypospolitej „wszystko co tylko największego i najdroższego posiada po Bogu, majątek, krew i życie“. Wiadomość ta dodała otuchy zgromadzonym, a przybycie kilku senatorów, przedewszystkiem zaś biskupa kujawskiego, Karnkowskiego, pokrzepiło niemało umysły. Dotychczas bowiem całe duchowieństwo, z prymasem na czele, trzymało się wytrwale kandydata rakuskiego, którego popierał także papież i z jego polecenia nuncyusz Laureo, biskup Mondevi, wysłany w tym celu do Polski. Kurya rzymska sprzyjała od

samego początku kandydaturze cesarskiej nie dlatego, jakoby pokładała większe nadzieje w gorliwości Maksymiliana II, który w rzeczach wiary był owszem bardzo wolnomyślnym, ale że obawiała się zrazić sobie całą potężną dynastyą habsburską. Cesarz uchodził jeszcze zawsze wtedy za opiekuna kościoła, on jeden mógł w związku z Hiszpanią stawić czoło groźnej potędze tureckiej, on, zostawszy królem polskim, mógł Rzeczpospolitą wciągnąć do ligi przeciw Osmanom. O prawowierności Batorego nie wątpił papież ani na chwilę. W Rzymie wiedziano dobrze, że Stefan, skoro tylko zawładnął Siedmiogrodem, prosił natychmiast Piusa V o przysłanie Jezuitów, że wyprawił do Grzegorza XIII poselstwo z obedyencyą, że pracował nad wykorzenieniem błędów aryańskich i pragnął gorąco odnowić katolickie biskupstwo w Siedmiogrodzie. Poprzednik Batorego Jan Zygmunt Zapolia był aryaninem i za jego czasów zaraził się herezyą kraj cały. Nic dziwnego zatem, że Stefan w dyplomatycznych stosunkach posługiwał się innowiercami, że słał na elekcyą do Polski aryanina, doktora Blandratę, chociaż naczelne kierownictwo ambasady siedmiogrodzkiej powierzył katolikowi Marcinowi Berzewiczemu. Ale przytem wszystkiem Batory, jako lennik turecki, nie mógł przyczynić się w tym stopniu co cesarz do urzeczywistnienia planów wojennych Stolicy apostolskiej. Zawisły od Turcyi, z cesarzem poróżniony, musiał on wobec Porty ottomańskiej trzymać się pokojowej polityki Zygmuntów. Kandydatura Batorego nie była więc po myśli papieża i dlatego polecono nuncyuszowi, aby się starał usilnie o wybór Rakuszanina. Laureo wypełnił sumiennie polecenie, sędziwego prymasa opanował i wszystkich biskupów sprowadził do obozu cesarskiego. Jeden tylko Karnkowski trzymał się na uboczu. Skompromitowany wskutek ucieczki Henryka, którego gorliwie popierał, usunął on się na czas jakiś od udziału w sprawach publicznych, nie był na zjeździe stężyckim, nie pojechał na konwokacyą, nie pokazał się na polu elekcyjnem, za żadnem stronnictwem się nie oświadczył. Teraz dopiero pod Jędrzejowem zjawił się nagle w kole rycerskiem ku wielkiej radości Batoryanów, a ku niemałemu zgorszeniu całego episkopatu polskiego. Przyjęto go oczywiście z otwartemi rękami, przebaczono wszystkie dawniejsze uchybienia, zapomniano, że był przeciwnikiem konfederacyi, że forytował Henryka, widziano w nim jedynego biskupa, który się łączy z ruchem narodowym, który nie waha się popierać demokracyi szlacheckiej, wbrew całemu duchowieństwu, wbrew zabiegom nuncyusza i kuryi rzymskiej.

Podniesiony w ten sposób na duchu zjazd jędrzejowski zabrał się energicznie do działania. Filipowskiemu polecono skłonić Stefana, aby jak najrychlej do Polski przybywał, uchwalono pakta konwenta, dzień koronacyi wyznaczono na 4. marca, a że prymas obrzędu tego dokonać nie chciał, przyznano prawo koronowania królów na wypadek nieobecności prymasa, biskupom kujawskim, obecnie Karnkowskiemu. Poseł cesarski Rosemberg, nie mógł oczywiście w takich stosunkach nic zdziałać; odpowiedziano mu grzecznie, aby cesarz dalszych zabiegów zaniechał i zamięszania w chrześcijaństwie całem nie czynił. Po tem wszystkiem ruszyli Jędrzejowianie całą gromadą do Krakowa, aby stolicę ubezpieczyć przed zamachem Rakuszan i do uznania Anny i Stefana skłonić. Miasto było usposobione przychylnie dla cesarza;

sprzyjali mu mieszczanie i kapituła, idąca za przykładem biskupa, akademicy mieli mowy gotowe dla obu elektów, ale ostatecznie woleli Maksymiliana a wszystkiego doglądał Dudycz, spodziewając się, że z podgórza karpackiego

Henryk Walezy.

nadciągnie Rueber, gubernator cesarski w górnych Węgrzech i miasto osadzi załogą. Zapobiegła temu szlachta, Dudycza wydalono, Krakowianie uznali Annę i Stefana, miasto napełniło się ludem zbrojnym, bramy wszystkie zawarto

i rząd nad wojskiem zlecono Stanisławowi z Górki i Stanisławowi Cikowskiemu. Równocześnie prawie wyprawiono poselstwo do Anny, zapraszając ją do Krakowa, do Litwy i do Prus z uwiadomieniem o uchwałach jędrzejowskiego zjazdu.

Stefan nie wahał się wcale; z usposobienia stanowczy i przedsiębiorczy koronę przyjął, na przedstawienia, jakie mu czyniono, odpowiedział, że „tego królestwa mu ofiarowanego nie opuści, choćby trzy dni tylko miał chodzić w koronie“, propozycye cesarskie przez Teuffenbacha przywiezione a wcale korzystne nawet, odrzucił i na sejmie w Medyaszu przeprowadziwszy wybór brata swego Krzysztofa na województwo siedmiogrodzkie, dnia 8. lutego pakta konwenta podpisał i zaprzysiągł. Po tem wszystkiem wysłał do Polski z dokumentami elekcyjnymi podkomorzego lwowskiego Starzechowskiego i Siedmiogrodzianina Emeryka Suljoka, który miał upoważnienie Annę w imieniu króla poślubić, a sam tymczasem zaczął się gotować do podróży. Rzeczy jednak nie szły łatwo, nietylko bowiem należało wszystko przygotować i przysposobić, czego wyprawa taka wymagała, ale nadto nie można było drogą krótszą przez Węgry puszczać się do Polski z powodu gęstych załóg i wojsk cesarskich, lecz wypadło objeżdżać daleko przez ziemię wołoską. Z tego powodu nie mógł Stefan zdążyć na dzień 4. marca do Krakowa, sejm zebrany odłożył zatem koronacyą i zaślubiny pary królewskiej na później, na dzień 8. kwietnia, a tymczasem rozesłał pakta konwenta, poprzysiężone przez Batorego po całej Koronie. Infantka pomimo przeszkód, jakie jej czynili cezaryanie i pomimo usilnych przedstawień Hozyusza, usłuchała wezwań Jędrzejowian, dnia 18. lutego przybyła do Krakowa i tem samem przystąpiła otwarcie już do stronnictwa Batorego.

W takiem położeniu niewiele zdziałać mogły zabiegi Rakuszan. Nadaremnie zwoływał Uchański senatorów do Łowicza, napróżno ustanawiał dzień koronacyi cesarza także na 8. kwietnia w Warszawie, stronnictwo jego zmniejszało się widocznie, opuszczała je Litwa, mianowicie Jan Chodkiewicz, chwiali się w wierności dla Maksymiliana senatorowie koronni, a i sam cesarz, działając zbyt powolnie i targując się z posłami polskimi w Wiedniu o pakta konwenta, odejmował mimo woli i wiedzy otuchę najżarliwszym swoim zwolennikom. Dnia 23. marca nareszcie poprzysiągł on pakta w kościele św. Szczepana i wydał uniwersał do narodu, ale wtedy już znajdował się Stefan na ziemi polskiej, dnia 28. marca był w Śniatynie, a 17. kwietnia przyjechał do Mogiły, gdzie pozostał do dnia 22., spędzając czas na modlitwie i na łowach w kniei niepołomickiej. W sam Poniedziałek wielkanocny, 22. kwietnia, odbył się uroczysty wjazd elekta do stolicy. Pod względem świetności i liczby orszaków senatorskich nie dorównał on wprawdzie wspaniałemu przyjęciu Henryka, ale za to postać królewska i całe jej otoczenie uderzało dziwną jakąś powagą i prostotą. Sam Stefan rycerską postawą swoją, wyrazistością rysów twarzy i szlachetnością oblicza pociągał ku sobie serca i umysły. Znać w nim było hart męski, silną wolę i niespożytą energią. Za nim i obok niego szła piechota węgierska i jazda pod dowództwem Jerzego Banfiego, wszystko ludzie dobrani, w arkabuzy, halabardy i miecze zbrojni, w ubraniu barwy

fioletowej; znać było, że to orszak króla wojownika i że z nim razem wstępuje w bramy miejskie duch nowy, duch ładu i porządku a wrogom Rzeczypospolitej straszny.

Pierwsze dni pobytu królewskiego w Krakowie upływały na przygotowaniach do koronacyi i na targach z królewną, od której sejm dość niestosownie żądał zrzeczenia się wszystkich majątków odziedziczonych po bracie i matce. Zgodziła się i na to po pewnym oporze poczciwa Anna, poczem dnia 1. maja 1576 roku odbyła się dwojaka uroczystość: ślub Stefana z 52-letnią infantką i koronacya pary królewskiej.

Początki panowania. — Wojna gdańska. W trudnych bardzo warunkach obejmował król Stefan rządy w Polsce. Obrany przez jedną część Rzeczypospolitej, mógł on liczyć właściwie tylko na poparcie szlachty polskiej i województw ruskich. Litwa cesarzowi oddana, infantce Annie niezupełnie przychylna, uważała elekcyą królewny i Batorego, jakoteż postanowienia zjazdu jędrzejowskiego za naruszenie unii, za gwałt i bezprawie. Kunktatorska polityka Maksymiliana oziębiła wprawdzie znacznie zapał początkowy Litwinów, ale z drugiej strony zjawiał się nowy kandydat do tronu, car Iwan Groźny, nie szczędząc ponętnych obietnic i korzystnych bardzo warunków. Jeżeli prawdą było to, co goniec moskiewski kasztelanowi mińskiemu, Hlebowiczowi opowiadał, to kniaź gotów był zrzec się pretensyj swoich do Kijowa i objąć panowanie nad Rzecząpospolitą na podobnych warunkach, jakie niegdyś przyjął Jagiełło.[1]) Podobało się to Hlebowiczowi, mogło się podobać i Chodkiewiczom, którzy współzawodnicząc z Radziwiłłami, obawiali się Anny i Batorego i w wyniesieniu ich na tron widzieli dla siebie i dla spokrewnionej z nimi rodziny Zborowskich jak największe niebezpieczeństwo.[2]) Za przykładem Litwy szły także Prusy; miasta Gdańsk, Toruń i Elbląg sprzyjały oczywiście cesarzowi, szlachta o Stefanie nic wiedzieć nie chciała, a książe pruski gotów był Rakuszanina popierać całą swoją potęgą. Jeszcze niepomyślniej, jeżeli można, przedstawiały się sprawy zewnętrzne. Rzeczypospolitej groził „nieprzyjaciel jeden od Koszyc, drugi od Wiednia, trzeci z Rzeszy, a czwarty z Moskwy“, mówiono, że cesarz wysyła na Kraków z wielkiem wojskiem dwu swoich braci i arcyksięcia Ernesta, że sam od Wrocławia napad gotuje. Było w tych wieściach oczywiście wiele przesady, bo powolny i schorzały Maksymilian zaledwie przy końcu marca dał się skłonić do przyjęcia korony polskiej, a o dochodzeniu praw swoich orężem miał radzić dopiero z książętami na sejmie w Ratyzbonie, ale prawdopodobnem zdawało się zawsze, że tej zniewagi, wyrządzonej sobie, płazem nie puści i wszelkich środków użyje, aby szkodzić Polsce i nowemu jej władcy.

Łatwo zrozumieć więc, że wśród takich okoliczności pragnął Stefan z początku koronacyą odwlec i całe swoje staranie obrócić na uspokojenie Rzeczypospolitej i odparcie zewnętrznego nieprzyjaciela, że na sejmie (w kwietniu) wnosił, aby mu wolno było pospolite ruszenie dzielić w razie potrzeby, że

[1]) Sprawy wojenne Stefana Batorego etc. zebrał i wydał X. Ignacy Polkowski. Kraków 1887. Str. 8.

[2]) Tamże str. 6.

domagał się znacznych poborów, gdy skarb pustkami świecił, a zaciężni żołnierze i dworzanie króla Zygmunta Augusta o zapłatę zaległego żołdu skwierczeli. Ale izba poselska była głucha na wszelkie przedstawienia królewskie, uchwaliła po staremu pospolite ruszenie, niezezwalając na podział sił zbrojnych, a z poborami skąpiła tak bardzo, że król do prywatnych pożyczek uciekać się musiał. Książe słucki „z ciężką niewolą“ dał 10.000 na Bobrujsk,[1]) w skarbie była taka bieda, że podskarbi litewski Wojna zebrał z wielkim trudem zaledwie 2734 złotych na zapłacenie zaciężnych do Inflant, a o resztę, marnych 400 złotych, musiał dopiero pisać na gwałt do Kowna, do dzierżawcy myt tamtejszych, skąd 250 złotych skarbowi się należało.[2]) Niezrażony temi trudnościami zabrał się Stefan do dzieła z niepospolitą energią i zręcznością. Z drogi już, w pierwszej połowie marca, pisał on list do senatorów litewskich, co tam wdzięcznie przyjęto. Sam biskup wileński zachwiał się w wierności dla cesarza, Chodkiewicz i Hlebowicz z zawiści ku Radziwiłłom gotowi byli pogodzić się z elektem szlacheckim, Hlebowicz przez żonę, którą do Krakowa posłał, traktował z Janem Zborowskim, biskup Protaszewicz mniemał: „kogo nam Pan Bóg naprzód królem i panem naszym dać będzie raczył, temu ja czołem i wiernym poddanym być zawzdy będę gotów“. Otóż Batory uprzedził, jak wiadomo, cesarza, stolicę zajął, do koronacyi się gotował i tem stanowczem postępowaniem swojem Litwę do siebie pociągnął. Ze zjazdu w Grodnie wysłano posłów do Krakowa; nie zdążyli oni wprawdzie na koronacyą i nie spieszyli się z uznaniem Stefana. Hlebowicz na posłuchaniu pierwszem tytułował go tylko królem polskim a nie wielkim księciem litewskim, wyrzucał Polakom, że Litwy do elekcyi nie wezwali i unią przez to naruszyli, wymawiał dawne krzywdy, wspominał o „wydarciu“ Wołynia. Ale po tych wybuchach tajonej długo niechęci nastąpiło łatwo porozumienie. Król na poufnej audyencyi zdobył sobie odrazu serca Litwinów. Hlebowicz zmiękł; „gdy w radzie — tak pisał do Chodkiewicza — nie nazbyt się mnie podobał był, acz uroda czysta, lecz potem gdym do niego przyszedł, z rozmowy tak mi się bardzo podobał, iż meo judicio dawnom z człowiekiem mędrszym nie mówił“. I rzeczywiście król z wielkim taktem umiał ugłaskać Litwinów, otwarcie tłumaczył się przed nimi z dotychczasowego swego postępowania, zapewniał ich o swojej życzliwości, hetmaństwo wielkie litewskie przyrzekł Chodkiewiczowi i tem wszystkiem zjednał sobie twarde umysły zupełnie. Gniewała się tylko królowa i ostre czyniła posłom wymówki, tak że jej Hlebowicz tego przebaczyć nie mógł. „Widzę jak chłopa dopadła, pisał, gębę nosi wysoko i hardo, widzę, że się nie możem po niej nic dobrego spodziewać“.

Pozyskawszy sobie Litwę, ruszył król natychmiast po skończeniu sejmu do Warszawy, gdzie była główna siedziba cezaryanów i dokąd niedawno jeszcze zapraszał prymas senatorów i szlachtę na koronacyą Maksymiliana, do Litwy zaś wysłał wojewodę łęczyckiego, Jana Sierakowskiego i podsędka

[1]) Archiwum Radziwiłłów str. 12.

[2]) Sprawy woj. str. 53.

Samuel Zborowski przed Zamoyskim.

Podług obrazu Leona Piccarda

Karśnickiego, aby na zjeździe w Mścibowie wszystkie nieporozumienia ostatecznie załatwić. I jedno i drugie powiodło się zupełnie.

W Rawie, gdzie król się zatrzymał, zabiegli mu drogę marszałek wielki koronny Opaliński, generał wielkopolski Czarnkowski, Jakób Rokossowski, starosta szremski; nie było Gostomskiego, wojewody rawskiego i prymasa, który siedział w Łowiczu pod czujną opieką nuncyusza i posła cesarskiego. Stefana opuściła wreszcie cierpliwość i oświadczył, że chce być „na śniadaniu“ u arcybiskupa, ale na usilne prośby Karnkowskiego, który tego śniadania bardzo się przestraszył, zgodził się król na układy. Arcybiskup stawiał się zrazu hardo, następnie jednak uległ przedstawieniom wysłanych do Łowicza senatorów i dnia 25. czerwca przyjechał do Warszawy, aby królowi czołem uderzyć i przysięgę na wierność wykonać. Za tym przykładem prymasa poszli wnet także i inni senatorowie z partyi rakuskiej, a tymczasem i Litwa w Mścibowie zebrana i szlachta pruska, sejmikująca w Nowem Mieście, uznały Stefana, jedne tylko miasta pruskie, z Gdańskiem na czele trwały w opozycyi. Na razie nie było to jednak straszne, bo cesarz, zwoławszy sejm rzeski do Ratyzbony, dotąd na krok stanowczy zdecydować się nie mógł. W kolegium elektorskiem odzywały się wprawdzie głosy za wojną, parli do tego Maksymiliana elektorowie saski i brandenburski, porozumiewano się z carem; posłowie polscy Jan z Krotoszyna i Dymitr Solikowski, wysłani z sejmu koronacyjnego, nic zdziałać nie mogli, w powrocie zatrzymano ich nawet i więziono w Lincu przez cztery miesiące, ale na tem się też skończyło. Tymczasem Stefan trafnie oceniając położenie, korzystał z chwili stosownej, aby się na tronie umocnić i tak jak oświadczył posłom w Krakowie, że „po koronacyi nietylko jednego dnia ale jednej godziny nie radby próżnował“, tak teraz dawał dowody, że dla dobra państwa dzielnie pracować potrafi. Upokorzywszy prymasa, uprzątnął on natychmiast i jego najbliższych doradców, nuncyusza i posła cesarskiego, których za granicę Rzeczypospolitej wydalić kazał, do Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, napisał list oświadczając, że prawa i swobody litewskie przysięgą potwierdził, od posłów litewskich przysięgę wierności odebrał i że formalności dopełni na najbliższym sejmie walnym, który złożyć zamierza w dzień św. Michała (29. września). A że Litwa obawiała się najbardziej nowego najazdu moskiewskiego, więc polecił król opatrzyć jako tako granice północno-wschodnie i wysłał do Iwana posłów Jerzego Grudzińskiego i Leona Bukowieckiego, oznajmiając mu o swojem wstąpieniu na tron i wyrażając gotowość do dalszych traktatów pokojowych. Po tem wszystkiem wyjechał natychmiast do Tykocina, gdzie był złożony skarb Zygmunta Augusta, stamtąd udał się do Knyszyna na naradę z senatorami litewskimi i 27. sierpnia był już w Toruniu, aby sprawy pruskie uporządkować i z Gdańszczanami się rozprawić. Niezmordowana ta działalność Stefana sprawiła niepospolite tak w kraju jak i za granicą wrażenie. Stolica apostolska, dotąd jeszcze Batoremu nieprzychylna, zaczęła się zastanawiać nad skutkami tej swojej polityki. Zerwanie stosunków dyplomatycznych z Polską, narażało niewątpliwie interesa kościoła na wschodzie, dodawało otuchy protestantom i udaremniało na długi czas plany wojny tureckiej. Więc jakkol-

wiek trudno było papieżowi opuścić cesarza, to jednak przez legata swego kardynała Morone, starał się nakłonić go do zgody z Stefanem, ukazując wielkie niebezpieczeństwo, jakieby wyniknąć mogło dla całego chrześcijaństwa w razie poważnych zatargów pomiędzy Niemcami a Polską. Ten zwrot w polityce kuryi rzymskiej wpłynął także i na stanowisko Hozyusza, który bawiąc w Rzymie dla odebrania sum neapolitańskich, był jednym z najżarliwszych przeciwników Batorego. Obecnie, prawda że nie natychmiast, bo dopiero po śmierci Maksymiliana II, stawał i on w szeregu wiernych poddanych Jego Królewskiej Mości, wyznając szczerze i otwarcie, że „nie mógł tego u siebie żadną miarą należć, oddawszy się raz cesarzowi JMci jako królowi obranemu, aby także miał się też oddawać drugiemu Panu“. Inni nie mieli takich skrupułów. Jeszcze król nie dojechał do Torunia, kiedy w Brześciu kujawskiem zabiegli mu drogę posłowie księcia pruskiego, składając hołd posłuszeństwa. Widocznie i tam już tracono nadzieję w powodzenie i zwycięstwo Maksymiliana, a przebiegły Anspach, sięgający po opiekę nad chorym umysłowo młodym księciem Albrechtem, pragnął w ten sposób zawczasu utorować sobie drogę do łaski królewskiej. Z dobrą otuchą więc wjeżdżał Stefan dnia 27. sierpnia do Torunia, witany przez licznie zgromadzonych tam senatorów i posłów pruskich, w trzy dni później potwierdził uroczyście przywileje stanów pruskich, zapewniając, że w myśl przywileju Kazimierza Jagiellończyka mają one mieć „wraz z innymi mieszkańcami wspólną elekcyą i koronacyą przyszłych królów“. Usunęła się tak z drogi królowi i ta ostatnia zapora, cała Rzeczpospolita jak długa i szeroka uznawała go za prawowitego swego monarchę, jeden tylko Gdańsk trwał w zaciętym uporze i na niego też zwrócił król teraz całą swoją uwagę.

Miasto Gdańsk skutkiem korzystnego nadzwyczaj położenia geograficznego wzbiło się już za czasów krzyżackich do niezwykłej potęgi, a odegrawszy w wojnie trzynastoletniej pomiędzy Polską a zakonem pierwszorzędną rolę, wywalczyło sobie i pod nowem panowaniem stanowisko ponad innymi miastami dominujące, a od Rzeczypospolitej wyjątkowo uprzywilejowane. Wiedzieli dobrze przemyślni kupcy gdańscy, jakie pożytki czekały ich po zrzuceniu jarzma krzyżackiego i po złączeniu się z Polską. Z zniesieniem ograniczeń i przeszkód, jakie zakon niemiecki w własnym swoim interesie stawiał handlowi miast pruskich, otwierały się dla nich widoki najświetniejszego na przyszłość rozwoju. Faworyzowani przez królów polskich, dzierząc ujścia Wisły, jedynej niemal ku północy drogi handlowej wodnej i mając przed sobą morze Bałtyckie, natenczas główny gościniec pomiędzy Europą wschodnią a zachodnią, posiadali Gdańszczanie w całem tego słowa znaczeniu monopol handlu polskiego, ponieważ „wszystkie zboża, towary, majętności dochodów naszych w ręku swem mieli, to jako chcieli przedawali do ludzi na świat, z najlepszym pożytkiem swym a szkodą i wieczną sromotą naszą“.[1]) Rosła w ten sposób zamożność miasta, mnożyły się dostatki jego mieszkańców, którzy „prawie jako wieprze utuczywszy się z majętności koronnych pany się poczynili“, tak że w sto lat po zrzuceniu jarzma krzyżackiego był Gdańsk „perłą

[1]) Instrukcya posłom na sejmiki powiatowe. Sprawy woj. etc. str. 70.

w Koronie, klejnotem w liczbie miast polskich". Wspaniałością gmachów publicznych i przepychem w domach patrycyuszowskich prześcigał znacznie Lubekę, Królewiec i Szczecin, a jako warownia, należał do twierdz najsilniejszych. Płytkość morza utrudniała przystęp statkom wojennym, ujście Wisły, Leniwką tu zwanej, zamykała warowna Latarnia, gdzie przez „całą noc w alkierzyku wielkie świece dla żeglarzów gorzały", od lądu przy rozramienieniu Wisły, strzegła wejścia do miasta forteca „Głowa", a w razie potrzeby zalewano całą okolicę wodą z Motławy. Ubezpieczeni tak naokoło, opływający w dostatki i bogactwa, rośli Gdańszczanie w pychę i zarozumiałość, a rozległe stosunki handlowe i pieniężne, jakie mieli po całej Koronie i Litwie, zapewniały im rzeczywiście wyjątkowe stanowisko pomiędzy miastami polskiemi. Podczas gdy wszystkie inne grody nasze popadały w coraz większą zależność od sejmów i władzy królewskiej, posiadał Gdańsk samorząd niczem nie uszczuplony. Na czele miasta stał burmistrz z senatem i gronem stu mężów a interesów królewskich strzegł nie starosta lecz burgrabia, zwykle zpośród mieszczan na tę godność mianowany. Czuli się więc Gdańszczanie niejako państwem w państwie, należeli do Rzeczypospolitej, bo im było z tem wygodnie, zasiadali pomiędzy senatorami na sejmikach pruskich, brali udział w elekcyach królów, ale przy tem wszystkiem strzegli pilnie swojej niezależności i unikali wszystkiego coby ich z organizmem państwowym ściślej zjednoczyć mogło. Rzeczpospolita znosiła cierpliwie ten stan rzeczy ze względu na zasiłki pieniężne, jakie z Gdańska do skarbu koronnego płynęły. Nie były one znaczne w stosunku do wielkiej zamożności mieszczaństwa, ale w chwili potrzeby dawały zawsze możność zasilenia wycieńczonych finansów państwowych jakimś nadzwyczajnym datkiem. Oprócz zwykłych podatków więc, tak jak je sejmy uchwalały, nałożono na Gdańszczan za panowania Zygmunta Augusta obowiązek składania pewnej sumy królowi i t. zw. stacyjnego na utrzymanie dworu królewskiego corocznie, bez względu na to, czy król do miasta przyjeżdżał lub nie; w nagłych wypadkach brano pożyczki znaczniejsze, zastawiano u patrycyuszów gdańskich dobra królewskie, słowem uważano Gdańszczan za bankierów Rzeczypospolitej. Ta przewaga pieniężna jednak budziła w umysłach mieszczan gdańskich poczucie siły i potęgi własnej i pewne lekceważenie rządu, zawisłego od dobrej woli zbogaconych patrycyuszów. Zaczęli więc Gdańszczanie wyłamywać się z pod władzy królewskiej i mianowicie przywłaszczać sobie panowanie na morzu, którego tak pilnie strzegł Zygmunt August. Król wysłał skutkiem tego do Gdańska swoich komisarzy, ale miasto zamknęło bramy przed nimi i przyjęto dopiero delegacyą, wyznaczoną przez sejm lubelski w roku następnym 1569 do uregulowania stosunków miejskich i ukrócenia swawoli Gdańszczan, uwłaczającej już powadze majestatu królewskiego. Komisya, której przewodniczył biskup Karnkowski, ułożyła cały szereg artykułów, przyjętych na sejmie roku 1570, a znanych pod nazwą constitutiones Carncovianae. Gdańszczanie przycichli wprawdzie, konstytucye owe przyjęli pozornie, ale stosując się do nich mało, czekali tylko chwili sposobnej, aby odzyskać dawną niezależność. Nastąpiły jedno po drugiem dwa bezkrólewia, w drugiem odniosła zwycięstwo stanowcze szlachta, Gdańsk przy-

łączył się do stronnictwa rakuskiego. Pociągało go tam nietylko pokrewieństwo narodowe z Niemcami, ale zapewne także i obawa, że król, głosami szlachty na tron wyniesiony, będzie się starał ująć w kluby spanoszone a niesforne mieszczaństwo gdańskie. Nie potrzebujemy chyba dowodzić, jak nieuzasadnione były te podejrzenia Gdańszczan względem króla tej miary co Stefan, ale raz wkroczywszy na drogę opozycyi, postanowili oni wytrwać na niej do końca. Nie tajnem było też dla nich trudne położenie Rzeczypospolitej i nowego jej władcy; wiedzieli, że nad Polską zewsząd groźne zawisły chmury, że Moskwa gotuje się do wojny, że Tatarzy o nowych zamyślają napadach, że cesarz wre gniewem i zemstą, wiedzieli o tem wszystkiem i na tem budowali swoje nadzieje. Nadaremnie więc słał król do nich z Błonia, pod Warszawą, sekretarza swego Kossobudzkiego, nadaremnie wzywał ich przez dwóch poważnych senatorów do złożenia przysięgi, butni Gdańszczanie odpowiedzieli zuchwale, że wtedy dopiero przysięgę złożą, jeżeli król pierwiej potwierdzi im ich prawa, wolności i przywileje. Jakoż ani w Toruniu, ani później w Malborgu, dokąd się Stefan udał, po przyjęciu hołdu od stanów pruskich, nie przybyli posłowie gdańscy i opór bierny Gdańska przybierał już znamiona jawnego buntu. Mimoto postępował król oględnie i łagodnie, jak tego wymagały okoliczności, bo wiedział, że do upokorzenia Gdańska potrzeba sił znacznych i odpowiedniego przygotowania. Tymczasem zbrojne zastępy, jakich użyć mógł w tej chwili, wynosiły zaledwie 1000 ludzi. Byłato świeżo zaciągnięta gwardya przyboczna królewska, która miała zadanie „strzedz osoby, godności królewskiej, tłumić wszelkie nagłe wybuchy i uchylać niebezpieczeństwa“. Służyli w tym hufcu wprawdzie doświadczeni rotmistrze, znani chlubnie z czynów rycerskich: Andrzej Firlej, starosta sandomierski, Gniewosz, Jordan, Zebrzydowski, hetmanem był Jan Zborowski, ale cóż znaczyła garść jazdy, chociażby najdzielniejszej, wobec murów twierdzy, opatrzonej rynsztunkiem wojennym, działami i strzelbą rozmaitą? Trzeba było więc czekać sejmu, a tymczasem próbować układów, użyć groźby, postrachu. Pozwano zatem burmistrza gdańskiego i całą radę przed sąd królewski i zabroniono wszelkiego handlu z zbuntowanem miastem, a gdy to nie skutkowało, ogłosił król dnia 24. czerwca Gdańszczan za jawnych buntowników,[1]) ruszył z wojskiem nadwornem ku miastu, opanował zameczek Grzebień i rozpuścił stąd hufce swoje na spustoszenie posiadłości miejskich.

Gdańszczanie odpowiedzieli na to napadem na klasztór Dominikanów, zniszczeniem wsi należących do biskupa kujawskiego, Karnkowskiego i złupieniem klasztoru oliwskiego. Król posunął się wprawdzie pod mury miasta, ale zbadawszy doświadczonem okiem warownie, przekonał się, że z garstką ludzi nic zdziałać nie zdoła. Zostawił więc w okolicach Gdańska roty nadworne, rozesłał wici, zwołujące pospolite ruszenie ziem pruskich pod Starogród, a sam pojechał na sejm do Torunia, aby od stanów uzyskać środki na upokorzenie buntowników. Ale sejm nie zrozumiał niestety w tej chwili swojego zadania. Zdawało się, że szlachta poprze całą siłą króla, którego sama na tron wyniosła. Batory objął panowanie nad Polską w czasie kiedy stan rycerski

[1]) A. Pawiński: Stefan Batory pod Gdańskiem w roku 1576—77. Warszawa 1877.

odniósł stanowcze nad możnowładztwem zwycięstwo, kiedy sejmiki ziemskie do niebywałego przedtem doszły znaczenia, a gmin szlachecki głosami swoimi decydował o wyborze monarchy i na zjeździe jędrzejowskim rozdawał dowolnie dygnitarstwa koronne, przywłaszczając sobie w ten sposób atrybucye władzy królewskiej. Stefan, acz pilnie przestrzegający powagi majestatu monarszego, nie opierał się temu prądowi i bądźto z wdzięczności, bądź z przekonania głaskał umysły szlacheckie postępowaniem przychylnem dla nich i taktu pełnem. Sądził zapewne, że opierając się na tym ruchu, popularnym wtedy, przeprowadzi łatwiej i zamiary własne i te reformy, których się stan rycerski wytrwale a bez należytego dotąd skutku dopominał. Kierując się tą myślą zsolidaryzował się Batory nietylko z stronnictwem szlacheckiem, ale oddał zarazem pieczęć mniejszą w ręce Jana Zamoyskiego, najwybitniejszego przedstawiciela demokracyi szlacheckiej i uczynił go powiernikiem swoich zamiarów, uczestnikiem swoich czynów. Wybór był bardzo trafny. Zamoyski, pochodzący z niezamożnej rodziny ziemiańskiej, urodzony w roku 1542, otrzymał niezmiernie staranne wykształcenie. Jako 13-letni chłopak, wysłany na nauki do Paryża, udał się po dłuższym tam pobycie do Padwy, gdzie pod kierunkiem znakomitych profesorów prawa przygotowywał się do życia publicznego. Podczas tej wędrówki swojej obznajmiał on się gruntownie z literaturą klasyczną, nabrał zamiłowania do arcydzieł greckich i łacińskich mistrzów i przejął się entuzyastycznem uwielbieniem dla helleńskiego świata. Umysł, rozbudzony w ten sposób wcześnie, nie gubił się jednak w teoretycznych studyach prawniczych, nie zagrzebywał się w archeologii klasycznej, lecz zwrócił się wprost do rzeczy praktycznych, będących w związku z życiem publicznem. Tak powstało pod wrażeniem padewskich czasów pierwsze i jedyne dzieło literackie Zamoyskiego: „De senatu romano“ (O senacie rzymskim), które mu zjednało sławę u kolegów i rozgłos w kraju. Powróciwszy z zagranicy, wstąpił Zamoyski do służby w kancelaryi królewskiej i tu pod okiem podkanclerzego Myszkowskiego wprawił się do publicznego swego zawodu. Podczas bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta odegrał on już rolę znaczną, zjednał sobie popularność szlachty, a po ucieczce Henryka stał się duszą demokratycznego stronnictwa szlacheckiego. Wolny od uprzedzeń kastowych, gorącą miłością ojczyzny przejęty, zdolnościami, wykształceniem i biegłością w sprawach publicznych przewyższający nietylko rzeszę szlachecką, ale i całą gromadę senatorskich dygnitarzy, był Zamoyski stworzonym niejako na to, aby u boku takiego króla, jak Batory, reformę Rzeczypospolitej przeprowadzić, polityce państwa inny nadać kierunek i Polsce zapewnić panowanie w wschodniej Europie. Przedsięwzięcie nie było łatwem; naprzód bowiem wypadało złamać opozycyę możnowładczą, przezwyciężyć egoizm szlachecki i ująć w karby wybujały indywidualizm polski, będący źródłem samowoli i anarchii. Że Zamoyski przed tem trudnem zadaniem się nie cofnął i że je w znacznej części spełnił, to pozostanie niespożytą jego w historyi zasługą. Na razie jednak ani on, mimo całej swojej popularności, ani król mimo energii i stanowczości, nie zdołali opanować sytuacyi. Sejm toruński okazał się tak jak poprzedni głuchym na przedstawienia królewskie. Wobec jawnego buntu Gdańszczan, urą-

gających powadze królewskiego majestatu i natrząsających się formalnie z Rzeczypospolitej, wobec zdradzieckich knowań mieszczaństwa gdańskiego, które i z carem konszachty prowadziło i z Danią sojusze zawierało, trzymała się szlachta uporczywie dawnego systemu wojowania, nie chciała ani na krok odstąpić od uchwał poprzednich, paraliżujących wszelką akcyą wojenną. Zamiast postanowić pobory na zaciągnięcie i utrzymanie żołnierzy, uchwalono pospolite ruszenie i oddano tę masę, niepodzielną i ociężałą królowi na uśmierzenie buntu gdańskiego, na obronę granic południowych i na odparcie spodziewanego lada chwila najazdu moskiewskiego. A jakby i to jeszcze nie było wystarczającem, nazwano Gdańszczan nieprzyjacielem „postronnym“, uznając ich przez to niejako za stronę wojującą, na równi z Moskwą, Rzeszą niemiecką lub Portą ottomańską. Nic dziwnego więc, że Stefan oburzony tem sobkostwem szlacheckiem, rzucił izbie sejmowej przy pożegnaniu słowa pełne goryczy i uzasadnionego zupełnie gniewu. „Złymi jesteście stróżami swojej wolności — tak mówił on — ja własnej również bronić będę. Nie myślę być królem malowanym, ani się dam komukolwiek powodować“.

Najfatalniej odbiła się ta krótkowidząca polityka sejmowa w sprawie gdańskiej. Gdańszczanie, zaniepokojeni stanowczością króla i przez śmierć cesarza Maksymiliana II, 12. października, pozbawieni wszelkiej z Niemiec otuchy i pomocy, spuścili znacznie z tonu i zaczęli pisemnie, za pośrednictwem sejmu, starać się o przebaczenie i przejednanie króla. Układy zaszły już tak daleko, że miasto było gotowe zapłacić 200.000 złotych, że wysłało pełnomocników swoich do Torunia i żądało tylko zaprzysiężenia przywilejów i wolności swoich ze strony króla. Ale skoro tylko dowiedzieli się Gdańszczanie o zatargach pomiędzy królem a izbą poselską, a mianowicie o nieuchwaleniu poborów, wynaleźli wnet nowe trudności, o które nareszcie ugoda zupełnie się rozbiła. Na tem upłynął cały listopad, a nadchodząca zima przerwała wojenne działania. Król nie spuszczając z oka sprawy gdańskiej, przeniósł się na dwumiesięczny pobyt do Bydgoszczy i tu rozwinął z właściwą sobie energią przygotowania do kampanii wiosennej, rozesłał mianowicie wici, nakazujące gotowość wojenną, starał się o pieniądze i zaciągi. Wśród tego zgłosili się Gdańszczanie znowu z prośbą o pokój, król, pragnąc sprawę ukończyć, okazał się nadzwyczaj wyrozumiałym i łagodnym, gdy to jednak nie skutkowało, gdy butni mieszczanie zaczęli podawać w wątpliwość niezaprzeczone prawa królewskie i zmierzać już wprost do uzyskania politycznej odrębności, wyczerpała się cierpliwość Stefana. Kazał więc uwięzić dwóch posłów gdańskich i dnia 12. lutego 1577 roku wydał dekret infamii na zbuntowane miasto, ogłosił ich za wrogów ojczyzny i polecił zabierać na rzecz skarbu wszelką własność obywateli gdańskich. I znowu, tak jak poprzednio, odpowiedzieli Gdańszczanie na ten objaw słusznego gniewu królewskiego nowem spustoszeniem i zupełnem już zburzeniem klasztoru w Oliwie. Na wiadomość o tym „tatarskim“ prawdziwie napadzie zawrzał król zemstą i na dzień 23. marca zwołał radę senatu do Włocławka, aby tą drogą uzyskać środki do prowadzenia wojny. Skutek był pomyślny, uchwalono bowiem nie używać pospolitego ruszenia, ale odnieść się do sejmików, aby pokazały drogę „do zabieżenia

temu upadku Rzeczypospolitej“. Tymczasem zaś za zezwoleniem konwokacyi zastawiono część klejnotów koronnych za 70.000 złotych polskich u Jakóba Rokossowskiego, kasztelana szremskiego, i wzięto od margrabi na Anspachu Jerzego Fryderyka 200.000 złotych, przyznając mu za to opiekę nad chorym umysłowo księciem pruskim Albrechtem. Skąpstwo szlachty zmusiło tak króla do nowego uszczuplenia praw Rzeczypospolitej, do wydania Prus wschodnich w ręce chciwych władzy Hohenzollernów. „Co acz król baczył — pisze Bielski, jeden z posłów do Anspacha — że miało być z niemałą szkodą i niebezpieczeństwem koronnem, jednak dogadzając rzeczom swym, musiał tak uczynić“. Wszystko to nie wystarczało oczywiście na pokrycie kosztów wojennych i trzeba było czekać postanowienia sejmików, które miały się zebrać d. 15. maja. Król tymczasem ruszył do Warszawy dla odwiedzenia królowej, ale zaledwie przyjechał do Gombina, kiedy dopędził go goniec od Jana Zborowskiego z radosną nowiną o świetnem zwycięstwie pod Tczewem. Wyjeżdżając na konwokacyą włocławską zostawił Stefan pod Gdańskiem dla obserwacyi miasta i obrony kraju kasztelana gnieźnieńskiego z rotami zaciężnemi. Niewielkie to były siły, któremi rozporządzał hetman polski: 1132 husarzów, 215 kozaków, 680 hajduków, dwa działka polne, 27 hakownic, razem mało co więcej nad 2000 ludzi. Gdańszczanie wiedząc o słabości wojska polskiego i o kłopotach, w jakich się król znajdował, postanowili skorzystać z nastręczającej się sposobności, nagłym napadem zniszczyć oddział Zborowskiego, Tczew, Gniew, Nowe i Starogród opanować, uwolnić miasto swoje od grozy oblężenia i wojnie całej nadać szersze rozmiary. W tym celu już w wielką Sobotę d. 6. kwietnia przygotowali oni całą wyprawę, ale nawałnice i deszcze ulewne przeszkodziły wykonaniu. Dopiero dnia 15. kwietnia wyruszyła armia gdańska ku Tczewu. Naczelne dowództwo miał Jan z Kolna, „człek w sprawach rycerskich nie prostak“, świeżo obroną Magdeburga wsławiony; ludu zbrojnego wiódł z sobą niemało: knechtów zaciężnych niemieckich 3100, mieszczan gdańskich z cechami 8000, jazdy 800 koni. Oprócz tego cztery baty pełne ludzi i strzelby popłynęło wodą na zdobycie Tczewa. Widocznie zamierzał hetman gdański Polaków zewsząd ogarnąć i stanowczą zadać im klęskę. Czujność Zborowskiego i dzielność jego rycerstwa zniweczyły jednak plany niemieckiego wodza. Kasztelan przez podjazdy swoje uwiadomiony o wyprawie, nie wahał się ani na chwilę, zostawił garść ludzi na obronę Tczewa, a sam z główną siłą ruszył naprzeciw nieprzyjaciela i o milę od miasta, pod wsią Rokitki, koło jeziora Libiszowskiego stanął w szyku bojowym. Jan z Kolna, zobaczywszy tę gotowość ze strony polskiej, zamierzył skorzystać z liczebnej przewagi swojej, ubezpieczył więc knechtów swoich dylami, umyślnie na to przywiezionemi, przed natarciem jazdy polskiej, a część wojska poprowadził groblą, aby tył zająć hufcom polskim. Zborowski jednak, baczny na wszystkie obroty nieprzyjacielskie, spostrzegł wcześnie niebezpieczeństwo i zabiegł drogę oskrzydlającym go rotom. Na grobli przyszło do spotkania. Pod ogniem piechoty polskiej zachwiali się Niemcy, a gdy hajducy porzuciwszy strzelby, zaczęli ich ciąć siekierkami, gdy kopijnicy uderzyli na nich z boku, a Struś z swoją chorągwią od tyłu, powstał popłoch ogólny i wszystko zwróciło się do ucieczki. Że zaś bitwa

toczyła się tuż nad stawem, więc zniszczenie armii gdańskiej było nieuniknione. Knechci rzucając broń i zbroje szukali ocalenia w wodzie, mnóstwo potopiło się przytem, reszta ginęła od kopij i mieczów husarskich. Trzy mile

Nagrobek Anny Jagiellonki w katedrze krakowskiej.

aż do wsi Pruszcza siedziała uciekającym na karkach jazda polska, tak że koło hetmana zaledwie 200 koni się zostało. Z tymi i z piechotą, spracowaną bardzo, ruszył Zborowski na obronę zagrożonego Tczewa, ale nieprzyjaciel zmiar-

kowawszy co się stało na polu bitwy, nie kusił się już o miasto i pod osłoną nocy odpłynął czemprędzej do Gdańska. Dopiero nazajutrz można było ocenić wielkość zwycięstwa. Na pobojowisku pochowano „według karbów, co przysiężni ludzie karbowali“ 4416 trupów nieprzyjacielskich, 1000 jeńców dostało się w ręce Polaków, zabrano wszystkie wozy i wielką chorągiew gdańską z napisem aurea libertas (złota wolność). Z naszych poległo 54, najdotkliwsze straty poniosła piechota węgierska, zginęło tam bowiem 4 kapitanów, 36 dziesiętników i znaczna ilość szeregowców. Niczem to jednak nie było wobec klęski nieprzyjaciela i moralnego znaczenia zwycięstwa. Czego na sejmie toruńskim nie mogły wymódz łzy Zamoyskiego i starania królewskie, to spełniły teraz bez wielkich trudności sejmiki, uchwalając zamiast pospolitego ruszenia pobory, a za przykładem szlachty poszło także i duchowieństwo na synodzie piotrkowskim, dzięki gorliwości Karnkowskiego, który sam pierwszy na cele wojenne złożył 1000 złotych polskich. Zasiłki te, jakkolwiek może niezupełnie wystarczające, podniosły ducha w narodzie i ułatwiły królowi trudne zadanie. Przełamawszy niesłychane trudności, ściągnąwszy wszystko co do zdobywania miasta tak warownego było potrzebne, ruszył Stefan dnia 11. czerwca pod mury Gdańska. Trzy miesiące trwało oblężenie. Z początku zamierzał król dobywać Latarni, aby, odciąwszy w ten sposób buntownikom komunikacyą z morzem, snadniej miasto zmusić do poddania. Gdy jednak na radzie wojennej sprzeciwiali się temu Zborowski, wojewoda chełmiński, Kostka i Firlej, kasztelan lubelski, rozpoczął król regularne oblężenie Gdańska. Ale mimo silnego bombardowania, mimo że do miasta 150-funtowe pociski miotano, skutek był mały. Gdańszczanie mając związek z morzem, otrzymywali posiłki z Lubeki i z Danii, sprowadzali zaciężnych Szkotów, zaopatrywali się w żywność i ufni w obronność i siłę murów swoich, czekali cierpliwie, od czasu do czasu zaś próbowali układów, które na bezowocnych kończyły się targach. Porażka, jaką przez nieostrożność własną poniósł Ernest Wajer, oszańcowany pod Latarnią, dodała niemałej otuchy oblężonym. Coraz częściej wypadali oni z bram miejskich, coraz śmielej stawiali czoło rotom królewskim. Wtedy król obszedłszy miasto, zaczął dobywać Latarni. Twierdza zasypana gradem kul i bomb ognistych, chwiała się, runęła wieża obronna, w murze powstał wyłom szeroki, blokauz drewniany palił się przez dwa dni i dwie nocy. Uderzono do szturmu, walka toczyła się zawzięta, padł Jan z Kolna, wyginęło mnóstwo oficerów gdańskich, ale posiłki, jakie nadbiegły z miasta uratowały oblężonych od zguby. Tymczasem wojna z taką zawziętością prowadzona, dawała się uczuć dotkliwie i Gdańszczanom i całej okolicznej prowincyi pruskiej. Miasto samo jużto wskutek oblężenia, już z mocy dekretów królewskich odcięte od wszelkich stosunków handlowych z Rzecząpospolitą i narażone na wielkie wydatki, ponosiło straty niezmierne, dowóz żywności był coraz trudniejszym, handel cały zwracał się do Elbląga, rywalizującego oddawna z Gdańskiem. Król, oceniając trafnie położenie, zwrócił w tę stronę baczną uwagę. Firlej, kasztelan wiślicki, wysłany do Elblążan, uzbroił 10 okrętów, które miały zamknąć port gdański, przemyśliwano nad przekopaniem kanału i urządzeniem znacznego portu w Elblągu, słowem nie mogąc

zdobyć Gdańska, zamierzano zniszczyć miasto ekonomicznie. Wiedzieli o tem Gdańszczanie, więc jakkolwiek szturm na Latarnią nie powiódł się królowi, byli skłonniejsi do ugody niż przedtem. Szlachta pruska wystąpiła z pośrednictwem, skarżono się na spustoszenia, zrządzone przez Duńczyków, aliantów gdańskich, na upadek gospodarstwa, król pozwolił na wznowienie układów. Zaczęły się znowu targi dawniejsze, ale mimo wykrętów, jakich używało miasto, znać było, że tym razem buntownicy pragną szczerze pokoju. W tem przekonaniu zwinął Stefan oblężenie Gdańska i dnia 15. września udał się do Malborga, gdzie nowi przybyli pośrednicy. Bylito posłowie książąt niemieckich, prowadzący w imieniu Anspacha układy o opiekę nad księciem pruskim. Ich usiłowaniom powiodło się wreszcie pokój przyprowadzić do skutku. Gdańszczanie przyrzekli: wyznać winę swoją i prosić o przebaczenie króla, zapłacić 200.000 złotych polskich, rozpuścić zaciągi, złożyć przysięgę na wierność, dać na odbudowanie klasztoru oliwskiego 20.000 złotych polskich i ponosić na przyszłość ciężary, do których byli obowiązani. W zamian za to zniósł król wyrok banicyi, potwierdził prawa i przywileje miejskie i zapewnił Gdańszczanom wolność wyznania augsburskiego podług brzmienia konfederacyi warszawskiej.

Dnia 16. grudnia 1577 roku odbył się akt uroczysty. Komisarze królewscy: Eustachy Wołłowicz, podkanclerzy litewski, Andrzej Firlej, kasztelan lubelski, Walewski, kasztelan elbląski, i Hieronim Rozrażewski, proboszcz płocki, odebrali w Gdańsku przysięgę wierności od urzędników miejskich, a równocześnie król Stefan na zamku malborskim podpisał przywileje i wolności Gdańszczan. Skończyła się walka długa i uciążliwa; król wśród najtrudniejszych okoliczności utrzymał powagę swoją i Rzeczypospolitej, buntowników zmusił do posłuszeństwa, a jeżeli przytem wszystkiem okazał się zbyt może łagodnym i wyrozumiałym, to kierował nim wzgląd na dobro miasta, będące klejnotem Rzeczypospolitej i na owe niebezpieczeństwa, które powstały tymczasem od północnego wschodu i południa.

Sejm roku 1578. — Ustanowienie trybunałów. — Stosunki z Turcyą. — Wojna moskiewska. Widzieliśmy już, jak na początku swego panowania król Stefan pragnął utrzymać dobre z Moskwą stosunki. Skłaniał go do tego i zawichrzony stan Rzeczypospolitej i obawa przed przymierzem moskiewsko-niemieckiem i niebezpieczeństwo napadów tatarskich. Nieustalony na tronie, ze wszystkich stron zagrożony, nie mógł Batory myśleć w tej chwili o podjęciu wojny, która była nieuniknioną, a którą jednak odłożyć wypadało na czas sposobniejszy, temporyzował więc i prowadził układy, o ile się zdaje, bez nadziei powodzenia. Jakoż zaraz na wstępie okazały się znaczne różnice. Iwan obraził się, że go król nie tytułował carem, że mu odmawiał tytułu księcia smoleńskiego i połockiego, że sam pisał się panem Inflant. Bojarowie moskiewscy w liście do senatorów litewskich wyrzucali po grubijańsku Stefanowi, że wstąpił „na królestwo z niewielkiego miejsca, gdyż z województwa siedmiogrodzkiego, a województwo siedmiogrodzkie było poddane węgierskiemu hospodarstwu“.[1]) Dotkliwej tej obrazy nie mógł znieść żaden panujący

[1]) Sprawy wojenne etc. Str. 57.

obojętnie a cóż dopiero król polski, monarcha z charakterem takim jak Batory. Więc chociaż sejm toruński, obradujący jeszcze przed nadejściem tego listu, postanowił był wysłać do Moskwy wielkich posłów, Kryskiego, wojewodę mazowieckiego, Mikołaja Sapiehę i Skumina, pisarza litewskiego, to ekspedycya ta z nieznanych nam bliżej powodów, opóźniła się tak bardzo, że przy końcu kwietnia roku 1577 posłowie z Polski nie wyjechali. Tymczasem car nie czekając na owe traktaty zamyślał o opanowaniu ziem inflanckich. Miał on u siebie brata króla duńskiego Magnusa, który posiadał biskupstwo ozelskie i piltyńskie. Tego ożenił ze swoją synowicą i użył do agitacyi w Inflantach. Magnus sprawił się dobrze, nawiązywał stosunki z Gdańszczanami,[1]) u Inflantczyków praktykował pilnie, strasząc potęgą moskiewską. Jakoż słabość sił polskich i brak pieniędzy, który stawał na przeszkodzie wykonaniu rozkazów królewskich, był wielki i dziwić się bardzo nie można, że szlachta inflancka mając w żywej pamięci jeszcze okrucieństwa moskiewskie, zaczęła się chwiać w wierności dla Rzeczypospolitej. Korzystając z tego wtargnął Magnus w lecie roku 1577, kiedy król był zajęty wojną gdańską, do Inflant, zdobył Kokenhaus zdradą, z pomocą chłopstwa, które do niego przystało także i Kiesię. Załogi polskie nieliczne, złożone z żołnierzy niepłatnych, nie były w stanie nieprzyjaciela powstrzymać, Niemcy zwątpili o obronie i odsieczy, książe kurlandzki lud swój wycofał za Dźwinę, cały kraj stał otworem najazdowi moskiewskiemu.[2]) Inflantczycy uradowani tym obrotem obwołali Magnusa królem. Ale teraz dopiero wystąpił Iwan Groźny z właściwymi swoimi zamiarami. Wojska moskiewskie obsadziły kilka zamków inflanckich, obchodząc się z mieszkańcami dość ludzko. W Aszeradzie jednak skończyła się ta uprzejmość, ludność męską wycięto w pień, kobiety oddano na pastwę Tatarom, car ruszył do Kiesi. Tu wyszedł naprzeciw niego Magnus, prosząc o litość dla oblężonych; Iwan oburzył się na tę śmiałość, obrzucił go obelgami i uderzył pięścią w twarz. Strach padł na mieszkańców miasta wielki, kobiety mając przed oczyma los Aszeradu, wolały śmierć niż hańbę, zaczęły się więc zabijać nawzajem, a drugie podłożywszy proch pod dom, gdzie się były zeszły, wysadziły budynek i siebie w powietrze. Na wiadomość o tych wypadkach kazał król zatrzymać się posłom jadącym do Moskwy w Wilnie i puścić wieść pomiędzy ludzi, że wojna z Gdańskiem już ukończona i że cała armia polska idzie na odsiecz Litwie i Inflantom. Niestety położenie było zupełnie inne, Stefan wiedział, że nawet po upokorzeniu Gdańszczan, co jeszcze cztery miesiące czasu zabrało, trzeba będzie i sejm odbyć i niebezpieczeństwo od Turków i Tatarów zażegnać i dopiero wtedy na Moskwę siły swe zwrócić. Szczególniej niepokoiły króla naprężone stosunki z Portą ottomańską. Położenie jego wobec tego mocarstwa było nadzwyczaj drażliwe. Jako wojewoda siedmiogrodzki podlegał Stefan rzeczywiście władzy sułtana, jego poparciu zawdzięczał poniekąd koronę polską i w całej Europie uchodził z tego powodu za przyjaciela Turków. Tego argumentu używała dyplomacya austryacka, aby króla zniesławić w oczach narodu polskiego i chrześcijaństwa. Utrzymywano więc, że Batory

[1]) Tamże str. 71.

[2]) Tamże, str. 88. List kniazia Połubińskiego.

z sułtanem ścisłe zawarł przymierze, że z Polski tak samo jak z Siedmiogrodu haracz płacić obiecał, że Rzeczpospolitą poddał pod władzę padyszacha. Błahe te i w gruncie niczem nieuzasadnione plotki rozchodziły się po wszystkich dworach europejskich i zaniepokoiły tak bardzo Stolicę apostolską, że Grzegorz XIII prędzej niż zamierzał uznał go królem polskim, aby tylko przeszkodzić możliwemu połączeniu Rzeczypospolitej z Portą ottomańską.[1]) Jasną było bowiem rzeczą, że Stefan, opuszczony od mocarstw chrześcijańskich, spotwarzony wobec Europy i zagrożony wojną niemiecką i moskiewską równocześnie, z konieczności będzie musiał szukać opieki padyszacha, dotychczasowego swego zwierzchnika. W rzeczywistości wyglądała owa przyjaźń turecka Stefana zupełnie inaczej niż sobie wyobrażano. Za czasów Solimana istniały istotnie pomiędzy Polską a Portą stosunki dość znośne. Utrzymywał je i następca jego Selim II, kierujący się radami ojcowskich powierników, ale po śmierci Selima, 12. grudnia 1574 roku, zmieniła się polityka turecka. Na tronie sułtańskim zasiadł Amurat III, młody 28-letni człowiek, o bladej cerze, zapadłych oczach i długiej rudej brodzie. Różnił on się wprawdzie od ojca Selima o tyle, że nie był tak jak on oddany pijaństwu, ale za to obdarzał zaufaniem swojem niegodnych pochlebców, łakomych zdzierców lub tonących w mistycyzmie poetów, a odtrącał doświadczonych mężów stanu, którzy w szkole Wielkiego Solimana wykształcili się i wzrośli. Miejsce wielkiego wezyra Sokollego zajęli też natychmiast ulubieńcy nowego monarchy, a razem z nimi zapanowały u bram Wysokiej Porty sprzedajność i ucisk, w wojsku pijaństwo i niesubordynacya. Amurat, zatopiony w rozkoszach seraju, mało dbał o skargi poddanych, lekceważył rady Sokolego, który aż do śmierci (1579 r.) piastował godność wezyra, lecz wpływ dawniejszy utracił, i ambasadorów mocarstw chrześcijańskich o tyle tylko cenił i poważał, o ile wymagały tego kosztowne podarunki, które mu od monarchów swoich przynosili. Pycha muzułmańska jednak zwykła była te dowody przyjaźni poczytywać za haracz, należący następcom proroka. Jakoż w podatkowych regestrach tureckich umieszczono Węgry i Rzeczpospolitą wenecką jako państwa, płacące daninę Wysokiej Porcie, na równi z Multanami, Wołoszczyzną, Siedmiogrodem i małą republiką raguzańską. Za przykładem padyszacha szli wielcy jego urzędnicy i baszowie ukraińnych sandżaków, prześcigający się w prześladowaniu i wyzywaniu chrześcijan. Baron Ungnad, poseł cesarski, musiał w 14 dni po odnowieniu przymierza z nowym sułtanem uczestniczyć w tryumfalnym pochodzie na cześć Amurata III i patrzeć, jak wnoszono w bramy seraju głowę Herborta Auersperga, który zginął świeżo w pogranicznej walce z begami bośniackimi. Tak szanowali Turcy posłów cesarskich, a cóż dopiero mówić o reprezentantach pomniejszych mocarstw, lub o dragomanach i urzędnikach poselskich. Ambasada w Konstantynopolu należała z tego powodu do najtrudniejszych misyj dyplomatycznych i rzadko można było znaleść w Polsce człowieka, któryby chętnie poselstwa tego się podejmował i z należytą godnością je odprawić zdołał. Najfatalniej odbijał się cały ten kierunek polityki tureckiej na pograniczu tatarskiem, bo jeżeli Tatarzy, w epoce najprzyjaźniejszych

[1]) List Kommendoniego w Rel. Nuncyusz. I, 292.

stosunków pomiędzy Portą a Rzecząpospolitą mało troszczyli się o traktaty, to po śmierci Selima II nie poczuwali się już do żadnych względem Polski obowiązków. Dowodził tego wyraźnie ów straszny napad w roku 1575, przypisywany powszechnie Henrykowi Walezemu. Takie stosunki zastał Batory i natychmiast po koronacyi wysłał do Konstantynopola Jana Sienieńskiego, kasztelana halickiego, aby jak to się działo zwyczajnie, odnowić przymierze za staraniem Andrzeja Taranowskiego w czasie bezkrólewia przydłużone. Ale zanim Sienieński uskutecznił dane sobie polecenie, zanim spisano akta dyplomatyczne, gdzie w VII. artykule zastrzeżone było poszanowanie granic polskich od Tatarów i zwrót szkód, zrządzonych napadem Perekopców, kiedy rabusie ci, korzystając z zamieszek gdańskich, ukazali się na Wołyniu i księżnę Katarzynę Ostrogską w Dubnie oblęgli. Oburzył się król bardzo na to jawne wiarołomstwo i natychmiast posłał ze skargą do Krymu Taranowskiego, wybornego znawcę stosunków wschodnich i doświadczonego dyplomatę, ale Taranowski został bez powodu uwięziony, jakby na wzgardę Stefanowi, którego nieprzyjaciele lennikiem Porty ottomańskiej nazywali. Stosunki wikłały się więc coraz bardziej; do kłopotów gdańskich, do zatargów inflanckich przybywała jeszcze burza od południa, najgroźniejsza ze wszystkich. Trzeba było wielkiej przezorności, aby ją zażegnać i nie zerwać nici, wiążącej słabo przyjaźń polsko-turecką. Na szczęście nie wiedziano w Konstantynopolu o tem, co się na dalekim działo Wołyniu i Sienieński nie miał potrzeby, tak jakby to było wypadało, zrywać negocyacyi z dywanem. Przymierze podpisano obustronnie 14. lipca 1577 roku, a król, ulegając konieczności, ratyfikował je 5. listopada i ograniczył się tylko do nowej skargi przeciw Tatarom, którą do bram Wysokiej Porty zaniósł w roku następnym Marek Sobieski, chorąży nadworny, ten sam, co pod Gdańskiem z Niemcami dokazywał i ku podziwieniu wojska całego w pełnej zbroi Wisłę przepłynął. Skarga przyszła w samą porę, bo w dywanie panowało już wielkie przeciw Polakom oburzenie z powodu spraw wołoskich. Na hospodarstwie wołoskiem zasiadał od roku 1574 Piotr albo Petryło, także Petraszkiem zwany, brat wojewody multańskiego, osadzony na województwie po śmierci Iwonii przez Turków. Był on może lepszym cokolwiek od swoich poprzedników sąsiadem, przynajmniej król Stefan uważał go za przyjaciela Rzeczypospolitej, ale z pod tej przyjaznej powłoki drapieżna ukazywała się natura. Kiedy bowiem po ucieczce Henryka Tatarzy zagony swoje aż pod Sieniawę zapuścili, a wojsko polskie następnie obciążonych łupem ścigało, schronili się oni pod mury chocimskiego zamku, którego załoga ogniem działowym hufce polskie odpędziła, a sam hospodar w nagrodę za tę usługę część łupów otrzymał. Otóż przeciw temu Petryle wystąpił w roku 1577 Kozak jakiś czy Wołoch, podług powszechnego mniemania brat przyrodni Iwonii, Iwan na imię, od olbrzymiej siły, że podkowy łamał, Podkową zwany. Ten postanowił opanować hospodarstwo wołoskie, a że pomiędzy Kozakami był znany, więc łatwo od nich pomoc otrzymał. Dopytał się do niego jakiś Kopycki, szlachcic litewski, który fortunę ojcowską zmarnowawszy, na Niżu między Kozakami szukał sławy i zdobyczy. Z tym złączył się Podkowa, zwerbował kilkuset Niżowców, udał się do wojewody

kijowskiego, księcia Konstantyna Ostrogskiego i do starosty barskiego i pokazawszy listy bojarów wołoskich, którzy go na tron zapraszali, żądał pomocy i wolnego przejścia dla swoich mołojców. Starosta odpowiedział mu, że bez zezwolenia królewskiego tego uczynić nie może i obiecał odnieść się w tej mierze do dworu. Podkowa tymczasem, nie czekając odpowiedzi, wtargnął z garstką Kozaków do wołoskiej ziemi i wojnę z Petryłą rozpoczął. Petryło chociaż miał i wojsko liczne i strzelby podostatkiem, zwątpił jakoś o sobie i zamiast uderzyć na przeciwnika, posłał czausza tureckiego do Jana z Sienna, który podtenczas właśnie wracał z Konstantynopola z przymierzem, oznajmiając mu o zamysłach Podkowy i grożąc gniewem sułtana. Kasztelan halicki pisał o tem zaraz do króla, ale zanim list doszedł, zanim komornik królewski przyjechał z rozkazem do urzędników ruskich, aby Podkowę hamowali, zanim hetman ruszył wojsko, już pretendent uszedł z Niemirowa, pobił Petryłę i w wilią św. Jędrzeja wszedł w tryumfie do Jass. Niedługo trwał ten tryumf, bo na rozkaz króla wsparł Krzysztof Batory Petryłę wojskiem siedmiogrodzkiem i wypędził Podkowę, poczem go Kozacy w Niemirowie wojewodzie bracławskiemu wydali. Otóż wiadomość o tych wypadkach wołoskich doszła do Konstantynopola jakoś przed przyjazdem Marka Sobieskiego i kiedy chorąży, stosownie do zlecenia swego zaczął się skarzyć na Tatarów, zażądał Sokoli z gniewem ukarania Kozaków. Poseł odjechał z niczem, a co gorsza, powiózł w zanadrzu listy od sułtana i Mehemeda baszy do króla, pełne wyrzutów, a nawet ubliżających dla majestatu monarszego wyrażeń. Przypominali bisurmanie Batoremu, że za ich staraniem uzyskał koronę polską, nazywali go niewdzięcznym i domagali się w tonie rozkazującym ukarania przykładnego Kozaków[1]). Odpowiedź ta tem przykrzejsze na królu sprawiła wrażenie, gdy właściwym celem misyi Sobieskiego było uzyskanie posiłków tatarskich na wojnę moskiewską. Podług dawniejszych paktów bowiem, dawali wprawdzie królowie polscy pewne podarunki co roku hanowi, ale zato mieli prawo wymagać poszanowania granic Rzeczypospolitej i pomocy przeciw każdemu nieprzyjacielowi Korony, z wyjątkiem sułtana tureckiego. Tatarzy tymczasem nietylko nie czynili zadość tym zobowiązaniom, ale nawet świeżo najechali granice Polski, działając, jak utrzymywał król, w porozumieniu z Iwanem Groźnym. Sobieski miał przeto żądać, aby sułtan hana upomniał i przymierza z Polską dotrzymać kazał. Zamiast tego przynosił on owe niefortunne listy, zapowiadające zerwanie stosunków przyjaznych z Portą. Zafrasowany tem król, wysłał natychmiast Krzysztofa Dzierżka do Konstantynopola z listem, w którym usprawiedliwiał się z uczynionych sobie zarzutów, przedstawiał sprawę w świetle właściwem i dowodził, że Kozaków ani wytępić, ani od napadów na państwo tureckie powstrzymać nie może. Pomimo tego listu jednak trwał sułtan w gniewie swoim dalej i żądał surowego ukarania Kozaków. Tak stały rzeczy przed sejmem roku 1578 i dziwić się nie można, że król, gdy Podkowę do Warszawy sprowadzono, „przyjął go niewdzięcznie, że kazał go zaraz do więzienia dać i okowy na nogi włożyć, a straż pilną nad nim mieć“.

[1]) A. Sokołowski: Kilka słów o tureckiej polityce Stefana Batorego.

Sejm zebrał się dnia 14. lutego w Warszawie, aby spełnić bardzo ważne zadania: Uchwalić wojnę moskiewską, dostarczyć potrzebnych na nią środków i uregulować wymiar sprawiedliwości. Ostatnia ta sprawa obchodziła szczególniej żywo i stan rycerski i możnowładztwo i duchownych i mieszczan zarówno.

Podług wyobrażeń średniowiecznych, które u nas w Polsce dłużej niż w innych krajach się utrzymały, był król źródłem wszelkiej sprawiedliwości i najwyższym sędzią. Wymiar sprawiedliwości uważano też za najważniejszą część władzy królewskiej. Monarcha, zaniedbujący ten obowiązek swój, narażał się na najostrzejszą krytykę, spotykał się z najcięższymi zarzutami. „Cóż to jest innego mówić — tak narzekała szlachta na sejmie roku 1553 — sądzić nie mogę, bronić nie mogę, jedno mówić, panować, a królować wam nie mogę“. W pierwszych czasach istnienia państwa było może tak rzeczywiście, król mógł podołać wtedy obowiązkom swoim jako najwyższy sędzia i naczelnik siły zbrojnej. W miarę jednak zmian, jakim stosunki społeczne ulegały i przy ciągłym wzroście zaludnienia stawał się ten rodzaj wymiaru sprawiedliwości i dla króla uciążliwym bardzo i dla poddanych niedogodnym. Chwytano się więc innych środków. Król przelewał swoją władzę sędziowską na delegatów i poruczał im rozstrzygnięcie pewnych spraw. Tak powstały w Polsce w drugiej połowie XIV. wieku t. zw. sądy komisarskie, wyręczające króla.[1]) Obok tego istniały sądy starościńskie i wiecowe. Starosta jako generalny pełnomocnik królewski, miał strzedz interesów panującego wobec władz autonomicznych, a od wyroków jego, podobnie jak i od wyroków przez króla wydawanych, nie było apelacyi. Przed ustanowieniem starostów, szczególniej w epoce podziałów skupiało się życie publiczne na wiecach. Książęta zwoływali w pewnych okresach czasu dygnitarzy i urzędników swoich i na tych zjazdach omawiali sprawy publiczne i rozstrzygali spory prawne. Instytucya wiecowa utrzymała się i później, z tą różnicą tylko, że odbywały się owe zjazdy coraz rzadziej w obecności panującego, a coraz częściej, wreszcie stale, pod przewodnictwem wojewody lub zastępcy jego, kasztelana najstarszego wiekiem, i miały charakter przeważnie sądowy. Wiek XV. przyniósł i pod tym względem ważne zmiany. Z jednej strony zaczęli dążyć królowie, mianowicie Kazimierz Jagiellończyk, do podniesienia władzy królewskiej i do scentralizowania rządów, z drugiej skierował się ruch szlachecki przeciw możnowładztwu i jego przeważnym wpływom na sprawy publiczne. Ucierpiało na tem najwięcej znaczenie sądów, bo jeżeli stan rycerski oddawna już znosił niechętnie jurysdykcyą starostów jako urzędników królewskich, to oburzał się jeszcze bardziej może na przewagę możnowładztwa w sądach wiecowych i komisarskich. Na wiecach zajmował pierwsze miejsce wojewoda, wyroki, które tam wydawano, miały wprost nazwę wyroków „wojewodzinych“, a sprawy sporne rozstrzygała nie ilość ale jakość głosów, gravitas personarum, non multitudo vocum. Duch równości szlacheckiej buntował się zatem przeciw tym wszystkim instancyom sądowym i dążył do przywrócenia dawnego porządku rzeczy, do oddania całego wymiaru sprawiedliwości w ręce króla. Uderzano tylokrotnie na sądy

[1]) Dr. Oswald Balzer: Geneza trybunału koronnego. Warszawa 1886.

starościńskie, zaczęto następnie dążyć do ograniczenia komisarskich, w r. 1505 postanowiono, że król może delegować komisarzy jedynie tylko do rozsądzania sporów granicznych między dobrami szlacheckiemi a królewskiemi. Równocześnie upada znaczenie sądów wiecowych, odbywają się one coraz rzadziej, szlachta protestuje przeciw nim, możnowładztwo usuwa się od udziału. Naturalnym skutkiem tych zmian jest rozszerzenie kompetencyi sądowej królewskiej. Należą do niej wszystkie sprawy kryminalne, gdzie zapaść może

Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, Hetman w. litew.

wyrok śmierci, infamii lub konfiskaty dóbr szlacheckich, procesy przeciw urzędnikom publicznym, sąd w kwestyach dotyczących osoby, zwierzchności i majątków królewskich, apelacya rozmaitego rodzaju, słowem cały szereg kontrowersyj niezmiernie ważnych i drażliwych. Mnożyły się one w miarę wzrostu państwa i rozwoju stosunków społecznych i stawały się coraz większym ciężarem dla króla i dla osób interesowanych. Sądy królewskie odbywały się bowiem na dworze króla i nie miały stale oznaczonych kadencyj. Później w wieku XVI. wymierzał król sprawiedliwość na sejmach; rozpoczynały się te sądy sejmowe szóstego dnia po otwarciu sesyi, a statut z r. 1538

wyznaczał na ten cel dwa dni w tygodniu: środę i piątek. Byłoto w wysokim stopniu niewygodne i uciążliwe. Interesowanego czekała najpierw podróż daleka i kosztowna, a następnie pobyt w miejscu, gdzie panował zazwyczaj ścisk, drożyzna niesłychana, gdzie trzeba było nieraz noc pod gołem niebem przepędzić i skąd wracało się często bez żadnego rezultatu, bo czas sejmowania krótko zamierzony, nie pozwalał królowi spraw wszystkich odsądzić. „Bodaj tam — woła Orzechowski w Quincunxie — drugi raz nie jeździć, ani na tych sejmach bywać! Azaż tam w czasu użyjesz albo sprawiedliwości, po którą jedziesz, dostaniesz? Utraciwszy ostatek tego, czegoć sąsiad nie wziął, płacząc i narzekając i Boga nakoniec przeklinając, do domu z sejmu tego jedziesz. A co się nędze nacierpisz, co się z prokuratorami nabiegasz, co się asesorom, referendarzom i odźwiernym ich nakłaniasz, to w niwecz!“

Do tych wszystkich utrapień, jakim podlegał skarżący i oskarżony, dodać jeszcze trzeba niesumienność prokuratorów (adwokatów), którzy kruczkami i fortelami sprawy najprostsze przewlekali i interesowanych wyzyskiwali. Rabulistyka tych kauzyperdów doszła wreszcie do tego stopnia, że hetman Tarnowski radził, aby prokuratorów piętnować dla odróżnienia ich od innych ludzi, a statut z roku 1559 wydał cały szereg surowych przepisów dla ograniczenia fortelów i wyzysków adwokackich. W takich stosunkach rosła ilość procesów niezałatwionych, a skargi na brak sprawiedliwości nie miały końca. Zygmunt August objąwszy tron po ojcu, zastał kilkanaście tysięcy procesów, które odsądzić należało i nic dziwnego, że przy najlepszej woli tej Syzyfowej pracy podołać nie mógł.

Reforma sądownictwa była zatem konieczną, podnoszono ją kilkakrotnie za panowania Zygmunta I, najsilniej i najwyraźniej w roku 1543, na sejmie roku 1552 powstał projekt utworzenia sądu z senatorów złożonego, dla odsądzenia zaległych spraw apelacyjnych, ale opozycya sejmików zmusiła króla do zaniechania tej myśli. Dopiero w roku 1563, po długich sporach ustanowiono sądy wojewódzkie, złożone z dygnitarzy, urzędników ziemskich i delegatów stanu rycerskiego, przyczem głosy wszystkich członków sądu jednakowe miały mieć znaczenie. Szlachta zwyciężyła w ten sposób, bo deputaci szlacheccy razem z urzędnikami ziemskimi mieli w sądach tego rodzaju stanowczą przewagę nad możnowładztwem. Nie była to jednak reforma gruntowna, taka jakiej się słusznie domagano, sądy wojewódzkie bowiem powołano do życia tylko czasowo, dla odsądzenia spraw zaległych. Na sejmie lubelskim w r. 1569 uczyniła więc szlachta nowy wniosek o organizacyi sądownictwa znowu bezskutecznie. Nastąpiło tymczasem bezkrólewie, a z niem razem podług wyobrażeń ówczesnych ustawała działalność sądów wszelkich i otwierało się rozległe pole dla nadużyć i swawoli. Aby temu zapobiedz, ustanowiono sądy nadzwyczajne, kapturowe, złożone z starostów i deputatów stanu rycerskiego, ale obok tego jęto się gorliwie dzieła reformy. Andrzej Wolan w piśmie „O wolności szlacheckiej“ przemawiał za utworzeniem jednego najwyższego sądu apelacyjnego i radził powołać do niego „kilku doktorów prawnych“, tak jak to się działo za granicą, we Francyi i w Niemczech. Stronnictwo szlacheckie nie w tym kierunku wprawdzie, ale stanowczo stanęło przy reformie

MIEJSKA W BYDGOSZCZY BIBLIOTEKA PUBLICZNA

i na sejmie koronacyjnym Henryka Walezego zażądało ustanowienia dwóch trybunałów, jednego dla Wielkopolski i Prus w Piotrkowie, drugiego dla Małopolski we Lwowie. Projekt natrafił na wielką opozycyą ze strony senatu, duchowieństwa i miast. Senatorowie byli ogółem przeciwni reformie w duchu szlacheckim, duchowieństwo nie chciało podlegać sądom złożonym wyłącznie z ludzi świeckich, miasta trzymały się sądów królewskich, jako bezstronniejszych, a i sam Henryk nie sprzyjał dalszemu ograniczeniu swojej władzy. Reforma nie przyszła więc do skutku, ale wszystkie stronnictwa mimoto uznawały jej potrzebę. Anarchiczne stosunki drugiego bezkrólewia dokuczyły srodze każdemu, sama opozycya na sejmie konwokacyjnym utyskiwała, że „sprawiedliwość z Polski wygnana i wyświecona“, przeciwnicy i zwolennicy reformy zbliżali się tak ku sobie, ale jeszcze zupełnie pogodzić się nie mogli. Tak mniej więcej stały sprawy, kiedy Stefan Batory objął rządy i kiedy szlachta na sejmie toruńskim gwałtownie domagała się organizacyi sądownictwa. Król nie był temu przeciwnym, ale widząc wielkie trudności i naglony wojną gdańską, nie chciał kwestyi rozstrzygać dorywczo. Powstało wskutek tego wielkie rozgoryczenie w izbie poselskiej i sejm zakończył się burzliwie, dla zamiarów królewskich bez żadnej korzyści.

Szlachta na sejmikach generalnych zażądała zwołania sejmu w celu przeprowadzenia reformy. Król upokorzeniem Gdańszczan na duchu podniesiony i zajęty cały przygotowaniami do wojny moskiewskiej, przychylił się do tego życzenia i spełnił je rzeczywiście na sejmie warszawskim. Z właściwym sobie taktem umiał on stanąć przed stronnictwami, wytargować u jednych i drugich wzajemne ustępstwa i zachować najważniejsze atrybucye władzy królewskiej. Najtrudniejszą kwestyą, spór pomiędzy duchowieństwem a stanem świeckim rozstrzygnął Zamoyski, podając projekt sądu mięszanego. Tak powstał trybunał koronny, złożony z deputatów, wybieranych przez sejmiki. Zgromadzał on się najpierw w Piotrkowie i sądził sprawy wielkopolskie od poniedziałku po św. Marcinie do niedzieli kwietniowej, poczem dla odsądzenia spraw małopolskich przenosił się do Lublina. Podlegała mu apelacya w sprawach cywilnych i karnych (t. zw. starościńskich, grodzkich) jakoteż sprawy o nadużycia przy wymiarze sprawiedliwości. Spory miejskie, fiskalne i kryminalne należeć miały tak jak dotąd do zakresu sądowniczej władzy królewskiej. Do spraw duchownych powoływano równą ilość sędziów świeckich i duchownych.

Instytucya trybunałów, zaprowadzona następnie także na Litwie (trybunał w Wilnie) i w województwach ukrainnych, bracławskiem, kijowskiem i wołyńskiem (trybunał w Łucku), jakkolwiek nie bezwzględnie doskonała, była jednak znacznym postępem na polu sądownictwa a w kierunku politycznym walnym zwycięstwem stanu szlacheckiego. Król, przeprowadzając w tej chwili reformę, której napróżno przez lat 30 z okładem się domagano, dowiódł raz jeszcze, że jest politykiem zręcznym i bystrym. Z zwyczajną sobie stanowczością przeciął on węzeł gordyjski, zyskał pomiędzy szlachtą niezmierną popularność i stał się odrazu panem sytuacyi. Sejm uchwalił podatek na wojnę moskiewską bardzo znaczny, na przeciąg dwóch lat: po złotemu z łanu, szos, podwójny z miast, pogłówne na żydów. Osobna komisya z senatorów wybrana

miała się zastanowić nad ilością żołnierzy i pieniędzy potrzebnych na tę ekspedycyą. Król, uwzględniając zasługi Zamoyskiego, dał mu wielką pieczęć, Jerzego Fryderyka, księcia na Anspachu, dopuścił do złożenia hołdu. Nie było to wprawdzie po myśli rycerstwa i senatorów, wzdragały się przeciw nowemu władcy stany pruskie, ale król raz danego słowa cofnąć już nie mógł, a i Anspach także umiał być wdzięcznym, w maju pojechał Żółkiewski do Poznania, aby odebrać tam od księcia drugą ratę z owych umówionych dawniej 200.000 złotych.

Po dokonaniu tylu trudności pozostawała królowi jeszcze jedna, bodaj czy nie największa, ubezpieczenie granic południowych Rzeczypospolitej od Turków i Tatarów, przedtem nie było można myśleć na dobre o wojnie moskiewskiej. Prowadząc zatem pozornie przez gońca swego Haraburdę układy z carem, który coraz to zuchwalej sobie poczynał i teraz już odstąpienia całych Inflant wymagał, pojechał Stefan z Warszawy do Lwowa, aby tu łatwiej spraw tatarskich i tureckich dopilnować. Wiadomości, jakie tam zastał, nie były pomyślne. Dzierżek powrócił z Konstantynopola z listem pełnym gróźb i „fukania“, z Bracławszczyzny i starostwa barskiego donoszono, że Tatarzy nad granicą się gromadzą. Król zafrasowany tem wszystkiem, nie widział innej drogi jak chwilowe ustępstwo. Wysłał więc do Krymu po przymierze z hanem Broniewskiego, czausza sułtańskiego, Achmeta, który wraz z Dzierżkiem przyjechał, wysłuchał łaskawie, a tymczasem gromadził pilnie żołnierzy i pieniądze. Lwów zaroił się od zaciężnych, gwar wojenny napełnił ulice miasta, a poseł turecki patrząc na te przygotowania, nabierał mimowoli innego wyobrażenia o królu i o potędze Rzeczypospolitej. Niepospolity znawca ludzi umiał Stefan rozbudzić zapał w narodzie i imponując nim Turkom, okazywał wyraźnie, że ustępuje nie z słabości lub obawy przed potęgą Porty ottomańskiej, lecz z przekonania i dla miłej zgody sąsiedzkiej. Najtrudniejsza sprawa była z Podkową. Miał on licznych pomiędzy szlachtą przyjaciół, którzy zagonową kierując się polityką, pragnęli go uratować a może i na hospodarstwie wołoskiem osadzić.

Jednym imponował zapewne ten mołojec olbrzymią swą siłą i rycerskim animuszem, drugich nęciły awanturnicze ku Dunajowi wyprawy i sława hospodarskich skarbów, inni nareszcie widzieli w Podkowie dziwną igraszkę losów, zasługującą raczej na współczucie niż na surową karę, a wszyscy razem oburzali się na wyzywający ton listów sułtańskich i niezwyczajną dotąd pychę bisurmanów, którzy królowi we własnem jego państwie zdawali się rozkazywać. Ale Stefan nie bawiąc się w uczuciową politykę i przewidując, do czego zuchwalstwo kozackie z czasem doprowadzić może, postąpił sobie tak, jak tego wymagał IX. artykuł przymierza z Amuratem zawartego i w obecności czausza tureckiego kazał ściąć Podkowę we Lwowie, na Niż zaś wysłał Jana Tarłę z Szczekarzowic, wojewodę lubelskiego i Mikołaja Sieniawskiego kasztelana kamienieckiego, aby winnych ukarali i na przyszłość tumultom podobnym zapobiegli. Czy ta surowość była prawdziwa czyli też pozorna tylko, rozstrzygnąć dziś trudno, to pewne jednak, że u dworu mówiono sobie na ucho, że „przecie nic Kozakom nie będzie“, a ci co tak tuszyli, znali widocznie

lepiej zamiary królewskie, skoro na wojnę moskiewską ruszyło wnet 500 mołojców pod dowództwem hetmana kozackiego, Jana Oryszowskiego. Do tego jednak ograniczyła się też owa domniemana organizacya kozaczyzny w czasach Stefana Batorego, a najlepszym dowodem na to jest milczenie Bielskiego, który mając dokładne informacye o Niżu od „stryjca“ swego Oryszowskiego, ani słowem nie wspomina o jakiejkolwiek reformie, chociaż kilkakrotnie sam potrzebę uorganizowania Kozaków z naciskiem podnosi. Na razie stało się więc zadość żądaniom Porty, ustanowienie hetmana niżowego mogło poha-

Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotką zwany)
Wojewoda wileński.

mować swawolę kozacką, królowi otwierała się droga do Połocka, Wielkich Łuk i Pskowa... Skoro tylko czausz Achmet powrócił z listami królewskimi do Konstantynopola, zmieniła natychmiast polityka turecka dotychczasową swą barwę i chociaż wezyr skarżył się jeszcze o najazdy kozackie, to równocześnie wyrażał się z uznaniem o zadośćuczynieniu królewskiem i wysłał czausza Sulejmana jako pośrednika pomiędzy Rzecząpospolitą i Tatarami do Krymu, „bo Wasza Królewska Mość — tak kończył list swój wezyr — jesteś jakoby pochodnią jaśniejącą naszego najpotężniejszego cesarza“. Pośrednictwo tureckie okazało się i potrzebne i pożyteczne, bo chytry Tatarzyn widząc, że się zanosi na wojnę moskiewską, pragnął o ile możności wyzyskać położenie.

Taranowski wysłany do Krymu dla ukończenia układów, powrócił w drugiej połowie lipca do Lwowa z Bieleckim, który jako siedmioletni syn włościański zabrany w jasyr, zbisurmanił się i na dworze hana używany był teraz do misyj dyplomatycznych w stosunkach z Polską; za nimi jechał czausz turecki. Bielecki „zły by pies“ twarde stawił warunki: domagał się upominków zwyczajnych, a do niczego ze swojej strony zobowiązać się nie chciał, ba, oświadczał wprost, że han z Moskiewskim przyjaźń zachować pragnie i służyć mu tam, gdzie każe za dobrą zapłatą. Na tej podstawie zaczęto targi, ale bisurmanin o żadnych ustępstwach słyszeć nie chciał, dopiero czausz rozstrzygnął spór w ten sposób, że upominki, dla hana przeznaczone, zabrał i miał mu je wydać dopiero wtedy, gdy potwierdzi przymierze z Polską na dawniejszych warunkach, zaręczając przytem gardłem swojem, że rzecz całą w Krymie przeprowadzi i Tatarów do wojny z Moskwą skłoni.

Zaledwie odprawiono posłów tureckich i tatarskich, kiedy stanęli przed królem posłańcy Kozaków niżowych, ofiarując usługi swoje na wojnę moskiewską. Król przyjął wdzięcznie to poselstwo, kazał zaciężnym mołojcom złożyć przysięgę przed starostą czerkaskim i zabronił im surowo wszelkich wycieczek do Wołoch i w ziemie tureckie. Upłynął na tem czas do końca września; pięć miesięcy już bawił król we Lwowie, a jednak z powrotem do Krakowa nie spieszyło mu się wcale, 1. października wreszcie przyjechał do Przemyśla, 6. był w Pilznie, polował potem w Niepołomicach i dopiero w połowie miesiąca przybył do Krakowa. Powolność ta, niezgodna zresztą z usposobieniem królewskiem, miała polityczne znaczenie. Car, zatrzymawszy gońca polskiego Haraburdę, wysłał wielkich posłów swoich, aby traktować o pokój. Stefan zajęty cały przygotowaniami do wojny, o układach nie myślał, pragnął więc posłuchanie posłów moskiewskich odwlec jak najdłużej, aż do zimy, aby nieprzyjacielowi odjąć tym sposobem możność wojowania dalszego krajów litewskich i inflanckich. Zamiar ten niezupełnie powiódł się królowi, bo Moskwa działając podstępnie, najechała mimoto Inflanty, ale dnia 21. października poniosła znaczną klęskę pod murami Kiesi, gdzie Andrzej Sapieha i Maciej Dembiński dziewięciu bojarów wzięli do niewoli i 6000 nieprzyjaciół trupem położyli. Wiadomość o tem zwycięstwie, która nadeszła do Krakowa wkrótce po powrocie królewskim, pokrzepiła Stefana i utwierdziła go w postanowieniu co do wojny moskiewskiej. Śmielej mógł on już teraz rozprawić się z posłami carskimi, jakoż na pierwszem posłuchaniu zaraz rozbiły się układy o śmieszne i wygórowane żądania ceremonialne Moskali, o „głupią ich hardość“ jak król następnie się wyrażał. Poselstwo odjechało z niczem, zima zapadła tymczasem. Stefan zwołał konwokacyą senatorów na dzień 1. grudnia do Krakowa, gdzie ostateczne zapadły uchwały. Wojna była nieunikniona, posłano więc po piechotę węgierską, Rozrażowskiemu i Ernestowi Wajerowi polecono werbować Niemców, a w kraju zbierano pilnie piechotę t. zw, „łanową“, którą przezorny król dekretem, wydanym we Lwowie dnia 10. lipca 1578, uorganizować nakazał. Z 20 łanów w dobrach królewskich wybierano jednego żołnierza, który uwolniony od wszelkich danin i powinności miał się w czasie orzeczonym stawić „do monstrowania z rusznicą dobrze narządzoną, z szablą, sie-

kierką, w sukni swej, barwy takiej, jaką mu rotmistrz albo porucznik jego naznaczy“.[1]) Byłto zawiązek wojska stałego, pierwszy krok do urządzenia armii polskiej na wzór europejski i nowemu systemowi wojowania właściwy. Przygotowawszy tak bacznie wszystko i oddawszy buławę hetmańską Mikołajowi Mieleckiemu, wojewodzie podolskiemu, który był szwagrem Zamoyskiego, czekał Stefan niecierpliwie pory stosownej do rozpoczęcia wojny. Ale zima w tym roku nadzwyczajnie długo, bo aż do połowy czerwca trwająca, opóźniła znacznie ruchy wojska. Król w lutym już był w Grodnie, na początku marca w Wilnie, kazał lać działa, zbudować most na łodziach, który za wojskiem wożono, aby przeprawy na licznych rzekach ułatwić, wreszcie dnia 26. czerwca napisał ów słynny list do cara, gdzie przedstawiwszy w sposób treściwy przebieg stosunków pomiędzy Polską a Moskwą od czasów Zygmunta Augusta, wyrzucał Iwanowi jego okrucieństwa i przewrotność i szczerze i otwarcie wzywał go, aby się opamiętał. „Jeśli chcesz z nami pokoju — były słowa listu tego — tedy myśl o pokoju niewątpliwym, ani fortelnym, nie z krzywdą i szkodą naszą, ale o takim, któryby był ze wszelką uczciwością majestatu naszego, z nagrodą ukrzywdzenia państw i poddanych naszych, a pewnym, szczerym i sprawiedliwym“. Upomnienia te nie odniosły oczywiście żadnego skutku, król zresztą nie oczekiwał nawet odpowiedzi, natychmiast potem wyjechał z Wilna do Świru, odbył tam przegląd wojska, wydał manifest wojenny i złożył radę, na której postanowiono wbrew tym, co do Inflant obrócić się chcieli, uderzyć na Połock i Psków i nękając tak nieprzyjaciela w własnym jego kraju, ziemie inflanckie od najazdu oswobodzić. Byłato myśl króla samego i ona wreszcie zwyciężyła. Z Świru ruszono więc na Dzisnę, gdzie książe kurlandzki hołd składał i gdzie popis wojska się odbył, ku Połockowi. Droga była haniebna z powodu deszczu i rozmokłej gliniastej ziemi, trzeba było przedzierać się przez lasy gęste, które tu od czasu zdobycia Połocka za Zygmunta Augusta na miejscu pól urodzajnych powstały, trzeba było z największym trudem wieźć wielkie oblężnicze działa, lgnące w błocie co chwila. Naprzód szła więc piechota, siekierkami wycinając drzewa i torując drogę całemu wojsku, a po tym zaimprowizowanym i chrustami wymoszczonym gościńcu przedzierała się zwolna cała armia, lotne oddziały Kozaków śledziły nieprzyjaciela, a partyzant słynny Filon Kmita, starosta orszański, pilnował od strony Dniepru granic litewskich. Ale ostrożność ta jakkolwiek potrzebna okazała się w tym wypadku zbyteczną, nieprzyjaciel bowiem nie pokazał się nigdzie i wojsko bez przeszkody stanęło wreszcie u celu uciążliwego pochodu pod murami Połocka.

Miasto to położone przy ujściu Połoty do Dźwiny, składało się z trzech części, właściwą sadybą ludności było Zapołocie, na drugiej stronie rzeczki Połoty leżały dwa zamki, jeden wyższy, gdzie się znajdował kościół murowany św. Zofii, drugi niższy, zamkiem strzelców zwany, oba były połączone mostem i obwarowane mocno dębowymi dylami. Dość łatwo przyszło zdobyć Zapołocie, bo po krótko trwającem ostrzeliwaniu z dział, mieszkańcy sami

[1]) Sprawy wojenne etc. str. 118.

uciekli na zamki a miasto oddali na pastwę płomieni. Otworzył się więc w ten sposób przystęp do grodu wyższego, usypano okopy, ustawiono działa i rozpoczęto bombardowanie. Skutek nie odpowiedział jednak oczekiwaniom, drewniane warownie urągały pociskom artyleryi polskiej. Wtedy użył król kul ognistych, które pożar wzniecić miały i rzeczywiście w kilku miejscach wznieciły, ale i ten środek zawiódł dla nieustających deszczów i ostrożności załogi moskiewskiej. Tak upłynęło kilka tygodni, tymczasem wojsku polskiemu zaczął dokuczać niedostatek. Nieprzyjaciel rozłożony po okolicznych zamkach, w Turowli, Sokole i Suszy, przecinał dowozy, z Litwy dla trudnych dróg i wielkiego oddalenia nie można było sprowadzać żywności, konie padały gromadami z głodu i złej wody, drożyzna w obozie panowała taka, że za beczkę owsa po 10 złotych płacono. Radzili zatem niektórzy królowi szturm walny do twierdzy przypuścić, ale Batory, uważając przystęp trudny bardzo, bo zamek na stromej leżał górze, wolał innych użyć środków. Kazał zatem ogłosić, że kto podpali mury tak, iżby cała twierdza od ognia tego się zajęła, wielką otrzyma nagrodę. Zachęcona tą obietnicą piechota i czeladź obozowa, rzuciła się z pochodniami i łuczywami smolnemi do parkanów zamkowych pomimo gęstej strzelby i kłód wielkich, jakie na śmiałków Moskwa z góry waliła. Kilkakrotnie wszczynał się pożar, który Moskwa z poświęceniem gasiła spuszczając się na sznurach z murów, gdzie śmierć niechybna prawie każdego czekała bądź od kuli, bądź od ognia samego, wreszcie przemogli nasi. Kotlarczyk pewien ze Lwowa, niosąc na sobie kocioł pełen węgla rozżarzonego i sporą wiązkę łuczywa smolnego, dostał się szczęśliwie pod basztę narożną i tu rozniecił ogień taki, iż go już Moskale ugasić nie mogli. A że właśnie dzień ten, 29. sierpnia, był pogodny, więc płomienie ogarnęły cały zamek i wszczął się dla oblężonych prawdziwie dzień sądny. Z szańców polskich ryknęły działa, grad pocisków płynął jak fala nieustannie, łamiąc z trzaskiem parkany i zmiatając gaszących, a z drugiej strony zamykało odwrót całe wojsko, „rządnie uszykowane“, wśród niego sam król senatorami otoczony i przypatrujący się temu strasznemu widowisku. Moskwa dotąd uparta, zachwiała się i z blanków spuściła dziesięciu parlamentarzy, aby o kapitulacyą traktować. Nie powiodły się traktaty, bo rozżarci i chciwi zdobyczy hajducy węgierscy pięciu posłów rozsiekali. Jęli więc oblężeni bronić się na nowo, ale ognia ugasić już nie mogli, gdy tymczasem piechota polska i węgierska coraz bliżej do murów się podmykała i dalszą obronę niemożliwą czyniła. Radzono więc znowu o poddaniu zamku, ale wojewodowie moskiewscy i władycy z obawy przed carem, słyszeć o tem nie chcieli i zamierzali prochem całą twierdzę w powietrze wysadzić. Załoga i pospólstwo przeszkodziło temu, układy nawiązano na nowo i dnia 31. sierpnia poddał się Połock królowi. Znaleziono w zamku dział 56, hakownic kilkadziesiąt, strzelby innego rodzaju podostatkiem, kul i prochów ilość wielką. Załodze pozostawiono do woli, pozostać pod panowaniem polskiem lub wrócić do Moskwy, jakoż większa część wybrała drugą drogę, „chociaż tak rozumieli, że tam mieli iść jako na pewną śmierć“.

Osiągnąwszy tak główny cel wyprawy, wysłał Batory wojsko na zdobycie okolicznych zamków, co bez wielkich trudności się powiodło. Kozacy

ubiegli Turowlę, hetman Mielecki wziął po krótkiem oblężeniu Sokół. Z nadchodzącą jesienią król, oddawszy zamek połocki pod straż wojewody Dorohostajskiego, ruszył na sejm, zwołany do Warszawy na dzień 23. listopada. W Wilnie przyjmowano go z wielkiemi uroczystościami, a uradowany monarcha nie szczędził łask i zaszczytów zasłużonym w wojnie ostatniej Litwinom. Największą korzyść odnieśli Radziwiłłowie: Krzysztof otrzymał buławę polną i podkanclerstwo, Mikołaj województwo nowogrodzkie, Jerzy, syn Mikołaja Czarnego, gorliwy katolik, został biskupem wileńskim, Mikołaj Krzysztof, Sierotką zwany, marszałkiem wielkim litewskim, Jan Albert marszałkiem nadwornym. Wakujące po śmierci zawiedzionego w nadziejach swoich Chodkiewicza starostwo żmudzkie, dostało się Janowi Kiszce. Zasłużony przy oblężeniu Połocka Kasper Bekiesz uzyskał indygienat, ale niebawnie umarł w Wilnie, pochowany na górze od niego górą Bekieszową zwanej.

Uporządkowawszy tak sprawy litewskie pojechał Stefan na sejm, gdzie zastał umysły wzburzone i dość znaczne niezadowolenie. Wobec świeżych tryumfów połockich, wobec podniosłych słów, jakiemi Januszewski witał wracającego z wyprawy monarchę, dziwnem może się nam wydać owo niezadowolenie mas szlacheckich. Ale nie pierwszy i nie ostatni Stefan Batory doznał w Polsce podobnego losu. Pokątna agitacya, pobudzana osobistą lub stronniczą niechęcią podburzała już oddawna łatwowierne umysły. Podczas podróży królewskiej do Lwowa puszczono wieści w obieg, że Stefan Polskę opuścić zamierza; ścięcie Podkowy, o którym pieśni drukowano, ciało jego po śmierci malowano,[1]) zachwiało jeszcze bardziej popularnością królewską, a niechęć Zborowskich i zawód, jakiego doznał Chodkiewicz, oczekujący przyobiecanej sobie niegdyś buławy litewskiej, szerzyły w sferach możnowładczych żal i rozgoryczenie. Piotr Zborowski, wojewoda krakowski, Andrzej, marszałek, dąsali się i krzywo patrzyli na pomijanie własne i brata, Jana kasztelana gnieźnieńskiego. „Jużci widzę, mówił pierwszy z nich, żeć próżno, fartuchem ci się przyjdzie opasać, a doma siedzieć“, a kasztelan gnieźnieński groził, że zabiłby tego, który go „o niełaskę królewską przyprawuje“.[2])

Wypadki podczas połockiej wyprawy nie były w stanie żalów tych ukoić. W obozie wszczęły się spory i niesnaski pomiędzy Węgrami i Polakami, Mielecki bronił swoich, Bekiesz ujmował się za Węgrami, stąd kwasy i niechęć powstała tak wielka, że hetman od następnej wyprawy wymówił się pomimo nalegań królewskich. Ostatecznie wyniesienie Radziwiłłów, spokrewnionych z Zamoyskim i Mieleckim, musiało najwięcej królowi zaszkodzić. Rzucono się na niego zjadliwie; mówiono, że przez podkanclerzego Wolskiego stara się w Rzymie o rozwód z królową, że paktów poprzysiężonych nie dotrzymuje, że Bekieszowi, cudzoziemcowi, nadał starostwo lanckorońskie, odebrane Łaskiemu, że hołd od księcia kurlandzkiego przyjął nie na sejmie, jak tego prawo wymagało. Nawet zamiary wojenne króla ostrej podlegały krytyce. Zgryźliwy książe Sierotka, niepomny świeżo doświadczonych dobrodziejstw,

[1]) Sprawy wojenne str. 115.
[2]) Tamże str. 134.

mniemał, aby „Smoleńskowi dać pokój, bo to już dawnością wyszło, lepiejby pokój z Moskwą, a jeśli łeb świerzbi, ono Tatarzyn z Turkiem..." [1])

Z takiem usposobieniem narodu spotkał się Stefan na sejmie warszawskim i uwiadomiony o wszystkiem, postanowił natychmiast zamiary opozycyi pokrzyżować.

Z jego polecenia zatem zabrał głos na pierwszej sesyi Zamoyski, wykazał z jakim trudem odniósł król znaczne nad nieprzyjacielem korzyści, dowodził, że koniecznem jest wojnę, tak chlubnie rozpoczętą, prowadzić dalej, a zbijając zarzuty, z rozmaitych stron podnoszone, odwoływał się do patryotyzmu malkontentów. „Znajdują się tacy — mówił — którzy mniemają, że ich dotąd przyzwoicie nie oceniono. Otóż podaje im się pole tak do wykazania swej wartości, jakoteż do zasłużenia się królowi, a niech nikt się nie spodziewa, ażeby przez potwarze, opatrzne wytężenia, zaburzające Rzeczpospolitą, miał pozyskać nagrody, które się cnocie i pożytecznym przymiotom należą". Słowa te stanowcze odniosły skutek pożądany; posłowie podnieśli wprawdzie zarzuty i skargi rozmaite, ale to dało tylko sposobność królowi do zupełnego usprawiedliwienia się wobec narodu. Wykazano więc od tronu, że wszystkie te podejrzenia żadnej nie miały podstawy i król odniósł zupełne zwycięstwo, sejm uchwalił pobory takie jak w roku przeszłym, starostowie ofiarowali podwójną kwartę. Uradowany tym obrotem rzeczy Stefan oddał naczelne dowództwo nad wojskiem Zamoyskiemu, a sam pospieszył natychmiast do Grodna, aby przygotować wszystko do nowej wyprawy. Podobnie jak w roku poprzednim, tak i teraz posłano po zaciągi węgierskie do Siedmiogrodu, pomnożono i zorganizowano lepiej piechotę łanową, w Wilnie, pod okiem królewskiem naprawiano działa i lano nowe.

Przygotowania te nie uszły oczywiście bacznej uwagi Iwana Groźnego. Już od początku rządów Batorego w Polsce czuł on instynktownie niemal grożące Moskwie z tej strony niebezpieczeństwo i dokładał wszelkich starań ku temu, aby Rzeczpospolitą na zachodzie zatrudnić. Słał więc posłów do cesarza Maksymiliana II, łudził Stolicę apostolską ponownie nadzieją powrotu na łono kościoła katolickiego, porozumiewał się z Gdańszczanami, knuł przez Magnusa intrygi w Inflantach, wszystko bezskutecznie. Cesarz Maksymilian bowiem umarł w ciągu układów, papież Grzegorz XIII uznał po pewnem wahaniu królem polskim Stefana, a uśmierzenie buntu gdańskiego i pokój z Turcyą usunęły ostatnie przeszkody do wojny moskiewskiej. Raz jeszcze próbował wielki kniaź szczęścia na dworze cesarza Rudolfa II, ale monarcha ten, z natury nie przedsiębiorczy, nie dał się porwać ponętnym obietnicom moskiewskiej dyplomacyi. Wtedy zwrócili się posłowie carscy do Olbrachta Łaskiego, bawiącego w Wiedniu, pan wojewoda jednak, acz srodze na króla rozgniewany, odtrącił z oburzeniem pokusy tego rodzaju i moskiewskich dyplomatów za drzwi wyprosił. Niezrażony tem niepowodzeniem rzucił się Iwan na Litwę i tu wśród magnatów tamtejszych znalazł narzędzie dogodne dla siebie, w osobie Hrehorego Ościka, który we wsi swojej Kowarsku, o dwie mile od Wilna położonej,

[1]) Archiwum Radziwiłłów str. 19.

monetę fałszywą kował i o jakichś zdradzieckich zamiarach myślał. Zdradzony przez sługę swego, Mirowskiego, wobec cyrografów i listów, jakie u niego znaleziono w szkatule, nie mógł Ościk winy swojej zaprzeczyć, przekonany o zbrodnię dał gardło razem z żydem jakimś, który rolę pośrednika w nieczystej tej sprawie odgrywał.

Wtedy kiedy Iwan te układy i intrygi nawiązywał i prowadził, miał jeszcze nadzieję albo wojnę zażegnać, albotež wyprawę polską udaremnić. System obrony moskiewski polegał na trudnościach, jakie sama przyroda nieprzyjacielowi stawiała. Pas pograniczny od Litwy opustoszono po zdobyciu Połocka umyślnie, na miejscu pól uprawnych i siół zaludnionych rozciągały się teraz gęste lasy, a ziemia z natury bagnista i gliniasta, przeszkadzała ruchom wojska, obciążonego taborem i liczną artyleryą. Jeżeli zaś nieprzyjaciel, jakto się stało podczas wyprawy połockiej, wszystkie te trudności przezwyciężył, czekał go w kraju bezludnym głód, niedostatek i brak paszy dla koni, czekały go złośliwe jakieś choroby, a wreszcie dżdżysta pora jesienna i sroga potem zima północna, która wszelkim działaniom kres położyć musiała. Bystry umysł Batorego odgadł te fortele moskiewskie i przełożywszy wyprawę na letnie miesiące, zapewnił powodzenie orężowi polskiemu.

Przestraszony tem Iwan liczył jeszcze na niechęć szlachty, na opozycyą, podnoszącą się przeciw królowi, a gdy i to zawiodło, rzucił się znowu na drogę dyplomatyczną i raz po razu słał gońców do Stefana, domagając się wielkiego poselstwa, któreby umocowane było do układów pokojowych. Król, jak można się było zresztą spodziewać, zezwolić na to nie chciał i nie mógł, gotów był jednak na nalegania senatorów wystawić glejt dla wielkich posłów moskiewskich. Nadaremnie zacięty w swoim uporze kniaź starał się przekonać Stefana, Batory nie dał się obałamucić i wręczywszy glej potrzebny gońcowi carskiemu Naszczokinowi w Wilnie, pospieszył sam do wojska, które zbierało się w Szczydutach pod Czaśnikami.

Pierwszą czynnością króla było tu oznaczyć cel i kierunek wyprawy. Na radzie wojennej, zwołanej z tego powodu, odzywały się liczne głosy za tem, aby iść na Smoleńsk, Stefan postanowił jednak dobywać Wielkich Łuk, mniemał bowiem i słusznie, że udając się z wojskiem pod Smoleńsk, odkryłby zupełnie granice inflanckie i otworzyłby nieprzyjacielowi dostęp do Wilna, oddalonego zaledwie o dwadzieścia kilka mil od pogranicznych zamków moskiewskich. Wyprawa na Wielkie Łuki przedstawiała nadto jeszcze i tę korzyść, że nieprzyjaciela nękało się w własnym jego kraju, że Dźwiną i Uświatą można było spławiać i żywność dla wojska i działa i przybory wojenne i że tą drogą postępując, godziło się w serce Moskwy i przygotowywało podstawę do dalszych działań w kierunku Pskowa i Nowogrodu Wielkiego, które to miasta były „jako filary ziemi moskiewskiej“. Racye te potwierdzali i wojewodowie carscy, wzięci w Połocku i dlatego król nie bacząc już na zdania przeciwne, obrócił się ku Witebskowi. Siły, jakiemi w tej wyprawie rozporządzał, nie dadzą się dokładnie obliczyć, to pewna jednak, że wojsko było dobrze zorganizowane i jak najlepszym ożywione duchem. Odznaczały się przedewszystkiem pułki Zamoyskiego, które kanclerz z powodu

żałoby po żonie swojej, Krystynie Radziwiłłównie, w czarne przybrał mundury, hufiec stary Jana Zborowskiego, kasztelana gnieźnieńskiego, ten sam co pod Tczewem świetne nad Gdańszczanami odniósł zwycięstwo, piechota polska pod Mikołajem Mrowieckim, węgierska pod Karolem Istwanem, dalej pułki litewskie, któremi dowodzili obaj Radziwiłłowie, hetman Krzysztof i wojewoda wileński Mikołaj, roty polskie zaciężne pod dowództwem Janusza Zbaraskiego, wojewody bracławskiego, wreszcie lekka jazda z kozakami, hufiec Wołmińskiego, kasztelana połockiego. Działa prowadzono Dźwiną pod strażą piechoty węgierskiej.

Z Witebska otwierała się już droga do Wielkich Łuk, a na przeszkodzie stały tylko dwa zamki nieprzyjacielskie Wieliż i Uświata, które pierwej zająć wypadało. Ważnym szczególniej był Wieliż, położony nad Dźwiną, na górze „niemałej“, obwarowany palisadami z grubych okrąglaków, obsadzony liczną załogą i artyleryą. Zdobycie tej twierdzy polecił król Zamoyskiemu. Przedsięwzięcie samo w sobie nie było trudne, ale przystęp do zamku wielce uciążliwy. Trzeba było siekierą torować sobie drogę przez lasy olbrzymie, co chwila stawiać mosty, błota nieprzebyte chróstem wypełniać. Trzy dni trwała mozolna ta przeprawa, 3. sierpnia wreszcie dotarło wojsko polskie do Wieliża, nazajutrz nadeszły działa, a 6. zrana rozpoczęło się oblężenie. Od ognia artyleryi polskiej zajęły się wnet baszty drewniane i kobylenia, pożar ogarnął warownie i Moskwa, która z początku z szyderstwem odrzuciła wezwanie do poddania się, jęła „prosić dla Boga“, aby zamku nie palono. Jakoż dnia 7. sierpnia podpisano kapitulacyą; załoga wśród płaczu wielkiego odeszła pod strażą piechoty Wybranowskiego, a w dwa dni potem oglądał król Stefan zdobytą twierdzę i uznał ją równie obronną jak Połock.

Po zdobyciu Wieliża i Uświaty, dnia 16. sierpnia, ruszyła cała armia polska ku Wielkim Łukom. W przedniej straży szedł Łukasz Działyński, piechota Wybranowskiego torowała drogę i budowała mosty, ale pomimo wielkich jeszcze trudności było położenie wojska lepsze niż przedtem, kraj bowiem był osiadły, pola uprawne i żywność obfitsza. Dnia 27. sierpnia połączyły się oba wojska, królewskie i hetmańskie, pod Wielkiemi Łukami, król odbył przegląd wszystkich sił zbrojnych i natychmiast szańce sypać rozkazał. Tymczasem Iwan słał gońca za gońcem zapowiadając przybycie wielkich posłów i domagając się, aby Batory słuchał ich podług dawnego zwyczaju w stolicy litewskiej w Wilnie. Król odpowiadał na podstępne te żądania otwarcie i jasno, wyrzucał carowi krzywdy, wyrządzone Rzeczypospolitej, zabór Pskowa, Nowogrodu i Wielkich Łuk, oświadczył jednak, że każdej chwili gotów poselstwa wysłuchać. Nie trafność argumentów tych zapewne lecz świeża klęska skłoniła wielkiego kniazia do większej wyrozumiałości i gdy tylko obóz polski pod Wielkiemi Łukami stanął, nadjechali wielcy posłowie moskiewscy. Król udzielił im publicznie posłuchania z całą okazałością i wystawą.

W namiocie królewskim zgromadzili się więc wszyscy senatorowie obecni w obozie, przed namiotem moc rotmistrzów i poruczników, wokoło niezliczona ilość ciekawych, piechota wszystka w dwa rzędy ustawiona tworzyła ulicę, którą Moskali przed majestat królewski prowadzono. Poselstwo było także

i liczne i świetne dosyć. Naprzód szło trzech posłów w złotogłowy i altembasy przybranych, w sukniach i kołpakach gęsto perłami naszytych, około nich osób około dwudziestu znaczniejszych w złotogłowie, wreszcie „hałastra“, pięćset koni wynosząca. Skoro przyszli do króla „zjęli kołpaczki i czołem uderzyli ręką się ziemie podparłszy, potem się przeżegnali“, a kasztelan trocki kazał im iść do pocałowania ręki królewskiej. Jak wspaniałą i poważną była ceremonia, tak marnym skutek całego poselstwa; pełnomocnicy carscy bowiem zaśpiewali dawną piosnkę, aby król do Wilna powrócił i w Wilnie ich słuchał, na co od tronu odpowiedziano krótko: „jakoście z niczem przyjechali, tak też z niczem odjedziecie“. Zaczem król, nie bawiąc się dłużej, rozpoczął oblężenie. Piechota węgierska i polska usypała wnet szańce, ustawiła działa i 1. września wszczął się ogień na całej linii. Ale parkany, grubo darnią obłożone, urągały pociskom armatnim, trzeba więc było ziemię ową usunąć i palisady zapalić, król kazał ogłosić, że kto ogień wznieci, znaczną otrzyma nagrodę: cudzoziemiec 400 talarów, szlachcic dobre opatrzenie, nie szlachcic i szlachectwo i opatrzenie. Rzucili się zatem gromadnie i Węgrzy i Polacy, sama piechota, pod parkany i nie zważając na srogą strzelbę, którą Moskwa śmiałków raziła, jęli motykami darń odrywać i łuczywo smolne pod palisady podkładać. Heroizm szturmujących szedł tu w zawody z rozpaczliwem męstwem Moskali. Około stu hajduków królewskich skoczyło pod „blankowanie“ i przykrywszy się tu ziemią z parkanów odartą, zaczęło kopać pilnie w celu podsadzenia prochów pod mury, Moskwa z wałów chciała ich odstrzeliwać, a gdy to nie poszło, staczała kamienie ogromne i lała wrzącą wodę, ale bezskutecznie. Hajducy w największych opałach wytrwali bez pomocy i pożywienia dzień cały, poczem w nocy żywność im przyniesiono i prochy założyć kazano. Gdzieindziej Stanisław Brzeźnicki, syn mieszczanina z Stężycy, Jakóba Orpiszka, nieuzbrojony prawie, z dzidą w ręku, dopadłszy parkanu po dwakroć, wśród gradu kul nieprzyjacielskich, darń z murów motyką zrywał i pożar wzniecił tak gwałtowny, że Moskwa ugasić go już nie zdołała, za co na sejmie r. 1581 otrzymał nobilitacyą i nazwisko Wielkołucki.[1]) Patrzyli na to wszystko posłowie moskiewscy w obozie jeszcze będący i losem oblężonych poruszeni, a więcej może energią królewską przestraszeni, zgłosili się z prośbą o traktaty. Król delegował w tym celu dziewięciu senatorów, którzy dnia 2. września dzień cały na układach bezowocnych strawili. Moskale odstępowali Wieliża, Uświaty i Jezierzyszcza, zrzekali się Rygi i kilkunastu zameczków inflanckich z prawej strony Dźwiny, ale żądali zarazem, aby Polacy zaniechali dalszego oblężenia Wielkich Łuk i wojsko wycofali z granic moskiewskich. Na takich podstawach niepodobna było rokować dalej, odprawiono więc posłów z niczem, a tymczasem udało się piechocie basztę największą zapalić tak, że ogień objął blanki całe. Z namiotu hetmańskiego zatrąbiono na trwogę, całe wojsko stanęło w szyku bojowym okrążając ze wszystkich stron palący się zamek, wyjechał sam król otoczony dworem swoim i harcerzami, a noc ciemna zalegająca

[1]) Źródła dziejowe XI, str. 184. Paprocki: Herby etc. 279, podaje inny dokument tego rodzaju, dotyczący włościanina Kaspra Wielocha, co z tego powodu już wydaje się nieprawdopodobnem, że obaj jedno i to samo nazwisko Wielkołucki otrzymać mieli.

okolicę podnosiła jeszcze bardziej grozę zniszczenia. Nad ranem zaczęła Moskwa prosić, aby zaniechano strzelania, z wałów zeszło pięciu wojewodów i twierdza poddała się na łaskę królowi.

Zdobycie Wielkich Łuk miało być kresem wyprawy, król, bacząc na spóźnioną porę i powstające w wojsku choroby, nie myślał o dalszych przedsięwzięciach, troszczył się tylko o obwarowanie wielkołuckiego zamku i wypłoszenie nieprzyjaciela z przyległych zameczków. W tym celu wyprawił Dorohostajskiego na zdobycie Newla, a Janusza Zbaraskiego na odparcie odsieczy, która miała zdążać pod Wielkie Łuki. Jedno i drugie powiodło się szczęśliwie: Zbaraski poraził Moskali pod Toropcem, Nawel poddał się wojsku litewskiemu w ostatnich dniach września, a Radziwiłł zajął Jezierzyszcze. Z okolicznych zamków pozostawało tak w rękach Moskali tylko Zawołocie, twierdza bardzo mocna, bo „jako kaczka prawie na wodzie siedząca“. Tam wysłał król Zamoyskiego, który szczęśliwie trudności wszelkie pokonał, na tratwach i łodziach piechotę przez jezioro zamek oblewające przeprawił i warownie zapalić kazał, poczem Moskwa tak jak w Wielkich Łukach natychmiast się poddała. Obsadziwszy zamek załogą i postraszywszy podjazdami nieprzyjacielską załogę w niedalekiej Opoczce, zabrał się hetman do odwrotu, dążąc za królem ku Grodnu. Stefan bowiem, przechorowawszy się cokolwiek w Połocku na jakąś złośliwą febrę, która się pomiędzy wojskiem zagęściła, zabawił dni kilka w Wilnie, a stamtąd puścił się na Grodno ku Warszawie, gdzie w styczniu roku 1581 miał się zebrać sejm niezmiernie ważny dla dalszych planów królewskich. Chodziło oczywiście nie o co innego, jak o poparcie wojny moskiewskiej, o uchwalenie potrzebnych na ten cel poborów, naród polski miał sam stanowić o dalszych swoich losach, miał wydać sąd o śmiałej i energicznej polityce króla i rozstrzygnąć, do kogo należeć będzie panowanie nad wschodem Europy. Wybór nie był trudnym. Dotychczasowe rządy Stefana Batorego podniosły Rzeczpospolitą z upadku, zapewniły jej pokój wewnętrzny i powagę niezwykłą u sąsiadów. Upokorzenie Moskwy i dwukrotne nad nią zwycięstwa podniosły urok potęgi polskiej szczególniej na wschodzie. Ustały groźne i z roku na rok ponawiające się napady Tatarów, złagodniał ton listów sułtańskich, Wysoka Porta uwzględniła skwapliwie wszelkie życzenia królewskie w sprawach wołoskich i siedmiogrodzkich. Posiadanie Siedmiogrodu było niezmiernie pożądane i dla rodziny Batorych i dla Polski. Dzierząc województwo erdelskie, jak je Węgrzy nazywali wtedy i nazywają dotąd, mógł Stefan o wiele łatwiej trzymać na wodzy naddunajskich hospodarów, mógł każdej chwili wzniecać zamieszki w północnych Węgrzech, podległych berłu cesarskiemu, a co ważniejsza, w razie wojny z Portą paraliżować ruch armii tureckiej, dążącej ku Dniestrowi i przecinać komunikacyą jej z sercem państwa, Konstantynopolem. Oprócz tego była ta ziemia siedmiogrodzka, podług zdania współczesnych, krainą „nieocenioną“, mlekiem i miodem płynącą. Posiadała bowiem kopalnie kruszców wszelkiego rodzaju: złota i srebra, żelaza i miedzi, cyny i ołowiu, rtęci, siarki i soli, a oprócz tego niezliczoną ilość bydła, obfite lasy, bujne pastwiska i nadzwyczaj urodzajną ziemię. Z tych zasobów siedmiogrodzkiej swojej oj-

czyzny pociągał król Stefan pieniądze i ludzi na wyprawy moskiewskie, a czerpał tak obficie, że po wyprawie wielkołuckiej środków już nie starczyło. W każdym razie jednak pomoc była znaczna i łatwo pojąć, że niechętnie patrzyli na to Turcy, jeszcze niechętniej może dwór cesarski. Im bardziej bowiem wzrastała potęga Rzeczypospolitej, tem niezawiślejszym stawał się wobec Porty wojewoda siedmiogrodzki i tem groźniejszym współzawodnikiem dworu austryackiego na Węgrzech. Zdawano sobie z tego wybornie sprawę w Wiedniu, a poseł Rudolfa II w Konstantynopolu Sinzendorf pracował systematycznie i wytrwale nad podkopaniem panowania Batorych w Siedmiogrodzie. Użył on do tego dawnych malkontentów, stronników Bekiesza, który niegdyś z Stefanem walczył o władzę wojewodzińską i w marcu roku 1580 otrzymał sułtan uniżoną suplikę sześciu ziemian siedmiogrodzkich, w której podpisani narzekają gorzko na ucisk ze strony Batorych i polecają się opiece i łasce padyszacha. W kilka miesięcy potem otrzymuje podobny memoryał basza budyński, Oweis, ulubieniec sułtana i posyła go natychmiast swemu panu. Równocześnie z owymi krzykami boleści uciskanych wrzekomo Siedmiogrodzian pojawia się kandydat do mitry transylwańskiej w osobie Bazylego, wojewody multańskiego. Przebiegły ten władca naddunajskich Wołochów, który uważa za najwyższe szczęście swoje, jeżeli może ucałować proch „błogosławionych nóg padyszacha“ i wyznaje, że żyje po to tylko, aby służyć Muzułmanom i płacić podatki do skarbu sułtańskiego, zwrócił się także do bram Wysokiej Porty jako protektor siedmiogrodzkich malkontentów i uroniwszy łzę boleści nad losem prześladowanych, ofiarował się wyzwolić ich z pod jarzma Batorych, zostać wojewodą siedmiogrodzkim i do skarbu cesarskiego płacić 50.000 dukatów a nie 15.000 jak dotychczasowi wojewodowie. Ręka w rękę z temi podziemnemi intrygami w sprawie siedmiogrodzkiej szły zmiany w sąsiedniej Wołoszczyźnie. Na miejsce Piotra, przyjaznego Batorym hospodara, osadzono tam Sasa Jankułę, który z Rueberem, dowódzcą cesarskim, w górnych Węgrzech jak najserdeczniejsze utrzymywał stosunki i listy z Polski do Konstantynopola posyłane przejmował. W tak krytycznej chwili umarł Krzysztof Batory i ziemia siedmiogrodzka ujrzała się bez pana. Zdawało się przeto, że nadszedł wreszcie czas stosowny do wykonania tych planów, które oddawna już układali malkontenci siedmiogrodzcy na współkę z wojewodą multańskim i z ambasadorem cesarskim w Konstantynopolu. Nadspodziewanie jednak wzięły rzeczy inny obrót i król Stefan odniósł znowu stanowcze nad przeciwnikami swymi zwycięstwo. Wysłany w poselstwie do Carogrodu Tomasz Drohojowski, starosta przemyski, przywiózł stamtąd uprzejmą nader odpowiedź sułtana i przyrzeczenie uroczyste, że wszystkie żądania królewskie będą spełnione. Jakoż dotrzymali Turcy słowa, na województwie siedmiogrodzkiem zasiadł spokojnie bratanek Stefana, a syn Krzysztofa, Zygmunt Batory, podczas gdy Jankuła w kilka miesięcy potem z obawy przed Turkami ujechał z hospodarstwa wołoskiego i schwytany przez Mikołaja Jazłowieckiego, starostę śniatyńskiego, dał gardło we Lwowie.

Jeżeli tak najpotężniejsze wtedy na świecie mocarstwo zmieniło wobec Batorego stanowczo swoją dotychczasową taktykę, jeżeli sułtan nie wahał się dawnego swego lennika uprzejmymi obsyłać listami i życzenia jego wypełniać,

to mniej możni przeciwnicy Stefana szukali wprost już względów królewskich i łaski. Do najzawziętszych i bardzo szkodliwych należał niewątpliwie znany nam Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki. Trzymał on się wytrwale stronnictwa rakuskiego, z warownej Lanckorony zagrażał niedawno jeszcze stolicy, aż go siłą stamtąd wypędzić musiano, potem schronił się do dzierżaw austryackich, po śmierci cesarza Maksymiliana II bawił przez jakiś czas w Pradze, jeździł do Florencyi i do Rzymu, wreszcie powrócił do Wiednia, aby tu spraw swoich pilnować i upominać się o sumy w skarbie cesarskim zaległe. Obecność Łaskiego w krajach austryackich nie mogła być obojętną dla króla Stefana, który znał burzliwy umysł wojewody i awanturniczą jego przedsiębiorczość. Zrujnowany materyalnie i rozżalony odebraniem Lanckorony, gotów on był ważyć się na wszystko, szczególniej wtedy, gdy król zajęty wojną moskiewską, na krańcach państwa przebywał. A że w kraju nie brakło burzliwych żywiołów, które bądźto z obrażonej ambicyi, bądź z niechęci ku nowemu panu, skłonne były do gwałtów wszelkiego rodzaju, więc każdy zamach Łaskiego mógł znaleść poparcie i Rzeczpospolitą na wielkie narazić niebezpieczeństwa. Wszak niedawno banita, Samuel Zborowski, zebrawszy kupę zbrojnych, gotował najazd na Wołoszczyznę, a następnie zajechał dobra, należące do wdowy po Spytku Jordanie z Zakliczyna, kasztelanie krakowskim, aż król kasztelanowi kamienieckiemu, Mikołajowi Sieniawskiemu, hamować go kazał i szlachtę ziemi halickiej i trębowelskiej przeciw zuchwalcowi ruszyć polecił.[1]) Czyż takiej inwazyi nie mógł próbować także Łaski, który o hospodarstwie mołdawskiem marzył jeszcze przed kilku laty, a miał więcej rozwagi i znaczenia niż infamis w rodzaju Samuela? Trzeba go więc było uczynić nieszkodliwym i zmusić do powrotu. W tym celu, skoro tylko stosunki z Turcyą nieco się naprawiły, doniósł król sułtanowi, że Łaski, bawiąc na dworze cesarskim, stara się o hospodarstwo mołdawskie, że Rudolf II przyrzekł mu pomoc i że wojewoda w krajach austryackich zbiera wojsko, aby wtargnąć do Wołoch i dawniejsze zamiary swoje urzeczywistnić. Ile prawdy, a ile przesady było w tych poufnych zwierzeniach, trudno dziś dociec, to pewna jednak, że sułtan się zaniepokoił i z ministrami swoimi rzecz całą rozważać począł. Zawezwano agenta mołdawskiego, który podejrzenia o Łaskim potwierdził, poczem wezyr zwrócił się wprost do Sinzendorfa z wyrzutami. Przestraszony ambasador doniósł o wszystkiem do Wiednia, a cesarz wystosował bezzwłocznie pilny list do arcyksięcia Ernesta, jako gubernatora Węgier, gdzie Łaski dobra posiadał, żądając wydalenia wojewody. Tak stała sprawa Łaskiego w pierwszych miesiącach roku 1580, kiedy Stefan Batory do wielkołuckiej gotował się wyprawy, a wątpić nie można, że w myśl owego pisma cesarskiego, które i nadworna rada wojenna wiedeńska osobnym memoryałem poparła, dano wojewodzie do zrozumienia, jak niewygodnym jest dla rządu cesarskiego gościem. Nie wypadało przeto Łaskiemu nic innego, jak tylko szukać przebaczenia u króla Stefana. Przewidywał on to już snadź dawniej i w roku 1578 w Rzymie będąc, używał pośrednictwa marszałka wielkiego

[1]) Pawiński: Źródła dziejowe etc. t. XI, str. 82—85.

koronnego Opalińskiego, ale zagraniczne podróże i mołdawskie plany opóźniły wykonanie zbawiennych zamiarów. Obecnie naglony przez urzędników cesarskich, zdecydował się wojewoda na krok stanowczy i gdy król opromieniony wielkołuckiem zwycięstwem wracał do kraju, zabiegł mu Łaski drogę w Liwie,[1])

Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny.

ofiarując poddanie swoje i usługi. Stefan przyjął go łaskawie, chociaż nie bez lekkiego wyrzutu: „Gdybyś Waszmość wcześniej był przybył, byłoby lepiej“, powiedział, ale pozostawił go przy województwie sieradzkiem i pan Olbracht

[1]) List J. Piotrowskiego w dodatku u Zakrzewskiego: Stefan Batory. Przegląd historyi jego i panowania. Kraków 1887. Str. 155.

pojechał na sejm jako jeden z najwierniejszych i najżarliwszych stronników królewskich.

Sejm w r. 1581. — Wyprawa pskowska. — Pokój zapolski w r. 1582. Sejm [1]) warszawski zebrał się w czasie oznaczonym, dnia 23. stycznia, ale w usposobieniu niezupełnie dla zamiarów królewskich przychylnem. Szlachcie przykrzyła się wojna, trwająca już dwa lata, przykrzyły się szczególniej pobory znaczne, na sejmikach mniemano, że król powinien raczej zwrócić uwagę swoją na sprawy wewnętrzne, poprzestając na dotychczasowych zwycięstwach. Ogółem znać było pewne rozdrażnienie, podniecane przez niechętnych królowi agitatorów. Wiedział o tem Stefan, wiedziała i Moskwa; Iwan Groźny budował na opozycyi szlacheckiej swoje nadzieje. Zdawało mu się, że sejm rozerwie i króla do przyjęcia warunków mniej korzystnych zmusi. Batory, jak zwykle w działaniu swojem stanowczy, postawił rzecz odrazu jasno. Kiedy na pierwszej sesyi posłowie szli do całowania ręki królewskiej, którą „król każdemu ochotnie i łaskawie z czapki zdjęciem podawał“, i jeden z malkontentów Ponętowski, cześnik łęczycki, do tronu się zbliżył, król „ani ręki jemu podać, ani czapki przed nim zdjąć nie chciał“, a w propozycyi sejmowej wyraźnie o Grajewskim i Ościku, znoszącym się z Moskwą, wspomnieć kanclerzowi kazał. Potem przedstawiwszy świetne powodzenia oręża polskiego w ostatniej wyprawie, wykazywał dowodnie konieczność dalszego prowadzenia wojny, bo „nieprzyjaciel ten póty pokój dzierży, póki mu potrzeba“, należy mu zatem „nietylko pierze wyrwać, żeby nie porosły, ale barki strącić, trzeba go zrazić od morza; stamtąd może być posilony praktykami, apparatu bellico, rzemieślniki, trzeba mu te barki odciąć i do końca przyprzeć“.

Senatorowie pytani o zdanie najpierw, zgadzali się jednomyślnie na poparcie dalsze wojny, kasztelan wileński pragnął poboru na lat 5, marszałek wielki koronny Opaliński gotów był zadowolnić się trzyletniemi podatkami. Inaczej izba poselska. I ona wprawdzie uznawała potrzebę kontynuowania wojny moskiewskiej, ale przez usta Świętosława Orzelskiego, sędziego kaliskiego, autora cennych pamiętników, uchwaliła tylko zwykły pobór na rok jeden, tłómacząc się brakiem instrukcyj. Od tronu odpowiedział kanclerz Zamoyski krótko i jasno. Zwrócił uwagę posłów na traktaty, jakie właśnie rozpoczęto z pełnomocnikami carskimi, którzy do Warszawy przybyli, na niedogodne warunki, podawane przez posłów moskiewskich, na trudności przyszłej wyprawy, na ofiary, jakie król poniósł dla dobra Rzeczypospolitej. „Cóż WMoście jeszcze po nim chcecie? — wołał. — Chcecie podobno, aby skórę z siebie złupić dał. Uczyniłby i to, gdyby się alchimia taka wynaleść mogła, coby z niej pieniądze kuto“. W podobnym duchu przemawiał i sam król, upominając do pośpiechu, przytakiwali mu senatorowie. Olbracht Łaski mniemał, że gdy większość województw na dwuletni pobór zezwolić gotowa, inne województwa większości poddać się powinny, wojewoda podolski, Mielecki, przyznawał wprawdzie, że „poseł jest jako list, który się więcej domyśleć nie może

[1]) Akta sejmu walnego warszawskiego in anno 1581 u X. Polkowskiego (Sprawy wojenne etc.) str. 285—339.

jedno co weń wpiszą“, ale z drugiej strony sądził, że kto posyła posły cum limitata potestate (z ograniczoną instrukcyą) ten „mógłby to z mniejszym kosztem przez list a pacholę sprawić“.

Poza tem wszystkiem jednak kryły się widocznie intrygi i osobiste urazy. Mielecki z przekąsem odzywał się o hetmaństwie Zamoyskiego, tak że kanclerz od podziękowania, jakie mu w izbie poselskiej składać zamierzano, zręcznie się wymówił, aby tylko rozżalonego wojewody podolskiego nie drażnić. Ponętowski zajmował czas swojemi skargami i za instancyą izby poselskiej odzyskał łaskę królewską, usprawiedliwszy się z zarzutów, a Sędziwój Czarnkowski, stary jurgieltnik cesarski, jątrzył umysły wywodami o domniemanych krzywdach swoich. Dworak przebiegły i zręczny pozyskał on sobie niegdyś zaufanie nieograniczone poczciwych Jagiellonek, prowadził sprawy Zofii księżnej brunświckiej w Polsce, swatał królewnę Annę, wkradł się nareszcie w łaskę podejrzliwego Zygmunta Augusta i opanowawszy zupełnie prymasa Uchańskiego, sprawił tyle, że arcybiskup jego, acz świeckiego człowieka, przybrał za koadyutora za zezwoleniem królewskiem. Przywiązanie do rodziny jagiellońskiej nie przeszkadzało Czarnkowskiemu wcale w ścisłych z domem austryackim stosunkach, miłując szczególniej królewny, miłował niemniej i Habsburgów, którzy mu afekt ten brzęczącą odpłacali monetą. Podczas bezkrólewia po ucieczce Walezyusza należał Czarnkowski oczywiście do najgorliwszych stronników rakuskiej kandydatury, jeździł wraz z innymi w poselstwie do cesarza Maksymiliana II, a gdy rzeczy w Polsce inny wzięły obrót, pozostał w krajach austryackich aż do roku 1577, mając tam, jak sam wyznawał na sejmie, „dosyć uczciwe opatrzenie“. Batory nie miał żadnego powodu oszczędzać takiego przeciwnika, postąpił więc z nim surowo, odebrał mu referendarstwo i oddał je Mikołajowi Firlejowi, kasztelanowi bieckiemu, starostwem płockiem wynagrodził zasługi wojewody mazowieckiego, Stanisława Kryskiego. Przestraszony tem Czarnkowski upokorzył się i powrócił do kraju, ale urzędów postradanych odzyskać nie mógł. Jedyną nadzieją jego była jeszcze owa koadyutorya gnieźnieńska i tu jednak spotkał go zawód. Uchański, pogodzony z królem, nie mógł oczywiście myśleć o tem, aby godność prymasa Rzeczypospolitej oddawać w ręce zagorzałego cezaryana i wywołańca niejako, pozbawionego urzędów. Zresztą pomiędzy duchowieństwem polskiem było tylu godnych i zasłużonych prałatów, że wyniesienie człowieka świeckiego na katedrę gnieźnieńską niczem chyba usprawiedliwić się nie dało. Pierwsze miejsce pomiędzy biskupami ówczesnymi zajmował niewątpliwie Karnkowski, gorliwy w rzeczach wiary i zasłużony około króla Stefana. Jego więc przeznaczył prymas na swego następcę i jemu chciał oddać koadyutoryę za zgodą królewską. Ale Czarnkowski wpływami austryackimi krzyżował zamiary Uchańskiego w Rzymie i tem do reszty naraził sobie króla. Kiedy podczas wielkołuckiej wyprawy prymas umarł, mianował Batory arcybiskupem Karnkowskiego, na co i kapituła chętnie się zgodziła, a chociaż papież trudności robił, postawił król jednak na swojem, wręcz oświadczając Karnkowskiemu, „że albo mnie nie być królem polskim albo tobie nie arcybiskupem gnieźnieńskim“. Tak utracił Czarnkowski naraz wszystko i teraz na sejmie trudnił króla i izbę

poselską nieuzasadnionemi swojemi skargami. Najpierw więc żalił się na jakiegoś Marcyana Czarkowskiego, że niesłusznie Czarnkowskim się zowie, co wojewoda podolski „refutował“, prosząc, „aby Jego Królewska Mość nie raczył brać przed się“, następnie zaś w długiej mowie tłumaczył się ze swoich postępków i błagał senatorów o „miłościwą i łaskawą przymówkę do Jego Królewskiej Mości“. Wywody te nie sprawiły spodziewanego wrażenia. Od tronu odpowiedziano Czarnkowskiemu, że król „nie może wydrzeć tego, co komu dał i że nigdy nie zamykał nikomu drogi do łaski swej“. Zaledwie ta sprawa ucichła, kiedy posłowie wnieśli inną, żądając mianowicie, aby królowa, której na oprawę Mazowsze wyznaczono, zwróciła wszystkie przywileje na dobra, aby kwartę z majętności swoich płaciła i aby połowę uposażenia całego ponosili panowie litewscy, a gdy na to kanclerz przychylnie odpowiedział, odbyła się sesya poufna. W sali pozostali tylko senatorowie i posłowie, poczem marszałek poselski Stanisław Przyjemski oświadczył, że posłowie zgodzili się wprawdzie na dwuletni pobór, ale że po uiszczeniu tych podatków „na żaden dalej przywieść się nie dadzą“ i że wyznaczyli dwóch szafarzów, żeby to co zostanie z poborów „na przyszły rok pański do skarbu schowali“.

Że zaś w Rzeczypospolitej jest rozerwanie pomiędzy stanami i przykład odstraszający ostatnich elekcyj, niemałe wznieca na przyszłość obawy, prosili posłowie, aby król to wszystko opatrzeć raczył. Tak skończył się ten sejm dnia 8. marca po myśli królewskiej wprawdzie, ale egoizm szlachecki dowiódł raz jeszcze, że krótkowidząca polityka sejmowa nawet w chwili najświetniejszych tryumfów nie jest w stanie ani poświęcić interesów stanowych dla dobra Rzeczypospolitej, ani pojąć znaczenia tej wojny, która miała właściwie rozstrzygnąć dalsze losy Polski. Uchwalony przez sejm pobór dwuletni nie mógł wystarczyć na opędzenie kosztów dalekiej wyprawy, pieniądze z podatków wpływały do skarbu leniwie, Litwa, ponosząca główny ciężar wojny, była prawie zupełnie z środków wyczerpana. Król przewidując te trudności, starał się wcześnie już niedostatkowi zaradzić; wziął więc od kurfirszta saskiego na zastaw klejnotów 50.000 złotych, od księcia pruskiego otrzymał 30.000, za granicą opowiadano sobie, że pożyczył znaczną sumę w Lubece, długi zaciągnięte oceniano przesadnie na miliony.[1]) Przyszłość niedaleka dowiodła, że przezorny Stefan działał trafnie. Wyprawa pskowska, najdalsza i najtrudniejsza ze wszystkich, wymagała nadzwyczajnych wysileń. To też król w powrocie z pod Wielkich Łuk przygotowywał wojsko i pieniądze, piechotę łanową, która tak dzielnie się sprawiała, wybierać i pomnażać kazał, do Siedmiogrodu słał po zaciągi nowe, przez Farensbacha werbował Szkotów, a na sejmie upominał wszystkich, aby „na tę potrzebę Rzeczypospolitej z Jego Królewską Mością jechali, ni pracy ani kosztu za ojczyznę nie żałowali, gdyż Jego Królewska Mość i gardła swego nie litowałby“. Natychmiast też po skończeniu sejmu pospieszył sam do Grodna, Zamoyskiemu zleciwszy organizacyą pułków polskich. W Grodnie czekał go goniec carski z uwiadomieniem, że wielcy posłowie jadą od Iwana z korzystnymi bardzo warunkami i z prośbą, aby

[1]) Pierling: Bathory et Possevino. Paris 1887, p. 80.

król wojska nie gromadził. Nadzieja pokoju okazała się jednak i tym razem płonną. Iwan dodawał jeszcze kilka zamków w Inflantach wraz z Połockiem, żądając natomiast zwrotu innych zdobyczy, król trwał przy dawniejszych warunkach a wymagał nadto jeszcze zapłacenia kosztów wojennych w kwocie 400.000 dukatów. Z tem odprawiono posłów moskiewskich, z którymi pojechał Krzysztof Dzierżek po odpowiedź carską. Tymczasem król ruszył sam do Dzisny a stamtąd do Połocka, rozważając po drodze z senatorami cel zamierzonej wyprawy.[1]) Zdania były tak jak poprzednio różne: jedni chcieli zdobywać Nowogród, inni Psków, król oświadczył się za oblęganiem Pskowa, który był bliższym i dostępniejszym dla komunikacyi wodnej na rzece Wielice. W tym kierunku więc zwróciło się całe wojsko; prawe skrzydło zajmowali Litwini i hufce nadworne, lewe opierało się o rzekę Wielikę, przodem szedł Zamoyski na zdobycie Ostrowa, jedynego zamku moskiewskiego, który bronił przystęp do Pskowa; chorągwie lekkie wysłał król nad Dniepr, ku Dorohobużowi, aby nieprzyjacielowi wstręt czyniły i zajęły następnie stanowisko pod Chełmem dla osłony armii Psków oblęgającej. Buławę hetmańską oddał Stefan Zamoyskiemu dnia 11. sierpnia 1581 roku w Worońcu.[2]) Rozporządziwszy tak wszystko przezornie i rozumnie, zdążył król dnia 22. sierpnia, po zdobyciu Ostrowa, który się poddał dniem przedtem, pod Psków. Stolica dawnej, potężnej rzeczypospolitej, ogromem swoim budząca ogólne podziwienie (X. Piotrowski porównuje Psków z Paryżem), leżała u zlewu dwóch rzek Pskowej i Wielikiej, w okolicy wesołej, wśród pagórków pokrytych jałowcem i licznych monasterów, rozrzuconych malowniczo po sąsiednich polach. Miasto właściwe, podzielone na trzy części, otaczały mury, stare wprawdzie, ale silne, wzmocnione licznemi basztami, które wraz z wysterczającemi kopułami cerkiew nadawały grodowi pozór wspaniały i poważny zarazem. Twierdza była opatrzona liczną załogą pod dowództwem czterech wojewodów; najzdolniejszy z nich i najzręczniejszy, Jan Szujski, kierował obroną. W takich warunkach nie było oblężenie rzeczą łatwą, tem bardziej, gdy przy robieniu podkopów natrafiono na grunt skalisty, a rozległość miasta nie pozwalała odciąć oblężonym wszelkich związków na zewnątrz. Raz po razu też usiłowali Moskale dostać się do miasta z żywnością i posiłkami, w nocy z 15. na 16. września przemknęły się szczęśliwie dwie łodzie, odtąd jednak podwojono czujność ze strony polskiej, zamknięto rzekę drzewem, spiętem łańcuchami i pierwszy znaczniejszy transport wpadł w ręce nadbrzeżnych straży. Kiedy się to działo z jednej strony miasta, z drugiej usypano szańce, zatoczono działa i dnia 7. września rozpoczęto bombardowanie. Dziewiętnaście armat grało od świtu do nocy, a gdy w murach dwa wyłomy powstały, uderzono dnia 8. września do szturmu. Węgrzy z Polakami idąc w zawody, opanowali dwie obok siebie położone baszty, ale tu dopiero odkrył się im widok niespodziewany, zejście bowiem z murów i wież wysokich było niepodobne, a z dołu ćma Moskwy raziła szturmujących gradem kul i kamieni. Szturm nie powiódł się więc,

[1]) List do Kromera, Relacye Nuncyuszów I, 340.

[2]) Dziennik X. Piotrowskiego u Kojałowicza: Dniewnik pośledniaho pochodu etc. St. Petersburg 1867.

oblężeni tryumfowali i ich położenie jednak nie było wesołe, podczas bowiem gdy do obozu polskiego nowe nadciągały chorągwie, miasto znikąd nie otrzymywało pomocy, głód i niedostatek dokuczał Moskalom, a lekkie hufce polskie pod dowództwem Krzysztofa Radziwiłła szerzyły na mil kilkadziesiąt wokoło spustoszenia, docierając aż do Starzycy, gdzie car schronił się z rodziną swoją i w bezsilnym gniewie z okien zamku spoglądał na łuny pożarów. Więcej niż kiedykolwiek tęsknił on też za pokojem i teraz dopiero naprawdę podjął układy, które z takim uporem przewlekał i do których z bizantyńską iście przebiegłością użył pośrednictwa Stolicy apostolskiej.

Już podczas wielkołuckiej wyprawy, kiedy wszystkie usiłowania, aby Batorego odwieść od dalszej wojny zawiodły, zdecydował się Iwan na krok stanowczy. Dnia 6. września[1]) 1580 roku wyruszył z Moskwy Iwan Tomasz Szewrygin, jako goniec carski z listami do cesarza Rudolfa II i do papieża Grzegorza XIII. Jednemu i drugiemu przedstawiał wielki kniaź, że Stefan w przymierzu z Turkami zostaje, że wojuje Moskwę z zemsty za przyjaźń z cesarzem Maksymilianem II i za popieranie kandydatury arcyksięcia Ernesta w Polsce. Wzywał zatem Rudolfa II, aby zawarł z nim sojusz przeciw Muzułmanom, aby starał się wciągnąć do tej koalicyi papieża i aby w tym celu polecił Szewrygina kuryi rzymskiej; od Grzegorza XIII zaś żądał, aby zakazał królowi polskiemu związków z Turkami i jeżeli to uzna za stosowne, wysłał posłów do Moskwy dla zawarcia potrójnego przeciw Osmanom przymierza. W Rzymie, dokąd Szewrygin przybył dopiero w lutym w roku 1581, wywołało poselstwo moskiewskie i radość wielką i zdziwienie. Pomimo doznanych już dawniej zawodów nie porzuciła Stolica apostolska nigdy ulubionej swej myśli połączenia kościoła wschodniego z zachodnim, a nuncyusz papieski w Polsce, Caligari, czynił starania, aby za pośrednictwem króla Stefana nakłonić cara do przyjęcia katolicyzmu i do uznania zwierzchności papieskiej. Marzenia te, polegające na zupełnej nieznajomości stosunków moskiewskich, nie odniosły oczywiście żadnego skutku i nie ma też śladu, aby tak trzeźwy polityk jak Batory dał się uwieść ponętnym na pozór a w gruncie płonnym zupełnie złudzeniom gorliwego o dobro kościoła nuncyusza. Mimoto chwytała kurya rzymska skwapliwie każdą sposobność do nawiązania stosunków z Moskwą i jakkolwiek teraz car w liście swoim ani słowa o sprawach religijnych nie wspominał, postanowił papież natychmiast do życzeń jego się zastosować, aby w myśl owych planów Caligarego, o których on do Rzymu donosił, przy układach pokojowych uzyskać podstawę do traktowania o unii kościelnej. Przywieść do skutku pokój pomiędzy Polską a Moskwą, skłonić cara do porzucenia schizmy i następnie oba państwa słowiańskie w połączeniu z cesarstwem poprowadzić na Turków, oto były widoki, które Grzegorzowi XIII w niedalekiej już, jak sądził, otwierały się przyszłości. Nie namyślając się więc długo, uwiadomił papież dnia 6. marca kolegium kardynałów, że zamierza wysłać posła do Moskwy i polecił kardynałowi Como, aby o tem postanowieniu

[1]) Zakrzewski Wincenty: Stosunki Stolicy apostolskiej z Iwanem Groźnym. W Krakowie 1872. Pierling: Bathory et Possevino. Documents in éditr. etc. Paris, 1887.

doniósł królowi polskiemu za pośrednictwem nuncyusza. Chodziło teraz tylko o wyszukanie odpowiedniej do tak trudnego poselstwa osobistości, ale i pod tym względem nie było wątpliwości. Sam przez się nastręczał się tu O. Antoni Possevino, urodzony w roku 1534, Jezuita, który po dwakroć jeździł do Szwecyi, aby pracować nad nawróceniem króla Jana III, znał cokolwiek stosunki polskie i o Moskwie niejakie posiadał informacye.

Ruchliwy niezmiernie, pełen gorliwości religijnej, zdolny dyplomata i gotów do poświęceń wszelkiego rodzaju tam, gdzie o rzecz wiary chodziło, nadawał się Possevin wybornie do tej misyi trudnej a ponętnej. Opatrzony więc szczegółowemi instrukcyami, wioząc podarunki dla cara i list do króla Stefana, wyruszył on wraz z gońcem moskiewskim w daleką podróż na północ dnia 27. marca, wstąpił po drodze do Wenecyi, aby nakłonić Rzeczpospolitą do nawiązania stosunków handlowych z Moskwą, czego Iwan pragnął gorąco, zawadził o Grac, Wiedeń i Pragę, zbierając wszędzie wiadomości o Moskwie od osób, które dawniej w poselstwie na dwór carski jeździły i 25. maja stanął wreszcie w Wrocławiu, gdzie zastał glejt, przysłany mu przez króla polskiego.

Stefan, uwiadomiony o postanowieniach Stolicy apostolskiej, nie czynił żadnych trudności w przepuszczeniu posła papieskiego przez Polskę, oświadczył jednak wręcz nuncyuszowi, że w powodzenie misyi nie wierzy. Później otrzymawszy jakieś niepokojące listy od biskupa płockiego Piotra Dunina Wolskiego z Rzymu, zmienił wprawdzie zdanie swoje, ale słowa raz danego cofać już nie chciał. Taki stan rzeczy zastał Possewin, kiedy przybył do Wilna dnia 14. czerwca 1581 roku. W trzy dni potem uzyskał pierwszą u króla audyencyą. Przyjęcie było chłodne. Stefan, który niedawno wraz z gońcem moskiewskim posłał Dzierżka z nowemi kondycyami do cara, mniemał, że pokój jest tak dobrze jak zawarty, podróż Possewina zdaje się być zatem niepotrzebna. Wezwanie interwencyi papieskiej uważał za podstęp ze strony Iwana, a wszelkie nadzieje nawrócenia go na katolicyzm za mrzonki, najmniejszej nie mające podstawy. Possewin jednak nie dał się zbić tak łatwo z toru. Jego zdaniem, wyobrażenia Polaków o Iwanie i Moskalach wynikały z uprzedzenia i antagonizmu narodowego, sądził, „iż wszyscy są zaślepieni ludzkiemi namiętnościami i dróg Opatrzności nie chcą pojąć, która przez Stolicę apostolską może sprowadzić pokój w chrześcijaństwie i pożytek religii“. Z właściwą więc sobie gorliwością i zapałem jął przekonywać króla i dokazał tyle, że go uspokoił, a nawet do pewnego stopnia dla planów swoich tureckich pozyskał. Razem z Stefanem też, ruszającym ku Pskowu, pojechał do Dzisny, a stamtąd do Połocka, gdzie spotkano wreszcie Dzierżka, wracającego z odpowiedzią carską z Moskwy. List Iwana, obejmujący 23 kartki in folio, był pisany w tonie grubijańskim i zuchwałym. Kniaź nie chciał słyszeć ani o zburzeniu Siebieża, ani o zapłaceniu kosztów wojennych, ani o ustąpieniu Inflant, wyrzucał królowi niskie pochodzenie, okrucieństwa popełniane rzekomo podczas wypraw dawniejszych, podstęp i zdradę, kończył zaś tem, że i za lat pięćdziesiąt posłów do niego posyłać nie będzie. Król mocno oburzony tym nowym dowodem chytrości moskiewskiej, polecił Zamoyskiemu opracowanie

odpowiedzi na list carski, a tymczasem zawezwawszy posłów Iwana do siebie, oświadczył im, że właściwie mógłby ich traktować teraz jak nieprzyjaciół i szpiegów, ale jako chrześcijański monarcha czynić tego nie chce i dlatego pozwala im wrócić spokojnie do Moskwy. Dnia 20. lipca odjechali posłowie wraz z Possewinem ku Orszy, podczas gdy król z wojskiem pociągnął do Zawołocza, a stamtąd do Pskowa. Pokojowe nadzieje zawiodły zatem zupełnie. Car do niedawna jeszcze pokorny i zgnębiony, zajął nagle wyzywające stanowisko. Ośmieliła go do tego wiadomość o śmierci brata królewskiego Krzysztofa, owe wieści o trudnościach finansowych, w jakich Stefan się znajdował, powolne ściąganie się chorągwi polskich i nadzieje, które pokładał w zdradzieckich swoich knowaniach. Bielski, zbieg z Moskwy, przestrzegał króla, że car układa zamach na jego życie, że rozesłał po Litwie zastępy szpiegów i najętych morderców, jakoż kilku z nich schwytano i ścięto, a Kozacy pojmali świeżo jakiegoś Niewęgłowskiego, z pod Łukowa, który wraz z żoną przekradał się do Moskwy, wioząc listy i oracye do cara. Przekonany o zdradę, dał ten nikczemnik gardło w Dziśnie. Wobec takich stosunków i po takim liście nie można się było spodziewać pokoju i król uczynił przygotowania do dłuższej, zimowej kampanii. Z drogi, z obozu pod Worońcem rozpisał więc listy do senatorów w Polsce będących, przedstawiając im konieczność pozostania na zimę w kraju nieprzyjacielskim i prosząc, aby umysły na to przygotowywali i na sejmikach o potrzebne środki do utrzymania wojska się starali, a równocześnie prawie wysłał odpowiedź carowi, gdzie zbijając jego zarzuty niesłuszne, przypominał mu rozliczne okrucieństwa, jakich się dopuszczał i wyzywał go wkońcu na pojedynek, aby dalszego krwi rozlewu uniknąć. Niebawnie potem rozpoczęło się oblężenie Pskowa, z początku niepomyślne dla oręża polskiego. Moskale odparli szturm dnia 8. września przypuszczony, do dalszego ostrzeliwania twierdzy zabrakło prochu, a żołnierz niecierpliwił się i powtarzał zarzuty, których nieprzyjaciele Zamoyskiemu nie szczędzili. Mówiono, że na wojnie się nie rozumie, że zawsze książką się bawiąc, hetmańską buławę piastuje bez znajomości rzeczy, z szyderstwem przezywano go „klechą“, robiono schadzki pocichu, aż nareszcie wieści o tem doszły do króla, który zwoławszy rotmistrzów, ostro ich upomniał, a nieposłusznym kijem pogroził, o co niemało się obrazili. Energia królewska skutkowała jednak widocznie, bo gdy hetman na początku listopada oświadczył, że wojsko w kraju nieprzyjacielskim na leże zimowe ma pozostać, przycichła opozycya znacznie i wielu z gotowością wytrwać obiecywało, byle im kwatery dobre wyznaczono. Tymczasem horyzont dotąd chmurny zaczął się wyjaśniać cokolwiek: Korff, Inflantczyk, przyprowadził 150 Szkotów, przywiózł zapas znaczny prochu, z Wilna i z Rygi sprowadzono kożuchy, bo zimna cisnęły ostre i od 12. października śnieg obfity pokrywał już ziemię, pieniędzy tylko brakowało, tak że król osobną asekuracyą na dobra swoje wystawiać musiał. Ale jeżeli w obozie polskim było chłodno i czasem głodno, to i nieprzyjacielowi dokuczało także srodze oblężenie. Przejęty goniec Szujskiego do cara wyznał, że w mieście głód i nędza, że czerń zmusi wkrótce wojewodów do poddania się. Dla obu stron zatem był pokój w tej chwili pożądanym. Więcej

pragnął go Iwan, w własnym swoim kraju zagrożony i nękany trzyletniem niepowodzeniem. To też Possewin doznał jak najlepszego na dworze carskim przyjęcia i gdy przedstawił wielkiemu kniaziowi dokładnie położenie całe i zamiary króla Stefana, okazał Iwan wszelką do układów gotowość. Skłoniły go do tego i postępy Szwedów w Inflantach, którzy pod Pontusem de la

Lisowczyk.

Gardie zdobyli byli Narwę, Iwanhorod i Biały Kamień i groźba Batorego, że w razie dalszego trwania wojny na warunki, obecnie podane, się nie zgodzi i znaczniejszych będzie wymagał korzyści. Na razie pragnął car przedewszystkiem skłonić Batorego do zaniechania oblężenia Pskowa i z tem wysłał przy końcu września Possewina do obozu polskiego. Ale król nie dał się obałamucić znanymi już wybiegami moskiewskiej dyplomacyi i nietylko o zaniechaniu wojny nie myślał, ale w obecności Possewina przygotowywał wszystko do

zimowej kampanii. Naciśnięty tak Iwan zgodził się wreszcie na rokowania. Obrano w tym celu miejsce położone przy drodze z Wielkich Łuk do Nowogrodu. Posłowie polscy, Janusz książe Zbaraski, wojewoda bracławski, Albert Radziwiłł, marszałek nadworny litewski i Michał Haraburda, sekretarz królewski, stanęli w wiosce, Jamem Zapolskim zwanej, pełnomocnicy carscy w Kiwerowej horce, gdy jednakże Zapole przez Kozaków polskich zupełnie było zniszczone, postanowiono za zezwoleniem posłów polskich prowadzić układy w mieszkaniu Possewina w Kiwerowej horce. Pierwsza sesya wspólna odbyła się 13. grudnia, ostatnia, z rzędu dziewiętnasta, dnia 15. stycznia. Po długich targach, przy których Moskale swoim zwyczajem krok za krokiem tylko ustępowali, stanął wreszcie pokój, zapolskim zwany, d. 15. stycznia 1582 r. Iwan zrzekał się całych Inflant na rzecz Polski, odstępował Wieliż i Połock, a otrzymywał w zamian za to Wielkie Łuki, Zawołocie i Newel. Tak skończyła się wojna dzięki wytrwałości króla i Zamoyskiego świetnym tryumfem; Rzeczpospolita odzyskała ziemię połocką, odcięła Moskwie związek z morzem i powstrzymała w ten sposób na długie lata wzrost potęgi moskiewskiej. Więcej może niż te korzyści ważyło moralne znaczenie zwycięstwa; zatarło ono wspomnienie dawnych klęsk i upokorzeń, jakich Polska ze strony caratu doznawała, podniosło sławę oręża polskiego i naród od wojny odwykły natchnęło duchem rycerskim i zaufaniem w własne swoje siły. Panuje u nas przekonanie, dość rozpowszechnione nawet, że Stolica apostolska w chwili stanowczej wytrąciła oręż z zwycięskiej dłoni Stefana, że ratując od zguby Moskwę, przeszkodziła jej ostatecznemu ujarzmieniu, że Possewin wykroczył z roli pośrednika i popierał raczej interesa cara. W podobny sposób zapatrywali się na interwencyą papieską także i współcześni. W otoczeniu króla i Zamoyskiego nie miał Possewin przyjaciół, spoglądano na niego z niechęcią i nieufnością, ale z aktów współczesnych wynika tyle tylko, że poseł papieski starał się usilnie o pokój, że działał zręcznie i nie zaniechał niczego, aby cara do ustępstw nakłonić. O tyle też można mówić o jego stronniczości. Łudził się niewątpliwie przypuszczając, że Iwan uzna zwierzchnictwo papieża i da si porwać do wojny tureckiej, złej wiary jednak w złudzeniu tem dopatrzeć się trudno. Coby się było stało, gdyby pośrednictwo papieskie nie odniosło skutku, przewidzieć dziś niepodobna.

Nie sądzimy, aby pokój zapolski, jakto chcą niektórzy, był zbawieniem dla armii polskiej pod Pskowem. Byłaby ona zapewne zimę ciężką przetrwała, byłaby może nawet pomyślnie oblężenie ukończyła, ale wątpić należy, czy królowi byłoby się powiodło naród do dalszych skłonić ofiar i nowe pobory uzyskać. Egoizm szlachecki, podziemne intrygi malkontentów i cały przebieg sejmu warszawskiego, który się rozpoczął dnia 2. października 1582 r. każą raczej przypuszczać, że król z największemi musiałby był walczyć trudnościami, gdy Zamoyski otwarcie już o Katylinach wspomnieć musiał, gdy Niemojewski żegnając króla uroczyście oświadczał, że izba poselska na żadne nie zezwoli podatki. Pokój zapolski był więc w tych warunkach i dla Polski pożądanym, dawał bowiem królowi czas do uspokojenia umysłów podrażnionych agitacyą, szlachcie możność wyburzenia się i odzyskania tej równowagi,

która do podjęcia wielkich zamiarów nieodzownie była potrzebna. Wypadło też królowi uporządkować stosunki inflanckie. Dnia 1. grudnia wyjechał on z obozu pod Pskowem do Wilna, w początkach marca zaś 1582 roku udał się do Rygi, otoczony gronem senatorów litewskich, w celu uorganizowania odzyskanej prowincyi. Rządy namiestnicze powierzył Jerzemu Radziwiłłowi, biskupowi wileńskiemu i potwierdził Inflantczykom wolność wyznania augsburskiego, ale zarazem oddał Jezuitom kościół św. Jakóba w Rydze, ściągnął na skarb królewski dobra, należące niegdyś do arcybisków rygskich i wziął w obronę chłopów srodze uciskanych przez szlachtę inflancką. Zarządzenia te nie podobały się Inflantczykom, Ryżanie szczególniej opierali się mocno wprowadzeniu Jezuitów do miasta, nie chcieli żadną miarą pozwolić na otwarcie szkół jezuickich, ale „król postanowił nie jeść obiadu, dopóki nie stanie się zadość żądaniu jego co do kościołów“.[1]) Przestraszeni mieszczanie ustąpili, biskup żmudzki poświęcił protestanckie do niedawna świątynie i w Wielkim tygodniu już odbywały się w odzyskanych kościołach uroczyste nabożeństwa w obecności króla, który pobożnością przykładną budował umysły. Niezadowolenie Inflantczyków jakkolwiek uśmierzone na razie, było o tyle niebezpieczne, że dodawało otuchy Szwedom, współzawodniczącym oddawna z Polską nad morzem Bałtyckiem. Wiadomo, jakie usiłowania czynili i Szwedzi i Duńczycy, aby Inflantami zawładnąć, wiadomo, że Magnus, brat króla duńskiego, opanował biskupstwo ozylskie i piltyńskie, że Jan, książe finlandzki, pożyczył Zygmuntowi Augustowi znaczniejszą sumę pieniędzy biorąc w zastaw niektóre zamki inflanckie i że Rewlanie ostatecznie poddali się Szwedom. Obecnie kiedy wojna z Moskwą wybuchła, był ten Szwed spokrewniony z domem jagiellońskim, dogodnym bardzo dla Rzeczypospolitej aliantem, ale patrząc głównie swoich własnych korzyści, uderzył na Moskali wtedy, gdy Stefan Batory całą potęgą oblęgł Połock i Wielkie Łuki i kiedy w zwycięskim pochodzie oparł się o mury Pskowa. Jan III korzystając z tego zatrudnienia Iwana, wysłał wojsko pod Pontusem de la Gardie do Inflant, opanował, jak wspomnieliśmy, już, Narwę, Biały Kamień i kilka innych zamków, pomimo że Stefan Batory protestował przeciw tym zaborom i nakłaniał go do wyprawy w kraje moskiewskie, ku Nowogrodowi. Przebiegły Szwed mało troszczył się o te upomnienia królewskie, bo porty inflanckie były dlań bliższe i dogodniejsze niż wątpliwe panowanie nad odległym Nowogrodem. Stanąwszy raz silnie w Inflantach, pragnął on te nabytki swoje ubezpieczyć legalnie i dołożył wszelkich starań, aby wziąć udział w traktatach pokojowych w Jamie Zapolskim. Z miłości dla siostry Katarzyny, popierała tę politykę szwedzka królowa Anna, wstawiając się u Possewina, jeździł do Zapola Krzysztof Warszewicki, spowiednik królowej szwedzkiej, ale wtedy już stosunki w Inflantach wzięły taki obrót, że sam król Stefan był przeciwnym owemu wciągnięciu Szwecyi do traktatów zapolskich.[2]) Kiedy wreszcie pokój zawarto i kiedy Moskale, acz niechętnie i z ocią-

[1]) Piotr Skarga i jego wiek przez Rychlickiego. W Krakowie 1868. List Skargi tam przytoczony w t. I, str. 360.

[2]) To zdaje się wynikać z listu Possewina do królowej Anny. Relacye nuncyuszów etc. t. I, 384.

ganiem zamki i miasta inflanckie Polakom oddali, nadeszła pora do porozumienia się z Szwedami. Król, mając prawo do posiadania całych Inflant, nie mógł oczywiście zgodzić się na owo sąsiedztwo szwedzkie, a że Jan III rościł sobie rozmaite pretensye tak z powodu niewypłaconego dotąd posagu żony, jakoteż i dla owej pożyczki Zygmunta Augusta, więc Stefan wysłał do Sztokholmu kuchmistrza Dominika Alemaniego z żądaniem, aby król szwedzki oddał Narwę, Rewel i wszystkie zamki inflanckie, jakie dzierży, a Rzeczpospolita zwróci mu natenczas i dług zaciągnięty i całą sumę posagową królowej Katarzyny,[1]) w przeciwnym razie groził wojną.

Jan III nie posiadał się z gniewu, posła polskiego i orszak jego trzymał jakoby w więzieniu, pod strażą, po dziewięciu dniach dopiero udzielił mu audyencyi i tu z „furyą“ wielką oświadczył, że „nietylko Narwy i innych zamków, ale jednej małej wsi od Inflant, ostatecznie ani tak wiele ziemi, coby jedną nogą na niej stać, nie puści“. Nadaremnie starała się królowa Katarzyna męża łagodzić, napróżno przedstawiał Alemani senatorom szwedzkim niebezpieczeństwa jakie z odrzucenia słusznych żądań polskich dla Szwecyi wyniknąć mogły, nadaremnie konferował kilkakrotnie z Pontusem de la Gardie, Jan III nie chciał słyszeć o żadnych ustępstwach i zgodził się tylko po długich targach na wysłanie komisarzy, którzy z senatorami polskimi o sprawach inflanckich traktować mieli. Król dowiedziawszy się o tem, zwołał natychmiast senatorów na konwokacyą do Grodna i tu postanowiono zamki pograniczne w Inflantach lepiej opatrzeć, a zatarg szwedzki przedłożyć sejmowi, który miał się odbyć dnia 6. października w Warszawie. W instrukcyach wysłanych na sejmiki, położył król nacisk główny na dwie sprawy: na uporządkowanie elekcyi i kompozycyą pomiędzy stanem świeckim a duchownym. Najważniejszą wydała mu się pierwsza, bo od niej zawisł, zdaniem Stefana, byt i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. „Raczył ci Pan Bóg sam — były słowa instrukcyi — z łaski swej w przeszłe te interregna podźwignąć zaszłe rzeczy Waszmościów, że uszły upadku; ale strzeżcie się Waszmoście, abyście na tak niebezpieczny hak drugi raz nie przychodzili, a Pana Boga nie kusili i konsyderujcie i uważajcie, czego Waszmościom in futurum potrzeba .... A przystępować trzeba Waszmościom do tej sprawy sercy i animuszmi dobremi, szczeremi i uprzejmemi, w miłości i zgodzie zobopólnej, ninacz inszego nie patrząc, jeno na dobro ojczyzny swej, na jej salutem, aby kiedy potem z tej miary nie przyszła z Waszmościami wszystkimi albo potomstwem Waszmościów do jakiego, czego racz Panie Boże uchować, upadku“. Że zaś najwalniejszą przeszkodą stanowienia uchwał pożytecznych na sejmie bywały instrukcye ograniczone, jakie posłom dawano, wymagał przeto król, aby przynajmniej pod względem uporządkowania elekcyi od tego zgubnego zwyczaju odstąpiono. Potrzebowała tego Rzeczpospolita więcej niż kiedykolwiek, bo należało i sprawy inflanckie uregulować i długi przez króla u książąt niemieckich na wojnę moskiewską zaciągnięte popłacić i obmyśleć środki jakie, aby pobory wpływały do skarbu porządnie i w czasie oznaczonym.[2]) Zdawało się, że gdy na sejmie

[1]) Relacya legacyi pana kuchmistrza etc. w Sprawach wojennych str. 362—384.

[2]) Instructio nuntiis ad particulares conventus missis data. Pawiński: Źródła t. XI, str. 224.

przeszłym szlachta z taką natarczywością żądała uporządkowania elekcyi i tak usilnie prosiła króla, aby uwagę swoją poświęcił głównie sprawom wewnętrznym, obecnie cały stan rycerski powita z radością propozycye królewskie i dołoży wszelkich starań, aby własne swoje życzenia do skutku doprowadzić. Nadzieje te zawiodły niestety zupełnie, obrażona prywata znalazła drogi i sposoby do zniweczenia najlepszych zamiarów królewskich, Czarnkowski z Niemojewskimi z jednej, a Zborowscy, o ile się zdaje, z drugiej strony, rozwinęli pomiędzy rycerstwem gwałtowną przeciw królowi agitacyą. Puszczono wieść, że Stefan dlatego dąży do uregulowania elekcyi, aby przeprowadzić za życia swego wybór jednego z swoich bratanków, że chce kogoś z nich na gubernatorstwie inflanckiem osadzić, że sądami zadwornemi ściga wolnych obywateli, że glejty wydaje mieszczanom przeciw szlachcie. Podejrzenia te, z gruntu fałszywe lub przesadzone, poruszyły cały stan szlachecki. Nikt nie zważał na to, że szerzyli je ludzie złej sławy, w ambicyi swojej zawiedzeni i rzekomo przez króla pokrzywdzeni, popularne hasło wolności szlacheckiej pociągnęło rzeszę ziemiańską pod sztandary starego intryganta Czarnkowskiego i wichrzących z nim razem Zborowskich, a rozdrażnienie było tak znaczne, że nawet senatorowie blisko króla stojący nie ważyli się na sejmikach występować w jego obronie.[1]) Opozycya odniosła zatem stanowcze zwycięstwo, izba poselska zatrzęsła się od skarg na nadużycia i gwałty popełniane jakoby przez króla, niczem były tryumfy moskiewskie, niczem prace i poświęcenia Stefana i Zamoyskiego, wobec krzywdy zaprzedańca Czarnkowskiego, którego król od prymasowstwa odsunął, któremu Żnin arcybiskupi, nieprawnie posiadany, odebrać zamierzał. I stał się fakt dziś do wiary niepodobny, że stan rycerski witając króla na sejmie nie znalazł słów, aby mu podziękować za upokorzenie Moskwy, za odzyskanie Połocka i ziemi inflanckiej, za podniesienie sławy imienia polskiego i Rzeczypospolitej. Z goryczą wspomniał o tem kanclerz Zamoyski od tronu, a „obróciwszy się do króla, cieszył go długiemi słowy w tej niewdzięczności ludzkiej, ukazując, że to wszystko za czasem z większą jego sławą być miało.“ Cierpka mowa kanclerza upamiętała cokolwiek posłów i Świętosław Orzelski z polecenia izby wyraził królowi spóźnione podziękowanie, ale kiedy czując całą niesprawiedliwość, wyrządzoną Batoremu, oświadczył, że stan rycerski gotów jest karać tych, co o królu złe mają rozumienie, wszczął się rozruch niemały pomiędzy posłami i odezwały się głosy, że mu tego mówić nie zlecono.

Wobec takiego usposobienia izby nie mogło być oczywiście mowy o przyjęciu propozycyj królewskich, o jakiejkolwiek dodatniej pracy. Senat stanął wprawdzie przy królu, ale posłowie o niczem innem radzić nie chcieli, jak tylko o nadużyciach sądowych i o zagrożonych wrzekomo wolnościach. Cztery razy podawała izba poselska w tym względzie „postulata“ swoje senatorom, o ile sądzić można bezskutecznie, poczem oświadczyła przez usta Jakóba Niemojewskiego, że tego sejmu „aprobować nie może“, że „na żadne konstytucye, recessy albo podatki nowe nie zezwala“. Było to oczywiste zerwanie

[1]) Powrót króla Stefana z wojny inflanckiej. Sprawy wojenne etc. str. 390.

sejmu, wypowiedzenie wojny królowi i całemu jego systemowi. Batory nie uląkł się i nie ustąpił; Czarnkowskiego przy końcu sejmu osądził słusznie, odejmując mu koadyoturę gnieźnieńską, sprawę o Żnin odesłał do sądu ziemskiego, Inflanty uorganizował, ustanawiając biskupstwo w Kiesi i dzieląc kraj na trzy prezydentury: wendeńską, dorpacką i parnawską. Prezydenci mieli władzę sądowniczą, kryminalną i wojskową, inne sprawy podlegały sądom ziemskim.

Bezpośrednio po sejmie udał się król do Krakowa i do Niepołomic, poczem dnia 12. czerwca roku 1583 wyprawił wspaniałe wesele synowicy swojej Gryzeldzie, którą wydał za Zamoyskiego. Byłato odpowiedź na zjadliwe przeciw kanclerzowi wycieczki i knowania malkontentów. Stefan postanowił widocznie iść przebojem i przy najbliższej sposobności złamać opozycyą, kupiącą się około Zborowskich.

Sprawa Zborowskich. — Plany wojny tureckiej. — Śmierć króla 12. grudnia 1586 roku. Rodzina Zborowskich, można i licznie rozrodzona, odznaczała się od dawna już niezwykłą gwałtownością charakterów, pychą nadzwyczajną i wielką zapobiegliwością w zbieraniu fortuny i wyławianiu godności senatorskich. Działając wytrwale w jednym i w drugim kierunku rośli oni w znaczenie i dostatki bez szczególnych zasług dla Rzeczypospolitej i bez wyższych zdolności. Oportuniści w życiu publicznem, odgrywali raz rolę trybunów szlacheckich, jak podczas wojny kokoszej, to znów trzymali się klamki dworskiej, a w każdym wypadku mieli na celu głównie interes własny, wyniesienie swoje i swojej rodziny. Szło im też wszystko po myśli, bo jakkolwiek Zygmunt August, oceniając trafnie charakter Zborowskich, pokrzyżował plany ich względem Halszki z Ostroga, to za czasów Henryka Walezego zawładnęli oni całą niemal Rzecząpospolitą. Krótko trwające panowanie tego króla jednak i burda Samuela na zamku krakowskim, zachwiała cokolwiek wpływ i znaczenie Zborowskich, ale i z tej trudności umieli oni jak się zdawało wybrnąć szczęśliwie. Banita Samuel, wywołany z Polski, udał się do Siedmiogrodu na dwór Stefana Batorego i kto wie, czy nie on pierwszy może rzucił myśl kandydatury Stefana. To pewna, że Andrzej Zborowski, jeden z pierwszych na polu elekcyjnem, nazwisko Batorego wymienił, że Piotr Zborowski, wojewoda i starosta krakowski, zamek królewski Stężyczanom oddał, a Samuel w Medyaszu przysięgę Stefana na pakta konwenta podpisał. Mogli więc Zborowscy słusznie spodziewać się, że nowy król, podobnie jak i poprzedni, zasługi ich wynagrodzi, zaufaniem swojem ich obdarzy i na nich głównie w sprawach publicznych polegać będzie. Stało się jednak inaczej, bo Batory, wyborny znawca charakterów ludzkich, przechylił się odrazu na stronę Zamoyskiego, jemu powierzył pieczęć mniejszą, oddał następnie urząd kanclerski, a względem Zborowskich zachował się chłodno, bez uprzedzeń wprawdzie, ale i bez wszelkiej życzliwości szczególnej. Najspokojniejszego z pomiędzy nich Jana, mianował hetmanem gwardyi swojej przybocznej, innych prośby i pretensye rozmaite zbywał milczeniem, z Samuela dekretu banicyi zdjąć nie chciał, a Chodkiewicza, szwagra Zborowskich, pominął przy oddaniu buławy litewskiej. Urażeni tem Zborowscy narzekali głośno na niełaskę kró-

lewską, słusznie czy niesłusznie przypisując ją Zamoyskiemu, król jednak taktyki swojej nie zmienił w niczem. Wtedy Samuel, najburzliwszy i najbutniejszy z braci, poszedł na Niż, pobratał się tam z Kozakami i zebrawszy wojsko niemałe, począł się kusić o hospodarstwo wołoskie, korzystając z nieobecności króla, który natenczas Połocka dobywał. Wyprawa na Wołoszczyznę nie powiodła mu się jednak; wyparty stamtąd, powrócił on więc na Ruś i z powodów, bliżej nam nieznanych, zajechał dobra Anny Sieniawskiej, położone na pograniczu w ziemi halickiej. Wskutek tego wydał Batory ów rozkaz do kasztelana kamienieckiego, do starosty halickiego i uniwersał do szlachty tamtejszej, aby Samuela w przedsięwzięciach jego hamowali i jako banitę, wywołanego z kraju ścigali.[1]) Niewiemy, jaki skutek te polecenia królewskie odniosły, ale w roku następnym już widocznem jest pewne zbliżenie się Zborowskich do króla. Piotr, wojewoda i generał krakowski, otrzymuje wspólnie z podskarbim Jakóbem Rokossowskim przywilej na bicie monety, a Samuel, opatrzony glejtem królewskim, bierze udział w wyprawie wielkołuckiej. Tak jak poprzednio przez braci swoich, tak obecnie osobiście zwrócił on się do króla z prośbą o zdjęcie banicyi. Król odpowiedział, „że tego tak zgoła uczynić nie może, ale chceli do tego przyjść, niech tedy teraz w dobywaniu zamku co znacznego pokaże“. Samuel odważny i rezolutny usłuchał tej rady natychmiast i gdy wtedy właśnie do szturmu się gotowano, postanowił pójść na ochotnika. Dobrawszy sobie więc „kilka paniąt“ i około stu ze szlachty[2]), czekał niecierpliwie w szańcach hasła, ale na nieszczęście jego poddała Moskwa zamek z obawy przed szturmem i odjęła mu przez to sposobność pozyskania łaski królewskiej. Niebawnie potem dowiedział się król o związkach Krzysztofa Zborowskiego z wielkim kniaziem moskiewskim i wezwawszy do siebie marszałka wielkiego koronnego Opalińskiego, z którego siostrzenicą był ożeniony Jan Zborowski, udzielił mu tej wiadomości. Nie można wątpić, że Zborowscy, zawiedzeni w swoich nadziejach co do rehabilitacyi Samuela i zastraszeni owemi podejrzeniami królewskiemi, wzięli żywy udział w agitacyi sejmikowej przeciw królowi i Zamoyskiemu, że związali się ze starym Czarnkowskim, licząc na jego związki familijne i znaczną klientelę wielkopolską. Dziełem tej koalicyi było zerwanie sejmu w r. 1582. Gdy jednak król mimoto zachwiać się nie dał, uderzyli Zborowscy w pokorę. Krzysztof, który bawił dotąd zagranicą, na dworze cesarskim, przyjechał na wesele Zamoyskiego do Krakowa i tam króla przebłagał. Pojednanie nie było szczere, lecz wynikało, o ile sądzić można, z osobistego interesu Krzysztofa. Umarł wtedy właśnie Prusak Sperwein, znany królowi i zasłużony czynami rycerskimi. Stefan wyznaczył mu był 4000 złotych jurgieltu i używał go jako ajenta dyplomatycznego na dworze cesarskim. O tę więc opróżnioną obecnie posadę ubiegał się Krzysztof Zborowski, ale bezskutecznie. Król, znając jego przeszłość, umysł zmienny i podejrzaną wierność, nie chciał i nie mógł powierzać tak ważnej misyi człowiekowi, który niedawno jeszcze wchodził w konszachty z posłami

[1]) Dokumenta u Pawińskiego w Źródłach, t. XI., str. 82—85.

[2]) Dyaryusz Łukasza Działyńskiego w „Sprawach wojennych etc.“ Str. 233.

moskiewskimi. Krzysztof, dotknięty tem, widział w odmowie upośledzenie rodziny swojej i krzywdę osobistą i przypisywał ją wpływom Zamoyskiego. Tymczasem ze wschodu nadeszły niepokojące wieści o napadzie Kozaków na Bender i o rabunkach, jakie popełnili przytem w krajach tureckich. Na dworze podejrzywano Samuela Zborowskiego o udział w tej swawoli. Miał on oddawna stosunki z Niżowcami, obecnie po wielkołuckiej wyprawie pojechał znowu na Ukrainę, a że już raz próbował szczęścia na Wołoszczyźnie, więc mógł się kusić teraz po wypędzeniu Jankuły o hospodarstwo. Wiadomo zaś, ile królowi zależało na utrzymaniu przyjaznych z Turcyą stosunków, zarówno przed wojną moskiewską, jak i po pokoju zapolskim, gdy szlachta tak niechętną okazała się przedłożeniom królewskim i gdy w Inflantach groźne powstały zaburzenia. Inflantczycy, niezadowoleni z gorliwej propagandy religijnej Jezuitów i z postanowień konstytucyj warszawskich, czekali tylko chwili sposobnej, aby się połączyć z Duńczykami lub Szwedami. Butna i do swawoli przywykła szlachta inflancka sarkała przeciw surowym lecz sprawiedliwym rządom Stefana. Oburzało ją srodze to, że król brał w opiekę biednych chłopów estońskich, że kazał burzyć zameczki szlacheckie i bezwzględnie przeprowadzał egzekucyą co do dóbr arcybiskupich. Kiedy więc umarł Magnus, ów „król inflancki“ z łaski Iwana Groźnego, dzierżący biskupstwo kurońskie i wyspę Ozylią, znaleźli się wnet ludzie, zbogaceni rozrzutnością zmarłego, którzy, obawiając się utracić nieprawnie nabyte korzyści, wezwali króla duńskiego do opanowania Piltyna i Ozylii, jako spadku po Magnusie. Duńczyk, acz w wieku podeszły i do hazardownych przedsięwziąć nieskory, dał się nakłonić przekupionym swoim doradcom i wysławszy garść zbrojnych, opanował Piltyn, stolicę kurońskiego biskupstwa. Uwiadomiony o tem gubernator Inflant, Jerzy Radziwiłł, zabrał się energicznie do wypędzenia Duńczyków, dla braku sił dostatecznych jednak zamiaru swego wykonać nie mógł. Król Stefan, chcąc uniknąć kosztownej i niewygodnej wojny z Danią, wysłał do Kopenhagi Ponętowskiego, w celu nawiązania układów. Wzbraniał się Duńczyk z początku, ale kiedy nadeszła wiadomość, że Pękosławski poraził na głowę załogę piltyńską, zaczęli i Duńczycy łagodniej przemawiać i przyjęli w końcu pośrednictwo księcia pruskiego, Jerzego Fryderyka, który królowi duńskiemu wypłacił 30.000 talarów i biskupstwo kurońskie wziął w zastaw. Duńczycy zrzekli się wszelkich praw do Piltyna, ale zatrzymali wyspę Ozylią.

Te zawikłania na północy i obawa przed napadem tatarskim i wojną turecką nadawały owym przedsięwzięciom Samuela Zborowskiego zupełnie inne znaczenie i dziwić się nie można, że na zgromadzeniu senatorów w Krakowie, podczas wesela Zamoyskiego, cierpkie przeciw Zborowskim padały słowa, że uważano ich za burzycieli pokoju publicznego. Z drugiej strony i Krzysztof, świeżo odmową królewską podrażniony, pisał do Samuela listy, pełne jadu i nienawiści przeciw Batoremu i Zamoyskiemu, wspominał o stosunkach swoich z dworem cesarskim i w tajemniczych słowach zapowiadał zmiany niezawodne. List ten z dnia 17. lipca 1583. r., przejęty we Lwowie, dostarczył nowych przeciw Zborowskim dowodów, sądzono jednak, że się upamiętają. Zamoyski wezwał do siebie kasztelana gnieźnieńskiego i pokazał mu owe przejęte pisma;

Hussarz.

kasztelan przyznał autentyczność listów i pieczęci, ubolewał nad zaślepieniem braci i przyrzekł hamować niewczesne ich zapędy. Ale Krzysztof, w gniewie swoim nieznający miary i przejęciem listów przestraszony, był głuchym na wszelkie upomnienia i perswazye. Pokrzywdzony, jak mniemał niesłusznie, gotów on był ważyć się na wszystko, zaczął więc knuć spiski na życie królewskie, czynić zasadzki w lasach niepołomickich, gdy Stefan tam polował, układał zamach w dziedzicznym swoim Zborowie podczas podróży królewskiej do Lublina. Zbrodnicze te zamiary nie powiodły się, bo król ostrzeżony miał się na baczności i wyjechał niebawnie na Litwę, do Grodna.

Samuel nie pochwalał wprawdzie owych szalonych zamysłów brata, ale wyzywającem postępowaniem swojem i wyraźnem lekceważeniem praw i urzędów, jątrzył przeciw sobie i rodzinie swojej i króla i całe jego otoczenie. Szczególniej zawzięty na Zamoyskiego, na nim zemścić się pragnął i potem, jak głoszono później, wyjechać do Włoch. Kiedy więc kanclerz z Knyszyna, gdzie bawił po weselu, udawał się do Krakowa na roki sądowe, spotkał się w województwie sandomierskiem z Samuelem, który otoczony gromadą sług, nad nim „wieszać się“ począł. Zamoyski znosił cierpliwie ten pościg aż do Proszowic, tu jednak, będąc w obrębie starościńskiej swojej władzy, uczynił to, co do urzędu jego należało, co było prostym jego obowiązkiem. Dowiedziawszy się bowiem, że Samuel pod wieczór kilkadziesiąt ludzi w sąsiedniej wiosce zasadził, a sam z innymi w domu powinnej swej,[1]) Włodkowej, o pół mili od Proszowic się położył, wysłał oddział piechoty pod wodzą Urowieckiego i Stanisława Żółkiewskiego i banitę ująć rozkazał. W nocy z dnia 12. na 13. maja stało się zadość poleceniu kanclerza i nazajutrz już znalazł się Samuel w ściśle strzeżonem, acz przyzwoitem więzieniu na zamku krakowskim. Niesłychane to w swoim rodzaju zdarzenie poruszyło mocno umysły, powszechnie bowiem przyzwyczajono się do lekceważenia wyroków sądowych i do opieszałości starostów w wykonywaniu dekretów, a o Samuelu wiedziano nadto, że i u dworu bywał i swobodnie a bezkarnie po kraju się uwijał. Przypisywano to potężnym wpływom rodziny i nie przypuszczano, aby się znalazł urzędnik tak sprężysty i nieulękniony, któryby się odważył targnąć na zuchwałego banitę. Osłupieli więc na razie wszyscy, a bracia uwięzionego poruszyli niebo i ziemię, w celu ratowania uwięzionego. Andrzej Zborowski rzucił się pomiędzy szlachtę, zgromadzoną na roki sądowe i skłonił ją do podania prośby, aby sprawę Samuela, jako niezwykłą, na sejm odesłano. Zamoyski w odpowiedzi wytłómaczył się jasno ze swojego postępowania, przypomniał, że Samuela kilkakrotnie ostrzegał, dowodził, że dekret mocy swojej nie stracił i że wrazie obalenia wyroku królewskiego i trybunalskie wyroki znaczenie utracą. Ukaranie banity zresztą jest słuszne i uzasadnione; wszak i ojciec Samuela zabił wyjętego z pod prawa Dymitra Sanguszkę, gdy z Halszką z Ostroga do Czech się schronił. Mimoto nie spieszył się kanclerz wcale z wykonaniem wyroku, słał do króla z zapytaniem, jak postąpić należy i dopiero,

[1]) Szczegóły w liście Zamoyskiego do Krzysztofa i Mikołaja Radziwiłła. Archiwum domu Radziwiłłów, str. 91.

kiedy Batory prośbę Andrzeja Zborowskiego o ułaskawienie odrzucił, padła na rusztowaniu głowa Samuela (d. 26. maja) na zamku krakowskim. Zborowscy podnieśli krzyk straszny; Andrzej przy eksportacyi ciała miał mowę gwałtowną przeciw królowi i Zamoyskiemu, Jan, dotąd umiarkowany, burzył szlachtę i senatorów. Ale Batory nie dał się zachwiać, zwołał senatorów na radę do Lublina i przedstawiwszy im listy Krzysztofa, uzyskał jednomyślną uchwałę na wytoczenie procesu Zborowskim. Z Grodna więc (w Grudniu roku 1584) wydał pozew Krzysztofowi o bunt, zdradzieckie knowania i obrazę osoby królewskiej i zwołał sejm do Warszawy na dzień 15. stycznia roku 1585. Sejmiki wypadły w Wielko- i Małopolsce burzliwie. Do Proszowic zjechał Krzysztof Zborowski, materyalnie podreperowany ożenieniem z bogatą Morawianką, głosząc publicznie, że Dzierżek, dworzanin Zamoyskiego, godził na jego życie, że wysłał do Morawii jakiegoś Pruskiego, przy którym znaleziono zjadliwe trucizny, oczywiście przeznaczone na zgładzenie Krzysztofa. Stronnicy Zborowskich uderzyli namiętnie na kanclerza, wzburzenie umysłów było tak wielkie, że na Mikołaja Zebrzydowskiego, starostę stężyckiego, strzelano, gdy wchodził do kościoła. Ale i Zamoyski miał swoich obrońców; poparli go silnie: Mikołaj Firlej, kasztelan biecki, Piotr Myszkowski, starosta opoczyński i Zebrzydowski, tak, że przeciwna partya zamiarów swoich przewieść nie mogła. Wybrano więc z obu stron równą ilość posłów. Podobny przebieg miał także sejmik w Sądowej Wiśni, gdzie Jan Herburt Bruchnalski starł sie ze Stanisławem Żółkiewskim. Młody wojewodzic ruski, wsławiony już czynami rycerskimi pod Pskowem, zarzucił Herburtowi wprost, że występuje przeciw kanclerzowi dlatego, bo nie otrzymał starostwa jaworowskiego, o które się ubiegał. Urażony Herburt wyzwał Żółkiewskiego na pojedynek, ale ostatecznie i tu Zborowscy nie zwyciężyli i musieli zgodzić się na kompromis taki, jak w Proszowicach. W Wielkopolsce poparł sprawę Zborowskich gorąco Stanisław Górka, wojewoda poznański, także z pobudek czysto osobistych, za to w Łęczycy, Sieradzu i na sejmikach mazowieckich odniósł król i Zamoyski świetne zwycięstwo. Szlachta pochwaliła ukaranie Samuela i żądanie Zborowskich o dochodzenie zabójstwa tego, jak mówili, odrzuciła stanowczo. Rezultat sejmików był więc dla opozycyi niepomyślny: za królem i kanclerzem stała Litwa, Ruś, znaczna ilość sejmików polskich i silne stronnictwo nawet tam, gdzie Zborowscy największe posiadali wpływy. Ci, którzy ich popierali, czynili to z prywaty; obrażona duma, zawiedzione nadzieje i nienawiść osobista ku kanclerzowi były znamienną cechą opozycyi, skupionej pod anarchicznym sztandarem Zborowskich. Mimoto sejm zapowiadał się burzliwie, stronnictwa zdążały ku Warszawie rojno i zbrojno, jakby na pole bratobójczej walki. Król przybył z Litwy, wojskiem otoczony, w licznym orszaku litewskich i ruskich senatorów, zamek warszawski roił się od żołnierstwa, w dzień sądu, kiedy sprawę Krzysztofa wywołano, stała piechota z zapalonymi knotami, gotowa do strzelania. Niemniej licznie stawiła się i opozycya. Andrzej i Krzysztof Zborowscy wraz z przyjacielem swoim Górką, wojewodą poznańskim, z licznem gronem adherentów swoich, zajęli wyczekujące pod Warszawą stanowisko. Nadeszła wreszcie chwila stanowcza: po odczytaniu propozycyi od tronu, zasiadł król

na sądy i przywołano sprawę Zborowskich. Senatorowie duchowni i świeccy usiłowali zmiękczyć króla, kasztelan gnieźnieński ze łzami prosił, aby król rodziny jego, zasłużonej w Rzeczypospolitej, na głowę nie potępiał, izba poselska przez delegatów swoich żądała udziału w sprawie tak ważnej i wolność powszechną obchodzącej. Gdy król jednak zachwiać się nie dał, wystąpili jako obrońcy Krzysztofa Sędziwoj Czarnkowski i Jakób Niemojewski, znani przywódzcy opozycyi, nieubłagani nieprzyjaciele króla i kanclerza. Sprawa zaostrzyła się skutkiem tego, dochodzenie sądowe przybierało charakter politycznej walki stronnictw, która musiała skończyć się zwycięstwem króla. Zarzuty, jakie czyniono Krzysztofowi, były ciężkie, obrona nie łatwa. Czuła to dobrze opozycya i chwytała się rozmaitych wybiegów, wreszcie opierając się na owym wątpliwym mielnickim przywileju Aleksandra, żądała sądu z senatorów złożonego i glejtu dla oskarżonego. Po dłuższej dyskusyi, w której król zgodził się na obecność posłów przy sądzeniu sprawy, wydano glejt Zborowskim, ale Krzysztof, widocznie poczuwając się do winy, nie korzystał z niego i wyjechał do Morawii. Cały ciężar obrony spadł teraz na Niemojewskiego. Nie wiemy, o ile uzasadnionem jest zdanie Paprockiego, który go z Cyceronem pod względem wymowy porównywa, ale to pewna, że Niemojewski użył wszelkich wybiegów adwokackich, aby klienta swego uratować. Zaprzeczył więc gołosłownie wszelkim zarzutom, jakie Krzysztofowi czyniono, przytaczał przykład Zygmunta Starego, który paszkwile i oszczerstwa sobie lekceważył, wreszcie żądał, aby Krzysztofowi wolno było oczyścić się przysięgą, przyczem powoływał się na konstytucyą z r. 1505., z tym wypadkiem nie będącą w związku.[1]) Nic dziwnego zatem, że pomimo znacznych wpływów Zborowskich w senacie wniosek Niemojowskiego nie utrzymał się i że przebiegły jurysta prosił w drugiej sprawie, Pruskiego o delacyą, na co zezwolono. Ale zaledwie czas delacyi upłynął, zjawił się przed sądem Zbigniew Ossoliński, krewny Zborowskich, pierwszy raz wtedy posłem obrany, i oświadczył, że Niemojewski nie miał pełnomocnictwa od Krzysztofa i że Krzysztof odmawia kompetencyi sądowi. Wykręt ten oburzył do tego stopnia króla, że za szablę porwał i że Ossoliński, jak sam wyznaje, w wielkiem znalazł się niebezpieczeństwie.[2]) Przewrotna taktyka obrońców nie odniosła jednak zamierzonego skutku, a nawet o ile sądzić można, zaszkodziła raczej oskarżonemu. Król, rozgniewany słusznie postępowaniem opozycyi, nie chciał słyszeć o żadnych ustępstwach, kanclerz, na którego cześć oczywiście godzono, podsuwając mu zamiar otrucia Krzysztofa, pragnął oczyścić się od niegodnych podejrzeń, wszystko składało się na zgubę oskarżonego. Jakoż d. 22. lutego wyszedł dekret, skazujący Krzysztofa Zborowskiego na infamią i banicyą. Malkontenci upokorzeni ale nieustraszeni surowością wyroku, uderzyli na alarm, sejm rozszedł się na niczem, a w pożegnalnej mowie Mikołaj Kazimirski nie szczędził królowi ciężkich wyrzutów i pogróżek, oświadczając, że „o niczem

---

[1]) Konstytucya ta Vol. leg. I, 137 sprzeciwia się tylko uwięzieniu szlachcica nieposzlakowanego.

[2]) Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego, wyd. we Lwowie w r. 1879., str. 4. i 121.

radzić się posłom ad futura nie godzi, dokąd praeterita errata we wszystkiem cale naprawione nie będą, dokąd paktom konwentom nie stanie się zadość, dokąd grawamina i wszystkie eksorbitancye zaspokojone nie będą...", w końcu protestował w słowach ostrych i stanowczych przeciw wyrokom na Krzysztofa Zborowskiego.

Ale to srożenie się i miotanie opozycyi było raczej dowodem jej słabości, niż zapowiedzią czynów gwałtownych i dalej sięgających zamiarów. Już Świętosław Orzelski, po mowie pioronującej Kazimirskiego, zapewniał króla imieniem posłów, o niezwruszonej względem tronu wierności, a musiało to zapewnienie być rzeczywiście szczerem i zgodnem z opinią wielkiej liczby posłów, kiedy nie wywołało protestu, kiedy posłowie publicznie przepraszali króla za niebaczną mowę Ossolińskiego i kiedy król do niezwykłego posunął się kroku, umykając przy pożegnaniu ręki Kazimirskiemu. Niezadowoleni narzekali pocichu na „tyrańskwo" królewskie, zuchwalsi zamyślali może nawet o jakich zbrodniczych zamachach, ogół atoli patrzył na sprawę Zborowskich spokojnie i trzeźwo, a książe Radziwiłł Sierotka, dokładnie zapewne poinformowany o stanie umysłów, mniemał, że „król jeszcze wszystkich zaprzęże w pałuby i powiezie per viam, a przecież ścierpiem i to i rzeczem że dobrze". Podejrzenia tego rodzaju i zarzuty nie były słuszne. Stefan zręczną polityką umiał pozyskać sobie Litwę i województwa ruskie, wpływem Zamoyskiego trzymał na wodzy anarchistów wielko- i małopolskich, a imponując prawdziwemi zasługami około Rzeczypospolitej nawet mniej przychylnym, stał się panem sytuacyi i mógł naród porwać i poprowadzić do wielkich przeznaczeń. Jakoż zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że chwila ta była bliską. Natychmiast po sejmie wyjechał dwór do Krakowa, a stamtąd do Niepołomic. W zacisznych ostępach leśnej puszczy, oddany tak ulubionemu przez siebie myśliwstwu, spędzał Stefan dnie całe i tygodnie w dziwnej jakiejś a głębokiej zadumie. Może być, że go trapiło przeczucie rychłej śmierci, kiedy d. 27. maja nagle (raptim) testament swój spisywać zaczął, ale obok tego niezmordowany umysł układał wielkie plany, mające przeistoczyć kartę Europy i imieniowi Batorych niespożytą zgotować sławę.

Od czasu wypraw moskiewskich była uwaga króla zwrócona stale ku północy. Przychylność dla Litwy, pilna praca około organizacyi Inflant, pociągnięcie Kozaków do służby wojskowej i pobłażliwość względem schizmatyków ruskich, którym pozostawił dawny kalendarz, chociaż nowy, gregoryański, z całą surowością w Inflantach wprowadził, wszystko to dowodziło, że król ma na celu nietylko uspokojenie i pozyskanie umysłów, ale także donioślejsze polityczne zamiary. Kiedy one powstały w jego umyśle? oznaczyć trudno. Już Iwan Groźny, wysyłając Szewrygina do Rzymu, wspominał o wielkiej lidze przeciw Turkom i pozyskał sobie przez to względy Stolicy apostolskiej, a cała działalność Possewina na dworze polskim, w Moskwie i w Wenecyi obracała się około unii kościelnej i owej koalicyi, będącej ulubionem marzeniem papieży. Batorego nie potrzebował długo przekonywać. Kto tak jak on doświadczył tylu upokorzeń od Porty ottomańskiej, komu co chwila wyrzucano, że jest lennikiem sułtana i że Polskę zaprzedał w niewolę turecką,

ten pragnął oczywiście hańbę tę i te podejrzenia niegodne zmyć z siebie w potokach krwi muzułmańskiej. Jako wojewoda siedmiogrodzki i król polski wiedział on nadto, że wzrost i rozwój pomyślny obu tych państw zawisł od złamania potęgi ottomańskiej, jako pan chrześcijański czuł dotkliwie jarzmo muzułmańskiej niewoli, ciążące na wyznawcach Chrystusa, jako monarcha wielkiego serca i wzniosłego umysłu, widział w olbrzymiem przedsięwzięciu wojny tureckiej pożytek całego chrześcijaństwa i możność zyskania sobie nieśmiertelnej sławy. Słuchał więc wywodów Possewina z upodobaniem, zapalał się tak jak on do wielkiego dzieła i nie podzielał wcale uprzedzeń i niechęci, które w najbliższem otoczeniu królewskiem przeciw żarliwemu Jezuicie powstawały. Gdy Zamoyski i jego przyjaciele, gdy nawet Hozyusz, tak kościołowi oddany, z niedowierzaniem o Possewinie się wyrażali, gdy Reszka zarzucał mu gwałtowność charakteru i pychę, miał Batory dla powiernika planów swoich cześć głęboką i słabość nieprzezwyciężoną. Za jego radą odebrał on w sposób gwałtowny kościoły protestantom rygskim, za jego wstawieniem się, a wbrew opozycyi biskupa krakowskiego Myszkowskiego i uniwersytetu zapewnił Jezuitom stały pobyt w Krakowie [1]) i tą przychylnością swoją oddał zakonowi nieobliczone usługi. Potęga i wpływ Jezuitów za panowania Zygmunta III. powstały na podwalinach, wzniesionych silną dłonią Stefana. Jakkolwiek wątpić nie można, że w pierwszym rzędzie skłaniały króla do tego względy religijne, chęć stłumienia herezyi, której Jezuici najgroźniejszymi byli przeciwnikami, to trudno było zaprzeczyć, że owa szczególniejsza dla Possewina sympatya z politycznych także wpływała pobudek. Wprawdzie myśl, którą przynosił, nie była nową i nie w jego zrodziła się głowie, ale zapał, z jakim plany swoje przed królem rozwijał, siła argumentacyi i wiara niezachwiana w powodzenie, wywierały i na trzeźwy umysł Batorego wpływ niepospolity. Wszystko zresztą, czego Possewin pragnął, zgadzało się z zamiarami króla i jego dotychczasową polityką. Ten, co natychmiast po zdobyciu Połocka fundował tam kolegium jezuickie, co w Wilnie zakładał akademią, restaurował katolicyzm w Inflantach, a do Siedmiogrodu słał missyonarzy jezuickich, ten z tym samym zapałem musiał popierać także unią pomiędzy kościołem zachodnim a cerkwią wschodnią. Ale tu właśnie rozchodziły się drogi mnicha-dyplomaty i doświadczonego męża stanu, jakim był Batory. On nie wierzył wcale w szczerość polityki Iwana, nie wierzył w skuteczność pomocy moskiewskiej przeciw Turkom i Tatarom. Nasuwała mu się więc myśl bardzo prosta: wykonanie planów papieskich przez Polskę. Wszak nie kto inny, jak Polska, podejmowała stale pracę około połączenia Rusi z kościołem zachodnim, wszak nie kto inny, jak ona, przelewała strumienie krwi w obronie wiary i wolności, będąc przednią strażą cywilizacyi zachodniej i puklerzem chrześcijaństwa. Pod osłoną żelaznych zastępów polskich zaludniały się stepy ukraińskie, łany podolskie i czerwonoruskie, topór polski trzebił w bezbrzeżnych puszczach północnych drogi, któremi promień cywilizacyi wdzierał się w głąb barbarzyńskiej Moskwy, któż więc jak nie ta Polska,

[1]) Wielewicki: „Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie od r. 1579. do 1599.“ Tom I., w Krakowie 1881 (wyd. Dr. Józef Szujski), str. 24 i 30.

obecnie zwycięska, miała prowadzić dzieło odrodzenia na wschodzie, kto jak nie ona miała stanąć na czele krucyaty i spełnić marzenia Grzegorza VII. i jego następców na stolicy Piotrowej? Wszystkie okoliczności zdawały się sprzyjać tym wielkim zamiarom. Zwycięskie wyprawy moskiewskie podniosły ducha rycerskiego w narodzie polskim, odświeżyły przyćmioną cokolwiek sławę oręża polskiego i rozsławiły w całej Europie imię Stefana, jako znakomitego wodza i pogromcy potężnej Moskwy. Rozumną i umiarkowaną polityką zjednał on sobie nadto sąsiednich książąt niemieckich, Brandenburczyk i elektor saski zasilali skarb królewski pożyczkami, książe bawarski przez Possewina zgłaszał się, ofiarując przyjaźń i przymierze. Rozgłos o tych stosunkach był tak znaczny po świecie, że czausz turecki wypytywał się pilnie Zamoyskiego, czy król przyjmie koronę cesarską, którą mu książęta rzescy ofiarować mają pod warunkiem, aby walczył z Turkami? Jedno tylko mąciło tę harmonią, t. j. naprężenie, panujące pomiędzy Stefanem a cesarzem, jeszcze od czasów Maksymiliana II. Ale i tę przeszkodę uprzątnął król za pośrednictwem Possewina, tak, że teraz już o swoje posiadłości węgierskie zupełnie mógł być spokojnym.

Tak stały rzeczy, kiedy nagle w roku 1584. nadeszła do Polski wiadomość o śmierci Iwana Groźnego. Donosił o tem wysłany do Moskwy w poselstwie Lew Sapieha, którego w Mozajsku jeszcze z powodu nagłej zmiany panującego zatrzymano, a następnie pod ścisłą strażą do Moskwy jechać kazano i tu „jako jakiego więźnia chowano“. Nie pomogły jednak te ostrożności moskiewskie, nie pomogła czujność tak wielka, że nawet dziury w płotach około dworca poselskiego zatykano, Sapieha znalazł sposób, aby się o wszystkiem dowiedzieć. Donosił więc o wielkiem zamięszaniu, jakie w Moskwie po śmierci Iwana powstało, o ambitnych zamiarach kniazia Bohdana Bielskiego, o zamachach jego na Mścisławskiego i Szujskiego i o wielkich obawach Moskali przed królem polskim i Tatarami.[1]) W Polsce wiedziano, że ten nowy car do ojca w niczem niepodobny, umysłowo nieudolny, nie zdoła rządzić i działać samoistnie. Obecnie listy Sapiehy przedstawiły położenie w Moskwie jako groźne, rewolucyą prawie niechybną, zamięszanie wielkie. Nadawała się sposobność do korzystania z tych zawikłań, zbiegowie moskiewscy, których u nas nigdy nie brakło, a którzy teraz właśnie licznie pojawiać się zaczęli, ukazywali senatorom i królowi możność pozyskania Moskwy. Prowadziły do tego dwie drogi: unia taka, jak między Polską i Litwą lub podbój. Zamyślano o unii,[2]) która wydawała się dość prawdopodobną, król jednak na początku podjął dawniejszy swój plan i przedstawił Possewinowi projekt zawojowania Moskwy, poczem zamierzał całą siłą rzucić się na Turków. To samo przekładał senatorom, zgromadzonym w Lublinie w r. 1584., ale ani w jednym ani w drugim kierunku powodzenia nie miał. Papież, uwiadomiony przez Possewina o planach królewskich, odmówił poparcia, w Polsce wobec sprawy Zborowskich nie można było myśleć o przedsięwzięciu tak wielkiem i bądźcobądź tak ryzykownem. Nie wypadało zatem nic innego, jak zawrzeć z nowym carem za-

[1]) Archiwum domu Radziwiłłów, str. 174.

[2]) Tamże, str. 26.

wieszenie broni, a tymczasem prowadzić ostrożnie układy o unią. Starano się nakłonić Moskali, aby przyjęli Batorego za następcę Fiedora, który długiego życia nie obiecywał, wpływał w tym duchu Possewin na posłów carskich, kiedy przybyli podczas sejmu 1585. r. do Warszawy, tentował w Moskwie sprawę Haraburda — nadaremnie. Zmienił się tymczasem horyzont polityczny, umarł papież Grzegorz XIII., a na Stolicy apostolskiej zasiadł Sykstus V., energiczny, surowy i do wielkich a śmiałych przedsięwzięć skłonny. Ten dowiedziawszy się o zamiarach Stefana, kazał natychmiast przedłożyć sobie akta, do tej sprawy się odnoszące i zażądał wyjaśnień od Possewina. Król, uradowany tym obrotem rzeczy, wysłał do Rzymu z obedyencyą dla nowego papieża arcybiskupa lwowskiego Solikowskiego i synowca swego Andrzeja Batorego, kardynała. Andrzej wiózł szczegółową instrukcyę o wojnie tureckiej i moskiewskiej. Były tam przedstawione dokładnie plany Batorego w jednym i drugim kierunku: łatwość zawojowania Moskwy i przeprowadzenia unii, poczem dopiero miała nastąpić wyprawa turecka, tak, jak tego Stolica apostolska pragnęła. Ścisły w rozumowaniu i trzeźwy w poglądach swych król wiedział dobrze, że do wykonania tak daleko sięgających zamiarów potrzeba także nadzwyczajnych środków, których ani Polska ani Siedmiogród dostarczyć nie były w stanie. Ilość wojska na wojnę turecką obliczał Stefan na 85.000 ludzi, półroczny żołd dla nich na 3,648.580 złotych.[1]) Do zawojowania Moskwy wystarczało, podług jego zdania, 24.000 ludzi przez lat trzy, koszt utrzymania wynosił na ćwierć roku 200.000 dukatów. Połowę tego ciężaru brał król na siebie, drugą część miał opędzić papież i książęta włoscy. Sykstus V., o ile sądzić można z listów jego, zgodził się zasadniczo na plan królewski i wysłał w r. 1586. we wrześniu Possewina do Polski z odręcznem pismem do króla i do cara. Carowi doradzał, aby ustąpił Polsce Smoleńska, Pskowa i Nowogrodu, w razie przeciwnym zaś całą winę za wojnę, jaka wyniknąć musiała, zwalał na Moskwę, Stefanowi doradzał układy z Fiedorem, ale przyrzekał zarazem wesprzeć chwalebne jego przedsięwzięcia. A jakby na dowód, że rzeczywiście od udziału w tych planach wielkich uchylać się nie chce, posyłał do Polski jako zadatek dalszych subsydyów 25.000 dukatów.

W Polsce rozważano wśród tego także projekta królewskie. Niektórym zdało się lepiej czekać, aż wojna domowa w Moskwie się zapali i wtedy bez trudu opanować „tamte kraje“, król sam zdawał się zniechęconym[2]) i zapytywał senatorów w czerwcu r. 1586, czy przyszłemu sejmowi przedkładać plany względem Moskwy, gdy one w r. 1585 z tak znaczną spotkały się opozycyą? Co prawda, nie wiedział wtenczas Stefan jeszcze o postanowieniu papieża, a może zamierzał i bez pytania sejmu wojnę rozpocząć. Za tem zdaje się przemawiać i inny plan jego, Węgier dotyczący. Chciał król mianowicie koronę św. Szczepana zapewnić bratankowi swojemu Zygmuntowi, a województwo siedmiogrodzkie oddać Janowi Zamoyskiemu. Przy nieudolności cesarza

[1]) Wywiedzenie ludu na turecką wojnę u Albetrandego. (Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego.) Str. 478.

[2]) Źródła dziejowe XI, str. 290.

Rudolfa II. i wielkiej popularności, jaką Batory cieszył się w Węgrzech, nie było wykonanie tego zamiaru niepodobnem, a wtedy rzeczy odrazu inną przybierały postać, Polska, z Węgrami ściśle połączona, stawała się pierwszą w Europie potęgą, która i kwestyą wschodnią rozstrzygnąć i Moskwę snadnie do reszty zgnębić mogła. Nie łudził się król zapewne ani na chwilę, że uzyska zezwolenie i poparcie sejmu na tak ryzykowne zamiary i dlatego starał się tak usilnie o pomoc Stolicy apostolskiej, mniemał bowiem słusznie, że przymierze tego rodzaju i znaczne zasiłki pieniężne wpłyną na usposobienie umysłów w Polsce i skłonią naród do większej ofiarności, do przyjęcia planów królewskich. Z takiemi nadziejami wyjechał Stefan do Grodna i zapowiedział sejm na luty roku 1587. Zwołane w tym celu sejmiki odbyły się pod dobrą wróżbą; szlachta wogóle okazała się przychylną propozycyom królewskim, gdy nagle jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że Batory dnia 12. grudnia życie zakończył. Niespodziewana ta katastrofa dała powód do najrozmaitszych domysłów i podejrzeń, a nie brakło i takich, którzy śmierć królewską zadanej przypisywali truciźnie. Przypuszczenie tego rodzaju nie zdaje się być prawdziwem. Rodzina najbliższa Stefana cierpiała na jakieś chroniczne dolegliwości; ojciec króla umarł w młodym wieku na wrzód, uformowany na goleni, dwaj bracia królewscy nie doczekali się 50. roku życia. On sam miał ranę na lewej nodze, jątrzącą się bezustannie i na dworze cesarskim będąc, ulegał apoplektycznym napadom. Wezwano zatem głośnego natenczas lekarza z Włoch, Buccelę, który królowi otworzył drugą ranę na prawej goleni. Ranę tę opatrywali i obwiązywali maściami codziennie lekarze królewscy, wzmiankowany już Buccela i sprowadzony później za pośrednictwem Mikołaja Wolskiego, miecznika koronnego, Symoniusz z Lukki. Mimoto Stefan czuł się zdrowym, wyglądał dobrze i bez względu na stan swój oddawał się namiętnie myślistwu i znosił wytrwale trudy i niewygody obozowego życia. Pozory te łudziły. Nuncyusz Caligari pisał w roku 1578., że kompleksya i zdrowie króla są zadziwiające, Ridolfino, inżynier w służbie polskiej, podziwiał jego silną budowę, a wszyscy współcześni nie mogli się dość nachwalić skromności Stefana w życiu i ubiorze. Nosił on prosty strój węgierski, kołpak niski, nie używał rękawiczek, sypiał w łóżku wąskiem, bez kotary, jadał potrawy proste, nie znosił zbytku i pijaństwa, a sam był wzorem pracowitości i skromności. Wykształcony czytaniem historyków węgierskich, tureckich i włoskich, wielbiciel Cezara, którego komentarze miał zawsze pod ręką, wyrobił on w sobie ten trzeźwy pogląd na rzeczy i tę równowagę umysłu, jaka bywa zazwyczaj owocem głębokich rozmyślań i długoletniego doświadczenia. Łagodny w rzeczywistości, dla wszystkich dostępny i sprawiedliwy, zapalał się Stefan niepohamowanym gniewem tam, gdzie godność majestatu królewskiego i dobro Rzeczypospolitej stawało się przedmiotem pocisków ze strony opozycyi, której źródłem była prywata lub obrażona ambicya. W społeczeństwie polskiem, gdzie indywidualizm możnowładczy i szlachecki ogółem tak wybitną odgrywał rolę i gdzie interes osobisty lub stanowy przygłuszał często niestety szlachetniejsze porywy, wydawać się musiało to postępowanie królewskie czemś niezwykłem, musiało drażnić umysły i budzić nieuzasadnione

obawy o wolność, która istotnie w swawolę już zmieniać się zaczynała. Stefan stanąwszy mocno przy powadze majestatu królewskiego i Rzeczypospolitej, nie uląkł się burzy, a wytrwałością i energią zdobył sobie wreszcie uznanie u jednych, szacunek i powagę u drugich. Zdawało się, że jeszcze chwila, a ten Węgrzyn twardy „zaprzęże“ rzeczywiście naród „w pałuby“ i powiedzie go w przyszłość pełną sławy i wielkości, kiedy nieubłagana choroba przecięła wątek jego życia. Dnia 7. grudnia w nocy z niedzieli na poniedziałek dostał król apoplektycznego, jak się zdaje, napadu. Wierny sługa jego, Isztok, znalazł go klęczącego u drzwi, na jedno kolano, z raną na prawej nodze szeroką i głęboką, a pochodzącą z gwałtownego uderzenia o ostrą ławę. Gdy go podniesiono, odzyskał zmysły i pytał: Co mi się stało? Przez trzy następne dni nie wpuszczono nikogo do komnaty królewskiej, we czwartek odwiedzili chorego: Biskup przemyski Wojciech Baranowski, kasztelan wileński i Lew Sapieha. Król był dobrej myśli i mniemał, że rychło do zdrowia powróci. Ale po odejściu senatorów nastąpiło nagłe pogorszenie, paroksyzm powtórzył się, a duszność jakaś w piersiach utrudniała oddychanie. Dopiero wtedy przywołano lekarzy, którzy oświadczyli, że nie mają prawie żadnej nadziei. Biskup przemyski chciał więc przygotować króla na śmierć, Franciszek Wesselin jednak, szatny królewski, odłożył rzecz do jutra, tymczasem nowy atak, gwałtowniejszy od poprzedzających, sprowadził śmierć; król skonał „po zachodzie słońca, a na pół zegarzu przed piątą godziną z południa“.[1])

Sprawy wewnętrzne. Ruch umysłowy. Krótkie, bo zaledwie lat dziesięć trwające panowanie Stefana Batorego w Polsce, wywarło wpływ wielki i na położenie polityczne Rzeczypospolitej i na stosunki wewnętrzne. Objąwszy państwo zewsząd zagrożone i rozerwane w sobie, zostawił je król silne, chwałą zwycięstw opromienione, od nagłych napadów nieprzyjacielskich wolne. Upokorzenie Gdańszczan, przyłączenie Inflant i odzyskanie Połocka podnosiło tem więcej potęgę Polski, gdy sąsiednie państwa popadły w stan odrętwienia i zupełnej niemocy. Za owem powodzeniem w polityce zewnętrznej szło także uregulowanie stosunków wewnętrznych. Łagodnością więcej i roztropnością, niż surowem obejściem, poskromił Stefan walkę stronnictw, ustanowieniem trybunałów zapewnił szybszy wymiar sprawiedliwości, a bezwzględnością w karaniu występków podniósł powagę władzy, znacznie już zachwianą. Za żadnego panowania może nie spełniono tyle wyroków śmierci na osobach dygnitarzy i ludzi wysoko urodzonych, co w krótkiej epoce rządów Stefana. Na Litwie padła głowa Ościka, w Krakowie ścięto Samuela Zborowskiego, w Warszawie dał gardło Iłowski, kasztelan wiski, przekonany o zbrodnię zabójstwa, we Lwowie zginęli na rusztowaniu Podkowa i Jankuła, Kozaków ścinano gromadnie za gwałty, popełnione w Benderzu i Jahorliku, ale w żadnym z tych wyroków nie można dopatrzeć okrucieństwa lub tyranii. Wiek żelazny i rozpasane namiętności żelaznej wymagały dłoni, wolność, swawolą tłumiona, mogła zakwitnąć i rozwinąć się tylko pod czujną opieką władzy, surowej wprawdzie, lecz sprawiedliwej. Jakoż zwolna uspakajały się umysły i nawet ci, co na „tyrańskwo“ królewskie narzekali głośno, uznawali w głębi serca

[1]) List Lwa Sapiehy do Krzysztofa Radziwiłła. „Archiwum Radziwiłłów“ str. 184.

wielkie zasługi tego, którego nienawidzieć mieli powodów wiele. „Widziałem, że takim był panem — mówił na konwokacyi w roku 1587. Andrzej Zborowski, marszałek nadworny — iż nie jedno lwy wiodąc, jako z łaski Bożej naród polski, litewski, może lwy nazywać, ale by i jelenie był wiódł, nie przegrałby był z niemi, temu własną jego chwałę daję“.[1])

Jeżeli tak odzywał się brat Samuela po śmierci króla, do którego czuł żal głęboki, to ogół narodu musiał zapewne uważać Stefana za „odnowiciela“ sławy swojej i przyznawać, „że po onych mężnych Bolesławach żaden z królów polskich nad niego prędzej hardszego i możniejszego nieprzyjaciela nie skrócił“.

Ale nie w tych blaskach wojennej chwały tylko tkwiła zasługa Batorego. Gorliwy katolik i opiekun kościoła umiał on wreszcie ukoić ową rozterkę religijną, która przez lat kilkadziesiąt męszała spokój wewnętrzny Rzeczypospolitej. Przyjąwszy i poprzysiągłszy konfederacyą z roku 1573., nie wykroczył Stefan ani na chwilę poza granice, jakie akt ten zakreślał. Względem innowierców sprawiedliwy, surowy nawet tam, gdzie swobodę wyznania ich gwałcono lub naruszano, pojmował on zadanie swoje jako monarchy katolickiego zupełnie inaczej. Więc gdy z jednej strony brał w obronę żydów przeciw niesłusznym podejrzeniom o mordowanie dzieci chrześcijańskich,[2]) gdy karcił surowo wybryki studentów krakowskich, napadających na zbory innowiercze, z drugiej pracował usilnie nad odrodzeniem kościoła polskiego przez mianowanie pasterzy światłych i w wierze nie podejrzanych. Świadczy o tem wymownie cały szereg biskupów, którzy za jego panowania zasiedli na wszystkich niemal stolicach. Biskupem krakowskim został w roku 1577. znany nam już Piotr Myszkowski, warmińskim Marcin Kromer, kamienieckim Wawrzyniec Goślicki, wendeńskim Nidecki, arcybiskupem lwowskim Dymitr Solikowski, prymasem wreszcie Stanisław Karnkowski, wszystko mężowie nauką znamienici, w życiu swojem nieposzlakowani, pod względem gorliwości i zacności charakteru niepospolici. Z takim episkopatem można było pomyśleć o restauracyi kościoła katolickiego w Polsce tem snadniej, gdy innowiercy, niezgodni pomiędzy sobą, silnie zorganizowanej teraz hierarchii czoła stawić nie byli w stanie.

Protestantyzm nie zapuścił nigdzie w Polsce silnych korzeni, z wyjątkiem Prus i świeżo nabytych Inflant, nowin religijnych chwytali się możniejsi i wykształceńsi, lud pozostał obojętnym. W takich warunkach każda zmiana panującego i jego przekonań religijnych musiała wywierać wpływ znaczny, w skutkach swoich nie dający się obliczyć. Henryk, acz szczerze przychylny wierze katolickiej, panował za krótko, aby zdziałać coś ważniejszego, uwikłany zresztą w sieci Zborowskich, sprzyjających herezyi, nie mógł się kusić o restauracyą katolicyzmu. Następca jego, trafnie oceniający położenie państwa, widział, że przyczyną niezgody domowej i rozerwania obrad sejmowych jest w znacznej

[1]) „Dyaryusze sejmowe roku 1587.“ (wydał w Krakowie w roku 1887. A. Sokołowski), str. 236.

[2]) Porównaj dekret królewski z roku 1576. w Źródłach dziejowych u Pawińskiego, t. XI, str. 1.

mierze waśń religijna. Nie zdało mu się więc wchodzić w pakta z wielogłową herezyą, która po chwilowej zgodzie, nanowo między sobą kłócić się poczęła, lecz, stanąwszy mocno na gruncie katolickim, dążyć do podniesienia kościoła i duchowieństwa, aby z jego pomocą i polityczne swoje zamiary przeprowadzić. Wiedział król dobrze, jak ważnym w tym względzie czynnikiem była oświata i w jak opłakanym stanie znajdowała się akademia krakowska, główna nauk krajowych krynica. Oświecił go w tej mierze niewątpliwie Zamoyski, który już przedtem przemyśliwał nad sprowadzeniem sławnych mistrzów włoskich, w celu zreformowania i odrodzenia upadającego uniwersytetu. Batory pochwycił plan ten skwapliwie, starał się pozyskać dla akademii krakowskiej Mureta, Zabarellę, Pappiusza, Grzegorza z Walencyi, wysyłał w tym celu do Włoch sekretarza swego Jana Zamoyskiego herbu Grzymała, chciał urządzić w Krakowie osobną szkołę na wzór Collége de France w Paryżu, ale wszystkie te chwalebne zamysły rozbiły się, o ile sądzić można, z początku o wygórowane żądania owych uczonych obcych, a następnie o zmianę w usposobieniu samego króla. Zajęty wojną moskiewską, zwrócił on głównie uwagę swoją na wschód i wschodnie kresy Rzeczypospolitej. W Wilnie zastał Jezuitów, których tu sprowadził biskup tamtejszy Waleryan Protaszewicz. Ścierając się mężnie z heretykami, mianowicie z głośnym podtenczas Andrzejem Wolanem, mogli oni pozyskać sobie względy Stefana tem snadniej, gdy już w roku 1577. podczas wojny gdańskiej łaskę królewską jednać sobie poczęli,[1]) a obecnie podnieśli niezmiernie ważną sprawę cerkwi wschodniej. Słynny teolog i kaznodzieja nadworny Batorego, Stanisław Sokołowski, opracował podczas wyprawy połockiej swoją „Cenzurę“, w której dowodził, że kościół wschodni z zasadami innowierców wcale się nie zgadza, a równocześnie prawie ogłosił Jezuita, tyle głośny następnie ks. Piotr Skarga, dzieło swoje „O jedności kościoła Bożego“, gdzie podniósł myśl unii i upominał narody ruskie, „aby się z kościołem świętym i Stolicą rzymską zjednoczyły“. Przypuszczać można, że obie te prace zostawały w związku pewnym ze sobą, a na króla wywarły niewątpliwie wpływ wielki. Nikt lepiej nad Batorego nie pojmował doniosłości takiego zjednoczenia pod względem politycznym zarówno jak i kościelnym, nic dziwnego zatem, że i owo wystąpienie ks. Skargi zjednało i jemu samemu i Zakonowi, którego był członkiem, w wyższym jeszcze stopniu niż dotąd, względy królewskie. Nastąpiła też bezpośrednio potem znana już fundacya połocka dla Jezuitów i oddanie im akademii wileńskiej. Król, rozpatrując się dokładniej w działaniu Zakonu, który za główne zadanie swoje wtedy uważał walkę z innowiercami i wychowanie młodzieży, mniemał, że z pomocą szkół jezuickich będzie można i wiarę katolicką silniej ugruntować w narodzie i lepszą oświatę rozpowszechnić. Wszak sami innowiercy posyłali dzieci swoje do szkół jezuickich w Poznaniu, uważając je za doskonalsze od innych, a niebawnie miało zakwitnąć kollegium jezuickie w Brunsberdze, jako najznamienitszy zakład wychowawczy dla młodzieży szlacheckiej. Wychodzili stamtąd ludzie pełni żarliwości religijnej, wyborni „łowcy dusz“, jak ich nazywał Skarga, naganiający heretyków do sieci zakonnych. Nic dziwnego zatem, że Stefan

[1]) Skarga i wiek jego. I, 234.

przylgnął całem sercem do Zakonu, którego działalność popierała tak bardzo jego zamiary. Reforma szkół, na wielkie natrafiająca trudności, nie wydała się zapewne królowi nieodzowną, gdy zakłady jezuickie z pomyślnym skutkiem nad wykształceniem młodzieży pracowały, gdy Zakon sam wydawał ludzi takich jak Skarga, Wujek, Marcin Lanterna lub Benedykt Herbest, którzy mistrzom heretyckim czoło stawić i zachwianą powagę kościoła umocnić zdołali.

W ścisłym związku z szkołami była literatura. Świetny jej rozwój w epoce zygmuntowskiej nie ustał i za czasów Batorego. Zeszły wprawdzie z widowni najświetniejsze gwiazdy piśmiennictwa polskiego: Rej, Orzechowski i Frycz Modrzewski, ale pozostał Jan Kochanowski, pracował w zaciszu domowem Łukasz Górnicki nad najcelniejszemi swemi dziełami, Piotr Skarga pisał swoje niezrównane pod względem stylu „Żywoty świętych“, a Bartosz Paprocki rozpoczynał zawód autorski od wydania „Panoszy“ i „Hetmana“ (w r. 1578.), którego przypisał Samuelowi Zborowskiemu. Literatura ta jednak traci charakter polityczny. Wśród bezustannego prawie szczęku oręża, wśród gwaru obozowego życia milkną namiętności, poruszające do niedawna jeszcze umysły, szlachcic niema czasu zastanawiać się nad kwestyami polityczno-prawnemi, gdy uwagę jego pochłaniają wyprawy moskiewskie, gdy przedmiotem obrad sejmowych są głównie sprawy finansowe i wojenne. Pozostaje więc tylko polemika religijna i ta część piśmiennictwa, co z wojną w najściślejszym jest związku, t. j. historya. I w jednym i w drugim kierunku pisze się też wiele. Innowiercy, rozerwani pomiędzy sobą, przechodzą z stanowiska zaczepnego w odporne, katolicy, wsparci potężnie przez króla i Jezuitów i lepiej zorganizowani, występują coraz śmielej i bezwzględniej, a jedni i drudzy uderzają namiętnie na sektę aryańską, wstrętną zarówno dla protestantów jak i dla katolików. Przewaga jest po stronie kościoła katolickiego, który w tej chwili rozporządza całym zastępem pisarzy znamienitych i do walki polemicznej naukowo uzdolnionych. Patrycy Nidecki wydaje więc swoją Parallelę pomiędzy kościołem katolickim a „synagogami heretyckiemi“ (1576) i dzieło o „Prawdziwym kościele“ (De Ecclesia vera), tę samą kwestyę traktuje Stanisław Sokołowski w trzech księgach, wydanych w Ingolsztadzie w roku 1584., Hieronim Powodowski, kanonik gnieźnieński i sekretarz królewski, ogłasza „Wędzidło na sprosne błędy i bluźnierstwa nowych Aryanów“ (1582), Wilkowski, lekarz lubelski, z Aryanina katolik, opisuje powody swego nawrócenia, wytykając zarazem błędy aryańskie, a Skarga polemizuje zawzięcie z Wolanem, głównym w tej chwili reprezentantem herezyi na Litwie. Na te ataki odpowiadają innowiercy słabo. Szymon Budny broni się nie przeciw katolikom, ale przeciw unitaryuszom, którzy go potępili na soborze w Lusławicach w r. 1582., Niemojewski Jan i Paweł Orzechowski polemizują z Powodowskim i Wilkowskim, Wolan odpowiada trzykrotnie na zarzuty Skargi, ale i z tych odpowiedzi i z coraz częstszego nawracania się heretyków widać, że protestantyzm chyli się do upadku, że czas jego przeminął. Uwaga ogólna zwraca się też w inną stronę. Król, zamiłowany w historyi, jest szczególniejszym opiekunem kunsztu dziejopisarskiego; „Panosza“, „Gniazdo cnoty“ i „Hetman“ wystarczają Paprockiemu, aby uzyskać u Stefana roczną pensyę 40. złotych, Michał Brutto,

Wenecyanin, sekretarz królewski, otrzymuje znaczną bardzo płacę 841 złotych za napisanie historyi węgierskiej,[1]) na wyraźne polecenie króla i dodaje do tego z własnej zapewne inicyatywy komentarz o wojnie moskiewskiej. Ten sam przedmiot traktuje po mistrzowsku drugi sekretarz królewski, Jan Reinhold Heidenstein, przy pomocy samego Stefana, który dzieło jego w rękopisie przeglądał i poprawiał. Nawet instrukcye, na sejmiki wysyłane, zawierają całe ustępy z dziejów wojny moskiewskiej i odznaczają się jasnością stylu, ścisłością w wyrażeniach i uderzającą czytelnika prostotą, wolną od wszelkiej przesady i niepotrzebnej frazeologii. Noszą one na sobie wyraźne piętno charakteru i usposobienia monarchy, co słów napróżno nie tracił i czynami na sławę dla siebie i Rzeczypospolitej zarabiał. Sława ta była mu tak drogą, że nie wahał się surowymi edyktami zabraniać drukowania książek, które wypadki bieżące przedstawiały ze strony ujemnej i w sposób nieprawdziwy. Znając zaś wpływ piśmiennictwa na opinią publiczną, używał go zręcznie do swoich celów politycznych. Wtajemniczony w plany królewskie Zamoyski nakłonił Kochanowskiego do napisania „Odprawy posłów greckich“, która miała umysły przygotować do wojny moskiewskiej. Jakoż przedstawienie tego utworu „w Jazdowie nad Warszawą“ w roku 1578. i wiersz okolicznościowy, odspiewany przy dźwiękach lutni przez Klabera, miały podług świadectw współczesnych sprawić wrażenie głębokie na widzach i przyczynić się niemało do rozbudzenia zapału wojennego.

Odrębnie od tych wpływów dworskich rozwijała się historyczna literatura innego rodzaju. Jan Dymitr Solikowski napisał pamiętnik swój o bezkrólewiu po śmierci Zygmunta Augusta, o czasach Walezego i Batorego, zachowując niezawisłość zdania i sąd trzeźwy o wypadkach. Joachim Bielski pracował dalej nad swoją kroniką, z rzadką na owe czasy sumiennością i bezstronnością, Stryjkowski wreszcie, bałamutny cokolwiek samouk, pierwszy rozpoczął badania nad historyą Litwy, posługując się kronikami niemieckiemi i ruskiemi, lub wypisując Długosza i Miechowitę.

Wojownik i statysta, w życiu skromny, znał król Stefan jedną tylko namiętność, t. j. polowanie. W najtrudniejszem położeniu, wśród największych zawikłań, w przededniu wypraw moskiewskich, znajduje Batory zawsze chwilkę wolną dla myśliwskiej zabawy. Spiesząc podczas wojny gdańskiej z Bydgoszczy do Włocławka na konwokacyę poluje przez jeden dzień pod Inowrocławiem; po sejmie roku 1578. wybiega na łowy w Ostrołęcką puszczę, w podróży do Lwowa zatrzymuje się umyślnie w Jedlnie, aby swoją myśliwską żyłkę zadowolnić, podczas wypraw moskiewskich nigdy nie pominie Białowieży, nawet w Dziśnie „o wschodzie słońca na zając wyjeżdża codzień“, a w niepołomickiej puszczy gości niemal dłużej, niż w murach pobliskiego Krakowa. To zamiłowanie królewskie odbiło się i w literaturze współczesnej. Szlachcic mazowiecki, Mateusz Cygański, wydał własnym nakładem dziełko łowieckie pod tytułem „Myślistwo ptasze“ i otrzymał na to w roku 1581. osobny przywilej Stefana, a w 11 lat później ogłosił Tomasz Bielawski swego wierszo-

[1]) Źródła XI, 195.

wanego „Myśliwca“, który dziś do największych rzadkości bibliograficznych należy.[1])

Jakkolwiek przychylność Batorego dla rozwoju piśmiennictwa i dla ludzi uczonych wynikała z przekonania tego monarchy, to niewątpliwie wielki wpływ w tym względzie wywierał na króla także Jan Zamoyski, gorliwy opiekun nauk, osłaniający możną swoją protekcyą wszystkich niemal znakomitszych pisarzy współczesnych, zamyślający już wtedy o założeniu akademii zamoyskiej. Za staraniem i na zalecenie kanclerza otrzymuje nobilitacyą Paweł Szczerbicz, uczony wydawca „Zwierciadła saskiego“ i innych dzieł prawniczych, podobnie jak Walenty Łapczyński, zasłużony drukarz królewski, a następnie mężny żołnierz pod Połockiem i Wielkiemi Łukami. W jednym i drugim wypadku rozstrzyga nietyle odwaga na polu bitwy okazana, co zasługa około pracy naukowej, lub z nauką w związku będącej. Zamoyski nie waha się przyjąć do swego własnego herbu i mieszczanina krakowskiego Szczerbicza i owego sołtysa ze Strzałkowa, a król uważa za swój obowiązek „cnotę zaszczytem szlachectwa wynagrodzić“. Na tej zasadzie oparłszy się raz, można było społeczeństwo szlacheckie, zamknięte w sobie, zwolna zreformować i „plebejom“ otworzyć drogę do uzyskania przywilejów, będących wyłączną własnością jednej kasty Kto tę myśl podniósł pierwszy nie wiemy, ale to pewna, że za czasów Batorego nobilitacye są coraz częstsze, że sięgają coraz głębiej w masy ludowe i mieszczańskie i że wywołują swoją ilością nawet pewien niepokój w warstwach szlacheckich, a zadowolenie u „plebejów“. Podczas, gdy dotąd mniemano, że tylko uprawa roli i rycerskie rzemiosło jest dla szlachcica odpowiedniem zajęciem, twierdzi Klonowicz, bliski Zamoyskiemu, iż praca ręczna nawet szlachcica nie kazi. Tak sądził niewątpliwie król i kanclerz, a przykład z góry idący nie mógł pozostać bez wpływu na społeczeństwo, w gruncie demokratycznie usposobione. Więc chociaż może niejednemu dziwnem się zdawało, że zostawał szlachcicem taki Stanisław Pachołowiecki, co „różnemi charakterami trzydzieści pisem pisał“, to zwolna przyjmowała się zasada, że każda praca pożyteczna uzacnia i uszlachetnia i że kotlarczyk Walenty Wąs w niczem nie jest niższym od nobilitowanego Imć pana Walentego Połotyńskiego.

[1]) A. Pawiński: Stefan Batory jako myśliwiec. Warszawa w r. 1882.

Zygmunt III. Waza 1587—1632.

Bezkrólewie. Elekcya. Niespodziewany zgon króla Stefana rozbudził na nowo przytłumioną cokolwiek walkę stronnictw. Opozycya, przestraszona i skompromitowana ostatniemi wypadkami, podniosła śmielej głowę i zwróciła całą nienawiść swoją przeciw kanclerzowi, który był w tej chwili uosobieniem systemu rządowego i całej polityki królewskiej. Wiedział o tem dobrze Zamoyski, chociaż nieprzeczuwał może, aby złość i intrygi nieprzyjaciół jego mogły tak wielki ogień zapalić i uspokojone umysły porwać do tak zgubnych dla Rzeczypospolitej zamiarów.

Z Bełza, gdzie go doszła wiadomość o śmierci królewskiej, pisał on do ks. Krzysztofa Radziwiłła list pełen spokoju, rezygnacyi i prawdziwie obywatelskiego ducha. „W takowym przypadku Rzeczypospolitej — były słowa jego — nie godzi się nam odbiegać, ale czynić, co ludziom cnotliwym, dobrym i miłośnikom ojczyzny przystoi, a tego, coby było z jej najlepszem i najpożyteczniejszem jeden drugiemu pomagać“. Nie wszyscy niestety kierowali się takiemi zasadami. Jedni z słabości charakteru, drudzy z obrażonej dumy, inni z prywaty gotowi byli łączyć się z tymi, dla których jedyną pobudką działania była chęć zemsty i odwetu. Pierwszy Karnkowski, z Batorym niegdyś tak ściśle związany, dał przykład niewytłómaczonej jakiejś chwiejności. Chwyciwszy ster spraw publicznych w ręce swoje, do czego jako prymas zupełne miał prawo, zwołał on, natychmiast po śmierci Stefana, konwokacyą do Warszawy na dzień 2. lutego, zarazem jednak doradzał usilnie Zamoyskiemu, aby na zebranie to nieprzyjeżdżał, upewniając go, że i Łukasz Górka, wojewoda poznański, jeden z najzawziętszych nieprzyjaciół kanclerza, od zjazdu się uchyli.[1]) Usłuchał Zamoyski rady doświadczonego, jak mniemał, przyjaciela, ale niemałego doznał zawodu, gdy cała opozycya z Górką i Zborowskimi na czele zwaliła się do Warszawy, aby na konwokacyi przeprowadzić uchwały, wymierzone przeciw kanclerzowi i jego stronnikom. Tymczasem w kraju mnożyły się gwałty i bezprawia, samowola i nieposzanowanie władz rosło w sposób zastraszający. Jan Tarnowski, otoczony watahą sług swoich, napadł w Krakowie około kościoła N. P. Maryi na straż miejską, z warty idącą, zranił dwóch pachołków i zelżył rotmistrza; Seweryn Leksycki złupił sklep Macieja Czeczotki w Sukiennicach,[2]) studenci zburzyli zbór kalwiński w ulicy św. Jana; po wsiach działo się jeszcze gorzej, krzywdy, najazdy, „odejmowania majętności i wjeżdżania w nie“ dokuczyły obywatelom tak bardzo, że wojewoda krakowski, Andrzej Tenczyński, wydał wici, wzywając szlachtę do pospolitego ruszenia wrazie potrzeby. Spieszno więc było wszystkim z elekcyą i z owym zjazdem warszawskim, który miał oznaczyć termin i miejsce wyboru króla, a jakkolwiek prymas w uniwersałach rozesłanych, pewnych dopuścił się uchybień, za co go cierpkie spotkały wyrzuty, to jednak na konwokacyą stawili się senatorowie dość licznie. Brakowało tylko Litwy, która jak zwykle wyto-

[1]) List Zamoyskiego. Archiwa Radziwiłłów, str. 93.

[2]) Liber inscriptionum castren. Cracov. t. 134, fol. 146—149 i 420.

czyła dawniejsze swoje skargi, narzekała na zbyt bliski termin konwokacyi, wreszcie przysłała jako delegatów wojewodę trockiego i podkanclerzego Lwa Sapiehę.

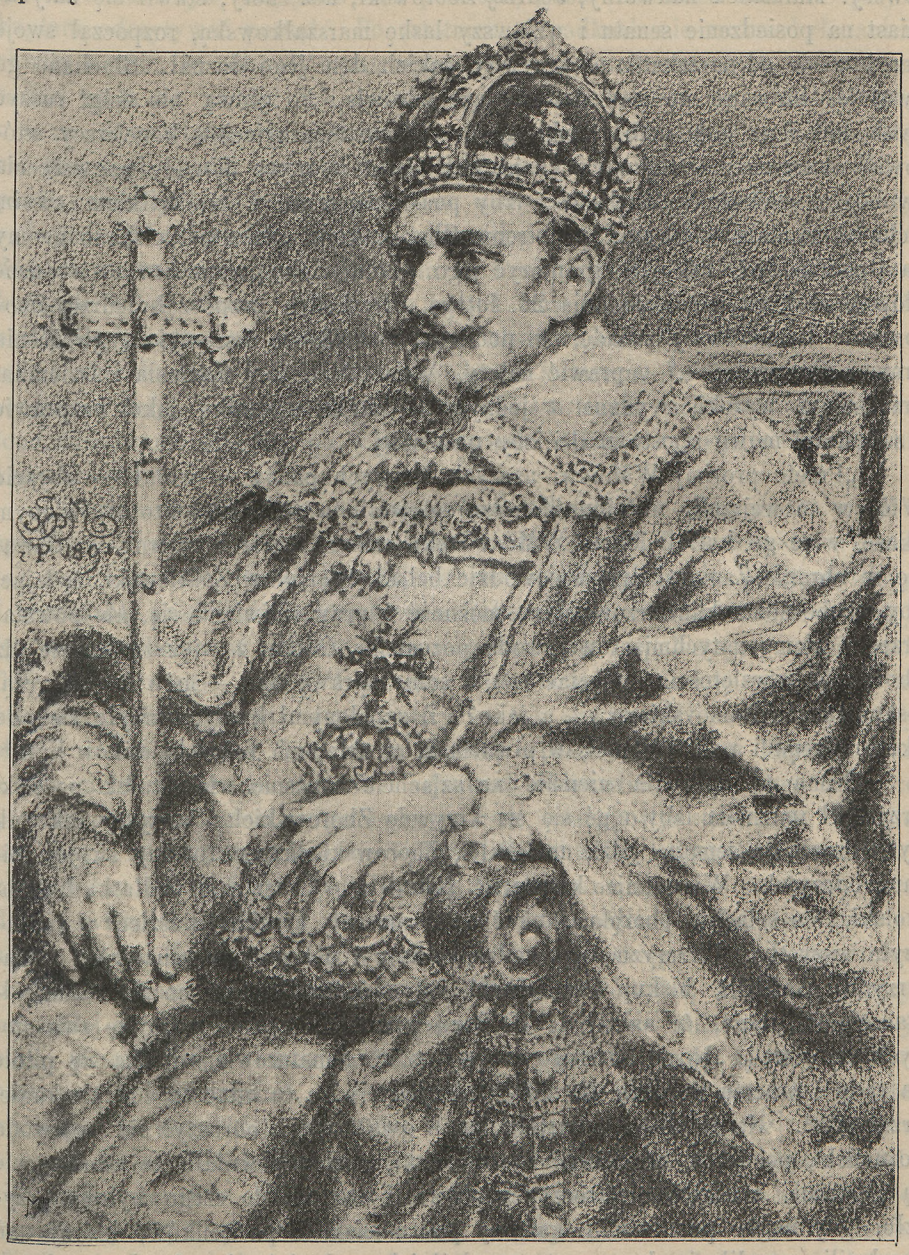

Zygmunt III.

Obrady sejmowe, nadzwyczaj burzliwe, trwały od 3. lutego do 13. marca. Stronnictwo Zborowskich, liczebnie silniejsze i ośmielone nieobecnością kanclerza, wytężyło wszystkie siły swoje, aby przeciwników pognębić. Uderzono najpierw na marszałka wielkiego koronnego Opalińskiego, stary Czarnkowski

wypowiedział mowę zjadliwą, pełną wycieczek przeciw prymasowi i radził czekać na przybycie Litwy. Jakoż przyjechała nie Litwa wprawdzie, ale Zborowscy. Marszałek nadworny, Jędrzej Zborowski, acz chory, stawił się natychmiast na posiedzenie senatu i wziąwszy laskę marszałkowską, rozpoczął swoje urzędowanie od narzekania na krzywdy, jakich dom jego doznał. Słuchano go uważnie, litowano się nad stanem jego zdrowia, bo głową nie mógł ruszyć swobodnie i na nogi jakoś niedomagał, a liczni nieprzyjaciele kanclerscy wtórowali skargom marszałka i wynajdywali coraz to nowe dowody pogwałcenia swobód i wolności. Większość izby poselskiej wraz z marszałkiem swoim Uchańskim stała widocznie po stronie Zborowskich. Stamtąd ciskano gromy na Opalińskiego, usiłując ograniczyć jego władzę, tam przypuszczono wreszcie główny atak na kanclerza dnia 26. lutego. Dyskusyą rozpoczął Jędrzej Zborowski. Postawiwszy zasadę, że podczas bezkrólewia wszystkie „zgwałcenia praw i ukrzywdzenia“ naprawić należy, wznowił sprawę Samuela i Dzierżka, przedstawił wyroki, wydane w jednym i drugim wypadku jako bezprawie i zakończył mowę apostrofą do izby poselskiej.

„Przeto prosimy WMciów, naszych Mciwych panów — wołał — abyście WMć w to wejrzeli, niewinność naszą ratowali, a jeśli więc kto się winnym okaże, więc go karali. Macie WMć w ręku miecz, macie i prawo“.[1]) Ozwał się w obronie Zamoyskiego wojewodzic bełski, Stanisław Żółkiewski, żądając, aby nieobecnemu kanclerzowi dano możność usprawiedliwienia się, ale powstał przeciw niemu natychmiast wojewoda poznański, Górka, z większą jeszcze niż Zborowski zawziętością. „Chciał pan o sobie sprawę dać — mówił z goryczą, wskazując na Zamoyskiego — a jako? Z zapalonymi knoty, kurzyło się pod okny naszemi i pod dachami, w piwnicach, w sklepach pełno hajduków było“.

Scena ta sprawiła niemałe na szlachcie wrażenie. Marszałek poselski przyrzekł imieniem izby ująć się za krzywdę Zborowskich i wszyscy tak jak byli ruszyli do senatu, gdzie marszałek Zborowski skargę rodziny swojej spisaną odczytał. W obronie kanclerza zabrał głos kasztelan podlaski Leśniowolski, ale szlachta poczęła „hukać a wrzeszczeć, krząkać, kaszleć“ i zagłuszyła wszystko. Terroryzm tego rodzaju oburzył nie pomału senatorów. Wawrzyniec Goślicki, biskup kamieniecki, odpowiedział też, że co się stało, odstać się nie może, że należy to P. Bogu poruczyć, a teraz o zgodę zwaśnionych się starać, „by co gorszego nie wyrosło“. Senatorowie schodzą się pilnie na radę i pracują szczerze dla dobra ojczyzny, a za to odnoszą co? „hukanie, krząkanie“. Na te słowa powstała burza gwałtowna; obruszył się wojewoda poznański, począł wykrzykiwać Czarnkowski, posłowie wołali, że senatorowie są „łotrami, a zdrajcami Rzeczypospolitej“ i kto wie do czego byłoby przyszło, gdy nagle piec wielki kaflowy pod naciskiem pacholików, którzy nań powłazili, zawalił się, kurz gęsty napełnił izbę całą i koniec obradom położył. Nazajutrz uspokoiły się cokolwiek umysły. Cztery tygodnie prawie trwały już obrady bez żadnego skutku, tymczasem drożyzna wzmagała się z dniem każdym i nietylko ubożsi, ale nawet zamożniejsi, wyglądali z upragnieniem zamknięcia

[1]) „Dyaryusz sejmu konwokacyjnego“. Wydał Dr. A. Sokołowski. W Krakowie 1887. Str. 22.

sesyi. Ze wszystkich stron zatem wołano o konkluzyą, o ułożenie t. zw. kapturu, który miał porządek w kraju ustalić i swawolę hamować. Pierwszy głos zabrała w tym względzie izba poselska, gdzie marszałek dnia 27. projekt kaptura odczytywać począł. Po ostatnich wypadkach nie można było ani na chwilę wątpić, że uchwały sejmu wypadną po myśli Zborowskich. Jakoż w zasadzie stało się zadość ich życzeniom, włożono mianowicie w kaptur ustęp o t. zw. eksorbitancyach, zastrzegając uroczyście, że do elekcyi szlachta dotąd nie przystąpi, „póki wszystkich ukrzywdzenia, któreby się jeno po zmarłym panie pokazały“, nie będą naprawione, utrzymano w mocy konfederacyą o dysydentach i ograniczono władzę hetmańską kanclerza, powierzając naczelne dowództwo nad zaciężnym żołnierzem na Podolu Mikołajowi Herburtowi, podkomorzemu halickiemu. Obok tego były i inne punkta, mniejszej doniosłości może, ale odkrywające nienawiść całą i właściwe cele Zborowskich. Postanowiono więc bratanków królewskich Andrzeja Batorego, kardynała i Baltazara wydalić z kraju, potępiono dzieło Heidensteina o wojnie moskiewskiej i uchwalono okazowanie szlachty po województwach w sześć tygodni po ukończeniu konwokacyi.

Obrady nad kapturem nie szły jednak tak gładko, jakby można się było spodziewać, po przewadze stronnictwa Zborowskich. Co krok bowiem wyłaziła jak szydło z woru jakaś prywata, co chwila odsłaniały się pokątne intrygi i konszachty przeciwników kanclerza z Rakuszanami. Stary Czarnkowski, przyjęty za konsyliarza od administratora magdeburskiego i pobierający z tego tytułu 300 złotych rocznej pensyi,[1]) domagał się natarczywie zwrotu odebranych mu starostw. „Ja chudzina, ślepy i stary — tak skwierczał — com 40 lat wysłużył, to mi pobrano, raczcież tę cedułkę wpisać i włożyć w kaptur, wszakeście mi to zawsze na sejmach i sejmikach obiecowali, albo więc solenniter protestuję przed Bogiem i jego świętymi i że o tem, co tu stanowicie, wiedzieć nie chcę i na to przyzwalać nie będę“.[2]) Szlachta nie spieszyła się wprawdzie z naprawieniem tej krzywdy, ale stary grzesznik umiał sobie straty wynagrodzić, nawiązując stosunki z dworem rakuskim. Dworzanin, a przytem ajent cesarski, Daniel Prinz, mieszkał w gospodzie Czarnkowskiego i tu przygotowywał pocichu broszurę, mającą wykazać przed światem korzyści, które dla Rzeczypospolitej wynikną z wyboru Austryaka. Gdy więc w izbie poselskiej uczyniono wniosek, aby cudzoziemców z kraju wydalić i zasadę tę do Batorych zastosowano bezwzględnie, a Stanisław Żółkiewski mniemał słusznie, że jeżeli wydalać, to wszystkich, nie tylko Węgrów, lecz także Niemców i Włochów, powstał na to Czarnkowski dowodząc, że postępowanie takie sprzeciwiałoby się prawu narodów. Tak wśród namiętnej dyskusyi i swarów bezustannych toczyły się rozprawy żółwiem krokiem, rozgoryczenie rosło, szlachta niecierpliwiła się i narzekała, prymas chory i zgryziony na posiedzeniach nie bywał Widzieli to Zborowscy i pragnęli konwokacyą czemprędzej ukończyć i opozycyą kanclerską z pola walki usunąć. Najniewygodniejszym był dla nich wojewodzic bełski, Żółkiewski, przeciw niemu więc zwrócili całą swoją nienawiść.

[1]) Dyaryusz, str. 21.
[1]) Tamże 26.

Dnia 3. marca uderzono jak zwykle na Zamoyskiego w izbie poselskiej. Znaleźli się obrońcy kanclerza, którzy podejrzenia rzucane na niego zbijali i dość wyraźnie owe praktyki Krzysztofa Zborowskiego z Moskwą wspominali. Mowa ta sprawiła wrażenie, posiedzenie przerwano, ale kiedy Żółkiewski, otoczony orszakiem służby z zamku wyjeżdżał, dworzanin kasztelana gnieźnieńskiego cisnął nań z tyłu czekanem. Unikając niepotrzebnego krwi rozlewu, zniósł Żółkiewski spokojnie obelgę, lecz nazajutrz opuścił Warszawę, ścigany przez zbrojne kupy Zborowskich i wojewody poznańskiego. W izbie pozostał tylko wojski przemyski Krasicki, aby przeciw uchwałom konwokacyi zaprotestować. Jakoż gdy przyszło do podpisywania i pieczętowania kapturu, okazały się znaczne różnice zdań. Biskupi, urażeni owym ustępem o dyssydentach, nie chcieli pieczętować kapturu, podkanclerzy litewski Sapieha wyjechał z Warszawy, kolega jego wojewoda trocki oświadczył, że Litwa ma swój kaptur, nawet Zborowscy, niezadowoleni z własnego dzieła, że im na wszystko nie pozwolono, jak chcieli, mianowicie w sprawie Samuela, powstawali przeciw uchwałom konwokacyjnym, Czarnkowski wołał, „że miasto konkluzyi stała się konfuzya“. I rzeczywiście odnieśli Zborowscy pyrrhusowe zwycięstwo. Wzburzywszy kraj cały, zawichrzywszy obrady sejmowe, przeprowadzili oni wprawdzie terroryzmem i podstępem cały szereg uchwał, przeciw którym jednak w chwili stanowczej jedni protestowali, których drudzy uznać nie chcieli. Więc chociaż powiodło im się nareszcie nakłonić biskupa kamienieckiego do podpisania kaptura, co mu duchowni bardzo za złe brali, to znaczna większość senatorów usunęła się od pieczętowania uchwał, które skutkiem tego powagi żadnej mieć nie mogły. Nie była z nich zadowolona i szlachta. Okazowanie czyli lustracya, wyznaczona na 8. maja, wkładała bowiem na stan rycerski niemałe ciężary. W myśl konstytucyi z roku 1563. miał każdy szlachcic w dniu oznaczonym stawić się w rynsztunku wojennym przed swoim wojewodą lub kasztelanem, „aby się wiedzieć mogło, czy jest gotów ku służbie Rzeczypospolitej, a ku obronie ojczyzny swojej“. Jak długo siła zbrojna państwa polegała na pospolitem ruszeniu, tak długo lustracye takie były i potrzebne i pożyteczne i ubolewać wypada tylko, że tak rzadko środka tego używano ze względu na znaczne koszta i niedogodności. Zborowscy popełnili niewątpliwie błąd wielki, pociągając stan rycerski w tej chwili do „okazowania“. Lustracya równała się uchwaleniu nowego podatku, odrywała szlachcica od jego zajęć gospodarskich, narażała go na koszta, stratę czasu i trudy obozowego życia, bo w przededniu elekcyi „pachnęła nawet sedycyą“. Nic dziwnego zatem, że skoro tylko wieść o uchwałach konwokacyjnych po kraju się rozeszła, powstała natychmiast silna opozycya przeciw okazowaniu. Sieradzanie na zjeździe w Bużeninie dnia 16. kwietnia zburzyli pierwsi cały reces konwokacyjny, a za ich przykładem poszły także inne województwa, z wyjątkiem sandomierskiego; wszędzie okazowanie było głównym kamieniem obrazy, bo „naszą bracią — tak pisze nie bez pewnego odcienia ironii Bielski — łatwiej na to namówi, coby nic nie dać, a z domu nigdziej wyjechać“. Najsroższa burza zerwała się w województwie ruskiem. Tu krótko jakoś przed śmiercią królewską został wojewodą Stanisław Żółkiewski, ojciec późniejszego hetmana i kanclerza wiel-

kiego koronnego. Przeciw tej nominacyi, jakoby bezprawnej, zaprotestowała część szlachty na pierwszym sejmiku, który się odbył we Lwowie podczas bezkrólewia. Atak był wymierzony właściwie na Zamoyskiego, bo wiedziano, że Żółkiewscy, szczególniej syn wojewody, w najściślejszych z hetmanem zostawali stosunkach, że sam wojewoda jemu głównie promocyą swoją zawdzięczał. Zamiary opozycyi nie powiodły się wprawdzie, stary Żółkiewski dowiódł, że województwo dzierży legalnie, ale nieprzyjaciele kanclerscy nie poprzestali na tem. Na następnym sejmiku w Wiśni dnia 8. maja 1587. roku podnieśli oni nanowo swoje zarzuty. Szlachta sanocka, widocznie najburzliwsza, oddzieliła się od innych powiatów i zająwszy stanowisko po drugiej stronie rzeczki Raka, zażądała, aby kasztelan przemyski wraz z dygnitarzami ziemskimi i wszystkiem rycerstwem, które około niego się zebrało, do niej przyjechał, gdyż wojewody nie uznają. Na to dziwne wezwanie secessyonistów dano oczywiście odpowiedź odmowną. Zaczęły się układy, posyłano posłów z jednej i z drugiej strony, koło wojewodzińskie oświadczyło się stanowczo przeciw uchwałom konwokacyi, wreszcie spisało protestacyą przeciw bezprawnemu postępowaniu Sanoczan, którzy znowu zgromadziwszy się w kościele, uchwalili pospolite ruszenie i cały szereg konstytucyj w myśl recesu warszawskiego.

Równolegle z tem jątrzeniem i podburzaniem umysłów postępowała inna podziemna robota Zborowskich, obliczona na łatwowierność szlachecką. W lutym roku 1587. ukazało się pismo ulotne,[1]) wynoszące pod niebiosa Zborowskich, jako obrońców prawdziwej wolności. Wszędzie, gdzie tylko swobody stanu rycerskiego były zagrożone, odzywały się piorunujące mowy Zbyszka, Rytwiańskiego i bohaterów kokoszych, pomiędzy którymi niepoślednia rola przypadła Zborowskim. Oni to pod Lwowem ujmowali się krzywd prywatnych, oni śmiało wytykali królowi urazy wolności, oni z całą bezwzględnością uderzali na gospodarkę i chciwość Bony, im więc przedewszystkiem należy się sława i uznanie. Tak było dawniej, jak dziś się dzieje, to miał wykazać w osobnym paszkwilu[2]) Bartosz Paprocki, który, nadszarpawszy ojczystej fortuny, szukał teraz u Zborowskich protekcyi i pieniędzy. Więc jakkolwiek przed kilkoma laty zaledwie porównywał Stefana Batorego z Bolesławem Chrobrym, a o zasługach Zamoyskiego obszernie się rozpisywał, obecnie z niesłychaną zawziętością i cynizmem rzucił się na pamięć króla, swego dobroczyńcy i na cześć kanclerza. Batory dążył, podług jego zdania, do zatracenia wolności szlacheckich, chciał poddać Rzeczpospolitę pod jarzmo pogańskie, Zborowskich rodzinę wygubić, z Polski Mołdawią albo Transalpinią uczynić. Pomocnikiem i uczestnikiem tych planów był oczywiście nie kto inny, jak basza (Zamoyski), co skarb królewski w niwecz obracał, co od Anspacha za księstwo pruskie wziął 20 tysięcy talarów, co połowicę poborów na swoje własne obracał potrzeby.

Ohydna ta książeczka, pełna jadu i podejrzeń nigdzie nie udowodnionych i niczem nieuzasadnionych, illustruje wybornie wartość moralną całego

[1]) Krótkie rzeczy potrzebnych z strony wolności y swobód polskich zebranie etc. 1587.

[2]) Upominek albo przestroga zacnemu narodowi polskiemu etc., napisany y wydany 1587. roku.

stronnictwa Zborowskich. Nie troska o dobro publiczne lecz nienawiść, nie miłość ojczyzny ale prywata i interes własny wiodły tych oligarchów na drogę opozycyi, posługującej się fałszem i zdradą.

Zachowanie się Zamoyskiego wobec tych napaści było pełne taktu i powagi. Na wszystkie zarzuty Zborowskich na konwokacyi czynione odpowiedział w liście obszernym do Karnkowskiego, postarał się o gruntowną krytykę[1]) uchwał warszawskiego sejmu, zresztą na broszury i paszkwile uwagi nie zwracał, lecz przez stosunki swoje po województwach wpływał na odrzucenie konstytucyj warszawskich, a w kwestyi wyboru przyszłego króla zajmował stanowisko wyczekujące. Może być, że w pierwszej chwili sprzyjał on kandydaturze Batorych, z którymi go bliskie łączyło powinowactwo, ale namiętne wystąpienie Zborowskich na konwokacyi i uchwały tam zapadłe przekonały go, że wybór Andrzeja lub Baltazara na największy musiałby natrafić trudności. Porzuciwszy wiec tę myśl, pragnął Zamoyski albo wyboru Piasta, albo takiego cudzoziemca, „który największe pożytki Rzeczypospolitej ukaże“, sprzeciwiał się zaś stanowczo Rakuszaninowi ze względu na niebezpieczeństwo wojny tureckiej.[2])

Innej zupełnie polityki trzymali się Zborowscy. Marszałek nadworny, Andrzej, zgłosił się przez powiernika swego Fuglera natychmiast po śmierci króla Stefana do biskupa ołomunieckiego Pawłowskiego, zapewniając go o swej uległości dla domu austryackiego i ofiarując usługi swoje przy elekcyi rakuskiemu kandydatowi,[3]) Czarnkowski tak jak dawniej tak i teraz był płatnym domu cesarskiego ajentem, a Górka, wojewoda poznański, spokrewniony z Zborowskimi i nienawidzący Zamoyskiego i Opalińskiego, należał duszą i ciałem do obozu opozycyjnego. Nie mniejsze rozerwanie trwało także na Litwie. Jerzy Radziwiłł, kardynał, był żarliwym stronnikiem Habsburgów, bracia jego myśleli o kandydaturze moskiewskiej, a i sam car Fiedor czynił poważne w tym kierunku zabiegi. Natychmiast po śmierci Stefana pisał do biskupa kujawskiego Rozrażewskiego, prosząc, aby kandydaturę jego popierał, popierali ją i bojarowie moskiewscy pomiędzy Litwinami, którzy ze względu na niebezpieczeństwo własne, woleli cara niż każdego innego kandydata. Planom tym stały na przeszkodzie dwie tylko okoliczności: różnica wiary i nieudolność samego Fiedora. Co się tyczy pierwszej, to można było oddawać się nadziei nawrócenia Moskwy, ale poważniejszą była obawa druga, bo „jeśli hospodar dureń, to kto się będzie panem opiekował?“ pytali Litwini, a myśl, że Zamoyski zostanie tym ochmistrzem królewskim, niepokoiła nawet Radziwiłłów, tak bliskich kanclerzowi.[4])

Niezależnie od tych zabiegów prowadziła królowa Anna własną swoją politykę. Dla serca jej tak przywiązanego do rodziny, a szczególniej do nieszczęśliwej siostry Katarzyny, istniał od początku tylko jeden kandydat do

---

[1]) Tek. Naruszewicza do roku 1587., nr. 16.

[2]) List do Krzysztofa Radziwiłła. Archiwum etc., str. 94.

[3]) Mayer: Des Olmützer Bischofes St. Pawłowski Gesandtschaftsreisen nach Polen. Kremsier 1861. Str. 19.

[4]) „Archiwum Radziwiłłów“, str. 33.

korony jagiellońskiej, ów serdecznie ukochany „Zyś“, brat „Janusi“, a syn Jana III. króla szwedzkiego, późniejszy Zygmunt III. O nim myślała ona od początku bezkrólewia, a ci, co bliżej dworu stali, w tydzień po śmierci królewskiej już koronowali w duchu królewicza szwedzkiego.[1]) Sama Anna nie kryła się wcale z swojemi zamiarami i uczuciami, biskupowi płockiemu Wolskiemu, gdy przyszedł powitać ją w Warszawie podczas konwokacyi, opowiadała z radością, że ma o siostrzeńcu dobre z Szwecyi nowiny, cesarskim posłom oświadczyła wyraźnie, że użyje wszelkich środków, aby Zygmunta na tronie polskim osadzić i że wszystkie beneficya i dygnitarstwa mazowieckie przeznacza tym, którzy kandydaturę „syna jej“ popierać będą.[2]) A że wiele zależało od zezwolenia króla Jana III., więc i do niego udała się listownie z zapytaniem, czy zezwoli synowi przyjąć koronę polską i dnia 24. marca otrzymała odpowiedź przychylną wraz z podziękowaniem za tyle życzliwości i poświęcenia.[3]) Ale i Rakuszanie niezasypiali sprawy. Pozyskawszy raz silne stronnictwo w Koronie i Litwie, starali się oni teraz zjednać sobie przeciwników. Biskupowi Pawłowskiemu zalecił cesarz Rudolf II. szczególniej, aby pogodził Zamoyskiego i Opalińskiego z Zborowskimi i Górką, wrazie zaś, gdyby usiłowania te spełzły na niczem, aby pozyskał dla kandydatury rakuskiej w jakikolwiekbądź sposób kanclerza. Jakoż tajna instrukcya upoważniała posłów cesarskich do propozycyj nadzwyczaj świetnych i ponętnych. Mieli oni ofiarować Zamoyskiemu tytuł książęcy, a od króla Filipa II. order złotego runa i 200.000 dukatów.[4]) Z innymi senatorami traktowano listownie i przez ajentów Polaków, którzy w służbie austryackiej zostawali. Arcyksiążę Maciej pismem z Szczecina wysłanem (10. kwietnia) polecał swoją kandydaturę marszałkowi wielkiemu koronnemu Opalińskiemu, Ernest za pośrednictwem jakiegoś Andrzeja Rogulskiego zwracał się w tym samym celu do Piotra Kostki, biskupa chełmińskiego, Maksymilian przez dworzanina swego Piotra Choynackiego starał się o względy marszałka.[5]) Ten ostatni szczególniej był przedmiotem usilnych zabiegów rakuskiego dworu. W Wiedniu wiedziano dobrze o ścisłej przyjaźni, jaka łączyła Opalińskiego z Zamoyskim, wiedziano, że marszałek w Wielkopolsce znaczne posiada wpływy i jako jeden z pierwszych senatorów w Rzeczypospolitej odegrać musi ważną rolę na sejmie elekcyjnym, uderzono więc na niego ze wszystkich stron natarczywie: obsyłali go listami arcyksiążęta, pisał do niego własnoręcznie cesarz Rudolf II., ale najwięcej zabiegów czynił Maksymilian przez żyda kaliskiego Mandla i przez innych ajentów, Polaków, którzy po Koronie i Litwie się uwijali.

Marszałek odpowiadał z początku chłodno i wymijająco, następnie jednak wdał się w układy z natarczywym kandydatem. Szły więc listy za listami z Wiednia do Wielkopolski, a zawierały propozycye coraz ponętniejsze. Maksymilian zobowiązywał się pogodzić Zborowskich i Górkę z kanclerzem i mar-

[1]) List Sapiehy w „Archiwum Radziwiłłów“, str. 186.
[2]) List Pawłowskiego u Mayera, str. 50.
[3]) List Jana w Tekach Naruszewicza do roku 1587., nr. 15.
[4]) Mayer etc., str. 166.
[5]) Listy w Tek. Naruszewicza do roku 1587.

szałkiem, przyrzekał uważać Opalińskiego za najlepszego swego przyjaciela i krewnego, obiecywał mu wrazie, gdyby był obrany królem, starostwo samborskie lub grodeckie, wreszcie ofiarował się zapłacić dług, który marszałek zaciągnął u jakiegoś Sihenacha, w sumie 10.000 talarów.[1])

Wśród takich zabiegów zbliżył się dzień 29. czerwca, wyznaczony przez sejm konwokacyjny na elekcyą. Stronnictwa zbierały się rojno i zbrojno na plac wyborów. Prymas przyprowadził 500 koni, wojewoda poznański Górka 500 piechoty, 586 husarzy, rajtarów i kozaków, dział wielkich 10, hakownic 60, starosta śniatyński Jazłowiecki 400 koni, ale wszystkich przewyższył kanclerz, który 30. czerwca w południe przybył do Warszawy. „Było — powiada współczesny dyaryusz — koni naprzód po usarsku 20, lamparty odziane; za nim szło hajduków czarnych, chłopów czystych, około tysiąca, za nimi usarze z tarczami, z kopiami około 800 koni, za nimi strzelba, kar po dwu koni około 20, na każdej karze skrzyneczka z kulami i prochy, za karami szło dział 6; po nich szła niemiecka rota koni 1000, potem jechało przed panem kanclerzem osób około 300, za nimi strzelców na koniech w półhaki około 600“. Ogółem obliczano potęgę Zamoyskiego na 6000 ludzi, a wszystko to był żołnierz wyborowy, dobrze odziany i uzbrojony, zaopatrzony we wszelkie potrzeby, bo i prochów i kul i wołów i żywności rozmaitej prowadzono mnóstwo, jak na wielką wyprawę wojenną. Obok pocztów senatorskich roiły się tłumy szlachty. Najliczniej zgromadzili się Mazurzy, gmin chudopacholski, w szyszakach z łubu świerkowego, z gęsiemi piórami, „mało nie wszystko na kijach“. Nieświadomi polityki, a mający w żywej pamięci rolę, jaką odegrali przy elekcyi Henrykowej, przybywali oni z gotowym kandydatem i obstąpiwszy gromadnie okop senatorski, prosili o Moskwicina. Oburzył się na to wielce podstarości nurski, Podoski, stronnik cesarza, wołając, że to był czas sianokosów, „przystojniej wam grabarka patrzy z oczu niźli elekcya“, ale szlachta zaczęła huczeć, stołkami i siekierkami na niego ciskać, tak, że go zaledwie uprowadzić zdołano. Początek obrad nie zapowiadał więc nic dobrego. Zborowscy wystąpili ze sprawą Samuela, Czarnkowski, narzekający wiecznie na swoje krzywdy, burzył umysły zjadliwemi wycieczkami swojemi przeciw kanclerzowi, rozdrażnienie rosło z dniem każdym, wreszcie d. 6. lipca przyszło do zupełnego rozdwojenia. Koło rycerskie podzieliło się na dwa stronnictwa: jedno, które trzymało się uchwał konwokacyjnych i drugie, konstytucyom owym przeciwne. Do pierwszego należeli oczywiście Zborowscy, Czarnkowski, Górka, Tenczyński, kasztelan Wojnicki i Mikołaj Jazłowiecki, starosta śniatyński, przeciwnicy konwokacyi kupili się około Zamoyskiego, przy którym stał Opaliński, wojewoda kijowski, Konstantyn książe Ostrogski i syn jego wojewoda wołyński. Koło to nazywało się także czarnem z powodu żałoby, jaką tam po królu zmarłym noszono. Litwa spóźniła się jak zwykle, wytoczyła najrozmaitsze skargi i pod różnemi pozorami trzymała się na uboczu, konferując w zamku przez delegatów z senatorami.

Pole elekcyjne przedstawiało w ten sposób widok niezwykły. W środku wznosił się t. zw. okóp, miejsce posiedzeń senatu, o ćwierć mili stamtąd roz-

[1]) Podług listów w Tek. Naruszewicza do roku 1587.

X. Piotra Skargi kazanie sejmowe w katedrze na Wawelu przed królem Zygmuntem III.
Wedle obrazu Jana Matejki.

ciągały się warowne obozy kanclerza i wojewody kijowskiego, z drugiej strony stali stronnicy Zborowskich, także od stóp do głów uzbrojeni, a wśród tych dwóch armii, do boju gotowych, snuła się szlachta z rozmaitych województw, rozważając, dokąd właściwie przyłączyćby się należało. Z początku łudzono się jeszcze nadzieją pogodzenia zwaśnionych przeciwników. Natychmiast po sejmie konwokacyjnym jęli się tej sprawy senatorowie na „jednaczów“ wyznaczeni: wojewoda sandomierski Szafraniec i kasztelan biecki Firlej, były rozmaite namowy, był jakiś zjazd w Karczewie, dokąd Zamoyski się stawił, ale to wszystko żadnego nie miało skutku. Zborowscy stali twardo przy swoich żądaniach, od uchwał konwokacyjnych odstąpić nie chcieli i domagali się, aby sprawę Samuela król przyszły rozstrzygnął i aby teraz już zdjęty był z Krzysztofa wyrok infamii. W tak trudnem położeniu próbowano znowu kompromisu; w jednem i w drugiem Kole odbywały się narady, deputacye chodziły tam i napowrót, układano t. zw. „spiski“, aby zmodyfikować warunki stron obu, pośredniczył prymas, ale wszystko napróżno, zamiast zbliżenia rosło rozdrażnienie i Prokop Pękosławski wołał już 15. lipca o rokosz, chcąc pokazać zdrajców Rzeczypospolitej. Nie pomogło to jednak Zborowskim, bo szlachta widocznie przykrzyć sobie już poczynała i województwa dotąd niezdecydowane, przechodziły na stronę kanclerza. Dnia 9. lipca przystąpiły województwa mazowieckie i płockie do Koła czarnego, za ich przykładem poszło także rawskie.

Zborowscy czuli, że im się grunt z pod nóg usuwa, więc 18. lipca wnieśli żałobę na kanclerza o zabicie Samuela. Zamoyski nie zwlekał z odpowiedzią, dnia 22. lipca przybył do senatu i tu w dłuższej mowie wykazał dowodnie, jak nieuzasadnione i podstępne były zarzuty przeciwników, następnie udał się do obu Kół rycerskich, gdzie to usprawiedliwienie swoje ze skryptu czytać kazał. Skutek nie odpowiedział jednak oczekiwaniom, bo chociaż arcybiskup podawał nowe warunki rozejmu pomiędzy zwaśnionemi stronami, to Koło Zborowskich, nazywające się już Kołem generalnem, nie chciało słyszeć o niczem, owszem, zaczęło głośno narzekać na senatorów, że napróżno czas tracą i wreszcie na dzień 27. lipca obwołało rokosz, o którym Kazimirski długo się rozwodził twierdząc, „że jest zawżdy potrzebny tak za Pana, jako i bez Pana, bo za Pana naprawował Pana, naprawował senatory, bez Pana urzędniki, wolności, swobody“. Nadaremnie odpowiadali na to senatorowie, że „rokosz“ to „słowo, językowi polskiemu nieznajome“, że ani prawem ani zwyczajem nie jest uprzywilejowane, że sprawy domowe w „huku“ odprawować się nie mogą, rozdrażnienie było tak wielkie, że nagle podczas czytania owego pisma senatorskiego powstał rozruch niesłychany i wszystko rzuciło się do broni. Z jednej i z drugiej strony okopu ukazały się wojska niemałe, marszałek wielki koronny dosiadł konia, porwali się i inni za jego przykładem, wśród zgiełku i wrzawy padł nagle strzał i ugodził śmiertelnie ks. Brzezińskiego, kanclerza biskupa kujawskiego. Za okopem tymczasem stały już wojska w szyku bojowym i walka bratobójcza zdawała się nieuchronną. Dopiero usiłowaniom wojewody krakowskiego i kasztelana bieckiego powiodło się obie strony zahamować i rozlewowi krwi przeszkodzić. Nad wieczorem powróciły wojska do obozów, a arcy-

biskup kazał w nocy spalić szopę, sprofanowaną zabiciem ks. Brzezińskiego i miejsce posiedzeń przeniósł bliżej ku miastu. Dokładniej poinformowani twierdzili, że prymas w ten sposób chciał oddalić się od obozu kanclerskiego.

Tymczasem szlachta zaczęła sobie przykrzeć długie a bezowocne sejmowanie. Cztery tygodnie już trwały obrady wśród ciągłych waśni i sporów, a rozerwanie było coraz większe; Litwa nie chciała brać w niczem udziału tak długo, dokąd skargi ich i żądania nie będą uwzględnione, Prusacy wystąpili ostro z swojemi postulatami, Krzysztof Zborowski z kupą najemnych żołdaków zbliżał się ku Warszawie, na granicy szląskiej ukazywali się „jacyś ludzie niemieccy w hussarskich sukniach“, zmierzając do Krakowa, a agitacya moskiewska obejmowała coraz szersze koła. Przyjechali dworzanie wielkiego kniazia z listami do senatorów, których proszono, aby się starali o zjednoczenie obu państw „dla pokoju od bisurmanów“, szlachta litewska i słudzy uczynili sobie Koło osobne i przez aklamacyą zezwalali na moskiewskiego kandydata, u Orszy schwytano jakiegoś Niemca, który z listami przekradał się do Moskwy. Widocznie więc poza plecyma elektorów szlacheckich, kłócących się zawzięcie ze sobą, knuto intrygę w celu oddania korony jednemu z potężnych sąsiadów Rzeczypospolitej, a z cicha przebąkiwano już o porozumieniu pomiędzy cesarzem i wielkim kniaziem. W takim składzie rzeczy pospiech był konieczny; wypadało albo natychmiast przystąpić do elekcyi, albo też jak chcieli niektórzy, wybór odłożyć na czas sposobniejszy, ubezpieczywszy się poprzednio od jakiegoś niespodziewanego zamachu ze strony przeciwników.

Ponownie więc zaczęły się układy pomiędzy stronnictwami i po długich sporach doprowadzono wreszcie do tego, że d. 13. sierpnia artykuły pokojowe uchwalone i ogłoszone zostały, a dzień następny wyznaczono na posłuchanie posłów cudzoziemskich. Ale była to tylko zgoda pozorna, bo rozbudzone namiętności nie dały się pohamować łatwo. Tego samego wieczora jeszcze zabito w mieście siedmiu; zginął starosta łomżyński Wąssowicz, Jędrzej Ossoliński, żupnik ruski, został szkodliwie postrzelony, Połotyński, podchmieliwszy sobie u wojewody wileńskiego, utonął w Wiśle. Wśród takiego rozdrażnienia umysłów zabłysnął dzień 14. sierpnia, w którym losy Rzeczypospolitej rozstrzygnąć sie miały. Koło generalne, liczniejsze i powagą prymasa wsparte, uprzedziło przeciwników, przystępując odrazu do przesłuchania posłów cudzoziemskich. Pierwszy przybył legat papieski Annibal z Kapui, arcybiskup neapolitański, biegły jurysta i zdeklarowany przyjaciel Habsburgów. Wyjechał on z Włoch przy końcu roku 1586., aby w imieniu papieża Sykstusa V. układać się z Stefanem Batorym o wojnę moskiewską i turecką. Wiadomość o śmierci królewskiej zatrzymała go w Wiedniu przez czas pewien, niebawem jednak nadeszły z Rzymu instrukcye nowe, które polecały Annibalowi, aby poselstwo swoje sprawował dalej i popierał wybór Maksymiliana.[1]) Skłaniały do tego Stolicę apostolską względy religijne raczej, niż polityczne. W Rzymie wiedziano wprawdzie, że królewicz szwedzki był przez matkę wychowany w wierze katolickiej, obawiano się jednakże, że wzrósłszy w otoczeniu heretyckiem, przychylniejszym będzie dla innowierców, niż prawowierny kandydat rakuski. Prze-

[1]) Przeździecki Aleksander: Listy Annibala z Kapui, Warszawa 1852.

konanie to podzielał kardynał Jerzy Radziwiłł i znawca stosunków polskich Possewin, który w Ołomuńcu przysięgał biskupowi Pawłowskiemu „na krew Chrystusa“, że będzie popierał kandydaturę arcyksięcia Ernesta lub Maksymiliana. W takiem położeniu musiał Annibal ściśle trzymać się instrukcyi i działać w porozumieniu z posłami austryackimi i stronnictwem Zborowskich. Pozornie więc zajmował stanowisko bezstronne, domagał się wyboru króla katolika, po cichu zaś agitował przeciw Zygmuntowi, przedstawiając go jako przyjaciela heretyków, cierpiącego nadto rodzaj pomięszania zmysłów, która to choroba była dziedziczną niemal w rodzinie Wazów.[1]) W podobny sposób przemawiał on także na audyencyi w Kole generalnem, zalecając gorąco wybór Rakuszanina. Po legacie przyszła kolej na poselstwo austryackie. Sprawował je biskup ołomuniecki Stanisław Pawłowski, biegły zarówno w języku czeskim jak i polskim, wspólnie z Karolem, księciem oleśnickim i munsterberskim. Odwołując się na pokrewieństwo pomiędzy Jagiellonami i Habsburgami i wspominając wybór cesarza Maksymiliana II., polecał on kandydaturę jednego z arcyksiążąt, szczególniej Maksymiliana, a na poparcie przytaczał list przyczynny Filipa II., króla hiszpańskiego, pisany do senatorów polskich. Ozwali się podobnie za kandydatem rakuskim posłowie elektorów niemieckich i konsyliarze od Anspacha przysłani, podnosząc potrzebę wspólnej obrony państw chrześciańskich przeciw groźnej potędze Osmanów.

Wobec tak silnego poparcia Rakuszanina nie mieli inni kandydaci wielkich w tem Kole widoków. Traktowano ich też z oczywistem lekceważeniem. Posłom moskiewskim dał odpowiedź kasztelan wileński „po cichu, ruskim językiem“, mowcę szwedzkiego, Palmeriusa, nazwano ironicznie „chłopcem“, zwycięstwo Maksymiliana zdawało się pewnem. Czarne Koło tymczasem, nie bawiąc wiele, przystąpiło wprost do elekcyi; odspiewano Veni Creator „z nabożeństwem wielkiem i płaczem serdecznym“, poczem senatorowie obecni oddawali głosy, a że każdy obszernie zdanie swoje uzasadniał, więc o rezultacie dnia tego mowy być nie mogło. Wota padały rozmaicie, większość przechylała się jednak widocznie na stronę królewicza szwedzkiego. Zamoyski oświadczył się wprost za Piastem, jako najodpowiedniejszym kandydatem, ale zdanie swoje poddawał zgodzie powszechnej, rycerstwo podobnie pragnęło Piasta, a godziło się na Zygmunta.

Mytyczny Piast, którego imiennie nawet nie mianowano, był widocznie najwygodniejszą dla szwedzkiej kandydatury osłoną. Głosowanie, rozpoczęte w ten sposób, trwało pięć dni. Zwlekano snać umyślnie, aby Kołu generalnemu dać czas do upamiętania się, aby przeciągnąć na swoją stronę prymasa i Litwę. Jakoż codziennie chodziły poselstwa tam i nazad, jak dawniej, bezowocnie. Zborowscy stali twardo przy Rakuszaninie, przy konwokacyi i domagali się stanowczo przywrócenia czci Krzysztofowi i rewizyi procesu Samuela. Prymas Karnkowski, acz powolny dotychczas ich życzeniom, stracił wreszcie cierpliwość i w mowie dość szorstkiej wyrzucił Krzysztofowi, że wbrew obietnicy swojej z zbrojną kupą na elekcyą przyjechał. Co do kandydatów po-

[1]) Mayer l. c. str. 31.

wiedział: „Z Niemcem nie pojadę do domu, bo widzę, że to jest przeciwko braci“. Niespodziewany zwrot ten przeraził Zborowskich, postanowili zatem prymasa gwałtem w Kole swojem zatrzymać i do nominacyi Maksymiliana zmusić. Karnkowski jednak, wcześnie przestrzeżony, uniknął zasadzki i przeniósł się do Koła czarnego, a za jego przykładem poszli wszyscy biskupi, z wyjątkiem Jakóba Woronieckiego, nominata kijowskiego, który wytrwał pod sztandarem rakuskim. Dnia 19. sierpnia zrana zasiedli duchowni w Kole antikonwokacyjnem, prymas oświadczył się za królewiczem szwedzkim i zirytowany widocznie prosił, „aby bezpieczeństwo zdrowia jego było opatrzone“. Licznie zgromadzone rycerstwo przyjęło wdzięcznie mowę starca, obronę osoby jego powierzono Andrzejowi Zebrzydowskiemu, podczaszemu koronnemu i Pieniążkowi, kawalerowi maltańskiemu, poczem już bez zwłoki przystąpiono do ukończenia elekcyi. Około godziny pierwszej arcybiskup „z nabożeństwem i płaczem“ nominował królem Zygmunta i cały obóz ruszył ku miastu wśród radosnych okrzyków. Uroczysty ten dzień zakończono odśpiewaniem Te Deum w kościele św. Jana, w obecności królowej Anny.

W Kole generalnem wywołała wiadomość o nominacyi Zygmunta niemałą konsternacyą. Rzucono się z początku do broni, chciano uderzyć na orszak prymasa, gdy udawał się do miasta, ale Zamoyski przewidując to wszystko, wyprowadził wojsko z obozu i powstrzymał niewczesne zapędy opozycyi. Obawy były jednak wielkie, lękano się zamachu na Karnkowskiego i wyznaczono mu dla bezpieczeństwa mieszkanie na zamku. Nazajutrz rozpoczęły się układy z Litwą i posłami szwedzkimi. Senatorowie litewscy skarzyli się, że elekcyą dokonano bez ich udziału, żądali odstąpienia Inflant, unieważnienia wyboru Zygmunta i losowania między kandydatami do korony. Polacy odrzucili krótko te warunki. Tymczasem w Kole generalnem, wśród wielkiego oburzenia na prymasa, zaczęła się elekcya. Przywrócono do czci Krzysztofa Zborowskiego, odczytano pomimo protestów katolickiej partyi konfederacyą ze strony religii, biskup kijowski zaintonował Veni Creator i oddał głos swój na Maksymiliana, za jego przykładem poszli inni. Szlachta litewska z Janem Pacem na czele oświadczyła się za kandydatem moskiewskim, którego popierał także Janusz Zbaraski, wojewoda bracławski, ale marszałek Zborowski, obliczywszy głosy, stwierdził mimo protestu Kazimirskiego, że większość ma Maksymilian. Jego też ogłoszono królem wśród hucznych okrzyków i strzałów armatnich, poczem w kościele bernardyńskim, na przedmieściu wtedy położonym, odspiewano Te Deum. Tak skończyła się trzecia z kolei elekcya zupełnem rozdwojeniem i wojna domowa była nieunikniona.

Oblężenie Krakowa. — Bitwa pod Byczyną. — Układ będzyński. Intrygi rakuskie. Przewidując zamiary Maksymilianistów zakrzątnęło się stronnictwo kanclerskie natychmiast około ubezpieczenia dokonanego dzieła. Ułożono więc pakta konwenta z posłami szwedzkimi, wysłano po Zygmunta Marcina Leśniowolskiego, kasztelana podlaskiego, wyznaczono senatorów i delegatów rycerskiego stanu na przyjęcie elekta w Gdańsku, a Maksymiliana osobnem poselstwem ostrzeżono, aby „nie zadawał trudności Koronie i wszystkiego chrześcijaństwa nie zapalał, a od małej trocha ludzi, którzy go obrali, królestwa nie przyjmował“.

Że zaś od strony szląskiej dochodziły niespokojne wieści i w województwie krakowskiem Zborowscy licznych mieli zwolenników, polecono Mikołajowi Zebrzydowskiemu, staroście krakowskiemu, aby strzegł pilnie zamku i miasta i umówiono nadto zjazd walny do Wiślicy, skąd wszyscy na koronacyą do Krakowa, na dzień 8. października, udać się mieli. Środki te nie były jednak dostateczne. Należało przedewszystkiem zorganizować obronę kraju, nie spuszczając się na pospolite ruszenie. Użyto więc na ten cel t. zw. kwarty, królowa Anna dodała od siebie sto tysięcy złotych i za te pieniądze zaciągnął kanclerz natychmiast żołnierzy i ruszył z nimi do Krakowa.

Strona przeciwna ubiegła tymczasem Wiślicę, nie przeszkodziła jednak przez to zamierzonemu zjazdowi. W oznaczonym czasie zebrali się pod Wiślicą licznie zwolennicy kanclerza, stawił się i Zamoyski, potwierdzono wybór Zygmunta i wyprawiono do niego Stanisława Cikowskiego, podkomorzego krakowskiego, poczem kanclerz ruszył do Krakowa, bo już dochodziły wieści pewne, że Maksymilian złożył przysięgę na pakta konwenta w Ołomuńcu i zebrawszy wojsko niemałe, na Opawę, Raciborz, Gliwice i Bytom ciągnie do Krakowa. Jakoż arcyksiąże rzeczywiście, lekceważąc sobie listowne przestrogi Zamoyskiego i przedstawienia posłów polskich, których w Sławkowie nawet uwięzić kazał, zajął Będzin i Olkusz i stanął w Prądniku pod Krakowem. Na tem jednak skończyło się jego powodzenie, bo kanclerz, zająwszy stanowisko obronne pod Kleparzem i opatrzywszy należycie mury miasta zmusił ogniem działowym nieprzyjaciela do odwrotu. W takiem położeniu cofnął się Maksymilian do Mogiły i zaczął stąd próbować układów. Obsyłał więc listami kapitułę, akademię i magistrat, usiłował przeciągnąć na swoją stronę Zamoyskiego, zwoływał szlachtę na zjazd do Mogiły, wszystko bezskutecznie. Mieszczaństwo i kapituła osobnem poselstwem oświadczyli, że trwają w wierności dla Zygmunta. Tymczasem nadeszły Maksymilianowi posiłki, przybył mianowicie wojewoda poznański Górka, starosta śniatyński Jazłowiecki i arcyksiąże, złożywszy radę wojenną, postanowił uderzyć na Kraków. Dnia 23. listopada, wśród gęstej mgły, obeszły wojska jego stanowisko kanclerskie i piechota nagle uderzyła na przedmieście Garbarze, przez Niemców zamieszkałe, a wyparłszy stamtąd Polaków, rzuciła się ku Szewskiej Bramie. W tej krytycznej chwili nadbiegł jednak Zamoyski i porwawszy chorągiew, sam poprowadził swoich w ogień. Przykład wodza dodał ducha żołnierzom, z murów miejskich posypał się grad kul, ryknęły działa kanclerskie z wyżyny kleparskiej, rotmistrz Łaszcz wypadł z Bramy Szewskiej, nieprzyjaciel zdziwiony i przestraszony zawahał się najpierw, a następnie cofać się począł. Na Garbarzach, wśród ogrodów i płotów gęstych, zawrzała straszliwa walka, Maksymilianiści, parci ze wszystkich stron, utrzymać się nie mogli i znacząc odwrót swój trupami, uciekali za miasto pod opiekuńcze skrzydła ustawionej tam jazdy. Ale i tu już niewielkiej mogli się spodziewać pomocy, bo chorągwie kanclerskie złamały tymczasem jazdę wojewody poznańskiego, zdobyły działa i razem z czarną piechotą Zamoyskiego miały zadać cios ostatni nieprzyjacielowi. Wtedy kazał Maksymilian zatrąbić do odwrotu i zdziesiątkowane zastępy jego ruszyły ku Mogile, a stamtąd ku Krzepicom.

Kiedy tak arcyksiąże, zaufawszy złudnym obietnicom Zborowskich, marnował pod murami Krakowa czas, pieniądze i ludzi, przedzierał się królewicz szwedzki po niebezpiecznych drogach do nowej swojej stolicy, gdzie przybycia jego z niecierpliwością oczekiwano. Minął bowiem już termin na koronacyą wyznaczony, z Szwecyi dochodziły wieści niepokojące, a nieprzyjaciele kanclerza szeptali z cicha, że Zamoyski sam pragnie korony, że wybór Zygmunta pokrywa tylko ambitne zamiary wszechpotężnego hetmana. W rzeczywistości miała się rzecz inaczej. Kasztelan podlaski przybywszy do Kolmaru, gdzie podtenczas dwór szwedzki się znajdował, natrafił na nieprzewidziane trudności. Król Jan III. oburzył się bowiem mocno na warunki, podane synowi. Pakta konwenta, ułożone na polu elekcyjnem i przyjęte przez posłów szwedzkich, orzekały pomiędzy innemi, że Zygmunt odda Estonią Polsce jeszcze za życia ojca, że wystawi własnym kosztem flotę na morzu Bałtyckiem i że długi Rzeczypospolitej zapłaci. Jeżeli dwa ostatnie punkta dla niezamożnego królewicza szwedzkiego były niemal niepodobne do wykonania, to oddanie Estonii dotykało najżywotniejszych interesów szwedzkich i wywracało z gruntu zasady polityczne króla Jana III., który, jak wiadomo, do żadnych ustępstw w tym względzie nakłonić się nie dał. Podziwiać trzeba zaiste naiwność Polaków i lekkomyślność posłów szwedzkich, gdy jedni warunki tego rodzaju stawiali, a drudzy je przyjmowali. Rzeczpospolita miała niewątpliwie prawo domagać się zwrotu Estonii, ale Jan III., jako król szwedzki, nie mógł pozwolić żadną miarą na uszczuplenie swego dziedzicznego państwa. Łatwo wyobrazić sobie zatem, jakiego przyjęcia doznał w Sztokholmie poseł polski, Leśniowolski. Wobec niechęci Jana III., wobec listów Maksymiliana, który usiłował odwieść Szwecyą od mięszania się w sprawy polskie, była obawa, że Zygmunt korony nie przyjmie. Stało się jednak inaczej. Królewicz szwedzki, wychowany przez matkę w wierze katolickiej, nie posiadał sympatyi protestanckich Szwedów, a stryj jego Karol, książe Sudermanii, człowiek pełen ambicyi i teraz już może o koronie zamyślający, pragnął pozbyć się niebezpiecznego współzawodnika. Stany szwedzkie zatem pozwoliły Zygmuntowi na przyjęcie korony polskiej pod warunkiem, że Szwecyi nie umniejszy, że w razie śmierci ojca ustanowi gubernatora i że katolików do kraju sprowadzać nie będzie. Warunki te, stawiające Zygmunta odrazu w sprzeczności z całym programem politycznym tego stronnictwa, które go na tron polski wyniosło, stały się nieustającem źródłem wewnętrznych zatargów i owej nieszczęsnej wojny szwedzkiej, co przez lat 60 bez mała trapiła Rzeczpospolitę i była jedną z głównych przyczyn jej upadku.

Narazie nie zdawał sobie nikt z tego sprawy. Stronnictwo kanclerskie, oczekujące z niecierpliwością przybycia Zygmunta, ratowało się półśrodkami. Pozwolono królewiczowi, gdy inaczej w Gdańsku na ląd wysiąść nie chciał, wykonać warunek co do ustąpienia Estonii dopiero po śmierci ojca, ale mimo to zażądano od niego zaprzysiężenia paktów konwentów, czego znowu Zygmunt się nie wzbraniał. Obie strony łudziły się więc wzajemnie, licząc na znane polskie przysłowie: „Jakoś to będzie“. I w istocie usunięto największe trudności, Zygmunt wylądował dnia 7. października w Gdańsku, złożył w oliw-

skim kościele przysięgę na pakta konwenta w ręce biskupa kujawskiego Rozrażewskiego i w towarzystwie siostry swojej Anny puścił się na Malborg i Toruń w dalszą drogę do Krakowa. Podróż była niebezpieczna, bo Maksymilian, dowiedziawszy się o przybyciu Zygmunta, wysłał 2000 ludzi, aby go pochwycić w Przedborzu. Zamach nie powiódł się wprawdzie, Niemcy urwali tylko coś z ludzi marszałka wielkiego koronnego Opalińskiego, który króla prowadził i wrócili pod Kraków, ale Zygmunt, spłoszony podjazdem, obrócił się na Nowe Miasto i przeprawiwszy się tu przez Wisłę stanął w Wieliczce, skąd dnia 9. grudnia odbył uroczysty wjazd do stolicy Bramą Floryańską. Upragnionego gościa witano z zapałem, całe miasto gorzało od wspaniałej illuminacyi, w Bramie Floryańskiej stały działa i sztandary na Maksymilianie zdobyte, a liczne łuki tryumfalne, na drodze ku zamkowi wniesione, ozdobione napisami stosownemi i portretami królów polskich, dawały wyraz tej serdeczności, z jaką naród przyjmował ostatniego potomka Jagiellonów po kądzieli. Uczuciom tym nieodpowiadało niestety położenie polityczne. Zamoyski, zrażony chłodnem przyjęciem ze strony króla, robił trudności w kwestyi estońskiej, Zygmunt, wierny przyrzeczeniom, jakie dał ojcu i stanom szwedzkim, nie chciał wypełnić uciążliwego warunku. Z drugiej strony arcybiskup Karnkowski sprzeciwiał się poprzysiężeniu konfederacyi o dyssydentach, czego senatorowie świeccy stanowczo wymagali.

Układy toczyły się więc powoli wśród wielkiego, jak sądzić można, rozdrażnienia umysłów. Dnia 27. grudnia wreszcie odbyła się koronacya Zygmunta III., a nazajutrz potwierdził król pakta konwenta wraz z dodatkowym artykułem o Estonii, który drażliwą tę sprawę odkładał aż do czasu, gdy Zygmunt obejmie tron szwedzki. W ten sposób załatwiono pakta konwenta i sejm koronacyjny, obradujący do 30. stycznia 1588. r., mógł zająć się t. zw. eksorbitancyami. Jakoż liczne konstytucye, uchwalone w krótkim stosunkowo czasie, noszą na sobie wyraźne piętno elekcyjnej burzy. Naczelne miejsce w tym szeregu ustaw zajmuje artykuł, regulujący postępowanie w sprawach o obrazę majestatu, inny traktuje o pojmaniu i więzieniu szlachcica, a ostre kary na stronników rakuskich wymierzone i nadanie na wieczne czasy Zamoyskiemu starostwa krzeszowskiego i zamechskiego w nagrodę za położone w wojnie z Maksymilianem zasługi, są wiernem odbiciem chwili uświetnionej zwycięstwem byczyńskiem.

Maksymilian na wiadomość o przybyciu Zygmunta opuścił d. 30. listopada obóz mogilski i na Miechów, Siewierz i Częstochowę zmierzał ku Krzepicom, znacząc ślady pochodu swego srogiem spustoszeniem dworów i wiosek szlacheckich. Zdobywszy po drodze Ogrodzieniec, odparty od Olsztyna, gdzie namiestnik starosty tamtejszego Trepka „rządnie się odstrzelał“, chciał on z początku zimować w Krzepicach, ale gdy go stamtąd powietrze morowe wypędziło, zdobył Wieluń i tam oczekiwał dalszych wypadków. Koronacya Zygmunta III. popsuła wprawdzie szyki Rakuszanom, szeregi Maksymilianistów zaczęły się przerzedzać, jedni z przekonania, drudzy z obawy uznawali „koronowanego pana“, ale najzawziętsi trwali w uporze. Mikołaj Jazłowiecki w porozumieniu z Kozakami kusił się o Lwów, na Spiżu podchwycono Lu-

Wzięcie w niewolę arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną

Podług obrazu Jana Matejki.

bowlę, a kniaź Pruński i Samborzecki obrabiali na zjeździe wileńskim Litwinów, wiodąc ich do Maksymiliana. W takim składzie rzeczy wypadało działać oględnie, wewnętrzne zaburzenia uspokoić i jak najrychlej pozbyć się z granic Rzeczypospolitej nieprzyjaciela, który obecnością swoją upornym dodawał otuchy i bezpieczeństwu stolicy zagrażał. W tym celu zjednano podarunkami Niżowców, ustąpiono połowę Inflant Litwinom, a hetmanowi dano nieograniczone pełnomocnictwo do wojny z Maksymilianem. Zamoyski, wyszedłszy z Krakowa, wypłoszył nieprzyjaciela podjazdami swojemi z Wielunia i idąc ślad w ślad za nim, przekroczył wreszcie granicę szląską. Maksymilian, party przez przednie straże polskie, które Stadnickiego Stanisława w Parzymiechach pod Wieluniem poraziły, zatrzymał się trzy mile od tego miasta pod Byczyną, dokąd Prepostuary przyprowadził mu w posiłek piechotę węgierską i dwa hufce jazdy morawskiej i szląskiej. Pokrzepiony tak na siłach arcyksiąże postanowił wydać bitwę nieprzyjacielowi dnia 24. stycznia 1588. r.

Stanowisko, jakie zajął, było dogodne i z natury warowne. Przed frontem płynęła rzeczka, po bokach rozciągały się bagna i stawy, a jedyny przystęp dawała grobla, po której wojsko polskie przeprawiać się musiało. Arcyksiąże, a raczej marszałek Andrzej Zborowski, któremu Maksymilian naczelne nad wojskiem zlecił dowództwo, nie umiał czy nie chciał skorzystać z tego dogodnego położenia. Pozwolono więc spokojnie przeprawić się hufcom polskim przez groblę, co widząc Zamoyski, natychmiast swoim uderzyć kazał. Naprzód szedł Karchowski, rotmistrz doświadczony, z t. zw. „straceńcami“, lewe skrzydło zajęli Węgrzy pod Batorym Baltazarem i Kiralym, obok nich Żółkiewski, Potocki i Koniecpolski. Na prawem skrzydle stał słynny partyzant Hołubek z Kozakami, Zamoyski i Pękosławski, w środku roty polskie, piechota pod Wybranowskim, za niemi rota hetmańska, którą prowadził Urowiecki. Bitwę rozpoczęli straceńcy Karchowskiego, następnie uderzył od prawego skrzydła Hołubek, ale bohaterska śmierć jego na samym początku spotkania zmięszała Kozaków i rozniosła popłoch w dalsze szeregi. Los bitwy zdecydowało lewe skrzydło polskie. Nieprzyjaciel stawał zrazu twardo, pułk arkabuzerów szczególniej bronił się zapamiętale, wreszcie przemogli Polacy, piechota węgierska i Morawcy pierwsi tył podali, szukając w mieście schronienia. Zamoyski otoczył natychmiast Byczynę i korzystając z zapału żołnierza, do szturmu uderzyć kazał. Arcyksiąże, który do końca wytrwał na polu walki, widząc, że bronić się dłużej nie może, wysłał parlamentarzy i z hetmanem o kapitulacyą układać się zaczął.

Zamoyski twarde postawił warunki: Maksymilian miał się zrzec korony polskiej i wydać Lubowlę, cesarz wraz z stanami czeskimi, węgierskimi i szląskimi rezygnacyę brata przysięgą potwierdzić. Do tego czasu pozostawał arcyksiąże w niewoli, stanowi swojemu i godności odpowiedniej. Nazajutrz „na małej karetce“, zaprzężonej parą białych koni, wyjechał do Krasnegostawu w towarzystwie starosty przemyskiego Drohojowskiego, za nim toczyły się się dwa wozy z jeńcami polskimi: Woronieckim, biskupem kijowskim, wojewodą poznańskim, Andrzejem Zborowskim, Pruńskim i Ciołkiem.

Zwycięstwo okupiono znacznemi stratami, a bitwa musiała być bardzo zacięta, gdy na pobojowisku zebrano około 4000 trupów. Poległa więc pra-

wie trzecia część walczących, bo siły stron obu dochodziły do 15.000. Z Polaków było najwięcej rannych; Żółkiewskiego postrzelono w nogę, Karchowskiemu przeszyła kula obie ręce. Ale jeżeli straty były dotkliwe, to wyrównywało je w zupełności znaczenie zwycięstwa i bogate łupy. Nieprzyjaciel, ocierający się niedawno jeszcze o mury stolicy, poniósł walną porażkę, członek cesarskiego domu, wyniesiony na tron głosami anarchicznego stronnictwa, okupił drogo swoją łatwowierność, system ładu i porządku, wprowadzony przez Stefana Batorego, zwyciężył, sprawa Zborowskich, jątrząca się jak wrzód na ciele Rzeczypospolitej, była na długo pogrzebana. Tryumfował Zamoyski, spadkobierca politycznej myśli Batorego. Przyszłość zależała teraz od niego, od stosunku jego do króla, którego wyniósł na tron, a który tak bardzo różnił się od swego poprzednika. Współczesny świadek opowiada, że kiedy podkanclerzy szwedzki Sparre oddawał królewicza Zygmunta senatorom polskim, w te do nich odezwał się słowa: „Jest on młody, ma dwudziesty drugi rok, podobny do księgi czystej, co na niej Polacy wyryją, to jak na wosku się wyciśnie“. Na nieszczęście słowa podkanclerzego nie zgadzały się z prawdą. Na kartach tej „czystej księgi“ zapisał już kto inny, nie Polacy, zasady, obce tradycyonalnej polityce Jagiellonów, a młody król miał dość siły, ażeby od tych zasad nie zboczyć. Doświadczone oko hetmana odgadło już przy pierwszem spotkaniu charakter królewski, za hetmanem odgadła go szlachta. Mimowolnie, a jednak bardzo naturalnie, musiało się nasunąć wszystkim porównanie zmarłego Stefana z wstępującym na tron Zygmuntem III., porównanie tem niekorzystniejsze, gdy Zygmunt ani z charakteru ani z powierzchowności nie przypominał zmarłego bohatera. Włochom podobał się on wprawdzie z „kawalerskiej“ postawy, szlachta polska, przyzwyczajona do potężnej postaci Stefana, spoglądała z niedowierzaniem na króla-młodzieniaszka, którego wiotka kibić, twarz ściągła, czoło wysokie, nos kształtny lecz trochę za długi, orzechowa, z szwedzka przystrzyżona bródka i wzrok łagodny, zapowiadały raczej duszę miękką i serce tkliwe, niż umysł wyniosły i stanowczy, któryby wzburzone namiętności uciszyć i butną rzeszę szlachecką w karbach należnego tronowi posłuszeństwa utrzymać potrafił. Tej powierzchowności tak dziwnie spokojnej i tak obcej zarazem w Polsce, odpowiadało w zupełności usposobienie młodego monarchy. Batory zapalał się łatwo gniewem, chwytał za kord i groził nieposłusznym. Milczący Zygmunt słuchał z niewzruszoną powagą najcięższych zarzutów opozycyi, nie rwał się do szabli, ale, zapisawszy starannie w książeczce nazwisko oponenta, urazy długo niezapomniał. Batory część wielką panowania swego spędził w obozach, dał dowody znajomości sztuki wojskowej i zasłużył sobie przez to na dobrą pamięć u narodu rycerskiego. Zygmunt III., niewojenny z usposobienia, zawdzięczał liczne tryumfy nad nieprzyjaciółmi zdolnym wodzom, a nie własnej zdolności, chociaż w potrzebie i sam umiał stawić się mężnie. W guzowskiej bitwie, kiedy wojsko królewskie, zmięszane porażką lewego skrzydła, w popłochu uchodzić zaczęło, a niektórzy senatorowie, opuściwszy sromotnie króla, dopiero o 12 mil od pobojowiska się oparli, pozostał Zygmunt na miejscu niewzruszony i tą wytrwałością niemało się do zwycięstwa przyczynił. Zwykły żołnierz nie pojmował takiej odwagi, a szlachcic

uważał króla, zdającego wszystko na swoich wodzów, raczej za cudzoziemca, niż za potomka Jagiellonów. I rzeczywiście Zygmunt III. nietylko strojem hiszpańskim, ale obyczajami i skłonnościami swemi, różnił się wielce od narodu, któremu panował. Szlachta nie pojmowała, jak król może grać w piłkę, zabawiać się kartami, albo wolne od pracy godziny poświęcać modnej podówczas alchemii, a nawet tokarstwu lub złotnictwu.

Niemniej gorszyło szlachtę zamiłowanie Zygmunta III. do muzyki i malarstwa. Król kochał się bardzo w muzyce, miał na dworze swoim sławnych włoskich maestrów, którymi kierował na schyłku XVI. w. Signor Luca Murantio. Nadworna ta kapela kosztowała rocznie 12.000 szkudów, a musiała być doskonałą, skoro nawet Włosi, przybyli do Polski, z zachwyceniem grze jej się przysłuchiwali. Muzyka szła w parze z malarstwem. Zygmunt III. cenił tę sztukę wysoko, znał się na niej wybornie, sam w wolnych chwilach bawił się rysunkiem lub malowaniem, w roku 1606. sprowadził do Krakowa znanego malarza Tomasza Dolabellę i utworami pędzla jego ozdabiał zamek królewski i kościoły krakowskie. Jeżeli to zamiłowanie w sztukach pięknych, ten idealny kierunek, stawia Zygmunta III. ponad innych monarchów polskich, to na nieszczęście powiedzieć musimy, że te same okoliczności odbierały mu wszelką popularność pomiędzy szlachtą. Mało wykształcona nie znała ona sztuki i nie umiała jej cenić. Dla niej był huk kotłów obozowych, poważny głos organów kościelnych lub co najwięcej huczne dźwięki kapeli janczarskiej stokroć milszą dla ucha, a zrozumialszą dla duszy muzyką, niż najwznioślejsze tony, które wygrywali maestrowie włoscy w kaplicy królewskiej.

A cóż dopiero powiedzieć o malarstwie! Szlachcic znał obrazy Świętych, zawieszone na ścianach ubogiego wiejskiego kościółka, podziwiał w stolicy bogatą ornamentykę główniejszych ołtarzy, ale o sztuce nie miał najmniejszego wyobrażenia. Dla niego był muzykant lub malarz zawsze rzemieślnikiem, na którego spoglądał z lekceważeniem i pewnym rodzajem cichej pogardy, uważał więc wszystkich muzykantów włoskich i malarzy, bawiących u dworu, za rzeszę głodnych cudzoziemców, którzy chleb pański zadarmo zjadają, a poczciwym synom szlacheckim drogę do łaski królewskiej zamykają. Gryzło to szlachtę tem więcej, gdy obok cudzoziemców utrzymywał król na dworze swoim liczny fraucymer. Paszkwilanci z obozu Zborowskich wyrażają się z przekąsem o tych pannach dworskich, w rzeczywistości miała się rzecz inaczej. Zygmunt III. zawdzięczał tron polski zabiegom „ciotuchny“ Anny i do końca życia otaczał ją szacunkiem i miłością prawdziwie synowską. Drugim duchem opiekuńczym króla była siostra jego, znana z listów królowej Katarzyny, „Janusia“, która tymczasem wyrosła na wcale poważną królewnę Annę. Współcześni przypisują jej większe niż bratu zdolności, a co za tem idzie, musiał być i wpływ jej na Zygmunta dość znaczny. Duchowni uważali ją za „zabitą heretyczkę“, która żadną miarą nawrócić się nie chciała. Tak królowa jak i królewna miały przy swoim boku liczny orszak niewiast i stąd to narzekanie powszechne na wpływ kobiet u dworu, który po ożenieniu Zygmunta jeszcze bardziej zwiększyć się musiał. Wszystko więc, począwszy od powierzchowności króla, a skończywszy na fraucymerze ciotki i siostry królewskiej, przedstawiało

się szlachcie jako rzecz dawno w Polsce niebywała, jak dalekie echo z czasów Bony i Zygmunta Augusta, jako wstrętna antiteza króla Stefana, jego zwyczajów, jego dworu, słowem wszystkiego, co osoby królewskiej dotyczyło. Nastąpić przeto musiało w narodzie rozczarowanie, którego dosadnym wyrazem były owe znane słowa o „niemem dyablęciu“, włożone w usta Zamoyskiemu. Ale chociaż wrażenie pierwsze bywa najsilniejsze i pozostawia zwykle ślad niezatarty po sobie, to przyszłość spoczywała zawsze jeszcze w rękach Zygmunta III. Jego powierzchowność i cudzoziemskie obyczaje mogły się niepodobać szlachcie, polityka rozumna i z tradycyami narodu zgodna musiałaby go pojednać ze wszystkimi.

Na nieszczęście przyjeżdżał Zygmunt do Polski z gotowym programem politycznym, który obok niezaprzeczonych zalet miał ten błąd zasadniczy, że był w głowę przeciwny dążnościom stronnictwa, które Zygmunta na tron wyniosło. Podczas gdy król uważał za jeden z głównych celów swego panowania propagandę katolicką w krajach z Polską graniczących i musiał w następstwie połączyć się ściśle z domem habsburgskim, jako najwybitniejszym reprezentantem katolickich dążności w Europie, stronnictwo, które mu tron zapewniło, jakkolwiek przeważnie z katolików złożone i w wierności dla kościoła niezachwiane, trzymało się w rzeczach wiary dawnej polityki jagiellońskiej, a największe niebezpieczeństwo dla Polski upatrywało w kandydaturze arcyksięcia Maksymiliana i w połączeniu Rzeczypospolitej z państwem rakuskiem. Zygmunt III. mało troszczył się o to i skoro tylko objął rządy zaczął pracować natychmiast nad urzeczywistnieniem ulubionych swych marzeń. Misya wołoska, rozpoczęta przez Jezuitów na kilka miesięcy przed jego przybyciem do Polski, rozwinęła się pomyślnie. Stanisław Warszewicki, wysłany w roku 1588. do hospodara Piotra, który po Jankule rządy objął, oddawał się jak najlepszym nadziejom, władycy mołdawscy pisywali listy z obedyencyą do papieża, myślano o urządzeniu seminaryum dla kleryków katolickich w Mołdawii, a równocześnie obiecywał Zygmunt III. Stolicy apostolskiej przez usta posła swego opata jędrzejowskiego Reszki, że nietylko Szwecyą ale i carstwo moskiewskie przeprowadzi na łono kościoła katolickiego. Polityka, na tak szerokich założona podstawach, musiała szukać koniecznie oparcia w Rzymie i w Wiedniu. Dla Rzymu wystarczyła może instrukcya Reszki, bo tam nikt przecież obecnie nie wątpił ani o wierności Polski dla kościoła, ani o ortodoksyi Zygmunta III. Trudniejsza była sprawa w Wiedniu, gdzie porażka arcyksięcia Maksymiliana pod Byczyną nader przykre sprawiła wrażenie, gdzie głośno, chociaż niezupełnie szczerze mówiono o wojnie z Polską. Ale chwila obecna nie była stosowna do rozpoczęcia takiej walki. Świat katolicki, ożywiony jak najlepszemi nadziejami, potrzebował skupienia wszystkich sił swoich. Na zachodzie zdawał się rozjaśniać widnokrąg polityczny, przyćmiony do niedawna odszczepieństwem Anglii, upadkiem Maryi Sztuart i rewolucyą niderlandzką. Filip II., niczem niezmordowany szermierz katolicyzmu, wysyłał właśnie „niezwyciężoną Armadę“ na upokorzenie protestanckiej Anglii, we Francyi zamyślała liga katolicka osadzić dynastyą hiszpańskich Habsburgów na chwiejącym się tronie ostatniego Walezyusza, a w sąsiedniej Holandyi miał przewagę nad powstańcami zdolny

i przebiegły Aleksander Farnese. Wśród takich stosunków byłaby wojna pomiędzy Austryą i Polską zdarzeniem dla całego świata katolickiego nieszczęśliwem. Bo jak z jednej strony opóźniłaby ona misyą Polski na wschodzie, tak z drugiej dodałaby otuchy protestantom, dla których monarchia hiszpańska była groźną o tyle, o ile się opierała na całej potędze habsburgskiego domu.

Pojęła to dobrze Stolica apostolska i zaczęła gorliwie pośredniczyć pomiędzy zwaśnionymi dworami. Ten sam Annibal z Kapui, który tak energicznie popierał kandydaturę Maksymiliana, a Zygmunta podejrzywał o sprzyjanie herezyi, otrzymał teraz od papieża Sykstusa V. polecenie, aby króla do traktatów z cesarzem nakłonić. Dnia 20. maja 1588 miał on pierwsze posłuchanie. Przyjęty z czcią największą i nadzwyczajnemi honorami, był nuncyusz zachwycony uległością króla dla Stolicy apostolskiej i na prywatnej audyencyi prosił go usilnie, aby na dostojeństwa i urzędy przedniejsze w Rzeczypospolitej wynosił tylko katolików. W kilka dni później nadeszły z Rzymu pisma papieskie do króla, królowej Anny i prymasa. Nuncyusz, wręczając je Zygmuntowi, poruszył sprawę Maksymiliana. Odpowiedziano, że król pragnąłby uwolnić arcyksięcia, ale nie może tego uczynić bez naradzenia się z senatorami i bez ugody z domem austryackim, ubezpieczającej Rzeczpospolitę od nowych zamachów ze strony cesarskiej. Rozpoczęte tą drogą traktaty miał prowadzić dalej nadzwyczajny legat papieski, kardynał Hippolit Aldobrandini, ten sam, co w roku 1592. jako Klemens VIII. zasiadł na Stolicy Piotrowej. Zadanie było trudne, bo tak cesarz, dotknięty mocno klęską Maksymiliana, jak i Polacy, podniesieni na duchu zwycięstwem byczyńskiem, twarde stawiali warunki. Powiodło się wreszcie legatowi przyprowadzić do skutku rozejm pomiędzy stronami, a następnie komisyą mięszaną, która warunki pokoju stałego ułożyć miała. W styczniu roku 1589. zjechali pełnomocnicy cesarscy do Bytomia, polscy do Będzynia, przybył i Aldobrandini w roli pośrednika. Wygórowane żądania Rudolfa II. utrudniały porozumienie, stałość Zamoyskiego jednak przemogła upór posłów cesarskich. Dnia 9. marca podpisano „pakta będzyńskie“. Maksymilian zrzekał się tytułu króla polskiego i wszelkich związków z buntownikami, cesarz i wszyscy książęta mieli układ ten osobiście zaprzysiądz, Lubowla wracała do Korony, Polacy nie żądają zwrotu kosztów wojennych, a cesarz wynagrodzenia szkód, zrządzonych na Szląsku.

Ważniejszem o wiele od tej ugody jednak było zbliżenie pomiędzy dworem polskim a austryackimi Habsburgami. Już w dwa miesiące po przybyciu legata papieskiego do Polski opowiadano sobie w kołach dworskich o małżeństwie Zygmunta III. z córką arcyksięcia Karola, a zaledwie kardynał odjechał zapadła stanowcza w tej mierze uchwała senatu, od której nawet Zamoyski się nie uchylił. Dobrze poinformowany dyplomata włoski[1]) uważa też słusznie Aldobrandiniego za głównego pośrednika tego związku, a mniemanie to zdaje się potwierdzać w zupełności list Grzegorza XIV., pisany przed zawarciem małżeństwa do króla, a przepełniony radością z powodu połączenia

[1]) Relacye nuncyusza, II, 79; list Zygmunta III. do kardynała Radziwiłła, Zb. pamięt. II, 335.

się dwóch katolickich dworów.[1]) Polityka kościoła odniosła rzeczywiście tryumf niemały. Bo jeżeli na zachodzie zniszczenie Armady i pokój w Vervins rozwiać musiały nadzieje, które przywiązywano do zwycięskich sztandarów Filipa II., to w środkowej Europie tworzył się natomiast sojusz dwóch potężnych mocarstw katolickich i otwierały się widoki pozyskania nowych ludów dla owczarni Piotrowej. „W ścisłem połączeniu umysłów Waszych, pisał niebawnie potem do Zygmunta Aldobrandini, już jako papież Klemens VIII., upatrujemy rękojmię spokoju powszechnego".

W słowach tych ukrywała się głęboka myśl polityczna. Wydawało się bowiem, jakoby przymierze austryacko-polskie rozpoczynało nowy porządek rzeczy we wschodniej Europie; wydawało się, że oba te mocarstwa, złączone pokrewieństwem panujących domów, nietylko powstrzymają, ale i skruszą nawet groźną potęgę turecką; wydawało się, że Habsburgowie austryaccy, oparci o polskiego sprzymierzeńca, zahamują szerzącą się w Niemczech i w Węgrzech herezyę, że Polska nawróci zlutrzałych Szwedów i zjedna kościołowi Ruś wraz z carstwem moskiewskiem. Słowem w wschodniej Europie nastręczała się szczęśliwym zbiegom okoliczności podobna kombinacya polityczna, nad której urzeczywistnieniem pracował od lat tylu niezmordowanie Filip II., a która rozbiła się wraz z „niezwyciężoną Armadą" o skaliste wybrzeża wysp brytańskich. A jednak, pomimo chwilowych powodzeń, które planom Stolicy apostolskiej pomyślny skutek rokować się zdawały, cała ta robota dyplomatyczna, jakkolwiek dobrze obmyślona i zręcznie prowadzona, miała się opóźnić i zwichnąć. Przyczyną tego była i przewrotna polityka Habsburgów i nieszczere względem narodu polskiego postępowanie Zygmunta III. i wywołana przez te okoliczności właśnie niechęć Zamoyskiego. Dwór wiedeński, jakkolwiek przyjął pakta będzyńskie, nie spieszył się wcale z wykonaniem układu. Gdy przyszło do złożenia przysięgi, powstawały co chwila trudności i zwłoki. Nie chciał przysięgać cesarz, wzbraniali się arcyksiążęta, a gdy Zamoyski, widząc co się święci, ściśle przestrzegał wszelkich formalności, Rudolf II. poza plecyma jego zniósł się z Zygmuntem III. i za jego zezwoleniem wykonał przysięgę bez udziału stanów węgierskich. Gorzej było z Maksymilianem. Traktowany z wyszukaną grzecznością przez kanclerza podczas pobytu w Krasnymstawie, nie mógł on przeboleć klęski byczyńskiej, ani oswoić się z myślą postradania korony polskiej. Kiedy więc zażądano od niego przysięgi na pakta będzyńskie, oświadczył zrazu, że w więzieniu przysięgać nie może, a skoro stanął na ziemi szląskiej, zaprotestował uroczyście przeciw swojemu uwięzieniu i od przysięgi się uchylił.

Postępowanie to przewrotne i ubliżające charakterowi arcyksięcia wypływało z ważnych politycznych pobudek. W marcu roku 1589. zebrał się sejm w Warszawie, będący sejmem pacyfikacyjnym. Stawili się nań liczni stronnicy Maksymiliana: Jazłowiecki, Samuel Stadnicki, Ciołek, Spytek Jordan i przyjęci do łaski królewskiej, uzyskali zniesienie konstytucyi, jaką poprzednio w Krakowie na nich uchwalono. Sprawa Samuela Zborowskiego została umorzoną na wieczne czasy, kanclerza zwolniono od wszelkiej odpowiedzialności. Wreszcie

[1]) Theiner III, 201.

przyszła na porządek dzienny kwestya uregulowania elekcyi, tak, jak tego żądał reces sejmu koronacyjnego. Zamoyski przedstawił projekt, politycznie niezmiernie doniosły, aby, jeżeli zabraknie potomków panującego domu, wybór ograniczyć do książąt słowiańskiego szczepu. Wierny zwolennik Piasta, podejmował kanclerz w ten sposób wielką myśl Stefana. Połączenie Polski z Moskwą, albo z Czechami, bo na przeszłych elekcyach i o kandydaturze Rosenberga mówiono, było główną podstawą tej kombinacyi. Podsuwał on ją Wilhelmowi Rosenbergowi podczas układów będzyńskich i mniemał, że Polska, wyższa cywilizacyą, potężna obszarem swych posiadłości i męstwem obywateli, powinna być przewodniczką narodów słowiańskich, że połączona z carstwem moskiewskiem pokona snadnie Turków i w wieku XVI. stanie tam, dokąd po tylu przejściach krwawych i po gruzach cywilizacyi polskiej doszła Rosya w 300 lat później. Ale współcześni nie byli w stanie pojąć wielkiej myśli kanclerza. Król i stronnictwo jego widziało w projekcie Zamoyskiego tylko wykluczenie Habsburgów od korony polskiej, prymas Karnkowski obawiał się wyboru schizmatyka lub protestanta. To wystarczało, aby i wniosek kanclerza i całą sprawę uregulowania elekcyi pogrzebać, uchylono również i projekt wojny moskiewskiej, do której nawoływał Zamoyski, uchwalono jednak natomiast, jak już wspomnieliśmy, małżeństwo Zygmunta III. z jedną z córek arcyksięcia Karola.

W kilka miesięcy po tem, w jesieni, wybrał się król w podróż do Rewla, dla odwiedzenia ojca swego, Jana III. Stało się to za wyraźnem zezwoleniem sejmu, który w zjeździe obu monarchów żadnego dla Rzeczypospolitej nie widział niebezpieczeństwa. Tymczasem usłyszeli nagle obecni w Rewlu senatorowie, że Zygmunt postanowił nie wracać do Polski. Wszczął się z tego powodu rozruch niemały, przyszło do ostrych przymówek pomiędzy senatorami i królem szwedzkim, wreszcie dzięki energii stronników kanclerskich Wojciecha Baranowskiego i Tylickiego,[1]) wyjechał Zygmunt III. z Rewla. Równocześnie prawie zaczęły „trząść się“ po kraju pogłoski o układach króla z domem rakuskim i o odstąpieniu korony polskiej jednemu z arcyksiążąt, a że Maksymilian paktów będzyńskich dotychczas poprzysiądz nie chciał, więc podejrzenie nabierało pozorów prawdy, rosła obawa nowych zamieszek i drugiej jeszcze burzliwszej elekcyi. Na domiar złego nawiedził kraje ruskie pod nieobecność królewską straszny napad Tatarów, od Turcyi przychodziły coraz to gorsze wiadomości, beglerbeg Sylistryjski zgromadził wojsko nad Dunajem i najechawszy pograniczną Wołoszczyznę groził jeszcze sroższem spustoszeniem krajów ruskich. Widocznie podejrzywała Porta Zygmunta III. o ścisłe związki z Austryą. Czausz turecki Mustafa, jadąc w poselstwie do króla, wstąpił po drodze do Zamościa, a podejmowany gościnnie przez kanclerza, zaczął mu opowiadać o zamiarach sułtana względem Polski i dodał nawiasem, że Zygmunt III. zamierza wydać siostrę swoją za arcyksięcia Maksymiliana i tron polski mu ododstąpić.[2])

[1]) Heidenstein. Vita Ioan. Zamoysky, p. 111.

[2]) La deffaicte des Tartares et Turcs faicte par le S. Jean Zamoisky etc. Paris et Lyon. 1590. Broszurę tę nadzwyczajnie rzadką przedrukował i poprzedził wstępem Karol Sienkiewicz w Paryżu w r. 1859.

Czy kanclerz był rzeczywiście zdziwiony tą spowiedzią dyplomatyczną węgierskiego renegata, czyli też udawał tylko zdziwienie, w to nie wchodzimy, dość, że w słowach Mustafy było wiele prawdy. Mimowoli przyszły Zamoyskiemu na myśl inne niemniej podejrzane okoliczności. Przypomniał sobie mianowicie jedną dziwną rozmowę z Maksymilianem, w której arcyksiążę, pełen najlepszej myśli, chociaż był jeszcze w więzieniu, zapytywał hetmana, czyby mu chciał dopomódz do uzyskania tronu polskiego, gdyby na to zezwolił Zygmunt III. Przypomniał sobie, że ten sam arcyksiąże, mówiąc o układach będzyńskich, dodawał znacząco, że wszystko dzieje się „z wiadomością i pomocą Szweda“, a zestawiwszy te remiscencye z objaśnieniami Mustafy, przekonał się, że za pozorną nieprzyjaźnią dwóch dworów kryją się daleko sięgające kombinacye polityczne, których ostatecznym celem jest osadzenie kandydata rakuskiego na tronie polskiem. Podziemna robota zaszła rzeczywiście daleko i na owym zjeździe w Rewlu porozumiał się Jan III. z Zygmuntem, a ajent dyplomatyczny Lambert Wrader powiózł do Pragi przygotowane już warunki. Zygmunt III. miał zrzec się korony polskiej dla arcyksięcia Ernesta, który ze swojej strony zobowiązywał się zrezygnować z odstąpienia Estonii, wyjednać sukcesyą barską, puściznę po Annie Jagiellonce oddać Zygmuntowi i zapłacić Janowi III. 400.000 złotych, jako sumę posagową królowej Katarzyny.

Tak stały sprawy w przededniu sejmu roku 1590. Izby zbierały się w niezwykłem usposobieniu, pod grozą owych strasznych wieści o wyprawie Beglerbega i o spustoszeniu krajów ruskich, a wszystkich przejmowała jedna myśl: ratowania ojczyzny od niechybnej prawie zguby. Na tej panice powszechnej budował Zamoyski swoje plany i zażądał ponownie wykluczenia domu rakuskiego od tronu na zawsze. Wniosek znalazł tych samych przeciwników co i zeszłoroczny o uregulowaniu elekcyi. Karnkowski, stanąwszy na czele duchowieństwa, przekładał zgromadzonym, że wykluczenie domu austryackiego toruje drogę do tronu heretykowi, że Polsce zagraża podobna rewolucya jak w Anglii, Danii i Szwecyi, która kraj zaleje strumieniami krwi katolickiej i skończy się klęską kościoła. Głos wymownego prymasa poruszył uspione dotychczas namiętności. Kwestya polityczna i z politycznych pobudek wniesiona do izby, przybrała nadspodziewanie charakter religijny. Zdawało się, że nie idzie już o to, czy dom rakuski w przyszłości będzie miał prawo ubiegać się o koronę polską, ale czy Polska pozostanie wierną kościołowi lub przyjmie reformę? Ten zwrot nagły zawichrzył obrady sejmowe; stronnictwa wystąpiły do walki z zaciekłością, właściwą dysputom teologicznym i podczas gdy partya kanclerska stanęła twardo przy ekskluzyi i oświadczyła, że tak długo nad obroną kraju radzić nie będzie, dokąd ów wniosek o domu rakuskim nie zostanie uchwalonym, przeciwnicy nie chcieli żadną miarą na ekskluzyą zezwolić. Pięć tygodni wlokły się tak obrady bez żadnego skutku, aż nareszcie ustąpili biskupi[1]) z obawy, aby ich nie obwiniono o brak patryotyzmu, że uporem swoim kraj w niebezpieczeństwo podają, pozbawiając go obrony. Tej chwili

[1]) Cały przebieg sejmu opisuje Karnkowski w liście do Sykstusa V. Rękopis biblioteki Czartoryskich nr. 2254, p. 400.

użył zapewne Zamoyski do ostatniego, jak mniemał, stanowczego ciosu. W znakomitej mowie zwrócił on uwagę izby na groźną potęgę turecką i rozwinął w głównych zarysach plan zawojowania Krymu i zniesienia Tatarów, tak, jak to był wspólnie z królem Stefanem ułożył. Po tym wstępie zręcznym, bo obliczonym na usposobienie słuchaczy, zwrócił się do króla i przedstawiwszy mu owe wieści „trzęsące się“ po kraju, zażądał wyjaśnienia. Zygmunt, zaskoczony niespodziewanie, bronił się deklaracyą, która zaprzeczyła kategorycznie wszystkim tym pogłoskom. Zaprzeczenie nie uspokoiło jednak umysłów i Zamoyski był panem sytuacyi. Sejm przechylił się na jego stronę, odsądził nie Habsburgów wprawdzie lecz arcyksięcia Maksymiliana na zawsze od tronu polskiego, powierzył hetmanowi taką samą władzę, jak podczas wyprawy byczyńskiej i do rady wojennej wyznaczył przeważnie przyjaciół kanclerskich. Tryumf kanclerza nie trwał długo, bo skoro tylko niebezpieczeństwo wojny tureckiej minęło, uderzyli nieprzyjaciele hetmana z podwojoną zaciekłością na niego.

Zręczni ajenci zaczęli rozpuszczać wieść, że Zamoyski umyślnie straszył sejm Turkami, aby wyłudzić pobory, które na własną obróci korzyść, a oszczerstwa te musiały się rozejść szeroko w kraju i zagranicą, skoro kanclerz uważał za potrzebne odpowiedzieć na nie obszernem pismem w języku francuskim, wydanem w Lyonie w roku 1590.[1]) Na czele tego ruchu przeciw Zamoyskiemu stanął prymas Karnkowski, około zgrzybiałego prałata skupili się dawni Maksymilianiści, odżyło na nowo anarchiczne stronnictwo Zborowskich, a z tej całej koalicyi różnorodnych żywiołów wypłynął niepraktykowany prawie dotychczas w Polsce zjazd w Kole. Pod bokiem króla, bez jego woli, jak głoszono, a może i wiedzy, odważył się pierwszy senator Rzeczypospolitej zwołać zgromadzenie szlachty, w celu potłumienia nieprzyjaźnego sobie stronnictwa. Pozornie zdawało się, że zwycięża teorya Orzechowskiego o wszechwładzy kapłańskiego stanu i o wyższości prymasa nad królem, w istocie tryumfowała anarchia.

Zgubny przykład zwoływania zjazdów bez króla, w interesie jednego stronnictwa politycznego, otwierał szerokie pole anarchistom wszelkiego rodzaju. Bo jeżeli wolno było prymasowi skupić szlachtę przeciw Zamoyskiemu, to równem prawem mógł ją zwołać do Stężycy Zebrzydowski, chociażby przeciw królowi. Zygmunt III. naganił wprawdzie postępek prymasa, ale mimoto zsolidaryzował się zupełnie z jego stronnictwem na sejmie. Sejm ten nadzwyczajny, zwołany pod koniec roku 1590., stanął ostro przeciw kanclerzowi i zawichrzył się walką stronnictw do tego stopnia, że przez sześć tygodni żadnych nie postanowiono konstytucyj, a naoczny świadek tych burzliwych obrad, kronikarz Bielski, powiada zgorszony, że „niezgodliwszego sejmu dotychczas nie było.“ W ostatniej chwili dopiero, „za jedną noc“ spisano ważne uchwały po myśli uczestników kolskiego zjazdu i związanego z nimi króla. Obalały one konstytucye przeszłego sejmu o władzy hetmańskiej; sąd wojskowy, który był wyłączną atrybucyą hetmana, oddano „ławicy, zasadzonej rotmistrzami i poruczni-

[1]) La deffaicte des Tartares et Turcs etc.

kami“,[1]) a jakby dla wyraźniejszego jeszcze zamanifestowania właściwych swoich zamiarów wydał sejm ogólną amnestyą dla Maksymilianistów i przywrócił do czci Krzysztofa Zborowskiego. Król, połączywszy się raz już z stronnictwem rakuskiem otwarcie, postanowił wyzyskać szczęśliwą dla siebie chwilę do ostatniej konsekwencyi. Planom jego przeszkadzał dotychczas skład kancelaryi królewskiej. Kancelarya była w Polsce jedną z najważniejszych instytucyj rządowych, a kanclerz i podkanclerzy, równi sobie rangą,[2]) należeli do najbardziej wpływowych ministrów Rzeczypospolitej. Ich rzeczą było przedkładać sejmowi propozycye królewskie, oni odpowiadali od tronu, układali się z posłami obcych mocarstw, oni przedstawiali prośby osób prywatnych królowi, oni nareszcie przykładali pieczęci do wszystkich dokumentów publicznych, wychodzących z kancelaryi królewskiej. Otóż na tych urzędach kanclerskich, tak bardzo przemożnych w Rzeczypospolitej, zasiadali obok Zamoyskiego, który jeszcze za czasów króla Stefana połączył pieczęć wielką koronną z władzą hetmańską, dwaj doświadczeni przyjaciele kanclerscy: pieczęć mniejszą piastował Wojciech Baranowski, biskup przemyski, sekretarzem wielkim był Piotr Tylicki. Obaj byli znani z swoich cnót i zdolności, obaj otrzymali godność teraźniejszą jeszcze od króla Stefana, ale obaj też, jako przyjaciele kanclerscy i jego wpływom poddani, nie posiadali ani łaski ani zaufania królewskiego i nie mieli przyjaciół u kamarylli dworskiej, otaczającej Zygmunta III. Mimo to wiedział król dobrze, że tak jeden jak i drugi zjednali sobie powszechny w kraju szacunek i że ich osłania powagą swoją Zamoyski, więc postępował ostrożnie i legalnie. Baranowskiemu mianowicie dał opróżnione wtedy biskupstwo płockie, a gdy na mocy ustaw obowiązujących, dygnitarstwa tego z pieczęcią łączyć się nie godziło, zażądano od Baranowskiego, aby z podkanclerstwa ustąpił. Opróżnioną w ten sposób pieczęć mniejszą powierzył król, pomijając zasłużonego Tylickiego, Janowi Tarnowskiemu, herbu Rola, krewniakowi prymasa i zdeklarowanemu zwolennikowi rakuskiego domu. Regentem kancelaryi został Maciej Pstrokoński, zawisły zupełnie od Tarnowskiego.

Za tą zmianą ważną poszły wnet i inne. Na biskupstwie krakowskiem zasiadł po śmierci Myszkowskiego (w roku 1590.) Jerzy Radziwiłł, kasztelanią krakowską, a więc pierwsze krzesło w senacie, otrzymał po Sewerynie Bonarze Janusz książe Ostrogski. Kardynał Radziwiłł odznaczał się zarówno gorliwością w rzeczach wiary, jak i szczególniejszemi sympatyami dla Habsburgów. Podczas bezkrólewia był on najgorętszym stronnikiem Maksymiliana, a tak dalece nie szczędził zabiegów i kosztów, że nadwerężył dobrze fortuny i upraszał Annibala z Kapui, aby mu wyjednał u papieża intratne opactwo wąchockie. Ale elekcya Maksymiliana nie powiodła się i komendy na opactwo nie było. Dopiero Zygmunt III. miał spełnić gorące pragnienia kardynała, dopiero on, jako król polski, miał zwrócić koszta, które Radziwił wyłożył na pokątną agitacyą przeciw królewiczowi szwedzkiemu. Prawda, że pomiędzy elekcyą a nadaniem opactwa upłynęły trzy lata, a przez ten czas i Radzi-

[1]) Vol. leg. II, 350.
[2]) Lengnich, Jus publ. Reg. Pol. II, 180.

wiłłowie uznali Zygmunta i Zygmunt miał sposobność przekonać się o przychylności kardynała. Używał on mianowicie pośrednictwa jego przy układach z Ernestem, a kiedy Radziwiłł wybrał się na conclave do Rzymu, po śmierci Grzegorza XIV., obdarzył go król opactwem wąchockiem i polecił zarazem, aby po drodze wstąpił do Gracu i prosił o rękę jednej z arcyksiężniczek, córek Karola i Maryi bawarskiej. Starania kardynała odniosły pomyślny skutek; dnia 28. lipca 1590. roku nadeszła do Polski radosna wiadomość, że tak cesarz Rudolf II. jako „i inni opiekunowie“ zezwolili „chętliwie“ na owo małżeństwo. Nagrodą za tę misyę dyplomatyczną było biskupstwo krakowskie, które podług przyrzeczenia, danego poprzednio Zamoyskiemu, miał otrzymać kardynał Andrzej Batory. Można sobie łatwo wyobrazić, jak bardzo oburzył się na to kanclerz i szlachta małopolska, ale zanim wrażenie to minęło, rozeszła się wiadomość inna, niemniej alarmująca o posunięciu Janusza Ostrogskiego na kasztelanią krakowską. Książe Janusz zajmował, jako pan olbrzymiej fortuny, bardzo wybitne stanowisko w Rzeczypospolitej, a przeszedłszy na łono kościoła katolickiego, mógł w przyszłości odjąć zwolennikom obrządku wschodniego tę potężną pomoc, której udzielał im hojnie ojciec jego Konstanty, najgorliwszy schyzmatyk w krajach ruskich. Wobec znanych dążności Zygmunta III. i wobec cywilizacyjnej misyi Polski za wschodzie była to okoliczność nader ważna i tem krok królewski da się usprawiedliwić. Książe Janusz posiadał nadto jeszcze inne przymioty, zalecające go królowi i pociągające szlachtę ku niemu. Człowiek w obejściu miły i uprzejmy, umiał sobie jednać popularność w kołach szlacheckich, które olśniewał przepychem i milionową fortuną, a zadziwiał znajomością kilku języków do tego stopnia, że po śmierci Stefana Batorego wymieniano go między kandydatami do korony. Ożeniony z córką Jerzego Seredy, urodzoną z Polski Buczyńskiej, wziął książe Janusz za żoną znaczne dobra w północnych Węgrzech i w Czechach, a jako dziedzic tych posiadłości, a więc poniekąd także poddany cesarza, sprzyjał polityce rakuskiej.

Łatwo stąd pojąć, dlaczego król osadził go na kasztelanii krakowskiej, tuż w pobliżu granic węgierskich i szląskich, dlaczego go przełożył nad prowincyą, w której leżał gród stołeczny i gdzie powstawały zwykle ruchy rokoszańskie. Konserwatysta polsko-ruski miał trzymać na wodzy burzliwą szlachtę małopolską, miał na współkę z litewskim magnatem, zasiadającym na stolicy biskupiej stać się filarem austryackiej i katolickiej polityki Zygmunta III. Postępowanie króla w tym wypadku było zatem usprawiedliwione względami politycznemi, ale przeciwne i wyobrażeniom szlacheckiem i całemu temu stronnictwu, które w związkach z domem rakuskim największe dla Rzeczypospolitej upatrywało niebezpieczeństwo. Do ogólnego niezadowolenia dołączyły się i inne jeszcze powody. W roku 1591., podczas jarmarku w Krakowie, zburzył motłoch na współkę z żakami ze szczętem zbór protestancki przy ulicy św. Jana i w ulicy Szpitalnej, a za przykładem Krakowa poszło także i Wilno. Ewangielicy przestraszeni zebrali się na wzór kolskiego zjazdu do Chmielnika i wysłali stamtąd ze skargą posłów do króla. Zygmunt zganił postępowanie innowierców, ale ruchu powstrzymać już nie mógł. Za zjazdem chmielnickim po-

szedł drugi w Radomiu, a nareszcie ostatni w Lublinie, podczas kadencyi trybunalskiej, najgroźniejszy ze wszystkich, bo z tendencyą wybitnie polityczną.

Odłożywszy na bok sprawy religijne, uderzyli przewódcy opozycyi na stosunki królewskie z domem rakuskim i na zamierzone małżeństwo z arcyksiężniczką Anną. Podejrzenia były i słuszne i znaczne, bo jakkolwiek sejm poprzednio na ów związek małżeński zezwolił, to niewypełnienie paktów będzyńskich ze strony Maksymiliana i głuche wieści o układach z arcyksięciem Ernestem, kazały się obawiać, że król trwa w zamiarze opuszczenia Polski. Niedawno przecież, bo w r. 1590., kiedy Jan Szczęsny Herburt jeździł w poselstwie do cesarza do Pragi, dobijali poza jego plecyma ajenci królewscy Szermiński i Wrader targu z Ernestem o koronę polską.

Z dowodami o tych frymarkach wystąpił więc teraz Zamoyski i mimo opozycyi stronników królewskich przewiódł swoje zamiary. Obie partye wysłały do Zygmunta posłów; zwolennicy kanclerza, pomiędzy którymi najwybitniejsi byli Mikołaj Firlej, wojewoda krakowski i Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda lubelski, przedstawili królowi otwarcie wszystkie podejrzenia i obawy i domagali się zwołania sejmu dla uspokojenia Rzeczypospolitej. Regaliścic z Solikowskim, arcybiskupem lwowskim i Bernardem Maciejowskim, biskupem łuckim na czele, bronili polityki królewskiej, uraz żadnych ani niebezpieczeństw nie widzieli, a o sejm dopiero po weselu prosili.

Król przez usta podkanclerzego, Jana Tarnowskiego, zaprzeczył wszystkiemu, upewnił słowem swojem posłów lubelskich, że z domem rakuskim traktatów o koronę nie czynił, że Polski opuszczać nie myśli wcale i że nawet do Szwecyi, dziedzicznego swego państwa, bez zezwolenia stanów koronnych nie odjedzie. Tę asekuracyą oddano posłom na piśmie, opatrzonem pieczęcią królewską, upominając przytem, aby dalszych zjazdów zaniechali i rzecz całą do sejmu odłożyli, który teraz dla panującego powietrza morowego zwołanym być nie może. Odpowiedź ta, udzielona na prywatnej audyencyi, niezadowolniła posłów, niezadowolniła i kanclerza. Dobrze poinformowany o właściwym stanie rzeczy, zanadto doświadczony w sprawach politycznych, aby zapewnieniom dyplomatycznym Zygmunta uwierzyć i obrażony nadto świeżo ową promocyą Radziwiłła na biskupstwo krakowskie, postanowił Zamoyski ostatecznych chwycić się środków i zwołał zjazd nowy do Jędrzejowa na dzień 1. czerwca 1592. roku. Stało się to wtedy, gdy traktaty o małżeństwo rakuskie były na ukończeniu i gdy Albrecht Radziwiłł, marszałek litewski, wybierał się w podróż do Wiednia, aby tam w zastępstwie króla poślubić arcyksiężniczkę. Jakoż dnia 3. maja odbyła się ta uroczystość, a 26. tego miesiąca witał Kraków w murach swoich nową królowę „wdzięczną muzyką“, „strzelbą ogromną“ i całym szeregiem bram tryumfalnych. Ale ani wspaniałe przyjęcie, ani dziwne i przepychem swoim olśniewające „maszkary“, które w gwieździstych salach zamkowych i na rynku krakowskim odprawiano, nie mogły zatrzeć i przytłumić panującego w szerokich kołach niezadowolenia. Arcybiskup Karnkowski wymówił się chorobą od koronowania królowej, na uczcie weselnej zasiadło do biesiadnego stołu zaledwie trzydziestu kilku senatorów, dla innych pilniejszym zdawał się pogrzeb kasztelana krakowskiego Bonara i zjazd jędrzejowski. Po-

spieszyli tam wszyscy senatorowie do stronnictwa kanclerskiego należący, a umysły były do tego stopnia rozdrażnione, że czyniono wniosek, aby wprost pod Kraków ruszyć, co już wręcz na rokosz zakrawało. Skończyło się na nowem poselstwie do króla, które oprócz dawniejszych uraz poruszyć miało krzywdę arcybiskupa gnieźnieńskiego, pominiętego wrzekomo przy koronacyi królowej, umniejszenie władzy podskarbiego koronnego i nominacyę Radziwiłła na biskupstwo krakowskie. Tak, wciągając sprawy osobiste do publicznych, łącząc prywatę z polityką, zyskiwano dla ruchu coraz to szersze koła szlacheckie. Z Małopolski przeniosła się też agitacya do Wielkopolski, Litwa, poruszona przez posłów jędrzejowskich, odbywała partykularne zjazdy swoje, na wzór koronnych w Słominie i Nowogródku, pocichu mówiono już o zmianie panującego, a pomiędzy możnowładztwem litewskiem znaleźli się gotowi kandydaci do tronu.[1])

Król tymczasem, zabawiwszy przez kilka dni z żoną w Niepołomicach, przyjął dnia 13. czerwca jędrzejowskich posłów i odłożył zażalenia ich do sejmu. Sejm ten, powszechnie inkwizycyjnym zwany, zebrał się w Warszawie dnia 7. września. Marszałkiem izby poselskiej obrano zgodnie ciwuna wileńskiego Paca, ale posłowie z województwa krakowskiego oświadczyli natychmiast, że ani króla witać, ani propozycyj słuchać nie będą tak długo, aż inkwizycya na praktykantów rakuskich przeprowadzoną nie będzie. W senacie różne były zdania co do tego, w końcu ułożono kompromis: posłowie zgodzili się na witanie króla, senat na inkwizycyą.

Po uroczystem otwarciu sejmu przyszła kolej na propozycye od tronu; Zamoyski natarł ostro na podkanclerzego, prymas Karnkowski przyganiał królowi, umiarkowańsi domagali się, aby porządek inkwizycyi ułożono, szlachta krakowska wytoczyła skargi swoje przeciw nominacyi Radziwiłła. Wśród takiej różnicy zdań rosła wzajemna nieufność stronnictw; Jędrzejowianie utworzyli sobie osobne koło pod Wolą, na zamku Kazimierski przejmował listy ze Szląska nadchodzące i jeden z nich, do Warszewickiego pisany, otworzył samowolnie, wietrząc w nim praktyki rakuskie. Król ratował się wobec tego deklaracyą (dnia 28. września), w której oświadczał, że zwoływania zjazdów nikomu za złe brać nie będzie, że Polski nigdy opuścić nie zamierzał i że do Szwecyi nawet wrazie śmierci ojca nie pojedzie, chyba za zezwoleniem sejmu. Co do praktyk gotów jest wytoczyć proces winnym, a tymczasem radzi wysłać posłów do papieża i do monarchów ościennych, aby Rzeczypospolitej więcej nie turbowali. Pokorna ta deklaracya, zawierająca właściwie przyznanie się do winy, niezadowolniła Zamoyskiego i jego stronnictwa. Senat podzielił się na dwie partye, z których jedna chciała na deklaracyi poprzestać, podczas gdy druga pragnęła dalszej inkwizycyi, Jędrzejowianie w izbie poselskiej żądali nawet, aby „hurmem“ iść na górę, do senatu i inkwizycyą popierać. W tak krytycznem położeniu udało się królowi pozyskać prymasa i jego stronnictwo. Karnkowski, urażony z początku na dwór i całą kamaryllę, ochłonął widocznie z chwilowego uniesienia i czy to z słabości, właściwej podeszłemu wiekowi,

[1]) Wynika to z tajemniczego listu Sapiehy. Archiwum Radziwiłłów, str. 211.

czy pod wpływem powinowatego swego, podkanclerzego Tarnowskiego, czy wreszcie ubłagany przez króla, sprzeciwił się dalszej inkwizycyi, a zażądał uchwalenia konstytucyj, mających na celu uspokojenie Rzeczypospolitej. Argumenta prymasa nie wszystkim trafiły wprawdzie do przekonania, opozycya domagała się uregulowania elekcyi, wykluczenia rakuskiego domu od korony, obwarowania będzyńskiej ugody, oddalenia cudzoziemców od dworu, ale na to wszystko zgody już nie było i sejm rozszedł się właściwie na niczem. Jedynym rezultatem jego było upokorzenie króla i odcięcie praktyk rakuskich, chociaż na to, o ile się zdaje, i inne składały się okoliczności. Małżeństwo Zygmunta III. z Anną Rakuszanką zmieniło znacznie położenie polityczne. Habsburgowie osiągnęli przez ten związek wpływ pewien na Polskę, dynastya ich, jakkolwiek po kądzieli, dzierżyła teraz tron Jagiellonów, a chociaż może dwór wiedeński pragnął zapewnić koronę polską jednemu z arcyksiążąt, a Zygmunta na szwedzkim posadzić tronie, to wobec opozycyi, wywołanej intrygą z Ernestem i uporem Maksymiliana musiał od zamiaru tego odstąpić i zadowolnić się tem, czego w tej chwili dopiąć było można. Poznała to arcyksiężna Marya, kobieta na wskroś polityczna. Odprowadziwszy córkę swoją do Polski, pozostała ona przez jakiś czas w Krakowie, bawiła w Niepołomicach i bystrym wzrokiem swoim odgadła wnet, że klucz sytuacyi spoczywa zawsze jeszcze w rękach Zamoyskiego, pomimo tryumfów rakuskiego stronnictwa, pomimo nieprzyjaźni Opalińskiego, który z kanclerzem się poróżnił i pomocy litewsko-ruskiego możnowładztwa, oddanego na usługi dworu. Najgorętszem jej życzeniem przeto było pojednać króla z Zamoyskim, a że się wzięła do tego ze sprytem i uporem, właściwym kobietom, więc skutek osiągnęła pomyślny tem łatwiej, gdy i okoliczności zabiegom tym sprzyjały.

W listopadzie bowiem roku 1592. umarł król szwedzki Jan III. i Zygmuntowi wypadło koniecznie jechać za morze dla objęcia dziedzicznego tronu. I jemu zatem musiało zależeć wiele na przejednaniu kanclerza, aby za jego wpływem potężnym uzyskać pozwolenie sejmu na ową podróż. Tymczasem obawy pod tym względem były wielkie. Województwo krakowskie wrzało z oburzenia z powodu oddania kasztelanii Ostrogskiemu, sejmik proszowicki zaprotestował przeciw tej nominacyi jak najenergiczniej, uważając ją za pogwałcenie praw i zwyczajów, a kiedy król zwołał sejm na 4. maja 1593. roku, doszło rozgoryczenie do tego stopnia, że wybrano dwojakich posłów, którzy razem jako reprezentanci dwóch stronnictw w izbie zasiedli. Dziwny zwyczaj, powtarzający się jednak dość często w dziejach naszego parlamentaryzmu. W takich okolicznościach zależało wszystko od Zamoyskiego. Rozpoczęto więc z nim układy, Mikołaj Firlej, wojewoda krakowski, pojednał kardynała Radziwiłła z Andrzejem Batorym i nagle ku powszechnemu zdziwieniu sam kanclerz wniósł propozycye od tronu, pomiędzy któremi znajdowało się i owo zezwolenie na podróż królewską do Szwecyi. Co go do tego kroku skłoniło nie trudno odgadnąć.

Równocześnie prawie pomarli jeden po drugim dwaj nieprzyjaciele hetmana: Stanisław Górka, generał wielkopolski i Andrzej Opaliński, marszałek wielki koronny, uchodzący za głównego doradcę króla w ostatnich latach.

Śmierć jego ułatwiła niewątpliwie zgodę pomiędzy Zygmuntem a kanclerzem, a zbliżenie ostateczne nastąpiło, o ile się zdaje, na podstawie kompromisu, którego owocem były konstytucye sejmowe z roku 1593. Obostrzono w nich prawa przeciw „praktykantom“, obwarowano wolność elekcyi, unieważniono wszelkie cessye, a tem samem i układ Zygmunta III. z Ernestem i zniesiono prawie konstytucye z roku 1590., ograniczającą władzę hetmańską.[1]) Na takich warunkach pogodził się kanclerz z królem, a Zygmunt, chcąc zatrzeć o ile możności przykre wrażenia lat ubiegłych, nadał opactwo czerwieńskie kardynałowi Batoremu. Rozjechano się więc pozornie w bardzo dobrych stosunkach, ale poza tą przyjaźnią zimną i wyrachowaną kryły się wzajemne podejrzenia i niechęci. Mało który z senatorów spodziewał się powrotu królewskiego; wtajemniczeni w politykę dworską byli przekonani, że Zygmunt w Szwecyi zostanie. Nawet Karnkowski, tyle przychylny królowi, usunął się od dworu zupełnie. „Moją wierność dla króla — tak pisał do Malaspiny — i posłuszeństwo zachowam tak długo, jak długo będzie w państwie, ale gdy nic pewnego o jego pozostaniu nie wiemy, nie żałuję wcale, żem się ani pożegnał, ani też nie wziął udziału, na wzór innych, w tajemniczych naradach“.[2]) Słowa prymasa potwierdziły wyraźnie konstytucye sejmowe, uchwalone widocznie na wypadek bezkrólewia, potwierdziło mianowicie postanowienie, że jeżeli król do 24. sierpnia 1594. roku nie powróci, wolno będzie stanom do nowej przystąpić elekcyi.[3])

Z tego zapewne powodu także nie sprzeciwiał się i Zamoyski podróży królewskiej w mniemaniu, że wybór nowego króla przetnie pasmo intryg, ustali jego znaczenie w Rzeczypospolitej i ułatwi wykonanie dawniejszych planów. Nadspodziewanie omylili się wszyscy. Król zastał w ukochanej Szwecyi opozycyą tak silną i tak zręcznie podniecaną przez Karola Sudermańskiego, że jakkolwiek ukoronowany w Upsali, nie mógł myśleć ani o utrzymaniu się na tronie, ani też o przywróceniu religii katolickiej. Świetne marzenia Zygmunta jak i nadzieje rakuskiego domu i Stolicy apostolskiej rozwiały się pod zimnem tchnieniem gór szwedzkich. Pobity politycznie, zdawszy rejencyą w Szwecyi stryjowi swojemu Karolowi, powracał król do niemiłej sobie Polski, ażeby rozpocząć teraz dopiero pracę dla siebie, i swojej dynastyi wynagrodzić owo pięciolecie, które upłynęło bezowocnie, a społeczeństwo polskie zdemoralizowało pod względem politycznym.

Równocześnie prawie wyjeżdżał na namiestnika do Niderland arcyksiąże Ernest, niefortunny kandydat do korony polskiej, uwożąc ze sobą listy i dokumenta, kompromitujące Zygmunta III. W rok później dopiero spłonęły one, spalone własnoręcznie przez arcyksiężnę Maryę,[4]) ale powstały jak feniks z popiołów po latach dwunastu, w grawaminach rokoszańskich.

---

[1]) Vol. leg. II, 341.

[2]) Rękopis Biblioteki Czartoryskich nr. 2254, fol. 405.

[3]) Łubieński: Profectio Sigismundi III. in Succiam, pag 5.

[4]) Tomek Wład.: Snahy domu rakouskeho o nabyti korune polske w XVI. stol. Časopis Českeho Muzeum z r. 1853.

Żółkiewski pod Cecorą.

Sprawy mołdawskie. — Nalewajko. — Liga chrześcijańska. — Unia brzeska. Wojna z Szwecyą. — Dymitr Samozwaniec. — Śmierć Jana Zamoyskiego. Kiedy Zygmunt III. w towarzystwie nuncyusza Malaspiny podążył do Szwecyi, aby objąć spadek po ojcu i wytargować pewne ustępstwa dla katolików, powstały nagle u wschodnich granic Rzeczypospolitej groźne niebezpieczeństwa. Stosunki z Turcyą, z początku dość niejasne i podejrzane, wygładziły się w ciągu lat następnych zupełnie. Krótko przed weselem królewskiem stanęło „wieczyste“ z sułtanem przymierze, a poseł polski Broniowski zawarł przyjaźń z hanem tatarskim, zgodziwszy się na zwykłe podarunki i powściągnienie Kozaków. Kozactwo, nieujęte dotąd w karby należycie, wzrastało coraz bardziej w groźną dla Rzeczypospolitej potęgę. Niż roił się od zbiegów rozmaitego rodzaju, którzy szukali tam swobody i szczęścia. Każdy banita niemal, każdy malkontent, znajdywał między tą zbieraniną pomocników i przyjaciół do wykonania szalonych nieraz zamiarów. Kandydaci na hospodarstwo mołdawskie, możnowładzcy, obrażeni na króla, w ostatnich czasach Maksymilianiści, szli z kozackiemi zaciągami na awanturnicze wyprawy, kompromitując w ten sposób Rzeczpospolitę wobec sąsiadów, ściągając na nią mściwy oręż Turków i Tatarów. Tak jak Szwajcarzy na zachodzie, tak Kozacy na wschodzie, odgrywali rolę najemników, gotowych służyć każdemu za dobre słowo i sowitą zapłatę. W takich stosunkach rośli oni w butę i zarozumiałość; wiedzieli, że ich potrzebuje Rzeczpospolita, że każdy hospodar mołdawski ogląda się na pomoc kozacką, a gdy jedno i drugie zawiodło, próbowali szczęścia w Krymie lub na pograniczu tureckiem. Dokąd Oryszowski, „stryjec“ kronikarza Bielskiego, sprawował na Niżu urząd atamański, dotąd panował tam lepszy cokolwiek porządek. Ale wkrótce po wstąpieniu na tron Zygmunta III. znika on z widowni. Ostatni raz widzimy go na sejmie elekcyjnym w roku 1587. Wchodzi wtedy do izby ubrany w strój grecki, siada obyczajem tureckim na ziemi i przedkłada zgromadzonym stanom jakieś postulata Niżowców. Po zejściu Oryszowskiego popsuło się wszystko. Na atamaństwo wdarł się jakiś Kosiński, szlachcic podlaski, który już nie przeciw pohańcom, lecz przeciw swoim, kozactwo obrócił. Zebrawszy około 5000 tego hultajstwa, zaczął on majętności Ostrogskich najeżdżać i łupić i „brać się do czegoś większego“.

Nieprzyjaciele kanclerscy puszczali wieści, że Kosiński działa w porozumieniu z Zamoyskim, a że to było w czasie owych zamieszek i zjazdów, poprzedzających sejm inkwizycyjny, więc sprawa wydała się wielce podejrzana i niebezpieczna. Najbliżej zagrożeni temi wypadkami Ostrogscy, wzięli się do oręża. Książe Janusz przyprowadził ojcu na pomoc hufce, zaciągnięte na Węgrzech i w Małopolsce, i pod miasteczkiem Piątkiem poraził na głowę watahę Kosińskiego, zabrał mu 26 dział i wszystkie chorągwie, które następnie podczas wjazdu na kasztelanią krakowską w kościele na Skałce zawiesić kazał. Ataman przyciśnięty tak upokorzył się wprawdzie, ale niebawnie potem najechał z zemsty starostę czerkaskiego Wiśniowieckiego i tu po pijanemu w gospodzie od sług książęcych został zabity. Bezpośredniem następstwem tej mięszaniny był napad Tatarów, którzy podmówieni przez towarzyszów Kosińskiego, wybrali się na Wołyń i znaczne tam zrządzili szkody. Król wysłał ze skargą

do Konstantynopola Wacława Drożyńskiego, a sam tyczasem wyjechał do Szwecyi. W kilka miesięcy potem, na początku roku 1594. przybył do Polski poseł cesarski Vacker z listami do prymasa i kanclerza. Rudolf II., zaczepiony przez Turków w Węgrzech i zagrożony napadem tatarskim, prosił o pomoc i o powstrzymanie Tatarów, którzy, jak mniemał, przez ziemie polskie do Węgier iść mieli. W rozmowie z Zamoyskim żądał poseł, aby senatorowie natychmiast sprawą tą się zajęli. Kanclerz innego był zdania. Wszelkie zjazdy i narady pod nieobecność królewską wydawały mu się niebezpieczne i niezgodne z przyrzeczeniem, danem Zygmuntowi III. Obawiał się podejrzeń, jakie stąd powstać mogły, rozróżnienia umysłów i nowych jakich zamieszek. Projekt ligi, tak jak go cesarz podawał, nie był także ugruntowany. Radził zatem kanclerz, aby dwór cesarski z propozycyami swemi udał się do króla, aby tymczasem sposobił wojsko, flotę i starał się o przymierze z chrześcijańskiemi potencyami, z carem moskiewskim i z Persyą. Co do Tatarów mniemał, że przez Polskę nie pójdą, bo mają inną drogę do Węgier przez Mołdawią.[1]) W dwa tygodnie po tej rozmowie jednak doszły hetmana z rozmaitych stron przestrogi i wieści o wyprawie tatarskiej. Pisał o tem Tieffenbach z Węgier, Drożyński z Turcyi, przyjechał z Wołoch Czołhański, ożeniony z powinną hospodara i pod przysięgą zeznawał, że Tatarzy przez Polskę do Węgier się wybierają. Zaniepokojony tem wszystkiem rozesłał więc listy do starostów na pograniczu węgierskiem, aby dróg górskich strzegli pilnie i sam wybrał się niebawem w te okolice z tą garstką żołnierzy, których miał pod ręką. Tatarzy wpadli rzeczywiście przez ziemię mołdawską na Pokucie w lipcu, spalili Śniatyn, Żuków, Tłumacz, Czesybiessy, gdzie Jakób Potocki mężnie się im opierał, następnie zwrócili się na Tyśmienicę, Halicz i Dolinę ku górom. Zamoyski z posiłkami Janusza Zbaraskiego okopał się niedaleko Sambora, przy t. zw. drodze Piotrowej, którędy trakt do Węgier prowadził. Ale Tatarzy, omyliwszy czujność wojsk polskich, ciasnemi drożynami górskiemi przedarli się ku Munkaczowi. Wiadomość o tej klęsce okryła żałobą kraj cały; zewsząd podniosły się zarzuty przeciw Zamoyskiemu, jak zwykle niesłuszne, jeden Karnkowski, trzeźwo sądząc rzeczy, winę właściwą przypisywał niedbalstwu i skąpstwu szlachty i w listach, rozesłanych do senatorów, podawał projekt reformy opodatkowania i uorganizowania służby wojskowej na innych podstawach. Niestety głos jego, tak jak tyle rad zbawiennych w tym kierunku, był głosem wołającego na puszczy.

Przejście Tatarów do Węgier i połączenie się ich z armią turecką nadało wojnie, toczącej się nad Dunajem inny obrót. Cesarscy, zagrożeni przeważającemi siłami nieprzyjaciół, zajęli obronne stanowisko pod Raab, gdzie ich zewsząd okrążyła potęga turecka, potrzebowano więc gwałtownie pomocy i Stolica apostolska poruszyła znowu myśl ligi chrześcijańskiej, jak się zdawało, z lepszem niż dawniej powodzeniem. Tym razem bowiem otwierały się nowe, pomyślne bardzo kombinacye polityczne. Za pośrednictwem Jezuity, Alfonsa Cariglio, udało się dyplomacyi austryackiej pozyskać Zygmunta Batorego, księcia siedmiogrodzkiego. Zmienny ten i chwilowym wrażeniom ulega-

[1]) List Zamoyskiego w Archiwum Radziwiłłów, str. 106.

jący młodzieniec, chwycił się oburącz planów, podsuwanych mu przez dwór pragski. Uwolnienie księstwa siedmiogrodzkiego z pod haniebnej zależności od Porty, małżeństwo z arcyksiężniczką Maryą Krystyną, wojna święta za wiarę, którą miał prowadzić w przymierzu z najpotężniejszemi mocarstwami chrześcijańskiego świata, wszystko to łechtało mile umysł młodego i niedoświadczonego księcia. Dziwić się nie można, że uległ tak ponętnym pokusom, zwłaszcza gdy z urzeczywistnieniem tych planów łączyły się widoki na wzmocnienie władzy książęcej w Siedmiogrodzie i na rozszerzenie granic małego państwa ku Dunajowi i limanom Dniestrowym. Pełen najlepszej otuchy wziął się więc młody książe z całą energią, charakterom takim właściwą, do wykonania wielkich swoich zamiarów. Stłumiwszy w strumieniach krwi opozycyą siedmiogrodzkich magnatów, przywrócił dekretem z dnia 7. czerwca 1595. roku zakon Jezuitów w krajach, podległych berłu swojemu i wysłał do Gracu uroczyste poselstwo po arcyksiężniczkę Maryę Krystynę. Równocześnie zwrócił uwagę swoją na Wołoszczyznę i Mołdawię, kraje przyległe Siedmiogrodowi, a niesłychanie ważne ze względu na przyszłą wojnę z Turkami. Na hospodarstwie mołdawskiem siedział potedy Aron, przychylny — o ile się zdaje — i Polsce i owym zamiarom ligi chrześcijańskiej. Kiedy za powrotem Zygmunta III. z Szwecyi zebrał się sejm dnia 7. lutego 1595. roku, aby radzić nad związkiem państw chrześcijańskich przeciw Turkom, przybyli nań także posłowie od Arona i od Michała, wojewody multańskiego. Narady, trwające przez sześć tygodni, nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Polacy, którzy wiedzieli, że na nich głównie cały ciężar wojny tureckiej spoczywać będzie, chcieli mieć zapewnienie, że tak król hiszpański jak i książęta rzescy do ligi przystąpią. Ostatecznie wybrano 14 osób z koła senatorskiego i 18 deputatów poselskich „ku stanowieniu o lidze z pany chrześcijańskimi“. Mieli oni ułożyć projekt związku i przedstawić go następnemu sejmowi. Mimoto gotowano się widocznie do wojny; sejm uchwalił pobory, na radzie senatu postanowiono zaciągnąć 4000 kopijników, 6000 „harkabuzerów“, Kozaków „kilka tysięcy“, piechoty także. Z temi siłami znacznemi miał hetman iść na Ukrainę, aby Tatarów niedopuścić do Węgier i ostatecznie ich poskromić. Sprawy ukrainne wysuwały się tak na pierwszy plan. Układano w cichości wielką wyprawę. Litwa miała dostarczyć 7000 ludzi i żywność dla wojska spuszczać statkami ku Dnieprowi i Dniestrowi na Niż. Chodziło widocznie nietylko o Tatarów lecz i o Kozaków, których swawola wszelką już przebrała miarę. Świeżo, bo w roku 1594, namówieni przez ajentów cesarskich, wpadli oni pod wodzą Łobody w granice państwa tureckiego, złupili kilka miasteczek i zamyślali o jakiejś dalszej wyprawie, kiedy nadbiegł w czas jeszcze z wojskiem hetman polny Stanisław Żółkiewski i do odwrotu ich zmusił. Obawiać się należało, że w ten sposób Rzeczpospolita ściągnie na siebie wojnę turecką. Jakoż do tego zmierzał widocznie dwór cesarski. Chłopicki, niegdyś komornik króla Stefana, a obecnie w służbie Rudolfa II. będący, podmawiał Kozaków. Znaleziono u nich sztandary z orłami cesarskiemi, posądzano arcyksięcia Maksymiliana o nowe praktyki, obawiano się nawet napadu na Kraków, do czego arcyksiąże miał sposobność, stojąc z wojskiem w północnych Węgrzech.

Tymczasem widoki ligi chrześciańskiej były coraz to pomyślniejsze. Na początku roku 1595. umarł sułtan Amurat III., następca jego Mahomet III., podusiwszy 19. braci swoich, zawładnął wprawdzie tronem Osmanów, ale panowanie jego nie było jeszcze ustalone. Intrygi Sinana baszy i matki sułtana, ambitnej Wenecyanki, mięszały państwo; Ferhat basza, mianowany wielkim wezyrem, utracił ten urząd, zanim jeszcze doszedł na czele armii do Dunaju, zdawało się, że te mięszaniny potrwają dłużej i orężowi chrześcijańskiemu wielce będą pomocne.

Wiedział o tem Zygmunt Batory i postanowił z nadarzonej sposobności skorzystać. Z wiosną roku 1595., dobrawszy sobie do pomocy Kozaków, wysłał on do Wołoch wodza swego Rozwana, strącił z tronu Arona i pod pozorem, że jest w porozumieniu z Turkami, ściąć go rozkazał. Na hospodarstwie wołoskiem rozsiadł się teraz Rozwan, sługa Batorego, w najbliższej przyszłości może gubernator, władający prowincyą, Siedmiogrodowi podległą; rzeczpospolita nie mogła patrzeć obojętnie na zmianę tego rodzaju. Wołoszczyzna, czy to pod panowaniem siedmiogrodzkiem czy tureckiem, stawała się niebezpieczną dla Polski sąsiadką.

Turek zwłaszcza mógł każdej chwili rozpuścić stąd zagony swoje pod Lwów, kusić się o Kamieniec podolski, wznowić pretensye dawne hospodarów do Pokucia. Należało więc jak najrychlej kombinacyi takiej przeszkodzić i dlatego król i kanclerz postanowili zgodnie pomknąć wojsko ku granicom wołoskim.

Zygmunt III., sprzyjając w duchu projektowanej lidze, widział w tej wyprawie możność wmięszania Rzeczypospolitej w wojnę turecką; Zamoyski, przeciwnik rakuskiego domu i sprzymierzonego z Austryą wojewody Zygmunta, pragnął wyzwolić Wołoszczyznę z pod wpływów siedmiogrodzkich i zachować dawne prawa Polski do tej prowincyi. A tak to wszystko składało się jakoś dziwnie, że prawie wierzyć trzeba w tajemne porozumienie pomiędzy Zygmuntem III. z jednej, a Batorym, cesarzem i papieżem z drugiej strony. Porozumienie to zamierzało wciągnąć Polskę do ligi wbrew woli Zamoyskiego, uczynić go bezwiednem narzędziem owej zakulisowej polityki i jego zdolności strategiczne zużytkować dla celów świętego przeciw Turkom przymierza. Czy kanclerz dorozumiał się tej kombinacyi nie wiemy, ale że w sieci zastawione zawikłać się nie dał, to pewna. Bo gdy Turcy pod Sinan baszą przeprawili się przez Dunaj, a Tatarzy z drugiej strony zbliżali się, aby na hospodarstwie wołoskiem osadzić Adil Giraja, sendziaka tehińskiego, który był szwagrem cara perekopskiego, i Rozwan słał posła za posłem do hetmana, prosząc go o pomoc, Zamoyski odpowiedział krótko, że niema polecenia jemu pomagać, ani ziemi wołoskiej od Turków bronić, lecz pilnować granic Rzeczypospolitej przed Tatarami. Wtedy Rozwan, nie czując się na siłach i widząc niezadowolenie Wołochów, uciekł z żoną i skarbami do Węgier.

Na wiadomość o tem wkroczył hetman do Wołoszczyzny i osadził na hospodarstwie Jeremiego Mohiłę. Rodzina Mohiłów sprzyjała oddawna polityce polskiej. Jerzy, brat Jeremiasza, metropolita mołdawski, popierał katolicką propagandę na Wołoszczyźnie i w roku 1588. złożył obedyencyą papieżowi

Sykstusowi V. [1]) Jeremiasz otrzymał na ostatnim sejmie indygenat polski. Można się więc było spodziewać, że nowy hospodar będzie wiernym sprzymierzeńcem Rzeczypospolitej. Jakoż natychmiast złożył on w ręce hetmana lenniczą przysięgę i wprowadzony do Jass przez wojska polskie, objął rządy nad zniszczonym i znękanym krajem. Wypędzenie Rozwana obeszło bardzo Zygmunta Batorego, uskarżał się więc gorżko w liście do hetmana na jego postępowanie w sprawie wołoskiej i przypominał Zamoyskiemu względy na pokrewieństwo, które go z rodziną Batorych łączyło. Kanclerz odpowiedział krótko, że obowiązki dla ojczyzny stawia wyżej, niż stosunki prywatne. Groźniejszem o wiele od tej protestacyi siedmiogrodzkiej było zachowanie się Tatarów. Han, stanąwszy z wielkiem wojskiem pod Tehinią, przez posła swego uznawał pozornie hospodarem Mohiłę, ale pisał się panem Wołoszczyzny i przechwalał się przed Wołochami, że idzie po to, aby „Lachy nahajkami do hordy zagnać“, a kanclerza w podarunku wezyrowi posłać. Wziąwszy o tem wszystkiem dokładną wiadomość hetman wyprowadził wojsko z ziemi wołoskiej i położył się na polach czoczorskich nad Prutem. Żołnierz był ochoczy i dzielny, ale siły niedostateczne; 8000 ludzi, acz wyborowych, musiało w stepie uledz przemocy tatarskiej. Aby tego uniknąć, postanowił Zamoyski bronić się w taborze.

Założono więc obóz nad brzegiem Prutu; z trzech stron okalała go rzeka, z czwartej wał ziemny, wysoki na sześć łokci. Tak obwarowany oczekiwał hetman nieprzyjaciela. Jakoż niebawem okryły hordy tatarskie step okoliczny. Wieszając się po sąsiednich mogiłach, podchodząc z nienacka pod obóz, kusił się han kilkakrotnie o zdobycie obozu, ale czujność Zamoyskiego, karność rycerstwa i stosowne użycie artyleryi polskiej, niweczyły zamiary nieprzyjaciela. Od 17. do 20. października toczyły się pomyślne dla naszych harce z Tatarstwem i janczarami, aż dnia 20. października, w piątek, sendziak tehiński przysłał Tatarzyna, chcąc „o pokoju rokowanie czynić“. Nie usłuchał hetman narazie wezwania i dopiero na powtórną prośbę sendziaka, posłał Jana Szczęsnego Herburta. Ułożono zjazd hetmana z sendziakiem opodal od obozu, w polu pod namiotem, umyślnie w tym celu rozbitym. Po dłuższej rozmowie zgodził się Tatarzyn na warunki, podane przez Zamoyskiego, a więc na utrzymanie Jeremiego na hospodarstwie wołoskiem, na pobyt wojsk polskich u boku hospodara i przyrzekł wkońcu bez czambułów, spokojnie powrócić do domu.

Wiadomość o wyprawie Zamoyskiego i o pokoju z Tatarami wywołała wielkie niezadowolenie w Rzymie i w Pradze. Papież Klemens VIII. napominał w ostrych listach Zygmunta III. i kanclerza do prowadzenia dalszej wojny z Turkami, wyrzucał im, że w chwili, gdy orężowi chrześcijańskiemu w Węgrzech powodzić się zaczyna, gdy Zygmunt Batory po zwycięstwie nad Sinan baszą dotarł do brzegów Dunaju, Polska wchodzi w układy z nieprzyjaciółmi krzyża św.

Zarzuty te były oczywiście zupełnie nieuzasadnione, bo Rzeczpospolita nie miała najmniejszego powodu ściągać na siebie Turków lub pozwalać na zabór Wołoszczyzny, a i stosunki wewnętrzne nie były tego rodzaju, aby się

[1]) Theiner III, 46.

rzucać w hazardowne przedsięwzięcia. Wielkie plany wojny tatarskiej i powściągnięcia Kozaków rozbiły się, jak zwyczajne, o skąpstwo szlachty. Województwa wielkopolskie odmówiły poborów, odmówiła i Litwa, rozdąsana na króla za to, że po przeniesieniu Radziwiłła na stolicę krakowską, biskupem wileńskim mianował Polaka, Bernata Maciejowskiego. Skutkiem tego stało się, że hetman z garstką wojska odpierać musiał całą potęgę tatarską, a obroniwszy szczęśliwie granice Rzeczpospolitej, do nowych z Kozactwem gotować się zapasów. Kozacy, nadęci powodzeniem i znaczeniem, jakiego nabrali w ostatnich czasach, gdy ich cesarz Rudolf II. listami swojemi obsyłał, zaczęli się usuwać od posług dla Rzeczypospolitej i politykować na własną rękę. Kiedy Zamoyski, stojąc pod Zynkowem, wezwał ich pomocy przeciw Tatarom, zażądali najpierw pieniędzy i sukien, a podczas czoczorskiej wyprawy przypatrywali się obojętnie krwawym zapasom hetmana z pogaństwem. Wtedy był nad nimi atamanem Łoboda, a porucznikiem jego Nalewajko, rodem z Kamieńca, „osoba znana, mąż nie lada i do tego puszkarz znamienity“. Leżąc bezczynnie po owej wyprawie wołoskiej z Rozwanem, puścili się oni na rozboje, złupili Bracław, wybrali kilka domów szlacheckich, wreszcie z obawy przed wojskiem polskiem, gdy i Zamoyski groźnemi listami ich upominał, poszli w głąb stepów i stamtąd, obrawszy sobie za dowódzcę Nalewajkę, wpadli na Wołyń, gdzie im się Łuck okupić musiał. Po Wołyniu przyszła kolej na Białą Ruś i Litwę. W ostatnich miesiącach roku 1595. widzimy Kozaków w okolicach Słucka, Nalewajko głosi, że idzie tam z rozkazu hetmana wielkiego koronnego, zdobywa Słuck, zabiera stamtąd armaty, zdziera ogromną kontrybucyą mieszczan słuckich i zamierza ciągnąć ku Brześciowi, ale zaskoczony przez wojska litewskie i pobity, bierze szturmem po drodze Mohylów i uchodzi wreszcie na Wołyń. Na wiadomość o tych wypadkach wysłał Zamoyski hetmana polnego Stanisława Żółkiewskiego przeciw buntownikom. Żółkiewski z Krzemieńca bieżąc dniem i nocą, chociaż zima była głęboka, starł niedaleko Konstantynowa pierwszą watahę, a następnie puścił się w pogoń za Nalewajką. Ataman, uchodząc obyczajem kozackim w taborze, gdzie miał dział 20, wymknął się z matni pod Przyłuką, pod Białocerkwią stoczył z Żółkiewskim krwawą bardzo bitwę i uciekł wreszcie za Dniepr. Hetman, wsparty posiłkami pod Bekieszem i Karolem Chodkiewiczem, postanowił zgnieść buntowników. Więc, gdy traktaty, które nawiązał Łoboda, żadnego nie odniosły skutku, a co chwila można się było spodziewać nadejścia wojsk litewskich, przeprawił się Żółkiewski przez Dniepr i połączywszy się z Bohdanem Ogińskim, otoczył tabor kozacki pod Łubnami. Buntownicy bronili się rozpaczliwie, oblężenie było trudne i trwało prawie dwa tygodnie. Dopiero gdy hetman z Kijowa działa wielkie sprowadził i przez dwa dni bezustannie tabor ostrzeliwał, a naostatek odjął oblężonym wodę i drzewo, zaczęli Kozacy traktować o pokój. Żółkiewski postawił twarde warunki; zażądał bowiem wydania Nalewajki i jego spólników, złożenia armat, broni i sztandarów. Przywiedzeni do ostateczności, strzeżeni wokoło przez jazdę polską, która przez tydzień cały z koni nie zsiadła, zgodzili się wreszcie Kozacy na wszystko i wydali Nalewajkę, prosząc jedynie o życie dla siebie.

Gdy jednak hetman domagał się zdania na łaskę lub niełaskę, wszczęła się bitwa, a raczej rzeź straszliwa. Z 10.000. czerni, zgromadzonej w obozie, uszło zaledwie 1500 pod dowództwem Krempskiego. Jeńców puścił Żółkiewski wolno, Nalewajkę odesłano do Warszawy, gdzie po przesłuchaniu został skazany na śmierć i ścięty. Obok niego dał gardło Mieczkowski, komornik królewski, który do Nalewajki woził jakieś zmyślone listy od króla. Ogółem odgrywały w tej sprawie niejasnej rolę intrygi pokątne, w których maczali ręce nietylko ajenci cesarscy, ale i możni panowie polscy.

Gdy tak na wschodnich kresach Rzeczypospolitej tłumiono krwawo bunt kozacki, obradował sejm warszawski nad ligą książąt chrześcijańskich. Zjechał w tym celu do Polski legat papieski Gaetano, przybyło poselstwo austryackie z biskupem ołomunieckim i Adamem Popelem Lobkovicem na czele, stawił się i ambasador hiszpański. Najgorliwszym rzecznikiem ligi był legat, który różowym oddawał się nadziejom i przed komisyą, wyznaczoną przez sejm do prowadzenia traktatów, roztoczył ponętny obraz przyszłej koalicyi. Podług jego mniemania miał należeć do niej papież i król hiszpański i cesarz i książęta rzescy, i wojewoda siedmiogrodzki i hospodarowie naddunajscy. Liczbę wojska cesarskiego podawał na 70.000, na wodza naczelnego armii związkowej proponował króla polskiego, słowem — starał się Polaków pociągnąć, olśnić i zapalić.

Na pochwałę komisarzy polskich trzeba powiedzieć jednak, że złudnym obietnicom porwać się nie dali, że sprawę tak ważną traktowali gruntownie i ostrożnie, i że dobro Rzeczypospolitej przedewszystkiem mieli na względzie. Była to niewątpliwie zasługa Zamoyskiego, który w senacie jasno stanowisko swoje zaznaczył i żądał wyraźnego określenia warunków ze strony papieża i cesarza. Jakoż pokazało się wkrótce, jak słuszne były wątpliwości kanclerza, gdy i posłowie cesarscy nie mieli umocowania do zawarcia ligi i legat papieski domagał się, aby Polacy ziemię wołoską bronili od Turków i Tatarów, a pretensye swoje do niej oddali pod sąd Ojca św.

W takiem położeniu postąpili komisarze polscy bardzo roztropnie, oświadczając, że do dalszych traktatów należy wybrać osobną delegacyę, którąby posłom cesarskim i papieskim szczegółowe przedłożyła warunki. Mieli się oni mianowicie domagać wypełnienia ugody będzyńskiej, mieli żądać, aby dwór austryacki do elekcyj przyszłych się nie mięszał, aby zrzekł się pretensyj swoich do Inflant, Prus i Mazowsza, a o „Szląsko i pomorską ziemię, jako własne członki królestwa polskiego, aby rzesza i cesarz wdali się w kompromis“. Inne punkta dotyczyły związków rakuskich z Moskwą i żołdu dla wojska polskiego na wypadek wojny tureckiej. Wrazie pokonania Turków miała Wołoszczyzna, Multany i Bessarabia należeć do Polski. Jako rękojmią wypełnienia tych warunków powinien cesarz oddać w zastaw Rzeczypospolitej natychmiast Szląsk, Wrocław i Ołomuniec. Sejm przyjął te wnioski komisyi i wyznaczył 34. delegatów z izby poselskiej i z senatu, aby w dniu 1. sierpnia w Krakowie się zjechali i układy w myśl ułożonej instrukcyi prowadzili.

Dotychczasowy przebieg układów przekonał legata, że losy ligi spoczywają w rękach Zamoyskiego, usiłował więc kanclerza zmiękczyć i dla planów

swoich pozyskać. W tym celu, zanim jeszcze komisya w Krakowie się zebrała, posyłał po dwakroć sekretarza swego Vanozzego do Zamościa, oba razy nadaremnie. Zamoyski, w zasadzie przychylny walnej wyprawie na Turków, wyobraża ją sobie zupełnie inaczej niż legat papieski i posłowie cesarscy. Razi go oddanie naczelnego dowództwa nad wojskiem ligi arcyksięciu Maksymilianowi, którego tą drogą na tron polski chcą wprowadzić, środki pie-

Jan Chodkiewicz, hetman wielki litewski.

niężne, ofiarowane przez papieża i cesarza, uważa za niedostateczne, obawia się, aby nieobwarowane granice polskie nie ściągnęły na Rzeczpospolitę całej potęgi tureckiej i niedowierza zresztą stronnikom austryackim wogóle, gdyż ma dowody w ręku, że dom rakuski i w Szwecyi intrygi prowadzi i o uzyskaniu korony polskiej myśleć nie przestaje.

O ile obawy kanclerza były uzasadnione, okazała wkrótce dowodnie komisya krakowska, gdyż posłowie cesarscy najważniejsze warunki polskie od-

rzucili, wykonanie ugody będzyńskiej milczeniem pominęli, a przy hetmaństwie arcyksięcia Maksymiliana twardo stali. Traktaty rozbiły się więc w istocie, chociaż formalnie pogrzebano je dopiero na sejmie w roku 1597.

Jeżeli papież i legat jego mogli być niezadowoleni z przebiegu układów o lidze, to z drugiej strony musieli przyznać, że dwór polski w tym samym czasie oddał niepospolite usługi kościołowi i cywilizacyi zachodniej przez nawrócenie Rusinów, dokonane na soborze w Brześciu litewskim w roku 1596. Myśl unii Kościoła wschodniego z zachodnim, propagowana od niepamiętnych czasów przez Stolicę apostolską, znalazła silny odgłos w Polsce i na Litwie. Wiadomo, jakie usiłowania pod tym względem czynił Jagiełło i Witołd, znanem jest poselstwo biskupów ruskich na sobór konstancyjski, a jakkolwiek zabiegi te wtedy nie odniosły pożądanego skutku, to unia florencka (w roku 1439.) urzeczywistniła niebawem zamiary wielkiego Kiejstutowicza. Metropolita kijowski Izydor, biskup suzdalski Awrami i liczny zastęp Rusinów podążył do Ferrary, aby dzieło zjednoczenia uznać i własnoręcznemi podpisami swojemi potwierdzić. Uradowany tem papież Eugeniusz IV. mianował Izydora nadzwyczajnym legatem swoim na Polskę, Ruś i Litwę.

Ale unia, tak ważna pod względem politycznym i kościelnym dla Polski, napotkała właśnie z tego powodu na najzawziętszą opozycyę wielkich książiów moskiewskich. Kiedy Izydor w roku 1441. udał się do Moskwy i tam po nabożeństwie w katedrze akt unii odczytać kazał, obecny w kościele wielki książ Wasyl II. złajał publicznie metropolitę jako heretyka i w monasterze czudowskim zamknąć go kazał. Izydor uciekł wprawdzie z więzienia, ale gdy i na Litwie wielki książe Kazimierz, uznający antypapę Feliksa, niezbyt mile go widział, zniechęcony tem wszystkiem, wyjechał do Rzymu. Unia skutkiem tego zachwiała się mocno, bo Wasyl II., korzystając z nieobecności Izydora, mianował metropolitą kijowskim schyzmatyka Jonasza, a Kazimierz Jagiellończyk nominacyę tę uznał i cerkiew ruską oddał tem samem znowu pod wpływ Moskwy.

Dziwna rzecz, że i Stolica apostolska dość obojętnie na los unii patrzyła i dopiero w roku 1458. wyznaczyła na następcę Izydora opata Grzegorza. W Polsce, co prawda, inne pod tym względem panowały zapatrywania. Władysław Warneńczyk wydał w roku 1443. w Budzie przywilej, równający duchowieństwo unickie ruskie z łacińskiem, ale dokument ten, wobec przewagi schyzmy i nieopatrznej polityki wschodniej Kazimierza Jagiellończyka, wielkiego znaczenia mieć nie mógł. Unia, zwichnięta w zarodku, wiodła żywot suchotniczy. Nadaremnie Kazimierz uznał następnie metropolitą Grzegorza i o nawracanie schyzmatyków pilne czynił zabiegi, nadaremnie biskupi ruscy wysyłali poselstwo do Sykstusa IV. z obedyencyą, większość chyliła się widocznie ku schyzmie, a małżeństwo Aleksandra z Heleną wzmocniło kierunek ten i utwierdziło. Gdy Iwan Wasylewicz III. skarżył się bezustanie, że córkę jego na katolicyzm chcą nawrócić, sprowadzała Helena tłumy popów do Wilna w celu propagandy schyzmatyckiej, osadzała na metropolii kijowskiej zdeklarowanych wrogów unii i pracowała wytrwale nad odnowieniem schyzmy w prowincyach polsko-litewskich. Stan ten pogorszył się jeszcze bardziej w ciągu wieku XVI.,

gdy kościół katolicki w Polsce znacznie podupadł, a herezya krzewić się zaczęła.

Protestantyzm widział w schyzmie naturalnego swego sojusznika, nienawiść ku kościołowi katolickiemu jednoczyła wszystkich herezyarchów, podczas gdy z drugiej strony i duchowieństwo łacińskie niezreformowane jeszcze i królowie Zygmunt Stary i Zygmunt August zajęci wewnętrznemi rozterkami o podtrzymaniu unii myśleć nie mogli. Protestantyzm krzewił się zatem w Polsce i wdzierał się rozmaitemi drogami do cerkwi ruskiej. Tam ułatwiała mu pracę demoralizacya i chwiejność wyższego duchowieństwa, tu oprócz demoralizacyi nadzwyczaj wielka ciemnota i upadek kleru. Zepsucie szło z góry. Patryarchat carogrodzki, zależny zupełnie od samowoli sułtanów i wezyrów, znajdował się w stanie upadku i korupcyi niesłychanej. Tak jak hospodarowie wołoscy i multańscy, tak i patryarchowie kupowali wprost godność swoją od padyszachów i faworytów sułtańskich i nieraz zdarzało się, że ze stolicy patryarszej rugował prawowitego i uznanego władcę ten, kto więcej od niego zapłacił. Upadała więc powaga patryarchów i od schyłku XV. wieku nastał zwyczaj, że i metropolitów kijowskich i biskupów ruskich mianowali królowie, nie oglądając się wcale na zwierzchników właściwych kościoła wschodniego. Ale i to nie trwało długo, bo możnowładztwo ruskie zagarnęło niebawnie prawo to dla siebie. Glińscy i Ostrogscy sadzali na stolicach biskupich władyków, inni magnaci wyjednywali dla klientów swoich dekreta w kancelaryi królewskiej, a szlachta drobna ruska lub podupadli ziemianie, ludzie świeccy i w rzeczach wiary nieoświeceni, szukali na tej drodze karyery i dostatniego na późniejsze lata zaopatrzenia. Pod takiem kierownictwem musiało upadać i duchowieństwo niższe. Wszystkie świadectwa współczesne przedstawiają też w najczarniejszych barwach opłakany stan cerkwi ruskiej. Książe Konstantyn Ostrogski, najzawziętszy wróg unii, pisze pomiędzy innemi: „A nie dlaczego innego rozmnożyło się między ludźmi (narodu ruskiego) takie lenistwo, ospalstwo, odstąpienie, jako najwięcej dlatego, że ustali nauczyciele, ustali opowiadacze słowa Bożego, ustały kazania, a zatem nastąpiło zniszczenie i zmniejszenie chwały Bożej i Cerkwi Jego, nastąpił głód słuchania słowa Bożego“. Tymczasem głodu tego duchowni schyzmatyccy nie byli w stanie zaspokoić. „Ruś schyzmatycka bowiem, podług świadectwa Melecego Smotrzyckiego, arcybiskupa połockiego, podobnie bez nauki (jak cerkiew grecka), trzech kaznodziejów w niej nie napotkać. A i ci, by się nie żywili postylami katolickiemi, słowaby powiedzieć nie umieli“.

Za ciemnotą szło nieuchronne zepsucie obyczajów i moralne zdziczenie ludu. Duchowni świeccy, którym wolno było raz tylko się żenić, przed święceniem, wstępowali po dwa i po trzy razy w związki małżeńskie, „życie zakonne nawet przyszło po wielkiej części w taką niesforność — powiada archimandryta Krewza — że oprócz odzienia mniskiego i postawy powierzchownej nic zakonnego nie było“. W monastyrach siedzieli mnisi z żonami i dziećmi i używali pożytków klasztornych na zaopatrzenie swoje i swoich rodzin. Nic dziwnego zatem, że szlachta dymnicka chwytała się protestantyzmu, że krzewiły się pomiędzy ziemianami zamożniejszymi i oświeceńszymi zasady Lutra,

błędy Kalwina, herezye Aryusza i że do nielicznych szkół ruskich sprowadzano na nauczycieli ministrów akatolickich. Wszyscy ludzie poważniejsi ubolewali nad tym niesłychanym upadkiem cerkwi ruskiej. Jedni pragnęli przez rozszerzenie oświaty zreformować duchowieństwo i podnieść jego moralny stan, książe Konstantyn Ostrogski ufundował w roku 1580. akademią w Ostrogu, przyczynił się do założenia kijowskiej szkoły brackiej w roku 1587., powstały zakłady podobne we Lwowie, Wilnie, Jarosławiu i Brześciu, z inicyatywy Ostrogskiego, a pod kierunkiem Daniłowicza Smotryckiego, przełożono Pismo święte na język słowiański,[1]) ale wszystkie te prace były spóźnione. Cerkiew ruska, złączona ze strupieszałym patryarchatem carogrodzkim, nie mogła się odrodzić inaczej, jak przez zjednoczenie z kościołem kotolickim, przez zasilenie chorego organizmu swojego świeżemi prądami cywilizacyi zachodniej. Podjął tę myśl na nowo Possewin, przychylił się do niej Stefan Batory z pobudek więcej może politycznych, niż religijnych. Jakoż za panowania monarchy tego, po długiej przerwie rozpoczynają się pierwsze usiłowania, zmierzające do nawrócenia Rusinów. Przerwane przez śmierć wielkiego poprzednika swego plany, wznowił w szerszym jeszcze zakresie Zygmunt III. Wychowany w zasadach ściśle katolickich, głęboko i z przekonania religijny, uważał monarcha ten już w początkach panowania swego nawrócenie innowierców i schyzmatyków za główne swoje zadanie. Utwierdzała go w tem przedsięwzięciu Stolica apostolska i Jezuici, od dłuższego czasu pracujący nad rozszerzeniem katolicyzmu na północy.

Oni to objęli kierownictwo akademii wileńskiej, za ich staraniem, a mianowicie za radą Possewina, powstało w Wilnie seminaryum dla młodzieży ruskiej i rosyjskiej, papież Grzegorz XIII. utworzył w tym samym celu wolne bursy w Rzymie, w greckiem kollegium św. Atanazego, w Ołomuńcu, w Pradze i w Brunsberdze, Skarga wydawał słynne dzieło swoje „O jedności kościoła“. Tak stały rzeczy w roku 1588., kiedy patryarcha carogrodzki Jeremiasz II., jadąc do Moskwy, zatrzymał się w Polsce. Odkąd istniała cerkiew ruska zdarzało się to poraz pierwszy, więc spodziewano się, że patryarcha stosunki zbada, nadużycia powściągnie i kościół zreformuje. Jakoż ze wszystkich stron posypały się skargi na duchowieństwo wyższe i niższe i groźby, że jeżeli stan ten dalej potrwa, schyzmatycy będą musieli powrócić na łono kościoła katolickiego, który po soborze trydenckim krzepił się i pomyślnie rozwijał. Patryarcha, wysłuchawszy tych żalów, wyjednał sobie u króla glejt potrzebny i po powrocie z Moskwy zwołał synod do Wilna jeden, a wkrótce potem drugi do Brześcia. Zamiast jednakże jąć się pilnie reformy, ograniczył on się do drobnych formalności, a co ponad to zdziałał, było obmyślone raczej na szkodę, niż na pożytek cerkwi ruskiej. Konsekrował więc na metropolitę mianowanego już przez króla archimandrytę mińskiego Michała Rahozę, ale równocześnie prawie wyniósł do godności exarchy biskupa łuckiego Terleckiego i stworzył w ten sposób władzę wyższą od metropolitalnej ku wielkiemu niezadowoleniu i oburzeniu tak Rahozy, jak i innych episkopów ru

[1]) Jest to rzadka dziś bardzo Biblia ostrogska.

skich. A jakby i to jeszcze nie wystarczało do rozdwojenia i rozbicia hierarchii cerkiewnej, wyjął patryarcha bractwa lwowskie i wileńskie z pod jurysdykcyi biskupów i upoważnił je do nadzorowania całego kleru, tak wyższego jak i niższego. Bractwa te, zaszczycone teraz tytułem bractw stauropigialnych, a złożone z ludzi świeckich, szlachty i mieszczan, stały się czynnikiem rozkładowym w organizmie cerkiewnym i rodzajem ekspozytury policyjnej patryarchów carogrodzkich na Rusi. Jeżeli cała ta działalność Jeremiasza zawiodła nadzieje tych, którzy reformy gruntownej pragnęli, to podróż jego do Moskwy i powolność, jaką okazał tam dla życzeń wielkiego księcia, były ze względów politycznych niebezpieczne dla Polski. Ustanowił on bowiem w roku 1589. osobny patryarchat moskiewski, uzurpujący sobie władzę zwierzchniczą nad całem duchowieństwem ruskiem i rosyjskiem. Pierwszy patryarcha moskiewski Job pisał się „patryarchą włodzimierskim, moskiewskim, wszystkiej Rusi i wszystkich krajów północnych“, a jeden z następców jego, Nikon (w roku 1657.), wydawał już rozporządzenia dla Litwy i używał tytułu „patryarcha wielkiej i małej Rossyi“. Powaga i interes Rzeczypospolitej wymagały zatem ograniczenia i odcięcia tych wpływów obcych na cerkiew ruską. W Polsce wiedziano dobrze, że ludność ruska ze względu na wspólność wiary, skłania się ku Moskwie, wiedziano, że świeżo podczas wypraw Batorego w cerkwiach ruskich modlono się za pomyślność oręża moskiewskiego i że te sympatye rosnąć musiały w miarę ściślejszych związków hierarchicznych. Oderwanie cerkwi ruskiej od Moskwy stawało się więc nieuniknioną koniecznością tak dla gorliwego Zygmunta III., jak i dla męża stanu tej miary co Zamoyski. Obaj też podjęli sprawę unii i znaleźli pomiędzy biskupami ruskimi wnet gorących zwolenników. Pierwszym z nich był Gedeon Bałaban, władyka lwowski, człowiek niedobrej sławy, drugim Cyryl Terlecki. Bałaban, żyjąc w ciągłej niezgodzie z bractwem stauropigialnem lwowskiem i zagrożony z tego powodu klątwą przez patryarchę, chwytał się unii z osobistych pobudek, Terlecki, gorliwy pasterz, widział w zjednoczeniu cerkwi ruskiej z kościołem zachodnim jedyną możność przeprowadzenia reformy. Nakłaniali go do tego nadto Bernard Maciejowski, biskup łucki i Adam Pociej, kasztelan brzeski. Jakoż wkrótce po odjeździe Jeremiasza zebrało się w Bełzie w roku 1590. czterech władyków ruskich, którzy za sprawą Terleckiego postanowili poddać się papieżowi. Uchwałę tę, zatwierdzoną przez cały episkopat ruski na synodzie w Brześciu litewskim, miał Terlecki w formie deklaracyi przedłożyć królowi. Stało się to rzeczywiście dopiero w roku 1591., a Zygmunt III., uradowany tym krokiem duchowieństwa ruskiego, wyraził wdzięczność swoją biskupom i zapewnił im na wypadek dojścia unii nietykalność obrządku i przywileje takie, jakie posiadało duchowieństwo łacińskie. Niebawem pozyskała unia gorliwego obrońcę w Pocieju, który na nalegania księcia Ostrogskiego przyjął święcenia kapłańskie i został władyką włodzimierskim pod imieniem Hipacego. Ostrogski, oddawna już ubolewający nad upadkiem cerkwi ruskiej, był jednym z pierwszych, co o unii myśleli, układał się w tym celu z Possewinem i z nuncyuszem Bolognettim jeszcze za czasów Stefana Batorego, a obecnie przyjacielowi swojemu Pociejowi zalecał, aby na synodzie, w Brze-

ściu odbyć się mającym, „obmyślił środki i sposoby, jakiemiby można znieść rozdwojenie cerkwi z kościołem zachodnim“. Po długich przygotowaniach i naradach z królem i Zamoyskim, szczególniej podczas sejmu roku 1595, uczynili nareszcie biskupi ruscy krok stanowczy i zjechawszy się w Brześciu (12. czerwca) ułożyli dwa adresy: do papieża jeden, do króla drugi, w których oświadczali, że gotowi są przystąpić do unii florenckiej, byle im zawarowano nietykalność liturgii i obrzędów cerkiewnych. Zarazem wyznaczono jako delegatów do Rzymu wysłać się mających Hipacego Pocieja i Terleckiego. Dotąd szło wszystko gładko i zabiegi biskupów, przychylnych unii, żadnej nie natrafiały opozycyi. Teraz jednak, gdy sprawa zdawała się skończona i gdy tylko oczekiwano powrotu delegatów z Rzymu, aby na synodzie, umyślnie w tym celu zwołanym, uroczyście i formalnie aktu zjednoczenia dokonać, powstała gwałtowna burza, ze strony najmniej spodziewanej. Wzniecił ją książe Konstantyn Ostrogski, głowa dyzunitów z pobudek bądź osobistych, bądź dogmatycznych. Magnat ten, który był patronem 600 cerkwi i gorliwym opiekunem szyzmy, posiadał, skutkiem bogactw swoich i stanowiska społecznego, w krajach ruskich wpływ olbrzymi.

Ubolewał on także, jak wiemy, nad upadkiem cerkwi i pragnął reformy, ale, otoczony protestanckimi mistrzami i przesiąknięty ich nauką, dążył do zmiany dogmatów w duchu akatolickim. Zjednoczenie cerkwi z kościołem na warunkach, przyjętych przez episkopat ruski, nie było zatem po jego myśli, a że układy odbywały się bez jego wiedzy, więc powziął urazę do biskupów, a nawet do swego przyjaciela, Pocieja.

Dumny oligarcha, panujący na obszarze 242. mil kwadratowych, nie mógł sobie wyobrazić, że znaleźli się ludzie, którzy bez jego zezwolenia unią przeprowadzić zamierzyli i z uporem, właściwym starości — liczył wtedy lat 82 — postanowił rzecz całą zwichnąć, chociażby nawet i gwałtownych przyszło użyć środków. Bunt Nalewajki, wszczęty w tym czasie, nastręczył księciu dogodną do spełnienia tych zamiarów sposobność. Są ślady, że Ostrogski porozumiewał się z Nalewajką, w orszaku księcia, gdy jechał na sejm warszawski, znajdowały się całe hufce kozaków Nalewajkowych, sam wojewoda groził, że zgromadzi 15—20 tysięcy ludzi, aby odeprzeć, jak się wyrażał, gwałty króla i papieżników, a protestantów, którzy wtedy synod swój w Toruniu odbywali, wzywał, aby się połączyli z schyzmatykami do wspólnej walki przeciw katolikom. Pomimo tej agitacyi spodziewał się dwór i nuncyusz Malaspina pozyskać księcia dla unii, biskupi ruscy pojechali zatem do Rzymu, gdzie im wspaniałe zgotowano przyjęcie.

Na uroczystem posłuchaniu złożyli oni wyznanie wiary, poczem papież Klemens VIII. wydał bullę „Magnus Dominus et laudabilis nimis“, zwiastującą światu połączenie cerkwi ruskiej z kościołem katolickim i kazał wybić medale pamiątkowe złote i srebrne z napisem „Ruthenis receptis“. W marcu roku 1596. powrócili delegaci z Rzymu, aby dzieła unii dokonać w kraju, tu jednak czekały ich największe trudności. Ostrogski bowiem, niezmordowany w agitacyi, pozyskał sobie chwiejnego metropolitę Rahozę, znalazł poparcie u bractwa stauropigialnego wileńskiego i na sejmie roku 1596. wystąpił ostro

przeciw królowi, podczas gdy Stefan Zyzania wraz z księżami Wasylem i Harasymem burzyli słowem i pismem ludność ruską, piętnując biskupów mianem zdrajców cerkwi.

Król w celu uspokojenia umysłów wydał odezwę, w której oznajmiał o zawarciu unii i zapowiadał synod duchowieństwa ruskiego w Brześciu litewskim (8. października). Jakoż nie w oznaczonym terminie, ale dwa dni wcześniej, zebrało się w Brześciu bardzo liczne zgromadzenie osób duchownych i świeckich; przybyli delegaci papiescy, biskupi: Solikowski, Maciejowski i Gomoliński, uczeni teologowie jezuiccy z ks. Skargą na czele, przybył i Ostrogski w towarzystwie jakiegoś Nikifora, który się mianował protosyngielem patryarchy carogrodzkiego, a w istocie odgrywał na Wołoszczyźnie rolę ajenta politycznego przy Rozwanie i działał tam na szkodę Rzeczypospolitej. Kiedy więc biskupi ruscy, przychylni unii, wraz z duchowieństwem rozpoczęli obrady, Ostrogski w zborze protestanckim otworzył synod przeciwny pod przewodnictwem Nikifora. Z biskupów ruskich przyłączyli się do niego Bałaban i Michał Kopysteński. Po bezowocnych układach z odszczepieńcami, ogłosił synod dnia 9. października deklaracyą unii i obłożył klątwą przeciwników, na co opozycya uroczystym odpowiedziała protestem.

W ten sposób nastąpiło rozdwojenie w cerkwi ruskiej, które wskutek słabości rządu polskiego i przemożnych wpływów Ostrogskiego zachwiało byt unii w zarodku. Już samo postępowanie z owym Nikiforem musiało obudzić w umysłach Rusinów słuszne wątpliwości. Aresztowany narazie jako zdeklarowany wróg Rzeczypospolitej, odzyskał on wolność za wstawieniem się Ostrogskiego i dopiero na sejmie warszawskim w roku 1597. został skazany na więzienie w zamku malborskim, gdzie też życie zakończył. Bałaban i Kopysteński jakkolwiek wyklęci i odsądzeni od godności swoich, siedzieli jednak dalej spokojnie na stolicach biskupich bez żadnej przeszkody ze strony władz rządowych. Obojętność ta z jednej i gorliwa propaganda schyzmatycka Ostrogskiego z drugiej strony ośmieliła dyzunitów do jawnych gwałtów i zbrodni. Metropolitę Rahozę, gdy wybrał się na wizytacyą dyecezyi, obrzucono w Słucku gradem kamieni; następcy jego Pociejowi odciął jakiś Tupeka dwa palce u ręki w biały dzień na ulicach Wilna, arcybiskup połocki Józefat Kuncewicz poniósł śmierć męczeńską, w Kijowie utopiono Bazylianina Antoniego Hrekowicza, w dyecezyi przemyskiej zamordowano przy ołtarzu innego mnicha Budkiewicza. Unia rozpoczynała żywot swój męczeństwem, dzięki pobłażliwości rządu polskiego. Zamiast ująć się za unitami, biskupów unickich wprowadzić do senatu i niższemu duchowieństwu zapewnić byt materyalny, ograniczono się do wydawania uniwersałów, zatwierdzających unią, a nieumiano poskromić dumnego magnata, który jawnie na zgubę państwa tworzył spiski i konfederacye. Raz już wszedłszy na drogę konspiracyi z dyssydentami, zwołał Ostrogski zjazd do Wilna w roku 1599., gdzie wprawdzie zjednoczenie religijne nie powiodło się, ale stanęła konfederacya akatolików, mająca na celu obronę wszystkich wyznań, przeciwnych kościołowi i unii.

Ustanowiono osobną komisyę, która zajmowała się zbieraniem skarg i nadużyć i z tego źródła czerpał Ostrogski materyały do ostrych wycieczek

przeciw katolikom i przeciw królowi na sejmach i zjazdach. Podczas rokoszu Zebrzydowskiego stanowiła sprawa dyzunicka jeden z ważniejszych punktów programu politycznego rokoszan. Żądano mianowicie, aby król przywrócił kościół grecki do dawnego stanu, a oddalił metropolitę i władyków, podległych Rzymowi. Jakoż konstytucya, uchwalona na sejmie warszawskim w roku 1607., zawierała znaczne ustępstwa dla dyzunitów i warowała przywileje i prawa bractw cerkiewnych.

Wszystko to było dziełem Ostrogskiego, ślepego fanatyka, który syna swego Janusza, gdy przeszedł na katolicyzm, więził długo w Dubnie i w przystępie gniewu własną ręką chciał zamordować. Historycy zarzucają powszechnie Zygmuntowi III. nietolerancyą i fanatyzm religijny, nie zwracają jednak uwagi na postępowanie innowierców, którzy pod względem gwałtowności i prześladowania prześcignęli znacznie króla i jego jezuicką kamaryllę. Z politycznego punktu widzenia oceniając rzeczy, przyznać trzeba, że król grzeszył raczej słabością niż surowością i że upadek unii przypisać należy nieopatrznemu postępowaniu rządu polskiego i krótkowidzącej polityce szlacheckiej, która bez względu na interes państwa gotowa była z opozycyi przeciw tronowi, popierać dyzunitów, grawitujących ku Moskwie.

Śmierć Ostrogskiego (28. lutego 1608)[1]) pozbawiła wprawdzie schyzmatyków potężnego protektora, ale nie przerwała wcale agitacyi wzniecionej przez niego i jeżeli unia mimoto utrzymała się i pokrzepiła cokolwiek na siłach, to przypisać to należy głównie zabiegom Hipacego Pocieja, który od roku 1599. piastował godność metropolity. Wichrzenia Ostrogskiego i niebezpieczeństwo ze strony Kozaków odsłoniły głębszym przynajmniej umysłom całą grozę położenia. Zaczęto się zastanawiać nad słabością Rzeczypospolitej i nad potrzebą reformy. Kresowi pisarze, Józef Wereszczyński i Piotr Grabowski domagali się głośno zaprowadzenia stałej armii, zahamowania Kozaków, podniesienia z upadku miast ukrainnych i założenia skarbu publicznego, Karnkowski w „Eksorbitancyach“ swoich wystąpił z ostrą krytyką izby poselskiej, Warszewicki Krzysztof nawoływał do reformy sejmowania, a królowi zalecał zasady Macchiawela.[2]) Zdawało się piszącym tak przynajmniej, że reforma jest bliską, gdy wypadki polityczne wszystkie pokrzyżowały zamiary. Od podróży królewskiej do Szwecyi upłynęło lat cztery. Przez ten czas pogorszyły się znacznie stosunki w dziedzicznem państwie Zygmunta III. Karol Sudermański zaczynał rządzić samowładnie, prześladował stronników Zygmunta, składał sejmy nie pytając się króla o pozwolenie, a oparty na żywiole włościańskim, przywiązanym do religii luterskiej, czekał tylko chwili sposobnej, aby koroną bratanka własne przyozdobić skronie. Uwiadomiony o przeniewierstwie stryja Zygmunt III. postanowił powtórnie udać się do Szwecyi i złemu wczas zapobiedz. Chodziło tylko o zezwolenie i pomoc stanów polskich, a pod tym względem nikt nie mógł wesprzeć skuteczniej króla, jak Zamoyski. Hetman używał w tym czasie największego znaczenia w Rzeczypospolitej. Nawet dawny przeciwnik jego,

[1]) Rękopis biblioteki ks. Czartoryskich nr. 339, pag. 466.

[2]) Książka Warszewickiego nosi tytuł: „De optimo statu libertatis“.

Napad Tatarów.

Karnkowski, poznawszy dokładnie tajemne zamiary króla, pojednał się szczerze z Zamoyskim. Z pomiędzy nieprzyjaciół kanclerskich pozostał u dworu jeden tylko podkanclerzy Tarnowski z dyrektorem kancelaryi Pstrokońskim, ale i ci ostygli już w swojej niechęci ku Zamoyskiemu. Wśród takich stosunków zbliżał się sejm roku 1598., poprzedzony nagłymi wypadkami śmierci w rodzinie królewskiej. Przy końcu roku 1596. zakończyła życie poczciwa Anna Jagiellonka, ostatniego stycznia roku 1598. umarła niespodziewanie cnotliwa królowa Anna, pierwsza żona Zygmunta III., za matką poszedł i młodszy syn królewski, Krzysztof. Osamotniony monarcha, którego ulubionem marzeniem było utrzymanie dziedzicznej korony szwedzkiej, okazał się bardzo skłonnym do ustępstw. Na wakujące po Łukaszu Kościeleckim biskupstwo poznańskie otrzymał nominacyą Tarnowski, mniejsza pieczęć dostała się Tylickiemu, miejsce Pstrokońskiego zajął Szymon Rudnicki. W zamian za te ustępstwa, które oddawały kancelaryą królewską znowu pod wyłączny wpływ hetmana, poparł Zamoyski silnie propozycye rządowe. Sejm uchwalił znaczny pobór, przeznaczył z podatków 300.000 zł. na podróż królewską do Szwecyi, resztę na wykupienie zastawionych klejnotów i dóbr stołowych.

Zamoyski, który na każdą sprawę polityczną zapatrywał się trzeźwo, radził królowi zaciągnąć znaczniejszy hufiec wojska i wrazie potrzeby zmusić Karola orężem do posłuszeństwa. Rada ta jednak nie była po myśli królewskiej. Zygmunt ufał zanadto Szwedom, aby obcych wojsk przeciw nim używać. Otaczający go doradcy szwedzcy mniemali, że byle tylko król się ukazał w dziedzicznem swem państwie, to większość narodu okaże się wierną prawowitemu władcy, a opuszczony od stronników swoich Karol będzie musiał przyjąć takie warunki, jakie król mu przepisze. Fantastyczny w planach swoich Zygmunt III. dał się łatwo uwieść podszeptom szwedzkich marzycieli, którzy, przebywając zdala od kraju, ani o popularności Karola, ani o stosunkach szwedzkich ogółem jasnego wyobrażenia nie mieli.

Zamiast potężnej armii zaciągnięto więc zaledwie garstkę Węgrów pod Bekieszem i trochę piechoty niemieckiej pod Janem Weiherem, a jakkolwiek król nad wojskiem tem przełożył zdolnego wodza, Jerzego Farensbacha, to z tak szczupłemi siłami i on nie mógł wiele dokazać. Niepowiodła się bitwa pod Linkoping, Zygmunt III. musiał zawrzeć z Karolem upokarzającą ugodę; pokonany na polu walki, w planach swoich zawiedziony, zgnębiony moralnie, powracał król do Polski, przywożąc zamiast szwedzkiej korony widoki rychłej wojny, którą Rzeczpospolita mimowoli i wbrew interesom własnym prowadzić musiała. W zamian za bagnistą i nieludną Estonię, którą Zygmunt teraz dopiero w myśl paktów konwentów narodowi zdecydował się ustąpić, miała płynąć bezskutecznie krew polska przez lat 60.

Tymczasem od strony południowej zbierała się nowa burza. Zygmunt Batory, ożeniony z arcyksiężniczką Maryą Krystyną, sprzykrzył sobie rychło i żonę i panowanie i w roku 1597. odstąpił cesarzowi Siedmiogród za księstwo raciborskie i opolskie i za roczną rentę 50.000 talarów. Oprócz tego zezwolił Rudolf II. na rozwód Zygmunta z Krystyną; fantastyczny wojewoda miał przyjąć święcenia kapłańskie, na następcę jego w Siedmiogrodzie wyznaczono

arcyksięcia Maksymiliana. Układ tego rodzaju, wyzuwający rodzinę Batorych z posiadania Siedmiogrodu zupełnie, wywołał protest Andrzeja Batorego, kardynała i biskupa warmińskiego, i wielkie niezadowolenie pomiędzy Siedmiogrodzianami, a i Zygmunt sam przekonał się wnet o nieszczerości polityki cesarskiej. Osadzony w zrujnowanym zamku opolskim i pozbawiony dochodów, powrócił on więc nagle do Siedmiogrodu, pojednał się z Andrzejem i na sejmie w Koloszwarze oddał mu rządy kraju, zastrzegając sobie roczną pensyę 24.000 dukatów. Tak stały rzeczy w roku 1599. i wątpić nie można, że na to postanowienie Zygmunta wpływał pośrednio Zamoyski. Skłaniały go do tego i względy na pokrewieństwo z rodziną Batorych i interes polityczny Rzeczypospolitej, dla której owo rozszerzenie austryackich wpływów w Siedmiogrodzie nie mogło być obojętnem zwłaszcza w chwili obecnej, gdy na hospodarstwie multańskiem zasiadał wojewoda Michał, marzący o zjednoczeniu księstw naddunajskich.

Jakoż wypadki następne dowiodły, że przezorność ta była uzasadniona. Michał bowiem, zawarłszy pozornie przymierze z kardynałem Batorym, porozumiał się tajemnie z cesarzem, najechał przy końcu roku 1599. Siedmiogród, poraził wojsko Andrzeja pod Hermanstatem i opanował kraj cały. Batory, uciekając z pola bitwy, zginął zamordowany przez mściwych Wołochów. Ale i panowanie Michała w Siedmiogrodzie nie trwało długo; generał cesarski Basta wyparł go stamtąd, a Zygmunt Batory gotów był teraz odstąpić królowi polskiemu swoje prawa do Siedmiogrodu. W Pradze wiedziano zapewne o tem i aby Polskę zatrudnić, rzucono na nią Michała. Michał ten, „chłop szalony i desperat“, dał się użyć za narzędzie. Zwycięstwa odniesione nad Turkami i w Siedmiogrodzie rozsławiły imię jego i wzbiły go w pychę. Hojny nad miarę, olśniewający przepychem wschodnim tłumy, ściągał on pod swoje sztandary awanturników z całego świata. Służyli mu Węgrzy przeciw Batoremu, Kozacy, uganiający się za łatwą zdobyczą, a nawet znaczna liczba Polaków, których król osobnemi uniwersałami od tego szkodliwego kondotierstwa wstrzymywać musiał. Zebrawszy z takich awanturniczych żywiołów wojsko niemałe, niezrażony świeżą klęską w Siedmiogrodzie i ufny w protekcyą cesarską, postanowił Michał pokusić się o Wołoszczyznę. Aby zaś tem snadniej celu dopiąć, puszczał wieść, że sułtan na ziemię wołoską dał mu przywilej, a do sędziaka tehińskiego pisał, że sam chce być królem polskim, a synowi swemu puścić Multany, Wołoszczyznę i Siedmiogród. W przechwałkach tych nie było ani słowa prawdy. Przeciwnie, poseł turecki na prywatnej audyencyi oświadczył królowi, że Porta pozwoliła Rzeczypospolitej podawać wojewodów „do multańskiej i erdelskiej ziemi“ i że sułtan „dziwuje się temu, że król, posadziwszy Andrzeja Batorego na erdelskiej ziemi, dopuścił Michałowi odjąć mu państwo i żywot“.[1]) Michał tymczasem, nie troszcząc się o to wszystko, wyparł Mohiłę z hospodarstwa, opanował całą Wołoszczyznę i rozpuścił zagony swoje po sąsiedniem Pokuciu. W Polsce głoszono, że działa w porozumieniu z Moskwą, że idzie w 150.000 wojska, aby zdobyć Pokucie i strącić

[1]) List oryginalny Tylickiego do Zamoyskiego z dnia 14. maja 1600. W bibliotece ordynacyi Zamoyskich.

Zygmunta III. z tronu. Na wiadomość o tych wypadkach nie mógł się król dłużej wahać. Zamoyski pomknął Żółkiewskiego na obronę wypędzonego Mohiły pod Chocim, sam zaś, zgromadziwszy wojsko pod Glinianami, ruszył z mocnem postanowieniem, aby „za tym zawodem wszystko już od tej strony uspokoić“. Okazało się, że nieprzyjaciel nie był tak groźnym, jak się zdawało. Hetman z nieliczną wprawdzie ale doborową armią wyparł szybko zbieraninę Michałową z Wołoszczyzny, wkroczył do Multan i dnia 20. października 1600. roku rozbił ze szczętem 40.000 wojska wojewody pod Targowest „nad Bukowołem“. Michał, zamyślający jeszcze niedawno o koronie polskiej, utracił własne swoje państwo. Na jego miejsce osadził na hospodarstwie multańskiem Zamoyski Symeona Mohiłę, podczas gdy Jeremiasz odzyskał Wołoszczyznę. Genialne zdolności Hetmana i dzielność żołnierza polskiego zgotowały świetny tryumf Rzeczypospolitej. Wpływ Polski sięgnął aż po ujścia Dunaju, opanowanie Siedmiogrodu nie przedstawiało wielkich trudności.

Zdawało się przez chwilę, że w kwestyi wschodniej Rzeczpospolita zabierze głos stanowczy, że hołdownik polski nad Dunajem, oparty o żelazne zastępy hussaryi, powstrzyma nawałę turecką, że Polska stanie się rzeczywiście przedmurzem chrześcijaństwa. .. Złudzenie trwało krótko. Dynastyczna polityka Zygmunta III. zmarnowała owoce wyprawy wołoskiej. Król, zajęty sprawą szwedzką, przerzucał cały ciężar polityki na północ; marzył o utworzeniu floty improwizowanej na Bałtyku, o przymierzu z Lubeką, księstwem meklemburskiem i Danią przeciw Karolowi Sudermańskiemu. Sejm z r. 1601. okazał się przychylnym zamiarom królewskim, uchwalono pobór, na naczelnego wodza w wyprawie inflanckiej dał się uprosić Zamoyski. W obozie hetmana zgromadził się kwiat rycerstwa polskiego, stawili się Kozacy pod starszym swoim Samuelem Koszką, przybył hetman polny Żółkiewski, tyle słynny później Jan Karol Chodkiewicz, nie brakło Potockich, sam król nawet zamierzał udać się do obozu, aby obecnością swoją zagrzewać rycerstwo do walki. Ale pomimo tego była wyprawa inflancka bardzo trudnem przedsięwzięciem. Tak jak zwykle bowiem tak i teraz rozbijały się najlepsze chęci hetmana i wojska o brak pieniędzy, pobory wpływały nieregularnie, trzeba się było ratować pożyczkami u osób prywatnych, u Bełżeckiego i Cetnera, a gdy wreszcie przy końcu roku 1601. przygotowania mozolne ukończono, zaczęła się dla żołnierza najcięższa praca. Wszystko tu sprzysięgło się niejako na jego zgubę, i żywioły i ziemia i ludzie. Mieszkańca nadwiślańskich równin lub Kozaka, wziętego ze stepu, raził ponury i skryty Łotwak, przybrany w szarą suknię niemieckiego kroju i w skórzane albo z łyka robione chodaki; obcym był mu też mieszczanin Niemiec lub szlachcic inflancki, niezrozumiałym przemawiający językiem, wstrętną chytrość chłopa inflanckiego, co gościa swego gotów był „zabić, zarzezać, udawić we śpiączki“. Jakieś dziwne, nieswojskie powietrze wiało od tych nizin przymorskich. Podróżny po całodziennej wędrówce nie miał gdzie głowy skłonić do spoczynku, bo karczmy i domy gościnne rzadkie w tym kraju, a po nielicznych „mojzach“ i chatach z chróstu plecionych mieszkał lud gruby, zdradziecki i do zabójstwa skory albo szlachcic

inflancki, Niemiec z rodu, a nienawidzący obcych. Dodajmy do tego trudność komunikacyi w kraju, pełnym błot nieprzebytych, wody szkodliwe i jak się wówczas wyrażano, „niezdrową konstytucyą powietrza“, a pojmiemy łatwo, jak ciężkim był los żołnierza polskiego w tej nadbałtyckiej Ukrainie. A jednak pomimo tylu przeciwności, pomimo twardej zimy, udało się hetmanowi zdobyć kilka najwarowniejszych zamków i znękać do tego stopnia nieprzyjaciela, że na początku roku 1602. zgłosił się sam z prośbą o zawieszenie broni i o traktaty pokojowe. Ustępując Liwonią wraz z Estonią Rzeczypospolitej, domagał się Karol, aby król zrzekł się korony szwedzkiej i wysłał komisarzy do Szczecina, w celu ukończenia układów. Zgadzał się z tą propozycyą, o ile wnosić można, Zamoyski, ale żądał zarazem energicznego prowadzenia wojny. Nie zezwalając na zawieszenie broni i trzymając wojsko w gotowości, trzeba układać się w Inflantach nie w Szczecinie, a wtedy nieprzyjaciel okaże się łatwiejszym w przyjęciu korzystnych dla Rzeczypospolitej warunków. Innego zdania był Tarnowski; sądził on, że „nietylko o Liwonii i Estonii, ale i o bezpieczeństwie i rekuperacyi dziedzicznego królestwa mówić trzeba i o niem statecznie i seryo postanowić“. Król, wówczas już zajęty nowemi planami, poszedł za radą Tarnowskiego i nawiązane szczęśliwie układy rozbiły się zupełnie. Tymczasem zabrakło pieniędzy na prowadzenie wojny. Żołnierz, przetrwawszy ciężką zimę w obozie, wśród głodu i niedostatku, w walce nietylko z nieprzyjacielem ale i z żywiołami, ujrzał się z wiosną roku 1602. bez chleba, bez okrycia, bez obówia i bez pieniędzy. Hetman, sam chory, łagodził jak mógł słuszne skargi żołnierzy, zaspokajał niecierpliwych z własnej szkatuły, ale pieniędzy ze skarbu doczekać się nie mógł. Ostatecznie wojsko zawiązało konfederacyę i rozlało się po województwach ruskich i litewskich, wśród niesłychanych gwałtów i grabieży. Ofiarą swawoli padły najpierw dobra królewskie i biskupa wileńskiego, a kiedy je już objedzono, przyszła kolej na wioski szlacheckie. Nieurodzaj, częste w tym roku gradobicia i nieodłączny tych klęsk towarzysz głód straszliwy wspólnie z powietrzem, zniszczyły do szczętu dobytek szlachecki, a co ocalało w tej walce z żywiołami i śmiercią, to padło łupem żołnierzy inflanckich. Kiedy zaś zniszczona Litwa nie była w stanie wyżywić i utrzymać rozzuchwalonych konfederatów, przeniósł się żołnierz do Korony i zajechał starostwo liwskie. Z bólem serca spoglądał na to Zamoyski. Raziła go zapewne niemało opieszałość podskarbiego, oburzał upór króla, który nie chciał się zrzec zamiaru odzyskania Szwecyi i złudnym marzeniom poświęcał dobro i spokój Rzeczypospolitej; co gorsza, widział hetman, jak marnie tracono owoce zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem, widział, że Karolowi teraz serca przybędzie i że wojna rozżarzy się nanowo, widział to wszystko i ze smutkiem odjechał do Polski, unosząc ze sobą z ziemi inflanckiej nie niechęć, ale żal pewien do króla. To usposobienie kanclerza podniecały jeszcze bardziej podejrzenia, rozsiewane przez zawistnych sławie hetmańskiej Potockich, jakoby Zamoyski był przyczyną konfederacyi wojskowej, on co z własnej szkatuły ubogi skarb Rzeczypospolitej ratował i wspaniałomyślnie przydłużał podskarbiemu termina, na spłacenie tych długów wyznaczone.[1]) Wśród takich

[1]) Listy podskarbiego do króla w Tekach Naruszewicza do r. 1602—1604.

okoliczności zbierał się sejm roku 1603., a z rozdrażnienia umysłów, panującego w kraju, można było naprzód wnosić, że obrady będą burzliwe. Jakoż natychmiast po mowie marszałka Feliksa Kryskiego, przepełnionej uczuciami wiernopoddańczemi dla króla, postanowiły obie izby wynurzyć wdzięczność swoją hetmanowi za trudy, poniesione w wojnie inflanckiej. Jeżeli akt ten miał odeprzeć pogłoski, ubliżające Zamoyskiemu, to wobec naprężonego stosunku kanclerza do dworu, był oraz wyraźną manifestacyą przeciw polityce królewskiej i odsłaniał opozycyjne usposobienie izby. I rzeczywiście jakby na dane hasło wtoczyły się natychmiast najdrażliwsze kwestye, ponowił się nigdy nieskończony spór o ową nieszczęsną konfederacyą z roku 1573. Innowiercy pod wodzą Krzysztofa Radziwiłła, dyzunici pod kierunkiem Aleksandra Ostrogskiego, wojewody wołyńskiego, tamowali obrady skargami na nietolerancyą i nieprawne rozdawanie archimandryj schyzmatyckich. Wśród zaciekłych sporów rosło obopólne rozdrażnienie, a obrażona ambicya i źle zastosowana gorliwość religijna objawiały się w czynach gwałtownych i obelżywych wyrazach. Ostrogski, wjeżdżając na zamek z licznym orszakiem zbrojnych dworzan, kazał po dwakroć rozrąbać łańcuch, którym z rozkazu królewskiego zamknięto wejście cisnącym się tłumom; Baranowski, biskup płocki, uniesiony gniewem, odważył się posłów nazwać „wyrodkami“. A podczas, gdy swawola Ostrogskiego uszła bezkarnie, wysłała izba poselska deputacyą do senatu i tam w obecności króla zgromiła senatorów za wyrażenie Baranowskiego. Król zdawał się mało troszczyć o los obrad sejmowych i jakby mu zależało właśnie na zerwaniu sejmu, mianował marszałkiem wielkim koronnym Zygmunta Myszkowskiego, osobistość w kołach szlacheckich wielce niepopularną. Dumny nad miarę i zasługi, bo ani sam ich nie miał, ani nie odziedziczył wiele po przodkach, zbogacony puścizną po stryju, biskupie krakowskim, uchodził Myszkowski za człowieka obcego narodowi i wroga wolności. Bawiąc we Włoszech, na dworze mantuańskich Gonzagów, postarał on się o przyjęcie do herbu książęcego i rodziny, u papieża Klemensa VIII. uzyskał tytuł margrabiowski i powrócił do ojczyzny jako margrabia Zygmunt Gonzaga Myszkowski. A jakby jeszcze i to wyniesienie dla niego nie wystarczało, ustanowił wraz z bratem swoim Piotrem, wojewodą rawskim, w roku 1601. ordynacyą na wzór Radziwiłłów i Zamoyskich. Całe to postępowanie Myszkowskiego, tak sprzeczne z wyobrażeniami o równości szlacheckiej, drażniło niezmiernie stan rycerski. Szlachta miała wstręt do tytułów zagranicznych, a im mniej równości widziała w życiu codziennem, tem pilniej przestrzegała pozorów. Znał dobrze to usposobienie Zamoyski i dlatego nie przyjął ani mitry książęcej ani orderu złotego runa, gdyż mniemał, że „cudzoziemskie tytuły są niezgodne z powagą króla i prawami ojczyzny“. W ostatniej swej mowie, na sejmie roku 1605., dotknął jeszcze raz tego drażliwego przedmiotu, sławiąc równość szlachecką jako ideał doskonałości i fundament Rzeczypospolitej.

„Potykano wiele ludzi stanu rycerskiego — mówił wtedy — tej Korony różnymi tytułami, potykano i mnie tych czasów, alem ja kontent na prerogatywie szlachcica polskiego i wolałem i wolę z tą bracią moją zacną szlachectwa używać i nic sobie nad żadnego z nich wolności nie przypisować. Jakoż

dalibóg i najmniejszego szlachcica równym sobie we wszystkiem kładę". Takie wyobrażenia o wolności i równości miał zasłużony obywatel, genialny statysta i wódz znakomity, podczas gdy o Myszkowskim opowiadano, że przenosi jednego psa włoskiego nad dziesięciu szlachciców. To też dziwić się nie można, że już przeciw projektowanej ordynacyi na sejmie roku 1601. wielka powstała burza, a gdy nareszcie stało się zadość życzeniu Myszkowskich i akt fundacyjny zapisano w konstytucyach, dodając do nazwiska ordynatów świeżo uzyskany tytuł margrabiowski, znalazł się ktoś pomiędzy posłami, co nie mając pióra, „palec rozmoczył w kałamarzu marszałkowskim" i owo margrabstwo wymazał.[1]) Nie zważał na to pan margrabia. Gwałtowny z natury i lekceważący sobie opinią publiczną, uciskał on szlachtę okoliczną cłami, nieprawnie wybieranemi w Książu, a podskarbiego wielkiego koronnego Jana Firleja wyzwał na pojedynek za to, że zwlekał z oddaniem sumy, jaką wypożyczył na potrzeby Rzeczypospolitej biskup Piotr Myszkowski. Działo się to wszystko przed sejmem roku 1603. i nikt zapewne nie spodziewał się, że król urząd marszałkowski, wymagający wielkiego taktu i popularności, powierzy człowiekowi powszechnie nienawidzonemu, gdy miał innych poważnych i zasłużonych kandydatów, gdy Karnkowski wstawiał się dwukrotnie za podkomorzym sandomierskim Zbigniewem Ossolińskim, gdy Zamoyski polecał Marka Sobieskiego, wojewodę lubelskiego, albo marszałka nadwornego Mikołaja Wolskiego. Ale pan Zygmunt miał na nieszczęście wielkie zachowanie u dworu, był krewnym biskupa Tarnowskiego, powiernikiem jego planów i przyjacielem politycznym, więc został marszałkiem wielkim koronnym ku wielkiemu niezadowoleniu kanclerza i całego jego stronnictwa, a niebawnie po nim, gdy umarł Karnkowski (1603), zasiadł w marcu roku 1604. na stolicy prymasowskiej Jan Tarnowski. Tak postępując wytrwale i ostrożnie, stworzył Zygmunt III. potężne stronnictwo rządowe w senacie. Na 142 dygnitarzy większych i mniejszych miał Zamoyski zaledwie trzydziestu kilku przyjaciół politycznych, podczas gdy reszta, oddana królowi, połączona wspólnością zasad i celów, związana powinowactwem, potężna majątkiem i liczną klientelą, trzęsła właściwie Rzeczpospolitą. W takich warunkach można było dokazać wiele, zreformować państwo, pozbyć się hałaśliwej izby poselskiej i wykonać dawniej projektowane zamiary. Inicyatywa do tego wyszła, jak się zdaje, z Gracu. W roku 1599. przybyła do Polski na pogrzeb córki swojej, królowej Anny, arcyksiężna Marya i bawiła przez cały miesiąc wraz z królem w Niepołomicach. Ułożono tam plan wychowania królewicza Władysława, sprowadzono na ochmistrzynią dla niego tyle sławną później Urszulę Majerin, a niebawnie potem zaczęły obiegać wieści o powtórnem małżeństwie królewskiem. W roku 1602. starał się Zygmunt III. o rękę księżniczki bawarskiej Magdaleny, zwrócił następnie afekt swój ku córce arcyksięcia Ferdynanda, panującego w Tyrolu, ale wszędzie nie wiodły się swaty, jakaś ręka niewidzialna krzyżowała zamiary królewskie, aż nareszcie cesarz Rudolf II., zapytany o radę, podsunął Zygmuntowi III. projekt małżeń-

[1]) Adam Grodziecki: Przestroga o tytułach i dygnitarstwach cudzoziemskich w polskiem królestwie etc. 1634. Rozprawa po łacinie napisana, tłumaczenie w Niemcewicza Zbiorach pamiętników. IV.

stwa z siostrą rodzoną zmarłej królowej Anny, Konstancyą. Król zgodził się na to i o żadnym innym związku słyszeć odtąd nie chciał. Opozycya przypisywała ten upór Zygmunta III. „instrumentom utriusque sexus“ arcyksiężnej Maryi i w rzeczywistości miała sprawa cała doniosłe polityczne znaczenie. Król nieporzucił dotąd zamiaru opuszczenia Polski, a stosunki obecne nastręczały najlepszą ku temu sposobność. Licząc na powolność senatu, można było bez pytania sejmu ukoronować młodego Władysława i powierzywszy rejencyą na czas małoletności nowego króla jednemu z arcyksiążąt, odjechać spokojnie do Szwecyi i już więcej niewracać.[1]) W ten sposób miały się ziścić odrazu najśmielsze marzenia Zygmunta III. i rakuskich Habsburgów: protestancka Szwecya powróciłaby na łono kościoła katolickiego, dwa potężne państwa północne przeszłyby pod władzę prawowiernej linii Wazów, złączonej z domem habsburskim węzłami bliskiego pokrewieństwa, Austrya zyskałaby dwóch potężnych sprzymierzeńców i połączona z nimi, mogłaby się oprzeć łatwiej zarówno nawale tureckiej, jak i wzmagającemu się w środkowej Europie protestantyzmowi. Dla Polski stawiała ta kombinacya w perspektywie dziedziczność tronu w dynastyi Wazów i reformę sejmów w duchu nowożytnego parlamentaryzmu. Jakkolwiek autorowie tych planów grzeszyli zbytnią śmiałością, to przyznać trzeba, że wobec szczęścia, które im z początku statecznie sprzyjało, wykonanie zuchwałych pomysłów było bardzo prawdopodobne. Zaledwie bowiem Tarnowski otrzymał tyle upragnioną infułę prymasowską i odprawił z niebywałym przepychem wjazd swój na nową stolicę, kiedy w Małopolsce rozeszła się wieść o cudownem uratowaniu syna carskiego i Dymitr Samozwaniec pojawił się osobiście w murach Krakowa.

Po śmierci Iwana Groźnego zasiadł na tronie moskiewskim nieudolny Fiedor, ale cała władza spoczęła właściwie w rękach Borysa Godunowa. Był to człowiek prosty i nieokrzesany, nieumiał ani czytać ani pisać, ale posiadał spryt wrodzony, zdolności niepospolite i znajomość stosunków i systemu rządowego, w którym brał udział jako powiernik zmarłego cara. Ożeniwszy więc Fiedora ze swoją siostrą i odsunąwszy go zupełnie od spraw publicznych, trzymał się Borys wiernie polityki Iwana Groźnego, gnębił bojarów, a w duchu przemyśliwał nad tem, jakby carem zostać.

Rzecz wydawała się łatwa, bo chorowity Fiedor długiego życia nie obiecywał i potomstwa niemiał; przeszkodą mógł być tylko najmłodszy syn Iwana Groźnego Dymitr, urodzony z Maryi Nagoj. Tego więc postanowił zgładzić Borys i nasławszy morderców do Uglicza, gdzie chłopiec z matką mieszkał, kazał go zabić (w roku 1591.), udając przed Moskalami, że carewicz podczas napadu epileptycznego sam sobie życie odebrał. W sześć lat potem, po śmierci Fiedora, został carem Borys i odnowił zawieszenie broni z Polską na dalszych lat 20 (w roku 1601). Tak stały rzeczy w Moskwie, kiedy w roku 1603. zjawił się na Ukrainie mnich Bazylianin, utrzymujący, że jest carewiczem Dymitrem. Kto on był i jaka była jego przeszłość, nieumiemy powiedzieć, to

[1]) List Pawła V. do Zygmunta III. z dnia 29. sierpnia 1605. w Tekach Naruszewicza nr. 65 i 66.

pewna, że nie był Dymitrem i że w klasztorze się nie wychował. Dzielny jeździec, odważny w boju, przypomina on raczej tych licznych awanturników, co szczęścia na Zaporożu szukali, co dobijali się tam hospodarstwa lub sławy atamańskiej. W każdym razie był to człowiek zręczny i przebiegły i umiał znaleść chwilę dogodną dla siebie. Wszak niedawno w Portugalii wystąpiło dwóch Sebastyanów przeciw Filipowi II. z wielkiem powodzeniem, a o jednym z nich twierdzono na pewne, że samozwańcem nie był. Nic dziwnego zatem, że i w tożsamość Dymitra uwierzyło wielu, że uwierzył i kniaź Adam Wiśniowiecki, że go wziął pod swoją opiekę i polecił swemu bratu stryjecznemu Konstantemu. Ten zawiózł Dymitra do Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, swego teścia. Pan Mniszech nie był człowiekiem popularnym, opinia publiczna oskarżała go o rozdrapanie skarbów królewskich po śmierci Zygmunta Augusta, domagano się śledztwa i wytoczenia procesu, ale zacna Anna Jagiellonka przez pamięć na zmarłego brata, nie dopuściła do skandalu. Mniszech stał się odtąd gorliwym regalistą, a że i fortunę znaczną posiadał, więc świat — jak to zwykle bywa — zapomniał o zszarzanej jego przeszłości i nikogo nie zdziwiło, gdy zasiadł na krześle senatorskiem. Ażeby z takich trudności wybrnąć szczęśliwie i zajść tak wysoko, trzeba było mieć wiele sprytu i przebiegłości. Jakoż dowiódł tego wojewoda i w chwili obecnej, bo gdy tylko Dymitra poznał i opowiadania jego wysłuchał, postanowił rzecz całą królowi przedłożyć. Domniemany carewicz umiał także zręcznie ze sposobności korzystać, bo poznawszy Marynę, córkę wojewody, o rękę jej się oświadczył, wspaniałych obietnic nie szczędził i tem całą rodzinę Mniszchów do sprawy swojej stale przywiązał. Że zaś nie tajnem mu było usposobienie króla i całego dworu, więc równocześnie zaprzyjaźnił się z proboszczem samborskim, ks. Franciszkiem Pomaskim, aby za jego pośrednictwem uzyskać poparcie duchowieństwa. Zręcznie zawiązana intryga powiodła się wyśmienicie. Król za staraniem Mniszcha przyjął Dymitra na prywatnej audyencyi, ks. Pomaski zaznajomił go z Jezuitami krakowskimi, którzy ze stanowiska kościelnego oceniając doniosłość całej sprawy, zajęli się gorliwie nawróceniem carewicza. Wmięszał się w to nuncyusz Ringoni, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, urządzono dysputę religijną u Bernardynów, gdzie wątpliwości Dymitra zbijano i wreszcie w Wielką sobotę, dnia 17. kwietnia 1604, Samozwaniec, odprawiwszy spowiedź generalną przed O. Kasparem Sawickim, wyrzekł się błędów schyzmatyckich i przeszedł na łono kościoła katolickiego. Radość na dworze królewskim była z tego względu wielka, wydawało się bowiem, że i nawrócenie Moskwy jest teraz możliwem i uwaga publiczna, zwrócona ku sprawom wewnętrznym, skupi się około tego politycznego komety, który uprowadzi ze sobą do Moskwy całą rzeszę niekarnych awanturniczych żywiołów. Jakoż nie mogła się nadarzyć pogodniejsza chwila do takiego przedsięwzięcia. Rządy Borysa Godunowa nie były od początku popularne u ludu rosyjskiego; ustawa z roku 1592. czy też 1593.,[1]) ograniczająca wolność włościan rosyjskich, wywołała wielkie niezadowolenie ludności rolniczej, trzyletni nieurodzaj dopełnił miary złego, Siewierska ziemia, najbliższa granic polskich, roiła się od niezadowolonych żywiołów,

[1]) Karamzyn: Historya państwa rosyjskiego, t. X., 182.

bunt Chłopka, niestłumiony stanowczo, mógł za lada okazyą jasnym wybuchnąć płomieniem, a sąsiednia Kozaczyzna dostarczała podostatkiem palnego materyału. Wątpić należy, czy rząd polski znał dokładnie stosunki wewnętrzne rosyjskiego państwa, to pewna jednak, że Zygmunt III. przywiązywał niejakie nadzieje do sprawy Dymitra. Nie myślał on zapewne o koronie moskiewskiej, gdy mu jagiellońska była za ciężką, ale widział w nawróconym Samozwańcu przyszłego sprzymierzeńca, a wyprawę jego uważał za dogodną sposobność do oddalenia hetmana i jego przyjaciół w chwili, kiedy w kraju miały się dokonać ważne zmiany polityczne. To też już po pierwszej audyencyi Dymitra myślał król widocznie o wielkiej wyprawie na Moskwę i ofiarował naczelne dowództwo Zamoyskiemu. Ale hetman, zniechęcony i pełen nieufności do planów dworskich, odmówił udziału w wyprawie.

„Pogodniejsza i pobożniejsza była — tak pisał do króla — dostawać sobie Moskwy, nie temu nieznajomemu człowieku, gdy Iwan Wasylowicz umarł, nim był Borys koronowan, nim z nim przymierze poprzysiężone“. Obecna gra z Dymitrem wydawała się doświadczonemu statyście jak ustęp z komedyi Plauta lub Terencyusza, a zdanie Zamoyskiego podzielał także Żółkiewski. Nie pozostawało więc nic innego królowi, jak zdać wszystko na wolę Opatrzności i pozwolić prywatnie na zaciągi dla Dymitra. Jakoż Mniszech i jego przyjaciele zakrzątnęli się żywo koło tego i zebrali dość znaczny orszak zbrojnych, którzy, pobawiwszy czas jakiś około Lwowa, „z wielkim skwierkiem i uciskiem ludzi ubogich“, ruszyli potem na Kijów do Siewierskiej ziemi. Stanąwszy na kresach, rozpuścił Dymitr ajentów swoich na Kozaczyznę. Starosta Ratomski, szlachcic polski Siewierski, czerniec jakiś Hryszka Otrepiew, którego Moskale mylnie z Samozwańcem identyfikowali, podburzyli skłonnych zawsze do awantur mołojców i niebawem znaczny ich oddział pod dowództwem atamana Koreli i Nieszokocia pomnożył szczupłe dotąd siły Dymitra. Stugębna fama, roznosząc wieść pomiędzy ludem o pojawieniu się carewicza, sprawiła silne na umysłach wrażenie, wszyscy z rządów Borysa niezadowoleni widzieli w tym cudownie uratowanym Dymitrze zbawcę swego i opiekuna. Przyjmowano go więc z radością i zapałem, miasta Morawsk i Czernichów wypędziły namiestników Borysa, Putywl otworzył gościnnie bramy swoje pretendentowi i stał się na czas dłuższy podstawą dla działań jego armii.

Stąd wyprawił się Dymitr na zdobycie Nowogrodu siewierskiego i pod murami tego miasta pobił na głowę wielkie wojsko kniazia Mścisławskiego, którego Borys wysłał na odsiecz zagrożonej twierdzy. Gwałtowne natarcie husaryi polskiej przechyliło szalę zwycięstwa na stronę Samozwańca. Mniej szczęśliwie powiodła się następna bitwa. Kniaź Wasyl Szujski pobił Dymitra pod Dobryniczami i obległ Kozaków w Kromach, podczas gdy Samozwaniec pod murami warownego Putywla szukał ocalenia. Ale zdobycie Kromów okazało się niełatwem dla wojska moskiewskiego przedsięwzięciem; Korela bronił się dzielnie, Dymitr trapił podjazdami oblegających, a ajenci jego obrabiali tymczasem żołnierzy Borysa. Wśród tego umarł nagle Godunów. Jak zwykle w takich wypadkach tak i teraz powstało w Moskwie niemałe z tego powodu zamięszanie.

Uzurpator i okrutnik, jakim był Borys, nie zostawił po sobie dobrej pamięci, zgon jego uważano powszechnie za karę Bożą. Więc chociaż partya rządowa obwołała natychmiast carem syna Godunowa, 16-letniego Fiedora, to sympatye ogółu zwracały się ku temu, co jako reprezentant prawowitej dynastyi i mściciel zbrodni Borysowych, od chwili wstąpienia swego na ziemię moskiewską „okazywał się zawsze troskliwym stróżem życia i własności mieszkańców“. A jeżeli tak myślał lud prosty, to i bojarowie nie mieli powodu przelewać krwi swojej w obronie tronu, na którym zasiadał syn ich prześladowcy i ciemiężyciela. W stolicy zaczęły się zbiegowiska, żądano głośno uwolnienia matki Dymitra, Marfy, zamkniętej w klasztorze i uwięzionych przez Borysa bojarów, liczba niezadowolonych rosła, a z nią razem i popularność Samozwańca. Przesilenie było nieuniknione i dnia 7. maja 1605. roku przeszli rzeczywiście Basmanów i Galicyn wraz z całem wojskiem, stojącem pod Kromami, na stronę Dymitra. Carewicz stał się w ten sposób panem sytuacyi. Kiedy posłowie jego przybyli do Moskwy z manifestem, wzywającym lud do poddania się prawowitemu władcy, tłum zmusił Fiedora do ustąpienia. Osadzony pod strażą, zginął on wkrótce wraz z matką swoją z rąk nieznanych morderców, a Dymitr odbył w dniu 21. czerwca uroczysty wjazd swój do stolicy, otoczony husarzami polskimi, wśród których znajdowali się w roli misyonarzy i duchownych doradców Samozwańca dwaj Jezuici z jarosławskiego klasztoru, ks. Mikołaj Cyrowski i ks. Andrzej Janicki.

Kiedy tak śmiały awanturnik, dzięki poparciu Zygmunta III. i Jerzego Mniszcha, sięgał po koronę carską, wrzała w Polsce zacięta walka opozycyi z dynastyczną polityką królewską. Wzniecił ją, jak wiadomo, projekt powtórnego małżeństwa Zygmunta III. z rodzoną siostrą pierwszej żony. Związki tego rodzaju, w najbliższem pokrewieństwie zawierane, nie były rzeczą nową lub nadzwyczajną.

Zygmunt August żenił się dwakroć z córkami Ferdynanda I., Anna, córka Maksymiliana II., wyszła za mąż za wuja swego Filipa II., cesarz Maciej pojął w małżeństwo stryjeczną siostrę Annę, księżniczkę tyrolską, a Stolica apostolska udzielała w takich wypadkach chętnie potrzebnej dyspenzy. I obecnie także papież Paweł V., następca Klemensa V., gorący zwolennik ścisłego sojuszu Habsburgów z katolicką gałęzią Wazów, zapewniał Zygmunta III., że zezwolenia na związek małżeński z Konstancyą nie odmówi. Jeżeli więc opozycya mimoto sprzeciwiała się ożenieniu królewskiemu, to czyniła to nie ze skrupułów religijnej natury, lecz z pobudek politycznych. Gdy bowiem w otoczeniu królewskiem dojrzewał projekt owych matrymonialnych zamiarów, zaczęły po kraju krążyć wieści dziwne i zatrważające. W Wielkopolsce opowiadano sobie, że nowy arcybiskup przy uczcie, wychyliwszy puhar za zdrowie królewicza Władysława, oświadczył głośno i wyraźnie, że wkrótce nadejdzie czas koronacyi młodego księcia i że on życzy sobie tego obrzędu dokonać. Niechętni Tarnowskiemu mniemali, że przyszły sejm był przeznaczony na wykonanie tego zamiaru. Miano tam przewieść koronacyą królewicza, wyjednać pozwolenie na odjazd króla do Szwecyi i zreformować sejmy w ten sposób, aby odtąd większość głosów a nie jednomyślność o prawomocności uchwał

stanowiła. Z planem tym wiązało się ściśle drugie małżeństwo Zygmunta III., bo tylko z pomocą Habsburgów i silnego stronnictwa rakuskiego w Polsce, można było odważyć się na krok tak hazardowny, tylko w porozumieniu z dworem pragskim można było myśleć o rejencyi jednego z arcyksiążąt podczas małoletności Władysława. Ożenienie królewskie zależało jednak zupełnie od woli narodu. Zwyczaj to był dawny, wiekową praktyką ustalony, że król bez porady senatorów żony nie pojmował, a na pierwszym sejmie za króla Stefana obwarowano to prawo zwyczajowe osobną konstytucyą.[1]) Zastosował się do tej konstytucyi Zygmunt III., zawierając pierwsze swoje małżeństwo, zastosować się musiał i w chwili obecnej i gdy układy z domem rakuskim dojrzewać zaczęły, rozesłał z początkiem czerwca 1604. roku listy do senatorów, pytając o radę. Odpowiedź łatwa była do przewidzenia, większość okazała się przychylną zamiarom królewskim, opozycya potępiła je jednomyślnie, a już najotwarciej i z największą stanowczością oświadczył się przeciw małżeństwu z rodzoną siostrą zmarłej królowej Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski. Król nie zważał na to i licząc na poparcie przychylnych sobie senatorów, przystąpił do zwołania sejmu. W instrukcyach, rozesłanych z tego powodu, wspomniano i o zamierzonej podróży do Szwecyi. Projekt ten nagły, wywołał rozmaite domysły i podejrzenia. Wiedziano dobrze, że król w Szwecyi żadnej prawie nie posiadał władzy, wiedziano, że skarb był wyczerpany, żołnierz w Inflantach nieliczny i niepłatny, nie można więc było inaczej wytłumaczyć zamiaru królewskiego, jak tylko tajemnem porozumieniem z Karolem sudermańskim. Najskromniejsi nawet i najmniej obznajomieni ze sprawami politycznemi mniemali, „że to jechanie JKMości do dziedzicznego królestwa, wielkiej i mądrej rady potrzebuje“; opozycya była wprost podróży przeciwna, Zebrzydowski odpisał szorstko królowi, a na prywatnej audyencyi wspomniał nawet o wypowiedzeniu posłuszeństwa z powołaniem na artykuły Henrykowe. W tej chwili, dla rządu tak krytycznej, umarł prymas Tarnowski (14. października 1604. roku); miejsce jego w radzie królewskiej zajął marszałek wielki koronny Myszkowski. Jeżeli zmarły arcybiskup był oddany duszą i ciałem królowi i stronnictwu rakuskiemu, to odznaczał się przytem pewnem umiarkowaniem i giętkością charakteru. Marszałek, którego hasłem było: sic volo, sic jubeo, skłaniał się do najostrzejszych przeciw opozycyi środków. Swieżo miał on zatarg graniczny z Andrzejem Firlejem, kasztelanem radomskim i użył piechoty królewskiej na pokonanie przeciwnika, a obecnie obiegały po kraju wieści o „niezwyczajnych gotowościach“ i o zaciągach, które rozmaici rotmistrze na rzecz marszałka czynili. Potrwożyły się więc umysły i oczy wszystkich zwróciły się na Zamoyskiego, oczekując stamtąd rady i obrony. Kanclerz, podrażniony właśnie procesem, jaki mu wytoczył król o starostwo brodnickie, chcąc je oddać siostrze swojej Annie, zajął opozycyjne względem dworu stanowisko i na sejmiku bełskim, gdzie obierano posłów na sejm, przeprowadził instrukcye, potępiające całą politykę królewską. Uderzono tam na wyprawę Dymitra, będącą pogwałceniem uroczyście poprzysiężonego pokoju, na niedbałe prowadzenie wojny inflanckiej, na marnowanie dochodów, na swawolę żołnier-

[1]) Vol. leg II, 162.

ską i na przewrotne zamiary rządu. Jakaś rada osobna królewska — mniemali Bełżanie — jakieś „senatulum“ kieruje samowolnie polityką, nie pytając się o zdanie poważniejszych senatorów, posłowie więc powinni się upomnieć o wykonanie ustaw obowiązujących, o rozdanie „wakancyj“ w czasie przepisanym, o rezydencyą senatorów przy królu, o stosowne ożenienie się króla i o prawa innowierców, których rząd uciska. Instrukcyą tę rozesłano w odpisach po całym kraju, a wrażenie musiało być znaczne, skoro prawie wszystkie województwa oświadczyły się przeciw zamierzonemu małżeństwu Zygmunta III. z rodzoną siostrą zmarłej królowej i nakazały posłom upomnieć się o wypełnienie paktów konwentów. W takich warunkach zebrał się sejm w styczniu roku 1605.

Rząd, czy to przestraszony agitacyą, czy też ze względów taktycznych, zajął stanowisko wyczekujące. W propozycyach od tronu nie wspomniano ani o małżeństwie królewskiem, ani o zamierzonej naprawie Rzeczypospolitej, winę za wyprawę Dymitra zwalono na samego Samozwańca, a chcąc odwrócić uwagę powszechną od tych spraw drażliwych, wszczęto w senacie dyskusyą o zbytkach, rujnujących i demoralizujących społeczeństwo. Posypały się mowy długie, pełne oratorskich figur i zwrotów, ale kiedy przyszło do wniosków praktycznych, nie umiał wojewoda poznański Gostomski nic więcej powiedzieć, jak tylko, aby „kupcom cenę ustawić, żeby tanio przedawali, a jeśliby tracił na tem, niechby nie woził“. Tym środkiem, zaczerpniętym z domowej apteczki szlacheckiej, chciano załatwić sprawę ekonomiczną pierwszorzędnej wagi! Jeden tylko biskup wileński Wojna sięgnął głębiej i narzekaniom na zbytek przeciwstawił nędzę wiejskiego ludu i smutną dolę mieszczaństwa, ale mądre słowa jego przebrzmiały zaprawdę jak głos wołającego na puszczy. Najrozsądniej i najpolityczniej odezwał się kasztelan poznański Ostroróg. Dotykając najdrażliwszych kwestyj politycznych, umiał on jak zręczny sternik omijać Scyllę i Charybdę, a chociaż prawdy gorzkiej nikomu nie szczędził, to ze słów jego przebijał się rozum, idący w parze z gorącą miłością ojczyzny i niezwykłem umiarkowaniem. On wie, że „korona polska sąsiad-nieprzyjaciół nad inne wszystkie królestwa ma najwięcej,“ ale umie zarazem mądrze poradzić, jak tych nieprzyjaciół pokonać. Więc na Turku pragnie mieć skarb gotowy, Tatarów ugłaskać upominkami, inflancką wojnę zakończyć stanowczo odzyskaniem Szwecyi. Ale tego wszystkiego nie dokona się pierwej, aż po zreformowaniu sejmów. „Byśmy my głowy swe połamali, przecie, kiedy się jednemu nie będzie chciało, albo ze złości albo z uporu, albo też z głupstwa, wszystkie nasze consilia, konsultacye w niwecz. Wielka ozdoba szlachcica, że może zahamować wszystką Rzeczpospolitę, ale wielka hańba Rzeczpospolitej z takim rządem, żeby ją jeden bądź z głupstwa, bądź z uporu o upadek mógł przyprawić. Czujmy się dla Boga, nie gińmy tak marnie...“ Nie znamy mowy ani pisma, któreby lepiej, z większym taktem i rozumem roztrząsały wady społecznego i politycznego ustroju Rzeczypospolitej, lub zdrowsze i praktyczniejsze podawały rady, niż owo przemówienie Ostroroga. Że tych rad nie usłuchano, że jeden tylko Baranowski, biskup płocki, poparł kasztelana utrzymując, że „conclusie sejmu pluratitate najsnadniejsze“, wina w tem rozgoryczenia umysłów, któremu podczas sejmu najtrzeźwiejsze nawet rozumy, zda się, bez-

wiednie ulegały. Przygodna kwestya ożenienia królewskiego zabiła zbawienną myśl reformy sejmów. Król pragnął utrwalić związki, łączące go z Habsburgami, opozycya wytężyła wszystkie siły swoje, aby zamiarowi temu przeszkodzić. W tym celu wniesiono do izby gotowy już projekt konstytucyi sejmowej, znany pod nazwą „artykułów bełskich“, warujący wolność elekcyi, a wymierzony przeciw małżeństwu królewskiemu i przeciw marszałkowi wielkiemu koronnemu. Z poparciem wniosku tego wystąpił Zamoyski i wypowiedział przy tej sposobności ostatnią mowę swoją, w której ostro krytykował politykę królewską. Stronnictwo dworskie nie dopuściło jednak do przyjęcia konstytucyj „bełskich“, sejm rozszedł się na niczem, a rada senatu, zwołana przez króla, zgodziła się na małżeństwo Zygmunta III. z arcyksiężniczką Konstancyą. Nie był przy tem Zamoyski. Zrażony porażką, jakiej doznał na sejmie i nominacyą Pstrokońskiego, któremu król pieczęć mniejszą powierzył, wyjechał on natychmiast do Zamościa i stąd dnia 14. marca napisał słynny swój list do Klemensa VIII. przeciw ożenieniu królewskiemu. Przestrogi sędziwego hetmana przychodziły za późno. Klemens VIII. umarł przed otrzymaniem listu kanclerskiego, a zanim zastępca jego miał czas sprawę tę zbadać, nadeszła wiadomość o śmierci Zamoyskiego. Umarł on nagle dnia 3. czerwca 1605. roku w kole rodziny, „podobny spiącemu“, w toku spraw najważniejszych, któremi do ostatka nie przestał się zajmować, a zgon jego pokrył żałobą wszystkie prowincye Rzeczpospolitej, bo zaprawdę „wielki to był człowiek nie jedno doma ale i u postronnych“.

Bitwa pod Kirchholmem. — Rokosz Zebrzydowskiego. — Sejm z r. 1607. Zerwanie sejmu i zamieszki wewnętrzne odbiły się najfatalniej na stosunkach inflanckich. Karol sudermański, ośmielony szczupłością sił polskich, postanowił jednym zamachem wojnę zakończyć i opanowawszy Rygę, całą prowincyę pod swoje panowanie zagarnąć. W tym celu zaciągnął liczne, bo 14.000 ludzi wynoszące wojsko, i z tą potęgą wylądował w Inflantach w sierpniu roku 1605. Towarzyszyli mu najdoświadczeńsi generałowie szwedzcy: Mansfeld, Andrzej Linderson i książe Fryderyk lüneburski, którego z córką swoją ożenił i w posagu Kurlandyą i Semiglią przyrzekł. Wojskiem polskiem dowodził Jan Karol Chodkiewicz, świeżo po śmierci Krzysztofa Radziwiłła hetmanem wielkim litewskim mianowany. Dał on już niejednokrotnie dowody męstwa i niepospolitych zdolności strategicznych, umiał w obozie swoim utrzymać żelazną karność, posiadał nieograniczone prawie zaufanie żołnierzy, ale słabe siły, jakiemi rozporządzał, brak pieniędzy i żywności niepozwoliły mu znaczniejszych rzeczy dokonać. Prowadził więc wojnę podjazdową, pod Rewlem i pod Rachiborzem znosił drobne oddziały Szwedów, zdobywał pomniejsze zameczki, gdy jednak Suderman z główną potęgą nadciągnął, a spodziewane posiłki zawiodły, znalazł się w krytycznem bardzo położeniu. Rzuciwszy do Rygi jakątaką załogę, sam z garstką żołnierzy, wynoszącą zaledwie 3400 ludzi, zajął stanowisko obserwacyjne i słał listy za listami do Litwy i do Korony z prośbą usilną o posiłki, otrzymując w zamiar za to marne tylko obietnice.

Nieprzyjaciel tymczasem podzielił siły swoje na trzy części i zdążał rozmaitemi drogami pod Rygę. Pierwszy Mansfeld pokusił się o zdobycie Dya-

mentu, nadmorskiej fortecy, położonej o dwie mile od Rygi, a odparty przez dzielnego Białłozora, starostę nowomłyńskiego, podstąpił pod Rygę. Ryżanie, jakkolwiek w duchu sprzyjali więcej Szwedom niż Polakom, jednak z obawy przed załogą królewską, w zamku umieszczoną, dali Mansfeldowi, gdy ich wzywał do poddania, odpowiedź odmowną i wysłali posłów do Chodkiewicza, prosząc o pomoc.

Hetman ruszył z pod Dorpatu ku Rydze, a dowiedziawszy się, że nieprzyjaciel siły swoje podzielił, zamierzał znieść je kolejno zanim pod murami Rygi się połączą. Ale ostrożny Linderson unikał spotkania i już to cofając się ku Parnawie, już to postępując leśnemi drogami, gdzie jazda polska rozwinąć się nie mogła, połączył siły swoje z główną armią Karola i dnia 23. września stanął pod murami Rygi. Natychmiast ściśnięto miasto zewsząd oblężeniem, urządzono podkopy, zatoczono działa, spalono przedmieścia, stolica Inflant znalazła się w największem niebezpieczeństwie. Wiedział Chodkiewicz dobrze, że upadek Rygi pociągnie za sobą utratę całych Inflant i Estonii, więc zrozpaczony postanowił wszystko postawić na kartę i w polu szczęścia doświadczyć. Wyruszywszy zatem z pod Kiesi, stanął o dwie mile od Rygi, nad Dźwiną, w pobliżu wysepki, gdzie wznosił się warowny kościółek, przez pierwszego biskupa inflanckiego Meinharda zbudowany i pospolicie Kirchholmem zwany. Karol, na wiadomość o zbliżaniu się Polaków, zamierzał zrazu zostawić część wojska pod Rygą, a z 10. tysiącami stawić czoło nieprzyjacielowi, na nalegania generałów swoich jednak, którzy znali dobrze Chodkiewicza i dzielność żołnierza polskiego, ruszył z całą potęgą, aby zgnieść niechybnie słabego przeciwnika. Szwedzi, których wojsko składało się przeważnie z piechoty, zajęli okoliczne wzgórza, na przodzie ustawili liczną artyleryą i tak oczekiwali natarcia Polaków. Chodkiewicz garstkę swoją ustawił w ściśniętym szyku bojowym, aby się jeszcze mniejszą wydawała, ciurów obozowych zaś i pachołków wysłał niespostrzeżenie z obozu. O wpół do ósmej zrana, kiedy już wszystko do spotkania było gotowe, ukazały się nagle od lewego skrzydła jakieś wojska nieznane i po szeregach polskich przeleciała jak błyskawica wiadomość, że Krzysztof Radziwiłł z litewskiemi posiłkami nadchodzi. W istocie była to owa czeladź obozowa, a tuż za nią przybywała pomoc niespodziewana; na przeciwnym brzegu Dźwiny zjawił się na czele 300 rajtarów książe kurlandzki Fryderyk i znalazłszy bród nieznany, w obliczu wojsk obu połączył się z armią polską. Pokrzepiło to wszystko znacznie odwagę żołnierza polskiego i zatrwożyło nieprzyjaciół tak bardzo, że z rozpoczęciem bitwy zwlekać zaczęli. Dopiero gdy Chodkiewicz, ściągnąwszy harcowników swoich, udał ucieczkę, puścił się za nim w pogoń Suderman i całe wojsko szwedzkie, rozluźniając pierwotny szyk bojowy, runęło z pagórków na rozległe pole. Na to czekał tylko Chodkiewicz i na dany przez niego znak uderzył Wincenty Wojna z 300. husarzami na piechotę szwedzką.

Ale nieprzyjaciel, najeżywszy szyk swój gęsto dzidami i rażąc muszkietowym ogniem nacierającą jazdę, stawił opór nieprzełamany. Baczny hetman przysłał w pomoc spracowanym hufcom polskim rajtaryą kurlandzką, poczem Szwedzi długą walką także znużeni i zmięszani zaczęli tył podawać, a gdy

padł nadto wódz ich Linderson, powstał popłoch ogólny. Tymczasem na lewem skrzydle zniósł Tomasz Dąbrowa rajtarów Mansfelda, własną ręką położył trupem księcia lüneburskiego i zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę polską. Po trzygodzinnym uporczywym boju zamieniła się walka w rzeź straszliwą. Do późnego wieczora ścigała jazda polska uciekających, tak, że z powszechnego pogromu zaledwie 5000 Szwedów ocalało. Na pobojowisku pozostało 9000 trupów, 60 chorągwi i dział 11, cały obóz, srebrny kredens Sudermana i kosztowności jego wpadły w ręce zwycięzców, sam Karol zawdzięczał ocalenie swoje poświęceniu dworzanina Henryka Wrede, który mu konia własnego podał i czyn ten życiem przepłacił.

Świetne zwycięstwo kirchholmskie (27. września 1605. roku) rozniosło szeroko po całym świecie sławę oręża polskiego. Papież Paweł V. podnosił w odręcznym liście do Chodkiewicza dzielność jego i roztropność, sułtan turecki i szach perski składali Zygmuntowi III. gratulacye, głośny owego czasu rytownik Thum uwiecznił rylcem swoim przewagę husaryi polskiej, ale skutek zwycięstwa nieodpowiedział wcale oczekiwaniom. Tymczasem bowiem zaniosło się w Polsce na burzę rokoszową i rok następny powołał weteranów inflanckich na pole bratobójczej walki.

Śmierć Zamoyskiego była niepowetowaną dla Rzeczpospolitej szkodą. Naród tracił w nim nietylko znakomitego wodza i doświadczonego statystę, ale także roztropnego i umiarkowanego naczelnika opozycyi, która teraz pozbawiona głowy, wejść musiała na drogę anarchicznych przeciw władzy królewskiej porywów. Bez jasno wytkniętego celu, bez myśli politycznej, nie była ona w stanie ani państwa zreformować, ani nadużyć powściągnąć, lecz stała się narzędziem ambitnych magnatów, którzy obrażonej dumie swojej poświęcali z lekkiem sercem interes ojczyzny, łudząc zapalne umysły szlacheckie frazesami o wolności. Zamoyski, zasadniczo przeciwny polityce królewskiej, stał na gruncie narodowym, słowiańskim, nie dawał się unosić ślepej namiętności i w chwilach najgorętszej walki gotów był popierać króla, gdy tego dobro ojczyzny wymagało. Rakuskim planom Zygmunta III. przeciwstawiał on politykę samodzielną, polską, w tem przekonaniu, że Rzeczpospolita bez obcej pomocy może i powinna spełnić posłannictwo swoje na wschodzie, że mocarstwu takiemu jak Polska nie należy wiązać interesów swoich z interesem dynastycznym wiedeńskiego dworu i służyć za narzędzie światowładnym zamiarom Habsburgów. Przyszłość Polski widział on w świecie słowiańskim, w naczelnem stanowisku, jakie ona zająć miała wśród narodów, spokrewnionych z nią językiem i obyczajami, a nie w ścisłym sojuszu z dynastyą, której polityka obracała się w sferze interesów zachodnich. Ci, co po nim objęli naczelne kierownictwo opozycyi, nie byli w stanie pojąć przewodniej myśli kanclerza, lecz gubiąc się w drobiazgach, nadawali najpospolitszym „grawaminom“ i „eksorbitancyom“ znaczenie ważnych kwestyj politycznych, przenosili walkę o zasady na pole familijnych lub stanowych zatargów i wzruszywszy w ten sposób namiętności szlacheckiego gminu, zmarnowali w bezcelowej walce najświetniejsze zwycięstwa i najsposobniejszą chwilę do reformy rządu i sejmowania.

X. Augustyn Kordecki.

Podług obrazu Walerego Eljasza.

Niemała część winy za to wszystko spada i na króla, który uporczywie trzymając się rakuskiej polityki swojej, popchnął naród na drogę zgubnej w skutkach opozycyi. Tak, jak rzeczy ułożyły się po sejmie roku 1605., była katastrofa nieunikniona. Rozkołysane długoletnią walką umysły, straciły wszelką równowagę, opozycya, pobita na ostatnim sejmie, patrzyła z goryczą na tryumf polityki królewskiej, a wszystkie anarchiczne żywioły, czepiające się Zamoyskiego i jego stronnictwa, czekały tylko hasła do ogólnej w kraju ruchawki. W tej chwili umarł kanclerz i królowi zdawało się, że nadszedł czas do spełnienia ulubionych jego planów.

Odprawiwszy więc gody weselne z arcyksiężniczką Konstancyą w Krakowie (w listopadzie r. 1605.), zwołał sejm na 7. marca roku 1606. i w instrukcyach, rozesłanych z tego powodu po województwach, podniósł z naciskiem potrzebę stanowienia uchwał sejmowych większością głosów, czyli „mimo konsens i protestacye drugich“, jak się natenczas wyrażano.[1]) Krok ten przeraził opozycyą, która wiedziała dobrze, że reforma tego rodzaju odbierze jej broń najskuteczniejszą i skłonił ją do użycia ostatecznych przeciw królowi środków. Na czele niezadowolonych stanął Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski, spokrewniony przez żonę Dorotę Herburtowną z Zamoyskim i w poufałych będący z nim stosunkach. Najmłodszy z pomiędzy stronników kanclerza, nie odegrał pan wojewoda dotąd wybitnej roli politycznej. Zawód rycerski rozpoczął za króla Stefana, a że „na wszystkie potrzeby, które ten król z nieprzyjacioły królestwa tego miewał, roty znaczne i z niemałym kosztem wodził“, więc otrzymał w nagrodę za to starostwo stężyckie i bolesławskie, a od Zamoyskiego także starostwo krakowskie. Wyposażony temi intratnemi urzędami, okryty chwałą rycerską, stawał Zebrzydowski odtąd wytrwale pod sztandarami hetmana, odznaczył się podczas bezkrólewia i w wojnie z Maksymilianem i pozyskał sobie przez to względy Zygmunta III. do tego stopnia, że monarcha ten i starostwem lanckorońskiem go obdarzył i hetmanem nadwornym mianował i wreszcie do senatu wprowadził. Zostawszy wojewodą lubelskim w roku 1591., miał Zebrzydowski drogę do dalszych zaszczytów otwartą, piastował czas jakiś laskę marszałkowską, a puściwszy ją, otrzymał jedno z najwyższych miejsc senatorskich, województwo krakowskie, mało przedtem bogate starostwo śniatyńskie.

Był więc wojewoda w łaskach u króla, a niezwykłe względy te zawdzięczał nietylko rycerskim posługom, ale także chrześciańskiej prawdziwie pobożności i ścisłym związkom z potężnym zakonem Jezuitów. Wychowaniec jezuickiego kollegium w Brunsberdze, dokąd go troskliwy ojciec wysłał głównie dla nauki języka niemieckiego, wyniósł młody Mikołaj z tych szkół zakonnych ową głęboką religijność i przywiązanie do kościoła, które do końca życia cechowały jego burzliwy zresztą i wyniosły charakter. Młodzieńcem jeszcze będąc, fundował szkołę jezuicką w Lublinie, był w ścisłych stosunkach z ks. Skargą, kształcenie synów swoich powierzał Jezuitom, a świeżo brał czynny udział w nawróceniu Dymitra. Takie dowody pobożności, które

[1]) Wynika to tak z mowy Zebrzydowskiego na sejmiku proszowickim, jak i z uniwersału sejmiku korczyńskiego. Teki Naruszewicza do roku 1606.

pomnożyła jeszcze i po całej Polsce rozsławiła fundacya Kalwaryi, stawiały Zebrzydowskiego wysoko w opinii królewskiej i jeszcze w przededniu rokoszu mówiono u dworu, „że pan wojewoda krakowski komu chce, może u króla wiele pomódz“. Ale jak cały ten żywot wojewody, pełen czynów rycerskich i wzniosłych porywów prawdziwie chrześcijańskiego ducha, opromienia postać Zebrzydowskiego blaskiem cnót obywatelskich, tak z drugiej strony trudno w nim dopatrzeć wielkich zdolności wodza lub statysty. Waleczny żołnierz, nie dał nigdzie dowodów taktycznego wykształcenia, powiernik planów kanclerskich, nie okazał w polityce żadnej myśli dodatniej. Ambitny i burzliwy, jak wszyscy ludzie możniejsi owego czasu, myślał więcej o chwale własnej, niż o reformie politycznej. Obecnie zdawało mu się, że po śmierci kanclerza kolej przyszła na niego, że jako moralny spadkobierca zamiarów Zamoyskiego, ma obowiązek skupić około siebie całe stronnictwo i zmiażdżyć kamaryllę dworską, wśród której główną rolę odgrywał znienawidzony przez niego i przez szlachtę Zygmunt Myszkowski. Pojechał więc natychmiast na sejmik do Proszowic i tam wypowiedział dnia 14. grudnia mowę, pełną ostrych wycieczek przeciw królowi, przeciw złym jego doradcom i przeciw instrukcyi, wprowadzającej do sejmu rzeczy nowe i dla wolności szlacheckich niebezpieczne. Aby temu zapobiedz i eksorbitancye rozmaite uleczyć, proponował wojewoda zarazem zjazd pod Warszawą w czasie sejmu, że zaś w Proszowicach szlachta zebrała się nielicznie, postanowiono rzecz całą poddać pod rozwagę sejmiku generalnego małopolskiego w Korczynie.

Stało się to rzeczywiście w lutym roku 1606. i stosownie do życzenia Zebrzydowskiego uchwalili Małopolanie zwołać zjazd do Stężycy na dzień 9. kwietnia. Wydano w tym celu osobny uniwersał, ułożono instrukcyą dla posłów sejmowych z wyliczeniem wszystkich grawaminów, o które się upomnieć mieli, a jakkolwiek cała ta robota miała jeszcze pozory lojalności względem króla, to w rzeczy samej inicyatorowie zjazdów szli w zamiarach swoich o wiele dalej niż Zamoyski i całe jego stronnictwo. Gdy bowiem kanclerz, zwalczając politykę Zygmunta III., o zmianie panującego nie myślał, nawiązał Zebrzydowski i jego przyjaciele odrazu układy z Boczkajem.

Stefan Boczkaj, szlachcic siedmiogrodzki, spokrewniony z Batorymi, odgrywał wtedy właśnie niepospolitą rolę na Węgrzech. Stanąwszy na czele malkontentów węgierskich i oddawszy się w opiekę sułtanowi, opanował on Siedmiogród i całe północne Węgry. Preszów, Bardyów, Koszyce, Senderów i Tokaj otworzyły bramy swoje „obranemu królowi węgierskiemu“, chorągwie Boczkaja ukazały się pod Lubowlą, a starosta spiski Sebastyan Lubomirski obawiał się lada chwila najazdu i słał błagalne listy do króla, prosząc o pomoc jak najrychlejszą. Ale Boczkaj był zanadto przezornym politykiem, aby drażnić Rzeczpospolitę. Owszem, upewniwszy starostę spiskiego o przyjaznych względem Polski zamiarach, zachowywał się jako spokojny i życzliwy sąsiad i pozyskał sobie przez to u Małopolan niemałe sympatye. Znalazło się wielu takich, co pod sztandarami Boczkaja szukali sławy i przygód, podczas gdy inni szli w służbę cesarską. Zebrzydowski, acz niechętny Rakuszanom, posłał jednak syna swego do obozu cesarskiego, ale to nieprzeszkadzało mu wcale

do konspiracyi z Boczkajem. W lutym ruszyło osobne poselstwo, z Małopolan złożone, na Węgry, aby Boczkaja prosić o pomoc, a byli i tacy, co mu tron polski ofiarowali. Sprytny Węgier, wymówił się zręcznie od tego zaszczytu, przyrzekał pomoc w ludziach i pieniądzach, a radził roztropnie, aby Polacy Zygmunta nie zatrzymywali, gdy do Szwecyi wyjechać pragnie, i obrali sobie pana z pomiędzy swoich. Równocześnie wysłał na zjazd stężycki kanclerza swego Batorego, ożenionego z powinną Zborowskich.[1])

Wśród tego zbierał się sejm warszawski. Pojechali nań posłowie krakowscy z instrukcyami, pełnemi skarg i grawaminów. Polecono im, aby się upomnieli o odebranie sum neapolitańskich i o dopełnienie paktów konwentów. Pod tym względem zarzucano mianowicie królowi, że Estonią odstąpił Rzeczpospolitej za późno, że niewystawił twierdz na Ukrainie, że na obronę potoczną używa podatków a nie własnych dochodów, że lenno pruskie sprzedał Brandenburczykowi.

Nadto użalano się na złe rady, żądano, aby senatorowie mieszkali przy królu i w czynności jego wglądali, ujmowano się za innowiercami. Wszystkie te wymagania były już dawno znane i nieusprawiedliwiały wcale gwałtownych postępków opozycyi. Trudno bowiem było żądać od króla, aby własnym kosztem twierdze budował i wojsko utrzymywał, gdy dochody rozdrapywano, niesłusznem obwiniać go o niemieszkanie senatorów przy dworze, gdy oni sami od obowiązku tego się uchylali, ze względu na wielkie wydatki, jakich rezydencya taka pociągała. Jeden, jedyny może zarzut słuszny dotyczył lenna pruskiego. W Królewcu panował dotychczas jeszcze nominalnie ów chory na umyśle Albrecht Fryderyk, ale opiekę nad nim sprawował Jerzy Fryderyk, książe na Anspachu. W roku 1603. atoli umarł Anspach bezpotomnie, a kuratela nad obłąkanym powinna była przejść prawnie na króla polskiego i stany Rzeczypospolitej.

Mało troszczył się o to elektor brandenburski Joachim Fryderyk. Dla niego i dla przebiegłej polityki Hohenzollernów istniał tylko układ familijny, zawarty w Gera z zmarłym Anspachem, ustanawiający primogeniturę w krajach elektorskich, do których dyplomaci brandenburscy i Prusy książęce zaliczyć pragnęli. W myśl tej polityki zaborczej zgłosił się elektor do Zygmunta III. z gotowością złożenia hołdu, przesądzając tem samem w sposób dla Rzeczypospolitej lekceważący postanowienia rządu polskiego. Król odniósł się, jak zwykle, do senatu, który zawiłej tej kwestyi stanowczo rozwiązać nie chciał czy nie umiał. Baranowski, biskup płocki, radził wprost odrzucić nieuzasadnione żądania kurfirszta, rzecz całą „na decyzyą sejmową przypuścić“, a tymczasem ziemię pruską „przez konsyliarze tameczne sprawować“. Tarnowski przeciwnie chciał o kuratelę z kurfirsztem się układać bez sejmu, byle tylko korzystne wytargować warunki. Król przychylił się do zdania prymasa i tak jak niegdyś Stefan Batory zadowolnił się pewną gratyfikacyą pieniężną ze strony elektora. Że to był błąd wielki i oczywiste pogwałcenie praw Rzeczypospolitej o tem nikt wątpić nie mógł, ale winę ponosił nie sam król, lecz głównie jego do-

[1]) List w rękopisie biblioteki Czartoryskich, nr. 439, str. 350.

radcy i szlachta, która grosza na potrzeby publiczne skąpiła i zmuszała panujących do żebraniny po obcych dworach.

Obecnie jednak nadarzała się sposobność, aby wszystkie te urazy uleczyć i szkody naprawić. Losy narodu spoczywały w własnych jego rękach. Należało tylko poprzeć energicznie wojnę szwedzką i wyzyskać zwycięstwo kirchholmskie, należało, tak jak żądał Żółkiewski, postawić 5000 ludzi na Ukrainie i powściągnąć Tatarów, a potem dopiero spierać się z królem o niewypełnienie paktów konwentów. Sejm warszawski nie stanął jednak na wysokości swego zadania. Posłowie krakowscy zawichrzyli obrady i mimo zabiegów króla i senatorów, mimo licznych konferencyj do żadnej uchwały dopuścić nie chcieli. Klucz sytuacyi znajdował się w Stężycy, gdzie rozdąsany Zebrzydowski łudził szlachtę łatwowierną odkryciem praktyk królewskich.

Senatorowie wysłali do niego delegacyą z biskupem Baranowskim na czele, ale i to poselstwo nie odniosło skutku. Wojewoda odczytał posłom listy swoje, pisane do króla z powodu małżeństwa z arcyksiężniczką Konstancyą i po zjeździe proszowickim, a ukazując, że działa tylko dla dobra ojczyzny, dalszych zamiarów swoich zaniechać nie chciał. Wśród takich okoliczności rozszedł się wprawdzie sejm na niczem, ale i Stężyczanie nie sprawili wiele. Zjazd był nieliczny, obrady wlokły się leniwie, a niejasne skargi i żale Zebrzydowskiego nie zdołały zapalić umysłów. Postanowiono więc odbyć nowy zjazd pod Lublinem w dniu 4. czerwca w nadziei, że szlachta, mająca sprawy w trybunale, zbierze się tłumnie. Jakoż rachuby te nie zawiodły; zebranie było liczniejsze niż w Stężycy, przybył podczaszy litewski Janusz Radziwiłł, obrażony o uwięzienie dworzanina swego Zenowicza, który z powodu burdy, wyprawionej na sejmie, dostał się do turmy, przyjechał Janusz Ostrogski, odgrywający rolę pośrednika, stawił się wreszcie Stanisław Dyabeł Stadnicki z hufcem zaciężnych Węgrów. Szlachta, ciekawością zdjęta, że to miało chodzić o wolności i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, zjawiła się gromadnie na pierwszej sesyi i gdy marszałkiem zjazdu obrano Janusza Radziwiłła, zaczęła się dopytywać pilnie o powody całego ruchu. „Powiedzcież nam — mówili — pocoście nas tu zwołali i zaciągnęli, co się dzieje, niech pierwej wiemy“. Ale na te proste pytania nikt jasno nie mógł odpowiedzieć, marszałek tylko wskazywał na sejm ubiegły, jakoby gwałtem zamknięty, skarżył się na „łapanie“ szlachciców i na oppressyą wolnych głosów. W tym samym duchu, lecz wyraźniej już, przemawiał Stadnicki. On, co szlachcie obcinał nosy i uszy, co w lochach łańcuckiego zamku więził chłopów, przykutych do muru, co drwił z powagi trybunałów i na sumieniu swojem miał więcej gwałtów niż włosów na głowie, wystąpił tu jako obrońca uciśnionej wolności. Więc to wszystko, co dotąd się stało, uważał za niedostateczne. „Kupą jechać i wypowiedzieć mu (królowi) posłuszeństwo“. To było jego zdanie, a wtórowali mu Gorajski i Stabrowski, kasztelan parnawski. Atmosfera rozpalała się coraz bardziej, krzykactwo brało górę nad rozwagą, sam Zebrzydowski uznał w tej chwili, że nie jest panem ruchu; wypadki wyrastały ponad jego głowę, najlepsi przyjaciele usuwali się od niego, Tylicki, Baranowski i najzacniejszy i najczystszy ze wszystkich, chociaż tak bliski Zamoyskiego, Żółkiewski, pozostali w obozie

królewskim, Żółkiewski od samego początku stanął twardo przy królu i teraz pojechał pod Lublin, aby szwagra swego Zebrzydowskiego odwieść od zgubnych zamiarów. Usiłowania jego w tym stanie rzeczy były jednak bezskuteczne. Namiętne warcholstwo Dyabła Stadnickiego zwyciężyło, uchwalono zwołać rokosz pod Sandomierz na dzień 6. sierpnia, chociaż Zebrzydowski sam przestrzegał i prosił, „aby sejmu nie rokoszu chcieli“ i obowiązywał się na sejmie wszystkie urazy królowi przełożyć i nie ustąpić dotąd, dokąd usunięte nie będą.

Wiadomość o uchwałach lubelskiego zjazdu wywołała niesłychane w całym kraju zamięszanie. Szlachta, mianowicie w odleglejszych województwach, niedokładnie poinformowana o zamiarach rokoszan, nie wiedziała, do której przychylić się strony. Jedni więc chcieli jechać pod Sandomierz, drudzy strzedz powagi królewskiej, większość jednak, zaniepokojona o wolności swoje i przywileje, skłaniała się ku rokoszanom, którzy już głośno o bezkrólewiu i o detronizacyi Zygmunta III. mówili. Ruch obejmował coraz to szersze koła i zwracał się nietylko przeciw królowi, ale i przeciw senatorom. „Kto cnotliwy, ten nie z pany“, wołała szlachta, wybierając się gromadnie pod Sandomierz. Jedno duchowieństwo, przerażone związkami rokoszan z partyą akatolicką, stanęło twardo przy królu, zbierało składki pieniężne, gotowe było zastawić nawet srebra kościelne, aby zachwianą powagę tronu ratować.

Król, zatrwożony z początku, chwycił się za radą wiernych sobie senatorów energicznego środka i ruszywszy z Warszawy dnia 12. czerwca, przybył dnia 19. do Krakowa, aby tu obecnością swoją w ognisku ruchu paraliżować działania opozycyi.

Tymczasem zewsząd nadchodziły wieści o przygotowaniach rokoszan i o związkach, jakie mieli z Boczkajem. Stadnicki jeździł do Węgier werbować żołnierzy, Zebrzydowski wzmacniał zaciągi swoje posiłkami Boczkaja, a sam Boczkaj z znaczną potęgą wieszał się u granic koronnych. Wobec tego musiał i król pomyśleć o własnem swojem bezpieczeństwie. Ściągnąwszy zatem wojsko kwarciane z Ukrainy, wydał manifest przeciw rokoszanom i zwołał senatorów na konwokacyą. Zanim jednak do tego przyszło, stawili się przed królem posłowie zjazdu lubelskiego, zapraszając go na rokosz. Zygmunt dał odpowiedź łagodną ale odmowną i naradziwszy się z senatorami, postanowił przeciw sandomierskiemu zjazdowi zwołać zjazd do Wiślicy, w celu zawiązania konfederacyi przy powadze tronu i majestatu. Tymczasem horyzont chmurny dotąd zaczął się cokolwiek wyjaśniać. Szlachta ruska, w Wiśni zgromadzona, oświadczyła się za królem, to samo uczynili i Sieradzanie, dodając wyraźnie, że „odmiany pana żadnej nie chcą, ani sobie życzą“,[1]) chociaż pragną gruntownej naprawy Rzeczypospolitej. Były to objawy w każdym razie pocieszające o tyle, że podawały drogę do porozumienia, do utworzenia stronnictwa pośredniego, które stojąc przy królu, mogło reformę przeprowadzić i kraj uspokoić. Do tego zmierzał też zjazd wiślicki i cała akcya ugodowa przez króla i senatorów podjęta.

[1]) Kopia urzędowa z aktów grodzkich sieradzkich w rękopisie biblioteki Czartoryskich, nr. 1628, pag. 501.

Dnia 6. sierpnia zaczęła się zjeżdżać szlachta na polach pomiędzy Sandomierzem a Pokrzywnicą. Zebranie było bardzo liczne, bo oprócz rycerstwa stawiło się i wielu senatorów, jak: kasztelan krakowski, Janusz Zbaraski, wojewoda bracławski z synem swoim Jerzym, kasztelan wiślicki, marszałek litewski Dorohostajski, Zebrzydowski wreszcie i Janusz Radziwiłł, ponownie marszałkiem koła rokoszowego obrany. Na trzy dni przed rozpoczęciem narad przybyli posłowie królewscy: Tylicki i Miński, podkanclerzy koronny, ale o posłuchaniu dla nich i o układach długo mowy być nie mogło. Rozgorączkowane i tak już umysły szlacheckie, podniecali gwałtownemi wycieczkami swojemi Stadnicki i Gorajski, przeciw senatorom padały ostre słowa, raz po razu wszczynał się tumult, szlachta rwała się do szabel, okoliczne wioski objadano i niszczono bez litości.

Skutek tych nieporządków i gwałtów był łatwy do przewidzenia; usunęli się najpierw senatorowie, mianowicie Janusz Ostrogski, wymawiając się chorobą, inni jak Zbarascy pojechali do Wiślicy, sam Zebrzydowski przez czas pewien na zgromadzeniach nie bywał. Stronnictwo nieprzejednane parło mimo to do zerwania stosunków z królem, odrzucono więc jedne po drugich warunki wiślickiego koła, wyznaczono termin dla króla, aby się stawił na rokosz, władzę hetmańską oddano Zebrzydowskiemu i Ostrogskiemu, słowem — zamierzano wywrócić rząd i cały istniejący porządek rzeczy, aby zrobić miejsce jakiemuś gminowładztwu szlacheckiemu pod kierunkiem Stadnickich, Radziwiłłów i Zebrzydowskich. Pomysły o naprawie Rzeczypospolitej tonęły w chaotycznej dyskusyi o grawaminach i eksorbitancyach, przyczem co chwila wychodziły na jaw osobiste jakieś urazy i animozye. Niemało do powszechnego tego zamięszania przyczynili się innowiercy, wywodzący żale na ucisk i stronnicze postępowanie króla, czem znowu gorliwych katolików obrażali i do protestacyj zmuszali. Szlachta zaczęła wreszcie przykrzyć sobie te swary, udział w naradach zmniejszał się do tego stopnia, że przy końcu sierpnia zaledwie po sześć osób do Koła się zjeżdżało, z Wiślicy nadchodziły wiadomości niepokojące o działaniu tamtejszej konfederacyi i o spisywaniu artykułów, na które i król się zgadzał. Musieli zatem i rokoszanie przystąpić do ułożenia swego programu politycznego. Po długich sporach zgodzono się na 64 artykułów. Głównem ich celem było ograniczenie dalsze władzy królewskiej na wyłączną korzyść szlacheckiego stanu. Domagano się mianowicie, aby król dygnitarstwa i ekonomie rozdawał nie sam, jak dotąd, lecz za radą senatorów, mieszkających przy nim, aby z własnych dochodów ponosił koszta obrony potocznej, aby intraty włoskie i „pensye“ neapolitańskie do skarbu Rzeczypospolitej oddawał, aby potwierdził dekreta sądów rokoszowych i ogólną ogłosił amnestyą. Artykuł 30. zwrócony był przeciw Jezuitom. Usuwano ich zupełnie od dworu, wyznaczano tylko kilka miast, gdzie przebywać mieli, polecając zarazem, aby inne dobra w przeciągu dwóch lat sprzedali pod grozą konfiskaty na rzecz akademii krakowskiej.

W podobnym duchu miała być zreformowana i cerkiew ruska, król miał rozdawać wakancye i majętności cerkiewne tylko ludziom „narodu szlacheckiego greckiej wiary i posłuszeństwa patryarchy greckiego“. Jeżeli wyko-

nanie artykułu tego równało się zniesieniu zupełnemu unii, to zakaz nadawania posad duchownych przy kościołach katedralnych plebejom odsłaniał samolubne dążności stanu szlacheckiego, który, odebrawszy królowi wszelką władzę, wszystkie korzyści materyalne dla siebie zagarnąć pragnął. Tak wyglądała owa przez rokoszanów projektowana reforma Rzeczypospolitej. Wiśliczanie postąpili sobie z większem umiarkowaniem. I oni żądali także zatwierdzenia wolnej elekcyi, oddalenia cudzoziemców od dworu, zgody pomiędzy innowiercami a katolikami, i oni domagali się wolności wyznania dla dyzunitów, ale przynajmniej nie nakładali królowi warunków, niepodobnych do spełnienia, nie odbierali mu tej cząstki władzy, bez której stać się musiał królem malowanym, zawisłym od kaprysu kilku trybunów szlacheckich. W podobnych okolicznościach porozumienie wszelkie było niepodobne. Rokoszanie widząc, że szlachta się rozjeżdża, wydali uniwersał, w którym, przedstawiwszy postępki swoje, wzywają szlachtę do pospolitego ruszenia dla dokończenia rokoszu, staranie zaś dalsze pozostawiają osobom pewnym, na ten cel obranym. Na tę chwilę czekał widocznie król i jego stronnictwo, bo skoro tylko szlachta się rozjechała, ruszyły wojska królewskie ku Połańcowi. Po drodze próbowano jeszcze układów, a gdy się rozchwiały, rozstrzygać musiał oręż. Rokoszanie nie czuli się na siłach, aby stawić czoło armii królewskiej, ustępowali więc ku Wiśle. Stadnicki, najzuchwalszy w języku, pierwszy z swoim hufcem przeprawił się przez rzekę, główne siły Zebrzydowskiego i Radziwiłła, dopadnięte pod Janowcem i przyparte do Wisły, znalazły się w nader krytycznem położeniu (6. października). W obozie królewskim nie chciano jednak dopuścić do rozlewu krwi bratniej i sam Zygmunt III. rozpoczął układy. Rokoszanie odpowiadali hardo, mimo, że poselstwo królewskie z senatorów złożone, po dwakroć do nich jeździło, dopiero kiedy wojewoda bracławski i starosta kamieniecki sprawili wojsko, a król sam, przywdziawszy zbroję, miał dać hasło do bitwy, oświadczyli przywódzcy rokoszan, że się poddają. Wysłano do nich natychmiast kilku senatorów, którzy późnym wieczorem sprowadzili Zebrzydowskiego i Radziwiłła przed króla. Zsiadłszy z koni, przystąpili oni do pocałowania ręki królewskiej, a na drugi dzień uczyniło to samo całe wojsko rokoszańskie. Po formalnem przeproszeniu nastąpił układ: obaj naczelnicy rokoszowi podpisali akt, w którym przyrzekli wojsko rozpuścić, uniwersałów nie wydawać, zjazdów nie zwoływać i starać się o uspokojenie umysłów. Ugoda siłą oręża wymuszona, nie miała trwałości. Przyrzeczenie, dane królowi, wiązało tylko przywódzców rokoszu, szlachta uważała rokosz za nieukończony, a burzliwsi i zapamiętalsi o żadnych ustępstwach słyszeć nie chcieli. Sam wojewoda zresztą odjechał z pod Janowca rozdrażniony postępowaniem dworu. Na przeprosiny jego odpowiedział nadspodziewanie marszałek wielki koronny a nie kanclerz, który znajdował się u boku króla, Adam Stadnicki, gorliwy regalista, nie szczędził upokorzonemu ostrych przymówek, tak, że Zebrzydowski do Myszkowskiego plecami się obrócił, a Stadnickiemu, „pijanemu chłopu“, ręką pogroził.

Zamiast uspokojenia umysłów powstało więc jeszcze większe zajątrzenie. Po kraju zaczęły się rozchodzić paszkwile, jak echo grzmotów dalekich, za-

powiadające nową burzę. Natarli na siebie po grubijańsku Zygmunt Myszkowski i Zebrzydowski, łżąc się nawzajem publicznie; dogryzali sobie listami podobnemi Dyabeł Stadnicki i Jazłowiecki, wojewoda podolski, a łatwo było przewidzieć, że od słów przyjdzie wnet i do czynu.

Król tymczasem, a raczej kamarylla dworska, upojona łatwym tryumfem, pragnęła sejmu uniknąć i artykuły wiślickie, chociaż one nie dogadzały wcale rokoszanom, pogrzebać. Zbywano więc pytających o czas zwołania sejmu rozmaitem tłumaczeniem, kazano wreszcie dla uspokojenia gorliwszych drukować uniwersały sejmowe, bez daty jednak, w rzeczy samej liczono na opieszałość szlachecką i wierzono święcie, że panowie bracia po bezowocnych sandomierskich naradach i po janowieckiej trwodze na nowe koszta i zjazdy wyciągnąć się nie dadzą. Nadzieje te zawiodły. Z początkiem roku 1607. wszczął się ruch na nowo. Szlachta krakowska rozerwała roki ziemskie i wysłała posłów do Wielkopolan, skarżąc się na „uciążenie od króla, od złego senatu i od żołnierza“, Wiekopolanie, podburzeni przez Łaszcza, wzięli sobie tę skargę do serca i zwoławszy zjazd w Kole, któremu przewodniczył Stanisław Ponętowski, uchwalili dwa pobory na zaciągnięcie żołnierza i nowy zjazd pod Jędrzejów na dzień 28. czerwca, w celu dokończenia rokoszu. Łagodne przedstawienia prymasa i senatorów wielkopolskich nie zdołały uśmierzyć rozognionych umysłów, nie skutkował uniwersał królewski, zwołujący sejm na 7. maja, szlachta wołała, że „sejmy w truciznę się obróciły i że tylko rokoszem urazy wolności uleczyć można“. Niesłychane rozgoryczenie owładnęło serca ludzkie, burdy i najazdy były na porządku dziennym, a liczne pisma ulotne budziły trwogę i zawziętość. Jan Szczęsny Herburt, pobity przez Stadnickich i urażony na króla za starostwo przemyskie, o które nadaremnie się ubiegał, wydał rodzaj manifestu, przedstawiając w najczarniejszych barwach stan Rzeczypospolitej, zamachy „cudzoziemca“ na swobody szlacheckie, usiłowania Jezuitów ku zaprowadzeniu władzy absolutnej i zepsucie społeczeństwa, które tonąc w zbytkach, z łakomstwa służy celom polityki królewskiej. Wśród takich okoliczności zbierał się zjazd jędrzejowski.

Był on z początku nieliczny, ale im bardziej przybliżał się czas sejmu, tem gromadniej zbiegała się szlachta pod sztandary rokoszańskie. Nauczeni doświadczeniem zeszłorocznem przywódzcy opozycyi, oszczędzali o ile możności majątki szlacheckie. Wjechano tedy najpierw w opactwo jędrzejowskie, które dzierżył sekretarz królewski ks. Powsiński, plebejusz, stamtąd przeniesiono obóz do Wąchocka, później pomknięto go do Sieciechowa, objadając w ten sposób bezustanie dobra kościelne. Ku końcowi sejmu dopiero stanęli rokoszanie bliżej Warszawy, pod Czerskiem. Tymczasem w Warszawie obradował sejm wśród swarów pomiędzy opozycyą a regalistami. Kamarylla dworska, przeprowadziwszy po swojej myśli wybór marszałka, wystąpiła ostro przeciw posłom rokoszańskim, którzy w dwa dni po zaczęciu sejmu przybyli do Warszawy. Nadaremnie najzacniejsi senatorowie: prymas Bernard Maciejowski, Tylicki, biskup krakowski i Stanisław Żółkiewski doradzali umiarkowanie, nadaremnie Dzierżek, podsędek lubelski, jeden z opozycyjnych posłów, zaklinał sejmujących, aby to wszystko „leczyć zgodnie i miłością braterską“, większość ufna

w siły swoje i odniesione zwycięstwo, stawiła się hardo i radziła użyć przeciw rokoszanom jak najostrzejszych środków. Król poszedł za zdaniem swoich doradców i odtąd znikła wszelka nadzieja pogodzenia zwaśnionych stronnictw. 25. maja wyszedł edykt królewski przeciw rokoszanom, rokoszanie ze swej strony odpowiedzieli nań zwołaniem koła pod Czerskiem, w celu kończenia rokoszu. W połowie czerwca stały już rzeczy tak, że marszałek rokoszowy Janusz Radziwiłł pisał do brata Krzysztofa, polecając opiece jego swój majątek i zamek słucki na wypadek, gdyby zginął w bitwie, lub zwyciężony z kraju uchodzić musiał. Jakoż 17. czerwca kończono rokosz. Herburt w uczonej mowie dowodził, że rokosz jest wyższym nad sejm i nad króla, podobnie jak sobór powszechny wyższym od papieża, że do rokoszu należy leczyć urazy w prawie publicznem i że ten zwyczaj od niepamiętnych czasów znany w Polsce i używany, najpiękniejsze wydawał owoce.

Schlachta, mało znając dzieje własnego kraju, słuchała chciwie wywodów takiego erudyta jak Herburt i po dłuższych naradach zgodziła się na krok stanowczy. Dnia 24. czerwca wydali rokoszanie pod Jeziorną słynny swój manifest, w którym wypowiedzieli posłuszeństwo królowi. Stało się to w tydzień po ukończeniu sejmu, gdzie uchwalono cały szereg konstytucyj w myśl wiślickich artykułów i objaśniono zasadę de non praestanda obedientia w ten sposób, że na wypadek nowych praktyk królewskich mieli króla po dwakroć upominać senatorowie i prymas, następnie sejm, a gdyby to wszystko skutku nie odniosło, mogli poddani wypowiedzieć posłuszeństwo i innego szukać sobie pana. Nie ulega wątpliwości zatem, że sejm w pewnej mierze uczynił zadość postulatom rokoszowym i że starał się leczyć urazy wolności, jakoż wielu malkontentów i t. zw. neutralistów zadowolniło się temi ustępstwami. Janusz Ostrogski, zajmujący pośrednie stanowisko pomiędzy stronnictwami, Jerzy Zbaraski, nieprzyjaciel Jezuitów, Adam Gorajski, do niedawna żarliwy rokoszanin, przechodzą do obozu królewskiego.

Pod Czerskiem i Jeziorną pozostają nieubłagani, mający w zanadrzu gotowego kandydata do korony w osobie Gabryela Batorego i odrzucający z tego powodu wszelkie transakcye. Najfatalniej wychodzi na tem Rzeczpospolita, bo zamiast reformy gruntownej ruch cały kończy się osłabieniem władzy królewskiej i zatrzymaniem dotychczasowego trybu sejmowania. Wobec tego nie miał król innej drogi, jak orężną z rokoszanami rozprawę. Przygotowywano się na tę ostateczność już od początku sejmu. Z Inflant przybył Chodkiewicz na czele 1600 weteranów, Warszawa cała roiła się od żołnierzy, Jakób Potocki, starosta kamieniecki, przyprowadził kilka tysięcy piechoty, przewaga była po stronie królewskiej. Po manifeście rokoszańskim ruszono więc w pole. Rokoszanie, słabsi, ustępowali ku Radomiowi, obrabiając przez ajentów wojsko królewskie i doprowadzili rzeczywiście do tego, że gdy pod Warką obie armie w szyku bojowym stanęły, w obozie królewskim wszczął się bunt i żołnierze żądali, aby spór cały pod ich sąd oddano.

Energii hetmanów, Żółkiewskiego i Chodkiewicza, powiodło się stłumić ten nowy rokosz, herszt buntowników, Leśnicki, zginął na szubienicy i wojsko ruszyło w ślad za rokoszanami. Dopadnięto ich wreszcie pod Orańskiem, nie-

daleko Guzowa, dnia 6. lipca i nie wdając się już w żadne traktaty dano hasło do bitwy. Żółkiewski objął dowództwo prawego skrzydła, Chodkiewicz lewego, Potocki stanął w środku. Z powodu nieporozumienia pomiędzy hetmanami i słabości lewego skrzydła, złamali rokoszanie z początku Chodkiewicza i dotarli aż do stanowiska królewskiego. Wszczął się popłoch wielki, senatorowie zaczęli uciekać, Zygmunt III. jednak pozostał na miejscu i tą wytrwałością swoją uratował los bitwy. Tymczasem bowiem nadbiegła piechota Potockiego, Żółkiewski na prawem skrzydle złamał zbieraninę węgierską Herburta i całe wojsko rokoszańskie, osłonięte gęstą kurzawą, szukało w ucieczce ocalenia, porzucając działa, broń i sztandary. Cała artylerya rokoszan, 12 chorągwi, klejnoty Radziwiłła i korespondencya jego z Gabryelem Batorym dostała się w ręce królewskie, z znaczniejszych rokoszan wzięto do niewoli Herburta i Pękosławskiego. Żółkiewski, ubolewający nad rozlewem krwi bratniej, nie kazał ścigać uciekających.

Śmierć Dymitra. — Wojna szwedzka i moskiewska. — Bitwa pod Kłuszynem. — Władysław obrany carem. — Zdobycie Smoleńska. — Pokój dywiliński. Ruch, wzniecony przez Zebrzydowskiego, wydarzył się w chwili najniedogodniejszej dla Rzeczypospolitej, gdy z zwycięstwa kirchholmskiego należało skorzystać i gdy zamieszki w sąsiedniej Moskwie nastręczały wyborną sposobność do odzyskania utraconych prowincyj i odtrącenia caratu od północno-wschodnich granic państwa. Jakkolwiek sądzić można o polityce i panowaniu Zygmunta III., zaprzeczyć się nie da, że na początku roku 1606. otwierały się bardzo pomyślne widoki dla Rzeczypospolitej. Można było bowiem i reformę wewnętrzną przeprowadzić i wojnę szwedzką szczęśliwie ukończyć i granice od Moskwy na długie lata ubezpieczyć. Rokosz tymczasem, zawichrzywszy do gruntu Rzeczpospolitę, skończył dzieło swoje ograniczeniem władzy królewskiej, umocnieniem wolnej elekcyi i zmarnowaniem wszelkich korzyści, jakie z położenia politycznego wynikały. Okazało się to najpierw w Inflantach, gdzie Chodkiewicz zamiast znękać do ostatka Szwedów, musiał zawrzeć z Mansfeldem rozejm do 31. października roku 1608., aby wojsko swoje poprowadzić na pole bratobójczej walki. Nieprzyjaciel jednak, powiadomiony dokładnie o tem, co się w Polsce działo, skorzystał z nieobecności hetmana i łudząc pozornie dwór polski układami pokojowemi, napadł wśród rozejmu niespodziewanie Weissenstein i opanowawszy tę twierdzę, zdobył następnie Dyament i Felin. Stało się to wprawdzie już po bitwie guzowskiej, ale wzburzony stan kraju nie pozwalał królowi, mimo odniesionego zwycięstwa, pozbywać się wojska i pomocy hetmanów. Radziwiłł, uciekając z pogromu, wydał dnia 11. lipca uniwersał w Lublinie, zwołujący szlachtę na elekcyą pod Warszawę na dzień 5. sierpnia, a Zebrzydowski, ukryty w bernardyńskim klasztorze w Opatowie, knuł stamtąd dalej rokoszańskie plany. Król więc, uwzględniając te niebezpieczeństwa, wysłał Chodkiewicza na Litwę, podczas gdy Żółkiewski z wojskiem kwarcianem miał uspokoić prowincye małopolskie, gdzie wałęsały się kupy partyzantów rokoszańskich, ku wielkiemu utrapieniu spokojnych obywateli i ludu wiejskiego. Pacyfikacya nie była łatwą, gdy kraj cały wrzał od wzburzenia, gdy w październiku roku 1607. nowy rokosz zgromadził się pod Warszawą, obierając

marszałkiem Zygmunta Niszczyckiego. Dopiero pośrednictwo prymasa i synodu piotrkowskiego, jakoteż zabiegi Ostrogskiego i Żółkiewskiego odniosły skutek pożądany. W roku 1608. na konwokacyi senatu przeprosił Zebrzydowski króla, a sejm roku 1609. wydał powszechną amnestyą dla rokoszan, pomijając tylko Dyabła Stadnickiego i Jana Szczęsnego Herburta, który musiał przyjąć cięższe o wiele warunki i poprzysiądz je u grobu św. Stanisława w Krakowie.

Pokojowe usposobienie króla i jego stronnictwa wynikało z głębszych pobudek politycznych; Żółkiewski bowiem i jego przyjaciele nie chcieli dopuścić do zupełnego zgnębienia rokoszan, już to z obawy przed kamaryllą dworską, już też ze wstrętu do dalszego przelewu krwi bratniej, spółczesne zaś wypadki w Moskwie obudziły w Zygmuncie III. nowe nadzieje i daleko sięgające widoki, dla których monarcha ten gotów był poświęcić i obrażoną dumę swoją i dynastyczne plany, w znacznej części zniweczone przez opozycyą rokoszan.

W chwili, gdy Zebrzydowski ośmielony rozerwaniem sejmu, zwoływał szlachtę na nowy zjazd do Lublina, spełniały się w Moskwie tragiczne losy pierwszego Dymitra. Osiągnąwszy bezprzykładnym prawie w dziejach sposobem koronę carską, nie zdołał on się długo na tronie utrzymać. Łagodny z usposobienia, ulegający szlachetnym porywom, zwolennik zachodniej cywilizacyi, marzący o zaprowadzeniu szkół i wolności wyznań w Rosyi, a przytem otaczający się Polakami, zraził on do siebie rychło serca narodu, przyzwyczajonego do despotyzmu, nienawidzącego innowierców i pogrążonego w głębokiej ciemnocie. Ten sam Wasyl Szujski, który już raz uknuł spisek na życie Samozwańca i uzyskał następnie wspaniałomyślne jego przebaczenie, stanął niebawem na czele niezadowolonych i w kilka dni po weselu carskiem z Maryną Mniszchówną wzniecił w Moskwie rewolucyą, która skończyła się zamordowaniem Dymitra i rzezią otaczających go Polaków (27. maja 1606. roku). Na tronie carskim zasiadł teraz Szujski, nielubiany przez lud i bojarów, chwytający się nadzwyczajnych środków, aby władzę, nieprawnie zagarniętą, w ręku swojem utrzymać.

Trapi go bezustannie obawa przed zamordowanym Dymitrem i posiłkującymi go Polakami, więc zawiera przymierze z Szwecyą i spółcześnie traktuje z Zygmuntem III., oświadczając gotowość uwolnienia zatrzymanych w Moskwie posłów polskich, jeżeli król uzna go carem moskiewskim. Tymczasem nagła śmierć Dymitra staje się źródłem nowych niepokojów. Jak grzyby po deszczu wyrastają w rozmaitych okolicach rozległego państwa jacyś pretendenci; zjawia się Piotr, będący rzekomo synem Fiedora a wnukiem Iwana Groźnego, występuje na własną rękę chłop prosty Bołotników, a wśród tego zamięszania utrzymuje się uporczywie wieść, że Dymitr nie zginął, że podziemnym chodnikiem uciekł przed ścigającą go tłuszczą, Piotr sam twierdzi, że jest tylko jego namiestnikiem. Wprawdzie Szujskiemu udaje się stłumić te niebezpieczne rozruchy, Piotra i Bołotnikowa zgładzić, ale tuż po tem, przy końcu roku 1607., występuje na widownią w własnej osobie drugi Samozwaniec. Pochodzenie jego jest podobnie wątpliwe jak i pierwszego. Jedni mienią go synem bojarskim z pod Staroduba, drudzy dyakiem z Białej Rusi, inni sekretarzem Dy-

mitra, to tylko zdaje się być pewnem, że do odegrania tej niezwykłej roli zachęcono go ze strony polskiej i że na wiadomość o jego wystąpieniu nowe hufce awanturników popłynęły z Polski do Moskwy, aby szukać szczęścia pod sztandarami nowego cara.

Było to wkrótce po ukończeniu rokoszu, kiedy kraj cały roił się od żołnierzy rozmaitego rodzaju, którzy zawiedzeni w nadziejach swoich, gotowi byli służyć każdemu, a cóż dopiero temu Dymitrowi, co słynął z hojności, co rozdawał wiernym swoim majątki, a nawet żony i córki bojarskie. Ruszyli zatem pod jego znaki kniaź Rożyński, Jan Sapieha, starosta uświacki, Aleksander Zborowski, syn Samuela, Lisowski, później hetman słynnych Lisowczyków, wszystko znamienici rycerze, otoczeni zastępem sześciotysięcznym nieustraszonych ale też i niczem niepohamowanych żołnierzy. Wsparty temi posiłkami, zniósł Samozwaniec, a właściwie dowodzący armią jego Rożyński, wojsko Szujskiego pod Bołchowem dnia 12. maja 1608. r. i stanął pod murami Moskwy. Przestraszony car szukał teraz ratunku dla siebie w układach z Zygmuntem III. sądząc, że pojednawszy króla polskiego, odciągnie także Polaków od popierania Dymitra II. Więc jak z początku uwięził był posłów polskich Gosiewskiego i Oleśnickiego, a Marynę wraz z ojcem wysłał na wygnanie do Jarosławia, tak teraz gotów był uwolnić jednych i drugich, aby tylko pokój z Rzeczpospolitą przyprowadzić do skutku. Rokowania, nawiązane w tym celu z nowymi wysłannikami Zygmunta III., którzy o wypuszczenie Gosiewskiego i Oleśnickiego starać się mieli, poszły gładko, dnia 5. lipca stanął pięcioletni rozejm z Polską i uwięzieni opuścili stolicę moskiewską, w drodze jednak napadł Aleksander Zborowski na orszak, eskortujący posłów i odbiwszy Marynę wraz z ojcem, uprowadził ją do obozu Dymitra.

Maryna, chociaż wiedziała, że Samozwaniec był prostym oszustem, uniesiona jednak żądzą panowania, uznała go za męża i wziąwszy z nim ślub potajemnie, aby skrupuły sumienia swego zaspokoić, była odtąd uczestniczką jego bojów, klęsk i tryumfów i tragiczną wreszcie ofiarą jego upadku. W Polsce wypadki moskiewskie głośnem odbiły się echem, bo gdy król, wierząc w tożsamość Dymitra z pobudek politycznych, zamiary jego popierał, to rokoszanie widzieli w nim kandydata do korony, który Polskę z Moskwą pod jednym berłem mógł połączyć. Sam Dymitr, zasiadłszy na tronie, zmienił politykę i trwając w sympatyach swoich dla Polaków, Zygmuntowi III. okazywał niechęć i wynajdywał coraz to nowe powody do nieporozumień i zatargów. Nagła śmierć jego pokrzyżowała zamiary malkontentów polskich, ale nieodwiodła ich od popierania drugiego Dymitra.

Srogie zamięszanie, wszczęte w roku 1604., trwało więc dalej i całe carstwo paliło się wielkim płomieniem wojny domowej, bez widoków rychłego jej uśmierzenia. Okoliczności te musiały zwrócić wreszcie uwagę dworu polskiego i podsunąć królowi myśl wojny, któraby Rzeczypospolitej powróciła utracone dawniej prowincye. Wszystko zdawało się sprzyjać tym zamiarom i sami Moskale nawet znękani klęskami, jakie kraj ich trapiły, zwracali oczy swoje ku Polsce, oczekując stamtąd ratunku i wyzwolenia. Już Bezobrazów, poseł Dymitra I., oświadczył poufnie imieniem Szujskich i Galiczynów sena-

torom polskim, że Moskale gotowi są uznać carem królewicza Władysława, byle ich uwolniono od tyranii Samozwańca, a obecnie posłowie polscy, powracający z niewoli, potwierdzali to usposobienie bojarów, starosta Orszański pisał nawet, że „skoroby choć najmniejsze wojsko WKMci przyszło, tedyby się wszyscy jak Smoleńsk tak i przyległości Smoleńska WKMci poddały.[1]) Że Zygmunt III. zapalił się do tej kombinacyi, on, co marzył o nawróceniu Moskwy i przez całe życie swoje snuł wielkie polityczne plany, temu dziwić się nie można. Więc skoro tylko kraj się uspokoił po burzy rokoszowej, zwrócił król wszystkie myśli swoje ku ekspedycyi moskiewskiej, donosząc o tych zamiarach i papieżowi i cesarzowi Rudolfowi II. Największe wątpliwości mogło budzić usposobienie szlachty, niechętnej królowi, skąpej i podejrzliwej, ale i pod tym względem układały się stosunki szczęśliwie, bo sejmiki koronne pochwaliły jednomyślnie zamiar wojny moskiewskiej.[2]) Mógł więc król liczyć i na sympatye moskiewskie i na poparcie własnego narodu i nie widział potrzeby wytaczać sprawy całej na sejmie, aby nieprzyjaciela wcześnie nie ostrzegać i czujności jego nie budzić. Rada senatu, zapytana o zdanie, z wyjątkiem trzech głosów, oświadczyła się za wojną, Żółkiewski nie odmówił swego udziału, chociaż jako wódz doświadczony, zwracał kilkakrotnie uwagę króla na wielkość przedsięwzięcia, wymagającego i sił odpowiednich i znacznych pieniędzy. Na dworze jednak brano sobie te rzeczy lekko i wszystkie nadzieje zasadzano na owych wiadomościach z Moskwy, które opanowanie carstwa, a przynajmniej pogranicznych prowincyj, przedstawiały jako rzecz łatwą i nieomylną. Szczególniej utwierdzali króla w tem mniemaniu Potoccy, posiadający od czasów bitwy guzowskiej wielki kredyt u dworu i Żółkiewskiemu niechętni, jakoteż Witowski, który jeździł do Moskwy i pełen różowych nadziei stamtąd powrócił. Uspokoiwszy więc słuszne obawy hetmana płonnemi, jak się później pokazało, obietnicami, wybrał się król na wyprawę moskiewską w roku 1609. i pospieszając bardzo, tak, że „nigdzie dwóch nocy na jednem miejscu nie odpoczywał“, stanął pod murami Smoleńska w dzień św. Michała (29. września). Tu jednak okazało się dopiero, jak złudne były wszystkie wieści i o usposobieniu Moskali i o gotowości ich poddania Smoleńska. Głównodowodzący załogą smoleńską, Michał Szein, mając 40.000 ludzi i dział 300 pod sobą, a przytem dobrze w żywność i rynsztunek wszelaki zaopatrzony, nie myślał wcale o kapitulacyi, owszem, spostrzegłszy słabość wojska polskiego, które w pierwszej chwili mało nad 8000 wynosiło, rozważał nawet, czyby nie wypadało w otwartem polu z nieprzyjacielem się potkać i szczupłe siły jego rozgromić, wnet jednak, porzuciwszy ten zamiar, przygotował wszystko do obrony i bronił się rzeczywiście mężnie blisko dwa lata. Żółkiewski, zbadawszy dokładnie warownie smoleńskie, grubość murów i trudność dostępu, a przytem brak artyleryi oblężniczej w obozie polskim, doradzał królowi, aby pozostawił część wojska pod murami Smoleńska, a sam z głównemi siłami udał się na zdobycie Moskwy. Plan ten

[1]) Kozłowski Stanisław. „Elekcya królewicza Władysława Wazy na tron moskiewski“. Przegląd powszechny z roku 1889.

[2]) Żółkiewski. „Pisma“, str. 18.

zdawał się tem łatwiejszym do wykonania, gdy przybył w posiłek Olewczeńko z 30.000 Kozaków zaporoskich. Ale Zygmunt III., łudząc się rozmaitemi nadziejami, nie usłuchał przedstawień doświadczonego wojownika. Próbowano więc najpierw fortelów. Słynny kawaler multański, Bartłomiej Nowodworski, wysadził dwie bramy petardami, ale szturm się nie powiódł i król posłał po działa ciężkie do Rygi, aby regularne rozpocząć oblężenie. Tymczasem zaczęto praktykować pułki polskie, popierające Dymitra II., chodziły poselstwa tam i nazad, Dymitrowcy jednak rozzuchwaleni i hojnością Samozwańca zepsuci, stawiali twarde warunki. Żądano, aby król wycofał wojsko z granic moskiewskich, zawiązano konfederacyą przy Dymitrze, poselstwo, na którego czele stał Marchocki, groziło: „Gdyby nam w zasługach naszych kto był przeszkodą, wtedy ani ojczyznę za ojczyznę, ani pana za pana mieć nie chcemy“.

Ostatecznie jednak Rożyński i Zborowski przeszli na stronę królewską, Dymitr uciekł do Kaługi, a Maryna przeniosła się do obozu Sapiehy, który bronił dalej sprawy Samozwańca. Z rozdwojenia tego skorzystali Moskale. Zaciągnąwszy na żołd cudzoziemców pod Pontusem de la Garde i zawarłszy przymierze z Szwecyą, zaczęli oni naciskać na pułki polskie, pod Tuszynem stojące. Skopin Szujski, młody lecz obrotny wódz, unikał bitwy, wojsko swoje po gródkach trzymał i odcinając dowóz żywności, groził ogłodzeniem. Sapieha musiał więc ustąpić z pod monasteru św. Trójcy, przegrał bitwę pod Dymitrowem, zamki okoliczne zaczęły się poddawać Szujskiemu, który teraz postanowił dać odsiecz oblężonemu Smoleńskowi. Jakoż ruszył w tym celu z Moskwy Dymitr Szujski na czele 8000 zaciężnych i 40.000 Moskali i roztrącając po drodze słabe roty Zborowskiego i Rożyńskiego, szedł prosto na obóz królewski. Położenie było bardzo krytyczne, bo gdyby nieprzyjaciel celu swego był dopiął i dotarł do Smoleńska, natenczas i oblężenia trzeba było zaniechać i wojsko z krajów moskiewskich wycofać i całą wyprawę na nowo rozpoczynać. Aby temu zapobiedz, zamierzał król część sił swoich skierować przeciw Szujskiemu i ofiarował dowództwo nad niemi Potockiemu, wojewodzie bracławskiemu, gdy jednak Potocki wymówił się niesposobnem zdrowiem, uproszono Żółkiewskiego.

Hetman, „acz się poczuwał w tem, że z małą garścią ludzi przychodziło mu iść na pewne odkryte niebezpieczeństwo, wolał jednak puścić się na odwagę, niż u Smoleńska bawić“ i wziąwszy 4000 ludzi ze sobą, ruszył ku Białej, gdzie Moskale Gosiewskiego dobywali. W drodze połączyły się z nim dwa pułki Kozaków, wskutek czego siły polskie wzrosły do 7000. Z nielicznem tem wojskiem i z artyleryą, złożoną z dwóch falkonetów, dokonał Żółkiewski tego, czego nie mógł dokonać w nowszych czasach wojenny geniusz Napoleona I. Poraziwszy bowiem po drodze Wałujewa pod Carowem Zamieściem i zostawiwszy tam kilka chorągwi dla obserwacyi, sam niespostrzeżenie wymknął się z obozu i idąc przez całą noc, stanął o świcie dnia 4. lipca 1610. roku w obliczu armii Szujskiego, rozłożonej pod Kłuszynem. Można było nieprzyjaciela napaść spiącego, gdy jednak na przeszkodzie stały dwie wioski, kazał je hetman zapalić i tym pożarem ostrzegł Moskali. Zbu-

dzeni ze snu, uszykowali się oni szybko do bitwy, pod osłoną płotów, przegradzających szerokie pola, ale nie mogli wytrzymać uderzenia hussaryi polskiej. Najpierw złamano Moskali, którzy tłumnie do obozu uciekać zaczęli;

Władysław IV.

zaciągi cudzoziemskie pod Pontusem de la Garde i Hornem stały tymczasem niewzruszone, rażąc ogniem muszkietowym nacierających Polaków. Dopiero, gdy nadeszła piechota hetmańska z owemi falkonetami i płoty łamać zaczęła,

odpowiadając skutecznie na ogień nieprzyjacielski, zachwiali się Niemcy, poczem jazda polska rozbiła rajtarów angielskich i francuskich i na ich karkach wjechała do obozu, przepełnionego uciekającymi Moskalami. Na ten widok ogarnęło przerażenie całe wojsko nieprzyjacielskie i wszystko w popłochu zaczęło uchodzić, miotając kubki, czary srebrne, szaty i sobole, aby ścigających

Królewicza Władysława portret
malowany przez Rubensa. (Muzeum polskie w Rapperswyl.)

zatrzymać. „Kniaź Dymitr uciekał potężnie, na błocie konia i obuwia zbył, boso, na lichej, chłopskiej szkapinie pod Możajsk do monasteru jechał“. Na polu walki, zasłanem gęsto trupami, została jeszcze owa piechota cudzoziemska, która, widząc ogólną klęskę, hetmanowi się poddała. Żółkiewski nie bawił się długo zbieraniem łupów, powrócił, acz wojsko było bardzo znużone, czemprędzej pod Carowe Zamieście, zmusił Wałujewa do kapitulacyi i prosto

podążył do Moskwy, gdzie tymczasem na wiadomość o klęsce kłuszyńskiej, Wasyla Szujskiego strącono z tronu. Położenie Moskali było w istocie rozpaczliwe; z jednej strony bowiem nadbiegł z Kaługi Dymitr, aby skorzystać z ogólnego zamięszania i carstwem zawładnąć, z drugiej zbliżało się zwycięskie wojsko polskie z zamiarem opanowania stolicy. Żółkiewski wyzyskał znakomicie te zawikłania i okazał się nietylko znakomitym wodzem ale i doświadczonym politykiem. Zręcznem postępowaniem umiał on i Samozwańca ubezwładnić i bojarów moskiewskich nakłonić do obrania carem królewicza Władysława. Dnia 27. sierpnia 1610. roku stanął pamiętny w dziejach układ pomiędzy hetmanem a dumą bojarską, której przewodniczył szczerze dla polskiej kandydatury przychylny kniaź Mścisławski. Obwarowano w tym akcie z szczególniejszą troskliwością prawa i przywileje duchowieństwa i cerkwi prawosławnej, zabroniono nadawać urzędy w Rosyi Polakom, zezwolono natomiast na zbudowanie kościoła katolickiego w Moskwie „dla ludzi polskich i litewskich“, prosząc jednak Władysława, aby się dał „ochrzcić na prawosławną wiarę chrześcijańską greckiego zakonu“. Pomiędzy Rzeczpospolitą a carstwem moskiewskim miał odtąd trwać wieczysty pokój i stałe przymierze, oba państwa miały wspólnych nieprzyjaciół i sojuszników, wszelkie przeszkody handlowe usuwano na zawsze. Doniosłość traktatu była niezmierna, korzyści dla stron obu wielkie, zjednoczenie Rosyi z Polską stawało się kwestyą czasu, dla cywilizacyi zachodniej otwierały się olbrzymie przestrzenie aż po stoki Uralu, we wschodniej Europie powstawało państwo, którego potęga mogła współzawodniczyć z półksiężycem, sięgnąć po Konstantynopol i stamtąd rozkazywać całej części świata. Odgadł tę przyszłość bystrym wzrokiem swoim Żółkiewski, nie pojął jej niestety Zygmunt III. Dla niego istniały tylko trudności i przeszkody chwilowe; przedewszystkiem pragnął zdobyć Smoleńsk, którego Moskale oddać nie chcieli, wzdragał się na owo faworyzowanie prawosławia, o zmianie religii syna słyszeć oczywiście nie chciał, a w rzeczywistości sam do korony dążył. Żółkiewski na poufnej audyencyi przedstawiał obszernie królowi korzyści, jakie z wyboru Władysława dla Rzeczypospolitej i dla dynastyi wyniknąć musiały, ale Zygmunt nie dał się przekonać, a w tym uporze utwierdzali go Potoccy z zawiści ku hetmanowi. Przeraziło to Moskali, którzy w poselstwie od bojarów przyjechali, a że było pomiędzy nimi wielu nieprzechylnych kandydaturze królewicza, jak Galiczyn i Filaret, metropolita rostowski, co syna swego Mikityna Romanowa na carstwo zalecał, więc starali się oni układom przeszkodzić, bojarów w Moskwie będących przeciw Polakom podburzyć i Szeina do dalszej obrony Smoleńska zachęcić. Tymczasem Gosiewski, objąwszy dowództwo nad pułkami w Moskwie pozostałemi, nie zdołał na długi czas utrzymać żołnierza w należytej karności, zdarzały się gwałty i nadużycia, rozjątrzenie obopólne rosło i w palmową niedzielę roku 1611. przyszło do rozruchu, który się skończył spaleniem Moskwy i oblężeniem Polaków. Nie żył wtedy już Dymitr, zastrzelony przez Urusowa, miejsce jego u boku Maryny zajął Zarucki, ataman Kozaków dońskich i on to teraz wraz z Lepunowem i Proszowickim zamierzał zgnieść Polaków i na tronie carskim nowego jakiegoś osadzić figuranta. Ruch ten podniecało duchowieństwo, mianowicie patryarcha

moskiewski Hermogen, którego Żółkiewski dla planów swoich pozyskał, a który teraz pod wrażeniem owych wieści z pod Smoleńska i z obawy przed Zygmuntem III. wzywał otwarcie do walki z Polakami, szląc równocześnie błogosławieństwo obrońcom twierdzy smoleńskiej. W takich warunkach nie można było myśleć o kończeniu układów, król postanowił bądźcobądź zdobyć Smoleńsk, uwięziono więc posłów moskiewskich, którzy się znosili tajemnie z Szeinem, odgrywając rolę szpiegów w obozie polskim, i wzięto się pilnie do oblęgania twierdzy. Szturm, przypuszczony dnia 11. czerwca 1611. roku, powiódł się zupełnie. Nowodworski petardą wysadził wielki szmat muru, Jakób Potocki, starosta kamieniecki, wtargnął tym wyłomem do zamku, Moskale zaatakowani z wszystkich stron stracili serce i pierzchać poczęli. Żołnierz polski, rozjątrzony długim oporem, rzucił się do rabunku i mordów, nagle, niewiadomo czyją wzniecony ręką, powstał pożar, ogień doszedł do prochów i nastąpił straszliwy wybuch, połowa cerkwi katedralnej, gdzie mnóstwo ludzi szukało schronienia, wyleciała w powietrze, wszystek zamek prawie wygorzał. Mimoto zdobycz była wielka; ogromne zapasy żywności, dział liczba niemała i kul dostatek wpadł w ręce zwycięzców. Szein, po rozpaczliwej obronie, poddał się Potockiemu. Tak powrócił Smoleńsk, za czasów Zygmunta I. zdobyty przez Moskali, do Korony, ustąpiła jedyna przeszkoda, jaka wstrzymywała króla od dalszej na Moskwę wyprawy. Jakoż przypuszczać można, że gdyby był Zygmunt III. natychmiast ruszył ku stolicy, wojna inny zupełnie wzięłaby była obrót. Ale król, zanadto rozważny i powolny, zmarnował i tę chwilę. Brak pieniędzy i obawa przed nowym rokoszem, który wzniecić usiłowali w kraju Jan Szczęsny Herburt na współkę z Dyabłem Stadnickim, forytując na tron polski Gabryela Batorego, skłoniły Zygmunta III. do powrotu do Warszawy, gdzie miał się zebrać sejm dnia 27. września. Niestety spotkał on się tu podobnie jak Batory z obojętnością narodu. Z dumą i z zadowoleniem patrzyła szlachta na niezwykłe w dziejach widowisko, kiedy hetman Żółkiewski wprowadzał cara i rodzinę jego do senatu, gdy w wspaniałej mowie polecał łaskawości królewskiej dostojnych jeńców, ale wymowa marszałka izby poselskiej i kanclerza, nawołująca do ofiarności, aby „dachem nakryć tak wysoką fabrykę“, nie odniosła żadnego skutku, sejm uchwalił jeden pobór tylko i przeznaczył go wyraźnie na zatrzymanie odzyskanych prowincyj. O prowadzeniu dalszej wojny, o akcyi zaczepnej, która jedynie wschodnie granice Rzeczypospolitej ubezpieczyć mogła, nie chciało słyszeć skąpstwo szlacheckie. Owszem, z błędu wpadając w błąd, oddano lenno pruskie elektorowi brandenburskiemu, Janowi Zygmuntowi, rozszerzono prawo następstwa na jego trzech braci i zamknięto tym sposobem Rzeczypospolitej drogę do zjednoczenia Prus z Koroną, marnując z karygodną lekkomyślnością owoce toruńskiego pokoju. Krótkowidząca ta polityka zemściła się srodze na narodzie, sejm, który nie chciał w roku 1611. uchwalić podatków na wojnę moskiewską, musiał w dwa lata potem zapłacić konfederatom wojskowym kilkanaście milionów, aby uwolnić dobra królewskie i szlacheckie od zdzierstw niesłychanych i kontrybucyj.

Drugie tyle niewątpliwie ważyły korzyści, jakie można było uzyskać w Moskwie, przez poparcie zamiarów królewskich, przez odzyskanie utraco-

nych prowincyj, przez podniesienie powagi państwa na kresach, gdzie propaganda schyzmatycka przygotowywała już straszną katastrofę wojen kozackich. Nie widzieli tego niestety domorośli politycy szlacheccy, nie chcieli widzieć możnowładcy, kłócący się zawzięcie pomiędzy sobą. Król po zdobyciu Smoleńska wysłał na pomoc oblężonym w Moskwie Polakom Chodkiewicza. Pozwalał na to stan rzeczy w Inflantach, gdzie wskutek śmierci Karola sudermańskiego (30. października 1611. roku) i wojny, jaką Szwedzi z Duńczykami rozpoczęli, przyszło do zawieszenia broni i nowych traktatów pokojowych. Ale Chodkiewicz, niedostateczne mając siły (2000 ludzi), nic zdziałać nie zdołał. Wszelkie jego usiłowania rozbiły się o niekarność żołnierza i o niechęć Strusia, który objąwszy po Gosiewskim naczelne dowództwo w Moskwie, jako bliski krewny Potockich, hetmanowi nie sprzyjał.

Niepłatni żołnierze także, nie mogąc się doczekać obiecanych pieniędzy, zawiązali konfederacyą pod Józefem Cieklińkim i perswazyj Chodkiewicza słuchać nie chcieli. Tymczasem ruch narodowy moskiewski, wzniecony przez rzeźnika nowogrodzkiego Kuźmę Minina i kniazia Pożarskiego, ogarnął całe prawie społeczeństwo. Sfanatyzowane tłumy obległy zamki moskiewskie, trzymane przez Polaków, niedopuszczając dowozu żywności. Chodkiewicz zamierzał przeciągnąć z początku na swoją stronę Zaruckiego, kiedy jednakże układy te zdradzono, uciekł Zarucki do Kołomny, gdzie przebywała Maryna i tu schwytany skończył życie na palu; ambitna wojewodzianka sandomierska zginęła wraz z synem swoim w więzieniu.

W miarę, jak dogorywała sprawa Samozwańca, wzmagał się ruch narodowy i rosły siły Pożarskiego, tak, że Chodkiewicz po kilku niepomyślnych utarczkach postanowił czekać zapowiedzianego przybycia armii królewskiej. W jesieni roku 1612. wyruszył wreszcie Zygmunt III. do Moskwy, ale z tak słabemi siłami, że dociągnąwszy do Wiazmy, nie mógł myśleć o żadnem ważniejszem przedsięwzięciu. Musiała więc poddać się załoga polska w Moskwie, głodem do ostateczności znękana, a uradowani Moskale obwołali carem Michała Fedorowicza Romanowa w roku 1613. Widoki pozyskania carstwa skończyły się niefortunnym z pod Wiazmy odwrotem i dopiero w cztery lat później nowa wyprawa, którą podjął królewicz Władysław wraz z Chodkiewiczem na zdobycie Moskwy, zmusiła Moskali do 14-letniego zawieszenia broni w Dywilinie (w roku 1617). Polska odzyskała Smoleńsk, Drohobuż, Nowogród siewierski, Starodub, Czernichów i Sierpiejsk, Moskwie zwrócono: Możajsk, Wiazmę, Toropiec, Wieliż i Kozielsk.

Sprawy wołoskie. — Stosunki z Turcyą i Tatarami. — Śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą w roku 1620. — Wojna chocimska w roku 1621. Podczas tych krwawych zapasów na wschodzie panował spokój u południowych granic Rzeczypospolitej. Dwukrotna wyprawa Zamoyskiego na Wołoszczyznę i zwycięstwo, odniesione nad Michałem, podniosły powagę Polski u Turków i Tatarów, a zamieszki węgierskie nie pozwoliły Porcie myśleć o odzyskaniu wpływów dawniejszych nad dolnym Dunajem. Z drugiej strony niebezpieczne sąsiedztwo Kozaków i czujność hetmanów odstraszyły hordy krymskie od niszczących napadów, stepy ukraińskie zaludniały się tak, że

„na pięćdziesiąt mil pustyń, gdzie przedtem Tatarowie koczowiska swe miewali“, zabudowało się wielkiemi i gęstemi nasiadłościami,[1]) a że równocześnie wyprawy moskiewskie pociągnęły za sobą mnóstwo niespokojnych żywiołów, więc ustały i owe graniczne spory, mącące zwyczajnie sąsiedzkie stosunki z mściwem i drapieżnem pogaństwem. Kiedy jednak wojna moskiewska miała się ku końcowi, zaroiły się ponownie prowincye ruskie od kup swawolnych, żyjących z grabieży i rozboju. Żołnierz, rozbestwiony w Moskwie i niekarny, zawiązawszy konfederacyą, objadał dobra królewskie i duchowne, a awanturnicy wszelkiego rodzaju grasowali po kraju, wybierając domy szlacheckie i popełniając „zbytki rozmaite i niewyliczone“. Gromadził się w ten sposób materyał palny, z którego drobna nawet iskierka wielki mogła pożar wzniecić. A sposobności do tego nie brakło, Batory bowiem, ufny w swoje stosunki z Stadnickim Dyabłem i Herburtem, nie porzucił zamysłów swoich względem korony polskiej, owszem, zebrawszy wojsko niemałe, gotował napad jakiś od strony Karpat.

Równocześnie i Turcy także, chcąc odzyskać utracone nad Wołoszczyzną zwierzchnictwo, wypędzili syna Jeremiasza Mohiły, Konstantyna i osadzili na jego miejsce Stefana, który się synem Tomży mianował. Król, zaniepokojony tym obrotem rzeczy, polecił Stefanowi Potockiemu, staroście felińskiemu, aby do Wołoch wkroczył i Mohiłę na hospodarstwo przywrócił. Potocki, ożeniony z siostrą wypędzonego hospodara, podjął się chętnie wyprawy, ale działając zbyt pospiesznie i nieprzygotowany należycie, poniósł klęskę od Tatarów pod Sasowym Rogiem i dostał się do niewoli. Zawisłe skutkiem tego nad krajami ruskiemi niebezpieczeństwo odwrócił szczęśliwie Żółkiewski, stanąwszy bowiem z wojskiem nad Dniestrem, powstrzymał napad Tatarów i zawarł z Tomżą układ, w którym hospodar uznał zwierzchnictwo Rzeczypospolitej tak, jak to poprzednicy jego czynili i zobowiązał się Stefana Potockiego i jeńców z nim razem wziętych bez okupu na wolność wypuścić.[2]) Więcej nie mógł hetman uzyskać, mając na karku konfederatów wojskowych, Batorego, porozumiewającego się z Tomżą i kupy swawolne, na które musiał osobne urządzać wyprawy. Dopiero, gdy usiłowaniom Żółkiewskiego i komisarzy sejmowych powiodło się konfederacyą znieść (w r. 1614.), gdy Batory umarł, a hultajów, grasujących po województwie ruskiem rozgromiono i przykładnie ukarano, uspokoiły się cokolwiek umysły, ale zarazem powstały nowe i groźniejsze o wiele od strony tureckiej niebezpieczeństwa. Wywołali je Kozacy swojemi napadami na państwo padyszacha. Po pogromie Nalewajki uciszyły się cokolwiek ostrowy dnieprowe i dopiero r. 1606. rozbudził tam nowe życie. Ośmieleni ruchem rokoszowym, który Rzeczpospolitą ubezwładnił i wojsko kwarciane odwołał z Ukrainy, zaczynają Kozacy puszczać się na morze Czarne, najeżdżają Warnę, zabierają tam 10 galer tureckich, naładowanych towarami i zachęceni tem powodzeniem, podejmują coraz to częstsze i dalej sięgające wyprawy. Rzeczpospolita, potrzebująca pomocy Zaporożców na wojnę moskiewską, spogląda pobłażliwem okiem na to oczywiste wyzywanie Porty ottomańskiej, ale

[1]) Żółkiewski. „Pisma etc.“, str. 415.
[2]) Żółkiewski. „Pisma etc.“, str. 417.

że równocześnie główne siły kozackie gromadzą się pod Smoleńskiem lub w obozach Dymitrowców, więc i w owych wyprawach morskich nastaje pewna przerwa. Koniec wojny moskiewskiej i śmierć Samozwańca sprowadza jednak na Niż zastępy rozbestwione, przywykłe do rabunku i wojny, a teraz żadnego niemające zajęcia. Utrzymać je w karbach porządku i posłuszeństwa dla władzy, lub skłonić do spokojnej pracy na roli, jest rzeczą niepodobną i odtąd też wzrasta zuchwalstwo Kozaków na utrapienie i szkodę wielką Rzeczypospolitej.

W r. 1613. podejmują Zaporożcy dwie wyprawy morskie, w roku następnym docierają aż do brzegów Anatolii, niszczą i rabują Synopę, wyrządzając Turkom szkodę na 40 milionów złotych polskich i wprawiają w gniew niesłychany sułtana, tak, że „stłukł wezyra buławą“ i niebawnie potem „zadawić“ go kazał.

W Polsce nie miano dokładnego wyobrażenia o tych stosunkach, ani też nie zdawano sobie należycie sprawy z niebezpieczeństw, jakie Rzeczpospolitej z powodu owych inkursyj kozackich groziły. Jeden Żółkiewski, stojący na straży kresów ukraińskich i dobrze znający wielkość potęgi tureckiej, a słabość sił swoich i niedbalstwo szlachty, upominał i ostrzegał bezustannie tak króla jak i ruskie województwa o zamysłach Porty i o najazdach Tatarów, którzy co chwila, mszcząc się za napady kozackie, w granice Rzeczypospolitej zapuszczali swoje czambuły. A jeżeli mimoto ziemie ruskie w tych czasach niebezpiecznych względnym cieszyły się spokojem, to zawdzięczały to jedynie czujności hetmana i jego poświęceniu. Siedmdziesięcioletni starzec, spracowany na usługach Rzeczypospolitej, biegł z młodzieńczym zapałem na czele garstki kwarcianych żołnierzy tam, gdzie największe zagrażało niebezpieczeństwo, strzegł nieprzyjaciela pozorami wojennych przygotowań, gdy na wystawienie silnej armii pieniędzy w skarbie nigdy nie było, opłacał z własnej szkatuły szpiegów, którzy mu o każdym ruchu nieprzyjaciela dokładnych dostarczali wiadomości i tą niezmordowaną czynnością ochraniał Rzeczpospolitę przez cały szereg lat od strasznej katastrofy. Ale właśnie to postępowanie, z najczystszych pochodzące pobudek, wolne od wszelkiej prywaty i nacechowane gorącą miłością ojczyzny, ściągnęło na Żółkiewskiego nienawiść tych, co dobro Rzeczypospolitej zwykli byli poświęcać dla osobistych względów i widoków. Dworaków więc, ubiegających się o łaskę królewską, raził ten hetman w sądach swoich surowy i prawdomowny, ambitni dorobkowicze zazdrościli mu sławy wojennej i zasług znamienitych, a nieokiełzana swawola panów ukraińskich wyrzekała głośno na kunktatorstwo wodza, który znając stan państwa, unikał zatargów z Turcyą i karcił surowo junackie wybryki kresowych zawadyaków. Powaga wielka, jakiej hetman zażywał i niezachwiane zaufanie, jakiem król go obdarzał, tłumiły wprawdzie te głosy osobistej niechęci, ale nie mogły przeszkodzić pokątnym intrygom i niewczesnym porywom ambitnych awanturników. W roku 1616., kiedy w Konstantynopolu z powodu owych najazdów kozackich największe panowało rozdrażnienie, panowie ukraińscy, niepomni świeżej klęski Stefana Potockiego i konstytucyi sejmowej z roku 1601., która wszelkich wypraw na własną rękę zabraniała, wzniecili nowy pożar wojenny.

Samuel Korecki, słynny w dziejach współczesnych z nieustraszonej odwagi i tragicznego zgonu, jaki go spotkał później w Konstantynopolu, ożeniony z Katarzyną Mohylanką, umyślił wprowadzić na hospodarstwo mołdawskie szwagra swego Piotra. Zebrawszy zatem gromadę zaciężnych, od których wtedy w Polsce się roiło, wsparty posiłkami Wiśniowieckich i Potockich, najechał na Wołoszczyznę i odniósł narazie zupełne zwycięstwo. Radość była z tego powodu wielka, król, królewicz Władysław i królowa z niepokojem oczekiwali wiadomości o dalszych losach wyprawy, której jak najlepszego życzyli powodzenia, kanclerz wielki koronny Kryski pisał do Koreckiego listy[1]) zachęcające, a pocichu narzekano na Żółkiewskiego, który zapał wojenny chłodzi przesadnemi wieściami o potędze tureckiej. Dwór, wbrew wyraźnej woli sejmu, popierał z dziwną lekkomyślnością awanturniczą politykę kresowych oligarchów, a jakby i to jeszcze nie wystarczało na podrażnienie Porty ottomańskiej, pozwalał na zaciągi, z któremi magnat węgierski Humanaj[2]) prowadził do Siedmiogrodu syna swego przeciw Bethlen Gaborowi, lennikowi i sprzymierzeńcowi sułtana.

Słusznie przewidywał Żółkiewski, że Turcya nie zniesie takiej zniewagi i nie zgodzi się nigdy na utratę wpływów swoich u dolnego Dunaju. Jakoż przepowiednie jego ziściły się w całości. Koreckiego pobito i wyparto z Mołdawy, a Skinder basza, zawzięty nieprzyjaciel Polaków, ruszył nad Dniestr, aby się pomścić na Rzeczypospolitej za najazdy kozackie i dorywcze wyprawy ukraińskich panów. Pora była dobrze obrana, bo główne siły polskie, zajęte wojną moskiewską, nie mogły pospieszyć na obronę granic południowych i cały ciężar wojny spadł znowu na Żółkiewskiego. Hetman, jak zwykle, nie zawiódł położonego w nim zaufania, stanął z nielicznem wojskiem pod Buszą, i grożąc przemożnemu nieprzyjacielowi, skłonił roztropnem postępowaniem swojem Skinder baszę do układów. Zawarto traktat, obowiązujący Rzeczpospolitę do powściągnięcia Kozaków i awanturniczych wypraw na Wołoszczyznę, ale Tatarzy, wyrwawszy się z obozu, spustoszyli znaczną część kraju aż po Żydaczów. To wystarczało, aby na głowę sędziwego hetmana nową ściągnąć burzę. Zarzucono mu, że Koreckiego nie ratował, że bitwy z Skinder baszą nie stoczył, zwycięscę z pod Kłuszyna i Rewla posądzano o brak odwagi, o kunktatorstwo niegodne tego, co tyle krwi własnej dla ojczyzny przelał i śmiercią bohaterską swój żywot wojskowy miał przypieczętować. Słusznie obruszył się na to Żółkiewski i na sejmie roku 1618. odparł te potwarze w obszernej mowie, nie wolnej jednak od goryczy i bardzo zrozumiałego rozdrażnienia. Można się było spodziewać, że słowa hetmana otrzeźwią opinię publiczną, że sejm zdobędzie się nareszcie na jakiś krok stanowczy, że uchwali przynajmniej środki na obronę południowych granic Rzeczypospolitej. Stało się jednak inaczej; zagonowa polityka szlachecka nie zrozumiała i tym razem grozy położenia. Uchwalono zaledwie drobny podatek na wojnę moskiewską, aby tem snadniej zmusić króla do zawarcia pokoju, obronę Ukrainy pozostawiono na łasce Opatrzności.

[1]) Syrokomla Władysław: Przyczynki do historyi domowej w Polsce. Wilno 1858.
[2]) Bielowski: Pisma Żółkiewskiego, 368.

Król tylko, oceniając zasługi spotwarzonego hetmana, powierzył mu pieczęć kanclerską, podobnie jak niegdyś Batory Zamoyskiemu. Tymczasem wypadki rozwijały się szybko, tak, jak Żółkiewski przewidywał. Stosownie do układów z Skinder baszą, udał on się był na poskromienie Kozaków. Pod Olszanką Starą, nad Rosią, spisano transakcyą. Na czele Zaporożców stał wtedy Piotr Konaszewicz, Sahajdacznym zwany, syn zagrodowego szlachcica z pod Sambora, zawołany rycerz i stanowczo Polsce przychylny. Położenie mimoto było trudne, bo czerń kozacka, nadęta powodzeniem, zaufana w swoje siły, widząc słabość Rzeczypospolitej, stawiała warunki wygórowane. Po długich targach ułożono się wreszcie tak, że Kozacy mają zaniechać wypraw na Czarne morze, służyć tak jak dotąd Rzeczypospolitej, a za to otrzymywać będą co roku 1000 dukatów na żołd i 700 postawów sukna; atamana kozackiego wyznacza król i hetman wielki koronny.

Ugoda olszaniecka była półśrodkiem, nieprowadzącym do celu. Sahajdaczny bowiem, przy najlepszych swoich chęciach, nie mógł ze szczupłego żołdu utrzymać swoich Zaporożców, ani też nie miał sił na tyle, aby „skozaczonych“ chłopów i rzemieślników, których liczba w ostatnim czasie wzrosła nadzwyczajnie, zmusić do opuszczenia Zaporoża. Zakosztowawszy raz swobody, przywyknąwszy do wojny i lekkiego zarobku, nie myśleli oni wcale wracać do roli i warsztatu, lub poddawać się pod władzę podstarościch i wójtów, gdy na Niżu uśmiechało im się życie bez troski, urozmaicone nadzieją sławy i łupów. Słusznie zwracał na tę okoliczność uwagę komisarzy Konaszewicz i zastrzegł sobie możność odwołania się do łaski królewskiej i sejmu, a jakby na poparcie tej apelacyi ruszył na czele 20.000. mołojców na wyprawę moskiewską i tu pod okiem królewicza Władysława dał dowody niepospolitego męstwa i niczem niezachwianej wierności. Rozwiązanie kwestyi kozackiej razem z kwestyą wschodnią spoczywało teraz w rękach Rzeczypospolitej, wątpić bowiem nie można, że wystawienie stałej armii na Ukrainie i wojskowa organizacya Zaporoża położyłyby były koniec i najazdom tatarskim i zaborczym planom tureckim. Zadanie proste i łatwe rozbiło się jednak, jak zwyczajnie, o skąpstwo szlachty i egoizm możnowładztwa ukraińskiego, które niechętnem okiem spoglądało na ową republikę kozacką, odciągającą tysiące rąk od pracy na roli, a podlegającą tylko królowi i wojskowej władzy hetmanów. Zrazu atoli przeważały, jak się zdaje, inne cokolwiek zapatrywania. Bo jakkolwiek Kozacy, wbrew olszanieckiej ugodzie, nie zaniechali wycieczek swoich za morze i Turków drażnić nie przestali, co ściągnęło na Polskę dwukrotny napad Tatarów w roku 1618., to król uznał za stosowne wysłać na Ukrainę nową komisyą na traktaty z Zaporożcami. W ten sposób przyszła do skutku umowa rastawicka, o wiele dla Kozaków korzystniejsza. Podwyższono im mianowicie żołd do 40.000 złotych, płatny co roku na św. Ilję (Eljasza, 31. lipca) w Kijowie i pozwolono, aby ci mołojcy, którzy w regestrze się nie pomieszczą, w poddaństwo nie wracali, lecz osiedlali się na innych miejscach, czyniąc zadość obowiązkowi służby wojskowej, „jako się godzi ludziom rycerskim“. W zamian za to mieli Kozacy „czółny morskie popsować“, na wyprawy morskie nie chodzić, swawolne kupy od takich „chadzek“ wstrzymywać i władzy ustanowionego przez króla atamana podlegać.

Łagodność ta płynęła z ważnych politycznych pobudek. W roku 1618. zaniosło się na krwawą wojnę domową w krajach rakuskich. Protestanci czescy, pod wodzą Thurna, wyrzucili namiestników cesarskich z okien zamku pragskiego, a w roku następnym, gdy cesarz Maciej umarł, odsądzili Ferdynanda II. od tronu i obrali królem czeskim Fryderyka, palatyna reńskiego. Świat protestancki zrywał się w ten sposób do śmiertelnych zapasów z reakcyą katolicką, wyzywał do walki całą potęgę habsburską, a czując niebezpieczeństwo hazardownego tego przedsięwzięcia, gotował olbrzymią koalicyę innowierców wszelkiego rodzaju, wciągał w rozległe kombinacye swoje i Anglią i Danią i Szwecyą i malkontentów węgierskich i samą Portę ottomańską wreszcie, zawziętą srodze na Habsburgów. Tak z małoznaczącej na pozór burdy na hradczyńskim zamku powstawał wielki pożar trzydziestoletniej wojny. Polska, bezpośrednia sąsiadka monarchii rakuskiej, nie mogła i nie powinna była w tej konflagracyi europejskiej odegrać roli bezczynnej. Nie pozwalało na to ani wielko-mocarstwowe stanowisko Rzeczypospolitej, ani wzgląd na własne jej bezpieczeństwo. Upadek Habsburgów bowiem i wynikający stąd wzrost potęgi tureckiej zagrażał najżywotniejszym interesom państwa polskiego, narażał na oczywistą zgubę jego egzystencyą. Z trzech stron ogarnięta posiadłościami padyszacha, od północy zagrożona od Szwedów, od wschodu przez Moskali, musiałaby ona była prędzej lub później podzielić los sąsiednich Węgier, stać się tem, czem było już wtedy państwo Arpadów, lenniczką Porty i przednią strażą islamizmu. Jeżeli na myśl o tej hańbie wzdragała się słusznie duma narodowa, to Zygmuntem III. kierowały także względy dynastyczne i religijne. Ożeniony z arcyksiężniczką habsburską, szczerze oddany kościołowi, nie mógł on patrzeć obojętnie na tryumf protestantyzmu, sprzymierzonego z półksiężycem i na obalenie dynastyi, z którą go tak ścisłe łączyło pokrewieństwo. Przygotować się więc na wszelkie wypadki i siły swoje pomnożyć, to było najpierwszą troską króla i jego obowiązkiem. Znając oszczędność sejmów, zwrócił się do Kozaków, zjednał ich rastawicką ugodą i zobowiązał do posłuszeństwa dla siebie i hetmana. Transakcya, zawarta w interesie Rzeczypospolitej, mogła mieć i miała rzeczywiście niezmiernie doniosłe dla władzy monarchicznej znaczenie. Publicznie mówiono wtedy, że król Kozaków użyje na poskromienie opozycyi sejmowej. „Rozerwiecie sejm — czytamy w współczesnym rękopisie — to my wam znowu Zaporoskimi, że i psa żywić nie będą“.[1]) Nie sądzimy, ażeby Zygmunt III. ze swojem flegmatycznem usposobieniem i sięgający lat 60 zdolnym był do takiego zamachu stanu, ale że o tem w kołach dworskich myślano, to zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwości. Stronnictwo rakuskie podniosło znowu śmielej głowę, ścisły sojusz z cesarstwem i czynny udział w wojnie czeskiej były jego programem. Popierało te zamiary duchowieństwo, popierali Jezuici, mający wpływ wielki u dworu, Żółkiewski mniemał, że „nam założywszy ręce na to patrzyć i nie uczciwa i nie pocieszna.[2]) Jakoż rzeczywiście pożar wojny ogarniał zewsząd kraje koronne i budził po-

[1]) Rękopis biblioteki jagiellońskiej nr. 166 (bez paginacyi). Paragraph de data Februarii (1620).

[2]) „Pisma“, str. 352.

ważne obawy. Betlen Gabor gospodarował na Spiżu jak we własnych swoich posiadłościach, powstańcy szląscy łupili okolice Krakowa, przejmowali posłów królewskich, otwierali listy, a Skinder basza mówił głośno o zdobyciu Wiednia. Z drugiej strony dwór wiedeński, srodze przez powstańców uciśniony, szukał w Polsce pomocy i ratunku, ukazując w perspektywie możność odzyskania Szląska. Arcyksiąże Karol, arcybiskup wrocławski, oddawał wprost dyecezyą swoją w opiekę królowi i Rzeczypospolitej. Nastręczała się w ten sposób znowu wyborna sposobność do uregulowania granic zachodnich, do „rekuperowania“ starożytnej dzielnicy piastowskiej, zawisło to wszystko tak jak przed kilku laty od woli sejmu, od energii i ofiarności społeczeństwa.

Król, wierny tradycyonalnej swojej polityce, obrał drogę najniewłaściwszą. Zamiast postawić kwestyą jasno, zwołać sejm i skłonić go do uchwalenia poborów na wojsko, on uczynił wszystko, aby Rzeczpospolitą wciągnąć do wojny i wydać ją nieprzygotowaną na łup Turkom i Tatarom. Ulegając więc prośbom Ferdynanda II., zezwolił najpierw na zaciąg Lisowczyków, do czego właściwie podług osnowy traktatu z roku 1613., wobec niebezpieczeństwa wojny tureckiej, nie był wcale obowiązanym.[1]) Prawda, że w ten sposób pozbywała się Polska tych drapieżnych Elearów, którzy, z Moskwy wróciwszy, na podgórzu karpackiem niesłychane popełniali gwałty, ale ściągała zarazem na siebie zemstę Betlen Gabora i jego zwierzchnika, sułtana. Wojewoda siedmiogrodzki oblegał właśnie Wiedeń, kiedy mu doniesiono, że Lisowczycy „gęstodymnym“ pochodem nawiedziwszy północne Węgry, znieśli pod Homoną Rakoczego i posuwają się ku Preszburgowi. Przestraszony tą niespodziewaną dywersyą porzucił on oblężenie Wiednia i pospieszył na obronę własnego swego państwa, ale zarazem poruszył wszelkie sprężyny w Konstantynopolu, aby Turków do wojny z Polską nakłonić. Trudności nie miał wcale, bo nad Bosforem czternastoletni Osman, syn i następca zmarłego niedawno sułtana Achmeta, kipiał zemstą przeciw Polsce i Kozakom, a zawarłszy z Persami pokój przy końcu roku 1618., gotów był wszystkie siły ogromnego swego państwa obrócić na upokorzenie Polaków i wytępienie Zaporożców.

Z początku wstrzymywał go wprawdzie od tego przedsięwzięcia wielki wezyr, Mehemet basza, ale gdy miejsce jego zajął Ali basza, ustały wszelkie wątpliwości i tak Otwinowski, wysłany do Konstantynopola w celu zażegnania zbierającej się burzy, jak i poseł cesarski Ludwik Molard, donosili zgodnie, że wojna jest nieunikniona, że sułtan, dając wiarę we wszystkiem Betlen Gaborowi, o układach słyszeć nie chce i że z zwykłą sobie porywczością oświadczył, że każdemu głowę utnie, kto go od wojny z Polską odwodzić się poważy.[2])

Gdy tak na zgubę Rzeczypospolitej formalna tworzyła się konspiracya, gdy Betlen Gabor w przysiędze złożonej sułtanowi, tytułując się panem Austryi, Styryi, Karyntyi i Tyrolu, przyrzekał uroczyście całą potęgą uderzyć na Polskę,[3])

---

[1]) Dogiel. Codex diplom. etc., I, pag. 294.

[2]) List Otwinowskiego w rękopisie biblioteki jagiellońskiej, nr. 166.

[3]) Tamże.

podniosła się w kraju gwałtowna przeciw polityce królewskiej opozycya. Nadaremnie Zygmunt III. w instrukcyach, rozesłanych na sejmiki, wykazywał niebezpieczeństwa, grożące Koronie od Węgier i Szląska, napróżno zwracał uwagę na potrzebę opatrzenia granic południowych,[1]) przeciw napadom tureckim i tatarskim, malkontenci uderzyli na sejmie, tak jak poprzednio, na Żółkiewskiego, obwiniając go, że Tatarów przepuścił, że pod Oryninem bitwy im nie wydał, że ludzi wcześnie o nadejściu nieprzyjaciela nie ostrzegł. Nie było w tem ani słowa prawdy; przez usta krzykaczy przemawiała zawiść osobista, obrażona prywata i niechęć do króla, którego zamiary polityczne hetman pochwalał i popierał. Obwiniony niesłusznie, bronił się z godnością i spokojem, właściwym wyższym umysłom, ale przy końcu mowy swojej powstrzymać się już nie mógł. „Czas mi zaprawdę — rzekł, zwracając się do tronu — aby przed śmiercią w takiej mej zeszłości wytchnienia, wczasu jakiego i pokoju zażyć, niestety dla odpoczynku po wielkich niewczasach, ale też i od języków ludzkich. Już to 44 lat służby wojskowej odbyłem, na harcach, utarczkach i szturmach krew swoją rozlewając, a przeciem ja zły, podług powieści mojej, dźwigając na ramionach moich bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, a drudzy lepsi, którzy ją o niebezpieczeństwo przywodzą“.[2]) Król przez arcybiskupa gnieźnieńskiego, Gębickiego, uspokoił rozżalonego starca, ale nie stłumił opozycyi. W województwie krakowskiem, klasycznem gnieździe rokoszańskich ruchów, zawrzało jak w kotle; zaczęły się zjazdy i narady, odezwały się sympatye czeskie i dawne ku Habsburgom niechęci, szlachta, co „wolała kupczyć i maślankę do Krakowa wozić, niż się bić“, potrząsała znowu sztandarem rokoszowym, słała poselstwa do króla, porozumiewała się z Węgrami i Czechami, służąc bezwiednie dumie ambitnego magnata. Reżyserem tej smutnej sceneryi był bowiem Jerzy ks. Zbaraski, syn Janusza, wojewody bracławskiego, typ oligarchy, poświęcającego dla prywaty i fantazyi pańskiej wszystko, nawet interes ojczyzny. Bogaty, z usposobienia burzliwy, rwący się do odegrania politycznej roli, przyłączył on się był w swoim czasie do rokoszu Zebrzydowskiego, ale, otrzymawszy od króla starostwo sokalskie, stał się gorliwym jego zwolennikiem. W chwili obecnej liczył już lat 45, a senatorskiej jeszcze nie piastował godności. Umysł jego wyniosły nie mógł znieść tego upokorzenia, więc rzucił się pomiędzy szlachtę, aby jako trybun jej i obrońca zagrożonej wolności zawinąć do portu, gdzie go czekać miała... kasztelania krakowska. A że u szlachty najpopularniejszą wtedy rzeczą było od wojny odradzać i poborów przez to unikać, zasadził przeto na tem Zbaraski swój program polityczny i wydał pismo ulotne,[3]) w którem, przytoczywszy 70 argumentów przeciw mięszaniu się Rzeczpospolitej do wojny 30-letniej, poszedł w wywodach swoich tak daleko, że odmawiał Polsce wszelkiego prawa do Szląska, gdyż ta prowincya przez Kazimierza Wielkiego Czechom odstąpiona została.

---

[1]) Rękopis biblioteki Ossolińskich nr. 2284, pag. 271.

[2]) „Pisma“, str. 347.

[3]) Septuaginta graves et ardue rationes etc. Posonii 1619 *a*.

Na poparcie tego twierdzenia przytoczył autor współczesne dokumenta, uderzył przytem na Jezuitów, z lekceważeniem wyrażał się o królu, podejrzeniami szarpał Żółkiewskiego, wynosił pod niebiosa tolerancyą protestantów czeskich i węgierskich względem katolików, narzekał na tyranią Habsburgów i tem wszystkiem zdobył sobie oczywiście aplauz w szerokich kołach szlacheckich, a umysły usposobił jak najgorzej przeciw królowi i jego polityce. Król jednak, niezachwiany w swoich zamiarach, snuł dalej plany wojenne. Na hospodarstwie wołoskiem zasiadał wtedy Gracyan, Styryjczyk rodem, przychylny Polsce i z tego powodu wielce Turkom podejrzany. Widząc, na co się w Konstantynopolu zanosi, próbował on z początku pośredniczyć, wreszcie z obawy o własne bezpieczeństwo, rzucił się w ramiona Polaków, oświadczając, że połączy się z nimi, skoro tylko wkroczą na Wołoszczyznę. Projekt ten podobał się bardzo tym wszystkim, co o odzyskaniu hospodarstwa marzyli, co na Turkach klęsk świeżych powetować pragnęli, przypadł nań i król. Interes familijny, prywatny, schodził się z politycznemi planami Zygmunta III.; sądzono, że w ten sposób wciągnie się Rzeczpospolitę do wojny, że zająwszy Wołoszczyznę, uzyska się od sejmu środki na utrzymanie „rekuperowanej“ prowincyi. O Turków, o wojsko potrzebne na wyprawę, nikt nie pytał, bo Gracyan obiecywał znaczne posiłki. Zdawało się więc, że garść kwarcianych żołnierzy wystarczy. Żółkiewski udziału w wyprawie nie odmówił. Szarpany przez złe języki, rozgoryczony, gotów był on iść na śmierć niechybną. „Już teraz do tego przychodzi — pisał do króla — że albo Panie Boże daj, zwyciężym nieprzyjaciela, albo nieprzyjaciel nas zwycięży, a ja wtedy niechcę przeżyć nieszczęścia Rzeczypospolitej. Dawnom tego szukał, nie nad wolę żywot mój położę dla wiary św., dla służby WKMości, dla Rzeczypospolitej, choć od niej za wiele prac, za trudy, miasto wdzięczności wielkiem znosił opprobria i żale.“ Z tem przeczuciem pewnej śmierci gotował się hetman do ostatniej swojej wyprawy. Towarzyszyli mu obaj zięciowie, Stanisław Koniecpolski, hetman polny i Jan Daniłowicz, syn i synowiec, stawili się z pocztami osobnemi: Korecki, Aleksander Kalinowski i Mikołaj Potocki. Zebrało się w ten sposób 9000 do 10.000 ludzi w Barze i z temi szczupłemi siłami przeszedł hetman Dniestr pod Podbiłem i stanął dnia 7. września na ziemi mołdawskiej. Tu spotkał go pierwszy zawód; przybył Gracyan, wymordowawszy poprzednio Turków w Jassach, ale zamiast 25.000 przyprowadził zaledwie 600 ludzi. Wyprawę można było uważać za chybioną w tych warunkach, Żółkiewski jednak poszedł dalej i stanął w dawnym obozie Zamoyskiego na Cecorze, a poprawiwszy wały, trawą już porosłe, oczekiwał nieprzyjaciela. Jakoż niebawem przybył Skinder basza z hordą tatarską, ćma pogaństwa, 60.000, otoczyła obóz polski, przyparty do Prutu. Natychmiast rozpoczęły się harce, dla naszych pomyślne; nazajutrz, 19. września, bitwa, nierozstrzygnięta wprawdzie, ale z wielką stratą pogan. Widząc ogromną przewagę nieprzyjaciela i brak żywności, postanowili hetmanie cofać się taborem ku Mohylowu. Ale na wieść o tem wszczął się formalny bunt w obozie; wołano, że hetmanie chcą wydać wojsko na mięsne jatki, że sami zamierzają uciekać, że jedynym środkiem ocalenia jest przejście Prutu i odwrót prawym brzegiem tej rzeki, przez Bukowinę. Tak radził Gra-

cyan z obawy, aby Tatarzy i Turcy głowy jego od hetmana nie żądali. Nie zważając więc na nic, cała ta hałastra rozrywa w nocy obóz i rzuca się w nurty Prutu, na czele Korecki i Kalinowski z Gracyanem, ci właśnie, co Żółkiewskiemu tchurzostwo zarzucali! Marne były ich nadzieje; ci, co przez rzekę się przeprawili szczęśliwie, zginęli z rąk Wołochów i Tatarów, inni w falach Prutu znaleźli śmierć niezaszczytną. Utonął Kalinowski, Gracyana zamordowali Wołosi, uratował się Korecki, wracając do obozu, gdzie tymczasem Żółkiewski, przy blasku pochodni obchodząc stanowiska, uspokajał strwożonych, karcił niesfornych i rozbestwionych, wreszcie przysiągł uroczyście na ewangelią, że wojska opuszczać nie myśli.

Upłynęło na tem i na układach próżnych z nieprzyjacielem siedem dni, 29. wreszcie wyruszył z obozu rozkopanym wałem tabor, w siedem rzędów sprawiony, ku Mohylowu, rozpoczął się odwrót straszny, wśród stepów zapalonych, bezwodnych, pełnych szarańczy, wśród nieustającego pościgu nieprzyjaciela, który znędznionych głodem, zmordowanych bezsennością i umierających z pragnienia nękał do ostatka. Przez cały tydzień trwał ten pochód i te śmiertelne zapasy z chwałą dla garstki walecznych, a z wielką szkodą pogaństwa. Nareszcie dnia 6. października zatrzymał się tabor o $1^1/_2$ mili od Dniestru, nieprzyjaciel zmęczony także ustawał w pogoni, zdawało się, że wojsko uratowane. Nagle wszczął się nowy rozruch w obozie; czeladź, obawiająca się kary słusznej za swoją niesforność, wypowiedziała starszyźnie posłuszeństwo i rozerwawszy tabor, wśród rabunku i grabieży, szukała w ucieczce ocalenia. Skorzystali z tego Tatarzy i całą siłą uderzyli na garstkę, otaczającą jeszcze hetmanów. Wśród ogólnego popłochu postanowiono uchodzić dalej taborem konnym, czyli zdecydowano się na śmierć niechybną. Zrozumiał to Żółkiewski i zabiwszy własnego konia, wśród kilkunastu tylko wiernych towarzyszy zwiódł ostatnią, śmiertelną walkę, aż ciężko raniony, padł wreszcie pod ciosami szabel tatarskich; odciętą głowę bohatera zaniesiono Skinder baszy, który ją w podarunku posłał sułtanowi. Koniecpolski, syn i synowiec hetmana, Korecki, Potocki, Bałłaban i wielu innych dostało się do niewoli, cudem prawie ocalał Teofil Szemberg, dzielny dowódca artyleryi polskiej i autor cennego dyaryusza wyprawy cecorskiej.

Wiadomość o strasznej klęsce i o śmierci hetmana pokryła żałobą kraj cały; umilkli potwarcy i plotkarze, szarpiący sławę wielkiego wodza, nad ruskiemi województwami świeciły szeroko łuny pożarów, dając wymowne świadectwo słusznym obawom i przewidywaniom Żółkiewskiego. Zginęło jedyne wojsko, które osłaniało Rzeczpospolitą, a rozzuchwalony Tatarzyn sięgnął zagonami swojemi po Jarosław, Wiśniowiec i Dubno, zostawiając za sobą trupy i pogorzeliska. Równocześnie od Moskwy, od Szwecyi i od granic węgierskich dochodziły niepokojące wieści, a trzęsienie ziemi na Rusi zdawało się zwiastować nowe klęski i wojny. O wojnie nikt zresztą nie wątpił, najwięksi optymiści, którzy niedawno jeszcze szydzili z przestróg zmarłego hetmana i alarmujących listów Otwinowskiego, popadając w drugą ostateczność, przewidywali teraz niechybny upadek Rzeczypospolitej.

Przerażenie było tak wielkie, że gdy dnia 15. listopada 1620. r. obłąkany Piekarski uczynił zamach na życie Zygmunta III. i wchodzącego do kościoła ugodził czekanem, co niezmierną wywołało wrzawę i popłoch, rozeszła się wieść po Warszawie o napadzie Tatarów i utrzymywała całe miasto przez kilka godzin w śmiertelnej trwodze. Na pochwałę ówczesnego społeczeństwa powiedzieć jednak należy, że w chwili krytycznej nie oddawało się niemej rozpaczy, lecz zabrało się do dzieła obrony energicznie i skutecznie. Bez długich przygotowań zwołano natychmiast sejm w listopadzie, gdzie z rzadką w takich razach jednomyślnością uchwalono niesłychany w Polsce podatek po 8 złotych polskich z łanu, ośmioraki szos (podatek od domów miejskich) i podwójne czopowe. Prawda, że podatku tego szlachta niepłaciła wcale, że dotykał on ją tylko pośrednio, a przygniatał całym ciężarem włościan, mieszczaństwo, szlachcica zagrodowego i po części duchowieństwo, ale nawet i w takim wypadku hojność niezwykła sejmu była dowodem dużej ofiarności, objawiającej się u nas niestety tylko w chwilach najgroźniejszego niebezpieczeństwa i znacznie gorliwszej troskliwości o dobro powszechne, które zazwyczaj z powiatowego traktowano stanowiska. Ale nawet w tej chwili, gdy zapał patryotyczny całe powinien był ogarnąć społeczeństwo, gdy tym, co na czele narodu stali, należało wszystkie warstwy jednoczyć ku obronie Rzeczypospolitej, odezwał się zakorzeniony egoizm rządzącej klasy, odezwała się owa tradycyonalna niechęć ku mieszczaństwu w konstytucyach, wymierzonych przeciw zbytkom i w instrukcyach poselskich, dążących do zapewnienia żywiołowi szlacheckiemu przewagi po miastach.

Ustanowiono mianowicie jednakową cenę dla przedmiotów zbytkowych po wszystkich miastach, zabroniono „plebejom“ używania szat jedwabnych i drogich futer, „okrom lisich i innych podlejszych“, a posłom powiatu upickiego polecono, ze względu na stosunki wileńskie, aby „naród szlachecki“ od preeminencyi „po miastach nie był oddalony“, i aby „każdy zbytecznik powinien się usprawiedliwić przed sądem głównym“, a więc z pominięciem sądu miejskiego. Jeżeli konstytucya, co tylko przytoczona, świadczyła o zupełnej nieznajomości kardynalnych zasad ekonomicznych, jeżeli sprzeciwiała się wprost zdrowemu rozsądkowi i gotowała niechybną ruinę kupiectwu, to żądania szlachty upickiej, którą reprezentował wtedy Jan Siciński, było dalszym ciągiem owej polityki ziemiańskiej, zmierzającej do poddania wszystkich warstw społecznych pod władzę jednego stanu, do zniesienia wszelkich przywilejów, niewygodnych dla klasy rządzącej. Nadaremnie zaprotestowali kupcy wileńscy przeciw nowemu temu ograniczeniu, napróżno wykazywali w obszernym memoryale szkodliwość i niedorzeczność pomienionej konstytucyi, nadaremnie przypominali szlachcie, że „miasta wielkie nietylko są ozdobą państwa każdego, ale też obroną i pożytkiem“,[1]) domorośli ekonomości ówcześni nie byli wstanie zrozumieć tych wywodów, a senat, chociaż inaczej na sprawę tę się zapatrywał, nie miał władzy na tyle, aby konstytucye sejmowe zmienić lub uchylić.

[1]) A. Prochaska: Protest kupców wileńskich z roku 1621. Kwartał histor. VII, str. 436.

Mimo tych niesprawiedliwości oczywistych i mimo błędnej z gruntu polityki skarbowej, dały uchwalone podatki znaczną ilość pieniędzy, ale nie wystarczyły na zaciągnięcie 60.000 armii, jak to z początku postanowiono. Za 5 do 6 milionów,[1]) można było wystawić co najwięcej 35.000 żołnierza, bo oprócz wojska trzeba było postarać się o amunicyą, artyleryą i żywność, na co w Polsce zazwyczaj niewiele zwracano uwagi. Niedostateczne siły zbrojne miały pomnożyć posiłki państw chrześcijańskich i zastępy Zaporożców, gotowych zawsze do walki z półksiężycem i pogłaskanych świeżo rastawicką ugodą. Optymizm polski wyobrażał sobie także, że gdy sułtan Osman, o czem powszechnie było już wiadomo, z całą potęgą swoją wyruszy na podbicie Rzeczypospolitej, wszystkie mocarstwa chrześcijańskie będą uważały za swój najświętszy obowiązek, Polaków w tej walce z pogaństwem popierać bezinteresownie i skutecznie. Niewiedziano i niemyślano o tem, że w dyplomacyi interes główną odgrywa rolę i że Rzeczpospolita zatem chyba od jednej Austryi, zagrożonej podobnie potęgą turecką, pomocy spodziewać się może. Gdy jednak dom habsburski, zajęty wojną czeską, sam zaledwie obronić się zdołał, zawiodły i te nadzieje. W tym duchu odpowiedział też cesarz posłowi polskiemu Maksymilianowi Przerembskiemu, zezwolił jednak na zaciągi na Szląsku i przyrzekł Węgrów trzymać na wodzy. Achacy Grochowski uzyskał od papieża Grzegorza XV. nieznaczny zasiłek pieniężny, inne poselstwa, porozsyłane do wszystkich dworów europejskich, nie przyniosły nic więcej, jak tylko zapewnienia życzliwości i obietnice, które wcale ziścić się nie miały. Pozostawali jeszcze Zaporożcy, ale i tu stosunki zmieniły się już znacznie na niekorzyść Rzeczypospolitej, wskutek propagandy moskiewskiej, która właśnie w tej chwili krytycznej pomiędzy Kozakami kiełkować poczynała. Zaczepiono ze strony najdrażliwszej, t. j. religijnej. Kozacy byli dotąd w rzeczach wiary dość obojętni. Większość, złożona z chłopów i mieszczan ukraińskich, trzymała się wprawdzie schyzmy, ale, zajęta rzemiosłem wojennem, nie troszczyła się wcale o spory dogmatyczne. „Prawie wszyscy Kozacy — tak wyraża się metropolita kijowski Rutski w roku 1622. — nie wierzą w Boga i nie dbają o wiarę, jak i dawniej o nią nigdy nie dbali. Dopiero od dwóch lat zaczęli parać się sprawami kościelnemi, gdy nowo ustanowione duchowieństwo greckie pobudziło ich ku temu“.

Inicyatywa wyszła z Moskwy. W roku 1620. pytano posłów kozackich w dumie carskiej, czy król polski na wiarę ich nie następuje? Odpowiedzieli: Następowania nie było żadnego, a o papieżu nic im nie wiadomo, bo ten kraj od nich bardzo oddalony. Nie poprzestała Moskwa na tem. Bawił wtedy na dworze carskim patryarcha jerozolimski Teofan, który po śmierci Hermogena wyświęcił na patryarchę moskiewskiego Filareta, ojca cara Michała i wracając następnie do domu, zatrzymał się przez cały rok na Rusi kijowskiej. Że ten pobyt wysokiego dygnitarza cerkwi wschodniej u granic Zaporoża, a potem na Zaporożu samem, w Trechtymirowie, miał cele nietylko religijne ale i polityczne, to na pierwszy rzut oka jest widoczne. Teofan rozpoczął działalność

[1]) Tretiak Józef: Historya wojny chocimskiej w „Przewodniku naukowo-literackim“ z roku 1888.

swoją od tego, że w monasterze kijowskim, gdzie go mieszczaństwo dyzunickie i starszyzna kozacka radośnie przyjmowali, opowiadał o cudownym ogniu, który w nocy przed Zmartwychwstaniem zbiega z nieba na grób Zbawiciela, będący w posiadaniu prawosławnych. Legenda ta, pochodząca z ust episkopa jerozolimskiego, a przeplatana zręcznie wycieczkami przeciw „Łacinnikom“, wywarła na umysły proste i zabobonne głębokie wrażenie, otoczyła patryarchę aureolą świętości i cudowności i nadała dalszym jego wywodom znaczenie niezmiernie doniosłe. Usłyszeli więc dalej Kozacy, że walka przeciw niewiernym jest ich obowiązkiem, ale że nie powinni przelewać krwi chrześcijańskiej, jak to czynili w Moskwie, lecz bronić praw cerkwi wschodniej, upośledzonej i uciśnionej przez rząd polski. Skruszeni i przekonani temi argumentami Kozacy, prosili przez usta Konaszewicza patryarchę „o absolucyą z wyznanego grzechu rozlanej krwi chrześciańskiej w Moskwie“, a rozczulony Teofan przebaczenia nie odmówił i tem do reszty Zaporożców sobie pozyskał, poczem natychmiast siedmiu unickich biskupów wyklął, innych na ich miejsce mianował, a sam do Trechtymirowa ujechał, nie czując się w Kijowie bezpiecznym.[1]) Rząd polski od samego początku podejrzywał Teofana o knowanie polityczne i śledził pilnie całą działalność jego na Rusi. Dodano mu do boku komornika królewskiego Pacanowskiego, rzekomo do asystencyi i bezpieczeństwa, w istocie dla jak najszybszego wyprowadzenia patryarchy za granice kraju. Ale Teofan nie spieszył się wcale, a po tem, co zaszło, nie wypadało już gwałtownych używać środków, owszem, król wysłał na Ukrainę Obałkowskiego w poselstwie do Kozaków i z listem uprzejmym do patryarchy, w którym upraszał go, aby wpływem swoim skłonił Zaporożców do udziału w wojnie tureckiej. Teofan uczynił zadość temu żądaniu, wydał pismo do Kozaków, wzywając ich do posłuszeństwa względem króla i wyraził zarazem nadzieję, że tą powolnością uzyskają u rządu łatwiej zatwierdzenie biskupów, świeżo przez patryarchę mianowanych.

Wśród tych układów gotowano się dalej z pospiechem do wojny. Król wstrzymał się z oddaniem osieroconej przez śmierć Żółkiewskiego buławy wielkiej koronnej, naczelne dowództwo nad wojskiem powierzono Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, dodając mu do pomocy, ze względu na wiek podeszły i siły stargane, Stanisława Lubomirskiego, podczaszego koronnego, jakoteż komisarzy wybranych przez sejm, którzy w „żadne rządy wojenne, hetmanom należące“, wdawać się nie mieli i przestrzegać jedynie należytego szafunku pieniędzy. Nadto udawał się do obozu królewicz Władysław, może niezupełnie miły Chodkiewiczowi, ale popularnością swoją, szczerością i otwartością chwytający za serca żołnierzy i wielce przez nich lubiany. Werbunek żołnierzy, przygotowanie armat i prochów postępowały nadzwyczaj powolnie, skutkiem opieszałości i nieudolności podskarbiego Daniłowicza, tak, że dopiero w czerwcu chorągwie liczniej pod Skałę ściągać się zaczęły, a w sierpniu jeszcze dorabiano we Lwowie łoża do dział, sprowadzonych tam z Warszawy. Pomimo tego wszystkiego zgromadził Chodkiewicz, znany z energii i od stycznia już krzątający

[1]) Wobec tych oczywistych dowodów twierdzi p. Tretiak (Wojna chocimska, str. 300), że podejrzenia o Teofanie nie były słuszne.

się pilnie około wyprawy, w drugiej połowie lipca 20.000 ludzi na polach orynińskich, przeszedł z temi siłami Dniestr i okopał się pod Chocimem, na

Jan Kazimierz.

ziemi mołdawskiej, oczekując przybycia Kozaków i królewicza. Osman tymczasem, poruszywszy Azyę, Afrykę i Europę, szedł jak drugi Xerxes, na czele 300.000 ludzi na ujarzmienie Polski i ukaranie znienawidzonych Kozaków.

Dnia 2. września zabieliły się wzgórza, położone naprzeciw obozu polskiego, tysiącami namiotów pogańskich, wyrosło jakby z pod ziemi miasto, zaludnione tłumem różnobarwnym, ożywione mnóstwem koni, wielbłądów i słoni, najeżone olbrzymiemi na owe czasy działami, z których miotano kule, 55 funtów ważące. Była to jednak potęga więcej straszna na pozór niż w rzeczywistości, bo odliczywszy ciurów obozowych i służbę, mógł sułtan wyprowadzić w pole nie więcej jak 160.000 żołnierzy. I tak atoli imponowali Turcy liczebną przewagą, wobec której garstka 35tysięczna Polaków wydawała się wysepką, okrążoną zewsząd wezbranemi falami oceanu. Toż słusznie z niecierpliwością wielką wyglądał Chodkiewicz przybycia Kozaków. Tymczasem na Zaporożu wikłały się stosunki coraz bardziej. Królowi doniesiono, że Teofan, który na początku roku 1621. opuścił wreszcie granice Rzeczypospolitej, nie był patryarchą, lecz prostym oszustem, że przyjechał w celu szpiegowania do Polski i że mianowani przez niego episkopowie działają w porozumieniu z Turkami i pobudzają dyzunitów do buntu. Wyszły skutkiem tego groźne uniwersały królewskie przeciw zdrajcom i buntownikom, kupiącym się około metropolity Boreckiego i Smotryckiego, duchowieństwo prawosławne odpowiedziało na nie wielkim zjazdem w Suchej Dąbrowie pod Fastowem. Hetmanem kozackim nie był wtedy już Konaszewicz, lecz pijak Borodawka, przez czerń na godność tę wyniesiony. On z Boreckim — o ile sądzić można — kierowali obradami, odczytywali listy o prześladowaniu dyzunitów na Litwie i podburzali zgromadzonych. Sahajdaczny prawosławia się nie zaparł, ale w odpowiedzi na wszystko odczytał list patryarchy Teofana i stanowcze odniósł zwycięstwo. Wśród grzmotu moździeży wysłuchała czerń następnie posła królewskiego Obałkowskiego i poprzysięgła wierność królowi pod warunkiem, że potwierdzi metropolitę i władyków, ustanowionych przez Teofana. Nastręczała się w tej chwili najlepsza sposobność do ubicia całej sprawy. Gdy rząd polski nie zdołał wciągu 25. lat unii rozkrzewić i utwierdzić, gdy propaganda prawosławna objęła całą Kozaczyznę, niepozostawało nic innego, jak tylko stworzyć odrębną dla Rusi polskiej organizacyę hierarchii dyzunickiej, uwolnić cerkiew z pod wpływów Moskwy i stłumić tym sposobem niebezpieczną agitacyę schyzmatyckiego duchowieństwa. Nie zdobył się na to Zygmunt III., chociaż, ulegając konieczności, dał posłom kozackim odpowiedź uspokajającą i tem zapewnieniem jakoteż wypłatą żołdu pozyskał ich dla siebie zupełnie. Tak stanęły rzeczy przy końcu lipca, ale w miesiąc potem jeszcze nie było wiadomości o Zaporożcach w obozie polskim. Wiedziano tyle tylko, że Borodawka najechał Mołdawią, że spustoszył powiat sorocki i oryowski i że bijąc się po drodze z Tatarami, zdąża do Chocimia. Obawy Chodkiewicza uspokoił Sahajdaczny. On to z narażeniem życia i zdrowia przedarł się do obozu polskiego, on, wróciwszy do Zaporożców i objąwszy na nowo władzę hetmańską po zrzuceniu Borodawki, uniknął zręcznie zasadzek nieprzyjacielskich i dnia 1. września połączył się z wojskiem polskiem, a w dwa dni później przybył królewicz Władysław. Wszystkie siły, skupione w dwóch obozach, wynosiły 65.000 ludzi. Z tą armią, opartą o Dniestr i niedaleki Kamieniec podolski, który powinien był dostarczać żywności i amunicyi, można było stawić czoło przemożnemu nieprzyjacielowi i doczekać się

pospolitego ruszenia pod wodzą samego króla. Jakoż oblężenie, trwające od 2. września do 9. października, okryło nieśmiertelną chwałą naród polski i wojsko kozackie.

Wśród nieustających prawie szturmów tureckich i wycieczek z obozu polskiego, topniały zastępy Osmana, upadał duch jego wojska, krzepiły się nadzieje Polaków. Ciężkim ciosem dla wojska była śmierć Chodkiewicza, który 24. września w zamku chocimskim zakończył żywot, pełen chwały i poświęcenia dla ojczyzny, jakoteż choroba uporczywa królewicza Władysława, ubezwładniająca go przez cały czas wyprawy. Mimoto odwaga wojska nie zachwiała się ani na chwilę. Zgon hetmana utajono, a naczelne dowództwo po nim objął Lubomirski i szturm za szturmem odbijał się bezskutecznie o żelazne zastępy hussaryi i wytrwałość kozackich mołojców. W krwawej bitwie, stoczonej 15. września, padł Karakasz basza, ulubieniec sułtana, Osman rozwścieklony złożył z urzędu wielkiego wezyra Hussein baszę i 28. września przypuścił szturm gwałtowny, trwający od 8. zrana do wieczora, skończony zupełną klęską Turków. Ta ostatnia próba niepomyślna i śnieg, który 27. września prószyć zaczął, usposabiały łagodniej Osmana i jego doradców. Ale i w obozie polskim także życzono sobie gorąco pokoju. Niedołęstwo pospolitego ruszenia, które dopiero w pierwszych dniach października około Lwowa zbierać się zaczęło, niedbalstwo starosty kamienieckiego, Stefana Potockiego, w dostarczeniu żywności, częste zagony tatarskie, docierające w okolice Lwowa i brak amunicyi zresztą, działały demoralizująco na żołnierza i odejmowały najodważniejszym nawet ochotę do dalszej walki. Po ostatnim szturmie więc podjęto rokowania pokojowe, które na własną rękę od początku wyprawy prowadził hospodar mołdawski przez ajenta swego Włocha Wewellego i wysłano w poselstwie do Osmana Stanisława Żórawińskiego, kasztelana bełskiego i Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana. Po długich targach stanął wreszcie pokój dnia 9. października, potwierdzający w głównych zasadach traktat, zawarty ze Skinder baszą w Jarudze. Polska wyszła zwycięsko z śmiertelnych z półksiężycem zapasów, piersiami najdzielniejszych synów swoich zasłoniła całą Europę przed najazdem pogańskim, ale, pozostawiona własnym siłom, nie mogła pokonać przeciwnika i ubezpieczyć się przed nowemi jego zamachami. Dwie kwestye niezałatwione, kozacka i tatarska, miały i nadal pozostać źródłem nieporozumień i zatargów, miały stać się dla Polski puszką Pandory, z której wypłynęło morze krwi i łez, pochłaniające spokój i dobrobyt następnych pokoleń.

Wojna szwedzka. — Ugoda kurukowska. — Śmierć Zygmunta III. Nie zdawali sobie z tego sprawy dyplomaci i wodzowie polscy, mając na względzie tylko krytyczne położenie wojska i nowe niebezpieczeństwa, jakie Rzeczypospolitej od północy zagrażały. Gustaw Adolf bowiem, dzielny syn Karola sudermańskiego, nieomieszkał skorzystać z wojny tureckiej i wylądowawszy na początku sierpnia w Inflantach, zdobył po dłuższem oblężeniu Rygę, Dyament, a następnie i Mitawę. Upór i łatwowierność Zygmunta III., który nie chciał się zrzec korony szwedzkiej, a do ostatniej chwili łudził się nadzieją utrzymania pokoju z Gustawem, naraziły Rzeczpospolitę na utratę ujść Dźwiny

i na fatalną w skutkach swoich wojnę ze Szwedami. Krzysztof Radziwiłł, hetman polny litewski, jako protestant nielubiony przez króla, nie mógł dla słabości sił swoich obronić Rygi, ani powstrzymać postępów oręża szwedzkiego. Prowadząc wojnę podjazdową razem z Aleksandrem Gosiewskim, czekał on na odjazd Gustawa Adolfa do Szwecyi i otrzymawszy posiłki zdobył Mitawę, ale mimoto nawiązał rokowania pokojowe ze Szwedami, którzy gotowi byli Inflanty odstąpić i wojny zaniechać pod warunkiem, że Zygmunt III. zrzeknie się praw swoich do korony szwedzkiej.

Król, zamiast chwycić się tej sposobności, naganił ostro postępowanie Radziwiłła i układy skończyły się zawarciem rozejmu do 1. czerwca 1624. r. Tymczasem ani położenie Rzeczypospolitej ani usposobienie narodu nie sprzyjało dynastycznej polityce królewskiej. Kraj, znękany tyloletnią wojną, pragnął i potrzebował pokoju, żołnierz, z chocimskiej wyprawy niezapłacony, wiązał się w konfederacyą i zajeżdżał dobra królewskie i prywatne, Turcy, tłumacząc po swojemu warunki nowego traktatu, domagali się haraczu, Lissowczycy wreszcie, powróciwszy ze służby cesarskiej, grasowali w południowych prowincyach tak, jak w nieprzyjacielskim kraju.

Było więc dość powodów do niezadowolenia i narzekania. Krzysztof Zbaraski, młodszy brat Jerzego, uchylił wprawdzie niebezpieczeństwo nowej wojny tureckiej. Wysłany w roku 1622. do Konstantynopola, wywiązał on się świetnie z trudnego swego zadania; olśnił Turków przepychem, zadziwił nieustraszoną odwagą i okazał niepospolite dyplomatyczne zdolności. Przybywszy nad Bosfor już po zamordowaniu młodego Osmana, który padł ofiarą własnej swojej tyranii i bezprzykładnego okrucieństwa, umiał Zbaraski podkopać znaczenie wezyra Dziurdżego, nieprzychylnego Polakom i uzyskał zatwierdzenie paktów chocimskich. Jeżeli usługa ta, którą współcześni rymem i prozą opiewali, zjednała Krzysztofowi publiczne podziękowanie sejmu, to podniosła ona zarazem i znaczenie Jerzego, naczelnika opozycyi, potępiającej politykę królewską. Oba sejmy w roku 1623. i 1624. wystąpiły ostro przeciw królowi. Jerzy Zbaraski i Krzysztof Radziwiłł burzyli szlachtę, ubolewali głośno nad upadkiem Rzeczypospolitej, potępiali przymierze rakuskie, posłowie spisywali „eksorbitancye“, zaczerpnięte z aktów rokoszowych, nie chcieli pozwolić na oddanie biskupstwa warmińskiego dziewięcioletniemu królewiczowi Janowi Albertowi i na zakupno Żywca dla królowej Konstancyi; sejm roku 1624. na sesyi ostatniej, trwającej całą noc, uchwalił nawet dekret infamii na tych, co w obcem wojsku służą i w czasie oznaczonym do kraju nie wrócą.[1]) Opozycya, jakkolwiek usprawiedliwiona poniekąd niepatryotycznem i szkodliwem dla państwa postępowaniem Zygmunta III. w sprawie szwedzkiej, miała niestety charakter osobisty, a nie zasadniczy. Krzysztof Radziwił, pomijany przy wakancyach, chciał na królu wystraszyć buławę wielką litewską; Zbaraski, niezadowolony kasztelanią krakowską, marzył może o hetmaństwie wielkiem koronnem. Sejm roku 1625. nie okazał się powolniejszym, zezwolił wprawdzie na objęcie biskupstwa warmińskiego przez królewicza, ale poborów na wojnę

[1]) Piasecki Paweł: Chronica gestorum etc., pag. 369.

szwedzką nie uchwalił wcale i w osobnej konstytucyi postanowił, aby wojsko tylko granic i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej strzegło, a w zaczepną wojnę z sąsiadami się nie wdawało. Król, mszcząc się na opozycyi, postąpił najniewłaściwiej, oddał bowiem buławę wielką litewską Leonowi Sapieże, który o wojnie i wojskowości żadnego nie miał wyobrażenia. Słusznie też natrząsał się z nowego hetmana Zbaraski w listach do przyjaciół, Krzysztof Radziwiłł wyrzucał mu przyjęcie buławy, jako targanie „związków pokrewności“, a Rzeczpospolita opłaciła tę zemstę królewską utratą Kokenhauzu, Zelborga, Dorpatu i Dynaburgu, których nie mógł obronić młody Stanisław Sapieha, zastępujący nieudolnego ojca w urzędzie hetmańskiem. Był to jednak dopiero początek złego. Gustaw Adolf bowiem, porozumiawszy się z elektorem brandenburskim i księciem pruskim Fryderykiem Wilhelmem, przeniósł w roku 1626. wojnę do Prus, opanował port piławski, zdobył Frauenburg, Elbląg, Tczew, Malborg, Gniew i Sztum, słowem całe Prusy królewskie, z wyjątkiem Gdańska i Torunia. Niespodziewany ten najazd, przecinający Polsce związek z morzem, tamował wywóz płodów surowych do Gdańska i narażał szlachtę na nieobliczone szkody.

Zaczęto się więc krzątać cokolwiek żywiej około spraw wojennych. Król z znacznemi siłami stanął pod Toruniem, powołał posiłki z Rusi pod dowództwem Koniecpolskiego, usiłował acz nadaremnie Gniew odzyskać. Pobito jednak Szwedów pod tem miastem, a sejm toruński uchwalił podatki na wojnę. Naczelne dowództwo w Prusiech objął teraz Koniecpolski i pomyślnie z Szwedami się nacierał. Zdobywszy Puck, a następnie Gniew, odniósł wśród tego świetne zwycięstwo pod Hamersztynem nad zaciągami niemieckiemi i Tczew oblegać zaczął. Tymczasem zmienił się stan rzeczy w Niemczech. Ferdynand II., stłumiwszy powstanie czeskie i ukończywszy pomyślnie wojnę w Palatynacie, zwrócił zwycięski oręż swój na króla duńskiego, sprzymierzonego z protestantami. Armia, zebrana przez słynnego Wallensteina, ruszyła na północ, Tilly pobił na głowę Duńczyków pod Lutter (1626), a Wallenstein, wypędziwszy książąt meklemburskich, obległ warowny Stralsund, snując fantastyczne plany o panowaniu na morzu bałtyckiem i o wielkiej wyprawie tureckiej. Zagrożone w ten sposób najżywotniejsze interesa Szwecyi wymagały koniecznie interwencyi Gustawa Adolfa w Niemczech. Żarliwy protestant, genialny wódz, okryty sławą świeżych zwycięstw inflanckich, zdawał on się być przeznaczonym niejako do odegrania tej roli, której podołać nie mogli ani palatyn Fryderyk, „zimowy“ król czeski, ani Chrystyan duński.

Gorąco pragnęli tego protestanci niemieccy, kardynał Richelieu, który zgniótłszy opozycyą francuską, całe staranie swoje zwrócił na pognębienie Habsburgów, sam Gustaw Adolf wreszcie, chciwy sławy i marnujący czas i zdolności swoje w trudnej walce z Polakami, nierokującej wcale znacznych korzyści. Wszystkie względy więc skłaniały Gustawa do jak najrychlejszego ukończenia wojny polskiej, a pragnienia jego spotykały się z życzeniami całego narodu polskiego. Jedna tylko Austrya, chcąc powstrzymać króla szwedzkiego od mięszania się w sprawy niemieckie i Zygmunt III., uporczywie trzymający się korony szwedzkiej, przeszkadzali usilnie traktatom pokojowym. Nie

powiodło się więc pośrednictwo holenderskie, podjęte za staraniem Gdańszczan, którzy skutkiem wojny najdotkliwsze ponosili straty, bo król otrzymał właśnie pewne obietnice pomocy od dworu hiszpańskiego. Starał się o to oddawna już poseł polski w Madrycie, Mąkowski, i już w r. 1623. donosił, że wszechmocny natenczas minister Olivarez, gotów jest udzielić Polsce zasiłków pieniężnych na wojnę z Szwedami, skoro tylko sprawa małżeństwa królewicza angielskiego z infantką będzie ukończona.[1]) Obecnie ten sam Mąkowski, powróciwszy do kraju z posłami hiszpańskimi, zapowiadał przybycie floty hiszpańskiej i znaczne subsydya pieniężne. Nic zatem dziwnego, że Zygmunt III. o pokoju z Gustawem słyszeć nie chciał i że pomimo narzekania sejmu wojnę prowadził dalej z rozmaitem szczęściem. Porażka pod Gorznem, gdzie Wrangel na czele 10.000 wojska pobił czterotysięczny hufiec Stanisława Potockiego, skłoniła znowu stany Rzeczypospolitej do energiczniejszego poparcia wojny. Zaciągnięto na żołd 5000 piechoty Wallensteinowskiej, której cesarz pragnął się pozbyć po ukończeniu wojny duńskiej i wzmocniono temi siłami szczupłe wojsko Koniecpolskiego. Bitwa pod Trzcianą, stoczona 27. czerwca 1629. r., dowiodła, czego można było dokonać większemi niż dotąd środkami. Gustaw Adolf, pobity na głowę, utracił swoją artyleryą, sam zaledwie uniknął niewoli, Kwidzyń zdobyli Polacy. Silniejsze w tej chwili poparcie wojny mogło było Rzeczpospolitę uwolnić raz na zawsze od ciężkiego wroga, ale ani król ani naród nierozumieli położenia politycznego. Zamiast wyzyskać zwycięstwo pod Trzcianą, przyjęto pośrednictwo francuskie i angielskie i zawarto upokarzający dla Polski i wielce niekorzystny rozejm sześcioletni z Szwedami w Altmarku. Pozostawiono im wszystkie zdobycze inflanckie bez Mitawy, w Prusiech Piławę, Elbląg, Brunsbergę i Tolkmit; Sztum z Malborgiem wziął w sekwestrę elektor brandenburski, zdradziecki lennik Rzeczypospolitej. Sejm warszawski, zwołany w listopadzie roku 1629., narzekał słusznie na haniebne w gruncie warunki rozejmu, ale nie zdobył się na tyle odwagi, aby je odrzucić i wojnę dalej prowadzić. Zamiłowanie pokoju i skąpstwo szlachty przemogło uczucie wstydu i upokorzenia, a uwaga ogólna skierowała się na Ukrainę, gdzie po raz drugi już od czasu wyprawy chocimskiej trzeba było uśmierzać niebezpieczne bunty kozackie.

Znaczne usługi, jakie oddali Zaporożcy Rzeczypospolitej w drugiej połowie panowania Zygmunta III., niezmieniły w niczem prawie zapatrywań na kwestyą kozacką. Starano się wprawdzie w chwili niebezpieczeństwa o pomoc kozacką, wyznaczano żołd, który Zaporożców niezawsze dochodził i nie wystarczał na utrzymanie wielkiej liczby mołojców, a po ukończeniu wojny stosowano do nich surowe konstytucye sejmowe, ograniczające ilość regestrowych Kozaków i poddające ich pod władzę hetmanów koronnych. W tem postępowaniu, uzasadnionem poniekąd względami ekonomicznemi, tkwiły nasiona nieustających zatargów i buntów kozackich. Łatwo pojąć, że dla właścicieli wielkich fortun ukraińskich i dla całej kolonizującej się wtedy gorączkowo Ukrainy, owo tłumne zbieganie ludności rolniczej na Niż było wielce niedo-

[1]) Teki Naruszewicza do roku 1623., nr. 32.

godne, że narażało ono Rzeczpospolitą na nieustające niebezpieczeństwo wojny tureckiej, gdy głodne zastępy Zaporożców w „chadzkach“ na morzu widziały jedyny sposób swego utrzymania, ale właśnie z tego powodu wypadało anormalne te stosunki stanowczo uregulować, liczbę regestrowych Kozaków powiększyć, żołd dostateczny dla nich ustanowić i poddawszy zastępy te władzy hetmanów i rygorowi wojskowemu, powierzyć im straż brzegów dnieprowych dla powstrzymania napadów tatarskich. Tak radził niegdyś Daszkiewicz, tak a nie inaczej wyobrażał sobie organizacyą Ukrainy wyborny znawca tamtejszych stosunków biskup Wereszczyński. Nieusłuchano ani jednego ani drugiego, a nawet teraz po wojnie chocimskiej nie wynagrodzono Kozaków tak, jak na to zasługiwali. Powstało skutkiem tego pomiędzy nimi wielkie niezadowolonie; Konaszewicz, chory, żegnał tylko królewicza Władysława, jemu bili czołem i strzelali na wiwat mołojcy i wojsko kozackie odeszło zrażone i zniechęcone do domu. Sahajdaczny w rok potem złożył godność atamańską i w zaciszu klasztornem dokonał życia, godzien zaprawdę lepszego losu i większego u współczesnych uznania. Jeżeli Konaszewicz niezawsze zdołał utrzymać na wodzy Zaporożców, to następcy jego nie krępowali się już żadnemi względami. Na nowo więc rozpoczęły się wyprawy morskie, odpłacane sowicie najazdami Tatarów z tą tylko różnicą, że ze strony polskiej więcej było czujności i energii. Hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski, powróciwszy niedawno z niewoli pogańskiej, mścił się srodze za krzywdy doznane i za cecorską klęskę. W r. 1624., podczas twardej zimy, zniósł on pod Szmańkowcami, niedaleko Czortkowa, cały kosz tatarski, przyczem taka zaciekłość owładnęła rycerstwem polskiem, że jeńców tatarskich, nawet wbrew rozkazu hetmana, nie żywiono wcale, siekąc ich bez litości. A gdy niebawnie potem wojna szwedzka odwołała hetmana do Prus, stanął na straży kresów ukraińskich Stefan Chmielecki, niezrównany pogromca Tatarów. Z lekko uzbrojonemi lotnemi rotami kozackiemi spadał on jak piorun na karki najezdników i stał się takim dla nich postrachem, że step ukraiński za jego czasów zaludnił się setkami siół i miasteczek, że kolonizacya sięgnęła w najodleglejsze i najdziksze kraju tego zakątki. Mimo to, a może właśnie dlatego, roił się i Niż od zbiegów rozmaitego rodzaju, rosło w liczbę Kozactwo, powtarzały się coraz częściej wyprawy na pogan, ale także grabieże i rozboje, których ofiarą padały wioski i dwory szlacheckie. Niemałą do tego podnietą było duchowieństwo dyzunickie, walczące na zabój z unią i podburzające ludność schyzmatycką a szczególniej Kozaków do gwałtów i mordów. Ton tej propagandzie nadawali władycy, ustanowieni przez Teofana: Jezajasz Kopiński, smoleński, Paizy Hippolitowicz, chełmski, Abraham Grek, piński i Turowski. Każdy niemal z tych episkopów, gdy go nie dopuszczono do zawładnięcia dyecezyą, szukał oparcia na Zaporożu i tam siał ziarno nienawiści przeciw Polakom i duchowieństwu unickiemu. Skutek był oczywiście najpomyślniejszy na kresach, gdzie sięgał wpływ i gdzie działał przykład sąsiedniej Moskwy. Tak zginął męczeńską śmiercią w Witebsku św. Józefat Kuncewicz, arcybiskup połocki (12. listopada 1623. r.), w znacznej części z winy Melecyusza Smotryckiego, podobnego „intruza“, jak wyżej wymienieni władycy, tak musiał ustąpić z Kijowa metropolita

unicki Józef Welamin Rutski, wypędzony przez Joba Boreckiego z pomocą Kozaków.

Jakkolwiek można się nie zgadzać na politykę Zygmunta III. względem dyzunitów, to przyznać trzeba, że żaden rząd, a więc i rząd polski nie mógł patrzyć obojętnie na nadużycia tego rodzaju i jeżeli ukarano surowo mieszczan witebskich, to i owa coraz bardziej wzrastająca swawola kozacka wymagała jakiegoś skarcenia. Wszak ataman Zmoiła urągał na czele 30.000 mołojców powadze hetmana i Rzeczypospolitej, wszak wiadomo dobrze, że Moskwa podarunkami Zaporożców „kontentuje“. Dziwić się zatem nie można, że Koniecpolski ruszył z wojskiem na Ukrainę i pobiwszy w krwawej bitwie Kozaków, zmusił ich do ugody nad Kurukowem jeziorem w roku 1625. pod warunkami dość łagodnemi. Liczbę Kozaków regestrowych oznaczono na 6000; mieli oni pobierać 60.000 złotych polskich żołdu i wstrzymać się od wszelkich wypraw na morze. Atamanem został Michał Doroszeńko, pobierający podobnie jak assawułowie i pisarz osobną pensyą od króla.

W stosunku do dawniejszych traktatów była umowa kurukowiecka znacznym postępem, ale przyszłość zależała od wykonania warunków i od zręcznego traktowania Kozaków. Pojmował to wybornie Stefan Chmielecki, łaskawy i przystępny dla ludu wiejskiego i stąd także na Niżu wielce popularny, nie pojmował król i szlachta, pragnąca używać w spokoju owoców pracy kolonizacyjnej. Zmarnowano nieopatrznie najlepszą sposobność do zatrudnienia Kozaków i do pohamowania najazdów tatarskich, kiedy Szahin Giraj, jeden z carów krymskich, oddał się w opiekę Rzeczypospolitej i przyrzekł uznać zwierzchnictwo polskie, jeżeli mu król udzieli pomocy do pokonania współzawodników. Zygmunt III., zajęty cały wojną szwedzką, lekceważył sobie tę korzystną propozycyą, pomimo usilnych nalegań Jerzego Zbaraskiego i Mikołaja Potockiego. Pozwolono Zaporożcom popierać Szahina, ale wyprawa słabemi podjęta siłami nie powiodła się, zginął Doroszeńko, a na Polskę zwaliły się nowe hordy tatarskie, które tym razem pogromił szczęśliwie Chmielecki pod Monasterzyskami i Bursztynem.

Śmierć Doroszeńki osłabiła — o ile sądzić można — pomiędzy Kozakami stronnictwo przychylne Rzeczypospolitej, a wyprowadzenie wojsk polskich z Ukrainy do Prus ośmieliło czerń kozacką do nowych rozruchów. Podburzeni przez duchowieństwo prawosławne podnieśli Niżowcy nieregestrowi bunt, zamordowali atamana swego Hryćka Czarnego i rzuciwszy się na rozproszone po leżach zimowych chorągwie polskie, które Koniecpolski wysłał był tymtymczasem na Ukrainę, sprawili pomiędzy niemi rzeź straszliwą. Na wiadomość o tem nadbiegł hetman z całem wojskiem koronnem, pobił w bardzo krwawem spotkaniu pod Perejesławiem buntowników i zmusił ich do wydania hersztów i do przyjęcia na nowo kurukowieckiej ugody.

Było to ostatnie za panowania Zygmunta III. starcie z Kozakami, ostatni ważniejszy wypadek w tej epoce, tak bogatej w zdarzenia wielkie i niespodziewane. Król, osierocony przez śmierć drugiej żony swojej Konstancyi († 1631), oddał się głównie sprawom familijnym i dynastycznym. Uporczywie trzymając się korony szwedzkiej z oczywistą szkodą interesów polskich, nie skąpi on

równocześnie ustępstw, aby wytargować od sejmu nowe dla rodziny swojej korzyści. Potwierdza więc znowu wolną elekcyą i oddaje mennicę pod zarząd sejmu, a w zamian za to otrzymuje dla syna Jana Alberta biskupstwo warmińskie, wkrótce potem krakowskie, dla żony pozwolenie nabycia Żywca, dla królewien i królewiczów dobra po matce. Wśród tego, pomimo lat 67., trzyma się Zygmunt zdrowo i krzepko i nikt nieprzewiduje rychłej jego śmierci. Choroba przychodzi nagle. W Opaci pod Warszawą, w gościnie u podkomorzego warszawskiego, objawia się u króla jakaś niedyspozycya żołądkowa, po której w dni parę następuje atak apoplektyczny, śmiertelny. Otoczony troskliwą opieką wiernej ochmistrzyni, Urszuli Majerin,[1]) okrzyczanej niesłusznie za metresę królewską, w obecności dzieci swoich i licznie zgromadzonych senatorów, umiera Zygmunt III. dnia 30. kwietnia roku 1632., przekazując w ostatniej chwili królestwo szwedzkie najstarszemu synowi swemu Władysławowi.

Ogólne uwagi. — Literatura. — Oświata. Półwiekowe niemal panowanie pierwszego Wazy stanowi nieszczęśliwy okres w dziejach Polski. Pomimo świetnych zwycięstw, olśniewających tryumfów i znacznego rozszerzenia granic na wschodzie, pomimo kwitnącego stanu i wzmagającego się dobrobytu, nie wznosi się Rzeczpospolita w tym czasie na wyższy szczebel potęgi, nie wywiera tego wpływu politycznego, jaki wywierać była powinna, a u schyłku panowania Zygmunta III. doznaje nawet licznych krzywd i ciężkich upokorzeń ze strony sąsiadów, którzy pod względem zasobów i potęgi zaledwie niektórym panom polskim i litewskim dorównać mogli. Przyczyną tego ze wszech miar smutnego i dalsze klęski zwiastującego położenia był niewątpliwie król i system jego polityczny.

Dążąc do utrzymania się przy koronie szwedzkiej i wiążąc się równocześnie ścisłym węzłem z Habsburgami bez względu na dobro i interes Rzeczypospolitej, musiał Zygmunt III. stanąć w sprzeczności do narodu, do jego sympatyj i wyobrażeń. Wyniknęły stąd zawikłania, zgubne zarówno dla Polski jak i dla króla samego; zmarnowano chwilę najdogodniejszą do zreformowania Rzeczypospolitej, do powściągnięcia Kozaków, do ubezwładnienia Moskwy i do uchylenia pretensyj Hohenzollernów, wyrastających już na groźną dla państwa polskiego potęgę. Jakiekolwiek były właściwe zamiary Zygmunta III. w polityce wewnętrznej, czy dążył on — jak ogólnie twierdzono — do absolutnej monarchii, czy też tylko do wzmocnienia władzy królewskiej, to pewna, że każdy z tych planów był lepszym od jałowej opozycyi Zebrzydowskiego i mętnych programów rokoszańskich polityków. Obdarzony niezwykłą wytrwałością i postępując systematycznie, zwichnął Zygmunt jednak sam zamiary swoje w chwili stanowczej uporem, z jakim trzymał się Habsburgów i błędnej polityki szwedzkiej. I odtąd nic mu się nie powodziło, każdą sprawę załatwiał połowicznie, połowicznych tylko używając środków. Wielkie nadzieje moskiewskie skończyły się na odzyskaniu Smoleńska, wpływ polski na Wołosz-

[1]) Dr. Władysław Wisłocki: Urszula ochmistrzyni Łabędzianka i jej korespondencya polska z Piotrem Gembickim. Przegląd polski z roku 1877. Nazywała się ona — jak przypuszczam — Ursznla Gienger, co wynika z listu umieszczonego u Hurtera Geschichte Ferdinands II., B. IV, 523.

czyźnie zmiotła odrazu klęska cecorska, widoki połączenia Szląska rozwiały się wskutek niejasnej polityki królewskiej w wojnie 30-letniej, marzenia o koronie szwedzkiej przepłaciła Rzeczpospolita utratą Rygi i znacznej części Inflant, nawet unia brzeska, będąca wyrazem tradycyjnej polityki jagiellońskiej, przyniosła zamiast spodziewanych korzyści same tylko klęski i rozczarowania. Król, gorliwy w rzeczach wiary aż do fanatyzmu, król, za którego panowania kościół katolicki najświetniejsze w Polsce święcił tryumfy, o którym mówiono, że zastawszy senat z samych prawie innowierców złożony, przed śmiercią trzech tylko dygnitarzy akatolickich na krzesłach senatorskich zostawiał, nie zdołał ani unii przeprowadzić, ani wzmocnić należycie. Wysłani przez Andrzeja Lipskiego, biskupa łuckiego, misyonarze do Pińska, przedstawiają w relacyi swojej nadzwyczaj smutny stan cerkwi unickiej i kościoła katolickiego w tych okolicach. W ludnym natenczas (w roku 1621.) i rozległym Pińsku, będącym siedzibą biskupa unickiego i posiadającym przeszło 20 cerkwi, było zaledwie kilku uboższych mieszczan unitów. Ludność cała schyzmatycka spieszyła w niedzielę do sąsiednich cerkwi prawosławnych, lub żyła w takiej niewiadomości, że ani pacierza ani składu apostolskiego odmawiać nie umiała i oprócz chrztu świętego żadnych innych nie znała sakramentów.[1]) Nie lepiej zapewne działo się w kresowych województwach, w najbliższem sąsiedztwie Moskwy, gdzie rój czerńców i duchownych dyzunickich śmiertelną walkę toczył z unią, gdzie Teofan i emissaryusze patryarchów carogrodzkich burzyli Kozaków i gdzie jak na Ukrainie obok kwestyi wyznaniowej odgrywała ważną rolę kwestya społeczna. Królowi otwierały się tu dwie drogi: albo energicznie stłumić ruch dyzunicki i unią na miejsce prawosławia postawić, albo nawracać Rusinów powoli, łagodnych do tego używając środków, a tymczasem zorganizować hierarchią schyzmatycką w prowincyach polskich, uczynić ją niezawisłą od wpływów moskiewskich i carogrodzkich i pozyskać przez to dla Polski. Druga droga odpowiadała więcej i tradycyjnej tolerancyi polskiej i pojęciom szlacheckim o wolności sumienia. Obierając pierwszą, spotykał się król z zwartą opozycyą innowierców i tej ogromnej większości katolików, którzy wolność polityczną łączyli ściśle z wolnością sumienia. Niechętni królowi, widzieli oni w prześladowaniu protestantów działanie kamarylli, otaczającej króla, a dążącej do zniesienia swobód szlacheckich i do zaprowadzenia władzy nieograniczonej, do t. zw. absolutum dominium. Przypisywano zamiar ten nie tylko zdeklarowanym regalistom, ale szczególniej Jezuitom, mającym rzeczywiście wielki kredyt u dworu. Jeżeli wpływ ich za czasów Batorego był znacznym, to za Zygmunta stali się oni pierwszą w Rzeczypospolitej potęgą. Król ten, wychowany przez Jezuitów, pokładał nieograniczone w nich zaufanie. Oni rządzili jego sumieniem, oni wyjednywali urzędy i łaski dla swoich przyjaciół i protektorów. Poświadcza to Mucante w opisie podróży kardynała Henryka Gaetano,[2]) poświadczają liczne korespondencye współczesne, potwierdza wreszcie sam ks. Piotr Skarga, wyrzucając panom i szlachcie, że „łażą do Jezuitów po

[1]) Missio Pinscensis w Tekach Naruszewicza do roku 1621., nr. 95.

[2]) Niemcewicz: Zbiór pamiętników etc., II, 103.

wakancye.[1]) Dobrze zapewne poinformowany o sprawach dworskich Stanisław Łubieński, szuka protekcyi ks. Walentyna Seideliusa, Jezuity i spowiednika królewskiego,[2]) Kuczborski prosi o względy ks. Barszcza, Jezuici z Brunsbergi rozporządzają wpływami Szymona Rudnickiego, biskupa warmińskiego, a w otoczeniu królowej Konstancyi i matki jej arcyksiężnej Maryi znajdujemy Jezuitów niemieckich.[3]) Drugie tyle zapewne ważyły ścisłe stosunki Zakonu z możnowładztwem polskiem. Bernard Maciejowski, Marcin Szyszkowski, Jerzy i Albrecht Radziwiłłowie, Jan Karol Chodkiewicz, Andrzej Lipski, bracia Wołuccy, Hieronim Gostomski, Stanisław Karnkowski, podkomorzy królewski Bobola,[4]) to wszystko dobrodzieje i protektorowie Jezuitów, którzy Zakon ten wspierają potężnie i od niego nawzajem poparcia doznają. Wznoszą się więc co chwila wspaniałe kollegia jezuickie; król stawia dla nich kościół św. Piotra w Krakowie, Chodkiewicz funduje kollegium w Krożach, Wołuccy w Rawie, Karnkowski w Kaliszu, a każdy klasztor taki staje się ogniskiem propagandy religijnej. Dysputy z innowiercami i wychowanie młodzieży przechodzą zupełnie niemal w ręce Jezuitów, a dopomaga im do tego upadek akademii krakowskiej, gdzie profesorowie, zatopieni zawsze jeszcze w Arystotelesie, nie mają czasu na prace literackie i naukowe, bo „refekcyi muszą więcej pilnować niż lekcyi". Mając w swojem gronie znaczny zastęp ludzi rzeczywiście uzdolnionych jak Skarga, Wujek, Stanisław Warszewicki i Maciej Sarbiewski wywierają też Jezuici wpływ potężny na cały kierunek oświaty i sposób myślenia społeczeństwa, wychowują pokolenie gorliwe w rzeczach wiary aż do fanatyzmu, ale przyzwyczajone także do płaszczenia się możnym, do szermowania językiem; rozmiłowane w bujnej frazeologii, nakarmione okruchami klasycznej wiedzy, a nie skłonne do badań gruntownych i do pracy metodycznej w jakimkolwiek kierunku. Powierzchowność i frazes stają się więc główną cechą piśmiennictwa i wykształcenia, ubóstwo myśli i brak treści osłaniają autorowie i mowcy powodzią cytat klasycznych, jędrna polszczyzna Zygmuntowskich czasów rozpływa się w makaronizmie, zaprawionym pozorną uczonością. Styl, wyśmiany niegdyś zręcznie przez Jana z Czarnolesia (Carmen macaronicum), zyskuje w piśmiennictwie prawo obywatelstwa, w encyklopedycznej wiedzy tonie wszelka oryginalność myśli i trzeźwość poglądów.

W tym duchu wychowywały się następne pokolenia; współcześni nieprzewidywali oczywiście skutków edukacyi jezuickiej, nieprzewidywał może i sam Zakon, stosując w swoich szkołach system ogólnie przez Towarzystwo przyjęty, ale potęga i wpływ Jezuitów były zanadto znane, aby nie miały oburzyć jednych lub zaniepokoić drugich. Częste napady na zbory protestanckie, przypisywane szkolnej młodzieży jezuickiej, żarliwa propaganda, rywalizacya na polu wychowania, gromadne nawracanie innowierców, żywa zresztą i skuteczna działalność polemiczna, napełniały obawą uzasadnioną protestantów, podczas gdy szlachta widziała w Jezuitach zwolenników nieograniczonej władzy

[1]) Odpowiedź ks. P. Skargi, czyniona na kazaniu w Wiślicy w r. 1606.
[2]) Teki Naruszewicza do r. 1622. I, nr. 114.
[3]) Wielewicki pod r. 1605.
[4]) Podług Argentusa: De rebus Societ. Jesu in Regno Polonia, Cracoviae 1620.

monarchicznej, ajentów rakuskich i szkodliwych doradców króla. Nic dziwnego zatem, że podczas rokoszu opozycya gwałtownie uderzyła na Zakon, że domagała się zniesienia i wypędzenia Jezuitów, powołując się na przykład państw zachodnich. Wyszło wtedy pismo ulotne, którego autor zwraca się do senatorów, wystawia im szkodliwą działalność Jezuitów i żąda zniesienia Zakonu i konfiskaty majątków jego na cele edukacyi publicznej i wsparcie ubogich ludzi stanu szlacheckiego.[1]) Myśl, wykonana rzeczywiście w roku 1773., nie miała i nie mogła mieć powodzenia w czasach, gdy dwór i całe prawie możnowładztwo w ścisłych z Jezuitami zostawało stosunkach, gdy ks. Skarga, proroczym natchniony duchem w Kazaniach sejmowych karcił surowo wady społeczne, wyrzucał szlachcie nędzę i ucisk ludu wiejskiego i przepowiadał upadek Rzeczypospolitej. Wspaniała postać wielkiego kaznodziei, jego żarliwość i gorąca miłość ojczyzny, przyczyniły się też niemało do ratowania sławy Zakonu nawet u tych, którzy Jezuitów nienawidzili i działania ich stanowczo potępiali. Ale głos zakonnika-patryoty był głosem wołającego na puszczy, społeczeństwo ówczesne nie było w stanie pojąć go ani zrozumieć. Szlachta epoki zygmuntowskiej, wydająca z pomiędzy siebie znakomitych mowców i statystów, szlachta wykształcona, łamiąca przewagę możnowładztwa i duchowieństwa, wolnomyślna w rzeczach sumienia, dbała o oświatę, biegnąca tłumnie na obce uniwersytety dla zaczerpnięcia nauki lub polerowania obyczajów, ta szlachta ustępuje miejsca hałaśliwej, nieokiełzanej i ze sprawami publicznemi mało obznajomionej rzeszy ziemian, która zaczyna coraz więcej czapkować magnatom i splendor pański cenić wyżej niż równość szlachecką. Wśród najgorętszego — jakby się zdawało — ruchu demokratycznego, podczas zjazdów rokoszowych, obwołują szermierze swobód szlacheckich przez aklamacyą marszałkiem Janusza Radziwiłła nie z innego powodu, jak tylko że był Radziwiłłem i wyprawił burdę pod bokiem króla, wyjeżdżają gromadnie na powitanie Janusza Ostrogskiego, którego niedawno jeszcze do kasztelanii krakowskiej dopuścić nie chcieli, słuchają z nabożeństwem bredni Dyabła Stadnickiego, tyranizującego szlachtę przemyską i wielbią w Jerzym Zbaraskim nieustraszonego obrońcę wolności. Zdrowy rozum szlachecki, objawiający się w kilku bojaźliwych przemówieniach, milknie zahukany przez napuszystą frazeologię możnowładczych trybunów, z których jeden niebawnie żeni się z Niemką, kurfirsztówną, bo „równych sobie“ w Polsce nie znajdzie, a drugi za starostwo sokalskie pójdzie służyć królowi w jednym szeregu ze znienawidzonymi przez siebie Jezuitami. Owo płaszczenie się możnowładztwu, to niewątpliwie objaw upadku społeczeństwa, to skutek ciemnoty mas szlacheckich i owego systemu protekcyjnego, jaki panuje u dworu. Znano go i dawniej wprawdzie, ale w odmiennej formie. Świadczą o tem nobilitacye ludzi zasłużonych i owa opieka, jaką otaczał Zamoyski znakomitych pisarzy i uczonych bez względu na pochodzenie i klejnot szlachecki. Po jego śmierci inne nastały czasy. Droga do dygnitarstw i godności prowadziła przez przedpokoje królewskie, za każdem starostwem opró-

[1]) Broszura ta w polskim języku zaginęła, dochowało się jednak tłumaczenie jej francuskie, wydane w Amsterdamie w roku 1726. Nowego przekładu na polskie dokonał A. Sozański. Niektóre pisma A. Sozańskiego, t. II, w Krakowie 1871.

żnionem, za każdą kasztelanią, chociażby drączkową, odbywały się formalne gonitwy, w których tryumf odnosiła intryga lub protekcya, a rzadko tylko prawdziwa zasługa. Stronnictwa dworskie ścierały się ze sobą i dochodziło do tego, że — jak współczesny świadek się wyraża — „brat brata się strzeże, wszystko się powikłało, szczerość bandytem“.[1]) Przykład dworu działał zaraźliwie na duchowieństwo i szlachtę. Księża pochlebstwami i bieganiem po kardynałach wyrabiali sobie w Rzymie przywileje na kanonie i prebendy z pominięciem władz krajowych,[2]) szlachta trzymała się coraz to silniej pańskich klamek, obdarzając zaufaniem swojem nieletnich paniczów, imponujących fortuną i blaskiem imienia. Bogusław Radziwiłł, syn Janusza, został posłem z oszmiańskiego powiatu mając lat 16, a na pamiętnym sejmie roku 1652., gdzie Siciński zerwał obrady, ilość posłów-niedorostków, synów senatorskich, była już bardzo znaczna.

Widzieli te wady wszyscy współcześni myślący ludzie tak dobrze jak i my dziś, więc nawoływali słowem żywem i pismem do naprawy złego i upamiętania się. Niema okresu w literaturze naszej, z wyjątkiem panowania Stanisława Augusta, bardziej obfitującego w broszury polityczne, pełne zdrowej treści, rad rozumnych i bystrej krytyki stosunków społecznych. Wspomniany kilkakrotnie już ks. Józef Wereszczyński ogłasza w roku 1594. swoją Publikę, w której zwraca uwagę na niebezpieczeństwo od Moskwy grożące; w rok potem podaje Sposób osady nowego Kijowa, w roku 1597. projekt „podniesienia wojny potężnej przeciwko cesarzowi tureckiemu bez ruszenia pospolitego“. W podobnym duchu, ale z ogólniejszego stanowiska, przemawia ks. Piotr Grabowski w Zdaniu syna koronnego i Polsce niżnej, wołając: „Macie wszystko, co najzacniejsze państwo mieć może, rządu wam tylko potrzeba“. O tym rządzie, a raczej o poprawie sejmowania, rozpisuje się nieznany autor Zwierciadła Rzeczypospolitej polskiej, Karnkowski w Eksorbitancyach, ktoś inny z Ukrainy „ex solitudine Jezierskiei“ podaje „warunki zatrzymania Rzeczpospolitę oyczyznę miłą domu w rządzie gruntownym“ (r. 1617), słowem kwestya reformy porusza wszystkie umysły. Cieszy się z tego Krzysztof Warszewicki, obrońca zasad monarchicznych (De optimo statu libertatis 1598) i w r. 1605. i 1606. wchodzi rzeczywiście na porządek dzienny projekt, aby sprawy sejmowe rozstrzygano większością głosów. Ale właśnie ten zamiar wywołuje namiętną opozycyą w kołach, dążących do zupełnej decentralizacyi państwa. Dla nich stan obecny jest już złym i szkodliwym. „Nie pozwalać — mówią — nic na sejmie stanowić, coby wprzód na sejmikach namówiono, w instrukcyą z sejmików posłom podano nie było“, tą drogą obierać także urzędników najwyższych, nie zawierać nic przeciw protestacyi poselskiej.[3]) Więcej wykształceni wpadli na inny pomysł. Uczony doktryner, Jan Szczęsny Herburt, pragnął zreformować Polskę na wzór rzeczypospolitej weneckiej, chociaż Skarga dowodził rozumnie, że

[1]) Piotr Żeroński do biskupa warmińskiego. Teki Naruszewicza do r. 1606, t. I, nr. 5.

[2]) Andrzej Lipski do Rudnickiego. Rękopis biblioteki Czartoryskich, nr. 1626, pag. 403.

[3]) Rzeczy naprawy potrzebujące abo sejmikiem abo rokoszem w I zeczypospolitej. Rękopis biblioteki Czartoryskich nr. 439, str. 342.

Korona jest królestwem, „a nie miastem greckiem albo szwajcarskiem, ani Wenecyą“, że „wszystka szlachta musiałaby w jednych murach i w jednem mieście zamknąć się i tak mieszkać, aby o sobie wszyscy radzić mogli“. Do innych zupełnie wniosków doszedł Łukasz Górnicki, badając stosunki włoskie. On w Rozmowie o elekcyi uderzył przedewszystkiem na swawolę i na krzywoprzysięstwa, które podług słów Ostroroga na sejmie roku 1605. „tak się zamnożyły, że je sobie ludzie za nic mają“, na bezkarność zbrodniarzy rozmaitego rodzaju, na potrzebę reformy sądownictwa. Ciągłe wojny i połączone z niemi wydatki zwróciły uwagę na skarb Rzeczypospolitej. O założeniu skarbu mówi się też i pisze wiele.

Rokoszanie podnoszą dawny projekt Modrzewskiego, nieznany autor (Votum szlachcica polskiego 1596. r.) domaga się ustanowienia stałego wojska na obronę krajów ruskich, bo pospolite ruszenie „większą szkodę zwykło czynić braci swej, a niż nieprzyjacielowi“, a gdy zarzucają brak pieniędzy, więc zahamować się w niepotrzebnych wydatkach, na rzeczy zbytkowne, a założyć skarb. Już z tego pobieżnego przeglądu można poznać, jak obfitą była współczesna literatura polityczna. Drugie tyle może broszur rozmaitego rodzaju spoczywa dotąd jeszcze w pyłach archiwalnych. Za polityką szła historya. Urywa się cenna kronika Bielskiego na roku 1598., miejsce jego zajmuje Stanisław Łubieński, doskonale o sprawach publicznych poinformowany, królowi przychylny, ale przytem prawdomowny i sądów swoich nieobwijający w bawełnę. W trzech obszernych pracach historycznych opisał on podróż Zygmunta III. do Szwecyi (w roku 1598.), rokosz Zebrzydowskiego (De motu civili) i żywot Pstrokońskiego, w każdej z nich podał mnóstwo szczegółów bardzo ciekawych i skądinąd nieznanych. Opowiadając o przebiegu bitwy guzowskiej, nie szczędził senatorów, uciekających sromotnie z pola walki i tem ściągnął na siebie i na swoje dzieła ostrą naganę Koniecpolskiego, tak, że pierwotne wydanie pism jego zniszczono, a z drugiego usunięto inkryminowane ustępy. Drugim z kolei historykiem tej epoki był biskup przemyski Paweł Piasecki († 1646), niechętny Jezuitom, w sądach swoich bezwzględny i cierpki. Kronika jego (Chronica gestorum in Europa singularium, (wyd. w roku 1645.) ściągnęła też na siebie wiele zarzutów, jakoby była dziełem stronniczem i żółcią zaprawnem, co jednak udowodnić się nieda, jakkolwiek Piasecki sprzyja opozycyi i krytykuje ostro politykę dworu i regalistów. Kobierzycki Stanisław (Historia Vladislai principis) wychwala z zapałem przymioty królewicza, Wassenberg ogranicza się do suchego sprawozdania faktów historycznych (Gesta Vladislai).

Dzieje innowierców opisywali: Węgierski, Lubieniecky Stanisław i Andrzej; historyą Jezuitów opracował Argentus, Jezuita Kasper Sawicki wydał pod imieniem Kaspra Cichockiego, kanonika i proboszcza sandomierskiego, książkę polemicznej treści, broniącą Zakonu, pod tytułem Alloquia Osiecensia, a ks. Wojciech Dębołęcki z Konojad ułożył oryginalnym stylem Przewagi Elearów polskich, przedstawiające wyprawy Lissowczyków w kraje cesarskie i awanturnicze boje tych na pół kozackich rycerzy. Praca ta wkracza już w zakres pamiętników, szczególniej licznych

w epoce tak niespokojnej i wojennej. Przygody swoje opisują więc Marchocki, Maszkiewicz, Szemberg, naoczny świadek klęski cecorskiej, Zbigniew i Jerzy Ossolińscy, Jakób Sobieski, jeden z komisarzy na chocimskiej wyprawie; Stanisław Żółkiewski opowiada klasycznym prawdziwie stylem udział swój w wojnie moskiewskiej (Progres wojny moskiewskiej), wiele innych, jak pamiętnik Jana Piotra Sapiehy, zaginęło lub spoczywa dotąd w rękopisie.

Tak liczne publikacye musiały ożywić ruch wydawniczy. Jakoż we wszystkich miastach większych i mniejszych nawet rozwija się przemysł drukarski, a obok niego i wyrób papieru. W Poznaniu słyną oficyny Neringa i Wolraba, w Krakowie Siebeneychera, Skalskiego, Caesarego i Piotrkowczyka, w Wilnie Mamonicza, w Kijowie Ławry peczerskiej, we Lwowie, Mohilewie, Poczajowie i Ostrogu drukarnie ruskie, w Dobromilu wędrowna po części drukarnia Jana Szeligi; papieru dostarcza Rawa i Rybotycze, droższy i lepszy sprowadzają z zagranicznych fabryk. W Dobromilu Jan Szczęsny Herburt podejmuje wydanie kroniki Długosza, drukuje pamiętnik Orzechowskiego o wojnie kokoszej; nakład Długosza wychodzi w 1045 egzemplarzach, bo obliczony nietylko dla Polski, ale i na całą Europę. Potężny ten rozwój piśmiennictwa, o charakterze przeważnie polemicznym, wywołuje jednak liczne starcia i nieporozumienia, które dają się uczuć dotkliwie zarówno drukarzom, jak i autorom samym. Król angielski, Jakób I., urażony wycieczkami przeciw Sztuartom i królowej Elżbiecie w Alloquiach Sawickiego, zażądał przez posła swego Dickensona[1]) ukarania autora i zniszczenia niegodziwej książki. Zygmunt III. oświadczył, że gdy autor do stanu duchownego należy, nie może być karanym przez sądy świeckie, król upomni jednak biskupa, aby Cichockiego (bo pod jego imieniem książka wyszła) od podobnych niewłaściwości na przyszłość powstrzymał. Gorzej powiodło się Herburtowi, który, jako zawzięty rokoszanin i nieprzyjaciel Jezuitów, był podejrzany zawsze u dworu i wydał świeżo już wspomniany pamiętnik Orzechowskiego. W roku 1615. zakazano więc sprzedaż edycyi Długosza i Szelidze na jarmarku lwowskim skonfiskowano wszystkie przywiezione egzemplarze,[2]) narażając go w ten sposób na bardzo znaczne straty. Dotkliwiej jeszcze mścili się Jezuici na drukarzach, tam, gdzie nie mogli dosięgnąć autora. Gdy Nering w Poznaniu wydał broszurę Niemojewskiego „Dyatrybe albo kollacya przyjacielska z XX. Jezuitami“, oni wyrobili u biskupa Kościeleckiego nakaz zamknięcia drukarni i spalenia publicznego wszystkich egzemplarzy pomienionego dziełka[3]); Piotrkowczyk w Krakowie odpokutował wydanie „Gratisa Plebańskiego“ (autor akademik Brożek) chłostą publiczną, na mocy wyroku uzyskanego przez Jezuitów. Walka z przemożnym wpływem Zakonu w takich warunkach była i nierówna i niebezpieczna, nic dziwnego zatem, że akademia krakowska, i tak w wielkim pogrążona upadku, uległa Jezuitom i że oni niebawem całe wychowanie publiczne w ręce swoje ujęli. Nie mogły się też powieść i usiłowania, zmierzające do podniesienia

[1]) Sokołowski A. „Spór o książkę“. Archiwum komisyi historycznej, t. I, str. 401.
[2]) Łoziński Władysław. Spór drukarza z księgarzem w r. 1616. Kwartal. histor., rocznik III.
[3]) Wiszniewski. Historya literatury, t. VIII, str. 223.

i pewnego zreformowania edukacyi. Jan Zamoyski założył w roku 1594. akademią w Zamościu, powołując na superintendanta tej szkoły poetę Sebastyana Klonowicza. Rozmiłowany w klasycznym świecie, gorący zwolennik hellenizmu, pragnął kanclerz kierunek ten zachować w akademii zamoyskiej, która miała nieść światło ziemiom ruskim. Jakoż profesorowie nowej tej szkoły, Burski i Szymon Birkowski, pielęgnowali z zamiłowaniem filologią grecką i prześcignęli pod tym względem uniwersytet krakowski, ale po śmierci fundatora akademia upadać zaczęła i początkowej sławy swojej już nie odzyskała.

Podobnie jak w historyi, musiały się odbić kierunki współczesne także i w poezyi. Ogólną cechą tej gałęzi piśmiennictwa w chwili obecnej jest brak potężnych talentów w porównaniu do epoki zygmuntowskiej i przewaga języka łacińskiego. Najznakomitsi poeci z czasów Zygmunta III.: Klonowicz, Szymonowicz i Maciej Kazimierz Sarbiewski posługują się przeważnie językiem łacińskim, chociaż polskie ich utwory świadczą, że i mową ojczystą po mistrzowsku władać umieli. Klonowicz jako poeta opisowy (Flis, Roksolania) i dydaktyczny (Worek Judaszów, Victoria Deorum), Szymonowicz i Zimorowicz jako naśladownicy Wirgila i Teokryta w sielankach, pierwszorzędne niewątpliwie zajmują miejsce. Klonowicz odznacza się nadto głębszą myślą polityczną i reprezentuje w literaturze te same zasady, które starał się wprowadzić w życie kanclerz Zamoyski.[1]) Ta okoliczność, jakoteż pismo (Eques Polonus) przeciw Jezuitom wydane, naraziło go na mnogie prześladowania, wskutek czego, mianowicie po śmierci Zamoyskiego, popadł w nędzę i umarł opuszczony. Głęboka religijność cechuje dwóch innych poetów tego czasu: zacnego ziemianina Kaspra Miaskowskiego i ks. Stanisława Grochowskiego. Miaskowski, jakkolwiek w bliskich i serdecznych stosunkach z Herburtami, jest w całem tego słowa znaczeniu regalistą, przeciwnikiem rokoszu i ascetą niemal w rzeczach wiary dotyczących, zaczem go słusznie Szujski ze Skargą porównuje. Grochowski, typ poety-księdza, razi tonem panegirycznym i szukaniem protekcyi możnych. Układa on „Plankty na zejście świątobliwej królowej Anny“, Treny na śmierć Zamoyskiego, rozmaite epitafia i pieśni okolicznościowe, a obok tego szczypie udatną wcale satyrą („Babie koło“) kandydatów, ubiegających się o biskupstwo krakowskie. Andrzej i Piotr Zbylitowscy najbliżsi są pod względem talentu Klonowiczowi. Z tłumaczów odznaczył się Piotr Kochanowski wybornym przekładem Tassa „Jerozolimy wyzwolonej“ i „Orlanda szalonego“.

W wymowie kaznodziejskiej celuje obok Skargi ks. Fabian Birkowski, Dominikanin, którego kazania pogrzebowe są zarazem ważnem źródłem historycznem.

O wiele mniej pomyślnie rozwijają się nauki ścisłe, z wyjątkiem prawa i medycyny.

Z pomiędzy jurystów zasługują na wzmiankę: Paweł Szczerbicz, Tomasz Dresner i Teodor Zawadzki, z lekarzy: Sebastyan Petrycy, Jan Brosciusz i Szymon Syreniusz. Pierwszy z nich odznaczył się tłumaczeniem Arystotelesa, drugi trudnił się wiele modną wtedy astrologią, Syreniusz wreszcie ułożył znakomity na owe czasy zielnik.

[1]) Autograf Victorii Deorum, skrzętnie — jak wiadomo — niszczonej, znajduje się w bibliotece ordynackiej Zamoyskich w Warszawie.

Elekcya Jana Kazimierza.
Wedle obrazu Juliusza Kossaka.

Władysław IV. 1632—1648.

Charakter króla. — Elekcya. Po trzech burzliwych bezkrólewiach, z których ostatnie dobrze nawet krwią się oblało, nastąpiła elekcya najspokojniejsza ze wszystkich, będąca raczej dopełnieniem formalności, niż rzeczywistym wyborem nowego pana. Od dawna bowiem wiedziano, że następcą Zygmunta III. będzie nie kto inny, jak najstarszy z królewiczów, Władysław, dziedzic korony szwedzkiej, posiadający w wysokim stopniu miłość i zaufanie narodu. Jakoż były te sympatye zupełnie uzasadnione i zrozumiałe. Syn Szweda i Niemki, wychowany pod okiem surowej ochmistrzyni, władającej wtedy zapewne jeszcze tylko niemieckim językiem, w otoczeniu, złożonem z kobiet lub cudzoziemców, miał Władysław mimoto usposobienie na wskroś polskie. O ile ojciec raził szlachtę hiszpańskim strojem, zamiłowaniem do cudzoziemskich obyczajów, sztywnem jakiemś obejściem, o ile był milczący i zamknięty w sobie, o tyle syn odznaczał się szczerością i otwartością, o tyle był serdecznym i łatwym w stosunkach z ludźmi wszelkiego rodzaju. Zasługa to niewątpliwie późniejszych cokolwiek kierowników wychowania królewicza: Michała Konarskiego, kasztelana gdańskiego, który był jego ochmistrzem, Zygmunta Kazanowskiego, a nadewszystko właściwego nauczyciela, Gabryela. Z pochodzenia plebejusz, uczeń akademii krakowskiej, bez nazwiska rodowego, znany nam tylko pod przybranem imieniem klasycznem „Provanciusa“, później nobilitowany przez sejm jako „Władysławski“, wpoił ten Gabryel zapewne w umysł ucznia swego zasady, pełne szerokiego na świat poglądu, zamiłowanie do wszystkiego co piękne i szlachetne, wykształcił w nim usposobienie przystępne, charakter prawdziwie królewski, niezamykający się w ciasnem kole kastowych wyobrażeń, lecz obejmujący sercem i duchem wszystkie warstwy społeczne, jako nierozdzielne części organizmu narodowego. Pod kierunkiem takich mistrzów i dzięki wrodzonym sobie zdolnościom, wyrósł królewicz na młodzieńca, zamiłowanego w rycerskim rzemiośle, uprzejmego w stosunkach z ludźmi, ceniącego nauki i pełnego gorącej miłości dla ojczyzny.

Poczciwe te podstawy utwierdziła i rozszerzyła znacznie podróż po obcych krajach, którą odbył Władysław w roku 1624. Zwiedziwszy Niemcy, Niederlandy, Szwajcaryą i Włochy, miał on sposobność przypatrzyć się zbliska tamtejszym stosunkom, poznać obyczaje dworów cudzoziemskich i zasmakować w utworach sztuki, której następnie tak troskliwym i hojnym był opiekunem.[1]) Opatrzność zdawała się od początku Władysława do wielkich gotować przeznaczeń. W 16-tym roku życia obrany carem moskiewskim, marzył on odtąd przez lat kilkadziesiąt o pozyskaniu korony, która spoczęła ostatecznie na skroniach Romanowów. Ale właśnie te marzenia wyprowadziły go na szerszą arenę życia publicznego. Wziął udział w wyprawie moskiewskiej, w kilka lat potem w chocimskiej, a jakkolwiek skutkiem uporczywej choroby odznaczyć się nie mógł, to jednak znosząc trudy obozowe razem z żołnierzem, łagodząc

[1]) Wtedy odmalował Rubens portret królewicza, znajdujący się obecnie w zbiorach muzeum polskiego w Rapperswylu.

zatargi i nieporozumienia, zjednał sobie żywe sympatye w kołach rycerskich i szlacheckich. Szczególniejszą miłością otaczali go Kozacy i hetman ich Konaszewicz, któremu królewicz w czasie choroby własnego posyłał lekarza i wielkie okazywał względy. Tak cała Rzeczpospolita, od porohów dnieprowych po kresy zachodnie, była pełna pochwał dla urodziwego i dziwnie uprzejmego młodzieńca, a życzliwość ta objawiła się wyraźnie w roku 1626., gdy wskutek intryg dworskich kanclerz ówczesny, Andrzej Lipski, znany zresztą ze służalczego swego usposobienia, uczynił w sejmie wniosek, aby następstwo na tron polski przyznać najstarszemu synowi Zygmunta III. z drugiego małżeństwa, Janowi Kazimierzowi. Ten projekt niewczesny wywołał w kołach szlacheckich niezmierne przeciw kanclerzowi oburzenie i odtąd kamarylla królowej zaniechała zupełnie dalszych w tym względzie zabiegów. Następne lata nie zachwiały w niczem owej popularności królewicza, owszem udział, jaki brał w wojnie szwedzkiej, mógł tylko podnieść i utwierdzić nadzieje w nim pokładane, tak, że w chwili śmierci ojca, Zygmunta III., oczy całego narodu na Władysława były zwrócone. Wiedziano o tem dobrze za granicą i dlatego żaden z obcych pretendentów nie pokusił się o koronę polską, królewicz był jedynym kandydatem.

Ale jeżeli wszystkie stronnictwa i wszystkie umysły zgadzały się z rzadką w Polsce jednomyślnością na wybór Władysława, to źródłem tej harmonii było także przekonanie, że królewicz, różniący się tak bardzo pod względem charakteru i zasad od ojca, usunie domniemane krzywdy i nadużycia, że uczyni zadość niezliczonym eksorbitancyom, że zgodzi się na dalsze ograniczenie władzy królewskiej, że stanie się rzeczywiście „królem pszczół, który tylko miody przynosi swoim poddanym“. Jakoż natychmiast odezwały się głośnym chórem wszystkie niezadowolone żywioły, powtórzyły się mnogie skargi i żałoby, szlachta czuła, że „mogą sobie pana obrać, nie jakiego casus albo successia przyniesie, i owszem dobrego, cnotliwego i im pożytecznego; ale obierając go, stawią mu zakon, jako im pan rozkazować, a oni pokąd jemu posłuszni być mają“.[1]) W tym celu zapewne obrano na sejmie konwokacyjnym (d. 22. czerwca) marszałkiem izby poselskiej Krzysztofa Radziwiłła. Naczelnik innowierców litewskich, niemiły zmarłemu królowi, był on w tej chwili niejako wyrazem opinii publicznej, sztandarem, około którego skupiła się różnowiercza i różnojęzyczna opozycya.

Cała działalność sejmu zwróciła się też ku dalszemu ograniczeniu władzy królewskiej i ku zniesieniu nadużyć, jakich się Zygmunt III. miał dopuszczać. W eksorbitancyach więc, opracowanych przez osobną komisyą, czyli — jak wtedy się wyrażano — „deputacyą“, postanowiono, aby król nad wolą Rzeczypospolitej wojny zaczepnej (bellum offensivum) podnieść nie mógł, aby na radach senatu, po sejmie, żadnej sprawy, chociażby najpilniejszej i najpotrzebniejszej nie decydowano, aby klejnoty Rzeczypospolitej ścisłej poddano rewizyi. Za tym wstępem ogólnej natury poszły kwestye najdrażliwsze, wyznaniowe. Dyzunici podali sejmowi spis praw i przywilejów cerkwi wschodniej,

[1]) „Naprawa Rzeczypospolitej do elekcyi nowego króla“.

„nadanych i poprzysiężonych“ przez królów polskich, wielkich książąt litewskich i ruskich, katolicy świeccy w spółce z innowiercami ułożyli 29 punktów co do zgody między stanem świeckim a duchownym. Żądali mianowicie, aby szkoły jezuickie w Krakowie zamknięto, aby duchowni nie zasiadali w izbie sejmowej przy sprawach świeckich i aby nie nabywali dóbr świeckich. Jeżeli drugi z przytoczonych punktów był tylko powtórzeniem dawnych postulatów innowierczych z epoki zygmuntowskiej, to trzeci obchodził żywo cały stan rycerski. W spółczesnych rękopisach znajdujemy rozmaite, niezgodne ze sobą obliczenia dóbr duchownych. Podług jednych wynosi suma wszystkich wsi „księżych“ koronnych 80.565, królewskich i szlacheckich 45.000; podług innych posiadają duchowni wsi 160.960, król ze wszystką szlachtą 90.000. Obliczono z tego dalej uszczerbek w dochodach Rzeczypospolitej na 430.166 lub na 368.333 złotych polskich.[1]) Jakkolwiek daty te mogą być i są zapewne niedokładne, to zaprzeczyć się nie da, że ofiarność na cele kościelne w owych czasach nie ustępowała w niczem chyba hojności wieków średnich. Objawiała się ona zarówno w kołach wielkopańskich jak i w chudopacholskich, w stanie rycerskim tak dobrze jak i mieszczańskim. Bogaci patrycyusze lwowscy zapisywali olbrzymie sumy kościołom i klasztorom, a drugie tyle niemal przeznaczali na msze zaduszne, Marcin Anczewski zamówił mszy takich tysiąc.[2]) Niepokoiło to szlachtę ogółem i innowierców, bo rosła przez zapisy tego rodzaju zamożność duchowieństwa, a ciężar podatkowy przewalał się coraz bardziej na dobra szlacheckie, gdy posiadłości kościelne używały rozmaitych przywilejów, uwalniających je od płacenia poborów, na równi z poddanymi dóbr rycerskich.

Wprawdzie udało się duchownym wybrnąć narazie z tej wielkiej trudności i odroczyć sprawę na później, ale nasunęły się wnet inne, niemniej drażliwe kwestye. Domagali się mianowicie Kozacy osobnem poselstwem udziału w elekcyi, zgłaszał się tak jak dawniej z podobnem żądaniem elektor brandenburski. Izba słuchała jednego i drugiego poselstwa z niesłychanem oburzeniem. O elektorze wiedziano przecież, że w spółce ze Szwedami knuł zdradzieckie przeciw Rzeczypospolitej zamiary, Kozaków uważano za poddanych, a nie współobywateli, mających równe prawa ze stanem rycerskim. Odpowiedź wypadła więc odmowna, dla Zaporożców nawet szorstka, chociaż przyznać trzeba, że inną być nie mogła w państwie, gdzie zaledwie posłów miast większych do wyboru króla dopuszczano. Inaczej stało się z dyzunitami i innowiercami, tu bowiem inicyatywę wziął na siebie królewicz i razem z deputacyą sejmową ułożył punkta pokoju religijnego, włączone do konfederacyi, ale nie podpisane przez duchownych, którzy przy zatwierdzeniu aktu zastrzegli wyraźnie nietykalność praw kościelnych (salvis iuribus ecclesiae).

Tak ułożyły się sprawy w przededniu sejmu elekcyjnego, który zgromadził się dnia 27. września, pod laską krajczego koronnego Jakóba Sobieskiego.

[1]) Rękopis biblioteki jagiellońskiej nr. 166; podobne obliczenia znajdują się i w innych rękopisach.

[2]) Łoziński Władysław. Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI. i XVII. wieku. Lwów 1890, str. 23.

W czasie obrony Krakowa od Szwedów chłopcy znoszą kule szwedzkie Czarnieckiemu do użycia ich napowrót przeciw wrogowi.

Wedle obrazu Walerego Eljasza.

Po załatwieniu zwykłych formalności przystąpiono do korektury praw i tu wszczęły się na nowo zawziętsze niż poprzednio spory pomiędzy innowiercami a katolikami. Uchwalono konstytucyą, unieważniającą wszelkie protestacye przeciw pokojowi religijnemu, a sprawę dyzunicką złożono znowu w ręce królewicza. Że Władysław nie skorzystał z tego zaufania stron obu i stanowczo nie rozstrzygnął całej kwestyi, to uważamy za błąd wielki, w skutkach swoich zgubny dla Rzeczypospolitej. Sami Rusini podawali do tego sposoby. Smotrycki, niedawno na unią nawrócony, radził, przypominając czasy Cemblaka i Hrehora, aby Ruś polska obrała sobie patryarchę, niezawisłego od Carogrodu i przytaczał na przykład Moskwę, Wołochów, Serbów i Illirów, że sobie swego udzielnego patryarchę uczynili.[1]) Jakoż samodzielna organizacya cerkwi ruskiej, chociażby podzielonej na unicką i prawosławną, przeprowadzona w tej chwili, mogła jeszcze złemu zapobiedz, a przynajmniej znacznie utrudnić propagandę, z Konstantynopola i z Moskwy pochodzącą. Niewiele lat minęło od czasu, jak przed sądem miejskim lwowskim, mieszczanie Rusini oskarżali seniorów Stauropigii, „że przyniósłszy sobie jakieś bractwo z Turek, od jakiegoś patryarchy, zaprowadzają herezye, dziwne przysięgi czynią w tem bractwie, targają się na obrzędy kościelne, tych rzemieślników, którzy u Polaków robią, albo czeladź, za przeklętą mają i do ceremonij kościelnych nie dopuszczają i plują na nie“; a Skólski, drukarz lwowski, podobnie Rusin, zezna w sześć lat po elekcyi Władysławowej, przed tym samym sądem lwowskim, że Stauropigia, korzystając z przywileju królewskiego, bez wszelkiej cenzury „tysiącami, a nie tysiącami, ale milionami bije“ i rozsyła książki, wymierzone przeciw królowi i religii katolickiej.[2]) Jak trudno przypuścić, aby rząd niemiał wiadomości o sprawach tego rodzaju, odgrywających się przed sądem lwowskim, tak nie łatwo pojąć, dlaczego nie starał się agitacyi legalnemi środkami koniec położyć, dlaczego z karygodną już obojętnością spoglądał na pracę podpalaczy, którzy przygotowywali materyał do rozniecenia straszliwego pożaru. Odkładano to widocznie na porę sposobniejszą, odłożono i teraz, łagodząc dyzunitów oddaniem kilku biskupstw i archimandryj, a innowierców i szlachtę nadzieją konkordatu, który miał król zawrzeć z Stolicą apostolską w kwestyi dóbr kościelnych i mianowania biskupów i opatów. Po utarciu takowem spraw najważniejszych i najdrażliwszych odbyła się w przeciągu pół godziny elekcya Władysława — jak z góry można było przewidzieć — jednomyślna i teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko ułożyć pakta konwenta. Korzystając z tej chwili, wystąpił dnia 12. listopada cześnik kaliski, Orzelski, „z prośbą“ do braci, aby znieśli poradlne i podymne, owe jedyne jeszcze podatki szlacheckie, jako pachnące niewolą, na co wszyscy ze skwapliwością przypadli, odzierając króla i Rzeczpospolitę do reszty ze szczupłych dochodów. A jakby i to jeszcze nie wystarczało do zadowolenia apetytów ziemiańskich, skrępowano silniej niż dotąd ręce królowi w paktach konwentach. Zabroniono mu

[1]) Paraenesis abo napomnienie do przezacnego Bractwa Wileńskiego Cerkwie św. Ducha etc. W Krakowie 1629.

[2]) Łoziński Władysław. Patrycyat lwowski etc. Podług aktów konsularnych lwowskich. Str. 255 i 269.

więc prowadzenia wojny zaczepnej, zaciągania wojsk cudzoziemskich bez wiedzy stanów, trzymania cudzoziemców przy dworze, zawierania małżeństwa bez zezwolenia senatu i sejmu, przepisywano czas, w którym „wakancye“ rozdane być mają i zakończono to wszystko owym znanym już — a zawsze groźnym — artykułem o wypowiedzeniu posłuszeństwa, wrazie niedotrzymania wyżej wymienionych warunków.

Tak dokonała się budowa gmachu wolności szlacheckich; władza królewska, skrępowana zupełnie, stała się igraszką nie szlachty wprawdzie, ale oligarchii możnowładczej, nad majestatem monarszym i Rzeczypospolitej zapanował jako najwyższa instancya, jako wyraz woli narodu sejmik powiatowy i „królewięta“, wodzące tłum ziemian na pasku swoich ambicyj i interesów.

Że Władysław z dziwną łatwością przyjął te wszystkie ograniczenia, że zgodził się nawet na warunek, obowiązujący go do wystawienia floty na morzu Bałtyckiem i do zapłacenia podwójnej kwarty na wojnę moskiewską, to tłumaczy się poniekąd i groźnem położeniem państwa i tem złudzeniem, jakiemu ulegał król, sądząc, że popularnością i dzielnością osobistą skłoni naród do ofiar i do wyrzeczenia się tych zdobyczy, które z oczywistą szkodą Rzeczypospolitej ubezwładniały najlepsze chęci i zamiary panującego. Ufny więc w swoje siły i zręczność rozpoczął on panowanie od wielkich tryumfów, aby je skończyć na większych jeszcze klęskach i zawodach.

Wojna moskiewska i turecka. — Rozejm sztumdorfski z Szwecyą. Śmierć Zygmunta III. i następujące potem bezkrólewie, pełne jak zazwyczaj zamięszania i walk stronniczych, ośmieliły cara Michała Fedorowicza do złamania dywilińskiego pokoju i odwetowej na Polskę wyprawy. Pomysłowa dyplomacya moskiewska, nieufając własnej potędze, zwróciła się do Konstantynopola, aby Amurata IV. podburzyć do wojny z Polską. W lecie roku 1632. wyruszyło poselstwo carskie z bogatemi podarunkami nad Bosfor i pozyskawszy dla swoich planów wpływowego na dworze sułtańskim Abazę, baszę widyńskiego, ściągnęło na południowe prowincye Rzeczypospolitej najazd budziackich Tatarów. Tymczasem armia moskiewska, złożona w części z zaciężnych wojsk cudzoziemskich, obległa pod wodzą Michała Sehina i kniazia Prozorowskiego (w sierpniu) pograniczny Smoleńsk. Dzięki niedbalstwu władz litewskich, które przez lat 20 nic prawie nie uczyniły dla naprawy i wzmocnienia warowni smoleńskich, znajdowała się ważna ta twierdza w stanie prawdziwie opłakanym. Brakowało i kul i prochu i żywności, wały ziemne, źle usypane, waliły się same z siebie, załoga wynosiła zaledwie 3000 ludzi. Mimoto dzielność dowódzcy Sokolińskiego i dodanego mu do pomocy Stanisława Wojewódzkiego, jakoteż nieudolność Moskali sprawiły tyle przynajmniej, że Smoleńsk za pierwszem natarciem nie poddał się i nieprzyjaciel musiał regularne rozpocząć oblężenie. Ale i teraz jeszcze nie umiał sobie dać rady Sehin. Krzysztof Radziwiłł, który z garstką (3000) litewskiego wojska niepokoił Moskali, zdołał w obliczu 60-tysięcznej armii po dwakroć wprowadzić do Smoleńska żywność i posiłki, czem pokrzepiona załoga odparła zwycięsko wszystkie szturmy moskiewskie i doczekała się wreszcie odsieczy pod wodzą samego króla. Wiadomość o oblężeniu Smoleńska i o wojennych przygotowaniach Turcyi wpłynęła znacznie na

uspokojenie umysłów na sejmie elekcyjnym i na przyspieszenie samej elekcyi. W początkach lutego 1633. roku odbyła się koronacya Władysława i sejm koronacyjny niezmiernie burzliwy i „wrzaskliwy“. Król, zrywając zupełnie z polityką ojcowską, oddał wielką buławę litewską i kasztelanią wileńską Krzysztofowi Radziwiłłowi, uspokoił dyzunitów wystawieniem przywilejów na oddane im biskupstwa i archimandrye, dla uregulowania sporów pomiędzy stanem świeckim a duchownym wyprawiono Jerzego Ossolińskiego do Rzymu. Rozumne i taktowne postępowanie króla nie odniosło jednak zamierzonego skutku. Sejm nie uchwalił wcale poborów na wojnę moskiewską, komisya, obliczająca koszta wyprawy, przyszła do przekonania, że podwójna kwarta wystarczyć powinna, resztę miał król z własnych dodać funduszów. Skąpstwo sejmu zmusiło Władysława do szukania nadzwyczajnych źródeł dochodów. Ofiarował więc na cele wojenne koronę ojcowską w wartości 50.000 złotych polskich i wziął od elektora brandenburskiego 90.000 złotych polskich, zezwalając za to na złożenie hołdu z księstwa pruskiego nie osobiście, lecz przez posłów. Zdobywszy takiemi ustępstwami i ofiarami potrzebne na wojnę pieniądze, wyruszył król na czele 16.000 ludzi pod Smoleńsk w sierpniu roku 1633. Pomimo posiłków kozackich, które w sile 15.000 stawiły się na rozkaz Władysława, była armia polska jeszcze o połowę słabsza od wojsk nieprzyjacielskich, rozporządzających nadto ogromną artyleryą, złożoną z 200 armat. Sehin, rozłożywszy wojsko swoje w trzech obozach po obu brzegach Dniepru i obwarowawszy się ostrogami i blokhauzami, nie myślał wcale zaniechać oblężenia, ani też stawić czoła Polakom w otwartem polu. Król zwrócił się więc najpierw przeciw obozowi generała Matissona na górze Pokrowskiej, a zdobywszy tę pozycyą po krwawych walkach dnia 7. i 22. września, uderzył na stanowiska Prozorowskiego, który jednak po pierwszym szturmie zwątpił o dalszej obronie i pod osłoną nocy ustąpił do obozu Sehinowego, położonego pod górą Skowronkową. Od opanowania tej pozycyi, dominującej nad głównem stanowiskiem Moskali, zależał teraz los armii nieprzyjacielskiej i całej wyprawy. Spostrzegli to wodzowie polscy i korzystając z niedbalstwa Sehina, który góry nie obsadził, zajęli ją d. 18. października. Nazajutrz wódz moskiewski, chcąc naprawić błąd popełniony, uderzył całą potęgą na piechotę polską, stojącą na górze Skowronkowej. Wywiązała się stąd bitwa, nadzwyczaj zacięta, trwająca przez cztery godziny aż do zmroku. Polacy ciasną szyją pomiędzy górą Dziewiczą a Skowronkową szli na pomoc atakowanej ze wszech stron piechocie, podczas gdy Moskale, skierowawszy ku owemu przesmykowi morderczy ogień swojej artyleryi, starali się nadaremnie odsieczy przeszkodzić. Z obozu polskiego rzucono tam wszystkie pułki piesze, wreszcie chorągwie konne, które z niesłychaną odwagą i pogardą śmierci wpadały do tej czeluści, zasypywanej gradem kul nieprzyjacielskich i pomimo strat dotkliwych dochodziły do szczytu. Strzelba szła tak gęsto, że piechota polska, wystrzelawszy 70.000 naboi, nie miała w końcu amunicyi, ale nieprzyjaciel nie dopiął swego zamiaru, góra Skowronkowa została w rękach polskich.

Odtąd zmieniło się położenie, król zaczął oblęgać Moskali, spędzonych do jednego obozu, chociaż Sehin, oczekując odsieczy, bronił się uporczywie

jeszcze przez cztery miesiące. Niewiedział, że w listopadzie już Kazanowski Marcin, hetman polny koronny, z Gosiewskim rozbili za Drohobużem armią posiłkową moskiewską i odcięli drogę wszelkim z tej strony posiłkom. Od stycznia zaczęły się wzmagać w obozie nieprzyjacielskim głód i choroby jakieś złośliwe, Sehin próbował układów, licząc na to, że i Polacy cierpią wiele z powodu mrozów i niedostatku.

Ale król, tak jak przez cały czas razem z żołnierzem znosił cierpliwie trudy obozowe, okazał i w tej chwili stanowczej niezachwianą wytrwałość i tem ostatecznie pokonał upór Moskali. Przywiedziony do rozpaczy niemal, podpisał Sehin warunki kapitulacyi dnia 26. lutego, 1. marca wyszło wojsko moskiewskie z obozu, aby „bez bębnów, bez muzyki, z pogaszonemi knotami", w ponurem milczeniu, wśród gęsto uszykowanych rot polskich złożyć u stóp królewskich 122 ozdobne chorągwie. „Wdzięcznaż to była obozowa zabawa nasza — pisze świadek naoczny tych tryumfów, Moskorzowski — gdy owi sędziwi starcowie: Sehin, Prozorowski, Izmaiłów, Białosielski z pułkownikami, oberszterami i ze wszystką starszyzną wojskową, z koni pozsiadawszy i przed króla JMci, który na koniu dzielnym i świetno przybranym siedział, przyszedłszy, w samą ziemię czołem bili".

W istocie zwycięstwo było wielkie, niepamiętne niemal, nieprzyjaciel, straszny niedawno i potężny składał broń przed garstką wojska polskiego i oddawał w ręce zwycięsców 110 armat, 7 moździerzy, muszkietów ze szpadami na 8000 ludzi i 80 beczek prochu. Przerażenie ogarnęło Moskali; na kilkadziesiąt mil w około poddawało się wszystko Polakom, król 11. marca puścił się w dalszą drogę ku Moskwie i zaczął oblegać Białą. Oblężenie nie wiodło się wprawdzie, ale car przestraszony postępami oręża polskiego, szczerze starał się o pokój. Dnia 27. maja 1634 zawarto też traktat w Polanowie. Moskale odstąpili Rzeczypospolitej ziemię siewierską, czernichowską i smoleńską i zrzekli się wszelkich praw do Inflant, Estonii i Kurlandyi, tak, jak Władysław do korony moskiewskiej. Oprócz tego płacił car 200.000 rubli wynagrodzenia za koszta wojenne.

Świetne to powodzenie było niestety kresem przewagi polskiej na wschodzie. Równocześnie z wojną moskiewską toczyła się turecka na południowych kresach Rzeczypospolitej. Napad Tatarów odparł wprawdzie zwycięsko hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, rozbiwszy ze szczętem powracającą hordę pod Sasowym Rogiem (w lipcu roku 1633.), ale w kilka miesięcy potem ruszył z wielką potęgą na Podole Abazy basza. Koniecpolski, na czele niespełna 11.000 ludzi, pomiędzy któremi było 6000 nadwornych hufców Wiśniowieckiego, Lubomirskiego i Zamoyskiego, odparł nawałę pogańską pod Paniowcami, niedaleko Kamieńca i zmusił Turków do ucieczki, ze względu jednak na słabe siły swoje i wojnę moskiewską, wysłał do Konstantynopola podkomorzego lwowskiego Trzebińskiego w misyi pokojowej. Trzebiński, odważnie stawiając się sułtanowi, który podczas audyencyi do szabli się nawet porywał, zdołał pozyskać dla siebie pokojowo usposobionego Murtezę baszę, ale nie mógł przeszkodzić wyprawie Amurata IV., który, podburzony przez Abazę, w kwietniu roku 1634. z wielkiem wojskiem wyruszył do Adryanopola.

Dopiero wiadomość o zwycięstwie pod Smoleńskiem i powrót króla, który natychmiast udał się do Lwowa, usposobiły Turków łagodniej. Niespokojny Abazy basza, wróg Polski, zginął zaduszony z rozkazu sułtana, a z jego śmiercią upadły i wojenne zamysły padyszacha. W październiku roku 1634. zawarto pokój, w którym Rzeczpospolita obowiązała się powściągnąć Kozaków, Turcy wyrugować Tatarów z białogrodzkiego stepu. Na hospodarów wołoskich i multańskich miał sułtan mianować kandydatów, przez króla polskiego podanych.

Z groźnego niebezpieczeństwa, z wojny na dwóch frontach równocześnie prowadzonej, wyszła Polska zwycięsko, dzięki osobistej dzielności króla i walczącego pod jego dowództwem rycerstwa. Zdawało się więc, że te tryumfy, rozbrzmiewające po całej Europie, uwiecznione wybornemi sztychami Hondiusa i Adolfa Boya, obudzą w narodzie ducha rycerskiego, że zagrzeją szlachtę do dalszych usiłowań, które, podjęte w tej chwili, mogły Rzeczpospolitę jeżeli nie na zawsze, to na długie lata ubezpieczyć od niespodzianek wojennych i narodowi trwałą zapewnić pomyślność.

Należało mianowicie rozprawić się jeszcze ze Szwedami i uregulować sprawy ukrainne, aby potem zażywać spokojnie owoców błogiego i przez stan ziemiański tak gorąco upragnionego pokoju. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nadarzała się do tego wybrnięcia z wszelakich kłopotów sposobność bardzo pomyślna. Gustaw Adolf zginął w bitwie pod Lützen (16. listopada 1632. r.), a na tronie szwedzkim zasiadła małoletnia córka jego Krystyna, podczas gdy kierunek spraw publicznych objął znakomity mąż stanu, kanclerz Axel Oxenstierna. Aby zrównoważyć stratę tak wielkiego wojownika jak Gustaw i pokrzepić upadających protestantów niemieckich, do czego siły szwedzkie już nie wystarczały, chwycił się Oxenstierna skwapliwie przymierza francuskiego, które z wszelką gotowością podsuwał mu Richelieu z pobudek czysto egoistycznych. Mimoto nie wiodło się z początku tej nowej koalicyi, Bernard książe wejmarski przegrał bitwę pod Nördlingen (w roku 1634.), a równocześnie prawie ubiegał rozejm z Polską i nowa wojna groziła znękanym Szwedom, wojna już nie z ociężałym Zygmuntem III., lecz z Władysławem, okrytym chwałą smoleńskiego zwycięstwa. Toż nic dziwnego, że tak dyplomacya szwedzka jak i francuska skierowała uwagę swoją na wschód i że powstał u niej zamiar nietylko pogodzenia Szwecyi z Polską, ale i wciągnięcia Rzeczypospolitej do wojny 30-letniej, do owej wielkiej kombinacyi politycznej, mającej na celu złamanie potęgi habsburskiej i zupełne przekształcenie rzeszy niemieckiej. Zamiar ten zdawał się zaś tem łatwiejszym do wykonania, gdy Władysław IV., zerwawszy z wewnętrzną polityką ojca i kuzynom swoim rakuskim dziwną okazywał obojętność. Użyto więc wszelkich środków, aby króla pociągnąć w objęcia koalicyi francusko-szwedzkiej. Wystąpiły z pośrednictwem Anglia i Holandya, popierając w ten sposób zabiegi Francuzów i Szwedów, pojawił się projekt ożenienia Władysława z córką króla „zimowego“ Fryderyka, wnuczką Jakóba I., króla angielskiego. Wszystko zależało od sejmu, od narodu, który królowi ręce skrępował i możność samodzielnego działania odebrał. Sejm tymczasem, a raczej ci, co tym sejmem trzęśli i kie-

runek polityce jego nadawali, mieli zupełnie inne pojęcia o położeniu i potrzebach Rzeczypospolitej. Objawiały się one także w chwilowych porywach patryotycznych i w uwielbianiu cnót i czynów królewskich, ale ostatecznie powracały znowu do tego punktu widzenia, w którym skupiał się cały rozum stanu szlacheckiego, do pragnienia pokoju, dającego możność używania i miłego po wojnach wypoczynku. Więc kiedy województwa małopolskie z własnego natchnienia uchwaliły w r. 1634. podatek na wojnę moskiewską, kiedy na sejmie tegoż samego roku marszałek izby poselskiej Tryzna, witając króla w podniosłych słowach dowodził, że „tym krótkim czasem robót swoich przeszedł cudowne owe świata wszystkiego dawnych bohaterów dzieła“, to niezapomniał dodać przy końcu, że król większe jeszcze nad sobą samym odniósł zwycięstwo, kiedy dalszej wojny z Turkami zaniechał. Sejm następny okazał się cokolwiek względniejszym, uchwalił bowiem podatki na wojnę szwedzką, ale dodał do tego warunek, osłabiający bardzo znaczenie uchwały, gdy wysokość podatku uczynił zawisłą od postanowień sejmików. Z takim wekslem wątpliwej wartości można było myśleć o odparciu najazdu szwedzkiego na Prusy, w najlepszym razie o odzyskaniu miast i portów pruskich, ale nie o mięszaniu się do wielkiej wojny niemieckiej, o prowadzeniu polityki w stylu Richelieugo lub Oxiensterny. Rozchwiały się też projekta Richelieugo, który za przymierze z Francyą i wystawienie 10-tysięcznej armii ze strony Polski ofiarował królowi Szląsk i małżeństwo z Maryą Ludwiką Gonzagą, nie przyszedł do skutku związek z córką palatyna Fryderyka, bo senatorowie, już to z obawy przed szlachtą, już to pozyskani przez dwór wiedeński, do aliansu z Francyą dopuścić nie chcieli, a biskupi — z wyjątkiem Piaseckiego — sprzeciwiali się stanowczo małżeństwu króla z księżniczką protestancką.

Wielkie plany skończyły się więc na demonstracyi wojennej w Prusiech w celu poparcia układów, które prowadzono w Sztumdorfie z udziałem posłów: francuskiego, hrabiego d'Avaux, angielskiego i holenderskiego i komisarzy elektora brandenburskiego. Zamiast stałego pokoju zawarto zawieszenie broni na lat 26 (12. września 1635. r.). Szwedzi zwracali wszystkie zabory w Prusiech i flotyllę polską, uprowadzoną z zatoki gdańskiej, zatrzymywali zaś miasta i zamki, zdobyte w Inflantach. Dziedziczne prawa Władysława IV. do Szwecyi zostały w zawieszeniu.

Sprawy religijne. — Kudak. — Małżeństwo Władysława IV. z Cecylią Renatą. — Bunty kozackie. Jeżeli sejm roku 1635., uchwalając podatki na wojnę szwedzką, nie myślał wcale o wielkiem jakiemś przedsięwzięciu wojennem, owszem mianował równocześnie komisarzy do traktatów pokojowych w Sztumdorfie, jeżeli senatorowie następnie oparli się hazardownym — podług ich mniemania — planom francuskim, to w innym kierunku za to przybrała cała działalność tego sejmu cechę niezwykłej stanowczości. Poselstwo Jerzego Ossolińskiego do papieża Urbana VIII., odprawione z niesłychaną wspaniałością, zjednało ważne ustępstwa ze strony Stolicy apostolskiej. Papież cofnął dekret swój, wydany w sporze Jezuitów z akademią krakowską, przyznał królowi właściwie prawo nominacyi biskupów i dwunastu opatów i wydał zakaz nabywania dóbr szlacheckich przez Zakony.

Nie zadowolnił się tem sejm i uchwalił cały szereg artykułów, ograniczających dosadniej owo nabywanie majątków świeckich przez duchowieństwo, a zarazem zniósł apelacyą do Rzymu w sprawach kryminalnych, granicznych i o obrazę honoru pomiędzy duchownymi a świeckimi. Ugodę dawniejszą z dyzunitami zatwierdzono pomimo oporu kuryi rzymskiej, przyznając prawosławnym wolność odprawiania jawnego nabożeństwa, prawo zakładania cerkwi i monasterów, oddając nieunitom biskupstwa we Lwowie, Przemyślu i Mohylewie i metropolicie dyzunickiemu w Kijowie cerkiew św. Zofii, wraz z dobrami do niej należącemi. Jeszcze radykalniejszym okazał się sejm w sprawie kozackiej. Ostatnia wojna turecka, zażegnana nietyle zwycięstwami Koniecpolskiego, co zręcznem użyciem dyplomatycznych środków, miała źródła swoje tak jak i dawniejsze najazdy w „swawoleństwie“ i „inkursyach“ kozackich. „Najjaśniejszy cesarz JM. z przodków swych szerokim panując państwom — tak pisał Abazy basza do hetmana — przestrzega tego, żeby w nich żadna nie postała nieprzyjacielska noga; zaczem, gdy się swawoleństwo lubo z waszej ziemi ukaże, trzeba, aby z niego sprawiedliwość uczynioną była“. I rzeczywiście jednym z najważniejszych punktów pokoju, który zawarto następnie, było zobowiązanie Rzeczypospolitej do zahamowania „chadzek“ kozackich na morze. Król, zjechawszy się wtedy z hetmanem wielkim koronnym we Lwowie, postanowił założyć w tym celu twierdzę u porohów dnieprowych,[1]) wypełniając w ten sposób zarazem owe natarczywe żądania sejmów i zjazdów rokoszowych, domagające się stawienia warowni, na otwartych zewsząd kresach pogańskich. Postanowienie było rozumne i trafne, bo dawało początek i podstawę do uspokojenia Ukrainy, do uregulowania anormalnych stosunków tamtejszych. Potępiając surowo egoizm szlachecki, niemożna znowu odmówić tej szlachcie prawa i słuszności, kiedy żądała skutecznej opieki rządowej nad krajem, wydanym na pastwę pogaństwa i swawoli Niżowców. Szlachcic, który z trudem i mozołem ściągał osadników na step bezludny, uprawiał rolę, leżącą dotąd odłogiem i zdobywał bądźcobądź dla cywilizacyi i pracy ekonomicznej nowe obszary, nie mógł przecież obojętnie patrzyć na to, jak jego poddani zbiegali na Niż i jak pierwszy lepszy czambuł tatarski puszczał z dymem całą osadę i niszczył plon długoletniej pracy. Narzekania szlachty były więc uzasadnione i dziwić się nie można wcale, że sejm zajął się gorliwie sprawą kozacką i uchwalił cały szereg konstytucyj, które miały „w piękny porządek ująć“ Niżowców.

Ustanowiono przeto 7-tysięczny regestr, zabroniono szlachcie udział w wyprawach kozackich pod karą banicyi i na budowę twierdzy nad Kudackim porohem uchwalono 100.000 złotych polskich. Nie było to — jak mówią — zmniejszenie, lecz powiększenie regestru o 1000 ludzi, nie było uciemiężeniem nowem Kozaków, lecz zahamowaniem swawoli, ściągającej na Rzeczpospolitą i na Ukrainę, na ludność spokojną i pracy oddaną, niewymowne klęski i utrapienia.

Koniecpolski, pojmujący wybornie doniosłość uchwały sejmowej i jako pan rozległych włości ukraińskich, sam w tej sprawie interesowany, wziął się

[1]) Dubiecki Maryan: Kudak, twierdza kresowa i jej okolice. Monografia, nagrodzona przez Akademię umiejętności w Krakowie. Przegląd polski z r. 1879. Str. 220.

energicznie do dzieła. Beauplan, inżynier francuski w służbie polskiej, wygotował plan twierdzy i w kilka miesięcy później, na wzgórzu, położonem naprzeciw ujścia Samary do Dniepru, stanęła warownia, od porohu kojdackiego Kudakiem zwana, panująca działami swojemi nad całą rzeką i przecinająca drogę do Siczy. Kilkaset dragonii cudzoziemskiej, pod dowództwem Francuza Mariona, stanowiło całą załogę tej samotnie w stepach porzuconej twierdzy. Wiadomość o zbudowaniu Kudaka i energia, z jaką Marion zabrał się natychmiast do wykonania rozkazów hetmańskich, wywołała wielkie wzburzenie wśród Niżowców i skoro tylko wojsko polskie oddaliło się z Ukrainy na ową demonstracyjną wyprawę przeciw Szwedom do Prus, napadli Kozacy pod wodzą Sulimy podczas ciemnej nocy na zamek, nieopatrzony jeszcze należycie w artyleryą, i wdarłszy się po drabinach na wały, wycięli po sześciogodzinnej krwawej walce załogę, zburzyli całą warownią, a Mariona, przywiązanego do słupa, zabili okrutnie strzałami z łuków. Nad ich spodziewanie jednak skończyła się wojna szwedzka w tymsamym prawie czasie, kiedy wykonano napad na Kudak i Koniecpolski nadbiegł natychmiast z całem wojskiem nad Dniepr, aby bunt kozacki stłumić w zarzewiu.

Przestraszeni nagłem zjawieniem się hetmana Niżowcy, mając w świeżej pamięci jeszcze perejasławską klęskę, nie śmieli stawić czoła hufcom polskim, lecz, upokorzywszy się natychmiast, wydali Sulimę z pięciu hersztami buntu i uzyskali tą powolnością dla siebie przebaczenie hetmańskie. Wydanych naczelników powstania zaprowadzono do Warszawy, gdzie się odbywał właśnie drugi z kolei sejm roku 1635.; tu na mocy wyroku sądowego wszyscy zostali skazani na śmierć i karę tę rzeczywiście ponieśli, z wyjątkiem Pawluka, którego wyprosił kanclerz Tomasz Zamoyski. Srogość ta, szczególniej względem Sulimy, nie była o tyle uzasadniona, że ataman, acz szczery buntownik, sprzyjał wierze katolickiej, przed śmiercią na katolicyzm się nawrócił i prosił usilnie, aby go wraz z wizerunkiem, jaki otrzymał od papieża, pochowano. Słusznie zatem żądał jego ułaskawienia król Władysław IV., ale instancya monarsza nie była tak skuteczna jak senatorska i Sulima dał gardło na rynku warszawskim, podczas gdy Pawluk swobodnie powrócił na Ukrainę, aby nowe tam rozniecić powstanie, zanim w myśl powtórnej uchwały sejmowej podniosły się z gruzów warownie kudackie.

Rok następny 1636. minął jednak spokojnie; Kozacy upokorzeni upominali się tylko o żołd zwyczajny, który ich, wskutek niedbalstwa skarbowych urzędników, nieregularnie dochodził. Król, przewidując trafnie niezadowolenie, jakie z tego powodu pomiędzy regestrowcami wyniknąć mogło, upominał częstemi listami senatorów do uiszczenia zaległych pieniędzy, ale gdy nalegania te żadnego nieodniosły skutku, zaludniły się znowu ostrowy dnieprowe, powstało podobne jak dawniej wzburzenie umysłów i na czele czerni zbuntowanej stanął ów od śmierci wymodlony Pawluk, głosząc, że król przed panami musiał uciec za Niemen, że prosi Zaporożców o pomoc i że zatem należy uderzyć na Warszawę i zaprowadzić tam ład i porządek. Odezwa skutkowała; poruszyły się masy chłopstwa, wybuchło powstanie, co jest charakterystycznem, w dobrach dyzunity Adama Kisiela, a na Zadnieprzu zawtórowały

temu ruchowi posiadłości rozległe Wiśniowieckich. Wysłany na Ukrainę hetman polny koronny Mikołaj Potocki ściągnął wierne Rzeczypospolitej pułki regestrowe i połączywszy je z wojskiem koronnem i milicyą Jeremiego Wiśniowieckiego, pobił Pawluka w krwawej bitwie pod Kumejkami (16. grudnia 1636) i oblęgszy niedobitków w Borowicy, zmusił do wydania Pawluka i do przyjęcia warunków, zabraniających Niżowcom zwyczajnych „chadzek“ na morze.[1]) Powtórna w tak krótkim czasie rebellia ściągnęła na kozactwo srogi odwet sejmu i Rzeczypospolitej. Nietylko bowiem stracono obyczajem ówczesnym wśród wyszukanych mąk Pawluka i jego towarzyszy, ale nadto sejm r. 1638. wydał nader surową konstytucyę, która, odbierając Kozakom „wszelkie ich dawne prerogatywy i insze decora“, chce mieć tych, „których fortuna belli przy życiu zachowała, za w chłopy obrócone pospólstwo“. W ten sposób mieli wszyscy ci, co przywykli do swobody i rycerskiego rzemiosła, co nawet na mocy dawniejszych traktatów posiadali pewne przywileje, powrócić w zwyczajne poddaństwo, z wyjątkiem regestrowców, zamieszkujących starostwa czehryńskie, korsuńskie i czerkaskie.

Ale i oni także utracili prawo obierania sobie atamana i mieli podlegać odtąd komisarzowi, szlachcicowi, mianowanemu przez sejm i rezydującemu w Trechtymirowie. Liczbę regestru ograniczono do 6000, a pułki te miały pełnić służbę kolejno na Siczy i niedopuszczać do zbiegania ludzi swawolnych na ostrowy dnieprowe. Jakkolwiek srogość ustaw sejmowych była uzasadniona poniekąd nieustającemi buntami kozackiemi, to mogła ona wtedy tylko przynieść spodziewane owoce, gdyby była poparta odpowiedniemi środkami, gdyby razem z uniwersałami, oznajmującemi czerni kozackiej owo „schłopienie“, pojawiła się była imponująca siła zbrojna, potrzebna do wykonania konstytucyj sejmowych. Tymczasem w chwili, gdy w Warszawie wkładano na karki kozackie żelazne jak się zdawało jarzmo, płonęło już całe Zadnieprze płomieniem nowego buntu pod wodzą Ostrzanina, który, założywszy główną kwaterę w bagnistej okolicy nad Hołtwią, burzył lud uniwersałami i odparł zwycięsko pierwsze natarcie wojska koronnego pod Stanisławem Rewerą Potockim, bratankiem hetmana. Dopiero po nadejściu samego hetmana polnego i Jeremiego Wiśniowieckiego z posiłkami, powiodło się pokonać buntowników i po dwumiesięcznem oblężeniu ich obozu nad Starcem, zmusić głodem do poddania się i do przyjęcia ugody w Masłowym Stawie. Naprożno wysłali Kozacy posłów do króla (był pomiędzy nimi i Bohdan Chmielnicki), prosząc pokornie o pozostawienie wolności i gruntów, o oddanie Trechtymirowa i zniesienie kaduków po Kozakach, naprożno zrzekali się prawa do wybierania atamana i przyjmowali komisarza sejmowego w osobie Piotra Komorowskiego, zawziętość senatorów i szlachty, a najbardziej może panów ukraińskich, była tak wielka, że o żadnych ustępstwach słyszeć nie chciano, a król,

[1]) Szajnocha („Dwa lata dziejów naszych“, str. 217) twierdzi, że Pawlukowi poprzysiężono całość osoby i życia, a następnie przysięgę tę złamano. Wątpił o tem już Szujski („Dzieje“, t. III., str. 320), a my na poparcie jego zdania dodamy, że Ostrzanin w manifeście swoim wcale o owem złamaniu przysięgi nie wspomina, chociaż byłby niewątpliwie użył tego argumentu.

mając ręce związane, przy najlepszej woli nic uczynić nie mógł. Zaczęła się tedy na Ukrainie epoka ucisku i prześladowań, nie tak straszna i wyuzdana znowu, jak ją tendencyjnie niektórzy pisarze przedstawić usiłują, ale niewątpliwie bardzo uciążliwa i przykra dla tych, co swobody zażywali i z nowym porządkiem łatwo pogodzić się nie mogli; zaczęło się nadużywanie wolności, na miejscu stłumionej swawoli kozackiej zapanowała swawola oligarchii, teroryzującej króla i podporządkowującej dobro publiczne prywacie. A jakby ów pogrom kozactwa i owe sprawy ukrainne wyczerpały całą energię narodu, okazał on w tym właśnie czasie na innem polu dziwne jakieś niedbalstwo.

Przyczyniła się do tego niemało dewocya, obejmująca coraz szersze warstwy społeczne i przechodząca już w fanatyzm religijny. Tasama szlachta, która w wieku XVI. z taką skwapliwością porzucała wiarę ojców i chwytała się nowinek zachodnich, przechodziła za czasów Zygmunta III. pod wpływem Jezuitów i dworu gromadnie na łono kościoła katolickiego, starając się zatrzeć winy ojców i swoje własne niepohamowaną niczem żarliwością. Coraz częściej więc zdarzały się napady na zbory innowiercze po miastach, coraz ostrzej uderzano na dyssydentów, a sejm roku 1638. nakazał zamknąć słynną szkołę w Rakowie wskutek procesu, jaki wytoczono Sienińskiemu, właścicielowi Rakowa, Aryaninowi, o obalenie krzyża na gruntach rakowskich. Tasama źle zrozumiana żarliwość religijna popchnęła króla, wbrew jego woli, w objęcia Austryi, przyprowadzając do skutku małżeństwo Władysława IV. z Cecylią Renatą, córką Ferdynanda III. Tam jednak, gdzie interes Rzeczypospolitej zbiegał się z polityką królewską, ustawała zarówno i energia senatorów i owa śmiałość sejmu, tak skorego zresztą do łamania wybujałej swawoli kozackiej i upokorzenia zbyt butnych — jak się zdawało — dyssydentów. Najsmutniejszym objawem tego rodzaju była sprawa gdańska. Potężne to miasto, trzymające w rękach swoich niemal monopol całego handlu polskiego, niepłaciło do skarbu żadnych prawie podatków, oprócz nieznacznego poboru, „pfahlgeldem“ zwanego, i dowolnych dla króla zasiłków lub podarunków. Władysław IV., zobowiązawszy się w paktach konwentach do wystawienia floty na morzu Bałtyckiem, a przytem w przekonaniu, że naprężone stosunki z Szwecyą wymagają innych zupełnie — niż dotychczasowe — środków obrony i handlu polskiego i północnych wybrzeży morskich, zajął się szczerze i gorliwie tą zaniedbaną dotąd najzupełniej u nas kwestyą morską. Za jego staraniem powstały na półwyspie Heli dwie twierdze: Władysławów i Kaźmierzów; na ufortyfikowanie pierwszej z nich, wykonane przez inżyniera Pleytnera, wydano 20.000 złotych polskich, zakupiono nadto 12 okrętów za 381.000 złotych polskich, inny wielki statek w Danii (św. Piotra) za 24.000 złotych polskich, mianowano admirałem jakiegoś Aleksandra Betena i flaga polska powiała na wodach bałtyckich, jako groźna współzawodniczka szwedzkiej i duńskiej marynarki. Za przykładem króla poszedł także lennik Rzeczypospolitej, Jakób książe kurlandzki, wnuk Gotarda Kettlera, wysyłający okręty swoje aż do wysp Antylskich.

Ale to wszystko nie wystarczało jeszcze do stworzenia silnej potęgi morskiej i do utrzymania jej na stopie odpowiedniej, a nie można się było spodziewać, aby szlachta, skąpiąca grosza, na najniezbędniejsze potrzeby

Rzeczypospolitej, do uchwalenia poborów na ten cel skłonić się dała. Król postanowił przeto otworzyć sobie nowe źródła dochodu przez zaprowadzenie ceł morskich, których Rzeczpospolita wcale nie pobierała. Pierwszy raz zwrócił on uwagę swoją na ten rodzaj podatku podczas układów w Sztumdorfie. Wiedziano wtedy, że Szwedzi, zająwszy wybrzeża bałtyckie, należące do Polski, pobierali z ceł 3,600.000 złotych polskich rocznie, sam port piławski dawał im 1,500.000 złotych polskich dochodu; podobne cła wybierał także i kurfirszt brandenburski, jedna Rzeczpospolita tylko, panująca na stumilowym obszarze brzegów morskich, nie miała stąd ani szeląga dochodu. Król upomniał się wtedy o to, ale ponieważ cła morskie dotkliwie dawały się uczuć mocarstwom, prowadzącym handel z Polską, zażądano w traktacie sztumdorfskim zniesienia tego podatku i pozwolono królowi pobierać cła tylko przez dwa lata. Jakoż Gdańszczanie złożyli wtedy jednorazowy datek w kwocie 800 tysięcy złotych polskich. Teraz, gdy Szwecya i Francya były zajęte wojną 30-letnią, a król posiadał nowego sprzymierzeńca w cesarzu, zdawało się Władysławowi, że może bez względu na układ sztumdorfski cło morskie wybierać dalej. Z polecenia króla przedstawił więc Ossoliński na radzie senatu rzecz całą, dowodząc trafnie, jak znakomite pożytki z tego nowego źródła dochodów dla Rzeczypospolitej wypłyną i uspokajając zarazem obawy szlachty, która mniemała, że cło na handlu zbożowym szkodliwie się odbije. Rozumna argumentacya Ossolińskiego podobała się senatorom a i na sejmie, który bezpośrednio po tem nastąpił, zgodzili się posłowie koronni i wielu litewskich na pobieranie ceł morskich.

Wyszła więc odpowiednia konstytucya, warująca tylko wyjątkowe przywileje miast i osób stanu szlacheckiego, i Ossoliński wraz z Denhofem, ekonomem malborskim, pojechali do Prus, aby pobór ceł morskich ogłosić natychmiast i w życie wprowadzić. Ale Gdańszczanie, ufni w swoją potęgę, zamknęli komorę przed okrętami, zaczęli się zbroić, rozesłali posłów do mocarstw, podpisanych na traktacie sztumdorfskim, wzywając ich interwencyi, a komendant portu piławskiego z polecenia kurfirszta poszedł za ich przykładem. Było to oczywiste lekceważenie i Rzeczypospolitej i króla, zniewaga, której żadne mocarstwo, szanujące siebie, płazem puścić nie było powinne. Władysław IV., ufny więc w poparcie sejmu, użył surowych przeciw Gdańszczanom środków, kazał postawić w zatoce gdańskiej cztery statki wojenne, a miastu wydał pozew. W odpowiedzi na to admirał duński, działając oczywiście w porozumieniu z Gdańskiem, napadł na okręty królewskie, zabrał dwa z nich, flagi z herbem królewskim pozdzierał, handlowe statki duńskie do portu wprowadził i ugoszczony wspaniale przez mieszczaństwo, z tryumfem do domu powrócił. Tak stały rzeczy przed sejmem r. 1638. i zdawało się, że izba, która z taką energią miała się zająć poskromieniem Kozaków, wystąpi także jako mścicielka krzywd królewskich i Rzeczypospolitej. Tymczasem nad wszelkie spodziewanie stało się inaczej. Nagle po kraju zaczęły się trząść wieści, że owo zaprowadzenie ceł to „koncept hiszpański“, że król działa w porozumieniu z domem rakuskim, że pragnie portem gdańskim zawładnąć, flotę zbudować silną i dopomódz Austryi do poskromienia Szwedów, Duńczyków i Ho-

lendrów, że zamierza Rzeczpospolitę wciągnąć w wojnę z Szwecyą i że to wszystko dzieje się z naprawy Ossolińskiego, który świeżo, podczas poselstwa swego w Ratyzbonie, z cesarzem się porozumiał. Jakkolwiek plan taki, gdyby

Stefan Czarniecki pod Połockiem.
Wedle obrazu Juliusza Kossaka.

był nawet istniał rzeczywiście, niemiał nic w sobie zdrożnego, to obudził jednak podejrzliwość szlachecką. Przypomniano sobie czasy Zygmunta III., jego konszachty z domem rakuskim, jego dążenia monarchiczne i wnet odżyły obawy o wolność, o zbytnie wybujanie władzy królewskiej i o zaprowadzenie

dziedziczności tronu, dla którego owa flota silną miała być podstawą. Na nieszczęście pozory utwierdzały szlachtę w tem mniemaniu. Król zamierzał równocześnie ustanowić order Niepokalanego poczęcia N. P. Maryi. Kawalerowie tego orderu, w liczbie 72, byli obowiązani do wierności dla króla, który był wielkim mistrzem, do obrony wiary i do walki z pogaństwem. Projekt urodził się w głowie Ossolińskiego i on też przywiózł z Rzymu statuta orderu, potwierdzone przez papieża Urbana VIII. Ale order, wiążący z tronem ludzi wpływowych, order katolicki w całem tego słowa znaczeniu, a więc wykluczający dyssydentów, nie mógł się podobać ani szlachcie ani innowiercom. Uderzył zatem na projekt ten całą siłą Krzysztof Radziwiłł, hetman wielki litewski, głowa dyssydentów i w osobnej broszurce dowodził szlachcie, że order jest niesłychaną nowością, poza którą „kryje się drab, rozbójnik wielki wolności polskiej, w celu wprowadzenia absoluti dominii“. Poruszyła się tem mocno opinia publiczna, najznakomitsi senatorowie jak Koniecpolski i wojewoda krakowski Stanisław Lubomirski odmówili przyjęcia orderu, odmówił i królewicz Jan Kazimierz, wszyscy zapewne dlatego, aby nie utracić popularności w kołach szlacheckich. Oburzenie zwróciło się przeciw Ossolińskiemu, który drażnił nadto stan rycerski i magnatów tytułem książęcym, przywiezionym świeżo z zagranicy. Wśród tak powikłanych stosunków nie można było myśleć o przeprowadzeniu zamiarów królewskich. Nie powiódł się sąd na Gdańszczan, większość senatorów opuściła króla, żądano dowodów, że miasto rzeczywiście porozumiewało się z nieprzyjacielem Rzeczypospolitej w sprawie czysto politycznej, wobec oczywistej zniewagi majestatu królewskiego i państwa, chwytano się kruczków adwokackich, wojowano paragrafami, odwoływano się na przywileje. Król acz strapiony tem mocno, nie dał się porwać prądowi. Przegrawszy sprawę z Gdańszczanami, wynagrodził Ossolińskiego podkanclerstwem i tem jeszcze bardziej oburzył na siebie rozdrażnione umysły. Sprawę celną oddano komisyi, złożonej z 39. członków, która po bezowocnych układach w Tczewie i Gdańsku skończyła misyę swoją na niczem. Z największą zaciekłością za to rzucono się na ową „kawaleryą“ orderową i na tytuł książęcy Ossolińskiego. Król musiał podpisać skrypt znoszący kawaleryą, zaręczyć, że bez pozwolenia Rzeczypospolitej orderów i zakonów tego rodzaju wprowadzać nie będzie, że wojny zaczepnej nie podniesie, że cesarzowi na zaciągi nie pozwoli. W kwestyi tytułów sam Ossoliński zrzekł się godności książęcej, ale żądał zarazem zniesienia wszelkich tytułów. Wniosek ten uchwalono rzeczywiście, pozostawiając tylko tytuły, przez unią zatwierdzone. Sejm skończył się tak zupełną porażką polityki królewskiej, ale niestety, także klęską Rzeczypospolitej.

Królowi powiodło się tylko uzyskać hojną oprawę królowej. Ossoliński, chcąc ratować swój kredyt zachwiany, wytoczył znaną już sprawę Aryanina Sienińskiego, dając tem smutny przykład lekceważenia ustaw obowiązujących, które postępowania sumarycznego w tym rodzaju nieznały.

Uwięzienie królewicza Jana Kazimierza. — Zwrot ku Francyi. — Syn królewski. — Śmierć Cecylii Renaty. — Colloquium charitativum. — Drugie małżeństwo Władysława IV. Porażka polityki królewskiej odbiła się fatalnie

na stosunkach wewnętrznych i zachwiała powagę Rzeczypospolitej. Władysław IV., ustanawiając order Niepokalanego Poczęcia, miał głębsze do tego powody, niż zadowolenie ambicyi i próżności ludzkiej. Hałaśliwej i niesfornej, a przedewszystkiem politycznie niewyrobionej izbie poselskiej, pragnął on przeciwstawić silnie zorganizowany żywioł możnowładczy, oprzeć na nim powagę monarszą i powrócić tym sposobem do systemu, którego się trzymał Zygmunt Stary w pierwszych latach swego panowania. Polityka ta, nieodpowiadająca dzisiejszym pojęciom, była w ówczesnych stosunkach zupełnie zrozumiałą, a ze względu na wielkie znaczenie możnowładztwa w Polsce, nawet do pewnego stopnia trafną. Demokracya szlachecka bowiem, krępująca władzę królewską, odtrącająca plebejów od udziału w sprawach publicznych, a z drugiej strony trzymająca się klamek pańskich, była dla społecznego rozwoju Rzeczypospolitej o wiele niebezpieczniejsza od oligarchii, zawisłej od tronu i popierającej w własnym interesie powagę monarszą. Prędzej czy później musiałby był ten król, dla zrównoważenia wpływów możnowładczych, szukać oparcia w masach narodu i powołać do życia politycznego tych, co w szlacheckiej Rzeczypospolitej żadnego nie mieli znaczenia, wcześniej, a w każdym razie nie zapóźno, nastąpiłoby było odrodzenie narodu. Ale zamiar królewski nie znalazł poparcia w samem możnowładztwie. Zepsuta protekcyjnym systemem, przywykła do zdobywania zaszczytów na łatwej drodze pokątnych zabiegów lub przez opozycyą, podjętą rzekomo w obronie swobód szlacheckich, wolała ta oligarchia trzymać się utartych szlaków, niż popadać w większą od dworu zawisłość.

Minęły czasy Zamoyskich, Tarnowskich, Żółkiewskich, Maciejowskich lub Tylickich, na krzesłach senatorskich siedziały kreatury Zygmunta III. i jego kamarylli, pozbawione samodzielności, kokietujące z szlachtą, a butne wobec króla. Widział to Władysław IV. i starał się na godność senatorską wynosić ludzi zdolnych i doświadczonych. Buławę wielką litewską oddał więc Krzysztofowi Radziwiłłowi, chociaż był głową protestantów, urząd podkanclerski, a następnie pieczęć większą powierzył dorobkiewiczowi Jerzemu Ossolińskiemu, ale gdy dygnitarstwa były dożywotnie, a panowanie jego krótkotrwałe, niemógł oczywiście przekształcić senatu, ani wykorzenić dawnych nałogów. Intrygi na dworze nie ustawały, kanclerz Gembicki kłócił się zawzięcie z Ossolińskim, dawny ulubieniec królewski Kazanowski forytował swoje kreatury, a czasami zdarzały się i takie wypadki, gdzie protektorowie, nie mogąc przeprzeć swoich klientów, torowali sami trzeciemu drogę do starostwa lub dygnitarstwa. Najtrudniejszem było oczywiście położenie króla, który, przychylając się do tej lub owej prośby, oburzał na siebie całą partyą przeciwną, która przerzucała się natychmiast na stronę opozycyi i grała rolę wielkich zelantów zagrożonej wolności tak długo, dokąd król intratnem starostwem lub krzesłem senatorskiem nie obłaskawił srogiego trybuna. W takich stosunkach rosło znaczenie trzeciego stanu, wzmagała się decentralizacya, przerzucająca punkt ciężkości państwa z sejmu do sejmików wojewódzkich. Widzieli to dobrze współcześni; arcybiskup gnieźnieński Lipski skarżył się głośno na upośledzenie senatu, podnosząc słusznie, że „się sejmiki w sejm, a Izba w senat

obróciła“,[1]) ale gdy przyszło do czynu, gdy należało poprzeć słuszne żądania króla, t. j. sprzeciwić się instrukcyom sejmikowym i narazić przez to swoją popularność u szlachty, uchylali się senatorowie od głosowania i oddawali władzę całą w ręce izby poselskiej. Upadało przez to znaczenie króla i Rzeczypospolitej, obce mocarstwa zaczynały lekceważyć sobie Polskę, Duńczyk znieważał bezkarnie banderę królewską w porcie gdańskim, książe pruski wybierał dowolnie cła morskie, Richelieu, z pogwałceniem oczywistem praw wszelkich, uwięził królewicza Jana Kazimierza, jadącego do Hiszpanii, a szlachta, przyjmując w milczeniu te upokorzenia, widziała jedyne tylko dla siebie niebezpieczeństwo w królu i jego samowładnych zamiarach. Nic dziwnego zatem, że Władysław IV., przez ustępstwa dla francuskiej polityki, wyjednał uwolnienie brata, że układami — a nie orężem — jak godność narodu tego wymagała, uspokajał zatargi z królem duńskim i zuchwałym Brandenburczykiem. Na sejmy nie było co liczyć. Jeden w roku 1639. zerwali posłowie mazowieccy z powodu obrazy, jaką wyrządził popędliwy Ossoliński Baranowskiemu, podkomorzemu wiskiemu, drugi w następnym roku zawichrzył się sprawą kalwinów wileńskich, którzy po pijanemu strzelali z łuków do sąsiedniego kościoła Franciszkanek. Na błahych sporach tego rodzaju upływały krótkie, bo tylko sześć tygodni trwające obrady, król nie mógł się doprosić nawet zapłacenia długów swoich, zaciągniętych na wyprawę moskiewską i szwedzką, a więc w interesie Rzeczypospolitej. Chory od dłuższego czasu na reumatyczne cierpienia, trapiony bólami podagrycznemi, zniechęcony i strapiony ciągłemi niepowodzeniami, tracił Władysław dawniejszą energię i popadał w pewien rodzaj apatyi i obojętności. Narodzenie syna Zygmunta (w r. 1640.) pokrzepiło go na nowo.

„Witaj mi gościu nowy, gościu pożądany“ — zawołał, gdy mu przyniesiono niemowlę i podniósłszy się z łoża boleści, jął się spraw publicznych z młodzieńczym zapałem, zwracając szczególniejszą uwagę na uregulowanie swoich stosunków majątkowych. Sejm roku 1642., działając pod wpływem brzydkich intryg Albrechta Radziwiłła, odmówił wprawdzie znowu zapłacenia długów królewskich, ale Ossoliński zręcznem postępowaniem zdołał w rok później wyjednać t. zw. „wdzięczność“ dla króla. Izba poselska uchwaliła w ostatniej chwili na prywatną potrzebę królewską 4,500.000 talarów. Znacznej tej ofiary użył Władysław IV. na spłacenie długów i na zakupno księstwa opolskiego i raciborskiego dla syna. Ossoliński otrzymał w nagrodę za swoje starania — tak pomyślnym uwieńczone skutkiem — pieczęć większą, Gembicki — acz niechętnie — wziął biskupstwo krakowskie po zmarłym Zadziku.

Śmierć Cecylii Renaty w roku 1644. sprowadziła tymczasem nową, oddawna już przygotowywaną zmianę w politycze zewnętrznej. Dyplomacya austryacka i francuska wytężyła wszystkie siły, aby króla przez nowy związek małżeński dla swoich widoków pozyskać. Ajent dworu wiedeńskiego przywiózł — jak powiadają — 16 portretów rozmaitych księżniczek rakuskich, gotowych przyjąć rękę 50-letniego wdowca, Francuzi zgłosili cztery kandydatki

[1]) Mowa prymasa w dodatkach u Kubali (Jerzy Ossoliński, t. I, Lwów 1883), str. 353.

do korony polskiej. Władysław wahał się z początku, zamyślał o małżeństwie z młodą Krystyną szwedzką i używał w tym celu pośrednictwa dworu francuskiego, a gdy zabiegi te — jak z góry można było przewidzieć — żadnego nie odniosły skutku, przechylił się, pomimo opozycyi Kazanowskiego, na stronę francuską, pozostawiając wybór osoby królowej-regentce, matce Ludwika XIV. Ofiarowano mu rękę tej, która raz już do tronu polskiego była przeznaczona, Maryi Ludwiki. Pochodziła ona z francuskiej linii mantuańskich Gonzagów i utraciwszy wcześnie matkę, wychowała się pod opieką ciotki swojej księżny Longueville w Paryżu,[1]) gdzie na salonach pani Rambouillet miała sposobność zapoznać się z najznakomitszymi ludźmi owej epoki, od kardynała Richelieu i wielkiego Kondeusza począwszy, a skończywszy na wybitnych reprezentantach uczonego i literackiego świata, jak Corneille, Bossuet, La Rochefoucauld i inni. Obdarzona bystrym umysłem, nabrała ona w tem otoczeniu niepospolitego wykształcenia, a że była przytem piękną, więc zajęła wcześnie serce księcia orleańskiego, brata Ludwika XIII., gdy jednak intrygi Guisów i względy polityczne związek ten zerwały i zamierzone następnie małżeństwo z Władysławem IV. nie przyszło do skutku, powzięła księżniczka skłonność pewną do koniuszego wielkiego Cinq Marsa, który atoli niebawnie oskarzony o spisek przeciw Richelieumu, zginął na rusztowaniu. Przykre te przejścia nie pozostały bez wpływu na usposobienie i charakter księżniczki. Odsunęła się ona zupełnie prawie od świata, oddała się ćwiczeniom religijnym, ale w tem życiu nowem dla niej i nowością pociągającem, wyrobiła w sobie tę wytrwałość i ten hart ducha, który cechował później całe jej działanie polityczne. Zgon Cecylii Renaty obudził w Maryi Ludwice przygasłe nadzieje. Wierząc w to, „że się na królowę zrodziła“, zaczęła ona sama czynić starania o rękę Władysława, a poparta przez księżnę Condé i kardynała Mazariniego, osiągnęła wreszcie cel upragniony. Mazarini, dążący do odciągnięcia Polski od związków z Habsburgami, użył wszelkich środków, aby małżeństwo przyprowadzić do skutku. Przekupił więc ajenta polskiego w Paryżu, kanonika warmińskiego Roncalli, pozyskał hojnemi podarunkami Kazanowskiego i sekretarza królewskiego Fantoniego i w lipcu roku 1645. dobił wreszcie targu. Związek, zawarty z politycznych pobudek, nie przedstawiał dla Polski żadnych prawie korzyści, oprócz złudnych obietnic. Król zobowiązywał się niezaczepiać Szwedów i przestrzegać ściśle paktów sztumdorfskich, Francya przyrzekała jakieś bliżej nieokreślone usługi w sprawie szwedzkiej. Za tę cenę zrywał Władysław IV. z dotychczasową swoją polityką, zrywał zażyłe stosunki z Habsburgami, żenił się z księżniczką, przekwitającą już — liczyła wtedy lat 34 — przynoszącą w posagu nie więcej, jak 800.000 talarów i otwierał drogę do Polski wpływom francuskim, szkodliwszym może dla Rzeczypospolitej od rakuskich.

Ale Władysław IV., fantastyczny w swoich pomysłach, nosił się wtedy już z innemi planami, do których urzeczywistnienia przyjaźń francuska zdawała

---

[1]) J. K. Plebański: Jan Kazimierz Waza. Marya Ludwika Gonzaga. Dwa obrazy historyczne. Warszawa 1862. Jest to niewątpliwie dotąd jeszcze najlepsza praca o tej królowej.

mu się pożyteczniejszą, niż związki z Habsburgami. Był to ów tyle głośny niebawnie zamiar wojny tureckiej, podniecony marzeniem o zdobyciu Konstantynopola, o uwolnieniu grobu Zbawiciela z rąk niewiernych. Myślał o tem król już w pierwszych latach swego panowania i z zamiarami swojemi wcale się przed światem nie taił. Ossoliński, wysłany do Rzymu, głosił otwarcie, że Władysław zamyśla zdobyć Moskwę i Szwecyą, uspokoić Europę, zawichrzoną wojną 30-letnią i następnie całemi siłami uderzyć na Turków. Ale naród, rozmiłowany w pokoju, unikał starannie wszelkiej okazyi wojennej, a cóż dopiero walnej rozprawy z Portą, o której potędze i zasobach, szczególniej od czasu wyprawy chocimskiej, niesłychanie wygórowane miano wyobrażenie. Król mimoto nieustawał w swoich zamiarach, gdy jednak niepodobnem było nakłonić Rzeczpospolitę do wojny tureckiej, zaczął przemyśliwać o wojnie z Tatarami, która raz podjęta, musiałaby była ściągnąć na Polskę mściwy oręż Osmanów. I rzeczywiście, nawet bez tej ukrytej myśli wywołania wojny tureckiej zaczepieniem Tatarów, był zamiar królewski i trafnym i zrozumiałym. Niepodobna bowiem nie przyznać, że stosunek Rzeczypospolitej do hordy krymskiej był wielce upokarzającym. Państwo, tak potężne jak Polska, musiało od wieków opłacać haracz haniebny gromadzie rozbójników, którzy — nie troszcząc się wcale o traktaty i przysięgi — co chwila trapili południowe prowincye, jassyrem polskim zapełniali rynki azyatyckie i z bezczelnością, właściwą bisurmanom, po każdym takim napadzie żądali nowego trybutu, hojniejszych niż przedtem podarunków. Nic słuszniejszego zatem, jak, że Władysław IV., ubezpieczywszy wschodnie i północne granice państwa, zamierzał uwolnić Rzeczpospolitę od tej haniebnej zawisłości, wyplenić gniazdo rozbójników, zapewnić trwały pokój prowincyom ruskim i Polsce otworzyć drogę do Czarnego Morza. Przedsięwzięcie było niewątpliwie wielkie, ale niezbyt trudne do wykonania. Mając wojsko do zwycięstw przywykłe, wodzów zdolnych i całą potęgę kozacką na zawołanie, mógł tak dzielny wojownik — jak Władysław IV. — pokusić się snadnie o zdobycie Krymu, a przynajmniej o wypłoszenie stamtąd Tatarstwa. Pierwszym krokiem do tego było odmówienie zwykłej daniny Tatarom i oswojenie szlachty z myślą wyprawy krymskiej. Jakoż od roku 1640. począwszy, na każdym sejmie niemal w propozycyach od tronu odzywają się nawoływania do walki z poganami, król przestaje posyłać podarunki do Krymu, a równocześnie hetman Koniecpolski z wojskiem kwarcianem strzeże pilnie szlaków tatarskich i kiedy poganie, podrażnieni tą polityką królewską, raz po razu najeżdżają południowe prowincye, zadaje im straszną klęskę pod Ochmatowem w roku 1644. Wkrótce po tem pogromie wybuchło w Krymie powstanie; han Mehmed Giraj wypędzony, ustąpił miejsce bratu swemu Islam Girajowi, Turcya rozpoczęła wojnę z Wenetami. Zmiany te obudziły nowe nadzieje we Władysławie; zdawało się, że teraz właśnie nadeszła chwila sposobna do wykonania dawniejszych planów. Król szukał więc związków z Francyą, przyjmował rękę Maryi Ludwiki, spokrewnionej z bizantyńskimi Paleologami. Wiedziano, że ojciec jej książe de Nevers wystąpił przed dwudziestukilku laty jako pretendent do tronu carogrodzkiego, że starał się wzniecić powstanie ludów chrześcijańskich przeciw jarzmu

tureckiemu, że pozyskał dla swoich zamiarów Anglią, Francyą, Hiszpanią, a nawet dwór wiedeński. Prawa jego przeszły po śmierci synów na najstarszą córkę, która miała zostać królową polską. Pretensya ta, uznana niejako przez całą chrześcijańską Europę i posag księżniczki dawała nową podstawę dla planów królewskich. Toż nic dziwnego, że podjął on je skwapliwie, że w propozycyi sejmowej w roku 1645. wyraźnie już wzywał naród do wojny z bisurmanami. „Nie chce JKMość — tak mówił wtedy Ossoliński — rachunku na strasznym sądzie bożym zdawać z tak wielu poddanych swoich poturczonych, imię Boskie bluźniących; nie chce takowych łez krwawych, o pomstę do Boga wołających i niebiosa przenikających. Gotów jest niedolę powierzonego sobie ludu własnymi zastąpić piersiami i tam szukać swobody, skąd wynika niedola“. Równocześnie z tą akcyą w kraju prowadzoną, uwiadamiał Władysław IV. przez posła swego Waleryana Magni papieża Innocentego X. o swoich zamiarach i żądał od niego pół miliona skudów przez dwa lata, jako subwencyą na wojnę turecką. A tak żywo zajął się umysł królewski tem nowem przedsięwzięciem, że gotów był poświęcić dlań nawet ów słynny projekt pogodzenia heretyków i schyzmatyków z kościołem. Wiadomo, jakie stanowisko zajmował Władysław IV. w kwestyi wyznaniowej, jakie ustępstwa wyjednał dla dyssydentów i dyzunitów i jakie usiłowania czynił w tym względzie u Stolicy apostolskiej, zapewniając zarazem papieża, że innowierców na łono kościoła katolickiego przeprowadzi. Urban VIII. przyjmował z początku obietnice królewskie przychylnie, niebawem jednak począł nalegać na ich wykonanie i stał się natarczywym od chwili, gdy Władysław, ożeniony z Cecylią Renatą, powrócił do dawnych z domem rakuskim stosunków i związał się z obozem, wrogim papieżowi. Miejsce umiarkowanego nuncyusza Viscontiego zajął w Warszawie wojowniczy arcybiskup Avinionu Maryusz Filonardi, który o dalszych zwłokach słyszeć już nie chciał, lecz w roku 1642. założył uroczysty protest przeciw przywilejom dyssydentów. Nie znalazł on wprawdzie poparcia w kraju, stronnictwo katolickie z Jerzym Ossolińskim na czele nie dało się użyć przeciw królowi, ale nuncyusz, niezrażony tem niepowodzeniem, rzucił się na pole intryg i donosów i usposobił tak papieża, że ten publicznie o królu z największem wyrażał się lekceważeniem. Władysław IV., urażony słusznie tem niegodnem postępowaniem Filonardiego, kazał przejąć listy nuncyusza, pisane do Rzymu i mając oczywiste dowody intryg jego w ręku, przedłożył sprawę całą senatowi. Senatorowie stanęli po stronie króla, zażądano urzędownie od Stolicy apostolskiej odwołania Filonardiego z Polski, a gdy nuncyusz z zemsty za to przeszkadzał wystawieniu pomnika dla Zygmunta III. w Warszawie i z tego powodu Bernardynkom nawet klątwą zagroził, uwięził go król we własnym jego pałacu i zmusił w ten sposób do odjazdu, nieudzielliwszy wcale pożegnalnego posłuchania. Ale i papież także wziął sobie widocznie do serca owo postępowanie królewskie z nuncyuszem, nowego posła nie mianował i stosunki ze Stolicą apostolską były przez czas pewien zerwane. Król tymczasem myślał rzeczywiście nad pojednaniem innowierców z kościołem. Były to czasy, gdzie cała Europa, znękana okropnościami wojen religijnych, pragnęła pokoju, gdzie umysły głębsze widziały możność pogodzenia zwaśnio-

nych stronnictw, nic dziwnego zatem, że i Władysław IV., obczytany w kwestyach teologicznych i daleki od fanatyzmu ojcowskiego, wierzył w takie zjednoczenie wyznań chrześcijańskich pod władzą kościoła, upatrując w niem zarazem niezmierną korzyść polityczną dla Polski, rozrywanej przez dyssydenów i dyzunitów. Najsnadniejszym zaś środkiem do dopięcia tego celu wydawało mu się spokojne porozumienie na synodzie albo zjeździe wszystkich stronnictw religijnych. Należało tu jednak było odróżnić sprawę dyzunicką od innowierczej, starać się o zjednoczenie schyzmatyków dla unii, a osobno traktować z dyssydentami.

Zgoda z dyzunitami zdawała się łatwiejszą. Na metropolii kijowskiej zasiadał natenczas Piotr Mohiła, syn Symeona, wojewody multańskiego, wykształcony w Paryżu, służący niegdyś w wojsku polskiem pod Chocimem, w końcu mnich w peczerskiej Ławrze, a od roku 1633. metropolita dyzunicki. Tradycye rodzinne i związki pokrewieństwa łączyły go ściśle z Polską. Stryj jego Jeremiasz otrzymał indygenat w roku 1593., wszystkie cztery córki swoje wydał za panów polskich, Konstanty, stryjeczny brat Piotra, utraciwszy hospodarstwo, osiedlił się na Podolu, sam metropolita odznaczał się niezwykłem umiarkowaniem w rzeczach religijnych i podług niepodejrzanego świadectwa Jezuity Rutki „ducha heretyckiego niemiał“.[1]) Z takim metropolitą można się było porozumieć i na tem zakładał nadzieje swoje król, nakłaniając schyzmatyków do obrania osobnego patryarchy i do oderwania się od Carogrodu. Nie powiodło się to narazie z powodu opozycyi Urbana VIII., ale synod biskupów polskich, zgromadzony w Warszawie w roku 1643., stanąwszy przy królu, zaprosił wszystkich innowierców na przyjacielską rozmowę do Torunia w dniu 10. września roku 1644. Miało to być owo głośne w swoim czasie colloquium charitativum, które Władysławowi IV. zjednało tak wielką sławę w całej Europie i Marcina Opitza natchnęło do napisania poematu na cześć tego monarchy.

Urban VIII., przerażony stanowiskiem, jakie wobec projektu królewskiego zajęło duchowieństwo polskie, starał się usilnie o zniweczenie albo przynajmniej odroczenie zjazdu, ale zabiegi jego były bezskuteczne i dopiero król na żądanie dyssydentów odroczył rozmowę do 28. sierpnia 1645. roku i przeznaczył Ossolińskiego na prezydenta zgromadzeniu. Zanim jednak do tego przyszło, zdarzyły się niespodziewane zmiany. Urban VIII. umarł, a na Stolicę apostolską wstąpił Innocenty X., usposobiony jak najprzychylniej dla Polski i zasadniczo przeciwny polityce swego poprzednika. Równocześnie Władysław sam zajęty w tej chwili już wojną turecką i spodziewający się poparcia od nowego papieża, oddał cały kierunek zjazdu w ręce Stolicy apostolskiej, a z nim razem i sprawę unii. Rozchwiał się w ten sposób zamiar ustanowienia osobnego patryarchatu dla Rusi polskiej, rozmowa toruńska niedoprowadziła do zgody, król dla widoków politycznych poświęcił nie zjednoczenie wyznań, bo było ono niemożliwem, ale organizacyą cerkwi ruskiej, tak potrzebną dla uspokojenia Ukrainy.

[1]) Rutka: Goliat swoim mieczem porażony. Porównaj Wiszniewskiego Historyą literatury, t. VIII, 381.

Wojenne zamiary króla. — Opozycya. — Bunt kozacki. — Chmielnicki. — Śmierć Władysława IV. w roku 1648. Wśród takich stosunków dojrzewały wojenne plany królewskie i odbywał się ów zwrot w polityce polskiej, który miał wywrzeć wpływ tak potężny na dalsze losy Rzeczypospolitej. Wypadki układały się z początku bardzo pomyślnie dla króla. Na wiosnę roku 1645. wybuchła rzeczywiście wojna pomiędzy Portą a Wenetami, rozrywająca

Stefan Czarniecki.

siły tureckie, a han Islam Giraj, rozgniewany odmową haraczu, gotował wielką na Polskę wyprawę. I jedna i druga wiadomość przychodziła jakby na zawołanie. Król kazał natychmiast Kozakom gotować czajki do wyprawy czarnomorskiej; oddał Trubeck, którego Moskwa dawno się domagała, carowi i nawiązał rokowania z Michałem Romanowiczem o przymierze przeciw Tatarom. Równocześnie przybył do Warszawy poseł wenecki Jan Baptysta Tiepolo, z prośbą o wysłanie Kozaków na morze, w celu spalenia galer i warsztatów

okrętowych tureckich, zgłosili się hospodarowie wołoski i multański, oświadczając gotowość do wyzwolenia się z jarzma pogańskiego i donosząc o wielkiem wzburzeniu umysłów pomiędzy chrześcijańskimi poddanymi sułtana, którzy skłonni są podnieść natychmiast przeciw Turkom powstanie. Zdawało się tak, że nadeszła wreszcie najdogodniejsza chwila do działania; król był najlepszej myśli, Tiepolemu robił świetne nadzieje. „Zostawimy Moskali — mówił do niego — z garstką naszych przeciw Tatarom, my zaś ze sprzymierzonymi przybliżymy się do Dunaju i w tymże czasie pchniemy tłumy Kozaków ku Carogrodowi“. Dla wykonania tych zamysłów zawarł czemprędzej przymierze odporne z carem i gdy Tatarzy uderzyli na Moskwę, posłał Moskalom na pomoc wojsko koronne pod hetmanem polnym Mikołajem Potockim. W tej chwili przybył do Warszawy Stanisław Koniecpolski i przedłożył królowi swój „dyskurs“ o zniesieniu Tatarów krymskich. Z wszystkich doradców królewskich i senatorów on jeden patrzył na rzeczy jasno i działał tak, jak działać w tych wypadkach należało. Żołnierz dzielny, wódz znamienity, położył Koniecpolski niezrównane zasługi na polu organizacyi wojskowej, ściągnął do służby polskiej zdolnych oficerów z zagranicy, z ich pomocą uzupełnił to, czego armii polskiej brakowało, a więc artyleryę i sztukę inżynierską, stworzył doskonałą obronę kresów południowych i powściągnąwszy napady Tatarów, szukał sposobu do zupełnego ich zahamowania. W tym celu wysłał też w jesieni roku 1645. inżyniera i sekretarza swego Adersa, Mazura, wykształconego w Holandyi, do Krymu, aby w przebraniu kupieckiem zbadał tamtejsze stosunki, stan miast i portów czarnomorskich [1]) i otrzymawszy dokładne w tej mierze informacye, ułożył plan wypędzenia Tatarów. Radził więc podjąć tę wyprawę w przymierzu z Moskwą, która, zagrożona teraz przez krymskie hordy, sama na to przypadnie, Krym opanować i oddać go carowi w zamian za stosowne wynagrodzenie terytoryalne. Moskwa natenczas będzie musiała wziąć na siebie cały ciężar wojny tureckiej, bo Porta nie zechce zapewne puścić płazem takiego despektu i będzie usiłowała Krym odzyskać, a Rzeczypospolitej otworzy się tymczasem dogodna sposobność do opanowania Multan i Wołoszczyzny, a może nawet i Siedmiogrodu. Co zaś najważniejsza i co już w najgłębszej tajemnicy królowi powierzył, można będzie w ten sposób rozerwać gotujące się przymierze kozacko - tatarskie. Kozacy bowiem, niezadowoleni z obecnego swego położenia, szukają pomocy u Islama Giraja, aby z pod jarzma polskiego się uwolnić. Przed wyjazdem otrzymał hetman dokładne o tem wiadomości i sądził, że tylko wojna krymska tej groźnej lidze przeszkodzić potrafi. Plan wojny tureckiej wydawał mu się — tak, jak go na dworze układano — zupełnie niepraktycznym. Wiedząc dobrze, jakich kosztów wyprawa tego rodzaju wymaga, nie chciał on zasadzać się na marnych obietnicach Tiepola i książąt włoskich, lecz żądał, aby natychmiast złożono milion skudów i zobowiązano się płacić przez trzy lata po pół miliona. Wtedy dopiero — mniemał — możnaby myśleć i mówić o wojnie tureckiej. Ale król, jakkolwiek wielce poważał hetmana i zdanie jego cenił wysoko, nieusłuchał praktycznej rady

[1]) Szajnocha: Dwa lata dziejów naszych. Dzieła t. VIII, str. 251.

i skoro tylko Koniecpolski odjechał do Rytwian na wesele swoje z Opalińską, zawarł natychmiast układ z Wenecyą, w którym pozwalał na wyprawę morską Zaporożców, oczywiście z zamiarem wywołania przez to wojny tureckiej. Utwierdzał go w tym planie Ossoliński, sądząc z dziwną lekkomyślnością, że Rzeczpospolita będzie mogła opanować Multany i Wołoszczyznę bez żadnej ze strony Turków przeszkody, nakłaniał wszelkiemi sposobami Tiepolo ofiarując, oczywiście na papierze, subwencyą po 200.000 skudów rocznie, na przeciąg dwóch lat. Przebiegłego Wenecyanina poparli jak najsilniej prywatni doradcy królewscy, obaj bracia Magni, Waleryan, Kapucyn, zajmujący się obok teologii astrologią i filozofią, a marzący o tiarze papieskiej, Franciszek hrabia Strassnitz, który spekulował na hospodarstwo albo jakie udzielne państewko, wykrojone z posiadłości tureckich, wreszcie Fantoni, z muzykanta ksiądz, kanonik i sekretarz Władysława IV. Wszyscy oni — już to dla własnego interesu, już to dla stosunków swoich z posłem weneckim — parli króla do hazardownego przedsięwzięcia, obiecując pomoc książąt włoskich, a Władysław, oddawna w planach wojny tureckiej rozmiłowany, słuchał rad tych z upodobaniem. Tymczasem przyjechała dnia 10. marca 1646. roku Marya Ludwika do Warszawy, rozpoczęły się wspaniałe festyny i uroczystości, a wśród nich dalsze układy wojenne. Zjawili się posłowie multańscy i wołoscy, przybyło wielkie poselstwo moskiewskie; jedno i drugie szukało pomocy polskiej przeciw Turkom i Tatarom. Król był najlepszej myśli, gdy nagle — jak grom z jasnego nieba — spadła wiadomość o śmierci Koniecpolskiego. Dla planów Władysława IV. i dla Rzeczypospolitej była to klęska wielka, niepowetowana, której narazie nikt należycie ocenić nie umiał.

Najbardziej zafrasował się król, wtajemniczony w sprawy ukraińskie i nie bawiąc wysłał nad Dniepr Hieronima Radziejowskiego, w celu porozumienia się z Kozakami. Widmo owego buntu i sojuszu z Tatarami niedawało mu widocznie spokoju, chciał więc złemu wczas zapobiedz i przez Radziejowskiego, który ze starym assawułą Barabaszem w przyjaznych był stosunkach, sprowadził posłów kozackich do Warszawy. Przyjechało ich czterech: Barabaszeńko, Iliasz Ormiańczyk, Nestoreńko i Bohdan Chmielnicki. Wprowadzeni w nocy przed oblicze królewskie, na tajemnej radzie, gdzie było obecnych tylko siedm senatorów, przyrzekli dostarczyć 50, a nawet 100 tysięcy ludzi, skoro król tego zażąda, przeciw każdemu nieprzyjacielowi i otrzymali za to przywilej na aukcyą wojska zaporoskiego i pozwolenie wypraw morskich. Zgryźliwy, a w wiadomościach swoich niepewny, Radziwiłł dodaje do tego jeszcze, że król przyrzekł im, jako chorągwie polskie poza Białącerkwią stawać nie będą, co już ze względu na kudacką fortecę jest wcale nieprawdopodobnem. Ubezpieczywszy się tak z tej strony, przystąpił król do układów z posłami moskiewskimi i w kwietniu roku 1646. była wojna turecka już postanowiona. Król miał zebrać 50.000 wojska i w sierpniu ruszyć od Kamieńca na Budziaki, aby stamtąd wyrzucić Tatarów i zdobyć fortece tureckie, podczas gdy hetman Potocki z drugą armią i z Moskalami miał trzymać na wodzy hordę krymską. Plan w ten sposób ułożony niepotrzebował nawet aprobaty sejmowej, bo Turcy, podług warunków pokoju, zawartego w roku 1634., obowiązani byli Tatarów

z Budziaku[1]) usunąć, a gdy tego dotąd nie uczynili, mógł i powinien był król, w myśl konstytucyj sejmowych „dla odwrócenia niebezpieczeństw, grożących Rzeczypospolitej“, wyprawę taką przedsięwziąć i hordy z pól budziackich wypędzić. Wszystko więc układało się pomyślnie i kto wie, czy plan byłby się nie powiódł, gdyby król, namówiony przez Tiepola, nagle a przedwcześnie nie ogłosił tajemniczych swoich zamiarów. Dla Rzeczypospolitej weneckiej było takie proklamowanie publiczne wojny tureckiej ze strony Polski nadzwyczaj pożądanem, mogło bowiem skłonić zwycięską dotąd Portę do zawarcia korzystnego dla Wenetów pokoju, ale królowi i jego zamysłom musiał krok tak nierozważny stanowczo zaszkodzić. Jakoż na wiadomość o niespodziewanem postanowieniu królewskiem, o jawnych już werbunkach i gorączkowem zbrojeniu się, ogarnęło niezmierne przerażenie szlachtę, od lat dziesięciu używającą błogich owoców niezmąconego niczem prawie pokoju, poruszyła się cała opinia publiczna, ocknęli się senatorowie, na których przedewszystkiem spadała ciężka odpowiedzialność za takie oczywiste już pogwałcenie paktów konwentów ze strony króla. Pierwszy Ossoliński też, autor planu wyprawy budziackiej, usunął się skwapliwie od udziału w niebezpiecznem przedsięwzięciu, odmawiając pieczętowania listów przypowiednich dla rotmistrzów, a za jego przykładem poszli także i inni, już to z obawy przed szlachtą, już to z osobistych pobudek. Czuli się oni mianowicie mocno dotknięci tem, że plan tak ważny ułożono bez ich wiedzy i rady, w poufnem kole, złożonem przeważnie z cudzoziemców, którymi król — podług paktów — otaczać się nie powinien, a że każdy przytem miał prywatne urazy do króla, więc wszystkie te pobudki — razem wzięte — wywołały gwałtowną w kołach senatorskich opozycyą. Po Ossolińskim przyszła kolej na kolegę jego, kanclerza litewskiego Albrechta St. Radziwiłła. Magnat ten, wychowany u Jezuitów w Würzburgu, katolik gorliwy aż do fanatyzmu, zawdzięczał wyniesienie swoje nietylko pochodzeniu swemu i pobożności, ale i łasce rodziny królewskiej. Ożeniwszy się bowiem z Reginą von Eisenreich, ubogą panienką z Bawaryi, faworytą królowej Konstancyi, pozyskał przez to potężną u dworu protekcyą i w roku 1618., „wsparty wstawieniem się królowej“, otrzymał po Wołłowiczu pieczęć mniejszą, a następnie urząd kanclerski. Niepomny tej łaski i promocyi gotów był kanclerz, skoro go podrażniono, każdej chwili najzawziętszą przeciw królowi wzniecić opozycyę, nie z innej przyczyny, jak tylko, aby pokazać, „że mógł i może jeszcze zaszkodzić“. Obecnie, niedopuszczony do owych tajemniczych planów królewskich, uważał to za dotkliwą dla siebie obelgę i w poufnej rozmowie z Ossolińskim oświadczył, że „wprzód pozwoli sobie rękę odciąć“, niżby miał pieczętować listy przypowiednie, a niepoprzestając na tem, rozwinął natychmiast pomiędzy senatorami, obecnymi w Warszawie, gorączkową agitacyą przeciw zamiarom królewskim. Zabiegi wpływowego kanclerza odniosły skutek pożądany; Łukasz Opaliński, marszałek wielki koronny, rozgniewany na króla za to, że bratankowi jego odmówił marszał-

[1]) Budziakiem nazywano kraj pomiędzy Morzem Czarnem, Dniestrem a dolnym Dunajem położony, dzisiejszą południową Bessarabią.

kowstwa dworu królowej, Jakób Sobieski, kasztelan krakowski, Aleksander Radziwiłł, marszałek wielki litewski, podkanclerzy Jędrzej Leszczyński, niechętny Ossolińskiemu, wszyscy na tajnych schadzkach spiknęli się przeciw królowi, dając mu uczuć przy każdej sposobności — nawet na uczcie u Ossolińskiego — gniew swój i niezadowolenie. Władysław IV., zdziwiony i oburzony do pewnego stopna tą taktyką, niedał się łatwo zbić z toru, słuchał przedstawień senatorskich cierpliwie i łaskawie, jednego tylko Jakóba Sobieskiego, za zbyt śmiałe odezwanie się na audyencyi, zgromił tak dotkliwie, że kasztelan niebawnie potem „z melancholii“ życie zakończył. Ale wiadomość o owej opozycyi senatorów, rezydujących przy królu, rozbiegła się już po całym kraju i zachęciła innych do naśladowania.

Na czele ruchu, wszczętego w Warszawie, stanął Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski, „grabia na Wiśniczu i Jarosławiu“, jeden z najmożniejszych i najbardziej wpływowych oligarchów małopolskich. Pan ogromnej fortuny, ożeniony z Zofią Ostrogską, teść kanclerza Radziwiłła, który po śmierci pierwszej żony pojął w małżeństwo Krystynę Lubomirską, miał on także głębokie do króla urazy.

Chodziło mu mianowicie o posiadanie wioski Swierczy pod Wieliczką, gdzie odkryto wielkie pokłady soli, należące — podług ustaw obowiązujących — do skarbu królewskiego i o starostwo generalne krakowskie dla syna Jerzego, a gdy król w jednym i w drugim wypadku nieokazał się łaskawym dla wojewody, powstało stąd w sercu dumnego dynasty tak srogie oburzenie, że nie przyjął nawet kasztelanii krakowskiej, pierwszego dygnitarstwa w Rzeczypospolitej, lecz — zamknąwszy się w swoim Wiśniczu — czekał tylko sposobności dogodnej, aby królowi okazać dotkliwie niechęć swoją i niezadowolenie. Teraz więc, gdy go doszły wieści z Warszawy o wojnie zamierzonej, wystosował list w formie „przestrogi senatorskiej“ do króla, potępiając nie tyle sam plan królewski, co jego tajemniczość i owo odsuwanie senatorów od udziału w kwestyi tak ważnej. Pismo to, rozpowszechnione w licznych odpisach po kraju, ośmieliło i innych senatorów do podobnych upomnień. Posypały się więc listy szczególniej od biskupów, którzy — wbrew powołaniu swojemu — jak najmocniej od wojny za wiarę odradzali, a do tych wielu oponentów małopolskich, wielkopolskich i litewskich przyłączyli się wnet i możni panowie ruscy: Mikołaj Potocki, spekulujący na wielką buławę i słynny tyle potem Jeremi Wiśniowiecki.

„Staturą mały, ale cnotą, odwagą i powagą najwyższym równy“, z Mohylanki urodzony, po mieczu ród swój od Olgierda wywodzący, był książe Jeremi typem możnowładztwa ukraińskiego. Gwałtowny jego charakter nie znał hamulca, ni chciwość miary. Pan ogromnej fortuny, nie wahał on się zajeżdżać i gnębić sąsiadów i królewszczyzny. W roku 1636. przywłaszczył sobie szmat kraju, należący do starostwa perejasławskiego i założył na nim 40 wsi i miasteczek; w kilka lat później zabrał tymsamym prawie sposobem Rumieńszczyznę, własność marszałka nadwornego Kazanowskiego, a świeżo zajechał własnemu szwagrowi swemu, Aleksandrowi Koniecpolskiemu, ogromny klucz hadziacki. Tak rosła jego potęga, a z nią buta, objawiająca się w czy-

nach gwałtownych, w lekceważeniu króla, ludzi i świata całego. Urażony świeżo (w r. 1644.) na króla, który umknął mu ręki przy pożegnaniu z powodu zajazdu Rumna, rozesłał po sejmikach listy,[1]) pełne skarg i żalów na ów despekt sobie wyrządzony, a teraz oczywiście oświadczył się jak najenergiczniej przeciw ulubionemu zamiarowi królewskiemu wojny tureckiej. Zaskoczony tak gwałtowną opozycyą, ustąpił Władysław IV. narazie, oświadczył publicznie, że o wojnie tureckiej nie myślał i nie myśli, zerwał układy z Wenecyą, wydał uniwersały do zaniechania werbunków i tem wszystkiem uspokoił do pewnego stopnia potrwożone umysły. W rzeczywistości jednak rzecz miała się inaczej, król zamiarów swoich nieporzucił wcale i porzucić nie mógł. Trapiła go niewątpliwie owa tajemnica straszna o lidze kozacko-tatarskiej, powierzona niegdyś przez Koniecpolskiego, drżał na myśl o wielkiem powstaniu na Ukrainie i jedyny środek zażegnania tej burzy widział w wojnie tatarskiej lub tureckiej. Nie fantazya zatem, nie lekkomyślne jakieś rachuby, ale troska o bezpieczeństwo i całość Rzeczypospolitej parły go teraz do urzeczywistnienia planów, sprzecznych z pokojowem usposobieniem narodu.

I jeżeli jaki zarzut pamięci jego uczynić można, to chyba ten, że obawy swoje w tak głębokiej chował tajemnicy, że całej grozy położenia senatorom nie odkrył, że Rzeczpospolitę utrzymywał w błogiej nieświadomości wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. Wstrzymywała go zapewne od tego nadzieja, że sam burzę zażegnać zdoła. Jakoż nie ustał w przygotowaniach wojennych, arsenały napełniał, żołnierzy werbował, Potockiemu oddał kasztelanią krakowską i buławę wielką koronną, aby go powolniejszym dla siebie uczynić i przy końcu czerwca rozesłał listy do senatorów, zapraszając ich na koronacyę królowej do Krakowa i tłumacząc, że wojnę gotuje na Tatarów a nie na Turków. Z tem wybrał się w drogę do Krakowa, wstąpił do Częstochowy, gdzie złożył na ołtarzu szablę swoją i kazał poświęcić nowe chorągwie, wreszcie — po koronacyi królowej — odbył trzydniową radę senatu.

Była ona — jak łatwo przewidzieć — niepomyślna dla zamiarów królewskich. Władysław, trzymając się dotychczasowej taktyki, nie wspomniał wcale o niebezpieczeństwach wojny kozackiej, senatorowie nie chcieli nawet zezwolić na wojnę z Tatarami, lecz żądali zwołania sejmu i zaniechania podróży królewskiej do Lwowa. Król, nic nieodpowiedziawszy na te przedstawienia, wyjechał do Niepołomic, a stamtąd po odwiedzinach w Wiśniczu u Lubomirskiego, do Lwowa, gdzie odbył przegląd wojska, Potockiemu kazał stanąć pod Kamieńcem, a do sułtana napisał list wyzywający z powodu nieprzesiedlenia Tatarów budziackich do Krymu. Buława mniejsza dostała się Kalinowskiemu, wojewodzie czernichowskiemu, głównie wskutek protekcyi Ossolińskiego, który wydał był córkę swoją Urszulę za syna wojewody. Oburzyli się na to srodze inni kandydaci do hetmaństwa: Jeremi Wiśniowiecki, Aleksander Koniecpolski i Mikołaj Ostroróg, podczaszy koronny, a gniew ich objawił się w listach bezimiennych, gdzie uderzono na kanclerza, zarzucając mu, że „znosić chce szlachtę i zaprowadzić w Polsce rząd optymatów“, że pragnie

[1]) Szajnocha: Urazy królewiąt polskich. Szkice historyczne, t. III.

być nie ministrem, lecz „kolegą króla“, izbę poselską obalić, Richelieugo naśladować. Hasła tak popularne przekonały szlachtę zupełnie; podejrzliwa zawsze względem króla, widziała ona teraz w wojnie tureckiej nieuchronną utratę wolności. „Niech królowa odbierze Dunaj tylko — mówiono — a wnet, wróciwszy do Polski z tryumfującem wojskiem, będzie nas draganić cudzoziemcami“. Wszystkie sejmiki oświadczyły się przeto przeciw wojnie. Zalecono posłom nie zezwalać na wojnę, Tatarom upominki posłać, z Turcyą pokój utrzymać, zaciągi rozpuścić, a wrazie oporu ze strony króla siąść na koń i cudzoziemskie żołnierstwo siłą rozpędzić. Pokojowa polityka szlachty znalazła silne poparcie... w Konstantynopolu. W kołach dworskich liczono na to, że albo Tatarzy, podrażnieni odmową daniny, napadną na Polskę, albo że Turcy sami wojnę rozpoczną. Ale Porta — doskonale poinformowana o tem, co się u nas działo — unikała starannie wszelkiej okazyi wojennej. Han krymski, posłuszny rozkazom sułtańskim, zachowywał się spokojnie i gotów był każdej chwili do układów.

Turcy ściągali wprawdzie wojska nad Dunajem, ale czekali napadu. Szlachta nie mogła więc zrozumieć polityki królewskiej; kasztelan przemyski, Tarło, radził żółwia naśladować, siedzieć cicho i łba niewystawiać. Sejm, niesłychanie burzliwy, stanął murem przeciw królowi i zaciągom cudzoziemskim, senatorowie świecili nieobecnością; na 142. dygnitarzy zjawiło się przy otwarciu sesyi siedmiu z prymasem na czele, a i ci, co przybyli, zdania swego otwarcie wypowiedzieć nie śmieli. W izbie poselskiej za to wodziła rej opozycya, szczególniej posłowie wielkopolscy, najmniej przez inkursye pogańskie zagrożeni. Oni to, z Bogusławem Leszczyńskim — generałem wielkopolskim — na czele, zażądali osobnej rozmowy z senatorami w nieobecności królewskiej. Pod takim naciskiem skończył się sejm zupełną porażką polityki wojennej; stanęła konstytucya znosząca zaciągi, zakazująca królowi wydawania listów przypowiednich z pieczęcią pokojową i rozpoczynania wojen bez zezwolenia Rzeczypospolitej. Nawet liczbę gwardyi królewskiej ograniczono do 1200 ludzi. Aby zaś dopilnować wykonania tych uchwał, postanowiono zwołać sejm nadzwyczajny dwuniedzielny na dzień 2. maja 1647. roku.

Król przyjął to nowe upokorzenie na pozór obojętnie, z wesołem nawet obliczem, w istocie z goryczą w duszy i głębokim żalem w sercu. Uparty w zamiarach swoich wojennych, tym razem skłonił się do ustępstw ze względu na ukochanego syna, któremu koronę pragnął zapewnić. Mimoto nie brał się rączo do wypełnienia uchwał sejmowych, zwlekał, temporyzował, gwardyi nie rozpuszczał, chorągwi zwijać nie kazał, uniwersały o zaciągach odwoływał, nowe sprowadzał i pilne czynił starania o pomoc szwedzką i francuską, licząc na to, że mu się powiedzie napad jakiś Turków lub Tatarów wywołać i Rzeczpospolitą wbrew jej woli wciągnąć do wojny. Ale Porta, znając położenie króla, czekała cierpliwie, ostentacyjnie okazywała wszelką do pokoju gotowość, Tatarów puszczała na Moskwę a nie na Polskę. Wobec tego nie miały znaczenia listy hetmana Potockiego, pisane w porozumieniu z królem, o niebezpieczeństwach grożących od Turcyi, nie pomogło wiele brewe papieskie do biskupów, wzywające do wojny tureckiej. Sejm roku 1647. tak jak poprzedni

oświadczył się przeciw zamiarom królewskim, a rzecznik opozycyi, biskup kujawski Gniewosz, zażądał w piorunującej mowie oddalenia cudzoziemców od dworu, powstrzymania Kozaków od wypraw morskich i zachowania pokoju z Turcyą. Zagonowa polityka biskupa nie widziała zresztą żadnych niebezpieczeństw; domorosły statysta nie obawiał się nawet, aby sułtan Mołdawią i Wołoszczyznę w prowincye swoje zamienił, „bo te ziemie kuchnię jego opatrują“, bo „za takową ordynacyą zarazby rebelia wybuchła w Siedmiogrodzie, a chłopi wołoscy i multańscy rozbiegliby się do Węgier i Polski“.

Król odparł na te wywody trafnie: „Nie pojmuję Waszej polityki, mając nieprzyjaciół lub zazdrosnych we wszystkich sąsiadach: w Turkach, Tatarach, Moskalach, Szwedach, Austryakach, jakby ich nie dosyć, usiłujecie zerwać jedyną, jaka Wam zostaje, przyjaźń z Wenecyą“. Na szczęście dla króla jednak zajął się sejm — dzięki dowolności, która w obradach panowała i dopuszczała do wnoszenia najrozmaitszych materyj — bez względu na przedmiot, traktowany w izbie, drażliwą zawsze sprawą innowierców. Oskarżano mianowicie Aryanina, Szlichtynga, o wydanie ksiąg bluźnierczych w Rakowie i Janusza Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, kalwina, o obalenie krzyża w Świadościach. Posypały się więc natychmiast mowy, pełne żarliwości religijnej i swady oratorskiej, prześcigano się w wycieczkach przeciw dyssydentom, Mazurzy zarzucali biskupowi poznańskiemu, księżom, a nawet Jezuitom, że nie dość gorliwie bronią religii i na tem upłynął czas zamierzony sejmowi, nie uchwalono ani jednej konstytucyi, marszałek zaprowadził izbę na zwykłe pożegnanie do króla i senatu. Wtedy w obliczu wszystkich stanów Rzeczypospolitej wystąpił miecznik koronny Jabłonowski,[1]) ojciec późniejszego hetmana, z uroczystą protestacyą przeciw całemu chaotycznemu trybowi sejmowania i posłom, zrywającym w ten sposób obrady. Zakrzyczany i zelżony przez kolegów nie mógł on wprawdzie dokończyć mowy swojej i niebawnie potem umarł „z apressyi, nie chorując“, ale dokazał tego przynajmniej, że zawstydzona izba zgodziła się na przydłużenie sejmu o dni cztery. Za ten czas krótki uśmierzono i sprawę dyssydentów i uchwalono 134 konstytucyj, przyjmując je bez żadnego prawie namysłu, tak, że wśród ogólnego zamięszania powiodło się królowi uzyskać także zatwierdzenie dawnej uchwały „o zatrzymaniu wojska kwarcianego“. Mając w ten sposób do pewnego stopnia ręce rozwiązane, zawarł Władysław IV. przez Adama Kisiela, kasztelana kijowskiego, odporne przymierze z carem Aleksym Michajłowiczem przeciw Tatarom i powrócił do dawnych swoich planów, aby ściągnąć napad hordy krymskiej na Polskę i tem wywołać wojnę turecką. Do wykonania tego zamiaru potrzebna była jednak pomoc Kozaków i o nią przedewszystkiem starać się należało. Wyjechał w tym celu w dwa miesiące po sejmie Ossoliński na Ukrainę. Miał on skłonić szlachtę dyzunicką do przyjęcia ugody, świeżo na zjeździe wileńskim uchwalonej i zbadać krzywdy, jakie ponosić mieli wyznawcy cerkwi wschodniej od katolików i Jezuitów. O poleceniach jego do Kozaków i o przebiegu układów nie mamy żadnych wiadomości. Misya kanclerza, okryta głęboką tajemnicą, dała później

[1]) Szajnocha: Miecznik koronny Jabłonowski. Szkice, t. III.

powód do rozmaitych podejrzeń i rekryminacyj. Twierdzono, że Ossoliński imieniem króla ofiarował buławę atamańską Chmielnickiemu, od czego ten się wymówił; w listach i sprawozdaniach cudzoziemców są wiadomości, że Wła-

Michał Korybut Wiśnowiecki.

dysław IV. zamierzał użyć Kozaków do poskromienia szlachty i zreformowania Rzeczypospolitej. [1]) To pewna, że obietnice, jakie dał posłom kozackim i wer-

[1]) Porównaj dopiski u Kubali (Jerzy Ossoliński, t. II., rozdział XVII.).

bunki, które polecił Barabaszowi i Chmielnickiemu, obudziły w ludności ukraińskiej daleko sięgające nadzieje. Przekonanie, że król opiekuje się Zaporożcami, że gotów jest przywrócić im dawniejsze swobody i otworzyć drogę do sławy i zdobyczy, podziałało jak iskra elektryczna na masy skłonne do wojaczki i lekkiego życia, a niezadowolone z obecnego swego położenia.

Od czasu, jak kolonizacya szerokiem korytem popłynęła na wschód, jak, dzięki pokojowym stosunkom, stepy bezludne zakwitły setkami siół i miasteczek, wyrastających jakby z pod ziemi, było owo zbieganie na Niż i „kozakowanie“ ludności wiejskiej stokroć uciążliwsze dla panów ukraińskich i szlachty niż przedtem. Narzekano na to tembardziej, gdy ludność rolnicza w tych okolicach większą niż gdzieindziej cieszyła się swobodą, gdy ziemia urodzajna dawała każdemu nietylko możność wyżywienia się, ale i względnego nawet dostatku. Nie na nędzę i brak chleba skarżył się też w chłopa obrócony Zaporożec, ale na owo ograniczenie życia niegdyś zupełnie swobodnego, na powściągnięcie swawoli przez uregulowanie stosunków społecznych, na władzę, dawniej w tych okolicach mało znaną, a dziś krępującą go na każdym niemal kroku, na nieodłączne zresztą od postępu cywilizacyjnego i kolonizacyjnych prądów nowatorstwa i przykrości. Razem z powstaniem fortun wielkopańskich i szlacheckich musiał bowiem pojawić się na Ukrainie także ów przymus propinacyjny, rozpowszechniony w Polsce na początku XVII. wieku, a zabraniający pędzenia wódki, warzenia piwa i sycenia miodów na niekorzyść dziedziców i ich karczem, ściągnęli gromadnie arendarze żydzi, którzy przepisów tych w własnym interesie ściśle przestrzegali, a w dobrach magnackich rządzili podstarościowie, ludzie rozmaitej kondycyi, patrzący własnego zysku i niezawsze kierujący się z zasadami słuszności i sprawiedliwości względem ludzi, poddanych pod ich wyłączny niemal regiment.

Wynikały stąd co chwila starcia, drobne wprawdzie, ale wielce dokuczliwe dla ludności, przywykłej do swobody, powstawało niezadowolenie, podniecane przez żywioł innego rodzaju, przez rzeszę głodnych popów i czerńców schyzmatyckich, którym unia i propaganda katolicka odbierała codzienny kawałek chleba. Położenie dyzunitów i innowierców ogółem w Rzeczypospolitej nie było wcale tak przykre, jakby z narzekań ich wnosić wypadało. Posiadali oni prawa, konstytucyami sejmowemi i przywilejami królewskiemi zagwarantowane, zasiadali na krzesłach senatorskich, piastowali wysokie w państwie urzędy, mieli wolność wyznania i zupełne równouprawnienie. Żarliwość religijna wzrosła wprawdzie u katolików w ostatnich mianowicie czasach, ale prześladowanie skierowało się głównie i wyłącznie przeciw Aryanom, znienawidzonym w równej mierze przez wszystkie wyznania chrześcijańskie. Dyzunici, najbliżsi katolikom, nie byli właściwie uważani za „heretyków“ i nie doznawali wcale takiego prześladowania, jak kalwini lub protestanci. Na tuziny zburzonych zborów innowierczych nie było chyba ani jednej cerkwi, na którąby się ręka katolicka w podobny sposób targnęła. Legendy o zamykaniu świątyń dyzunickich przez żydów nie są udowodnione historycznie, niezbitym faktem za to jest działalność swobodna bractw stauropigialnych, rozwijająca się na szkodę Rzeczypospolitej. Jednym, jedynym może kamieniem obrazy dla

dyzunitów była unia i propaganda katolicka, bardzo zrozumiała jednak w państwie, gdzie panowała rozległa wolność religijna, dozwalająca każdemu głosić i rozszerzać swoje zasady. Że zdarzały się przytem nadużycia, że księża uniccy odbierali cerkwie i parafie schyzmatykom, temu przeczyć nie można i na to w dokumentach znajdą się dowody, ale o systematycznem prześladowaniu mowy nie było. I jeżeli z czego robiliśmy i robimy zarzut rządowi polskiemu i szlachcie, to chyba z tego, że unii energicznie nie poparli, że biskupów unickich do senatu nie wprowadzili, że to najmłodsze dziecię kościoła kochali zbyt platonicznie. Ale poza tą kwestyą zasadniczą kryła się inna, kwestya chleba u duchowieństwa dyzunickiego. Każda cerkiew, zdobyta dla unii, każdy klasztor, odebrany czerńcom, wyrzucały na bruk całe rodziny popów i mnichów, wyzuwały ich z dotychczasowych dochodów, tworzyły setki malkontentów, pozbawionych wszelkiego zarobku i utrzymania. Ludzie ci, po większej części ciemni i niewykształceni,[1]) stawali się najzawziętszymi przeciwnikami unii, najgorliwszymi propagatorami prawosławia, najzręczniejszymi wreszcie agitatorami Chmielnickiego. Dwa pierwiastki zatem, fanatyzm religijny dyzunicki i kwestya socyalna, składały się na ruch. wszczęty na Ukrainie, brakowało tylko człowieka, któryby z tego materyału palnego wzniecił pożar wielki i nieugaszony. Człowiek taki znalazł się w Bohdanie Chmielnickim. Był on synem Michała, pisarza prowentowego a następnie podstarościego czehryńskiego, który za zasługi wojenne miał otrzymać od hetmana Koniecpolskiego słobodę Subotów, położoną w starostwie korsuńskiem. Pochodzenia kozackiego — o ile się zdaje — bo szlachcicem nie był, chociaż pod klejnot Abdanków chętnie się podszywał,[2]) nie posiadał Bohdan ani wykształcenia ani ogłady. Kisiel w liście do wojewodów moskiewskich nazywa go „chłopem naszym“, przychylny Chmielnickiemu historyk dzisiejszy rosyjski Karpów „Kozakiem nieomal chłopem“. Z listów własnoręcznych Chmielnickiego okazuje się wprawdzie, że pisać umiał, ale że ułożenie listu wielkie mu sprawiało trudności, że, nawiązując stosunki z carem moskiewskim w roku 1648., nieznał nawet utartych formułek dyplomatycznej korespondencyi i tytułował drażliwego w tym względzie monarchę: „Wielmożny i przesławny Carze Moskiewski, a nasz wielce miłościwy panie i dobrodzieju!“ W życiu codziennem nie różnił się też wcale od prostego Kozaka, upijał się często, zamroczony gorzałką porywał za szablę i w przystępie gniewu ścinał głowy najbliższym bez miłosierdzia. Ale pod tą powłoką grubą i wstrętną nawet ukrywał się umysł przebiegły i stanowczy, bezgraniczna obłuda, idąca w parze z energią, organizatorskim talentem i niepospolitą znajomością charakterów i usposobień ludzkich. Otrzymawszy w spadku po ojcu, który zginął w cecorskiej bitwie, ową Słobodę subotowską, zajął się Bohdan pilnie gospodarstwem i doszedł wkrótce do pewnej zamożności, miał dom w Czehryniu i obok Subotowa zakładał nową słobodę, „fundując się w chłopy“. Ten wzrost jego fortuny niepodobał się

[1]) Ciekawe szczegóły w tym względzie przytacza Rusin Sakowicz w książce: „Epanorthosis abo Perspektiwa y objaśnienie błędów i t. d.“ W Krakowie 1642.

[2]) Konstytucyą sejmową nadano klejnot szlachectwa polskiego dopiero w roku 1659. synowi Bohdana Jerzemu, co byłoby wprost niezrozumiałem, gdyby ojciec był szlachcicem.

podstarościemu czehryńskiemu Danielowi Czaplińskiemu, czy Czaplickiemu, który jako urzędnik chorążego wielkiego koronnego Aleksandra Koniecpolskiego, zarządzał Czehryńszczyzną.

Nagle więc odebrał mu ową Słobodę subotowską, syna jego 10-letniego Tymoszka obił, a samego Bohdana wtrącił do więzienia, skąd go tylko Czaplińska, „cnotliwa i daremnie ginących ludzi litująca się Ester“, prośbami swemi u męża wybawiła. Stało się to wtedy, gdy Władysław IV. układał plan wojny tureckiej, gdy do Warszawy wezwano posłów kozackich i gdy król Barabaszowi i Chmielnickiemu polecił zaciągać Zaporożców. Bohdan, jako wykształceńszy od innych, jako setnik czehryński, posiadający liczne stosunki pomiędzy Kozactwem i mianowany jeszcze przez Koniecpolskiego pisarzem wojska zaporoskiego, został także pisarzem nowego zaciągu a ośmielony łaskawem przyjęciem Władysława IV., skarżył się przed nim o odebranie Subotowa. Król kazał prawnikom rozpatrzeć tę sprawę, ponieważ jednak Chmielnicki nie miał przywileju na Słobodę, nie mógł i król nic zdziałać, powiedział mu tylko — jak utrzymywano później: „A czyż ty nie żołnierz“? Jakkolwiek wątpić należy, aby Władysław IV. — znając zamiary Kozaków — w sposób tak podburzający do nich się odzywał, tyle zdaje się być pewnem, że Chmielnicki z Warszawy innym powrócił człowiekiem. Zaszczycony zaufaniem królewskiem, mianowany pisarzem nowego wojska zaporoskiego, przebiegłością i zdolnościami przewyższający i Barabasza i innych dygnitarzy kozackich, mógł on odtąd już z otuchą spoglądać w przyszłość. Wrazie wyprawy tureckiej bowiem otwierała się przed nim droga do zaszczytów i chwały, na wypadek zaś niedojścia zamiarów królewskich pozostawały zawsze rozległe na Zaporożu stosunki, możność obrony siebie i swoich przed prześladowaniem Czaplińskiego, a ostatecznie — ultima ratio — ucieczka na Niż i odegranie tam z lepszem powodzeniem roli Sulimy, Ostrzanina lub Nalewajki. Kto tak jak Chmielnicki znał stosunki obecne na Ukrainie, ogólne wzburzenie umysłów i niezadowolenie regestrowych Kozaków, którym od lat pięciu żołdu niepłacono i kto posiadał tyle energii co on, ten mógł rzeczywiście na wiele się odważyć.

Narazie jednak, zajęty wyprawą turecką, oddał on się cały werbowaniu Kozaków, a że działał z upoważnienia królewskiego, więc poniekąd legalnie, wzniecił zatem ruch znaczny w kraju. W tem nagle — jak grom z jasnego nieba — spadła wiadomość, że sejm roku 1646. wojnie się sprzeciwił i zaciągi rozpuścić polecił. Wywołało to na Ukrainie z jednej strony popłoch, zwłaszcza pomiędzy Kozakami, z drugiej podniosło butę szlachty, która ufnych w opiekę królewską Zaporożców tembardziej prześladować zaczęła. Wtedy to udał się Chmielnicki poraz drugi do Warszawy ze skargą na Czaplińskiego do króla, a skutkiem tej audyencyi jego było upomnienie Władysława IV., wystosowane do Koniecpolskiego. Powróciwszy na Ukrainę i przekonawszy się, że skarga jego skutku nieodniosła, zaczął on myśleć o powstaniu, ale z pomocą tatarską.

Tymczasem podróże jego i krzątania się obudziły podejrzenia panów ukraińskich, którzy na Chmielnickiego oddawna już z nieufnością spoglądali.

Hetman Koniecpolski mniemał, że „wielkie rzeczy przez tego człowieka stać się muszą, albo dobre, albo złe“ i żałował umierając, że go przy życiu zostawia. Obecnie syn hetmana, chorąży, wybierając się na wyprawę przeciw Tatarom, która aż pod Oczaków sięgnąć miała, ostrzeżony przez Romana Pestę, pułkownika regestrowych Kozaków, o knowaniach Chmielnickiego, kazał go uwięzić, ale na prośby starszyzny kozackiej uwolnił go z turmy i oddał pod straż i porękę pułkownika Krzeczowskiego. Niepewny w ten sposób wolności i życia nawet, zdecydował się Chmielnicki na krok stanowczy, wyłudził od Barabasza podstępem przywileje, jakie Kozacy świeżo od króla otrzymali i uciekł wraz z dwoma synami swymi w grudniu roku 1647. na Niż, gdzie znalazł schronienie na skalistej wysepce Bucku. Tam, zwoławszy na radę przyjaciół swoich, wtajemniczonych w jego zamiary, przedłożył im plan wezwania Tatarów na pomoc, na co oni przypadli. Jakoż pora była dobrze obrana, bo Islam Giraj, podrażniony wyprawą Koniecpolskiego pod Oczaków, gotował właśnie wielki napad na Polskę. Mimoto nie tak łatwo przyszło Chmielnickiemu hordę pozyskać. Islam, zagrożony nowem powstaniem u siebie i nieufając Kozakom, robił wielkie trudności. Dopiero kiedy Bohdan oświadczył, że będąc niegdyś w jassyrze w Carogrodzie przyjął był wiarę mahometańską i teraz gotów jest całą Kozaczyznę zbisurmanić, skoro uwolni ją z pod władzy polskiej, kiedy na znak poddaństwa ucałował szatę Islama i syna swego jako zakładnika hanowi zostawił, przyrzekł mu tenże pomoc pod Tohaj bejem, namiestnikiem perekopskim, wtedy, gdy Kozacy sami powstanie rozpoczną. Dla zamaskowania tych układów zdradzieckich, które toczyły się w zimowych miesiącach roku 1648., obsyłał Chmielnicki dygnitarzy koronnych pokornemi listami, skarżył się na krzywdy doznane, zapowiadał poselstwo do króla z „apellacyą i supplikacyą“, a tymczasem przez ajentów swoich burzył lud i zwoływał go na ostrowy dnieprowe. Władysław IV. zaniepokoił się mocno ucieczką Chmielnickiego, wtajemniczony bowiem w plany kozackie przez Koniecpolskiego, widział jasno, że krok ten zapowiada powstanie, groźniejsze od poprzednich, że może zniweczyć wszystkie jego nadzieje i ściągnąć na Rzeczpospolitą nieobliczalne niebezpieczeństwa. Bezzwłocznie więc kazał hetmanom stanąć z wojskiem między Winnicą a Białocerkwią, Ossolińskiemu wysłać komisyę dla zbadania krzywd kozackich, a regestrowcom wypłacić żołd zaległy. Ale środki te przychodziły już zapóźno, bo Chmielnicki tymczasem rozpoczął kroki nieprzyjacielskie i spędziwszy z Zaporoża pułk korsuński regestrowców (w lutym 1648. roku), dał hasło do powstania. Ruch, przygotowany widocznie oddawna z wielką zręcznością, ogarnął wnet cały kraj, tak, że podług świadectwa hetmana Potockiego „nie było tej wsi, tego miasta, w którychby na swawolę nie wołano i nie myślano o zdrowiu, o substancyach panów swoich i dzierżawców“. Stłumienie buntu nie mogło być też w tej chwili dziełem króla, o setki mil oddalonego od Zaporoża, lecz rzeczą hetmana, jego energii i szybkości.

Nieszczęściem spoczywała buława wielka koronna właśnie wtedy w rękach Mikołaja Potockiego, który w niczem niedorównywał wielkim swoim poprzednikom. Surowy, a nawet okrutny w poskromieniu buntów kozackich, nie

posiadał Potocki ani zdolności wojskowych, ani miłości poddanych. Oddany ucztom i pijatyce, wożący ze sobą setki beczek wina i miodu, raz rubaszny, to znów schlebiający niesfornym animuszom żołnierskim, wprowadził on do wojska, wzorowo urządzonego za czasów Koniecpolskiego, nierząd i rozprzężenie. Nie o wiele lepszym był towarzysz jego w dowództwie, hetman polny Kalinowski.

Odznaczał on się wprawdzie niepospolitą odwagą osobistą, ale niezmiernie krótki wzrok i brak powagi u żołnierzy czyniły go niezdolnym do prowadzenia wojska i wojny. Zresztą jako młodszy rangą musiał Kalinowski podlegać we wszystkiem woli hetmana wielkiego, który opozycyi nieznosił, a rad — chociażby najlepszych — niesłuchał. Obecnie na wiadomość o powstaniu, wydał on rozkaz rozbrojenia ludności, powołał hufce nadworne panów ukraińskich do połączenia się z wojskiem koronnem, zabrał znajdujące się po miastach i dworach armatki i prochy i postanowił po Wielkiejnocy wyprawić się na buntowników.

W dziwnem atoli zaślepieniu nie czekał wcale na wykonanie wydanych rozkazów, na wzmocnienie wojska hufcami nadwornemi Wiśniowieckiego i innych magnatów, lecz, polegając na wierności regestrowych Kozaków i ufając niebacznie pokojowym zapewnieniom hana i wielkiego wezyra, zamierzał z temi siłami, jakie miał pod ręką, stłumić powstanie i Chmielnickiego pokonać. Jakoż, niezważając wcale na listy królewskie i upomnienia Stanisława Lubomirskiego, Ostroroga i Kisiela, którzy przed zbyt porywczem działaniem przestrzegali, wyprawił syna swego Stefana z częścią wojska w stepy, a 4000 regestrowców Dnieprem na zgniecenie — jak sądził — buntowników. Skutek tych nieopatrznych zarządzeń był łatwym do przewidzenia. Regestrowcy, niepłatni i przez ajentów Chmielnickiego oczywiście obrobieni, wymordowali pułkowników swoich i przeszli na stronę powstańców.

Dnia 9. maja doniósł o tem Potockiemu komendant twierdzy kudackiej Grodzicki, ale hetman — jakkolwiek zafrasowany bardzo — nie ruszył się z miejsca, stał obozem pod Borowicą do 17. maja i chociaż słyszał strzały w stepie, synowi na pomoc nie poszedł, owszem w największej niepewności cofnął się ku Czerkasom. Tymczasem partya Stefana Potockiego, spotkawszy tabor kozacki pod Żółtemi wodami, wdała się nierozważnie w bitwę, a zdradzona przez dragonią z Rusinów złożoną i otoczona przez przeważające siły tatarskie i zaporoskie, została niemal w pień wycięta. Jeden, jedyny ocalały z tego pogromu Kozak-regiestrowiec, przyniósł hetmanowi wiadomość o śmierci syna i o doszczętnem zniesieniu całego oddziału. Zginął tam kwiat młodzieży polskiej, Szemberg, będący komisarzem nad Kozakami, poniósł śmierć męczeńską, inni, pomiędzy nimi tyle słynny później Stefan Czarniecki, dostali się w jassyr tatarski. Hetman, przerażony tą wiadomością, stracił głowę do reszty cofnął się w popłochu do Korsunia i nieczekając tu już na przybycie Jeremiego Wiśniowieckiego, który w 6000 ludzi stał nad Dnieprem, postanowił uchodzić dalej ku Bohusławiu, drogą krótszą, wiodącą wśród wzgórków i lasów, pomimo przedstawień Kalinowskiego, który radził w Korsuniu zostać i bitwę wydać nieprzyjacielowi. Dnia 26. maja wyruszyło wojsko polskie, złożone

z 6000 wyborowego żołnierza, z ogromnym taborem ku Bohusławiowi. Zdradzeni przez przewodników, donoszących o każdym ruchu armii polskiej Chmielnickiemu, wpadli hetmanie w dolinie Kruta Bałka zwanej w zasadzkę, urządzoną przez Kozaków i ponieśli zupełną klęskę. Tylko pułkownik Korycki, niesłuchając już przewrotnych rozkazów Potockiego, przebił się w 1500 ludzi przez ćmę nieprzyjaciół, reszta zginęła lub poszła w jassyr, pomiędzy ostatnimi byli Potocki i Kalinowski.

Stało się to w tydzień po śmierci królewskiej. Złamany zgonem 9-letniego synka swego i niepowodzeniem lat ostatnich, gnębiony chorobą dokuczliwą wyjechał był Władysław IV. do Wilna, gdzie otrzymał wiadomość o buncie kozackim. Natychmiast też wydał on znane nam już rozkazy i postanowił na czele wojska ruszyć osobiście na Ukrainę. W tym celu wybrał się w drugiej połowie kwietnia do Warszawy, lecz choroba królowej zatrzymała go w Mereczu. Tu — oddając się jak zwykle z wielkiem zamiłowaniem polowaniu — zapadł nagle na zdrowiu i dnia 20. maja zrana oddał ducha Bogu w 52. roku życia.

Jan Kazimierz 1648—1668.

Bezkrólewie. — Elekcya. Wiadomość o śmierci królewskiej i nadchodzące bezpośrednio potem hiobowe wieści o klęsce żółtowódzkiej i korsuńskim pogromie przeraziły niesłychanie umysły. Spadały bo też te gromy po dziesięcioletnim błogim pokoju, spadały na społeczeństwo, używające wczasu i wypoczynku, opływające w dostatki, wygrzewające się z upodobaniem w słońcu nieograniczonej niczem swobody i wolności szlacheckiej. Im pomyślniejszym był ten stan kraju i narodu, tem dotkliwiej dawała się uczuć nagła zmiana losu, tem głębszym musiał być upadek ducha i zwątpienie. „Actum est, zginęliśmy!“ rozlegało się od jednego krańca Rzeczypospolitej do drugiego, a rozpaczliwy ten okrzyk potwierdzały listy hetmana wielkiego koronnego z pod Korsunia pisane. Zerwał się na to Ossoliński i podążył do króla, kiedy na granicy litewskiej spotkała go wiadomość o śmierci Wadysława IV., rażony paraliżem stracił kanclerz władzę w obu rękach. Czuł on bowiem, że cała odpowiedzialność spadała teraz na niego, inicyatora wojennych zamysłów królewskich, poufnego niejako ajenta dla spraw kozackich. Położenie było rzeczywiście rozpaczliwe. Władza naczelna przechodziła na prymasa, 70-letniego starca, na senatorów, rozprószonych po rozległym kraju, z których najwybitniejsi byli bądź wiekiem pochyleni, bądź chorobą złamani. W chwili, gdy należało rozwinąć jak największą energię i szybkość w działaniu, stawała się machina rządowa ociężałą i bezwładną. Prymas, jakby wśród najgłębszego pokoju, zwołał sejmiki na dzień 25. czerwca, ale zanim rozeszły się uniwersały, nadszedł list od podczaszego Ostroroga ze Lwowa z wiadomością o klęsce korsuńskiej, o pochodzie Chmielnickiego z pogaństwem w głąb Rzeczypospolitej, o rozesłaniu szpiegów kozackich, którzy „co przedniejsze miasta palić mieli“. Zebrał się więc na gwałt zjazd nieliczny senatorów i szlachty w Warszawie dnia 9. czerwca i wydał uniwersał, wzywający do zaciągów i do pospolitego ruszenia, powierzając naczelne dowództwo nad wojskiem trzem regimentarzom: księciu Dominikowi Zasławskiemu, Mikołajowi Ostrorogowi i Aleksandrowi Koniecpolskiemu. Uczyniono w ten sposób krok najfałszywszy, który słusznie oburzył i szlachtę i senatorów. Uchwały tak doniosłe bowiem, obowiązujące całą Rzeczpospolitę, powzięto na zgromadzeniu nielicznem, na zjeździe partykularnym, mazowieckim, w obecności kilku zaledwie dygnitarzy, los wojny oddano w ręce ludzi, zupełnie do tego niezdolnych, z pominięciem wodzów doświadczonych, jak księcia Janusza Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, Stanisława Lubomirskiego, Firleja, Jeremiego Wiśniowieckiego i tylu innych, rząd wojska powierzono najbardziej ograniczonemu magnatowi, księciu Zasławskiemu, „zrobiono jelenia dowódcą“. Wszystko to było dziełem Ossolińskiego, który chciał opanować tym sposobem wojsko, swego kandydata na tron wprowadzić i sprawę kozacką podług swojej myśli pokierować. Ale szlachta — zdrowo patrząc się na rzeczy — powstała słusznie przeciw tym

rządom kanclerskim, uniwersały warszawskiego zjazdu odrzuciła, na sejmikach wojewódzkich uchwaliła zaciągi wojskowe i uderzyła silnie na nominacyą regimentarzy. Zapał chwalebny ogarnął cały stan rycerski, Rzeczpospolita zrywała się do czynu, zaczynała myśleć o sobie i działać. W tej chwili jednak stała się rzecz niespodziewana, nadeszła wiadomość, że Tatarzy wrócili do Krymu i że Chmielnicki, który dotarł był do Białocerkwi, cofnął się do Czehryna i okazuje gotowość do układów. Pisał o tem Kisiel, wojewoda bracławski, donosząc zarazem, że sam z własnej inicyatywy — jako senator dyzunicki — starał się wpłynąć na Chmielnickiego, że otrzymał na list swój od niego odpowiedź uspokajającą i że ma wszelką nadzieję zażegnania burzy kozackiej. W istocie była przyczyna tego niespodziewanego zwrotu zupełnie inna, nastąpiła ona na wyraźny i to bardzo surowy rozkaz z Konstantynopola, dokąd tak hetman Potocki jak i Ossoliński udawali się ze skargą na najazd tatarski. Turcy, zajęci jeszcze ciągle wojną wenecką, niewiedząc zresztą nic o śmierci Władysława IV., pragnęli uniknąć wszelkich z Polską zatargów. Ostrzegał ich w tym względzie wierny przyjaciel Rzeczypospolitej, Wasyl Lupul, hospodar wołoski, teść Janusza Radziwiłła i stąd stało się, że wezyr, otrzymawszy wiadomość od Islam Giraja o zwycięstwie korsuńskiem, rozgniewał się bardzo, posłów hańskich miasto kaftanów kijem obłożyć kazał i Islamowi polecił groźnie, aby natychmiast z granic Rzeczypospolitej ustąpił. Pozbawiony tak posiłków tatarskich, znalazł się Chmielnicki w nader trudnem położeniu. Wiedział on dobrze, że dotychczasowe powodzenie swoje zawdzięcza pomocy hana, zdradzie regestrowców, dragonii ruskiej i nieudolności hetmanów, wiedział, że Rzeczpospolita hańby takiej płazem nie puści, spodziewał się wojsk nowych, groźniejszych i nieochybnej w tym razie porażki. Bez hordy zbieranina jego nie mogła stawić czoła żelaznym zastępom hussaryi, bez ćmy pogaństwa czerń sama musiała uledz wyższej taktyce i przewadze Polaków, po Żółtych wodach i Korsuniu mogły się powtórzyć Kumejki. Rozważywszy to wszystko, pragnął Chmielnicki zawieszenia broni we własnym swoim interesie, aby jednakże Polaków w błąd wprowadzić, przedstawił tę przerwę w działaniu wojennem jako akt swojej wspaniałomyślności względem Rzeczypospolitej. Udając więc, że ani on ani han nie wiedzą nic o śmierci królewskiej, wystosowali obaj listy do Władysława IV. (dnia 12. czerwca), w których Chmielnicki oświadcza, że „ordzie wrócić kazał, aby się więcej krew chrześcijańska nie lała“, a Islam Giraj, że powstrzymał Kozaków, „napierających się dążyć aż do stóp tronu“. List Chmielnickiego wraz z listami do znaczniejszych senatorów powiozło do Warszawy osobne poselstwo, opatrzone instrukcyą pokojową.

Żądał w niej Bohdan przywrócenia swobód kozackich, powiększenia regestru do 12.000, wypłacenia zaległego żołdu i zwrotu cerkwi zabranych dyzunitom w Lublinie, Sokalu, Krasnymstawie, Włodzimierzu i innych miejscowościach. Posłowie przybyli do Warszawy dnia 6. lipca, a że rzecz była wielkiej wagi i nikt na własną odpowiedzialność kwestyi tak doniosłej rozstrzygnąć nie mógł i niemiał prawa, więc zatrzymano ich aż do konwokacyi, która miała się odbyć dnia 16. lipca. Nagły ten zwrot, niespodziewana po-

kora Chmielnickiego i odwrót hordy tatarskiej, wywarły najfatalniejszy wpływ na kierunek polityki polskiej. Przerażone umysły uspokoiły się, powróciła ufność w siły własne, przekonanie, że Chmielnicki z obawy przed Rzeczpospolitą powstrzymał kroki wojenne, napełniło otuchą serca najtrwożliwsze, sądzono, że niepotrzeba już używać nadzwyczajnych środków dla stłumienia buntu, że Kozacy sami do uległości powrócą. Ochłódł więc zapał wojenny, a uwaga powszechna zwróciła się w inną stronę, zaczęto zastanawiać się nad przyczynami powstania, szukać winowajców i oskarżać Ossolińskiego, uczestnika planów królewskich, o ciche porozumienie z Kozakami w celu zatracenia swobód szlacheckich. Pod tem wrażeniem odbyły się sejmiki, a następnie i sejm konwokacyjny. Ale inkwizycya na kanclerza, rozpoczęta odezwaniem się biskupa kujawskiego Gniewosza, nie odniosła żadnego skutku, owszem skompromitowała nawet do pewnego stopnia nieprzyjaciół Ossolińskiego, którzy podejrzeń swoich niczem udowodnić nie mogli. Tem łatwiej powiodło się kanclerzowi po takiem zwycięstwie nakłonić izbę do pojednawczej względem Kozaków polityki.

Posłowie Chmielnickiego otrzymali odpowiedź wcale łaskawą; oświadczono im, że Rzeczpospolita gotowa udzielić amnestyi i przebaczenia za popełnione winy, jeżeli Kozacy jeńców wypuszczą, przymierze z Tatarami zerwą i poddadzą się zresztą woli komisarzów, przez sejm wysłanych. Na pozór wyglądało to groźnie, ale instrukcya, jaką ułożono równocześnie dla komisarzy, dawała im nieograniczone niemal pełnomocnictwo do układów z Chmielnickim i z góry godziła się na warunki przez niego podane. Pojednawcza polityka Ossolińskiego odniosła zatem zupełne zwycięstwo wbrew usiłowaniom przeciwników, główna rola w komisyi przypadła Kisielowi, o którego łagodności i umiarkowaniu nikt chyba nie powątpiewał, a usposobienie sejmu było tak dla kanclerza pomyślne, że zatwierdzono nawet regimentarzy podług jego życzenia, dodając im do boku 32 komisarzy.

Wszystko to stało się z największą dla Rzeczypospolitej szkodą. Zamiast zebrać wojsko, dowództwo nad niem powierzyć zdolnemu hetmanowi, powstrzymać pożogę chłopską i dopiero wtedy prowadzić układy z wyrozumiałością i stanowczością, która Kozaków pozyskać i równocześnie im zaimponować mogła, obrano drogę najniewłaściwszą, zaniechano narazie uzbrojenia, wydano na łup chłopstwu prowincye ruskie, pozwolono nieprzyjacielowi organizować się i wzmacniać swoje siły, a jakby dla ukoronowania tej fatalnej polityki, oddano władzę naczelną nad wojskiem nieudolnym regimentarzom i wielogłowej komisyi, ustanawiając tam, gdzie głównym warunkiem powodzenia jest energia i jednolitość w działaniu, rząd najgorszy ze wszystkich, bo kollegialny.

Źródłem tego opacznego postępowania było złudzenie, wywołane udaną pokorą Chmielnickiego, dobroduszność Kisiela, który wierzył święcie, że interwencyą swoją ocalił Rzeczpospolitę i przekonanie, nieugruntowane niczem, Ossolińskiego, że mu się powiedzie rozerwać przymierze kozacko-tatarskie i wykonać zamiar Władysława IV.

Chłopska polityka Chmielnickiego wywiodła w pole i wyrafinowaną dyplomacyą kanclerską i podejrzliwość szlachecką. Chmielnicki wiedział dobrze, że Tatarzy z obawy o własne bezpieczeństwo trwać będą w sojuszu z Kozakami, a sam ze swojej strony przymierza tego zrywać nie myślał, bo dawało mu ono właśnie wobec Polski stanowisko niezależne, potęgę, z którą Rzeczpospolita liczyć się musiała. Okupił on wprawdzie tę pomoc łzami i niedolą ludu ruskiego, oddał ordzie w jassyr 200.000 dusz chrześcijańskich, zniszczył na długie lata dobrobyt Ukrainy, zamożność Wołynia, bogactwo Podola, ale nasycił się zemstą, zadowolnił ambicyą osobistą, z setnika kozackiego stał się potentatem, z więźnia — zamkniętego w turmie czehryńskiej — pogromcą „królewiąt“ ukraińskich. Było mu zaś z tem tak wygodnie, że niemiał żadnego powodu poświęcać tego stanowiska swego dla pacyfikacyjnych marzeń Kisiela lub dla mglistych planów Ossolińskiego. Podczas gdy jeden i drugi mieli na celu wielkość i dobro wspólnej ojczyzny, on — Chmielnicki — kierował się względami czysto osobistej polityki, okraszonej dla przyzwoitości pozorami dyzunickiej zelozyi. Dla Zaporożców wymagał pieniędzy i swobód, głodnej rzeszy czerńców i popów, którzy go witali w Białocerkwi, dawał cerkwie, przez unitów zabrane, lwią część zdobyczy zachowywał dla siebie, na czerń, będącą narzędziem jego planów, miał szablę i łyka tatarskie. Z takim nieprzyjacielem były wszelkie układy — niepoparte siłą zbrojną — bezskuteczne. Jakoż dowiodły tego wypadki szybko po sobie następujące. Usadowiwszy się w Czehrynie, pewny pomocy tatarskiej, która go zawieść nie miała, rozpuścił on bandy chłopskie po sąsiednich województwach dla postrachu i rabunku. Pod pozorem, że Wiśniowiecki podjazdami ich nęka i okrucieństwa popełnia, rzucili się pułkownicy Chmielnickiego — Krzywonos i Gandza — na miasteczka, zapchane uciekającą szlachtą i żydami. Krzywonos, najdowcipniejszy ze wszystkich, głosił nadto, że posłów kozackich w Warszawie na pal wbito. Nie było w tem ani słowa prawdy. Posłowie bowiem, którzy 6. lipca stanęli w stolicy, nie mogli 20. być już na Ukrainie, ale Chmielnicki, udając naiwnego, uwierzył na słowo Krzywonosowi, bo mu z tem było na rękę. Gandza więc zdobył forteczkę Nesterwar (Tulczyn), 24. lipca przyszła do Warszawy wiadomość, że Kozacy stoją pod Mozyrem, nazajutrz donosił książe Dominik Zasławski o stutysięcznej armii kozackiej u Zasławia, a w dwa dni później przyszła nowina jeszcze straszniejsza o zdobyciu Połonnego, silnej fortecy, opatrzonej 70. armatami. Postępom tym oręża kozackiego towarzyszyły niesłychane gwałty i okrucieństwa. Czerń rozbestwiona wycinała ludność w pień bez różnicy płci i wieku; w Połonnem krajano żydzięta i sprzedawano jako mięso koszerne, w Barze sami Kozacy zjadali upieczone dzieci w obecności matek.[1]) Że na te prawdziwie zwierzęce czyny oburzył się Jeremi Wiśniowiecki, że znosił bandy rozbójnicze, a pojmanych hersztów na pal wbijać kazał, to już rzecz ludzka i łatwo zrozumieć się dająca. Chmielnicki sam o traktatach nie myślał wcale.

[1]) Opowiada o tem nie Polak lecz Rusin, poważny historyk Kulisz w dziele: „Oderwanie się Małorosyi od Polski“, II, 219. Porówn. Korzona Tadeusza rozprawę: „O Chmielnickim sądy pp. Kulisza i Karpowa“. Kwartalnik historyczny z roku 1892.

Jeszcze przed rozpoczęciem sejmu konwokacyjnego napisał do hana, aby z pomocą przybywał, Turkom ofiarował Kamieniec, a w Konstantynopolu intrygował przeciw obecnemu sułtanowi, który był dla Polski przychylnym. Jakoż rzeczywiście wybuchła tam niebawnie rewolucya pałacowa, nastąpiła zmiana panującego, nowy władca nieprzeszkadzał już ani Tatarom ani Chmielnickiemu.

Wśród takich warunków nie mógł nic zdziałać Kisiel i komisarze przez sejm wysłani. Od 4. sierpnia do 14. września czekał wojewoda na układy, 13. września wreszcie oświadczył, że misyę swoją uważa za skończoną. Tymczasem zbierało się pod Czołhańskim Kamieniem pospolite ruszenie, przybywała szlachta rojno i butno, pychą nadęta, przed zwycięstwem tryumfy śpiewająca! Siły były rzeczywiście imponujące, 40.000 wojska, 200.000 ciurów uzbrojonych, wyborna artylerya z 100 dział złożona, owoc skrzętnej zapobiegliwości Władysława IV., wystarczały zupełnie nietylko do złamania kozacko-tatarskiej potęgi, ale nawet do pokuszenia się o Konstantynopol. Brakowało głowy i rządu.

Ani nieudolni regimentarze, ani wielogłowa komisya nie zdołały zastąpić wodza, utrzymać ładu i porządku. Trawiąc czas drogi na ucztach i zabawach, nie myślano wcale o operacyach wojennych, chociaż należało uprzedzić nadejście Tatarów i rozbić jednym zamachem strwożone z początku wojsko kozackie. Po długich naradach ruszono nareszcie pod Konstantynów, a stamtąd pod Piławce, gdzie stał Chmielnicki, oczekując z niecierpliwością posiłków tatarskich. Ale i tu zwlekano ze stoczeniem bitwy tak długo, aż nadeszła przednia straż hana i ośmieleni tem Kozacy uderzyli na obóz polski, rozrzucony bez ładu i planu po wzgórzach i wertepach. Wywiązała się tak (23. września) krótka utarczka, a potem rada wojenna, na której postanowiono ustępować taborem do Konstantynowa. W nocy jednakże pierwsi regimentarze opuścili obóz, ratując się ucieczką, a za ich przykładem poszło całe ogromne wojsko, zostawiając nieobliczone bogactwa na łup zdumionemu tą rozsypką nieprzyjacielowi.

Hańba piławiecka, otwierająca Chmielnickiemu drogę w głąb Rzeczypospolitej, wyprzedziła o dwa tygodnie sejm elekcyjny, zwołany na dzień 6. października. Pomiędzy błędami, jakich się dopuściła konwokacya, było także niewłaściwe zupełnie w tych stosunkach opóźnienie elekcyi. Podług ustaw obowiązujących, sejm elekcyjny miał się odbyć w sześć tygodni po konwokacyjnym, a więc w połowie września; położenie opłakane Rzeczypospolitej nakazywało termin ten przyspieszyć. Dlaczego go zepchnięto na czas tak odległy? trudno sobie wytłumaczyć. Prawdopodobnie stronnictwa, gotujące się już teraz do walki wyborczej, chciały zyskać czas do agitacyi potrzebny, wyobrażano sobie, ulegając zawsze złudzeniom, że po pokonaniu Kozaków — o czem nikt nie wątpił — odpowiedniej i korzystniej będzie zastanowić się nad wyborem nowego pana i uporządkowaniem Rzeczypospolitej. Tak myślał zapewne Ossoliński, mający w zanadrzu gotowego kandydata w osobie królewicza Jana Kazimierza, tego życzyli sobie może i innowiercy, forytujący na tron wojewodę siedmiogrodzkiego, Rakoczego. Nadzieje omyliły jednych i drugich; dnia 29. września nadbiegła do Warszawy wieść o klęsce piła-

wieckiej, w tydzień po tem obegnały hordy tatarsko-kozackie Lwów, Rzeczpospolita znalazła się nad brzegiem strasznej przepaści. W takich warunkach jedynym ratunkiem zdawał się być wybór króla. Ale nikomu jakoś się nie spieszyło, senatorowie zjeżdżali powoli, niektórzy zjawili się na polu elekcyjnem dopiero w pierwszych dniach listopada, inni w przededniu wyboru, nalegania szlachty — o przyspieszenie elekcyi — rozbijały się o opieszałość dygnitarzy i niechęć Ossolińskiego, który uparł się, aby na tronie osadzić koniecznie Jana Kazimierza. Kandydatów do korony, tak ciężko utrapionej, nie było wielu. Zagraniczni książęta usunęli się zupełnie z wyjątkiem Rakoczego, który jednak umarł wciągu sejmu elekcyjnego, pozostali tylko dwaj przyrodni bracia Władysława IV.: Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, biskup wrocławski i płocki. Pierwszy, wiekiem starszy, urodzony w roku 1609., znanym był narodowi z awanturniczych przygód swoich i niestałego charakteru. Z usposobienia zmienny, ulegający wrażeniom chwilowym, a przytem leniwy do tego stopnia, że w życiu swojem nieprzeczytał ani jednej książki od deski do deski, nie był on w niczem podobny do zmarłego brata. O ile tamten kochał ojczyznę, o tyle był Jan Kazimierz dla niej obojętnym, marnował czas, pieniądze i zdrowie na podróżach zagranicznych, otaczał się cudzoziemcami, nosił strój obcy i jak mówiono o nim, wolał widzieć psa niż Polaka. W przedsięwzięciach niestały, nigdy do niczego i do nikogo przywiązać się nieumiał. Jedyną jego zaletą była osobista odwaga, ale i ona objawiała się w chwilowych tylko kapryśnych wybuchach. Pod Smoleńskiem stawał mężnie, wnet jednak powrócił „chory“ do Lwowa po to, aby wyrwać się do Niemiec i walczyć tam w stopniu pułkownika w armii cesarskiej. Upodobanie to nie trwało także długo; zgniewany na szlachtę, że nie chciała mu dać stosownego opatrzenia, postanowił Polskę opuścić i udać się do Hiszpanii. W drodze uwięziony z rozkazu Richelieugo, przesiedział dwa lata w więzieniu francuskiem i w roku 1632. wstąpił nagle do zakonu Jezuitów w Rzymie, ku niezmiernemu strapieniu Władysława IV. Ale pomimo, że żywot zakonny wydał mu się rajem, sprzykrzył go sobie po dwóch latach i zaczął się starać o godność kardynalską, a otrzymawszy ją, wrócił do Warszawy, purpurę odesłał papieżowi i postanowił się ożenić. Wśród tego zaskoczyła go śmierć Władysława IV., a że był ambitnym, próżnym i upartym przytem, więc wszystkie zabiegi swoje zwrócił ku pozyskaniu korony.

Współzawodniczył z nim brat Karol Ferdynand. I on także otrzymał — tak jak wszyscy synowie Zygmunta III. z drugiego małżeństwa — wychowanie nieodpowiedne swojemu powołaniu, ale pod względem charakteru przewyższał znacznie Jana Kazimierza. Surowych obyczajów, porywczy w gniewie, nieprzystępny, był on jednak rządnym i zapobiegliwym, w biskupstwach swoich utrzymywał wzorowy porządek, zbierał pieniądze i obracał je na dobre cele, cudzoziemców nielubił, otaczał się Polakami, ale dobierał ludzi trzeźwych i pracowitych, płacił ich szczodrze i wybryków — podobnie jak sobie samemu — nie pozwalał. To usposobienie niezjednało mu wprawdzie sympatyi i popularności, ale miał szacunek powszechny; lękano go się może, lecz poważano dla statku, spokoju i wielkich bogactw, jakie uzbierał. Przeciwnicy zarzucali

mu skąpstwo, niewojenne usposobienie i to, że się Jezuitami otaczał, ale zarzuty te były nieuzasadnione, a co do niewojenności zapominano, że Francya pod Ludwikiem XIII. i XIV. święciła największe tryumfy orężne, podczas gdy rycerski Franciszek same tylko ponosił klęski. Mimoto widoki Karola były z początku wcale dobre; oświadczył się za nim cały stan rycerski, popierał go Jeremi Wiśniowiecki, podkanclerzy Leszczyński i wszyscy niechętni Ossolińskiemu. Zdawało się więc, że Jan Kazimierz — powszechnie nielubiany — ulegnie. Uratował sprawę jego głównie kanclerz w nadziei, że pod rządami takiego króla polityką Rzeczypospolitej po staremu kierować będzie, a i sam królewicz nie wahał się użyć środków wprost niegodnych, aby tylko celu upragnionego dopiąć. Rzucał więc hojnie obietnicami na prawo i lewo, bez względu na interesa państwa i dobro ojczyzny. Do Szwecyi wysłał gońca, oświadczając, że postara się o pokój jak najkorzystniejszy dla Szwedów, jeżeli Krystyna udzieli mu poparcia, Gdańsk obiecywał uwolnić od wszelkiej zależności, a „wielkiemu“ kurfirsztowi, który w Prusiech wojsko gromadził i sam o koronie polskiej zamyślał, wystawił dnia 6. września pisemną assekuracyą, ręcząc, że jeżeli zasiędzie na tronie, przypuści go do udziału w elekcyi, uwolni jego następców od składania hołdu osobiście i stany Rzeczypospolitej skłoni do dawania pieniężnej pomocy na utrzymanie załogi w Piławie i Kłajpedzie. Tak z oczywistą szkodą Polski jednał sobie Jan Kazimierz dwory ościenne przed elekcyą, ale zabiegi te przyjmowano dość chłodno. Praktyczniejszych środków chwycił się Ossoliński, przeprowadził bowiem tajemny układ Jana Kazimierza z Maryą Ludwiką, w którym królowa ofiarowała znaczną pożyczkę na cele wyborcze, a królewicz zobowiązał się ożenić z nią skoro królem zostanie. W takich warunkach zebrał się sejm elekcyjny. Szlachta, oburzona klęską piławiecką, uderzyła na regimentarzy i na Kisiela; domagano się sądu na winnych, Kisielowi zarzucano publicznie w izbie poselskiej zdradę. Obrady toczyły się bezładnie, senatorowie świecili nieobecnością, szlachta rozdrażniona do żadnej nie mogła dojść konkluzyi.

Tymczasem Chmielnicki wycisnąwszy olbrzymi okup na Lwowie i zrabowawszy doszczętnie schizmatycką katedrę św. Jura, ruszył na oblężenie Zamościa, rozpuszczając zagony swoje ku Lublinowi i Sandomierzowi. Pod wrażeniem tych strasznych wiadomości oddano naczelne dowództwo nad wojskiem — a raczej szczątkami jego — Jeremiemu Wiśniowieckiemu, przeznaczając mu za kolegę Firleja, ale popłoch był tak wielki, że senatorowie sprzęty swoje i kosztowności wysyłali do Prus, że każdy gotów był do ucieczki. Wśród tego umarł Rakoczy (11. października), a śmierć jego poprawiła nagle widoki Jana Kazimierza. Innowiercy bowiem, popierający dotąd kandydaturę siedmiogrodzką, z obawy przed Karolem, otoczonym Jezuitami, oświadczyli się za Janem Kazimierzem, oświadczył się także i Chmielnicki, nieproszony wprawdzie, ale potężny elektor. Co go do tego skłoniło, trudno wyrozumieć. Agent kurfirszta wspomina wyraźnie o korespondencyi królewicza z Kozakami, a przytoczone wyżej zabiegi dyplomatyczne Jana Kazimierza usprawiedliwiają podejrzenie, że tak jak z elektorem brandenburskim, tak i z Chmielnickim prowadził on układy i pozyskał go ostatecznie dla swojej kandydatury. Zanosiło się więc na roz-

dwojenie, na wojnę domową, która mogła zgubić Rzeczpospolitę. Nie chciał do tego dopuścić królewicz Karol i ulegając przedstawieniom Ossolińskiego, zrzekł się kandydatury. W kilka dni później okrzyknięto królem Jana Kazimierza.

Zborów. — Beresteczko. — Sprawa Radziejowskiego. — Siciński. — Chmielnicki poddaje się Rosyi. Należało się spodziewać, że król nowy, o którego wojennem usposobieniu tyle mówiono, chwyci natychmiast za oręż, jeżeli już nie dla pokarania srogich buntów kozackich, to przynajmniej dla odwrócenia większych nieszczęść od Rzeczypospolitej. Wymagała tego i zachwiana mocno powaga państwa i pokojowa nawet polityka kanclerska, której powodzenie zawisło — jak zwykle w podobnych wypadkach — od gotowości zbrojnej, od silnego poparcia warunków, podanych nieprzyjacielowi. Tylko potężne wojsko mogło w tej chwili ocalić Rzeczpospolitę, tylko ono mogło skłonić Chmielnickiego do ugody, Tatarów do zaniechania wypraw łupieskich, Portę i Moskali do szanowania paktów dawniejszych. Tymczasem w kołach dworskich panowało dziwne zaślepienie. Ossoliński i król wierzyli święcie w szczerość Chmielnickiego, Kisiel w wpływ nadzwyczajny, jaki majestat monarszy na Kozaków wywiera, Jan Kazimierz posunął się tak daleko, że poza plecami senatorów na własną rękę traktował z Chmielnickim i kiedy ten przez kanonika Mokrskiego przedłożył swoje warunki, domagając się: 1. amnestyi powszechnej i przywrócenia Kozakom dawnych wolności; 2. aby wojsko zaporoskie jedynie pod władzą króla zostawało; 3. zniesienia unii, król w liście poufnym zgodził się na te żądania, podczas gdy na radzie senatu ułożono uniwersał, w którym obiecywano wprawdzie potwierdzenie praw i wolności kozackich, ale zarazem zapowiadano zesłanie osobnej komisyi. Nie potrzeba było wielkiej bystrości umysłu, aby z tych dwóch pism wyrozumieć doskonale położenie polityczne. Widział Chmielnicki, że pomiędzy królem a senatorami panuje znaczna różnica w zapatrywaniu na sprawę kozacką i na tem budował swoje plany. W tej chwili pragnął on pokoju, aby zmęczonemu wojsku swemu zapewnić bezpieczny odwrót na Ukrainę, aby niezmierne łupy odwieźć do domu, uniknąć kampanii zimowej i zyskać czas do dalszych przygotowań. Bezzwłocznie więc wysłał posłów z pod Zamościa do Warszawy, prosząc o komisyę, do którejby i Kisiel wchodził, posła królewskiego Śmiarowskiego przyjął biciem z dział i udaną pokorą, drugiemu — Ołdakowskiemu — oświadczył, że szlachta ukraińska może wracać do swoich majątków, a zdarłszy kontrybucyą znaczną z Zamościa, ruszył z całem wojskiem spokojnie nad Dniepr, śmiejąc się w duchu, że dyplomatów polskich wraz z królem tak zręcznie w pole wywieść potrafił. Równocześnie zaś w liście, pisanym do hana, doniósł o przebiegu układów i o zamiarach króla zdobycia Krymu z pomocą kozacką i tem oczywiście utwierdził przymierze swoje z Tatarstwem. W chwili, kiedy ten list znajdował się w rękach Islama Giraja, wydawał Jan Kazimierz uniwersał, zawiadamiający Rzeczpospolitę o ukończeniu wojny kozackiej i wysyłał na Ukrainę komisarzy z buławą hetmańską dla Chmielnickiego i z rozległem pełnomocnictwem do traktatów. A tak byli wszyscy przekonani o dojściu układów i o dobrem usposobieniu Chmielnickiego, że uzbrojeń zaniechano i że król, stawiając złote

mosty nieprzyjacielowi, odebrał nawet komendę nad wojskiem Wiśniowieckiemu, aby tylko Kozaków nie drażnić. Złudne te nadzieje rozwiały się jednak wciągu kilku następnych tygodni. Komisarze, którzy na początku stycznia roku 1649. wyjechali na Ukrainę, zastali tam zupełną zmianę. Chmielnicki, otoczony posłami moskiewskimi i siedmiogrodzkimi, nadęty powodzeniem i rozzuchwalony niedołęstwem Polaków, nie myślał już o traktatach. Jakiś ksiądz prawosławny, Paizyusz, tytułujący się patryarchą jerozolimskim, wita powracającego z pod Zamościa Bohdana jako księcia Rusi, udziela mu rozgrzeszenia i komunii bez spowiedzi, daje mu ślub z Czaplińską, nie widząc jej wcale i nakazuje „kończyć Polaków“.[1]) W głowie oszołomionego tem wszystkiem Chmiela powstaje myśl udzielnego księstwa i walki za wiarę prawosławną. Nieprzystępny dla uczuć ludzkich i jakiejkolwiek tolerancyi, sfanatyzowany do gruntu, oświadcza z całą szczerością komisarzom polskim, że kazał zabijać tych, co na wiarę prawosławną „chrzcić się“ nie chcą,[2]) a w ukazach swoich powiada krótko: „kościołów nie ma być, śpiewać (katolicy) mają w domach; unitów nie ma być!...“ Na takich podstawach porozumienie było oczywiście niepodobnem. Traktowani haniebnie, karmieni obelgami przy stołach biesiadnych, niepewni życia ni mienia, skończyli komisarze opłakaną misyą swoją 26. lutego prawie bez żadnego skutku. Chmielnicki buławę wziął, przysięgi niezłożył, jeńców niewydał i dopiero na usilne nalegania Kisiela postawił swoje warunki: unia w województwie kijowskiem zniesiona, metropolita ma mieć miejsce w senacie, senatorowie kijowscy mają być greckiego wyznania, wojska koronne nie mogą przechodzić Horynia i Prypeci, Wiśniowiecki nie może być hetmanen, więźniów odda w zamian za Czaplickiego. Ustanowienie regestru odkłada się do nowej komisyi, która zbierze się nad rzeką Rusawą na Zielone Świątki.

Wśród tych upokarzających traktatów odbył się pogrzeb Władysława IV., koronacya Jana Kazimierza, wreszcie sejm koronacyjny od 19. stycznia do 9. lutego. Zawichrzył on się tak jak i poprzedni sprawą piławiecką. Nadaremnie podkanclerzy Leszczyński, polityczny przeciwnik Ossolińskiego, zwracał uwagę izby na niepewność położenia, na podstępne działanie Chmielnickiego i na potrzebę obrony, napróżno oświadczali się senatorowie za wojną z Tatarami, gdy świeżo poseł hana domagał się upominków i nowym groził najazdem, gdy wezyr turecki listem hardym żądania jego popierał, szlachta słuchała obojętnie tych wywodów, wojny nie chciała z Tatarstwem, a przygotowania przeciw Kozakom — po ostatnim uniwersale królewskim — uważała za niepotrzebne. Dopiero na końcowej sesyi pod wrażeniem mowy sędziwego prymasa Łubieńskiego, który raz jeszcze przedstawił stanom niebezpieczeństwa, zagrażające zewsząd Rzeczypospolitej, zgodzono się na prolongatę sejmu o cztery dni, uchwalono 50.000 wojska na obronę granic, a wrazie gwałtownej potrzeby pospolite ruszenie i wybrano deputacyę z 40. osób złożoną, która miała moc zatwierdzenia lub odrzucenia traktatów z Chmielnickim. Zamiast skorzystać z tej uchwały sejmowej i wystawić wojsko, chociażby tylko dla

[1]) Dyaryusz drogi do wojska zaporoskiego w roku 1649. Grabowski i Przeździecki: Źródła do dziejów polskich. Wilno 1843. T. I, str. 9.

[2]) Tamże, str. 12.

bezpieczeństwa od Tatarów, jeżeli już w zgodę z Chmielnickim wierzono, król i kanclerz nie uczynili nic dla powiększenia zaciągów, a po sprawozdaniu komisarzy uważali za najstosowniejsze pozwolić na wszystkie warunki Chmielnickiego, odmawiając jedynie wydania Czaplińskiego. Z listem, napisanym w tym

Jan III. Sobieski.

duchu, wysłał król na Ukrainę Śmiarowskiego. Ale Śmiarowski zastał położenie o wiele gorsze. Chmielnicki listem z dnia 13. maja oświadczył carowi gotowość poddania się Moskwie, nawiązał stosunki z młodym Rakoczym, którego zamierzał na tronie polskim osadzić, a do Porty wysłał także poselstwo, ofiarując sułtanowi poddać Kozaków i prosząc za to o pomoc tatarską. Tak

okłamując wszystkich na prawo i na lewo, łudząc obietnicami i Moskwę i Turków, pewny w najgorszym razie życzliwej neutralności cara i posiłków tatarskich, nie widział on potrzeby odgrywać dalej komedyi z Polakami. Przybrał zatem tytuł księcia Rusi, Śmiarowskiego przyjął z największem lekceważeniem, list królewski rzucił o ziemię i oświadczył krótko, że o pokoju mowy być nie może, „aż się ściana ze ścianą uderzy“.

Położenie, w jakiem znalazł się król, a raczej kanclerz, kierujący polityką, było w ten sposób bardzo smutnem. W kraju panowało niezadowolenie; Wiśniowiecki, urażony odjęciem władzy hetmańskiej i Janusz Radziwiłł, z religijnych i prywatnych pobudek, gotowi byli popierać Zygmunta Rakoczego; opinia publiczna narzekała głośno na niedbalstwo i lenistwo króla i jego urzędników. W takim składzie rzeczy widział Ossoliński jedyny ratunek w pozyskaniu Kozaków. Próbowano rozmaitych sposobów na Chmielnickiego bez skutku; chwycono się więc innego środka, zaczęto praktykować jego półkowników i starszyznę kozacką.

Ale agitacya nie powiodła się, Śmiarowski — zdradzony — poniósł śmierć męczeńską, wojna była nieuchronną. Podejmowała ją Rzeczpospolita nieprzygotowana, ogołocona prawie z wszelkich środków obrony, dzięki dotychczasowej polityki Ossolińskiego. Dopiero w chwili, gdy upływał rozejm z Chmielnickim, zaczęto myśleć o zaciągach, mimoto konwokacya senatorów uchwaliła, aby król osobiście ruszył w pole. Spodziewano się, że urok majestatu monarszego zastąpi brak sił wojskowych, że przestraszy buntowników, którzy — podług przekonania Ossolińskiego — sami tylko, bez pomocy Tatarów, wojnę prowadzić będą. Stało się wszystko, tak jak projektował kanclerz. Jan Kazimierz, wydawszy wici na pospolite ruszenie „dla postrachu“ tylko, wyprawił się z nielicznem wojskiem zaciężnem na Kozaków. Pomyślniejsze cokolwiek wieści dodawały otuchy; regimentarze Lanckoroński i Firlej starli szczęśliwie kilka band chłopskich, Wenecyanie odnieśli zwycięstwo nad Turkami, Rakoczy zgłaszał się z zapewnieniem przyjaźni, Jeremi Wiśniowiecki, podejrzany u dworu, oświadczył gotowość połączenia hufców swoich nadwornych z wojskiem regimentarskiem. Niebawem jednak odwróciła się karta: Chmielnicki z całą potęgą swoją i z ordą tatarską oblęgł regimentarzy i Wiśniowieckiego pod Zbarażem. Mimoto kanclerz, niewierząc w obecność hana i posiłków krymskich, skłonił na radzie wojennej króla, aby szedł na odsiecz oblężonym. Nadaremnie zwracał uwagę Krzysztof Arciszewski, generał artyleryi i bohaterski obrońca Lwowa, na wielkie niebezpieczeństwo tak ryzykownego przedsięwzięcia, Ossoliński, mianowany naczelnym wodzem przez króla, postawił wreszcie na swojem. Ściągnąwszy więc część pospolitego ruszenia pod Sokalem, ruszył Jan Kazimierz w 25.000 ludzi na Toporów i Złoczów ku Zbarażowi. W Toporowie stanął przed nim poseł Zbarażan Jan Skrzetuski, z doniesieniem o rozpaczliwem położeniu oblężonych. Zeznania o Tatarach były sprzeczne, dopiero jakiś znaczny Tatarzyn, schwycony przez podjazdy, oświadczył wyraźnie, że han z całą ordą połączył się z Chmielnickim. Ossoliński z dziwnem lekceważeniem poprowadził mimoto króla dalej. U przeprawy przez Strypę — pod Zborowem — znalazła się armia polska,

rzeką przedzielona, w obliczu całej potęgi nieprzyjacielskiej. Wszczęła się bitwa krwawa i straszna. Odwaga osobista Jana Kazimierza i dzielność Arciszewskiego,[1]) który zająwszy wyborne stanowisko, artyleryą wstrzymywał wroga, ocaliły wojsko od niechybnej zagłady. Ossoliński stracił głowę zupełnie i widząc, że wszystko niemal stracone, doradzał układy z hanem, Arciszewski przemawiał za stoczeniem bitwy nazajutrz. Przemogło zdanie kanclerza i za jego staraniem stanęła ugoda zborowska, wielce upokarzająca dla Rzeczypospolitej. Przyjęto warunki poprzednio przez Chmielnickiego postawione, dodano mu do buławy atamańskiej starostwo czehryńskie, regestr wojska zaporoskiego podniesiono do 40.000, Tatarom pozwolono na branie skromnego jassyru w powrocie do Krymu. Za oblężeńców zbaraskich, za króla i wojsko, otoczone przez bisurmanów i czerń kozacką, otrzymał han 400.000 talarów okupu. Takie były skutki łatwowiernej i nieopatrznej polityki Ossolińskiego i dziwić się nie można wcale, że w kraju powstała przeciw niemu burza gwałtowna, że w pismach ulotnych szarpano jego sławę, że gorętsi nawet o zdrowiu jego zamyślali, tak, że kanclerz na obronę swoją żołnierzy zaciągać musiał. Sam król ostygł także znacznie w sympatyach dla wszechwładnego jeszcze niedawno ministra, zbliżył się do Wiśniowieckiego, bohaterskiego obrońcy Zbaraża, oddał mu buławę hetmańską aż do powrotu hetmanów z niewoli, wynagrodził utratę dóbr zadnieprskich nadaniem na wieczność Horola, Janusza Radziwiłła, który świeżo pobił Kozaków na głowę pod Łojowem, obdarzył starostwem borysowskiem, Newlem i Siebieżem, Bogusława Leszczyńskiego, naczelnika opozycyi, pozyskał przyrzeczeniem podskarbiowstwa po Daniłłowiczu i zjednał sobie w ten sposób silne poparcie izby poselskiej. Sejm, rozpoczęty 22. listopada, potwierdził też po burzliwej dyskusyi pakta zborowskie, ale gdy przyszło do wykonania warunków, powstały wielkie trudności.

Biskupi nie chcieli żadną miarą dopuścić do senatu metropolity dyzunickiego Sylwestra Kossowa, który przybył na sejm do Warszawy, kanclerz litewski Radziwiłł wzbraniał się pieczętować przywileje dla schyzmatyków, przyznane im na mocy ugody zborowskiej. Z tak trudnego położenia wyratował zręcznie Rzeczpospolitę Ossoliński; za pośrednictwem Kisiela bowiem uspokoił obrażonego niewczesną gorliwością biskupów metropolitę, u odjeżdżającego Radziwiłła wyprosił sobie pieczęć litewską, którą opatrzył dokumenta dyzunickie i potem zaczął przemyśliwać nad rozerwaniem groźnej zawsze jeszcze ligi kozacko-tatarskiej, powracając do ulubionego planu wojny tureckiej. Jakoż okoliczności zdawały się sprzyjać tym zamiarom. Turcy byli osłabieni świeżo poniesioną klęską od Wenetów, powstaniem azyatyckiem i ruchami rewolucyjnemi ludów bałkańskich. W styczniu roku 1650. przybył do Warszawy wysłaniec Bułgarów ks. Piotr Parcewicz z listami hospodara multańskiego Macieja i „naczelników plemion bułgarskich“, prosząc króla o wyzwolenie Bułgaryi z pod jarzma tureckiego, a równocześnie z nim i poseł tatarski donosząc, że han gotuje się do wojny z Portą ottomańską. Ossoliński chwycił się skwa-

[1]) Al. Kraushar: Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego. Petersburg roku 1893. Tomów 3.

pliwie tej sposobności, Parcewicza wyprawił do Wenecyi z propozycyą zawarcia odporno-zaczepnego przymierza przeciw Turkom i z radą, aby starano się pozyskać Chmielnickiego, kiedy nagle w połowie marca zjawił się poseł carski Puszkin z wypowiedzeniem wojny Polsce. Obrotny kanclerz wybrnął szczęśliwie i z tej trudności. Zmieniając nagle front, zwrócił się przeciw Moskwie i dla zamiaru swego pozyskał hana i Chmielnickiego, który — zawisły od Tatarów i podrażniony chłodną odpowiedzią cara na niedawne umizgi kozackie — gotów był rzucić chciwe zdobyczy pułki swoje z wygłodzonej Ukrainy na zasobną Moskwę. Plan, mający wszelkie widoki powodzenia, rozbił się o skropuły senatorów, którzy z bisurmanami łączyć się nie chcieli, ale przestraszył Moskali tak, że zadawalniając się pewnemi ustępstwami, o wojnie z Polską myśleć przestali. Z tem większą gorliwością za to powrócił Ossoliński do wojny tureckiej i postanowił sam udać się do Rzymu, aby ligę wenecką skleić i papieża dla zamiarów swoich pozyskać. Nagła śmierć jego przerwała wielkie zamiary. Z widowni politycznej ustąpił człowiek niewątpliwie utalentowany, biegły dyplomata, znakomity mowca, grzeszący wprawdzie zbytnią łatwowiernością i dumą niepomierną, ale zasłużony dla ojczyzny i króla. Próżnia niezapełniona, jaką zostawił po sobie, jest najlepszą miarą jego wartości. Polityka Ossolińskiego była w wielu wypadkach błędną, ale kierował nią pewien system, pewna myśl wytyczna, kanclerz wiedział przynajmniej czego chciał i do czego zmierzał, niewiedzieli tego jego następcy, niewiedział król; nawa Rzeczypospolitej, wprawną kierowana ręką, znalazła się nagle bez sternika i żaglów, w chwili, kiedy na nią najsroższe miały uderzyć burze. Ugoda zborowska bowiem, wymuszona i na Polsce i na Chmielnickim interwencyą hańską, nie mogła uspokoić umysłów ani trwałego zapewnić pokoju. Czterdziestotysięczny regestr nie wystarczał dla 200.000 Kozaków i „skozaczonych“ chłopów ukraińskich.

Przywykli do rabunku i lekkiego życia musieli oni teraz wracać do kraju spustoszonego, ogołoconego z wszelkich zasobów, imać się pracy ciężkiej przy pługu i roli, szczepić na bezludnym stepie tę samą cywilizacyę, której owoce świeżo własnemi zniszczyli rękami. W domu, nad Dnieprem, czekał ich głód i nędza straszliwa, nieuchronne następstwa wojny i swawoli. Ceny zboża doszły do niesłychanej wysokości; za miarkę żyta płacono 45 złotych polskich, jagieł „osmaczkę“ po 7½ złotych polskich; ludzie puchli od głodu i marli po ulicach lub wlekli się jak widma gromadnie za Dniepr, do Moskwy; Ruś Czerwona, Wołyń i Podole stanęły pustkami;[1]) na ziemi, płynącej niegdyś mlekiem i miodem pozostał Chmiel z buławą hetmańską, otoczony tysiącami zbrojnego pospólstwa, łaknącego chleba i pieniędzy. Dla tłumów tych korzyści ugody zborowskiej były niezrozumiałe. Cóż zyskiwał na tem Kozak lub chłop „skozaczony“, że metropolita kijowski miał zasiąść w senacie, lub że Chmielnicki był właścicielem czehryńskiego starostwa; za pozwolenie pędzenia wódki i miodu, wygnanie Żydów i zniesienie unii miała czerń zrzec się tego stanu nieokiełzanej niczem swobody, w jakim żyła od czasu korsuńskiej bitwy, pła-

[1]) Latopisiec Joachima Jerlicza. Warszawa 1853, str. 113.

wiąc się we krwi i opływając w dostatki. Powstało więc w szeregach kozackich niezadowolenie, podniecane zręcznie przez pułkowników, zazdroszczących Chmielnickiemu sławy i znaczenia, a i w Polsce także wzięło górę po śmierci Ossolińskiego stronnictwo wojenne.

Hetmanie, powracający właśnie z krymskiej niewoli, pragnęli zmyć hańbę korsuńskiej porażki, wywłaszczona z majątków swoich szlachta ukraińska poruszała skargami swojemi serca braci nadwiślańskiej, cały stan rycerski uczuwał dotkliwie upokorzenie Rzeczypospolitej, sam król zresztą, uwolniony z pod wpływów Ossolińskiego, był wojennie usposobionym. Pomimo zatwierdzenia paktów zborowskich przez sejm, nikt zatém nie myślał o pokoju, najmniej Chmielnicki, który miał na karku niesforną czerń kozacką. Ażeby ją zatrudnić i ambicyę swoją zadowolnić, wymyślił on nowe przedsięwzięcie. Na hospodarstwie wołoskiem siedział od dłuższego już czasu Bazyli Lupul, prawdopodobnie Grek z pochodzenia, człowiek zamożny bardzo i obrotny, a Wołochom miły dla pokrewieństwa swego z Mohiłami. Starsza córka jego wyszła niedawno zamąż za Janusza Radziwiłła, o młodszą „Domnę“ Rozandę zgłaszała się moc konkurentów. Nęciła ich sława nieprzebranych — jak mniemano — skarbów hospodarskich, pokrewieństwo z możnym domem Radziwiłłów, a może i widoki następstwa po Lupulu, niemającym męskich potomków. Jeden po drugim więc zjeżdżali do Jass młodzi magnaci polscy: Piotr Potocki, Dymitr Wiśniowiecki, bratanek Jeremiego, wreszcie i stary hetman polny Kalinowski. Wiedział o tem dobrze Chmielnicki i zawiedziony w nadziejach swoich co do utworzenia samodzielnego księstwa ruskiego, zwrócił uwagę swoją w stronę Wołoszczyzny. Pozyskanie hospodarstwa wydawało mu się łatwem. Miał stosunki w Konstantynopolu, w Czehrynie skarbów złupionych moc wielką, dlaczegoż więc niemógł zostać wojewodą, pokusić się o to, o co niegdyś kusił się Podkowa, Heraklides lub Iwonia, mniejsi od niego potęgą i znaczeniem? W tej myśli zgłosił się zatem do Lupula z prośbą o rękę Rozandy dla syna swego Tymoszka. Ale Tymoszko, „łotrzyk wierutny“ i „paliwoda“, nie mógł się podobać hospodarowi ani jego córce, szczególniej wobec możnych konkurentów polskich. Lupul wymówił się więc, że bez zezwolenia sułtana Rozandy wydawać zamąż nie może i tą rekuzą ściągnął na siebie i na kraj swój srogą zemstę Chmielnickiego. Przygotowywała się wtedy właśnie owa polsko-kozacko-tatarska wyprawa na Moskwę; Bohdan sprzyjał planom tym pozornie, wnet jednak zmienił zamiary i namówił Tatarów do najazdu na Wołoszczyznę. 15.000 mołojców i 20.000 ordyńców pod Nuradynem spadło nagle jak grom na głowę hospodara, spalono Jassy, zniszczono ogniem i mieczem kraj cały, a przestraszony Lupul musiał złożyć znaczny okup i zgodzić się na małżeństwo Rozandy z Tymoszkiem. Poruszyło to bardzo i panów polskich i króla, bo jeżeli Potoccy, Wiśniowieccy i Kalinowscy widzieli w Tymoszku niebezpiecznego współzawodnika do ręki hospodarówny i skarbów hospodarskich, to dla Rzeczypospolitej nie mogło być obojętnem usadowienie się Chmielnickiego na województwie wołoskiem.

Hetman Potocki ściągnął też wojsko pod Kamieniec, ale na wyraźny rozkaz królewski nie dał pomocy Lupulowi. Rzeczpospolita nieprzygotowana

do wojny, musiała przypatrywać się bezczynnie swatom Tymoszkowym. Ośmielony tem Chmielnicki, poczynał sobie coraz zuchwalej, pogróżek nie szczędził i sejmowi przedstawił nowe żądania, uzupełniające ugodę zborowską, a dla Rzeczypospolitej wielce uciążliwe i upokarzające. Ale tym razem omyliły go nadzieje. Szlachta, podrażniona i zawstydzona, zerwała się do czynu. Sejm grudniowy z rzadką jednomyślnością uchwalił pospolite ruszenie i nadzwyczajne podatki na wojnę, zapał ogarnął całe społeczeństwo. Naśladując Chmielnickiego, okazywano pozornie gotowość do układów, w rzeczywistości jednak myślano tylko o wojnie. Zrozumiał tę politykę Chmielnicki i niezaniedbał niczego w celu rozerwania i złamania sił polskich. Wezwawszy więc Tatarów na pomoc, porozumiewał się z Rakoczym, na Podgórzu wzniecił powstanie górali tatrzańskich pod Aleksandrem Kostką Napierskim, w oddalonej Wielkopolsce nawet burzył masy chłopskie. Ale wszystkie te zabiegi nieodniosły zamierzonego skutku. Bunt Napierskiego stłumiły nadworne hufce biskupa krakowskiego, rozboje wielkopolskie uśmierzono z łatwością, oblężenie Kamieńca odparł dzielnie Piotr Potocki, a tymczasem pod Sokalem zebrała się 80-tysięczna armia polska, aby stawić czoło nawale kozacko-tatarskiej. Wyprawa, podjęta z ogromnemi siłami, mająca wszelkie cechy wielkiego ruchu narodowego, była tym razem prowadzona umiejętnie i szczęśliwie. W wzorowym porządku, osłonięte należycie od czoła i prawego skrzydła, wykonało wojsko marsz flankowy z Sokala do Beresteczka.[1]) Tu nad brzegami Styru, niedaleko ujścia Płaszówki, założono obóz, obwarowano go redutami i oczekiwano nieprzyjaciela. Nadciągnął on rzeczywiście dnia 27. czerwca 1651. roku w sile 200.000 i nazajutrz z rana rozpoczął atak silnym rekonesansem, który jednak szczęśliwie odparto. 29. toczyła się bitwa, dla naszych dość niekorzystna, wieczorem król na radzie wojennej pomimo opozycyi hetmanów i senatorów postanowił iść wstępnym bojem, wszystko stawiając na kartę. Wczesnym rankiem 30. czerwca ustawiło się wojsko w szyku bojowym. Środkiem dowodził król sam, mając wysuniętą przed sobą artyleryą pod Zygmuntem Przyjemskim, prawe skrzydło przeciw Tatarom prowadził hetman Potocki, a raczej w zastępstwie jego Stanisław Lanckoroński, lewe Kalinowski z Jeremim Wiśniowieckim. Bitwa rozpoczęła się późno, bo dopiero o godzinie trzeciej popołudniu uderzeniem Wiśniowieckiego na Kozaków.

Po dwugodzinnym upartym boju złamano Zaporożców i wpędzono do taboru, co widząc Tatarzy, rażeni ogniem dział polskich, zaczęli także uciekać, ścigani zawzięcie przez chorągwie Lanckorońskiego. Deszcz ulewny przerwał śmiertelne zapasy i uchronił nieprzyjaciela od sroższej jeszcze porażki. Zwycięstwo było jednak zupełne. Szczególniej ucierpieli Tatarzy, tak od ognia działowego jak i od broni białej. Obóz tatarski, namiot hana, chorągiew jego i bęben srebrny dostały się w ręce Polaków, podczas, gdy Kozacy — korzystając z deszczu, zapadającej nocy i nieposłuszeństwa Lubomirskiego Je-

[1]) Tak ocenia z wojskowego stanowiska działanie Polaków pułkownik K. Górski w rozprawie: „O działaniach wojska koronnego Rzeczypospolitej polskiej w wojnie z Kozakami". Bibl. warsz. z r. 1887.

rzego, który, obrażony na króla, rozkazów jego wypełnić niechciał — okopali się nad bagnistą Płaszówką.

Dzień następny odsłonił wojsku polskiemu silną warownię kozacką, bronioną przez 90.000 mołojców. Nie było wprawdzie pomiędzy nimi Chmielnickiego, który wraz z hanem ratował się ucieczką, ale przy znanej waleczności Zaporożców, mianowicie w obronie miejsc warownych, nastręczało zdobycie taboru niesłychane trudności. Posłano więc po działa ciężkie do Sokala, a gdy te nadeszły, uderzyli Kozacy w pokorę i zaczęli się układać. W toku układów jednak skorzystali z pierwszej lepszej sposobności, aby wymknąć się niespostrzeżenie przez most z juków zrobiony na Płaszówce. W ucieczce ponieśli oni wprawdzie ciężkie straty, mnóstwo potonęło w rzece i w bagniskach, drugie tyle zginęło od miecza i głodu, główna siła dostała się jednak szczęśliwie na Ukrainę.

Nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko iść dalej z całem wojskiem bunt w samem gnieździe jego potłumić i wyprawę zakończyć gruntownem uspokojeniem Rzeczypospolitej. Chciał tego król, chcieli hetmanie, tylko szlachta nie chciała.

Pospolite ruszenie, gwarne i rojne, do subordynacyi i porządku wojskowego nienawykłe, zatęskniło nagle i gwałtownie „do żon, półmisków smacznych i pierzyn“ i do żniw będących za pasem. Najwięcej niecierpliwili się Wielkopolanie, którzy właściwie dopiero po bitwie beresteckiej nadciągnęli, a z usposobienia tego rycerstwa skorzystali nieprzyjaciele królewscy: Jerzy Lubomirski, Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański, szczególniej zaś głośny intrygant owego czasu, niebawem infamis i zdrajca ojczyzny, podkanclerzy Hieronim Radziejowski. Był on synem wojewody łęczyckiego, który gościnnością i życiem wystawnem zjednał sobie względy króla Władysława IV. i niezmierną popularność w kołach szlacheckich. Młody Hieronim dostał się wskutek tego na dwór królowej Cecylii, gdzie swoją usłużnością, przebiegłością, ogładą i sprytem doszedł do wielkiego znaczenia. Dziś jeszcze trudno sobie wytłumaczyć, jak ten człowiek bezecny, który „pana ojca i panią matkę i inne zacne małżeństwa umyślnie, na złość różnił“, życie niemoralne publicznie prowadził, drugą żonę swoją — księżnę Eufrozynę Wiśniowiecką — niemal zamęczył, mógł piąć się na coraz wyższe godności, róść w łaskach zarówno u dworu jak i u szlachty, a nawet wbrew publicznemu oskarżeniu o gwałt w r. 1640. w pięć lat potem zostać marszałkiem izby poselskiej. Fakt to ciekawy i wielce pouczający, rzuca on cień przykry na społeczeństwo i stan ówczesny umysłów i tłumaczy lepiej niż najdokładniejsze badania ów straszny upadek ducha narodowego, objawiający się w zdradzieckich czynach, w odstępstwie, w bezmyślnej prostracyi, w pokornem a haniebnem przyjęciu obcego jarzma w zamian za wolność bez granic i miary. Ale jeżeli zawiniło społeczeństwo, to nie był i dwór bez winy. Władysław IV. używał Radziejowskiego do spraw poufnych, królowa Marya Ludwika popierała go z wdzięczności za to, że upomniał się w sejmie energicznie o oprawę dla niej, a zręczny intrygant, wkradłszy się raz w łaskę królowej, wyzyskiwał ją dla swojej ambicyi i chciwości. Jan Kazimierz, ulegający wpływom żony, wpadł także w sieci Radziejowskiego,

dopomógł mu do małżeństwa z Kazanowską, wdową po marszałku nadwornym, panią olbrzymiej fortuny i po śmierci Ossolińskiego, kiedy Leszczyński objął urząd kanclerski, dostała się mniejsza pieczęć Radziejowskiemu, z pominięciem innych godniejszych kandydatów, pomiędzy którymi był także Krzysztof Opaliński. Publicznie mówiono, a nikt temu nie zaprzeczył, że Radziejowski kupił urząd ten u królowej, że króla zjednał kosztownemi podarunkami, a Jerzy Lubomirski w mowie swojej przy oddaniu mu pieczęci wyraźnie zarzut ten powtórzył. Na tem jednak skończyły się tryumfy podłego intryganta, a zaczęły się niepowodzenia.

Przyszło do nieporozumień pomiędzy nim a żoną, którą złe języki pomawiały o ścisłe stosunki z królem. Radziejowski, mszcząc się za to, podczas wyprawy beresteckiej pisywał do królowej listy, czerniące Jana Kazimierza. Intryga ta nie mogła pozostać długo w tajemnicy, dowiedział się o niej król z przejętej korespondencyi podkanclerzego i oburzony do najwyższego stopnia, zakazał mu bywać na radzie senatorów, podczas gdy żona schroniła się do klasztoru Klarysek i rozpoczęła proces rozwodowy. Radziejowski zniósł tę porażkę na pozór spokojnie, zamknął się w swoim namiocie, ale stamtąd burzył szlachtę, rozsiewając najpotworniejsze wieści o królu. Po bitwie beresteckiej wybuchło niezadowolenie, podsycane agitacyą Radziejowskiego, jasnym płomieniem. Szlachta utworzyła koło, obierając marszałkiem przyjaciela podkanclerzego Marcina Dębickiego, znanego krzykacza sejmikowego, obwiniała króla, że za 300.000 talarów wypuścił Kozaków z taboru, odgrażała się senatorom i wkońcu oświadczyła, że dalej walczyć nie będzie. Ani prośby, ani perswazye królewskie, ani pośrednictwo hetmana wielkiego koronnego niezdołały zmiękczyć zacietrzewionych umysłów, pospolite ruszenie rozjechało się do domów, na Ukrainę poszło tylko wojsko kwarciane, za słabe, aby zwycięstwa dokonać. Przepadły w ten sposób niepowrotnie owoce wielkiego ruchu narodowego, bo Chmielnicki tymczasem, zebrawszy rozbitków beresteckich, stał już w 40.000 ludzi w Pawołoczy, oczekując przyjścia hetmanów. Wprawdzie Janusz Radziwiłł pobił Nebabę pod Łojowem, zajął Kijów i połączył się z wojskiem koronnem, ale chwiejność Potockiego i śmierć Jeremiego Wiśniowieckiego, który umarł w Pawołoczy, sparaliżowały dalszą akcyą wojenną. Skończyło się na ugodzie białocerkiewskiej, która ograniczała regestr Kozaków do 20.000, zapewniała amnestyą, wolność religii greckiej i zobowiązywała Chmielnickiego do zerwania przymierza z Tatarami.

W tymsamym czasie Radziejowski, powróciwszy do Warszawy, używał wszelkich sposobów, aby się z żoną pogodzić, wreszcie — gdy prośby niemiały skutku — postanowił gwałtem z klasztoru ją uprowadzić, czemu jednak gwardya królewska przeszkodziła. Dotknięty tem do żywego, zaczął on mścić się na królu przez podburzanie szlachty, pismem i słowem rzucał podejrzenia rozmaitego rodzaju, a że jako minister znał dokładnie tajemnice rządu, więc rzeczywiście szkodził bardzo wiele. Król starał się pozbyć tak niebezpiecznego wroga i z urzędu podkanclerskiego zręcznie usunąć, ofiarował mu w tym celu kasztelanią krakowską, ale bezczelny ten człowiek żądał buławy wielkiej koronnej, która świeżo po śmierci Potockiego zawakowała. Tymczasem znalazł

Wjazd Jana III. do Wiednia.

się sposób inny, aby go uczynić nieszkodliwym. Brat podkanclerzyny Słuszka, podskarbi nadworny litewski, ujął się za siostrą i wyzwał Radziejowskiego na pojedynek, a gdy ten nie stanął, opanował przemocą pałac Kazanowskich i wyrzucił stamtąd służbę i rzeczy podkanclerzego. Uwiadomiony o tem Radziejowski, pospieszył natychmiast do Warszawy i zbrojno pałac najechał, odparty zaś, czując — czego się dopuścił — uciekł ze stolicy. Gwałt pod bokiem majestatu królewskiego dokonany, wymagał w istocie surowej kary, jakoż sąd marszałkowski, na wniosek instygatora koronnego Żytkiewicza, skazał podkanclerzynę i brata jej na rok i dwanaście niedziel ciężkiego więzienia i 2000 złotych polskich grzywny, Radziejowskiego zaś na śmierć, a ponieważ był nieobecnym, na infamią i banicyą. Na nieszczęście dla króla odbywała się ta sprawa w przededniu sejmu, gdy kraj cały trząsł się od agitacyi, podniecanej przez Radziejowskiego, gdy zewsząd jak grad sypały się zarzuty na złą gospodarkę skarbową, na marnowanie grosza publicznego, na wypuszczenie Kozaków i na świeżo zawartą ugodę białocerkiewską.

Im bardziej szlachta poczuwała się do winy, z powodu rokoszu beresteckiego, tem srożej powstawała na króla, tem pilniej szukała kozła ofiarnego dla własnych swoich grzechów. W takiem położeniu opinia publiczna wzięła stronę Radziejowskiego przeciw królowi, a za prądem ogólnym poszedł i trybunał piotrkowski. Na mocy statutu wiślickiego, który w tym wypadku mylnie zastosowano, wydał wojewoda krakowski Dominik Zasławski glejt podkanclerzemu, a trybunał na tej podstawie ujął się za Radziejowskim, jako niewinnie osądzonym. Wiadomość o tem nadeszła do Warszawy już podczas sejmu i sprawiła niemałe wrażenie. Z góry można było przewidzieć, że znajdą się posłowie, którzy podkanclerzego wezmą w obronę, że oświadczy się za nim cała — bardzo liczna — opozycya sejmowa. Aby zamiary tego rodzaju pokrzyżować, kazał król dekret marszałkowski w trybunale oblatować i rozdał natychmiast wakanse po Radziejowskim, przyczem pieczęć mniejsza dostała się Korycińskiemu, staroście oświęcimskiemu. Kiedy się to działo w Warszawie, skazaniec na saniach chłopskich uciekał z Piotrkowa na Szląsk, stamtąd do Wiednia, a wreszcie do Sztokholmu, aby powrócić niebawem jako zdrajca własnej ojczyzny w orszaku Karola Gustawa.

Tymczasem na sejmie znalazł podkanclerzy obrońców w Marcinie Dębickim, znanym marszałku rokoszowym z pod Beresteczka i w miecznik sieradzkim Zamoyskim, wprowadzono nieletnich synów Radziejowskiego do izby z supliką płaczliwą, nalegano na króla, aby skazanego ułaskawił — napróżno, Jan Kazimierz oparł się nawet prośbom królowej. Niestety opór ten nie zdołał naprawić popełnionych błędów, ani podnieść powagi majestatu królewskiego. Skandal pozostał skandalem, sprzedawanie dygnitarstw, otaczanie się ludźmi bez charakteru, korrupcya na prawo i lewo, zdemoralizowały społeczeństwo, zerwały związek pomiędzy królem i narodem. Izba poselska, złożona z niedorostków i krzykaczy sejmikowych, bo umiarkowańsi i rozumniejsi — zdrajcami obwołani — od życia publicznego się odsuwali, nie była w stanie ani Rzeczypospolitej ratować, ani nawet powagi własnej utrzymać. Znudzeni i znużeni posłowie czekali końca sesyi, czekał i król, łudząc się nadzieją, że w ostatniej

chwili, jak zwyczajnie bywało, przeprowadzi najpotrzebniejsze uchwały. Sprzeciwił się temu poseł upicki Władysław Siciński, stronnik Janusza Radziwiłła i zerwał obrady sejmowe. Pierwsze liberum veto, nie było właściwie pierwszem; zrywanie sejmów zdarzało się i dawniej, ale nigdy w podobnych co obecne warunkach, nigdy też nie uznawano zasady, że opozycya jednego posła tamuje obrady. Stało się to dopiero teraz wskutek ogólnego rozbicia. Zdrowe ciało Rzeczypospolitej przechodziło podobne paroksyzmy szczęśliwie, niemoc organizmu sprowadziła katastrofę. Liberum veto było tylko dalszym stopniem w rozwoju władzy sejmikowej. Jeżeli sejmik udzielał posłom swoim instrukcye, to mógł im polecić i zerwanie sejmu, jak to się zdarzyło rzeczywiście w roku 1693. w województwie kujawskiem.

Ta przewaga sejmiku nad sejmem podobała się szlachcie i możnowładztwu i ościennym mocarstwom, bo gdy stan rycerski widział w „niepozwalam“ źrenicę wolności, uważała oligarchia liberum veto za broń skuteczną przeciw królowi, cudzoziemcy za jedyny środek do ubezwładnienia Rzeczypospolitej. Tak wszystkie okoliczności złożyły się na to, aby zgubny przykład Sicińskiego i sejmu z roku 1652. utrwalić i podnieść do wysokości zasady, na której — jak na fundamencie — opierać się miała budowa państwa i wiązanie społeczeństwa. Narazie zdawało się, że zerwanie sejmu niema wielkiego znaczenia. Zostały bowiem zaciągi z czasów beresteckiej wyprawy, brak pieniędzy można było zastąpić chwilową pożyczką, a ważniejsze sprawy odłożyć do następnego sejmu. Ale rozerwanie i niemoc Rzeczypospolitej, objawiona przy tej sposobności, nie uszła bacznej uwagi obecnych natenczas w Warszawie posłów moskiewskich i kozackich. Chmielnicki cieszył się w duchu, że sejm ugody białocerkiewskiej nie zatwierdził i widząc ogólne w Polsce zamięszanie, gotował się do wykonania planów swoich względem Mołdawii. Jakoż, utorowawszy sobie pieniądzmi i intrygami[1]) drogę w Konstantynopolu i otrzymawszy stamtąd tytuł „stróża Porty ottomańskiej“, wyprawił on się w roku 1652. razem z Tymoszkiem w pochód weselny do Jass. Przeszkadzał mu w tem przedsięwzięciu hetman polny Kalinowski, stojący w 20.000 ludzi pod Batohem.

Chmielnicki ostrzegł go o wyprawie i radził, aby się z drogi usunął, a gdy hetman — jak łatwo było przewidzieć — ostrzeżenia tego nie usłuchał, otoczył obóz polski ogromnem wojskiem kozacko-tatarskiem (1. czerwca). Przemoc nieprzyjaciół, nieudolność Kalinowskiego i pożar, który powstał w taborze polskim, zgotowały straszną klęskę wojsku koronnemu. Garstka rycerstwa uległa w bezładnej bitwie, część padła na polu walki, 5000 jeńców wykupił Chmielnicki od Tatarów i kazał wymordować w swojej obecności Nogajcom, szczątki zaledwie uratowały się ucieczką.

W dziesięć tygodni po tem wjechał milczący jak grób Tymoszko do Jass, odprawił tu gody weselne z hospodarówną i otrzymawszy posag nie tak znaczny, jak się spodziewał, powrócił z żoną na Ukrainę, skąd niebawnie rozeszły się wieści o najgorszem pożyciu młodego stadła. „Krwawe swaty“ nie

[1]) Szajnocha: Domna Rozanda. Szkice, t. III.

przyniosły szczęścia Tymoszkowi, a staremu Chmielnickiemu zgotowały cały szereg utrapień i zawiodły go wreszcie wraz z Kozaczyzną w poddaństwo moskiewskie. Wbiwszy sobie raz do głowy hospodarstwo wołoskie, musiał on siły swoje rozdzielić, wojnę na dwóch frontach prowadzić i na Turków bardziej niż przedtem się oglądać. Więc jakkolwiek po zwycięstwie pod Batohem oblęgał przez pewien czas naprożno Kamieniec, zamierzając oddać go Turkom, to równocześnie wysłał posłów do króla, zwalał całą winę za ostatnie wypadki na Kalinowskiego, prosił o miłosierdzie i przyrzekał jak zwykle posłuszeństwo, a po cichu starał się o pomoc turecko-tatarską w słusznem przewidywaniu, że Rzeczpospolita tak ciężkiej krzywdy nigdy nie przebaczy i srogą zgotuje mu zemstę. W Polsce klęska pod Batohem sprawiła rzeczywiście wrażenie przerażające i obudziła pragnienie odwetu. Dwa sejmy, w krótkich odstępach czasu zwołane do Warszawy i Brześcia litewskiego, uchwaliły znaczne pobory i pospolite ruszenie zarazem.

Król pojechał do Lwowa, uspokoił z trudnością niepłatnych żołnierzy, część żołdu zaległego zapłacił, na resztę wydał assygnaty, gdy wskutek niedbalstwa i oszustwa poborców pieniędzy w skarbie zabrakło i całą siłą zaczął się gotować do wojny. Tymczasem w Jassach i Konstantynopolu toczyły się intrygi o hospodarstwo. Lupul, widząc do czego zmierza Chmielnicki, postanowił ambicyi jego wydać na łup swego sąsiada Mateusza Bassarabę, hospodara multańskiego, i w ten sposób utrzymać się na hospodarstwie mołdawskiem. Wielki wezyr przekupiony, odkrył te zabiegi Rakoczemu i Bassarabie, a ci bezzwłocznie zawiązali ligę, której celem było Bassarabę na hospodarstwie utrzymać, Lupula z Jass wypędzić i na jego miejsce osadzić Stefana Górgecze. Lupul pobity uciekł wraz z żoną i skarbami do Kamieńca, ale w obronie jego wystąpił Tymoszko, z zamiarem opanowania Multan, a następnie i Wołoszczyzny.

Uzyskawszy przez zabiegi ojcowskie poparcie sułtana, opanował i spustoszył on srodze Wołoszczyznę, ale zbity na głowę przez Bassarabę nad Jałowicą, uratował zaledwie życie z pogromu. Wśród tych krwawych zapasów oglądały się obie strony za sprzymierzeńcami i obie szukały oparcia w Polsce. Lupul ofiarował królowi pośrednictwo swoje u Chmielnickiego, Rakoczy i Bassaraba żądali ligi przeciw Tymoszkowi i Kozakom. Lupula popierał zięć jego Janusz Radziwiłł i cała rodzina Radziwiłłów, trzęsąca Litwą, za przymierzem siedmiogrodzkiem przemawiał interes Rzeczypospolitej. Polska nie mogła zapomnieć klęski pod Batohem, nie mogła wchodzić w układy z Chmielnickim, który tylokrotnie dał dowody złej wiary i teraz — z Turkami związany — gotował nowy najazd.

Rada senatu więc po dłuższej deliberacyi przyjęła propozycyę Rakoczego, zawarto konwencyą wojskową, obowiązującą obie strony do wspólnego działania przeciw Kozakom i Turkom.[1]) Tak stały rzeczy na początku czerwca roku 1653. Król wybrał się na wyprawę, wiodąc ze sobą około 60.000 ludzi, wysłał posiłki Rakoczemu, który oblęgał w Suczawie Tymoszka i Lupulową,

[1]) Kubala: Wyprawa żwaniecka. Szkice, t. II.

a sam miał zagrodzić drogę do Wołoszczyzny staremu Chmielnickiemu. Hetman kozacki znalazł się nagle w krytycznem położeniu. Wyprawy wołoskie narażały go na wielkie straty w ludziach i pieniądzach, czerń sarkała na dynastyczną politykę Chmiela, Tatarzy nie chcieli dawać posiłków, skarby — z łupów zebrane — wyczerpały się, kraj zniszczony tylu wojnami nie mógł dostarczyć ani ludzi ani żywności, straszne niedawno jeszcze watahy kozackie stopniały do 30.000. Zachwiany w podstawach swojego bytu, szukał więc Chmielnicki oparcia u mocarstw sąsiednich, gotów był poddać się Turkom lub Moskwie, ale napotkał na wielką opozycyą we własnym obozie. Czerń wołała, że woli starych panów niż jarzmo pogańskie, lub niewolę moskiewską. Chmielnicki, może niechętnie, ale usłuchał; wysłał do Lwowa pułkownika Antona nie do króla wprawdzie, tylko do hetmana z prośbą o pośrednictwo, wysłał z tem samem do Radziwiłła, stawiając jednak warunki wygórowane, nie do przyjęcia, aby czerni pokazać, że zgoda z Polską nie jest możliwa. Równocześnie zbliżył się do Moskwy i żądał od cara pośrednictwa. Car obiecał wysłać do Polski w tym celu księcia Repnina Oboleńskiego, który wprawdzie nic nie sprawił, ale w rozmowach z senatorami napomykał o tem, że duchowieństwo, mianowicie patryarcha Nikon, nakłania cara do przyjęcia Kozaków w poddaństwo. W istocie w tym samym czasie układał się w Białocerkwi Chmielnicki z dyakiem Fominem, narazie bez stanowczego jeszcze rezultatu. Tak zbliżała się chwila rozstrzygająca dla Polski i Zaporoża. Wojsko polskie ruszyło pod Kamieniec, król zwołał radę wojenną i przedstawił jej wniosek, aby iść wprost na Ukrainę i zgnieść Chmielnickiego, zanim przybędą Tatarzy. Sprzeciwił się temu marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski i ganiąc wszystko co się dotąd stało, żądał, aby całemi siłami dobywać Suczawy. Pomimo tego większość oświadczyła się za zdaniem króla, ale na wiadomość o nadejściu Tatarów cofnęło się wojsko polskie pod Żwaniec, gdzie miano oczekiwać posiłków siedmiogrodzkich. Rzeczywiście dzięki pomocy Polaków, mianowicie skutecznemu działaniu artyleryi polskiej pod Denhofem, zdobyto Suczawę, Tymoszko poległ, ale skarbami Lupula podzielili się Wołosi i Siedmiogrodzanie, a 6000 Kozaków puszczono wolno do domu. W obozie polskim powstało wskutek tego słuszne oburzenie, którego uśmierzyć nie mogły posiłki węgierskie.

Słotna pora jesienna, brak żywności i paszy dla koni dokuczały srodze sprzymierzonym, nieprzyjaciel zbliżał się z wielką potęgą, orda od Husiatyna oskrzydliła wojsko. W takiem położeniu nie wypadało nic innego, jak stoczyć bitwę walną. Ale w głównej kwaterze polskiej panowała dziwna bezradność, mając 60.000 ludzi, nie umiano się zdobyć na krok stanowczy, w obozie krążyły wieści, że król wojsko chce porzucić. Wreszcie sam han, który także w kraju zniszczonym długo utrzymać się nie mógł, rozpoczął traktaty. Skończyło się na potwierdzeniu paktów zborowskich, na haniebnym pokoju, na strasznych zagonach tatarskich, które 12.000 samej szlachty litewskiej w jassyr zabrały.

Ale jeżeli wyprawa żwaniecka okryła niesławą króla i żałobą kraj cały to niemniej przekonała i Chmielnickiego o niepodobieństwie dalszej wojny

Zdany zupełnie na łaskę hana, znienawidzony przez ludność ruską, która jego polityce przypisywała ostatnie, najsroższe może czambuły tatarskie i niewysłowioną nędzę całej Ukrainy, rzucił on się w objęcia Moskwy i dnia 8. lutego 1654. roku poddał się carowi Aleksemu Michajłowiczowi. Warunki ugody, zawartej w Perejasławiu, zapewniały Kozakom dawne przywileje polskie, wolny wybór hetmana, autonomią sądową i administracyjną, niezawisłość metropolity kijowskiego, ale posłowie carscy nie złożyli przysięgi na te artykuły, chociaż kazali przysięgać Kozakom na wierność Moskwie. W kilka lat później już, w roku 1657., odzywają się głośne skargi na ucisk i samowolę urzędników carskich, którzy odbierają Kozakom wioski, urzynają czupryny, biją knutami i wyrządzają krzywdy takie, jak „najgorszemu wrogowi“. Taką dolę zgotowały Ukrainie i Kozakom chorobliwa ambicya Chmielnickiego i nieudolna polityka polska. Zerwał się związek wiekowy, łączący dwa pokrewne narody, Moskwa uczyniła krok pierwszy do ujarzmienia Rusi i Polski.

Wojna moskiewska. — Najazd szwedzki. Oderwanie się Ukrainy zamknęło pierwszy okres nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza. Polska wychodziła z niego upokorzona i ekonomicznie zrujnowana, społeczeństwo zniechęcone i zdemoralizowane, król pozbawiony powagi i wszelkiej popularności. Wyprawa żwaniecka, prowadzona nieudolnie i nieszczęśliwie, spotęgowała do najwyższego stopnia nieufność do tronu i niezadowolenie z rządów królewskich. Jeżeli kiedy, to w tej chwili było oburzenie szlachty słuszne i uzasadnione. Zapłacono w jednym roku 17 milionów, żywiono wojsko po kwaterach, wysyłano pospolite ruszenie, a w zamian za te wszystkie wysilenia i ofiary uzyskano potwierdzenie haniebnych paktów zborowskich i oddano na łup Tatarom prowincye, w których dotąd noga pogańska nie postała. Dziwić się zatem bardzo nie można, że na sejmie odezwały się głośne skargi i że obrady wkońcu zerwano, zostawiając Rzeczpospolitę bez obrony. Był to smutny, ubolewania godny, ale bądźcobądź, naturalny skutek popełnionych błędów. Tymczasem wybuchła wojna moskiewska, car — łamiąc taktat polanowski — wkroczył z wielkiem wojskiem na Litwę, a na Ukrainę wysłał Buturlina. Słabe siły polskie nie mogły podołać przemocy nieprzyjaciela, który — mszcząc się za rok 1612. — szerzył straszliwe zniszczenie, na Białej Rusi pieczętował kościoły,[1]) więził lub wyganiał księży katolickich, a dzieci gromadnie wywoził do Moskwy. Sejm, zwołany w czerwcu do Warszawy, zajął się wprawdzie gorliwiej obroną granic, król rozdał wakujące buławy: wielką koronną Stanisławowi Rewerze Potockiemu, mniejszą Lanckorońskiemu, wielką litewską Januszowi Radziwiłłowi, polną Wincentemu Gosiewskiemu, ale zanim opatrzono grody pograniczne i wzmocniono wojsko litewskie, przegrał już Radziwiłł bitwę pod Szepielewicami, a oblężony Smoleńsk poddał się carowi po 17-dniowem oblężeniu, wskutek nieudolności dowódcy Filipa Obuchowicza, wojewody tamtejszego. Pomyślniej cokolwiek prowadzono wojnę na Ukrainie. Król, wysławszy do Krymu strażnika koronnego Jaskólskiego, zawarł przymierze z hanem, który był wielce oburzony na Kozaków za poddanie się Moskalom i chętnie udzielił

[1]) Księga pamiętnicza Madekszy. Kraków 1875. Str. 32.

Polsce pomocy. Wsparci posiłkami tatarskiemi pod Mengli Girajem, pobili hetmanie koronni Moskali i Kozaków na głowę pod Ochmatowem (w styczniu roku 1655.), ale Chmielnicki, oblężony w obozie, przekupiwszy murzów tatarskich, zdołał ujść z matni i połączyć się z niedobitkami moskiewskiemi. Ciężkie mrozy, odejście Tatarów i brak pieniędzy na zapłacenie wojska, zmusiły wodzów polskich do zaniechania dalszej wojny. Wśród tego gotowała się od północy sroższa jeszcze burza. Rozejm ze Szwedami wychodził wprawdzie dopiero w roku 1661. i nie było z tej strony niebezpieczeństwa, jak długo panowała Krystyna, oddana naukom i nie żywiąca ambitnych zamiarów. Ale niebawnie zmieniły się stosunki. Królowa, zająwszy się badaniami filozoficznemi, trawiła czas na dysputach z uczonymi całego świata, troskę rządów zdawała na swoich faworytów, pomiędzy którymi pierwsze miejsce trzymał Magnus de la Garde. Niepodobało się to arystokracyi szwedzkiej, narzekano na nadzwyczajne wydatki, na marnotrawstwo królowej, podczas, gdy z drugiej strony Krystyna czuła wstręt do polityki i do nudnych kazań protestanckich pastorów. Wielbicielka gorąca Kartezyusza, rozmiłowana w Platonie, oddalała się ona coraz bardziej od luteranizmu i powzięła wreszcie zamiar przejścia na łono kościoła katolickiego. Nie dało się to wykonać tak długo, jak długo panowała w państwie protestanckiem. Zniechęcona więc do rządów, postanowiła złożyć koronę na rzecz ciotecznego brata swego, księcia Dwóch Mostów Karola Gustawa. W Polsce wiedziano dobrze, że ten książe ambitny, któremu marzyła się sława Adolfa Gustawa, nie będzie spokojnym sąsiadem, zwłaszcza, że Radziejowski — przybywszy do Sztokholmu — pobudzał go do wojny z Polską, przedstawiając opanowanie Rzeczypospolitej jako rzecz łatwą. Aby temu zapobiedz, starał się Jan Kazimierz o zawarcie stałego z Szwecyą pokoju, ale spóźnione te zabiegi nie odniosły skutku, Krystyna w lecie r. 1654. złożyła koronę, a następca jej, łudząc traktatami Rzeczpospolitę, postanowił skorzystać z trudnego położenia, w jakiem się Polska znajdowała i tanim tryumfem rozpocząć swój zawód publiczny. Pod pozorem rokowań wysyłał więc ajentów do Polski, aby zbadać stosunki. Widział rosnące niezadowolenie, opozycyą szlachty, prywatę magnatów i na tem budował swoje nadzieje. Powodów uzasadnionych do wojny nie było; wyciągnięto zatem stare i nic nieznaczące sprawy z czasów Władysława IV., opierano się na błahych podejrzeniach, czepiano tytułów i na tej kruchej podstawie ułożono manifest wojenny, mający usprawiedliwić wobec Europy oczywisty rozbój i pogwałcenie praw międzynarodowych. A że to było w kilka lat po ukończeniu wojny 30-letniej i mnóstwo żołdaków, przywykłych do rabunku, wałęsało się po Niemczech, więc wszystko to zbiegło się na pierwsze hasło pod sztandary szwedzkie i wnet powstała armia, wyćwiczona wprawdzie, ale rozpasana do najwyższego stopnia, depcząca prawa boskie i ludzkie. Stany szwedzkie nie opierały się ambitnym zamiarom młodego króla, w marcu roku 1655., wśród negocyacyj toczących się z Polską, uchwalono wojnę. Sejm polski, zwołany w drugiej połowie maja, zajął się wprawdzie energicznie obroną kraju, ale postanowienia te były spóźnione, a rozstrój społeczeństwa i niechęć do króla, podniecana przez malkontentów, ubezwładniała do reszty Rzeczpospolitę, za-

grożoną równocześnie najazdem moskiewskim i nieugaszonym buntem kozackim. W takich warunkach los wojny nie mógł być wątpliwym. Dla obrony granic wschodnich od Moskwy i Kozaków przeznaczono wojsko zaciężne i pospolite ruszenie najbliższych prowincyj, bezpieczeństwo Wielkopolski i odparcie najazdu szwedzkiego powierzono województwu poznańskiemu i kaliskiemu.

Rzeczywiście zebrali się Wielkopolanie pod Ujściem — nad Notecią — w liczbie 15.000—24.000 ludzi pod dowództwem wojewodów swoich i kasztelanów, pomiędzy którymi pierwsze miejsce przypadło Krzysztofowi Opalińskiemu, wojewodzie poznańskiemu. Na ochotnika stawili się nienależący właściwie do Wielkopolski Rozdrażewski, wojewoda inowrocławski i Piotr Opaliński, wojewoda podlaski. Szwedzi tymczasem z dwóch stron gotowali się do najazdu. Z Inflant miał wkroczyć na Litwę generał Horn, z Pomorza szwedzkiego dążył ku Wielkopolsce Wittemberg na czele 17.000 ludzi. Siły nieprzyjaciół nie były znaczne, armia Wittemberga składała się wprawdzie z weteranów wojny 30-letniej i miała liczną artyleryą, ale stanowisko Wielkopolan, nad brzegami bagnistej Noteci, u ujścia Głdy, z natury obronne, zapewniało wojsku polskiemu niemałe korzyści. Można więc było bronić się długo i skutecznie. Ale brak wodza i karności i co za tem idzie, rozprzężenie panujące w obozie, z góry już zapowiadały klęskę. Krzysztof Opaliński, więcej statysta i literat niż wojownik, na króla pogniewany, nie mógł i nie chciał złemu zaradzić, a inni senatorowie, związani z nim kolligacyą, poddawali się bez szemrania jego woli i fantazyom. Co gorsza, „pomagał kompanii JWPanu Wittembergowi“ zdrajca Radziejowski, który — znając usposobienie szlachty i senatorów wielkopolskich — wystąpił wnet w roli pośrednika i protektora. Skoro tylko wojska szwedzkie dnia 18. lipca zbliżyły się do Noteci, nadjechał do obozu polskiego trębacz z listami od Radziejowskiego i Wittemberga. Infamis, skazany na śmierć, namawiał bezczelnie szlachtę do opuszczenia króla i Rzeczypospolitej i do poddania się królowi szwedzkiemu, obiecując w zamian za to bezpieczeństwo osób, mienia, religii i wolności! Odpowiedziano narazie wymijająco, ale z dziwną jakąś serdecznością dla Radziejowskiego i czekano dalej spokojnie, szabli niemal niedobywając. Nieprzyjaciel postępował ostrożnie i nienapotkawszy nigdzie energicznego oporu, ogarnął zewsząd Polaków. W nocy z 24. na 25. lipca wszczął się popłoch w obozie, pospolite ruszenie uciekało tłumnie do domów, „noc przegrzmiała z wozów i szkap rumoru“. Na to czekał — zdaje się — Opaliński i jak przedtem nic nie uczynił, aby obóz ubezpieczyć i napad Szwedów odeprzeć, tak teraz z największą skwapliwością chwycił się propozycyi Radziejowskiego i zaczął traktować z Wittembergiem. Nieśmiała opozycya, jaką napotkał w radzie, zwołanej w tym celu, umilkła rychło przed wymownym głosem wojewody i wnet stanęła ugoda, mocą której województwo poznańskie i kaliskie oddało się „pod protekcyą najjaśniejszego króla szwedzkiego“, przyrzekając mu wierność taką, „jak dotąd królowi polskiemu“. Wspaniały bankiet u Wittemberga zakończył ten pierwszy akt zdrady i odstępstwa, poczem Szwedzi przeszli spokojnie Noteć i zalali całą Wielkopolskę.

W uboższej szlachcie, w mieszczaństwie i ludzie wiejskim wywołał haniebny ten czyn Opalińskiego niechęć i oburzenie. Piechota łanowa rozbiegła się natychmiast z pod sztandarów szwedzkich, mieszczaństwo poznańskie go-

August II.

towało się do rozpaczliwej obrony, ale wpływ Opalińskiego uśmierzył rychło te patryotyczne porywy. Poznań otworzył bramy generałowi Marderfeldowi i tylko Jakób Rozrażewski, wojewoda inowrocławski, zaprotestował uroczyście

przeciw poddaniu Wielkopolski Szwedom, inni zadowolnili się pokątnem szemraniem i wyrzekaniem na zdradę.[1])

Pierwsze to a tak niespodziewane powodzenie Szwedów wywarło wpływ demoralizujący i otworzyło nieprzyjacielowi drogę w głąb Polski. Karol Gustaw, wylądowawszy w 15.000 ludzi w Wolgaście, podążył za Wittembergiem do Koła i stamtąd przez Łowicz ruszył na Warszawę. Po drodze szarpały go podjazdy Czarnieckiego, ale główne siły polskie pod osobistem dowództwem Jana Kazimierza były za słabe, aby potędze nieprzyjacielskiej skutecznie stawić czoło. Poddała się więc Warszawa i całe Mazowsze, Jan Kazimierz, spróbowawszy raz jeszcze szczęścia pod Opocznem i widząc wojsko zupełnie zdemoralizowane, schronił się do Krakowa, a następnie wraz z królową odjechał na Szląsk. W chwili, gdy wyjeżdżał, cała Polska zajęta już była przez wojska nieprzyjacielskie. Moskale opanowali Mińsk i Wilno, Chmielnicki z Buturlinem oblęgli Lwów, Szwedzi zdobyli Dynaburg i wkroczyli od północy do Litwy, Janusz Radziwiłł z armią litewską cofnął się do Kiejdan i dnia 18. sierpnia — podobnie jak Wielkopolanie — uznał Karola Gustawa i zawarł unię z Szwecyą pod warunkiem, że król szwedzki odzyska prowincye, zabrane przez Moskwę. Jeżeli zdrada Opalińskiego była aktem osobistej zemsty, to polityką innowierczej linii Radziwiłłów kierowały inne cokolwiek pobudki. Ogromna fortuna, tytuł książąt Rzeszy niemieckiej i pokrewieństwo z Jagiellonami nadawały tym dynastom litewskim wyjątkowe w Rzeczypospolitej stanowisko i znaczenie, wynosiły ich ponad wszystkie rody możnowładcze. Toż za ciasno im było w tej republice szlacheckiej, równającej w teoryi przynajmniej szaraczka mazowieckiego z najbogatszym magnatem. To co dla innych stanowiło główny cel ambicyi, oni odtrącali z lekceważeniem, Januszowi Radziwiłłowi pieczęć podkanclerska pachnęła dyakostwem, Bogusław odstąpił ofiarowane sobie przez Jana Kazimierza starostwo oszmiańskie „słudze swemu, panu Adamowi Sakowiczowi, podkomorzemu oszmiańskiemu“, „przyrodzenie“ i „animusz“ ciągnęły ich w inną stronę, „między znanych, wielkich, jednej kondycyi ludzi“, tam, gdzie „z cesarzem, z królami, z najprzedniejszymi książęty“ siedziećby mogli.[2]) Tą myślą wiedziony, ożenił się znany rokoszanin Janusz w roku 1613. z siostrą Jana Zygmunta, elektora brandenburskiego i „zaciągnął się w słowa z elektorami“. Odtąd jest związek ten dyrektywą polityki radziwiłłowskiej, a głównym celem ich marzeń przyjęcie do grona książąt Rzeszy niemieckiej, udział i miejsce w sejmie rzeskim w Ratysbonie. Nie zastanawiając się wcale nad tem, jak tę służbę obcą pogodzić z obowiązkami względem własnej ojczyzny, pragnęli Radziwiłłowie wydobyć się tylko z tej Polski, gdzie Kossobuccy i Mieleszkowi prym przed nimi czasem trzymali, a „pani Antoniowa, organiścina, o książęce matrony ocierać się mogła“. Do urzeczywistnienia tych życzeń gorących mógł im dopomódz wpływem swoim w Rzeszy „wielce szanowny wuj“, Fryderyk Wilhelm, elektor brandenburski, „wielkim kurfirsztem“ zwany. Właściwy ten założyciel monarchii Hohen-

[1]) Szajnocha: Krzysztof Opaliński. Szkice, t. III.
[2]) Kalicki: Bogusław Radziwiłł. Przegląd polski z roku 1877.

zollernów był typem najniesumienniejszego i najprzewrotniejszego dyplomaty. Dla własnej korzyści zrywał on z lekkiem sercem najświętsze zobowiązania, oszukiwał najszczerszych swoich przyjaciół, łamał poręczone uroczyście traktaty, a im serdeczniejszym dla kogo tchnął afektem, tem subtelniejsze knuł pod nim zdrady. Głównym celem elektora — podobnie jak i jego poprzedników — było uwolnienie się od zwierzchnictwa polskiego, udzielność pruskiego księstwa. Pracowali nad tem Hohenzollernowie oddawna z mrówczą cierpliwością i dzięki kłopotliwemu położeniu królów polskich, zdziałali rzeczywiście wiele. Zapewnili sobie dziedziczne posiadanie lenna pruskiego, uwolnili się od przykrej formalności składania hołdu osobiście, rośli jak wrzód na ciele Rzeczypospolitej, tocząc zwolna lecz systematycznie zdrowy jego organizm. Wojna kozacka i moskiewska obudziły w nich nowe nadzieje; trzeba było Rzeczpospolitę jeszcze bardziej pognębić, powiększyć liczbę jej nieprzyjaciół. Dokonał tego elektor, podburzając na wspólkę z Radziejowskim Karola Gustawa do najazdu na Polskę. Obecnie stał on uzbrojony od stóp do głów w Prusiech, aby ofiarować pomoc swoją temu, który lepiej zapłaci. Stosunek z „ukochanym siostrzeńcem“, Bogusławem Radziwiłłem, dawał mu możność wpływania na dwór polski i szlachtę, a Bogusław szedł ze wszystkiem za radą „wielce szanownego wuja“ i stał się powolnem dla jego celów narzędziem. Jeżeli w tym wypadku odgrywała ważną rolę kolligacya, to do Szwedów ciągnęły obu Radziwiłłów względy religijne. Konspiracya na zgubę Polski wychodziła od innowierców. Schyzmatycka Moskwa i prawosławni Kozacy spotykali się tu z protestancką Szwecyą, z kalwinem Rakoczym, z angielskim przyjacielem Karola Gustawa, Kromwellem, wzywano nawet sułtana do „świętego przymierza“ przeciw narodom „bałwochwalczym“, mianowicie „papieskim“. Bogusław i Janusz — obaj kalwini — sprzyjali oczywiście Szwedom i na rok przed najazdem znosili się przez księcia kurlandzkiego z Karolem Gustawem. Narazie chodziło im o „przymnożenie potęgi ewangielikom“, obecnie, gdy cały kraj prawie poddał się Szwedom, powstała w ich głowach myśl własnego także wyniesienia. Najazd moskiewski i zabór Wilna dostarczały pożądanych do tego pozorów, „z biedy“ więc zerwali unię, poprzysiężoną przez przodków, a uznając wielkim księciem litewskim Karola Gustawa, w duchu marzyli o udzielnem panowaniu dla siebie pod zwierzchnictwem szwedzkiem.

Opanowawszy tak Litwę, Wielkopolskę i Mazowsze, podążył król szwedzki na południe do Krakowa, którego obronę zlecono Czarnieckiemu. Znakomity ten wódz, urodzony w Czarncy, w powiecie chęcińskim, w ubogiej zagrodzie szlacheckiej, dał już dowody niepospolitych zdolności wojskowych. Potrzebnych ku temu wiadomości i doświadczenia nabył on w wojnie 30-letniej służąc prawdopodobnie pod znakami cesarskiemi, pod Smoleńskiem zjednał sobie już sławę rozgłośną i mianowany obożnym koronnym brał udział zaszczytny w wyprawie na Bracław przeciw Bohunowi. Ranny ciężko pod Monasterzyskami, otrzymał od króla kasztelanią kijowską (1655. r.), a zaledwie z ran wyleczony — na pierwszą wieść o najeździe szwedzkim — stawił się pod sztandary królewskie i pod Piątkiem i Inowłodzem gromił szczęśliwie

Szwedów.[1]) Obecnie kierując obroną Krakowa, zatrzymał pod murami stolicy całą potęgę Karola Gustawa aż do 17. października i dopiero, gdy Szwedzi rozgromili pod Wojniczem chorągwie kwarciane i znikąd odsieczy spodziewać się nie było można, kapitulował pod honorowemi warunkami i z bronią w ręku opuścił Kraków, zachowując wierność Janowi Kazimierzowi i Rzeczypospolitej. Upadek stolicy odjął nadzieje najśmielszym nawet, poddali się więc Szwedowi i hetmani koronni, zagrożeni z drugiej strony przez Chmielnickiego; Rzeczpospolita przestała istnieć. I jak zwykle bywa w takich chwilach, gdzie wszystko zdaje się zawodzić, ci, którym pozostała jeszcze swoboda działania, chwytali się rozpaczliwych prawdziwie pomysłów. Para królewska, otoczona garstką wiernych senatorów, rozwinęła z Głogowa na Szląsku gorączkową czynność dyplomatyczną. Marya Ludwika wysłała do Francyi dworzanina swego des Noyersa, król do Wiednia Viscontiego, tu i tam proszono o pośrednictwo z rozmaitym skutkiem. Ludwik XIV., a raczej kardynał Mazarini, będąc w przymierzu z Szwecyą, nie chciał się mięszać do spraw tak drażliwej natury, a dwór wiedeński gotów był tylko do pośrednictwa pomiędzy Polską a Moskwą. Gwałtowne postępy Szwedów znagliły Jana Kazimierza do energiczniejszych jeszcze kroków. Wysłany do Wiednia Jan Leszczyński ofiarował cesarzowi wprost już opiekę nad Polską, prosił o zajęcie Krakowa; elektora brandenburskiego starano się pozyskać propozycyą uwolnienia Prus od leniczej zawisłości. Równocześnie na własną rękę czynili zabiegi senatorowie; Gąsiewski, hetman polny litewski, rozpoczął układy z carem przez Wasyla Licharowa i wysłał do Moskwy Madekszę, przedstawiając niebezpieczeństwa grożące Moskalom z powodu nadmiernego wzrostu potęgi szwedzkiej.[2]) Jerzy Lubomirski wreszcie nawiązywał stosunki z Rakoczym. Wszystkie te zabiegi jednak nieodniosły skutku. Cesarz ograniczył się do interwencyi dyplomatycznej, Rakoczy ofiarował pomoc, ale pod warunkiem, że mu Polacy przyznają następstwo po Janie Kazimierzu, Moskwa acz przestraszona rzeczywiście powodzeniem Szwedów i unią w Kiejdanach przez Radziwiłłów zawartą, nie spieszyła się ze stanowczą odpowiedzią. Trzeba było zatem myśleć o innych środkach ratunku. Zwołano radę senatorów do Opola, król wydał manifest do narodu, gdzie wyrzucając na oczy magnatom ich winy, wzywał województwa do powstania przeciw najazdcom. Ale i ten krzyk rozpaczy nie poruszył umysłów. Lepiej cokolwiek powiodło się z Chmielnickim i Tatarami. Poseł królewski, Lubowiecki, wysłany do obozu kozacko-moskiewskiego pod Lwów, został wprawdzie uwięziony, ale Chmielnicki odstąpił od oblężenia z niechęci ku Moskwie.

Krótka gospodarka urzędników carskich na Ukrainie wywołała bowiem w tym czasie już wielkie pomiędzy Kozakami niezadowolenie, z drugiej strony zaś ściślejszy stosunek Moskali z Zaporożcami, używającymi większej niż oni swobody, obudził w ludności pogranicznej pragnienie wolności, zaszczepione tam już za czasów Samozwańca. Niedowierzano więc sobie wzajemnie; Neczaj

[1]) Jenike Ludwik: Stefan Czarniecki. Warszawa 1891 — Pawiński: Stefan Czarniecki. Kilka nowych szczegółów. Ateneum z roku 1891.

[2]) Księga pamiętnicza Madekszy.

zięć Chmielnickiego, kłócił się z Szeremetem, dowódcą moskiewskim na Litwie i gotów był podług zapewnień Kozaków razem z pasierbem Chmielnickiego odstąpić „od moskiewskiej fakcyi“.[1]) Narazie nie przyszło do tego; tylko Lwów ocalał dzięki owym naprężonym stosunkom pomiędzy Moskwą i Kozakami, ale poddanie się Chmielnickiego Moskwie zaniepokoiło w wysokim stopniu Tatarów i skłoniło hana do przymierza z Polską. Na powracającego z pod Lwowa Chmielnickiego napadł on pod Jeziorną i zmusił go do uznania królem Jana Kazimierza i do przyobiecania pomocy Polakom. Ruszył się też natychmiast hetman wielki koronny Potocki i wezwał chorągwie do łączenia się przeciw Szwedom. Wszystko to jednak nie wystarczało do uratowania ojczyzny. Naród, zatruty jadem prywaty i anarchii, musiał sam w sobie znaleść siłę odporną, winę odstępstwa i zdrady zmazać poświęceniem i ofiarnością, lekkomyślne poddanie się obcym rządom wynagrodzić wiernością dla króla, który — pomimo wszystkich swoich błędów — był monarchą, obranym wolnemi głosami, potomkiem jagiellońskiej dynastyi. Jakoż obudziło się sumienie narodowe najpierw tam, gdzie z początku najświetniejsze tryumfy odniosły zdradzieckie knowania Radziejowskiego, gdzie za przewodem Opalińskiego szlachta tak skwapliwie przyjęła opiekę szwedzką. We wrześniu już roku 1655. rozpoczął szczęśliwą wojnę partyzancką z najazdem kasztelan babimostski Krzysztof Żegocki w Wielkopolsce. Opanował on nagłym napadem Kościanę, wyciął w Wieluniu garnizon szwedzki, położył trupem Fryderyka landgrafa heskiego i tem niespodziewanem powodzeniem swojem zachwiał przesadne wyobrażenia o potędze szwedzkiej. Paulini częstochowscy nie przyjęli załogi szwedzkiej i wytrzymali szczęśliwie oblężenie, trwające od 18. października do 26. grudnia. Cudowna prawdziwie obrona jasnogórskiej forteczki pod kierunkiem bohaterskiego przeora, ks. Augustyna Kordeckiego, wstrząsnęła całą Polską i nadała wojnie charakter religijny. Karol Gustaw zawdzięczał błyskawiczne swoje powodzenie nietylko zdradzie Radziejowskiego, małoduszności szlachty i odstępstwa niechętnych Janowi Kazimierzowi magnatów, ale w znacznej części także przychylności innowierców polskich. Poddanie Litwy nastąpiło z inicyatywy kalwińskiej linii Radziwiłłów, submissyą województwa kijowskiego podpisał Aryanin Jakób Niemirycz, dyssydenci — zapominając o obowiązkach swoich względem ojczyzny, która zawsze dla nich matką była — widzieli w Szwedach nie najezdników lecz współwyznawców. Na zgubę Rzeczypospolitej sprzysięgli się więc protestanci, schyzmatycka Moskwa i dyzunici polscy, reprezentowani przez Chmielnickiego i Kozaczyznę. Ruch narodowy musiał zatem przybrać charakter religijny, katolicki, przeciw koalicyi heretyckiej stawała Polska pod sztandarem N. P. Maryi częstochowskiej, powstanie obejmowało wszystkie warstwy narodu, stawało się powstaniem ludowem. Mieszczaństwo nowosądeckie, chłopi nawojowscy, górale tatrzańscy, cała ciemna masa włościańska uderzyła jak grom na najezdników. Chwila była wielka; ruch, zręcznie i rozumnie pokierowany, mógł stać się źródłem odrodzenia Rzeczypospolitej. Niestety zmarnowano go tak jak wiele innych, chociaż narazie oddał nieoce-

[1]) Tamże, str. 41.

nione usługi sprawie narodowej. Wyrzuciwszy Szwedów z Podgórza krakowskiego, dał on punkt oparcia patryotycznym usiłowaniom Jerzego Lubomirskiego, podniósł ducha w szlachcie i przywiódł wojsko do upamiętania. Pomagała mu w tem niezręczność Karola Gustawa, łupiestwa i rozboje jego generałów. Zamiast zwołać sejm, jak to z początku zamierzał i tam legalnie wybór swój przeprowadzić, chwytał się król szwedzki najniewłaściwszych środków, myślał o rozbiorze Polski, traktował w tym celu z Moskwą, Chmielnickim i elektorem brandenburskim, a tymczasem łupił miasta i zamki, szlachtę grabił kontrybucyami i żołnierzom polskim, którzy mu się poddali, żołdu nie płacił. Nastąpiło z tego powodu rozczarowanie u jednych, oburzenie u drugich; szlachta, czapkująca pokornie Szwedom, chwyciła za broń, żołnierz kwarciany, zawiedziony w swoich nadziejach, przypomniał sobie obowiązki względem króla i ojczyzny. Wyniknęła stąd słynna konfederacya tyszowiecka, utworzona pod kierunkiem hetmanów Stanisława Potockiego i Lanckorońskiego dnia 29. grudnia 1655. roku. Wyliczywszy w akcie konfederackim wszystkie wiarołomstwa i nadużycia Szwedów, obowiązano się stać przy wierze, swobodach, przy królu i hetmanach.

Ruchowi koronnemu towarzyszył podobny ruch na Litwie, wzniecony przez Gąsiewskiego i Pawła Sapiehę. Obaj oni, korzystając z nieczynności Moskwy, która z niechęcią i nieufnością na zwycięstwa szwedzkie patrzyła, oblęgli Janusza Radziwiłła w Tykocinie i zmusili zamek do poddania się. Nie dożył tego upokorzenia hetman, marzący niedawno jeszcze o mitrze wielkiej książęcej, umarł bowiem dnia 31. grudnia 1655. roku, a zgon jego wyprzedził tylko o dni siedem tragiczną śmierć Krzysztofa Opalińskiego. Karząca ręka Opatrzności dosięgła obu zdrajców w chwili, gdy naród — obałamucony przez nich — wracał na drogę obowiązków swoich względem ojczyzny, gdy budowa fałszu i kłamstwa, dłonią ich wzniesiona, w gruzy rozsypać się miała. Powracał bowiem już z wygnania szląskiego Jan Kazimierz i około jego osoby skupiły się natychmiast wszystkie patryotyczne żywioły. W Łańcucie, gdzie Lubomirski podejmował króla, odbyła się walna narada. Pokazało się, że dyplomatyczne zabiegi żadnego nie odniosły skutku: cesarz Ferdynand III. dał Leszczyńskiemu odpowiedź odmowną tak co do posiłków, jakich król żądał, jakoteż i co do następstwa na tron polski, ofiarowanego Habsburgom; elektor brandenburski zawierał właśnie z Karolem Gustawem traktat w Królewcu i brał Prusy książęce w lenno od króla szwedzkiego, obowiązując się hołd złożyć wtenczas, gdy Karol na tronie polskim zasiądzie. Z obcych mocarstw więc, od których pomocy można się było spodziewać, pozostawała tylko Moskwa i Siedmiogród. Do cara też pojechał przedtem już starosta orszański Galiński z propozycyą pokojową, podczas gdy Lubomirski popierał usilnie sojusz z Rakoczym, żądając, aby go król następcą swoim mianował. Znaczne usługi marszałka w ostatnich czasach dodawały projektom jego znaczenia i powagi. Nie przyszło wprawdzie do przymierza z Rakoczym, ale wpływ Lubomirskiego odniósł zwycięstwo w innym względzie. Zniesiono konfederacyą tyszowiecką, zawiązując nową przy królu, odjęto władzę nad wojskiem hetmanom i powierzono dowództwo Stefanowi Czarnieckiemu, Lubomirskiemu i Pawłowi Sapieże,

zażądano wreszcie pomocy Tatarów. Z Łańcuta wprost pojechał król do Lwowa, gdzie przyjmowany z zapałem przez mieszczaństwo, złożył dnia 1. kwietnia 1656. roku w katedrze w obecności duchowieństwa i nuncyusza uroczyste votum, oddając siebie i Rzeczpospolitę w opiekę Najśw. Pannie. „A ponieważ — były słowa jego — z wielkim bolem serca mego wyznaję, że za łzy i krzywdy włościan w królestwie mojem Syn Twój, sprawiedliwy sędzia, przez siedem lat już dopuszcza na nas kary powietrza i wojen, przeto obiecuję i przyrzekam oprócz tego, iż ze wszystkiemi memi stanami, po przywróceniu pokoju wszelkich dla odwrócenia tych nieszczęść użyję środków i postaram się, aby lud królestwa mego od niesprawiedliwych ciężarów i ucisków był uwolniony".

Równocześnie z tym ślubem wzniosłym i pięknym zastanawiano się nad potrzebą zreformowania Rzeczypospolitej, nad zniesieniem a przynajmniej ograniczeniem sejmików i wzmocnieniem władzy królewskiej. Łatwo zapalający się charakter narodu gotów był w tej chwili uroczystej do heroicznych prawdziwie postanowień i czynów, ale zawichrzony stan kraju przeszkadzał niestety wykonaniu zbawiennych zamiarów, a wpływ czasu i zwrot pomyślny wypadków wojennych pogrzebał niebawem myśl, która anarchiczną Rzeczpospolitę mogła uczynić państwem rządnem i potężnem. Wśród bezustannego szczęku oręża, bez sejmu, niepodobna było narazie reformować państwa. Król cały zajęty przygotowaniem do wyprawy na Szwedów zaciągał wojsko, zwoływał pospolite ruszenie, układał się z Tatarami, słał listy do elektora, w ostatnich dniach kwietnia wreszcie ruszył w pole.

Wiadomość o powrocie Jana Kazimierza i o powstaniu, szerzącem się nad Wartą i Wisłą, zastała Karola Gustawa w gościnie u elektora. „Wielki" kurfirszt zajmował od samego początku wojny stanowisko wyczekujące. Poszczuwszy Szwedów na Polskę, wyglądał on chwili sposobnej, aby za pomoc, ofiarowaną jednej lub drugiej stronie, największe dla siebie uzyskać korzyści. Pozornie udawał przyjaciela Polaków, z stanami Prus królewskich zawarł zaczepno-odporne przymierze, załogi swoje wprowadził do miast znaczniejszych i przygotowywał tak zwolna a ostrożnie okupacyą całego pojezierza pruskiego. Na dworze polskim radowano się z tej podstępnej polityki Brandenburczyka i wierzono święcie w jego wierność i uczciwość. Inaczej patrzył się na rzeczy Karol Gustaw. Dla niego był wielce podejrzanym ów sprzymierzeniec stanów pruskich, z gotową armią stojący za plecyma wojsk szwedzkich. Nie namyślając się więc wiele, skoro tylko dokonał podboju Polski, podążył natychmiast na północ, zajął Elbląg i Toruń, oblęgł Malborg i wkroczył wreszcie do Prus książęcych. Zagrożony najazdem swoich posiadłości elektor, podał rękę do zgody i obaj — godni siebie przeciwnicy — zawarli przyjaźń serdeczną; kurfirszt za Prusy królewskie i Warmią miał dostarczyć Szwedom 1500 żołnierzy.

Skoro tylko traktat ten przyszedł do skutku, popędził Karol Gustaw co tchu na południe, rozbił pod Gołębiem dywizyę Czarnieckiego, minął dobrze obronny Zamość i stanął pod Jarosławiem. Tu jednak, wśród roztopów wiosennych, zaczęły się klęski jedna po drugiej. Czarniecki, zgromadziwszy szybko swoich rozbitków, połączył się z Lubomirskim, powołał pod broń lud

wiejski, srodze na Szwedów zawzięty i uorganizował wojnę podjazdową, w której regularna armia Karola Gustawa uledz musiała. W dwa tygodnie po przybyciu swojem do Jarosławia, cofał się już król szwedzki, szarpany ze wszystkich stron, ku Sandomierzowi. Tu w widłach, pomiędzy Sanem i Wisłą, ostateczna czekała go zguba. Lubomirski zdobył Sandomierz, Sapieha strzegł przejścia przez San, reszta pułków polskich opuściła najezdców; okrążony od południa i północy nie widział już Karol Gustaw ratunku dla siebie. Ocaliła go niespodziewanie nieudolność wodzów polskich, brak czujności z ich strony i przewaga artyleryi szwedzkiej. Ogniem czterdziestu dział spędził on Litwinów z nad brzegów Sanu i sforsowawszy przejście przez tę rzekę, uszedł do Prus. Za nim rozlała się jak powódź armia polska, wycinając w pień załogi szwedzkie po miastach wielkopolskich i zdążając pod Warszawę. Oblężenie stolicy, rozpoczęte przez Sapiehę i prowadzone zrazu niedbale, skończyło się po nadejściu Jana Kazimierza kapitulacyą szwedzkiej załogi pod Wittembergiem. Ale kiedy po tem powodzeniu, które radością napełniło kraj cały, w obozie polskim zapanowała bezczynność, a pospolite ruszenie — jak zwykle — tęsknić i do domu rozjeżdżać się zaczęło, zbliżał się Karol Gustaw tymczasem na czele nowej armii. Odstąpiwszy bowiem w Malborgu elektorowi Wielkopolskę całą wraz z Łęczycą, Sieradzem i Wieluniem, otrzymał on od niego znaczne posiłki i z tem wojskiem, liczebnie słabszem wprawdzie ale doskonale wyćwiczonem, pobił Polaków w trzydniowej bitwie pod Warszawą (28., 29. i 30. lipca 1656. roku). Ale zwycięstwo, jakkolwiek wielkie sprawiło w Europie wrażenie, nie zmieniło wcale położenia Karola Gustawa w Polsce. Rozbita armia polska zebrała się na nowo, Gąsiewski ruszył z oddziałem Tatarów do Prus książęcych, Lubomirski poszedł oblęgać Kraków, Czarniecki nękał podjazdami dalej główne siły szwedzkie, Wielkopolanie rzucili się z zaciekłością na załogi elektorskie, ruch narodowy ogarniał jak fala wzbierająca zastępy szwedzkie. Z drugiej strony zwycięstwa Karola Gustawa zaniepokoiły najbliższych jego sąsiadów. Moskwa uderzyła na posiadłości szwedzkie w Inflantach, zaczęły się zbroić Dania i Hollandya, cesarz wystawił korpus obserwacyjny na granicy szląskiej. Wśród tego następowała klęska po klęsce: Czarniecki zniósł tylną straż szwedzką w okolicy Radomia i zbił na głowę Forguela pod Rawą, Gąsiewski pod Prostkami starł 10-tysięczny korpus Waldecka, król sam zdobył obwarowaną Łęczycę. Nic dziwnego zatem, że Karol Gustaw pierwszy zgłosił się z propozycyą pokojową, używając do tego pośrednictwa posła francuskiego des Lumbres'a, ale dwór polski odrzucił propozycye. Skłaniało go do tego i korzystne położenie na teatrze wojny i otwierające się w innej stronie widoki. W sierpniu zebrał się kongres w Niemieży, gdzie w obecności pośredniczących posłów cesarskich rozpoczęto układy z Moskwą. Moskale żądali wyboru cara na następcę Jana Kazimierza z prawem sukcessyi, a więc de facto zniesienia wolnej elekcyi na przyszłość i gotowi byli w zamian za to zwrócić zabrane Rzeczypospolitej prowincye. Sprzeciwili się temu delegaci austryaccy, rzecz odniesiono do króla, który przyjął przychylnie propozycye moskiewskie.

Jedynym punktem spornym była kwestya wyznaniowa. Moskale żadną miarą nie chcieli zgodzić się na to, aby car zmienił religię. Mimoto zawarto

rozejm, odkładając elekcyą do sejmu. Jakkolwiek z góry można było przewidzieć, że sejm warunków moskiewskich nie przyjmie, to cała ta robota dyplomatyczna była o tyle dla Polski korzystna, że wznieciła obawy na dworze wiedeńskim i obudziła tam żywsze zainteresowanie się sprawą polską. Dopomógł do tego zresztą i sam Karol Gustaw. Opuszczony chwilowo przez elektora, który po bitwie pod Prostkami z Gąsiewskim układać się zaczął, chwycił on się innej kombinacyi. Z chciwym Brandenburczykiem zawarł nowy traktat w Labiau i zapewnił mu tam udzielność Prus książęcych i Warmii, a z drugiej strony wciągnął do aliansu Rakoczego i Chmielnickiego, ofiarując pierwszemu Małopolskę, Ruś Czerwoną, Mazowsze, Litwę, Wołyń i Podole, drugiemu Ukrainę.

Szwedom miała przypaść Wielkopolska, Prusy królewskie i Inflanty. Obaj przyjęli chętnie te ponętne propozycye i na początku roku 1657. stanęła nowa, groźna przeciw Polsce koalicya. Ale związek Karola Gustawa z Chmielnickim i Rakoczym wywołał słuszne obawy i w Wiedniu i w Konstantynopolu i w Moskwie. Żadne z tych mocarstw nie mogło patrzeć obojętnie na na wzrost potęgi swoich lenników. Rozbiór Polski, tak jak go projektował król szwedzki, sprzeciwiał się interesom cara, Austryi i Porty ottomańskiej, Austrya oprócz tego widziała w Karolu Gustawie naturalnego alianta rywalki swojej Francyi, zwycięstwo Szwedów w Polsce było tryumfem polityki Mazariniego. Narazie nie przyniosło to Polsce korzyści. Rakoczy w styczniu roku 1657. wkroczył w granice Rzeczypospolitej, połączył się z posiłkami kozackiemi i wydał manifest do Polaków, w którym oświadczył, że przybywa, aby „zamięszany stan tego tak sławnego królestwa osobą i wojskami swojemi uspokoić“. Ale po świeżych doświadczeniach z „protektorem“ szwedzkim nikt nie ufał już zapewnieniom Rakoczego, odezwę jego odrzucono z oburzeniem, sam Lubomirski, popierający niedawno jeszcze kandydaturę siedmiogrodzką, pierwszy rozpoczął walkę z drapieżnym najezdcą. On tymczasem, pokusiwszy się napróżno o zdobycie Lwowa, szedł ze swoją zbierauiną na Kraków, paląc i rabując po drodze. Załoga szwedzka otworzyła mu bramy stolicy, z Prus przybył Karol Gustaw na czele 17.000 ludzi, obaj sprzymierzeńcy połączyli się pod Chmielowem, ale wyprawa skończyła się na zdobyciu Brześcia litewskiego. Karol Gustaw spostrzegł wnet, że armia Rakoczego, z włóczęgów i obieżyświatów rozmaitego rodzaju złożona, do prowadzenia wojny się nie nadaje, zagrożony więc przez armię polską, która zajęła warowne stanowisko w błotnistej Pińszczyźnie, powrócił z pod Brześcia do Warszawy.

Skłaniały go do tego także niepokojące wiadomości o zbrojeniu się Danii, o przymierzu pomiędzy Polską a cesarzem i o dwuznacznej polityce elektora brandenburskiego. Jakoż w istocie gotowała się przeciw lidze szwedzko-siedmiogrodzkiej gwałtowna burza. Car zakazał surowo Chmielnickiemu dalszego udziału w wojnie, sułtan wezwał Rakoczego do powrotu, cesarz Ferdynand III. wreszcie zdecydował się po długiem wahaniu na zawarcie przymierza z Rzeczpospolitą, a następca jego Leopold I. traktat ten potwierdził. Zobowiązał on się mianowicie dostarczyć królowi polskiemu posiłków (17.000 ludzi) i pośredniczyć pomiędzy Polską a Kozakami. Za pomoc tę zapłaciła Polska sowicie, musiała

bowiem nietylko utrzymywać własnym kosztem armię cesarską, ale nadto wypłacić z żup wielickich i bocheńskich 1,100.000 złotych polskich. Drugie tyle może ważyły dla Austryi korzyści polityczne, wynikające z aliansu polskiego.

Usuwała ona bowiem w ten sposób wpływ francuski z Polski, mogła przeszkodzić elekcyi cara moskiewskiego i przyciągnąć do siebie elektora brandenburskiego, którego głosu potrzebował Leopold I. przy wyborze na tron cesarski. W tę stronę też zwróciły się zabiegi dyplomacyi austryackiej, a „wielki kurfirszt“, widząc zbierającą się burzę przeciw Szwedom, gotów był alianta swego za stosownem wynagrodzeniem odstąpić. Najprędzej jednak zerwała się do akcyi Dania, wypowiadając wojnę Szwedom. Na wiadomość o tem podążył Karol Gustaw bezzwłocznie do Szczecina, obronę Prus zlecił Steinbokowi, a Rakoczego zostawił na łasce Opatrzności i okrążających go zewsząd chorągwi polskich. Przestraszony tym niespodziewanym obrotem najezdnik, myślał tylko o ocaleniu siebie i swojej armii, ale skrucha przychodziła za późno. Nadaremnie zwracał on się do Jana Kazimierza z prośbą o wolny odwrót do Siedmiogrodu, dwór polski, wsparty posiłkami austryackiemi, które pod dowództwem Hatzfelda Kraków oblęgać zaczęły, nie myślał wypuszczać z kraju bezkarnie rabusiów.

Wojska polskie przecięły mu więc drogę pod Samborem, Lubomirski spustoszył srodze posiadłości Rakoczego w północnych Węgrzech, zdobył Munkacz, wycisnął znaczną kontrybucyę na Preszowie, a Czarniecki, idąc trop w trop za armią najezdniczą, zadawał jej klęskę po klęsce (pod Kraśnikiem i Magierowem). Znękany i wylękniony wyjewoda zawarł wreszcie haniebną dla siebie konwencyą z Czarnieckim i Lubomirskim pod Międzybożem, zobowiązując się przeprosić króla polskiego, zwrócić wszystkie łupy, zapłacić 1,200.000 wojsku polskiemu i jego wodzom i zerwać związki z nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej. Tak „czosnek polski — jak jowialnie wyraża się Pasek — nie poszedł Rakoczemu na pożytek“. A i załoga siedmiogrodzka nie popasała długo w Krakowie, w sierpniu bowiem już kapitulował, oblężony przez pułki cesarskie, Wirtz i mięszany garnizon polsko-austryacki obsadził znękaną przez nieprzyjaciół stolicę. Równocześnie prawie umarł w Czehrynie (15. sierpnia 1657. r.) Bohdan Chmielnicki, niedoczekawszy się udzielnego księstwa, umarł, zawiedziony w swoich nadziejach, jako sługa carski i grabarz wolności kozackiej. Szesnastoletni syn jego Jerzy, na nalegania ojca obrany przez starszyznę hetmanem, niedorównujący w niczem Bohdanowi, stał się powolnem narzędziem w rękach pisarza Jana Wyhowskiego.

Tymczasem liga austryacko-polska rozwijała się dalej; Morsztyn, wysłany do Kopenhagi, zawarł tam z królem duńskim zaczepno-odporne przymierze przeciw Szwedom, a baron Isola, poseł cesarski, pracował usilnie nad pozyskaniem kurfirszta brandenburskiego. Układy, nawiązane nieszczęśliwie przez Gąsiewskiego już po zwycięstwie pod Prostkami, a prowadzone za pośrednictwem Bogusława Radziwiłła, który działał zupełnie w interesie pruskim, skończyły się teraz wskutek interwencyi austryackiej nieszczęsnym traktatem welawskim (1657. roku).

Jan Kazimierz uwolnił elektora od składania hołdu i od wszelkiej względem Rzeczypospolitej zależności, a kurfirszt zobowiązywał się trwać w wiecznem przymierzu z Polską i dostawić przeciw każdemu nieprzyjacielowi 1500 żołnierzy. Bogusław Radziwiłł miał odzyskać wszystkie swoje posiadłości, zaszczyty i łaskę królewską. Ale i ta wielka ofiara niezadowolniła chciwego Brandenburczyka. Na zjeździe w Bydgoszczy otrzymał on jeszcze jako lenno Lauenburg i Bytom, wziął w zastaw Elbląg, a w zamian za to zobowiązał się posłać 6000 wojska na wyprawę przeciw Szwedom. Wśród takich stosunków zebrał się w Warszawie po trzyletniej przerwie sejm (10. lipca 1658. roku) i trwał wbrew zwyczajom dotychczasowym przez całe 8 tygodni. Odrzucił on projekt elekcyi cara, głównie z powodu różnic religijnych, zatwierdził alians z cesarstwem i Danią, nieszczęsny traktat z elektorem, uchwalił poparcie wojny szwedzkiej i podjął układy z Kozakami.

Na przeprowadzenie reform, zamierzonych niedawno, na spełnienie uroczystych ślubów królewskich w katedrze lwowskiej, nie było czasu, nie było może i szczerej chęci. Silnie podniecone uczucie religijne narodu objawiło się w surowej konstytucyi przeciw Aryanom. Kazano im albo powrócić na łono kościoła katolickiego, albo też opuścić kraj na zawsze, pozostawiając termin trzyletni do wyprzedania majątków. Ważniejszą od tej drakońskiej ustawy, która wyrzuciła z Polski garstkę zapalonych wprawdzie ale w gruncie nieszkodliwych społeczeństwu doktrynerów, była działalność sejmu w sprawie kozackiej. Egoistyczna polityka Chmielnickiego zapędziła Kozaczyznę w objęcia caratu i poddała Zaporożców, znoszących niechętnie władzę hetmanów polskich i urzędników rozmaitego rodzaju, pod surowy i bezwzględny regiment moskiewskich wojewodów. Pozornie mogło się to wydać korzystnem dla jednostek, które ubiegały się o łaskę carską i dla całej rzeszy głodnych popów i czerńców schyzmatyckich, ale jarzmo moskiewskie zaciężyło wnet srożej od polskiego na karkach kozackich. Rzeczpospolita, jakkolwiek krępująca wolność Zaporożców, nie mogła już skutkiem organizacyi swojej stać się dla poddanych tem, czem był despotyczny rząd carski. Zaporożec, uprawiający rzemiosło rycerskie, często sam szlacheckiego pochodzenia, był bądźcobądź bliższym tej szlacheckiej Polski, niż autokratycznej Moskwy. Z Polską wiązały go tradycye wiekowe wspólnego życia i wspólnej walki przeciw pogaństwu, do Moskwy pociągały go sympatye religijne, ważne dla duchowieństwa schyzmatyckiego, dość obojętne dla Kozaka, który i pod rządem polskim mógł chwalić Boga po swojemu. Nic dziwnego zatem, że po kilku latach wspólnego pożycia z Moskwą, odezwały się w Kozaczyźnie sympatye polskie do tego stopnia, że poseł Jana Kazimierza, Bieniewski, mógł układać się ze starym Chmielnickim o przyłączenie Zaporoża do Rzeczypospolitej. Po śmierci Bohdana, która układy te przerwała, stanął na czele Kozaczyzny Wyhowski, szlachcic z rodu, Polsce wprawdzie nieprzychylny, ale pełen ambicyi. Skłonił on Jerzego Chmielnickiego do ustąpienia buławy hetmańskiej i naśladując Bohdana, zawarł przymierze z Tatarami. Car potwierdził wprawdzie układ Wyhowskiego z Chmielnickim, ale równocześnie wzniecił ruch przeciw Wyhowskiemu pod wodzą pułkownika Puszkara. Zaskoczony w ten sposób hetman pobił buntowników i zrażony intrygami moskie-

wskiemi postanowił się poddać Polsce. Wysłany w tym celu na sejm do Warszawy pułkownik Nosacz, doznał przychylnego przyjęcia. Kasztelan wołyński Bieniewski i smoleński Jewłaszewski mieli przeprowadzić ugodę z Wyhowskim. Owocem tych zabiegów obopólnych była umowa, zawarta w Hadziaczu dnia 11. września 1658. roku.

Zapewniała ona wolność religii greckiej zarówno jak i katolickiej, miejsce w senacie dla metropolity kijowskiego i podległych mu władyków, województwo kijowskie dyzunitom, bracławskie i czernichowskie naprzemian prawosławnym i katolikom, Wyhowskiemu buławę i dożywociem wszystkie trzy wyżej wymienione województwa. Oprócz tego obowiązywała się Rzeczpospolita założyć dwie akademie ruskie, ogłosić amnestyą i nobilitować zasłużonych Kozaków na zalecenie hetmana. Województwa ruskie (kijowskie, bracławskie i czernichowskie) miały odtąd stanowić odrębne ciało i podobnie jak Litwa posiadać osobnych dygnitarzy (marszałków, kanclerzy i podskarbich) i własną mennicę. Osobny artykuł zabraniał budowania cerkwi i monasterów unickich. Ugoda hadziacka była więc w ten sposób wykończeniem unii lubelskiej, łączyła Ruś z Polską i Litwą na podstawie zasady „wolni z wolnymi, równi z równymi“, dawała żywiołowi ruskiemu zupełną swobodę narodowego i religijnego rozwoju. Ale Kozaczyzna, zdemoralizowana przez Chmielnickiego i podminowana intrygami moskiewskiemi, nie była już w stanie pojąć doniosłości wielkiego aktu historycznego. Więc chociaż sejm roku 1659. potwierdził pakta hadziackie, to czerń pod wpływem samozwańczych hetmanów Cieciury i Somka stanęła murem przeciw Wyhowskiemu, a bunt, podniecany i popierany przez Moskwę, ogarnął całą Ukrainę. Świetne zwycięstwo, które Wyhowski, posiłkowany przez pułki polskie, odniósł nad Moskalami pod Konotopem, nie poprawiło położenia. Ogólne powstanie zmusiło go do odwrotu, czerń okrzyknęła hetmanem Jerzego Chmielnickiego, a ten nie miał nic pilniejszego, jak na upokarzających warunkach poddać się carowi. Wśród tego dogorywała wojna szwedzka. Karol Gustaw, zaczepiony przez Duńczyków, zmusił ich wkrótce do haniebnego pokoju w Röskield, ale tem nowem zwycięstwem zaniepokoił i cesarza i kurfirszta i mocarstwa morskie, Anglią i Hollandyą, obawiające się przewagi szwedzkiej na Bałtyku. Leopold I. więc, obrany cesarzem, wbrew zabiegom Ludwika XIV., który sam o koronę cesarską się ubiegał, zawarł przymierze z elektorem brandenburskim przeciw Karolowi Gustawowi, Hollandya wysłała flotę swoją na morze Bałtyckie. W ten sposób przeniosła się burza wojenna dalej na zachód z wielkiem dla Szwedów niepowodzeniem. W chwili, gdy wojska austryackie i polskie oblęgły i zdobyły wreszcie Toruń, wkroczył Montecuculi z armią cesarską, posiłkami kurfirszta i jazdą polską pod dowództwem Czarnieckiego do Holsztyna, zajął Szlezwig, a flota hollenderska odniosła walne zwycięstwo nad szwedzką. Najmniej korzyści z tych powodzeń miała Polska. Bogusław Radziwiłł, który dowodził w Prusiech wojskiem brandenburskiem, prowadził wojnę niedbale, niesłuchał rozkazów Lubomirskiego, przywrócony do łaski królewskiej, poraz drugi zdradzał własną ojczyznę, w interesie „wielce szanownego wuja“ i swoim własnym. W ugodzie hadziackiej mianowicie przeznaczono na wyposażenie Wyhowskiego Lubomlę i starostwo

barskie, będące w posiadaniu Bogusława. Sejm roku 1659. uchwalił wprawdzie wynagrodzić mu tę stratę, ale Radziwiłł — i tem niezadowolony — zachował w duszy głęboki ku Rzeczypospolitej „resentyment“ i mścił się na każdym kroku.

W Prusiech niesłuchał rozkazów Lubomirskiego, w Litwie gwałtem zajął Birże, Kiejdany i Radziwiliszki, które mocą nadania królewskiego dzierżył Gąsiewski, a na remonstracye, jakie mu czyniono z tego powodu, odpowiadał szorstko „pogróżkami“. Nic dziwnego zatem, że dwór polski w takiem położeniu, gdy jeden sprzymierzeniec zdradzał go oczywiście, a posiłki drugiego — wojska austryackie — leniwie prowadziły wojnę i niesłychanych dopuszczały się nadużyć, pragnął pokoju i starał się o to usilnie, i że wreszcie przyjął pośrednictwo francuskie, wbrew zabiegom posła austryackiego Isoli. Do traktatów ze Szwedami, prowadzonych w Oliwie, wyznaczono osobną komisyę, nie składając jednak oręża. Od sierpnia do ostatniego grudnia zdobyto też całe Prusy z wyjątkiem Malborga i Elbląga, w Kurlandyi odzyskano Mitawę, Libawę, Windawę i Goldyngę, a równocześnie zajęli Austryacy z Brandenburczykami całe Pomorze szwedzkie i pobili Szwedów pod Nyborgiem. Niepowodzenia te usposobiły łagodniej Karola Gustawa i przyspieszyły rokowania pokojowe.

Dnia 3. maja 1660. roku stanął więc pokój w Oliwie. Jan Kazimierz zrzekł się praw swoich do Szwecyi, zachowując jedynie dożywotni tytuł króla szwedzkiego, Szwedzi zwrócili wszystkie zdobycze w Polsce, z wyjątkiem części Inflant po Dźwinę i Elbląga, który miał pozostać tak długo w ich posiadaniu, aż wojska cesarskie z Pomorza ustąpią. Wolny handel pomiędzy Polską a Szwecyą, wymiana jeńców, amnestya ogólna, zwrot zabranych aktów i bibliotek, dopełniały reszty warunków, zagwarantowanych przez Ludwika XIV., jako rękojemcę i egzekutora oliwskiego pokoju.

Nie było w tem wiele korzyści dla Polski. Wojna, prowadzona dalej, wobec kłopotów, w jakich się Szwecya wtedy znajdowała i rychłej śmierci Karola Gustawa, mogła powrócić Rzeczypospolitej wszystkie straty terytoryalne i zapewnić stanowisko dominujące nad brzegami Bałtyckiego morza. Francuska polityka Maryi Ludwiki i słabość Jana Kazimierza przeszkodziły temu. Królowa mniemała, że z pomocą Ludwika XIV. przeprowadzi swoje dynastyczne plany, król sądził, że uwolniwszy się od najazdu szwedzkiego, będzie mógł całą potęgę zwrócić na Moskwę. Jakoż wyprawa w roku 1660. zdawała się usprawiedliwiać te nadzieje. Paweł Sapieha z Czarnieckim pobili Chowańskiego pod Lachowiczami, Dołhorukiego pod Bazyą, pokonali powtórnie zebraną na prędce armię Chowańskiego nad Druczą i dotarli aż do Połocka. Jeszcze pomyślniej wiodło się na Ukrainie hetmanom Stanisławowi Potockiemu i Jerzemu Lubomirskiemu. Połączywszy się z Wyhowskim i posiłkami tatarskiemi pod wodzą Nuradyna, oblęgli oni Szeremetiewa pod Cudnowem, znieśli w krwawej bitwie pod Słobodyszczami Kozaków, spieszących na odsiecz Moskwie i zmusili Moskali do haniebnej kapitulacyi. Nowa umowa, zawarta z Kozakami przy tej sposobności, potwierdzała punkta ugody hadziackiej, Szeremetiew zobowiązał się wydać Polakom Kijów, Perejasław, Niżyn i Czernichów. Niesz-

częściem niedopilnowano wykonania tych warunków, a wypadki, które bezpośrednio po tem nastąpiły, zmarnowały owoce „szczęśliwego roku“.

Projekt reformy sejmów. — Sprawa sukcessyjna. — Rokosz Lubomirskiego. Najazd szwedzki i towarzyszące mu objawy zdrady i odstępstwa wywołały w społeczeństwie polskiem zbawienną reakcyą. Ocknęła się szlachta z długiego letargu, rozumniejsi i bystrzejsi spostrzegli, że Rzeczpospolita stoi nad brzegiem przepaści, że ją ratować od niechybnego upadku należy nie tyle orężem, co reformą zbutwiałych instytucyj i wypaczonych stosunków społecznych. Jednym z objawów tego prądu były słynne śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej. Gwar wojny i nieustający szczęk oręża utrudniał jednak w wysokim stopniu urzeczywistnienie zbawiennych zamiarów. Gdy gmach Rzeczypospolitej trząsł się i chwiał w swoich posadach, niepodobna było myśleć o wzmocnieniu fundamentów, o zaciąganiu nowych belek w nadwątlonej czasem budowie. Dopiero, gdy burza wojenna ustawać zaczęła, wrócono do dawnych projektów, ale bez tego zapału i stałego postanowienia, od którego powodzenie w tak ważnych przedsięwzięciach jedynie zawisło.

Pierwszym i najważniejszym celem reformy musiało być uporządkowanie obrad sejmowych. Myślano o tem — jak wiemy — już dawniej, za Zygmunta III. i Władysława IV., w r. 1641. pojawiła się nawet broszura,[1]) obszernie sprawę tę traktująca, ale nigdy potrzeba reformy nieokazała się tak naglą, jak za panowania Jana Kazimierza, mianowicie od pamiętnego sejmu z roku 1652. Ale czasy nie były po temu. Dopiero wśród zawieruchy szwedzkiej przed łańcucką konfederacyą występuje prymas Jędrzej Leszczyński wprost z projektem zniesienia liberi veto, zdanie jego podziela kanclerz wielki koronny Koryciński, a konwokacya warszawska z roku 1658. uchwala wyraźnie, że na następnym sejmie ma być w drodze ustawodawczej przywrócony dawny sposób decydowania spraw sejmowych większością głosów. Jakoż na sejmie tym, roku 1658., inny jakiś panuje duch i porządek; tworzą się osobne komisye z posłów i senatorów złożone, obrady odbywają się spokojnie, w największej tajemnicy a co najważniejsze i najdziwniejsze, izba poselska działa zgodnie z życzeniami króla i senatu.

Owocem tej zmiany były konstytucye — niestety nieznane nam dokładnie — ale ustanawiające projekt reformy sejmów, przez zaprowadzenie przysięgi poselskiej i innego trybu głosowania. Sejm roku 1659. wybrał też z łona swego deputacyą, która miała i pokój traktujący się z Szwecyą zatwierdzić i ową upragnioną tyle reformę ułożyć. W czerwcu roku 1660. zjechali się rzeczywiście w Warszawie członkowie deputacyi i po ratyfikacyi pokoju oliwskiego uchwalili — jak przypuszczać można — nowy, wcale rozumny regulamin sejmowy, zawierający znaczne ograniczenie nieszczęsnego liberi veto, ale intrygi posła austryackiego Lisoli i sprawa sukcesyjna, wytoczona na następnym sejmie, przeszkodziły wykonaniu zbawiennego zamiaru.[2]) Nieszczęścia,

[1]) Rozmowa plebana z ziemianinem, albo dyskurs o postanowieniu teraźniejszym Rzeczypospolitej i sposobie zawierania sejmów.

[2]) Henryk Sawczyński: Sprawa reformy sejmowania za Jana Kazimierza (1658–1661). Kwart. hist. z r. 1893.

jakie za panowania Jana Kazimierza spadały na Polskę, słabość i nieudolność tego monarchy i straszna demoralizacya społeczeństwa, mająca źródło swoje w intrygach dworskich, podkopały do reszty powagę tronu i podały w pogardę niemal majestat królewski. Położenie Rzeczypospolitej było w całem tego słowa znaczeniu rozpaczliwe, bo jeżeli nikt nie wierzył w to, aby król zdołał uratować upadające państwo, to po śmierci jego groziła narodowi katastrofa elekcyjna, sroższa może i niebezpieczniejsza w tych warunkach od najazdu szwedzkiego i kozackiej rebelii. Nic dziwnego zatem, że już w roku 1656. szukano następcy dla żyjącego jeszcze Jana Kazimierza, że traktowano koroną i cesarza i Jerzego Rakoczego i cara moskiewskiego. Była w tem może myśl dyplomatyczna, pozyskania tą drogą obcej pomocy do zwalczenia szwedzkiego najazdu, ale także i zamiar uniknięcia burzy elekcyjnej, która państwo w posadach swoich zachwiane, o zgubę przyprawić mogła. Marya Ludwika sprzyjała od początku tych targów kandydaturze austryackiej, pragnęła bowiem osadzić na tronie polskim siostrzenicę swoją, którą miał pojąć w małżeństwo arcyksiąże Karol, upatrzony na następcę Jana Kazimierza. Ale tym planom przeszkodziła dynastyczna polityka wiedeńskiego dworu. Szwagier Maryi Ludwiki, Edward, był synem falcgrafa reńskiego, niegdyś króla „zimowego“, nie zdawało się więc stosownem cesarzowi, zezwalać na związki tak ścisłe z rodziną heretycką i buntowniczą. Urażona tem królowa przerzuciła się na stronę Francyi i upatrzywszy na męża dla siostrzenicy swojej syna Wielkiego Kondeusza, księcia d'Enghien, jego kandydaturę w Polsce popierać zaczęła. Przyjęto więc pośrednictwo francuskie w pokoju oliwskim, pozyskano ciężkimi ofiarami elektora brandenburskiego i rozwinięto żywą agitacyę przeciw przymierzu austryackiemu i posiłkom austryackim, które zresztą w istocie srodze Polsce dokuczały. Zdawało się, że wykonanie projektu królowej nie będzie trudnem. W kraju istniało już wtedy silne stronnictwo francuskie. Stworzył je wpływ Maryi Ludwiki i całego jej otoczenia. Tak, jak za panowania Zygmunta III. żywioł niemiecki, tak obecnie Francuzi nadawali ton u dworu, a panny z francymeru królowej, wychodzące za mąż za znakomitych Polaków, przyczyniały się bezwiednie do rozszerzenia i utrwalenia tej gallomanii w narodzie, skłonnym tak bardzo do przejmowania obcych obyczajów i wyobrażeń. Jakoż rzeczywiście Jan Sobieski, obaj Pacowie, Krzysztof i Michał, referendarz koronny Andrzej Morsztyn, wszyscy pożenieni z Francuskami, stają się głównymi filarami francuskiego stronnictwa i francuskiej polityki. Nie był jej przeciwnym i Jerzy Lubomirski, syn Stanisława, wojewody krakowskiego, jeden z najpierwszych i najbogatszych magnatów w Rzeczypospolitej, okryty sławą zwycięstw, odniesionych nad Szwedami, piastujący mniejszą buławę i naczelne dowództwo nad wojskiem królewskiem w Prusiech. Mając poparcie tak silnego stronnictwa, mogła Marya Ludwika pokusić się śmiało o przeprowadzenie wyboru księcia d'Enghien'a za życia Jana Kazimierza i powołać się przytem na przykłady dawniejsze, gdzie z pominięciem wolnej elekcyi następców panującego króla wybierano.

Jakoż w sierpniu r. 1659. zaszły rzeczy już tak daleko, że pod opieką królowej powstał związek znakomitych dygnitarzy polskich, którzy przysięgą

zobowiązali się popierać wybór księcia d'Enghien'a, jeżeli pojmie w małżeństwo siostrzenicę Maryi Ludwiki. Nagle jednak, gdy już miano podpisać dokument związkowy, powstały u Lubomirskiego niespodziewane skrupuły. Raziła go mianowicie — jak utrzymywał później — owa wyłączna opieka królowej, ubliżająca — podług jego zdania — powadze Jana Kazimierza i Marya Ludwika, ulegając przedstawieniom marszałka, zgodziła się na to, aby zamiast „Jej król. Mci“ umieścić w piśmie pomienionem „Ich król. Mci“, poczem Lubomirski dokument podpisał. W istocie inne pobudki grały tu rolę. Marszałek, typ magnata polskiego, z charakteru i usposobienia podobny do ojca, niezmiernie ambitny, gotów był popierać zamiary królowej o tyle, o ile akcya cała w jego miała spoczywać ręku. Świeżo na sejmie przez kanclerza wielkiego koronnego „ojcem ojczyzny“ nazwany, pragnął on zapewne narodowi dać pana, któryby o tych zasługach pamiętał i nieograniczoną łaską wynagrodzić je umiał.

Tymczasem w otoczeniu królowej tworzyła się kamarylla, marszałkowi niezupełnie przychylna, a popierająca bezwzględnie projekt elekcyi młodego Kondeusza. Należeli tam: Morsztyn, Jan Sobieski, Pacowie, Prażmowski i Stefan Czarniecki, ludzie, niewątpliwie zasłużeni i dzielni, ale tem niebezpieczniejsi dla ambitnych celów Lubomirskiego. Któż mu mógł zaręczyć, że oni osadziwszy na współkę z nim na tronie polskim d'Enghien'a, nie opanują go zupełnie dla swoich widoków i korzyści? Wszak Czarniecki już teraz, za wpływem królowej, osobną miał komendę i niepodlegał władzy hetmańskiej, Sobieski dzielnością osobistą coraz większe zyskiwał sobie względy i uznanie, a obaj dotknięci zjadliwemi przymówkami marszałka, do przyjaciół jego nienależeli. Nadto mówiono głośno w kołach dworskich, że książe d'Engien jest przeznaczonym na naczelnego wodza armii ukraińskiej, co oczywiście sprzeciwiało się planom Lubomirskiego, który po Stanisławie Potockim zamierzał wziąść buławę wielką koronną. Wszystkie te okoliczności skłoniły dumnego magnata do opozycyi. Kiedy więc na radzie senatu w Częstochowie, pod nieobecność Lubomirskiego, zapadła uchwała, aby już na sejmie tegorocznym (1661. roku) wnieść i popierać projekt elekcyi Kondeusza, udał się marszałek na sejmik do Proszowic i skłonił szlachtę tam zgromadzoną do ułożenia instrukcyi, w której zgadzano się wprawdzie wyjątkowo na ten raz na wybór następcy króla za życia panującego, ale żądano zarazem potwierdzenia wolnej elekcyi, wykluczono od udziału w wyborze króla i królowę i zabroniono surowo wymieniać osobę kandydata na przyszłym sejmie. W ten sposób zamierzał Lubomirski sprawę elekcyi ująć w swoje ręce i po swojej przeprowadzić myśli. Jakoż pomimo usilnych zabiegów dworu i stronnictwa francuskiego powstała na sejmie przeciw projektowi silna opozycya. Rzecznikiem jej był osobisty przyjaciel Lubomirskiego, znany historyk i statysta, a z przekonania żarliwy republikanin, Andrzej Maksymilian Fredro, kasztelan lwowski, człowiek w kołach szlacheckich bardzo popularny, a dla nauki swojej wielce ceniony. Mowa jego sprawiła głębokie w izbie wrażenie, posłowie Leduchowski i Powalski założyli veto przeciw elekcyi i dwór widział się zmuszonym, rzecz całą do następnego sejmu odroczyć. Tak, zamiast przeprowadzić najpierw reformę sejmów i zre-

formowanej izbie przedłożyć projekt elekcyi, obrał dwór drogę przeciwną i zgotował sobie klęskę nieuniknioną.

Co gorsza, sejm zawichrzony polityczną sprawą wyboru następcy tronu, nie był w stanie czy niechciał obmyśleć środków na zaspokojenie słusznych

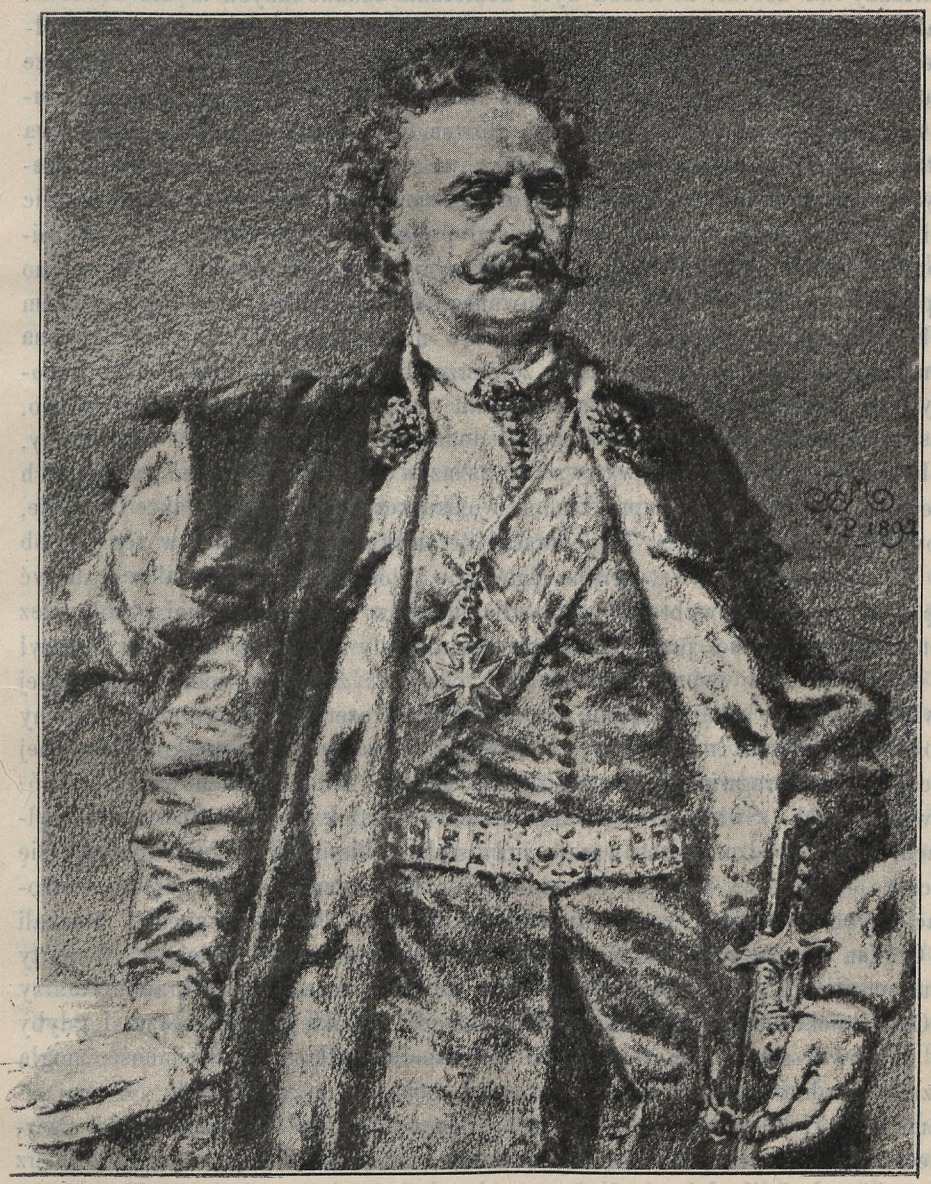

Stanisław Leszczyński, król.

żądań wojska. Ciężkie ofiary materyalne, jakie Rzeczpospolita ponosić musiała wciągu ubiegłych lat sześciu i nadzwyczajne zniszczenie kraju, sprowadziły powszechną ruinę ekonomiczną, a nieumiejętna polityka finansowa dopełniła miary złego. Gdy szlachta statecznie od ponoszenia ciężarów podatkowych się

uchylała, szukano źródeł dochodu w podatkach konsumcyjnych. Czopowe i „szelężne“, które było także podatkiem konsumcyjnym, uważali finansiści ówcześni za daninę najlżejszą i najkorzystniejszą dla skarbu. Chwycono się więc tego systemu opodatkowania i zrujnowano wkrótce przemysł piwny i gorzałczany tak dobrze, że trzeba było koniecznie szukać innych źródeł dochodu. Nałożono zatem podatek pogłówny, nieszlachecki — podług zdania współczesnych — najsprawiedliwszy, w rzeczywistości dotykający ciężko najuboższe warstwy ludności, nałożono podatki na rzemieślników, owczarzy, mlewne, pługowe, pogłówne na Żydów i Szotów, słowem prowadzono politykę rabunkową i tak jak przedtem gorzelnie i browary, tak teraz zrujnowano zupełnie przemysł miejski i przywiedziono do ostatecznej nędzy ludność wiejską.[1]) Nic dziwnego zatem, że obecnie, gdy wojsko pretensye swoje obliczało na 26 milionów złotych polskich, sejm w największym znalazł się kłopocie. Uchwalono wprawdzie podatki podług praktykowanego dotąd systemu, ale przy ogólnem zubożeniu kraju i niesumienności poborców nie było nadziei, aby tak ogromna suma zebrać się dała. Tymczasem żołnierze, karmieni tylko nadziejami, utworzyli związek „święconym“ zwany, obrali marszałkiem Stefana Świderskiego, zastępcą marszałka Broniowskiego i dodawszy im do boku 12 konsyliarzy, zobowiązali się przysięgą wytrwać w związku tak długo, dokąd żądania ich nie będą zaspokojone. Za przykładem wojska koronnego poszło także litewskie, powołując na marszałka konfederacyi Żeromskiego. Powstała w ten sposób w Rzeczypospolitej nowa, groźna potęga, z którą stronnictwa walczące liczyć się musiały. Sejm wybrał komisyą dla układów ze związkowymi, król przez senatorów starał się pozyskać starszyznę, a gdy te środki zawiodły, ruszył w roku 1661. na wyprawę moskiewską, sądząc, że w ten sposób najłatwiej związkowych ze sobą pociągnie i konfederacyą rozerwie. Ale żołnierz koronny pozostał głuchym na rozkazy królewskie i na wołanie ciężko utrapionej ojczyzny. Chorągwie związkowe rozlały się po dobrach duchownych i królewszczyznach, Świderski z konsyliarzami stanął kwaterą w biskupich Kielcach, gdzie spędzano czas wesoło przy stołach biesiadnych, nie troszcząc się wcale o los Litwy i wojny moskiewskiej. Król tymczasem z garstką nowozaciężnych żołnierzy, z Czarnieckim i Pawłem Sapiehą wypędził Moskali z Grodna i pozyskał wreszcie wojsko litewskie dla swoich widoków. Wsparty temi posiłkami, ruszył on dalej, podczas gdy równocześnie na Ukrainie Tatarzy z Chmielnickim uderzyli na Romadanowskiego i Somka na Zadnieprzu. I gdyby w tej chwili stanowczej żołnierz koronny spełnił był swoją powinność, mogła Rzeczpospolita uwolnić się na długo od najazdów moskiewskich. Z temi siłami jednak, które król miał pod ręką, niepodobna było zdziałać wiele. Czarniecki pobił pod Głębokiem Chowańskiego, odzyskał Wilno, ale gdy żołnierz litewski odmówił dalszej służby, trzeba było wojny zaniechać. Tymczasem królowa pracowała usilnie nad pozyskaniem wojska koronnego i nad utworzeniem koalicyi, któraby poparła orężem kandydaturę księcia d'Enghien'a. Zabiegi te jednak nie odniosły pożądanego skutku. Wojsko, obrabiane równo-

[1]) Pawiński Adolf: Rządy sejmikowe. Str. 232.

cześnie i przez ajentów dworskich i przez Lubomirskiego, poczuło się w sile swojej i wystąpiło jako groźna potęga polityczna. Związek, wypędzony przez zarazę morową z Kielc, przeniósł się do Wolborza i stąd wysłał na sejm warszawski (20. lutego 1662. r.) delegatów, domagając się potwierdzenia prawa wolnej elekcyi i udziału w rządach.

Rezultat obrad, prowadzonych pod takim naciskiem, nie mógł być wątpliwym. Uchwalono „reassumpcyą wolnej elekcyi“, obwołując każdego za zdrajcę kraju, ktoby się ośmielił obrać następcę za życia króla, nałożono nowe ogromne podatki na zaspokojenie pretensyj żołnierskich i — co jest niemniej charakterystycznem — przywrócono do czci zdrajcę Hieronima Radziejowskiego. Bezpośrednio po sejmie rozpoczęto pracę ugodową. Prowadziła ją komisya przez sejm wybrana we Lwowie, dokąd i król z królową pojechał. Ale układy szły twardo i rwały się co chwila. Żołnierz, przyzwyczajony do życia lekkiego, objadający dobra duchowne i królewskie, nie spieszył się z powrotem pod władzę i rygor hetmański, a doświadczywszy powodzenia na sejmie warszawskim, rósł w pychę i zarozumiałość. Delegaci związku koronnego żądali 26 milionów, na Litwie Kotowski, substytut marszałka Żeromskiego, kazał zamordować hetmana polnego Gąsiewskiego, jednego z prezydentów komisyi wojskowej, cudzoziemcy zaciężni ofiarowali przez pułkownika Felkersona, Anglika, protektorat nad Rzeczpospolitą Lubomirskiemu i Janowi Zamoyskiemu, wojewodzie sandomirskiemu. Nie obeszło się oczywiście i bez wpływów obcych. Dwór wiedeński, zaniepokojony zamierzonym wyborem księcia d'Enghien'a na tron polski, podburzał wojsko do jawnego buntu przeciw królowi, przyrzekał związkowym znaczne zasiłki pieniężne; z drugiej strony maczał w tej nieczystej sprawie ręce także elektor brandenburski. Król, zagrożony tak ze wszystkich stron, nieufający Lubomirskiemu, który rolę pośrednika odgrywał, a dążył właściwie do opanowania ruchu w osobistych widokach, chwycił się ostatecznych środków: zaciągnął nowe wojsko pod dowództwem Czarnieckiego, przeciw związkowi koronnemu utworzył związek „pobożnym“ zwany i wysłał na Ukrainę Mazeppę, który miał wręczyć buławę hetmańską Teterze i zażądać od niego posiłków kozackich na stłumienie tlejącego buntu. Z Kozakami, Tatarami i nowo-zaciężnem wojskiem zamierzano zgnieść związek. Sprzeciwił się temu Lubomirski, klejąc ugodę wolborską, ale gdy król niejasnych warunków umowy nie przyjął, zaniosło się na wojnę. Pod Bruchnalem, niedaleko Jaworowa, stanęły oba wojska do 50.000 ludzi liczące, bratobójcza walka zdawała się nieuniknioną. Wreszcie powiodło się zabiegom biskupów, szczególniej Floryana Czartoryskiego, biskupa kujawskiego, skłonić związek do poddania się. Akt submisyi odbył się we Lwowie. Dnia 22. lipca (uroczystość św. Maryi Magdaleny, pokutnicy) roku 1663. odprzysięgła się starszyzna związku wobec króla i licznie zgromadzonych senatorów; władzę nad wojskiem oddano narazie nie hetmanom, lecz Cetnerowi, kasztelanowi halickiemu.

Upokorzenie związku było zarazem klęską Lubomirskiego. Niejasna rola pośrednika, którą odegrał w całej tej sprawie i owo poselstwo od cudzoziemskich żołnierzy, podały go w większe niż przedtem podejrzenie u dworu. Skoro więc tylko wojsko poddało się królowi, skorzystał Jan Kazimierz natychmiast z od-

niesionego zwycięstwa, chorągwie marszałka, do związku należące, bądź rozpuścił, bądź z innemi pomięszał, a jego samego — przynajmniej chwilowo — od dowództwa nad wojskiem usunął. Działo się to wszystko w związku z nowemi planami królowej. Niezrażona niepowodzeniem na ostatnim sejmie, zamyślała ona teraz z pomocą wojska elekcyjne swoje zamiary przeprowadzić. Od dłuższego czasu już okazywała się potrzeba walnej na Moskwę wyprawy. Wymagały tego nieuregulowane sprawy ukraińskie, gdzie hetman Tetera z trudnością zaledwie przeciw wpływom moskiewskim trzymać się zdołał, i żądania wygórowane, jakie stawiali królowi posłowie carscy we Lwowie, podczas układów z związkiem wojskowym. Miał więc Jan Kazimierz wyruszyć natychmiast nad Dniepr nieprzyjaciela upokorzyć i powróciwszy na czele zwycięskiej armii wyboru d'Enghiena dokonać.[1]) Stało się to rzeczywiście w sierpniu roku 1663. Armia polska, podzielona na trzy korpusy pod wodzą Czarnieckiego, Sobieskiego i samego króla, któremu towarzyszył hetman wielki koronny Potocki, podążyła ku Czehrynowi, gdzie Brzuchowiecki, ataman moskiewskich Kozaków, oblęgał Teterę. Lubomirski, obrażony ostatniemi wypadkami, wymówił się od udziału w wyprawie chorobą i zamknąwszy się w zamku wiśnickim, popadł w rodzaj melancholii. Z wiadomości, jakie nadchodziły z rozmaitych stron kraju, widział on, że popularność traci, że szlachta bierze mu za złe ówo opuszczenie króla i wojska w tak ważnej chwili, że chorobę uważa za udaną. Gryzł się tem butny magnat, dostawał ataków epilepsyi, stawał się zgryźliwym, nieznośnym dla otoczenia swego, wreszcie zdecydował się na krok stanowczy, zaczął układy z królową za pośrednictwem referendarza wielkiego koronnego Morsztyna. Ale tak jak całe postępowanie Lubomirskiego nie było nigdy szczere i jasne (Sobieski nazywa go w listach swoich stale „le rénard"), tak i ta akcya ugodowa miała mu tylko dopomódz do wydobycia się z przykrego położenia. W razie bowiem, gdyby się wyprawa ukraińska powiodła, mógł on odzyskać tą drogą łaskę królewską i odegrać znaczną rolę polityczną, na wypadek klęski zaś miał odwrót otwarty i zrywając nawiązane układy, stawał się tem, czem był dotąd, głową niebezpiecznej opozycyi i obrońcą zagrożonej wolności. Że takie były — a nie inne — jego zamiary, o tem świadczy cały przebieg układów. Żaden z poufnych wysłanników marszałka, ani Podlodowski, ani kanonik Wojeński, nie byli upoważnieni do ukończenia pertraktacyj, a jakkolwiek zapewniali królowę, że Lubomirski ostatecznie na wszystko się zgodzi, to on sam nie miał nic pilniejszego, jak przed Morsztynem wyprzeć się wszelkich w tym względzie zobowiązań. W styczniu r. 1664. zerwały się z takim trudem nawiązane układy, królowa oczekiwała z gorączkową niecierpliwością wiadomości z Ukrainy. Tymczasem Jan Kazimierz zastał Kozaczyznę podminowaną i zdemoralizowaną intrygami moskiewskiemi. Niewykonanie ugody hadziackiej i cudnowskiej budziło w kraju słuszne niezadowolenie, Jerzy Chmielnicki, zniechęcony, złożył buławę i wstąpił do zakonu, następca jego — Tetera — niemógł się utrzymać przeciw samozwańczym hetmanom z ramienia moskiewskiego, władającym na Zadnieprzu.

[1]) Czermak Wiktor: Sprawa Lubomirskiego w r. 1664. Ateneum z r. 1885.

Należało więc przedewszystkiem naprzód uspokoić Ukrainę, odzyskać utracone zaufanie ludności i dopiero potem myśleć o dalszej wyprawie. Król, działając stosownie do planów Maryi Ludwiki, postąpił inaczej. Uwolniwszy Teterę od oblężenia, zadowolnił się hołdami, jakie mu składała starszyzna kozacka i duchowieństwo dyzunickie, metropolię kijowską oddał Chmielnickiemu, który godności tej przyjąć niechciał, i po tem wszystkiem w połowie listopada ruszył na odzyskanie Zadnieprza. Wyprawa, podjęta w najgorszej porze roku, niepowiodła się. Nieprzyjaciel unikał spotkania, wojsko polskie marnowało siły swoje przy oblęganiu nędznych forteczek kozackich, w obozie panował głód i niedostatek, nic dziwnego zatem, że pomimo przybycia armii litewskiej pod Michałem Pacem, postanowiono na radzie wojennej zaniechać wojny zaczepnej. Wyprawa, do której tak wielkie przywiązywano nadzieje, niepowiodła się zupełnie. Król na Mohilew i Mińsk pojechał do Wilna, aby tam godzić powaśnionych magnatów litewskich i z ich pomocą przeprowadzić elekcyę d'Enghiena, Czarniecki z Sobieskim udali się na Ukrainę, w celu stłumienia nowego buntu. Na pierwszą wiadomość bowiem o odwrocie armii polskiej, wyruszył koszowy Sirko z Zaporoża i oblęgł Machowskiego w Białejcerkwi, podczas gdy Tukalski, stronnik Moskwy, obrany metropolitą kijowskim, knuł spisek nowy na oderwanie Ukrainy od Polski. Ofiarą tych intryg — niewyjaśnionych należycie — padł dawny hetman Wyhowski, rozstrzelany z rozkazu Machowskiego. Pojawienie się wojska polskiego na prawym brzegu Dniepru, powstrzymało narazie te buntownicze zapędy; Sobieski pobił pod Kaniowem Brzuchowieckiego, Czarniecki zdobył po krwawym szturmie Stawiszcze, uwięziono Tokalskiego i Chmielnickiego, ale surowe te środki niezdołały już uspokoić Ukrainy. Czarniecki, raniony przy oblężeniu Stawiszcza, musiał złożyć dowództwo i w drodze do Lwowa zakończył chlubny swój żywot w Sokołówce, około Brodów, dnia 16. lutego 1665. roku. Umierającemu bohaterowi przysłał król buławę polną po Lubomirskim.

Jeżeli zgon znakomitego wojownika dotkliwą był dla Rzeczypospolitej stratą, to szczególniej musiał on zasmucić króla i dwór cały, wystawiony w tej chwili na niebezpieczeństwo wojny domowej. Pozyskawszy bowiem dla zamiarów swoich Litwę, w powrocie z wyprawy moskiewskiej, postanowił Jan Kazimierz upokorzyć nareszcie Lubomirskiego. Tak, jak przed laty Radziejowskiemu, tak obecnie marszałkowi, wytoczono na sejmie roku 1664. proces o zdradę stanu. Pod naciskiem królowej i namiętnego a przewrotnego Prażmowskiego rozniecono w ten sposób lekkomyślnie straszny pożar wojny domowej, bez najmniejszych widoków powodzenia. Ani akt oskarżenia bowiem, na kruchych wzniesiony podstawach, nie zdołał nikogo o winie marszałka przekonać, ani usposobienie narodu w tej chwili nie było skłonne do zamachu stanu w interesie dworu i królowej.

Nie ulega wątpliwości, że zarzuty, podniesione przeciw Lubomirskiemu, były w znacznej części uzasadnione. Zaprzeczyć nie można, że znosił on się z cesarzem i kurfirsztem brandenburskim, że w sprawie związku wojskowego dwuznaczną odgrywał rolę, ale gdy tylu innych przed nim i po nim tej samej trzymało się polityki, gdy każdy magnat utrzymywał stosunki z obcemi dwo-

rami, każdy hetman był naturalnym opiekunem swoich żołnierzy, trudno było niezmiernie z tych stosunków zdradzieckie wysnuć zamiary. Dla biegłych prawników, obznajomionych z statutami, wystarczały może dowody, zawarte w akcie oskarżenia, dla ogółu — uprzedzonego jak najgorzej względem króla — były one niezrozumiałe. Szlachta uważała Lubomirskiego za ofiarę dworskiej polityki, widziała w nim obrońcę wolności i reprezentanta republikańskich zasad i jeżeli Radziejowski, mimo zszarzałej swojej przeszłości, znalazł niegdyś w izbie poselskiej i w kraju obrońców i protektorów, to wiśnicki dynasta, na którego charakterze żadna nie ciężyła plama, który szlachtę poił i gościł, a z żołnierzem dobrze się obchodził, mógł liczyć niewątpliwie na poparcie całego stanu rycerskiego, wszystkich zelantów wolności. Po przeciwnej stronie stał król, którego panowanie było jednem nieprzerwanem pasmem klęsk najstraszniejszych, stała królowa, obca pochodzeniem, pragnąca osadzić cudzoziemca na tronie Piastów i Jagiellonów, otoczona kamaryllą dworską z nienawidzonym Prażmowskim na czele, sprzedająca urzędy i rujnująca kraj finansowo. Wszystkie dochody — tak twierdził przynajmniej Lubomirski — pieniądze, na cele publiczne i na zapłacenie wojska przeznaczone, pochłania nieszczęsny projekt elekcyi, mennice Tympfa i Boratyniego zasypują kraj lichą monetą, złoto i srebro staje się rzadkością, po klęskach wojennych grozi Rzeczypospolitej sroższa jeszcze klęska ekonomiczna. Zarzuty tego rodzaju, jakkolwiek może nieuzasadnione zupełnie, przemawiały jednak do przekonania ogółu, nastrajały opinię, zawsze opozycyjnie usposobioną, przeciw królowi. Kiedy więc miano złożyć sąd sejmowy na Lubomirskiego i kiedy Jan Kazimierz na wszelkie prośby i instancye marszałka głuchym się okazał, chwyciła się opozycya ostatecznego środka; poseł bracławski Żaboklicki założył veto przeciw wyborowi marszałka izby poselskiej, sądząc, że w ten sposób zerwie sejm. Rozpaczliwa protestacya nie odniosła jednak zamierzonego skutku, rząd wysunął naprzód sprawę o zamordowanie Gąsiewskiego. Pod wrażeniem tej strasznej i o pomstę do nieba wołającej zbrodni, przystąpiła izba natychmiast do utworzenia sądu sejmowego, mimo, że sejm właściwie był już zerwany. Zabójców Gąsiewskiego skazano na śmierć i wyrok ten bezzwłocznie wykonano, poczem przyszła kolej na Lubomirskiego. Po trzydniowej inkwizycyi zapadł znaczną większością głosów wyrok bardzo surowy. Obwinionego skazano na śmierć, utratę urzędów i majątku i na infamią, przechodzącą na synów. Dwór tryumfował, ale tryumf był przedwczesnym. Od wydania wyroku do wykonania jego było jeszcze bardzo daleko. Czuł to najlepiej sam król, kiedy przed ogłoszeniem wyroku z marszałkiem wdawał się w układy, a następnie przez barona Siri żądał w Wiedniu, aby cesarz skazanego nie wspierał. Niebezpieczeństwo z tej strony było rzeczywiście wielkie. Sam Lubomirski przechwalał się związkami swojemi z Wiedniem, mówiono, że cesarz przyszle mu w pomoc 15.000 wojska, teraz — po wyroku — wyjechał on na Szląsk i założywszy główną kwaterę w Wrocławiu, burzył stamtąd szlachtę przeciw królowi. Jakoż opinia w kraju oświadczyła się przeważnie za Lubomirskim, spodziewano się jego restytucyi, puszczano w tym duchu w obieg liche lecz jadowite wierszydła, a kiedy sejm nadzwyczajny warszawski (w lutym r. 1665.)

nadzieje te zawiódł i król rozdał wakanse po infamisie, marszałkowstwo wielkie koronne Janowi Sobieskiemu, buławę polną Czarnieckiemu, starostwo krakowskie Michałowi Zebrzydowskiemu, zerwał Łoś, podstoli płocki, obrady. Sejm rozszedł się nie uchwaliwszy podatków, poczem niepłatne wojsko ukraińskie nową zawiązało konfederacyę i wypowiedziało posłuszeństwo Stanisławowi Jabłonowskiemu, który po Czarnieckim objął był dowództwo. Zmarniały w ten sposób doszczętnie owoce zwycięstw niedawno odniesionych, Tetera, zwątpiwszy o sobie, uciekł na Wołoszczyznę, hetmańska władza po nim dostała się Piotrowi Doroszence, zwolennikowi turecko-tatarskiego przymierza.

Gdy tak na Ukrainie rzeczy opłakany brały obrót, stanął Lubomirski w Lubowli z wojskiem i udając, że się o przebaczenie królewskie stara, szedł w głąb kraju, a równocześnie szturmował w Wiedniu przez ajenta swego Piestrzeckiego o posiłki w ludziach i pieniądzach. Leopold I., nieskłonny do hazardownych przedsięwzięć, nie ruszył się z pomocą, ale część związkowych żołnierzy połączyła się z dawnym swoim hetmanem, który — pojąc szlachtę w obozie — z Sokala przedzierał się ku Wiśle, a stamtąd do Wielkopolski, gdzie przyjaciele jego — Jan Leszczyński, podkanclerzy i Krzysztof Grzymułtowski, kasztelan poznański — przygotowywali konfederacyą przeciw królowi. Jan Kazimierz tymczasem z wiernemi chorągwiami ukraińskiemi pod wodzą Jana Sobieskiego wyruszył z Warszawy i ściągnąwszy wojsko litewskie pod Hilarym Połubińskim, puścił się w pogoń za buntownikiem. Ale armia królewska, niechętna wojnie domowej i w duchu sprzyjająca Lubomirskiemu, niewytrzymała pierwszego natarcia, ekshetman odniósł pod Częstochową walne zwycięstwo, Połubiński, trzech Paców i mnóstwo rycerstwa litewskiego dostało się do niewoli, 1300 trupów legło na polu walki. W takiem położeniu nie pozostawało królowi nic innego jak układy. Zrzuciwszy pychę z serca, zawarto więc z Lubomirkim zawieszenie broni w Pałczynie, przyrzekając mu rehabilitacyą i zniesienie wyroku na następnym sejmie. Ale sejm ten — podobnie jak i poprzedni — został zerwany, obie strony chwyciły za broń z tą tylko różnicą, że gdy przy Lubomirskim oprócz Wielkopolan stanęli także Małopolanie, król musiał się opierać głównie na cudzoziemskich zaciągach. Na przeprawie przez błota Noteci, niedaleko Mątew, przyszło do spotkania; armia królewska, zaskoczona znienacka w najniedogodniejszym położeniu, poniosła zupełną klęskę, obce pułki dragońskie wycięto prawie do nogi, nad trupami nawet pastwiono się w sposób nieludzki.

Usiłowaniom biskupów Trzebickiego i Czartoryskiego, jakoteż Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, powiodło się przyprowadzić do skutku ugodę w Łęgonicach (31. lipca r. 1666.). Król udzielił amnestyę Lubomirskiemu i jego zwolennikom, wyrzekł się popierania elekcyi i zobowiązał się zapłacić żołd wojsku w dniu 15. września; z zapasów kilkuletnich z dumnym magnatem wychodził więc pobity, zwyciężony, zasada wolności elekcyjnej tryumfowała, tryumfował infamis w rokoszanina przedzierżgnięty, udrapowany w togę trybuna wolności, niesiony na wezbranych falach popularności szlacheckiej. W tej chwili stał on u szczytu powodzenia i chwały i jeżeli pragnął rzeczywiście przeprowadzić myśl polityczną, jeżeli był w istocie tym zelantem

swobody, za jakiego uchodził, to mógł z zupełnem zadowoleniem spoglądać na dzieło rąk swoich. Ale ten Kromwell polski był tylko typem obrażonego magnata; za mały — a może za rozumny — aby sięgnąć po koronę dla siebie, z pobudek czysto osobistych wystąpił on przeciw kandydaturze francuskiej, a zniweczywszy plany królowej, nie miał nic pilniejszego, jak podjąć je teraz nanowo, wbrew zasadom wolności, których tak gorliwym zdawał się być obrońcą. Kandydatem jego był jednak nie Francuz lecz Niemiec, Filip Wilhelm, książe najburski, ożeniony z siostrą Władysława IV. W tym celu porozumiał się Lubomirski z godnym przyjacielem swoim kurfirsztem brandenburskim i znalazł gotowe u niego poparcie.[1]) Elektor zawarł dnia 10. czerwca 1666. roku traktat z Najburczykiem, w którym w zamian za ustąpienie terytoryów Ravenstein i Recklinghausen zobowiązywał się dopomódz mu do uzyskania korony polskiej, a że i cesarz zamiarowi temu przeciwnym nie był' więc kandydatura najburska miała wszelkie widoki powodzenia. Nie przeszkadzało to jednak Lubomirskiemu, natychmiast po łęgonickiej ugodzie, względem królowej nowe zaciągać zobowiązania. Przeprosiwszy króla uroczyście w Jarocinie, gotów on był za pewne korzyści materyalne przerzucić się na stronę Maryi Ludwiki i całym swoim wpływem poprzeć wybór d'Enghiena. Dnia 20. września spisano rzeczywiście ugodę tej treści i tylko skąpstwo królowej wstrzymało marszałka od stanowczego kroku. „Skoro się ze mną tak obchodzą — wołał on oburzony — znajdę ja im nową robotę i pokażę, że nie można pomiatać takim jak ja kawalerem". Jakoż natychmiast wysłał ajenta swego do Berlina i przedstawiwszy elektorowi układy swoje z królową jako chęć oszukania Francuzów, podał mu plan do wprowadzenia Najburczyka siłą na tron polski i radził zerwać sejm, który w listopadzie zebrał się w Warszawie. Jakoż rzeczywiście zostały obrady zerwane za staraniem Jerzego i Aleksandra Lubomirskich w chwili groźnej dla Polski, kiedy Doroszeńko — zbratawszy się z Turcyą i Tatarami — zniósł Machowskiego pod Batohem, kiedy zagony tatarskie sięgnęły po Brody, Zbaraż i Owrucz, a wielki wezyr Kiuprili gotował się do walnej na Rzeczpospolitę wyprawy.

W takiem położeniu wznowiono dawne plany na dworze, postanowiono wysłać posłów do mocarstw chrześcijańskich z prośbą o pomoc, sprowadzić na czele posiłków francuskich Kondeusza lub księcia d'Enghien i w ten sposób utorować jednemu z nich drogę do korony. Misyę do Francyi powierzono Andrzejowi Morsztynowi, ale — za radą posła francuskiego Bonsy'ego — polecono mu wstąpić do Wrocławia i tam nakłonić Lubomirskiego do ugody. Wyprawiony przodem Podlodowski rozpoczął rzeczywiście traktaty, kiedy nagle Lubomirski, tknięty apopleksyą, zakończył burzliwy swój żywot d. 31. stycznia 1667. roku.

Śmierć wichrzyciela zdawała się otwierać nowe dla planów królowej widoki. Zawarto też czemprędzej 20-letni rozejm z Moskwą w Andruszowie, odstępując jej Smoleńsk, Siewierz, Czernichów i Zadnieprze, Kijów na lat dwa, za co car zwrócił Rzeczypospolitej Witebsk, Połock i Inflanty. Mniemano, że

[1]) Czermak Wiktor: Koniec Jerzego Lubomirskiego. Kwartalnik historyczny, rocznik IV.

w ten sposób w porozumieniu z Moskalami uda się utrzymać na wodzy Doroszeńkę, połączonego z Turcyą i zażegnać burzę kozacką, w istocie zaś kładziono pierwsze fundamenta pod przyszłą potęgę caratu, dzielono się wpływami na Ukrainę z tym, który przygotował już wszystko do oderwania tej

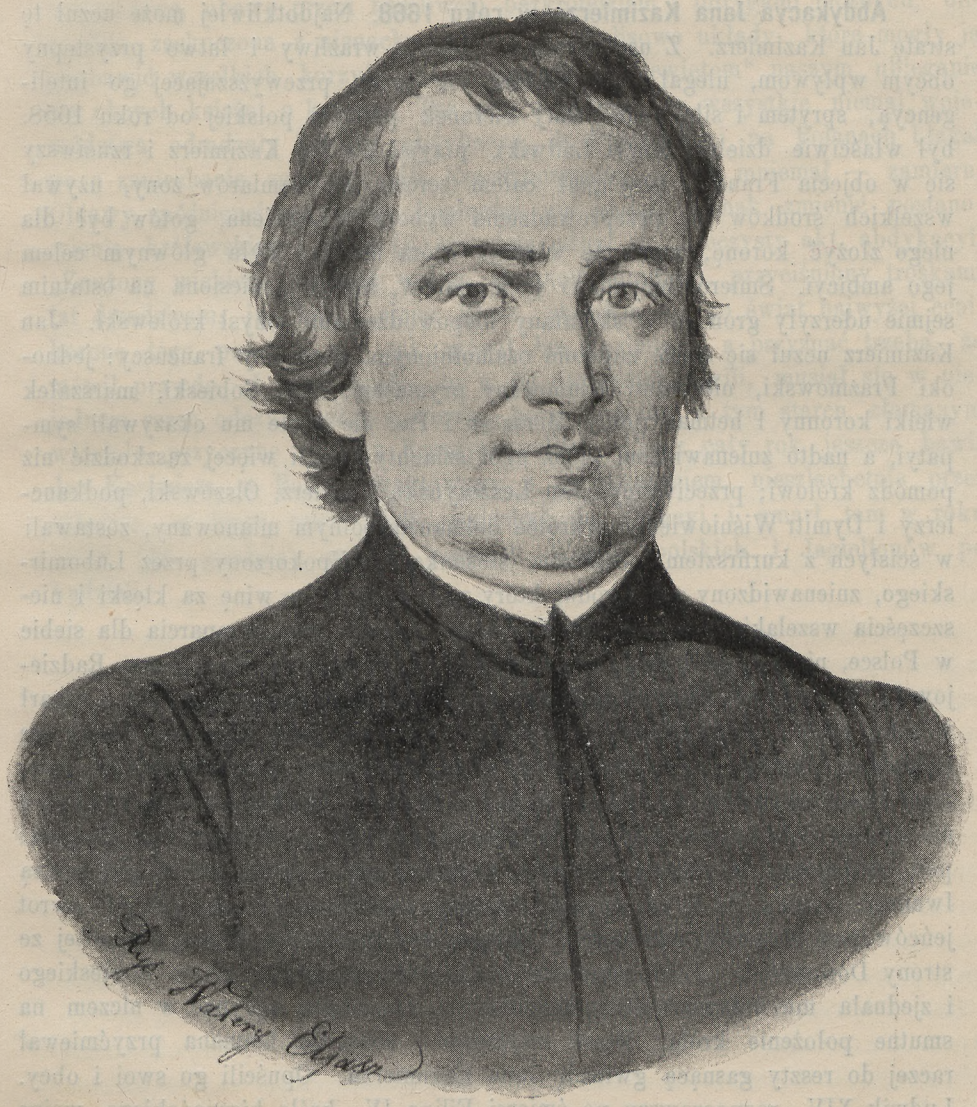

Stanisław Konarski.

prowincyi od Polski, otwierano mu pole do działania w chwili najniebezpieczniejszej. Narazie wydawało się to i rozumnem i korzystnem zarazem, bo na sejmie zamierzano przeprowadzić plan elekcyjny. Ale jako spadkobierca polityki Lubomirskiego wystąpił teraz kurfirszt brandenburski, zwolennik Najburczyka. Poruszywszy wszystkie obrażone ambicye i osobiste niechęci przeciw

królowi i Prażmowskiemu, zdołał on obalić ostatecznie projekt królowej. Sejm zatwierdził w całej osnowie układ łęgonicki, król oddał pieczęć większą Leszczyńskiemu, stronnikowi kurfirszta, mniejszą Olszowskiemu. W kilkanaście dni potem umarła Marya Ludwika Gonzaga, a z nią razem zstąpiły do grobu nadzieje stronnictwa francuskiego.

Abdykacya Jana Kazimierza w roku 1668. Najdotkliwiej może uczuł tę stratę Jan Kazimierz. Z usposobienia miękki, wrażliwy i łatwo przystępny obcym wpływom, ulegał on oddawna już żonie, przewyższającej go inteligencyą, sprytem i siłą woli. Cały kierunek polityki polskiej od roku 1658. był właściwie dziełem Maryi Ludwiki, przyjął go Jan Kazimierz i rzuciwszy się w objęcia Francyi, przylgnął całem sercem do zamiarów żony, używał wszelkich środków do przeprowadzenia wyboru d'Enghiena, gotów był dla niego złożyć koronę, zrzec się władzy, która niegdyś była głównym celem jego ambicyi. Śmierć inicyatorki tych planów, klęska poniesiona na ostatnim sejmie uderzyły gromem w skołatany niepowodzeniami umysł królewski. Jan Kazimierz uczuł się nagle zupełnie osamotnionym. Stronnicy francuscy: jednooki Prażmowski, niedawno mianowany prymasem, Jan Sobieski, marszałek wielki koronny i hetman polny, Morsztyn i Pac nie wiele mu okazywali sympatyi, a nadto znienawidzeni przez ogół szlachty, mogli więcej zaszkodzić niż pomódz królowi; przeciwnicy: Jan Leszczyński, kanclerz, Olszowski, podkanclerzy i Dymitr Wiśniowiecki, wkrótce hetmanem polnym mianowany, zostawali w ścisłych z kurfirsztem i cesarzem stosunkach. Upokorzony przez Lubomirskiego, znienawidzony od narodu, który zwalał na niego winę za klęski i nieszczęścia wszelakie, niemiał Jan Kazimierz żadnego punktu oparcia dla siebie w Polsce, niemiał go i zagranicą. Stosunki z Turcyą były naprężone. Radziejowski, wysłany do Konstantynopola, doznał jak najgorszego przyjęcia i umarł w roku 1667., niespełniwszy poselstwa. Sekretarz jego Wysocki zrzekł się posiadania Ukrainy, którą Doroszeńko poddał sułtanowi, i zobowiązał się imieniem Rzeczypospolitej do dalszej wojny z Moskwą. Upokarzające te ustępstwa nie zdołały powstrzymać najazdu kozacko-tatarskiego, powstrzymał go Sobieski pod Podhajcami, a wsparty dywersyą Kozaków zaporoskich, którzy pod wodzą Iwaszka, setnika, na Krym napadli, uzyskał zaszczytne warunki pokoju: zwrot jeńców pod Batohem zabranych i uznanie zwierzchnictwa Rzeczypospolitej ze strony Doroszeńki. Jeżeli wyprawa podhajecka podniosła sławę Sobieskiego i zjednała mu buławę wielką koronną, to nie mogła wpłynąć w niczem na smutne położenie króla. Blask zwycięstw i ofiarności hetmana przyćmiewał raczej do reszty gasnącą gwiazdę Jana Kazimierza. Opuścili go swoi i obcy. Ludwik XIV., rozpocząwszy po śmierci Filipa IV., króla hiszpańskiego, wojnę o Niderlandy, porzucił zupełnie plany swoje względem Polski i chcąc pozyskać sobie elektora brandenburskiego, przechylił się na stronę Najburga. Wszystkie te okoliczności skłaniały Jana Kazimierza do bezzwłocznej abdykacyi. Nosił się on oddawna już z tą myślą, chociaż zamierzał zrzec się korony na korzyść d'Enghiena. Zwrot w polityce francuskiego dworu wpłynął i na zmianę postanowień królewskich. Otrzymawszy od Ludwika XIV. zapewnienie rocznego dochodu w kwocie 150.000 liwrów i od Najburczyka —

w razie, gdyby został obrany królem polskim — 100.000 złotych, jako wynagrodzenie za dobra królewskie, zobowiązał się Jan Kazimierz złożyć koronę w sierpniu roku 1668. i polecić na następcę po sobie księcia Najburskiego. Wieść o zamiarze abdykacyi — jakkolwiek dawno przewidywanej — zaniepokoiła mocno umysły. Ogół szlachty, narzekającej bezustannie na króla, czuł instynktową obawę przed burzliwem bezkrólewiem i intrygami możnych, oligarchia, zaskoczona z nienacka, wietrzyła zakulisowe układy, które mogły ją pozbawić wszelkich korzyści, jakie dawało „królewiętom“ naszym ubieganie się obcych książąt o koronę. Toż nic dziwnego, że wszystkie niemal województwa odradzały królowi abdykacyą, że Prażmowski na kolanach błagał go o zaniechanie zgubnego dla Rzeczypospolitej — jak mniemał — zamiaru. Objawy spóźnionej cokolwiek lojalności nie zdołały jednak zmienić postanowienia królewskiego; dnia 16. września odbył się uroczysty akt abdykacyi. „Znużony wiekiem, trudami wojen, złamany obradami, przyciśniony troskami lat dwudziestu, ja, król i ojciec Wasz, składam to, co świat najwyżej ceni, koronę tego państwa...“ tak mówił Jan Kazimierz, a przyznać trzeba, że mówił prawdę. I jeżeli kiedy, to w tej uroczystej chwili, musiał się w niejednem sercu odezwać głos sumienia, które nietylko w tym starcu złamanym widziało przyczynę upadku Rzeczypospolitej. Przez cały rok jeszcze bawił Jan Kazimierz w Polsce, traktowany z lekceważeniem, nieszlachetnie przez szlachtę, w lipcu roku 1669. wyjechał do Francyi i umarł tam w roku 1672. (16. grudnia), ostatni potomek Wazów polskich i Jagiellonów po kądzieli.

Michał Korybut Wiśniowiecki. 1669—1673.

Elekcya. — Charakter nowego króla. — Spisek senatorów. — Hrabia Saint-Paul de Longueville. Ostatnie lata panowania Jana Kazimierza i polityka francuska Maryi Ludwiki rozerwały naród na dwa wrogie sobie stronnictwa i wprowadziły do społeczeństwa — w podstawach moralnych już zachwianego — systematyczną korrupcyą, podkopującą do reszty cnoty i ducha obywatelskiego. Ogromne sumy, jakie królowa łożyła na poparcie kandydatury d'Enghiena i Kondeusza, hojność Ludwika XIV., który po wszystkich dworach europejskich za drogie pieniądze jednał sobie stronników i przekupstwo podniósł do znaczenia systemu politycznego, zdemoralizowały do gruntu możnowładztwo polskie. Najlepsi i najzacniejsi, że z przykrością wymieniamy tu Jana Sobieskiego, nie wahali się pobierać pensye francuskie, jakkolwiek z przekonania — a nie dla pieniędzy — sprawie francuskiej służyli. Za ich przykładem poszli przeciwnicy, u dworu wiedeńskiego i u kurfirszta żebrzący pomocy pieniężnej, dla przeprowadzenia swoich zamiarów. Szlachta, nie mająca udziału w tej wielkiej targowicy, a z usposobienia podejrzliwa i cudzoziemcom niechętna, czuła instynktowo, że się źle dzieje, ale złemu zaradzić nie umiała. Porwał ją Lubomirski, udający zręcznie zelanta wolności, chociaż nielepszy od innych i za jego inicyatywą powstał ruch, dworowi i stronnictwu francuskiemu przeciwny, o charakterze demokratyczno-szlacheckim, przypominający rokoszańskie porywy z czasów Zygmunta Starego i Zebrzydowskiego. Pozbawiony wszelkiego programu politycznego, niepokierowany należycie, nie zdołał on Rzeczypospolitej zreformować, ale, zawichrzywszy ją do gruntu, przyspieszył katastrofę przypadkowym wyborem monarchy, najnieudolniejszego może ze wszystkich, którzy na tronie polskim zasiadali.

Nagły zwrot w polityce francuskiej i przerzucenie się Ludwika XIV. na stronę Najburczyka wywołało wielkie zdziwienie i zamięszanie w obozie Kondeistów polskich. Nie mając kandydata, około któregoby się skupić mogli, stracili oni właściwie polityczne znaczenie w chwili, gdy szlachta — zasadniczo cudzoziemcowi a — szczególnie Francuzowi nieprzychylna, uchwalała po województwach pospolite ruszenie „przeciw niebezpieczeństwom wszelakim, także przeciw promowaniu kogożkolwiek per vim na królestwo“.[1]) Nieufność wzajemna i wrogie usposobienie stronnictw względem siebie objawiło się jaskrawo już na sejmie konwokacyjnym, zwołanym na 16. października. Szlachta żądała wydalenia posłów cudzoziemskich, starosta oświęcimski — Pieniążek — wniósł niesłychany dodatek do aktu konfederacyi generalnej, aby senatorowie i posłowie składali przysięgę, że przekupić się nie dadzą, inni wołali o wykluczenie Kondeusza od elekcyi, biskup poznański Wierzbowski zarzucał wprost prymasowi, że wziął 50.000 talarów od francuskiego kandydata. Po długich sporach uchwalono rotę przysięgi podług wniosku Pieniążka, wykluczono kandydatów, nieprawnemi środkami starających się o koronę i postanowiono, że

[1]) Pawiński: Rządy sejmikowe, str. 272.

król musi być katolikiem; sejm elekcyjny miał się odbyć 2. maja 1669. roku. Tymczasem niejasna polityka francuskiego dworu powiększała zamięszanie i niepewność. Ludwik XIV, urzędowo oświadczywszy się za Najburgiem, pokątnie nie przestał popierać Kondeusza, kurfirszt, wierny zobowiązaniom swoim względem księcia najburskiego, zajechał nagle starostwo drahimskie, a równocześnie wystąpił jako niebezpieczny kandydat książe Karol Lotaryński, ufny w pomoc cesarza. Gdy w ten sposób stosunki wikłały się coraz bardziej, ogłosił podkanclerzy Olszowski pismo ulotne pod tytułem „Censura candidatorum“, w którem, potępiając stanowczo Najburga i Kondeusza, odrzucając kandydaturę carewicza Piotra, jako schyzmatyka, chwalił z obcych najbardziej Lotaryńczyka i wspomniał wreszcie nawiasowo o Michale Wiśniowieckim. Pod wrażeniem tych wypadków zbierał się sejm elekcyjny, rojny i tłumny. Szlachta stawiła się w liczbie imponującej — 80.000 — Sobieski przyprowadził 12.000 wojska, inni magnaci przybyli otoczeni zbrojnemi hufcami, pole elekcyjne przedstawiało widok wojennego obozu. Brak zgody i porozumienia stronnictw utrudniał jednak w wysokim stopniu elekcyą. Układano się pokątnie to z tym to z owym kandydatem, Sobieski przechylał się na stronę Lotaryńczyka, a wszyscy zwlekali z wyborem w nadziei, że szlachta się rozjedzie. Tymczasem w tem powszechnem zamięszaniu ona jedna tylko miała jakiś program określony, wiedziała mianowicie czego nie chce — nie chciała cudzoziemca — a stanąwszy twardo przy tem, przeprowadziła dnia 6. czerwca uchwałę wykluczającą Kondeusza od korony. Podniosły się wskutek tego widoki Lotaryńczyka; hetman wielki koronny, Pacowie, Dymitr Wiśniowiecki i Olszowski nawet stanęli po jego stronie, ale dzień 19. czerwca, ostatni termin elekcyi zgotował wszystkim niemiłą niespodziankę. Rzucona nagle przez Krzyckiego lub Jabłonowskiego kandydatura Piasta, przyjęła się po województwach, a Olszowski wysunął nazwisko Michała Wiśniowieckiego, na które szlachta odrazu przypadła. Okrzyk: „Niech żyje król Michał!“ zagłuszył wywody oponentów, stało się „dzieło boskie“, jak mniemał prymas, albo raczej, jak trafnie zauważył Sobieski, dzieło Olszowskiego.

Nowy król był synem Jeremiego Wiśniowieckiego, znanego pogromcy Kozaków i Gryzeldy z Zamoyskich i nieposiadał ani majątku ani przymiotów osobistych. Fortunę ojcowską stracił wskutek wojen kozackich, wychowanie odebrał cudzoziemskie, z usposobienia ospały i leniwy, oddany jedzeniu i piciu, był próżnym i mściwym; po ojcu odziedziczył tylko dumę niepomierną, zamiłowanie do przepychu i wystawnego życia. Nawet w czasach najspokojniejszych niezdołałby monarcha tej miary utrzymać powagi majestatu królewskiego, a cóż dopiero w epoce, zawichrzonej walką stronnictw i podminowanej intrygami obcych dworów. Jakoż natychmiast po dokonanej elekcyi podnieśli wielką wrzawę dwaj bracia Zamoyscy, synowie kasztelana czernichowskiego, procesujący się z matką królewską o ordynacyę zamoyską, a poparci przez Sobieskiego i prymasa, zagrozili zatamowaniem obrad. Stronnictwa stanęły ostro przeciw sobie, Sobieski złożył laskę marszałkowską, wreszcie za staraniem kanclerza litewskiego Paca odrzucono protest Zamoyskich; uspokojono ich obietnicą, że na sejmie koronacyjnym uzyskają sprawiedliwość, poczem król

zaprzysiągł pakta konwenta, zastrzegając sobie co do niektórych restrykcyą. Krok ten dziwny i niezwykły pokryto jednak milczeniem; szlachta spieszyła do domu zadowolona, że postawiła na swojem, partya francuska — pobita politycznie i zgnębiona moralnie — nie czuła się na siłach, aby walkę przegraną podejmować na nowo. Rozjechano się więc na pozór spokojnie, około króla pozostali najwierniejsi jego stronnicy: podkanclerzy Olszowski i Krzysztof Pac i w ich rękach spoczął kierunek spraw publicznych. Nie byli oni wprawdzie zgodni zupełnie co do drogi, jaką obrać należało, ale — przeciwni dążeniom partyi francuskiej — przechylili się rychło na stronę wiedeńskiego dworu, dokąd króla samego pociągały stosunki lat młodzieńczych i urok, jaki wywierał zawsze blask korony cesarskiej na magnatów polskich. Najpierwszą i najważniejszą kwestyą też, kwestyą małżeństwa królewskiego, rozstrzygnięto w duchu tego nowego kierunku politycznego. Król miał się żenić z córką Ferdynanda III., przyrodnią siostrą cesarza Leopolda I., siedemnastoletnią arcyksiężniczką Eleonorą. W ten sposób z pod wpływu francuskiego przechodziła Polska bezpośrednio pod wpływ austryacki, król wyniesiony na tron szlacheckiemi głosami przeciw cudzoziemskim kandydatom, stawał się narzędziem w rękach wiedeńskiego dworu, poseł austryacki, hrabia Schaffgotsch, był — ku wielkiemu zdziwieniu uczestników koronacyi i koronacyjnego sejmu — pierwszą w otoczeniu królewskiem osobą. Szlachta, niezbyt biegła w kombinacyach politycznych, nie spostrzegła może odrazu sprzeczności pomiędzy dążnościami własnemi a kierunkiem polityki królewskiej, ale ochłódła znacznie w sympatyach swoich dla Michała. Sejm koronacyjny, zawichrzony od początku rozmaitemi skargami, został poraz pierwszy zerwany przez eksulantów ukraińskich, którzy domagali się napróżno odszkodowania za dobra, zabrane przez Moskwę na mocy andruszowskiego rozejmu, stronnictwo francuskie śmielej podniosło głowę, licząc znowu na poparcie Ludwika XIV. Król francuski bowiem, dość obojętnie przypatrujący się dotąd sprawom polskim, wysłał nagle na koronacyą do Krakowa osobnego posła swego w osobie hrabiego de Lionne. Poseł miał złożyć powinszowania stosowne nowo obranemu królowi i prosić go o poparcie dla biskupa Béziers, starającego się o purpurę kardynalską w Rzymie. Dano mu oprócz tego listy do prymasa i Sobieskiego, polecono odwiedzić podskarbiego Morsztyna i innych dygnitarzy, zastrzegając jednak w instrukcyi zupełną co do spraw wewnętrznych neutralność. Jakkolwiek więc poselstwo było tylko aktem ceremonialnej grzeczności i miało za główny cel poparcie zabiegów biskupa Béziers, dawnego ambasadora francuskiego przy dworze polskim, to pojawienie się niespodziewane hrabiego de Lionne w Krakowie obudziło na nowo przygasłe nadzieje francuskiego stronnictwa i uradowało nawet króla, chylącego się w objęcia Austryi. Na dworze puszczono wieść, że poseł przywiózł królowi dwie księżniczki francuskie do wyboru, goszczono go i przyjmowano z szczególniejszem odznaczeniem, a malkontenci — przekonawszy się o właściwym celu poselstwa — mniemali, że poza tym objawem grzeczności oficyalnej Ludwika XIV. ukrywają się dalsze polityczne zamiary. Puszczając więc wolne wodze fantazyi, uczynili oni krok stanowczy i na dwa dni przed odjazdem hrabiego de Lionne utworzyli w kil-

kunastu spisek, rodzaj konfederacyi w celu detronizowania króla Michała.[1]) Należeli do tego: prymas, Sobieski, wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski, kasztelan poznański Grzymułtowski, Jan Opaliński i Wielopolski, słowem — najznamienitsi dygnitarze Rzeczypospolitej. Wszyscy oni spisali memoryał, w którym wyliczywszy powody związku, obowiązują się wynieść na tron polski księcia Kondeusza lub innego księcia krwi. Memoryał — dzieło Morsztyna — dostał się za pośrednictwem hr. de Lionne do rąk Ludwika XIV.

Jakkolwiek spisek, uknuty na zrzucenie z tronu króla prawnie obranego — bo o legalności wyboru Michała ani na chwilę wątpić nie można — był poprostu buntem przeciw prawowitej władzy i zdradą stanu, to wobec oczywistej nieudolności panującego i chaotycznych stosunków w kraju, wywołanych przewagą szlachty, politycznie niewykształconej, niepodobna kroku takiego bezwzględnie potępiać.

To, co nas razi w całej tej dorywczej i dyletanckiej robocie, to owo nieograniczone i niczem nieuzasadnione zaufanie do machiawelistycznej w gruncie polityki francuskiej, to nieznajomość stosunków dyplomatycznych, to ta służalczość i czołobitność możnych polskich dla obcego monarchy, to intrygi pani Sobieskiej i pani Morsztynowej, mające na celu nie dobro publiczne, lecz interes prywatny.

Inicyatorowie i uczestnicy spisku, opierającego nadzieje swoje na pomocy francuskiej, nie wiedzieli, że w chwili, gdy hrabia de Lionne memoryał przysłany przez Morsztyna przedkładał Ludwikowi XIV., polityka tego monarchy na inne już wchodziła tory. Zawarłszy układ tajemny z dworem wiedeńskim co do sukcessyi hiszpańskiej i pracując właśnie usilnie nad pozyskaniem kurfirszta brandenburskiego dla tej nowej kombinacyi, nie mógł on i nie chciał przyczyniać się do zrzucenia z tronu Michała, związanego z Habsburgami.

W listach więc do prymasa i Sobieskiego pisanych nie wspomniał Ludwik XIV. ani słowa o projekcie detronizacyi, ajentowi swemu jednak p. Baluze polecił donosić o dalszych krokach malkontentów nie w innym celu oczywiście, jak tylko, aby i tę robotę wyzyskać dla swoich politycznych widoków. A że kandydatura księcia Kondeusza, jako wykluczonego od korony polskiej, wydawała się w tej chwili zupełnie nieodpowiednią, postanowiono zatem wyszukać innego figuranta, któryby dwór francuski mniej kompromitował, a jednak mógł podtrzymywać nadzieje spiskowców i odwieść ich od wyszukania sobie niemiłego dla Francyi kandydata, n. p. księcia Lotaryńskiego. Jakoż niebawnie, bo już w początkach roku 1670., znalazł się nowy pretendent do korony polskiej w osobie hrabiego Saint-Paul Longueville. Był to młody i — jak mówiono — pełen nadziei siostrzeniec Wielkiego Kondeusza, słynny ze swego powodzenia u kobiet, chciwy laurów wojennych i jakby stworzony do awanturniczych przedsięwzięć. Nie namyślając się też długo, przyjął on na siebie rolę, jaką mu proponowano i wysłał do Polski p. de Calliéres, aby się porozumieć z malkontentami.

---

[1]) Szujski: Pierwsze związki polskie z hrabią Saint-Paul de Longueville. Dzieła t. VIII, ser. II, str. 203.

Małżeństwo króla Michała. — Zmiana polityki francuskiej. — Wojna turecka. — Konfederacya gołąbska. — Zwycięstwo pod Chocimem 11. listopada 1673. roku. Tymczasem dwór, niemający pojęcia o rewolucyjnych knowaniach francuskiego stronnictwa, szukał instynktowo oparcia w ścisłych z Austryą stosunkach. Uzyskawszy pozwolenie senatu na małżeństwo z arcyksiężniczką Eleonorą, wysłał król do Wiednia natychmiast Olszowskiego dla ukończenia układów i w chwili, gdy spiskowi dobijali targu z Longuevillem, wziął ślub w Częstochowie dnia 26. lutego 1670. roku. Związek z dworem cesarskim, jakkolwiek źle widziany u szlachty, podniósł przecież powagę królewską, nieporadny Michał zyskał w rezydencie austryackim — baronie Meyerburgu — zręcznego i zdolnego doradcę, w dyplomacyi habsburskiej przeciwwagę przemożnych wpływów francuskich. Było to zaś tem potrzebniejsze, gdy horyzont polityczny zewsząd chmurzyć się poczynał. Turcy, zdobywszy nareszcie Kandyą na Wenecyanach, gotowi byli rzucić całą swoją potęgę na Polskę, z Moskwą wlokły się układy bez skutku, a rozerwana w sobie Kozaczyzna jątrzyła się bezustannie od intryg tureckich i moskiewskich. Na Siczy, na Zadnieprzu i w Ukrainie polskiej powstawali co chwila hetmani, opierający się na obcej pomocy i wydzierający sobie władzę nawzajem. Najpotężniejszym pomiędzy nimi był niewątpliwie Doroszeńko, z porady metropolity Tukalskiego chylący się ku Turcyi, ale nieodrzucający zgody z Polską. Sobieski, wyborny znawca stosunków ukraińskich, doradzał porozumienie z Doroszeńką na podstawie hadziackiej umowy, ale właśnie to zdanie hetmana-malkontenta wzniecilo podejrzenie u dworu i król, idąc za radą Olszowskiego, wszedł w układy z Haneńką — pułkownikiem humańskim, który przeciw Doroszeńce się zbuntował — i oddał mu buławę hetmańską, równając cerkiew grecką na Ukrainie pod względem przywilejów z kościołem katolickim.

Krok ten mógł przynieść wtedy tylko znaczne korzyści dla Polski, gdyby Rzeczpospolita poparła była całą potęgą swoją Haneńkę. Ale sejm, zwołany w marcu roku 1670., wyznaczywszy komisarzy do układów wyżej wspomnianych z Haneńką, został zerwany przez Żabokrzyckiego, a co gorsza, podczas sesyi otrzymał król dokładną wiadomość o znanem nam już sprzysiężeniu. Na dworze powstało skutkiem tego odkrycia niesłychane przerażenie, udano się natychmiast do Wiednia, kazano pisać do Wersalu, malkontentów obawiano się zaczepiać. Oni też, skonsternowani także, nazywając doniesienie paszkwilem i wypierając się wszystkiego, widzieli jedyny ratunek dla siebie w jak najspieszniejszem działaniu. Jeden po drugim więc wymykali się z Warszawy do Gdańska i do Królewca, aby tam w spółce z Akakią, ajentem Longueville'a i z kurfirsztem układać plany dalszej akcyi. Odkrycie dworu nie mogło jednak pozostać w tajemnicy i wnet zawrzały sejmiki relacyjne od walki stronnictw, na sejmiku w Srodzie porąbano nawet niebezpiecznie kasztelana Grzymułtowskiego; szlachta rozjątrzona domagała się sądu na niego i na Morsztyna, którego listy cyfrowane przejęto. Z drugiej strony Sobieski i prymas w listach, rozesłanych na sejmiki, przedstawiali siebie jako ofiary prześladowania i oskarżali króla o dążności samowładne. Wśród tych chaotycznych stosunków nadszedł ku wielkiej radości dworu list od ministra francuskiego de Lionne,

w którym król Ludwik XIV. wypierał się wszelkiego udziału w sprawie Longueville'a i oświadczał, że księciu temu pod grozą kary za zbrodnię majestatu zakazał opuszczać Francyi. Równocześnie prawie odwołano Akakię z Gdańska i osadzono go w Bastylli. Rozwiały się tak wszystkie nadzieje sprzysiężonych, Ludwik XIV. ze względu na Austryą, z którą właśnie jak najlepsze pragnął utrzymać stosunki, umywał ręce od spraw polskich i oddawał malkontentów

Kazimierz Pułaski.

na łaskę króla Michała. Ale król, z trudnością największą utrzymujący się na tronie, nie mógł marzyć nawet o ukaraniu spiskowców, na których czele stał pierwszy dygnitarz kościoła i naczelny wódz wszystkich sił zbrojnych Rzeczypospolitej; nie myśleli o tem i najbliżsi jego doradcy, t. j. Olszowski i Mayerburg, jeden Pac, kanclerz wielki litewski, chciał z pomocą pospolitego ruszenia zgnieść malkontentów i winnych surowo ukarać. Wobec wojska, oddanego bezwzględnie Sobieskiemu i wobec znanej nieudolności króla, był to

zamiar prawdziwie szalony. Na szczęście zwyciężyło stronnictwo umiarkowane. Sejm wrześniowy — pierwszy, jaki doszedł za rządów Michała — jakkolwiek burzliwy bardzo, zakończył się spokojnie. Proces Morsztyna odroczono, Grzymułtowskiemu sąd sejmowy pozwolił się odprzysiądz, co nawet do skutku nie przyszło,[1]) a za cenę tych ustępstw ukoronował prymas królowę. Najtrudniejsza sprawa była z Sobieskim, który początkowo o pojednaniu się z dworem słyszeć nie chciał i siedząc w obozie, konfederacyą wojskową przygotowywał. List ministra francuskiego de Lionne'a otrzeźwił cokolwiek hetmana. Drugi ajent Longueville'a, opat Paulmiers, który przyjechał do Polski, aby wbrew wyparciu się Ludwika XIV. nowe z malkontentami nawiązać stosunki, doznał w Żółkwi chłodnego przyjęcia. Sobieski, urażony, nie chciał się wdawać w układy, zaniechał konfederacyi wojskowej i zgodził się na małżeństwo stryja królewskiego Dymitra Wiśniowieckiego z księżną Teofilą Ostrogską, córką siostry hetmana. Wesele odbyło się z wielką pompą w Warszawie w obecności matki królewskiej i wuja panny młodej, dwór przesadzał się w grzecznościach dla Sobieskiego, który narzekał wprawdzie na plotki, szarpiące jego sławę pokątnie, ale podał wreszcie rękę do zgody. Była ona w tej chwili bardzo potrzebna dla króla i dla Rzeczypospolitej. Zamieszki wewnętrzne rozzuchwalały bowiem coraz to więcej drapieżnych sąsiadów. Kurfirszt, dzierżący dotąd jeszcze nieprawnie zabrane starostwo drahimskie, wkrótce po sejmie kazał porwać z Warszawy pułkownika w służbie polskiej, Kalksteina, i osadził go w więzieniu w Memlu, jako podejrzanego o zdradzieckie knowania w Prusiech książęcych, a król Michał nie był w stanie obelgi tej pomścić i musiał poprzestać tylko na energicznej wprawdzie, ale bezskutecznej interwencyi dyplomatycznej.

Sroższa o wiele burza groziła od południa. Sułtan Mahomet IV. gotował się do wielkiej wyprawy na Polskę, odpoczywając jednak po trudach wojny kandyjskiej, wysłał w roku 1671. tylko Tatarów na pomoc Doroszeńce. Na wiadomość o tem zwołał król pospolite ruszenie, ale zanim rzesza szlachecka rojna i hałaśliwa dowlokła się do punktu zbornego w Lublinie, gdzie dwór główną założył kwaterę, były prowincye południowe wydane tymczasem na łup kozacko-tatarskiej zbieraniny. Szczęściem nadbiegł jeszcze wczas Sobieski i stanąwszy w 10.000 ludzi pod Kamieńcem, ruszył następnie na spotkanie nieprzyjaciela, zdobył Bar, Winnicę, Międzybóż, Mohilów i Humań, pobił pod Kalnikiem hordę tatarską i byłby niewątpliwie całą opanował Ukrainę, gdyby nie zawód, jaki mu sprawiły posiłki litewskie, które przybywszy do Dubna, z powodu niezapłacenia żołdu wróciły do domu. Jak zwykle — tak i teraz — zmarnowano tym sposobem wszystkie odniesione zwycięstwa, bo gdy Sobieski rozłożył wojsko na leże zimowe, a sam pospieszył do Prus dla powitania Marysieńki, wracającej z Paryża, wyparł Doroszeńko słabe załogi polskie z miast ukraińskich i czekał na przybycie sułtana, który osobnem poselstwem uwiadomił właśnie króla, że w przyszłym roku wyruszy do Polski „z potęgą całą,

---

[1]) Szujski: Opat Paulmiers i dalsze stosunki polskie z hrabią Paul de Longueville. Dzieła t. VIII., ser. II, str. 232.

z wojskami licznemi jak gwiazdy, a wspaniałemi jak nieba wspaniałość". Położenie Rzeczypospolitej i króla było fatalne; pospolite ruszenie okazało się poraz setny zupełnie nieudolnem i niedostatecznem do odparcia najazdu, wojsko nieliczne i źle płatne rozrywały intrygi hetmana litewskiego Michała Paca, na dworze panowała niezgoda i zwątpienie. Sejm, który miał ratować państwo i obmyśleć środki obrony, zawichrzył się od początku już walką stronnictw: kanclerz litewski, Pac, zarzucał publicznie podkanclerzemu Olszowskiemu, że pobiera 6000 talarów rocznej pensyi od dworu wiedeńskiego, Olszowski na odwrót obwiniał Paca, że się obłowił przy zawieraniu andruszowskiego rozejmu, wreszcie Grudziński, nadliczbowy poseł podolski, zerwał sejm. Nic dziwnego zatem, że w takich okolicznościach stronnictwo francuskie powróciło znowu do pierwotnej myśli swojej: detronizacyi Michała. Opat Paulmiers, który — przebrany za inżyniera, towarzyszył Sobieskiemu na wyprawie ukraińskiej — praktykował wojsko na rzecz Longueville'a, przezwanego dowcipnie „Długowiejskim", hetman sam, urażony polityką Ludwika XIV., chwiał się pomiędzy Longuevillem a księciem Lotaryńskim. Podczas sejmu, drugiego w tym roku, który zebrał się 18. maja 1672. roku, przybrały rzeczy już tak groźną postać, że zamierzano Michała siłą zrzucić z tronu, że układano się w tym celu nawet z posłem cesarskim Stombem, podając mu projekt rozwiedzenia pary królewskiej i wydania Eleonory za Longueville'a. Sobieski przybył na czele wojska do Warszawy, w nocy z 29. na 30. czerwca opanowała dragonia jego arsenał, gotowano się do szturmu na zamek, szlachta i żołnierze pili po gospodach za zdrowie Jana Kazimierza i przyszłego króla „Długowiejskiego". Król i stronnicy jego, potrwożeni niesłychanie, widzieli jedyny ratunek dla siebie w ruchu szlacheckim, w zwołaniu pospolitego ruszenia, czemu malkontenci jak najmocniej się sprzeciwiali. Nie mając nadziei przeprowadzenia swoich zamiarów, postarał się król o zerwanie sejmu, a dnia 5. lipca wydał trzecie wici, zwołujące pospolite ruszenie na koniec sierpnia pod Hrubieszów. W obozie francuskim zapanowała tymczasem nagle konsternacya, której przyczyn napewne wyjaśnić niepodobna. Przypuszczać można tylko tyle, że w chwili, kiedy zamierzano wykonać zamach i strącić króla z tronu, nadeszła wieść o śmierci Longueville'a, który zginął w wojnie hollenderskiej dnia 10. czerwca, przy przeprawie przez Ren pod Tolhuys.[1]) Brak kandydata do tronu powstrzymał więc działanie malkontentów, zaprotestowali oni przeciw zerwaniu sejmu, podającemu Rzeczpospolitę w największe niebezpieczeństwo, ale równocześnie zawarli ponowną konfederacyę i udali się pod opiekę Ludwika XIV., prosząc go o wyznaczenie odpowiedniego kandydata do korony polskiej. Ale Ludwik, zajęty wyprawą hollenderską, nie chciał się mięszać w sprawy polskie i na wezwanie listowne Sobieskiego odpowiedział odmownie. Partya francuska nie miała więc kandydata, ster rządu pozostał nadal w rękach nieudolnego Michała i kłócącej się między sobą kamarylli dworskiej, Rzeczpospolita — bezbronna — wydana była na łup strasznego nieprzyjaciela. Wszelkie

[1]) Twierdzi tak kategorycznie poseł hiszpański Ronquillo w r. 1674. już po elekcyi Sobieskiego. Porów. „Listy Piotra Ronquillo", przetłumaczone przez ks. Feliksa Rożańskiego w „Przeglądzie polskim" z r. 1878., str. 350.

środki, jakie obmyślała rada senatu, zwołana po sejmie dla odparcia najazdu, były albo spóźnione albo zupełnie niedostateczne. Na domiar złego król sam, niedowierzając hetmanowi wielkiemu koronnemu, paraliżował działanie wojska dziwacznemi rozporządzeniami. W takich okolicznościach los wojny tureckiej dał się łatwo przewidzieć. Kasztelan podlaski Łużecki, który dowodził w nieobecności Sobieskiego wojskiem ukraińskiem, przegrał bitwę pod Czetwertynówką i niemógł oczywiście osłaniać Kamieńca. Tymczasem sułtan Mahomet IV. wyprawiwszy się na czele ogromnej armii, oblęgł dnia 17. sierpnia twierdzę podolską, mającą tylko 1000 ludzi załogi i zdobył ją na mocy kapitulacyi dnia 27., poczem tłumy pogańskie obegnały Lwów, broniony bohatersko przez Eljasza Łąckiego. Gdy tak pożar wojny gwałtownym płomieniem ogarniał południowe województwa, szlachta myślała nie o wojnie, lecz o inkwizycyi przeciw malkontentom. Na termin, oznaczony dla pospolitego ruszenia, nikt się nie stawił, król zrozpaczony wysłał posłów do obozu tureckiego, aby z sułtanem traktować o pokój. Zawarto haniebny układ w Buczaczu dnia 17. października 1672. roku. Rzeczpospolita odstąpiła Turkom Ukrainę i Podole z Kamieńcem i zobowiązała się nadto do płacenia rocznego haraczu; za Lwów i Ruś złożono 80.000 talarów okupu. Niesłychaną w dziejach polskich hańbę pomścił przynajmniej w części Sobieski. Opuściwszy stanowisko swoje w Krasnym stawie, ruszył on w 3000 konnicy na czambuły tatarskie i w przeciągu jedenastu dni (od 3. do 14. października) rozbił — jak piorun — kosze ordyńców pod Cieszanowem, Niemirowem, Komarnem i Kałuszem, uwalniając przytem kilkadziesiąt tysięcy jassyru. Wyprawa ta należy niewątpliwie do najświetniejszych czynów wojennych, a dla Sobieskiego jest ekspiacyą za knowania przeciw królowi podjęte i podające Polskę mimo woli hetmana w największe niebezpieczeństwo. Inaczej zupełnie sądzili i działali stronnicy królewscy i podburzona przez nich szlachta. Zamiast myśleć o obronie kraju i o odparciu najazdu, pospolite ruszenie — pod Gołębiem zebrane — dopiero w końcu września i początkach października utworzyło Koło generalne w obozie za zezwoleniem królewskiem i zawiązało konfederacyę (gołąbską) pod laską Stefana Czarnieckiego, bratanka słynnego hetmana. Celem konfederacyi było utrzymanie dostojeństwa królewskiego, ukaranie malkontentów i reforma Rzeczypospolitej. Powołano więc wszystkich senatorów do obozu, odsądzono prymasa Prażmowskiego, na podstawie źle zrozumianego listu jego, pisanego po włosku, od godności arcybiskupiej, złożono z urzędów obu braci jego, skazano wszystkich trzech na konfiskatę majątków i postanowiono pociągnąć do odpowiedzialności malkontentów. Sprawę reformy Rzeczypospolitej ograniczono do dwóch artykułów podrzędnego znaczenia: uchwalono bowiem wytoczyć proces trzem posłom, którzy sejmy ostatnie zerwali, co byłoby pewnem ograniczeniem liberi veto i znieść dożywotność dygnitarstw.

Znając dziś dość dokładnie knowania stronnictwa francuskiego, musimy przyznać, że szlachta miała słuszność, domagając się surowego ukarania spiskowców, ale chwila, obrana do tego, wystarcza na potępienie całego ruchu, a niedołęstwo, okazane w kierunku reformy, stawia konfederacyę gołąbską narówno z rokoszem Zebrzydowskiego i słynną wojną kokoszą. To też cała ta

niepolityczna — acz hałaśliwa wielce — robota prysła jak bańka mydlana pod wrażeniem bohaterskiej wyprawy Sobieskiego. Cóż mogły znaczyć tłumy pospolitaków, uciekające na wieść o Tatarach, wobec rycerstwa, okrytego chwałą świeżych tryumfów? Jakże mogli sądzić spiskowców ci, co na największą hańbę ojczyzny obojętnem zdali się spoglądać okiem? Zrozumiał to hetman, zrozumiało i wojsko, i niezastraszone surowemi uchwałami gołąbskiego związku, utworzyło konfederacyę w Szczebrzeszynie, także przy dostojeństwie króla Michała, ale zarazem przy prawach i wolnościach, pogwałconych przez ruch szlachecki. Zdawało się przez chwilę, że po wojnie tureckiej rozpocznie się równie sroga wojna domowa. Sobieski ruszył z Szczebrzeszyna na pomoc prymasowi do Łowicza, roztrącając po drodze świeże zaciągi marszałka konfederackiego Czarnieckiego, i w rezydencyi prymasowskiej założył główną kwaterę malkontentów, zagrażając Warszawie; duchowieństwo, oburzone wyrokiem na Prażmowskiego, zajęło z nuncyuszem nieprzychylne dla konfederacyi stanowisko. Wśród największego naprężenia stosunków zebrał się sejm dnia 4. stycznia 1673. roku i konwokacya senatorów w Łowiczu, zwołana przez Sobieskiego i prymasa.

Za staraniem królowej jednak, nuncyusza i umiarkowanych senatorów duchownych, mianowicie Trzebickiego, zacnego biskupa krakowskiego i Zaręby, sędziego sandomierskiego, pogodzono wreszcie zwaśnione strony. Zniesiono więc konfederacyę, unieważniono wyroki konfederackie, przywrócono w całości władzę hetmanów nad wojskiem i uchwalono, że każdy trzeci sejm ma się odbywać w Grodnie pod marszałkiem litewskiego narodu. Stefan Czarniecki otrzymał 100.000 złotych polskich gratyfikacyi. W kilka tygodni po tej ugodzie umarł w Ujazdowie prymas Prażmowski, nielubiany powszechnie dla gwałtowności charakteru, chociaż niesłusznie posądzony o zbrodnicze związki z nieprzyjaciółmi ojczyzny. Następcą jego na katedrze gnieźnieńskiej został znany z zacności swojej Floryan Czartoryski, dotąd biskup kujawski.

Uśmierzywszy szczęśliwie spory wewnętrzne, zajęto się sprawą turecką. Szlachta czuła zanadto hańbę buczackiego traktatu aby się spieszyć z wykonaniem upokarzających warunków, czem oburzeni Turcy nową grozili wojną. Rada wojenna, zwołana dla obmyślenia środków obrony, postanowiła, na wniosek Sobieskiego, prowadzić wojnę zaczepną. Uchwalono 60.000 wojska i znaczne na ten cel podatki, do Konstantynopola wysłano gońca z pokojowemi poleceniami, aby zyskać czas do wystawienia armii, starano się o pomoc austryacką i moskiewską — jak zwykle jednak — bezskutecznie. We wrześniu wreszcie, gdy z Carogrodu najgorsze nadeszły wieści, a wojska tureckie pomknęły pod Jazłowice, ruszyły hufce koronne do Lwowa, król odbył przegląd wojska pod Glinianami i chory od dłuższego już czasu, powrócił do stolicy czerwonoruskiej, oddając naczelne dowództwo Sobieskiemu. Hetman — wysławszy przeciw Doroszeńce i Tatarom Mikołaja Sieniawskiego, a przeciw Halil baszy pod Jazłowiec wojsko litewskie, ruszył sam w 30.000 ludzi ku Dniestrowi i dążąc przez Bukowinę lasami, połączył się pod Chocimem z armią litewską. Oba wojska stanęły tak w obliczu obozu tureckiego, założonego na tem miejscu, skąd w r. 1621. Chodkiewicz odpierał nawałę muzułmańską.

Hussein basza, pomimo znacznych sił, nieważył się potykać w otwartem polu, Sobieski postanowił zatem uderzyć na obóz turecki. Zatrzymawszy przez całą noc — wśród dokuczliwego zimna — wojsko całe pod bronią, uderzył o świcie na okopy tureckie. Straszny ogień artyleryi polskiej, którą dowodził Marcin Kątski i przykład wodza, idącego z szablą w ręku na czele szturmujących kolumn, przeraziły nieprzyjaciela i zagrzały rycerstwo polskie do nadludzkich niemal wysileń. Po zapamiętałej walce, trwającej przeszło godzinę, zdobyli Litwini pierwsi wały od lewego skrzydła i zmusili Turków do odwrotu. Hussein, przyparty tak do Dniestru, próbował najpierw uciekać drogą ku Jassom, a gdy się tu spotkał z chorągwiami Wiśniowieckiego, rzucił się na most, który złamany ciężarem uciekających, tysiące pogrążył w nurtach wezbranej rzeki. Armia turecka została w ten sposób prawie zupełnie zniesiona, szczątki zaledwie uratowały się ucieczką ku Kamieńcowi, cały obóz Husseina, stokilkadziesiąt dział i znaczne łupy były plonem świetnego zwycięstwa. W chwili, gdy rycerstwo polskie — krwią pogańską zbroczone — śpiewało Te Deum w namiocie Husseinowym, nie żył już król Michał. Umarł on, mając lat 33, dnia 10. listopada 1873. roku we Lwowie, jako smutna igraszka losu, który, wyniósłszy go niezasłużenie na najwyższe w Rzeczypospolitej stanowisko, uczynił zarazem przedmiotem poniżenia i wzgardy.

Jan III. Sobieski. 1674—1696.

Elekcya. — Kandydaci do korony. Bezkrólewie zaskoczyło Rzeczpospolitę tym razem wśród groźnej wojny tureckiej, nieukończonej wcale zwycięstwem chocimskiem i roznieciło natychmiast dawną zawziętość poważnionych ze sobą stronnictw. Powstali mianowicie zawistni Sobieskiemu Pacowie; Michał Pac, hetman litewski, mający naczelne dowództwo nad wojskiem litewskiem, wymówił się od dalszej wyprawy, którą hetman wielki koronny chciał przedsięwziąć przeciw Kaplanowi baszy, stojącemu pod Cecorą, tak, że Sobieski dnia 1. grudnia już powrócił z armią zwycięską za Dniestr i sam o przyspieszenie elekcyi starać się zaczął. Jakoż rzeczywiście prymas Czartoryski zwołał sejm konwokacyjny na 18. stycznia 1674. roku do Warszawy, gdzie ze strony litewskiej uczyniono wniosek o wykluczenie Piasta od tronu, godząc w ten sposób oczywiście w Sobieskiego. Ale pod świeżem wrażeniem zwycięstwa chocimskiego i wobec posłów od wojska, domagających się przyspieszenia elekcyi, nie dał się sejm wciągnąć w sieci polityki austryackiej, nastawione przez Paców, lecz odrzuciwszy wniosek o ekskluzyi Piasta i inny o wyborze króla tylko z domu austryackiego, uchwalił 70.000 wojska na wojnę turecką i ustanowił termin elekcyi na dzień 20. kwietnia.

Kandydatów — tak jak przy poprzednich elekcyach — nie brakło. Stronnictwo francuskie czekało oczywiście hasła z Wersalu, z Wiednia popierano księcia Lotaryńskiego. Ludwik XIV. oświadczył się — jak zobaczymy — stanowczo za synem księcia najburskiego, królewicz duński, książe modeński i sabaudzki czynili na własną rękę starania. Niepoślednią rolę wśród tych zabiegów odgrywała królowa Eleonora, którą dwór wiedeński na tronie polskim utrzymać pragnął. Mając wiele sympatyi w kraju i znaczny zastęp zwolenników, już to osobiście jej zobowiązanych, już też należących do stronnictwa austryackiego, popierała ona usilnie kandydaturę księcia Karola Lotaryńskiego, dawnego swego konkurenta, który — zostawszy królem polskim — miał ją poślubić. Licząc się z temi względami szukało także i stronnictwo francuskie odpowiedniego kandydata do korony i ręki królowej; myślano o księciu Conti, o młodym hrabi Soissons, a Kondeuszowi przeszkadzała pomiędzy innemi głównie ta okoliczność, że jako żonaty związków małżeńskich zawierać nie mógł.[1]) Poza tymi wszystkimi kandydatami był jednak jeden, dla współzawodników najgroźniejszy, chociaż najwięcej mający przeciwników, t. j. Sobieski.

Jako hetman wielki koronny i marszałek piastował on dwa najważniesze dygnitarstwa w Rzeczypospolitej, jako wódz dał dowody niepospolitych zdolności i wielkiego dla ojczyzny poświęcenia. Wyprawa na czambuły tatarskie w roku 1672. i świeżo odniesione zwycięstwo pod Chocimem rozsławiły imię jego w Polsce i w Europie i zjednały mu sympatye najzawziętszych nawet

[1]) Waliszewski: „Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana III.“ Tom III. W Krakowie 1879. List Morsztyna na str. 2.

nieprzyjaciół z czasów konfederacyi gołąbskiej. Wplątany intrygami Maryi Ludwiki w sprawę Lubomirskiego, ożeniony z ukochaną tyle przez siebie Maryą Kazimirą d'Arquien, wdową po wojewodzie sandomierskim Janie Zamoyskim już w dwa miesiące po śmierci męża,[1]) był on przez lata następne przedmiotem dziwnie zawziętej niechęci i nienawiści w szerokich kołach szlacheckich. Trzymając się stale Francyi, na co ożenienie z Maryą Kazimirą niemało wpłynęło, i spiskując przeciw królowi Michałowi, oburzył Sobieski nadto i Paców i Wiśniowieckich i całe liczne stronnictwo austryackie. Dziś jednak, zrehabilitowany wobec opinii publicznej, pełen zasług, wódz wracający na czele zwycięskiej armii, był on potęgą, z którą wszyscy liczyć się musieli. Jako bystry polityk, oceniał Sobieski trafnie zarówno swoje stanowisko, jak i zmianę stosunków i od samego początku zamyślał o koronie dla siebie, a nie dla obcego kandydata.

Z jego polecenia też zapewne — a nie z własnej inicyatywy — donosiła Marya Kazimira ministrowi francuskiemu p. de Pomponne już przy końcu stycznia, że wielki wezyr ofiarował jak najsilniejsze poparcie ze swojej strony Sobieskiemu, że pragnie jego wyboru i że w takim razie gotów byłby zawrzeć z Polską wieczysty pokój. Z podobną propozycyą co do korony węgierskiej mieli się zgłaszać do hetmana malkontenci węgierscy. I rzeczywiście, jeżeli się rozważy wszystkie okoliczności, mianowicie zaś położenie Rzeczypospolitej, przyznać trzeba, że kandydatura Sobieskiego była najodpowiedniejszą. Gdy bowiem obcy książęta łudzili szlachtę samemi tylko obietnicami, których wartość trafnie w mowie swojej na sejmiku relacyjnym ocenił Krzysztof Grzymułtowski,[2]) Sobieski zasługami swojemi, zdolnościami i znajomością spraw politycznych dawał gwarancyę, że Rzeczpospolitę z trudnego położenia wyswobodzić i od zguby grożącej wyratować zdoła. Nawet ścisłe jego stosunki z dworem francuskim, mającym znaczne wpływy w Konstantynopolu, były więcej pożądane dla Polski niż sojusz z Austryą, zawikłaną w wojnę turecką. Ludwik XIV. jednak, pomimo natarczywych listów, jakie wysyłano z Polski do Wersalu, zachowywał dziwną jakąś obojętność i dopiero przy końcu marca wysłał na sejm elekcyjny nadzwyczajnego ambasadora, biskupa marsylijskiego Forbin de Janson, zalecając mu w obszernie umotywowanej instrukcyi, aby popierał księcia Najburskiego. Wistocie celem polityki francuskiej było niedopuścić do wyboru księcia Lotaryńskiego, kandydata Habsburgów.

W takich warunkach zebrał się sejm elekcyjny. Stronnictwo austryackie, znając swoją słabość, usiłowało pozyskać Sobieskiego. Ofiarowano mu za pośrednictwem nuncyusza tytuł książęcy, order złotego runa[3]) i znaczną sumę pieniędzy. Co na to hetman odpowiedział, nie wiemy, ale to pewna, że nie

---

[1]) Czermak: Potrójne śluby Jana Sobieskiego i „Marysieńki". Z czasów Jana Kazimierza. „Studya historyczne". Lwów. 1893.

[2]) A. Jabłonowski: K. Grzymułtowskiego, wojewody poznańskiego, listy i mowy. Źródła dziejowe, t. I. Warszawa 1876. Str. 60.

[3]) Listy Piotra Ronquillo l. c. str 337.

przestał popierać Kondeusza, prawdopodobnie dlatego, że kandydat ten nie miał żadnych widoków.

Lepsze o wiele nadzieje zdawały się przyświecać księciu Lotaryńskiemu, popierali go mianowicie Pacowie i cała niemal Litwa, przeciwna wyborowi Piasta, sprzyjał mu także prymas Floryan Czartoryski. Ale niebawem zmieniła się postać rzeczy. Dnia 2. maja przybył Sobieski na pole elekcyjne, wiodąc ze sobą 6000 wojska i znaczną ilość jeńców tureckich, i natychmiast oświadczył się przeciw kandydaturze Lotaryńczyka. Podziałało to widocznie na usposobienie szlacheckich elektorów i zachwiało stronnictwo austryackie. Dymitr Wiśniowiecki, wezwany przez królowę Eleonorę, nie stawił się do Warszawy, Litwa chwiać się zaczęła, a śmierć prymasa (dnia 16. maja) była dla Rakuszanów klęską niepowetowaną. To też gdy przyszło do wyboru i pokazało się, że ani książe Lotaryński ani Najburski nie mieli znacznej większości, Kondeiści i Najburczycy przeszli na stronę Sobieskiego, tak, że tylko część województw litewskich pozostała przy Lotaryńczyku. Opozycya litewska nie trwała jednak długo, dnia 21. maja przystąpili Pacowie do ogólnej zgody i korona dostała się najgodniejszemu — bohaterowi z pod Chocima.

Stosunki polityczne. — Wojna turecka. — Zwycięstwo pod Lwowem. — Obrona Trembowli. — Wyprawa żórawińska. Kiedy na polach pod Wolą rozstrzygały się losy elekcyi, ciągnął już na czele ogromnego wojska sułtan Mahomet IV. ku granicom Polski, aby pomścić się klęski chocimskiej. Poseł Siekierzyński, wysłany do Konstantynopola z wiadomością o wyborze Sobieskiego, ostrzegał o groźnem niebezpieczeństwie. Na radzie senatu, zwołanej dnia 9. czerwca, odłożono zatem koronacyę nowego króla do 1. stycznia i zajęto się głównie przygotowaniami wojennemi. Król, wydawszy wici, zwołujące pospolite ruszenie, pospieszył na Ruś, aby w obozie pod Złoczowem dalszych oczekiwać wypadków.

Turcy tymczasem po zdobyciu Chocima, obsadzonego słabą załogą polską, zwrócili niespodziewanie oręż swój przeciw Moskwie, która, korzystając z pogromu Husseina baszy, całą potęgą uderzyła na Doroszeńka i oblęgła go w Czehrynie. Przestraszony tem han tatarski starał się skłonić sułtana do wyprawy na Ukrainę, a poparty przez dyplomacyę francuską, która pragnęła zwrócić Polskę przeciw Austryi, dokazał tyle, że nawała bisurmańska, omijając granice Rzeczypospolitej, runęła na Moskwę i zdobywszy Humań, wymordowała tam 20.000 ludzi. Jan III., korzystając z tego obrotu rzeczy, próbował naprzód układów, a otrzymawszy odmowną od sułtana odpowiedź, ruszył z wojskiem ku Barowi. Armia turecka, zagrożona tak z dwóch stron przez Polaków i Moskali, cofnęła się spiesznie na Wołoszczyznę; hufce polskie zdobyły Bar, Kalnik, Niemirów i Bracław, król zamierzał uderzyć już na Kamieniec podolski, traktował równocześnie przez władykę lwowskiego Szumlańskiego z Doroszeńką, przez Myśliszewskiego z hanem, a w Kadzyniu z Moskwą, kiedy hetman wielki litewski Pac odmówił dalszego udziału w wojnie i wojsko swoje odprowadził na leże zimowe na Polesie. Minęła w ten sposób niepowrotnie dogodna sposobność do odzyskania Podola i Kamieńca, rozbiły się układy z Moskwą i Doroszeńkiem o złą wiarę jednej i drugiego, Rzeczpospo-

lita znalazła się na początku roku 1675. wobec nowej wyprawy tureckiej, którą dywan uchwalił na pomszczenie zeszłorocznych niepowodzeń. I rzeczywiście, skoro tylko stopniały śniegi w stepach, ruszył han na Dzikie pola, aby oczekiwać nadejścia armii tureckiej pod dowództwem Serdara Ibrahima Szyszmana (tłuściocha). Na wiadomość o tem rozwinął król, bawiący w Bracławiu, energiczną czynność. Oddawna już nie zgadzał on się z polityką Rzeczypospolitej w sprawie kozackiej, dążył — jak to wiemy — do wykonania ugody hadziackiej i wierny temu programowi umiał oględnem i pojednawczem postępowaniem pozyskać sobie znaczną część Kozaków, nad którymi powierzył dowództwo pułkownikowi Hoholowi, ofiarując równocześnie buławę hetmańską dzielnemu pogromcy Tatarów, koszowemu atamanowi Sierce. Rozporządzając tak pewną ilością pułków kozackich, obsadził niemi forteczki ukraińskie, chorągwie polskie wycofał na obronę czerwonoruskich zamków, do hana zaś wysłał Tatara Morawskiego, w służbie polskiej zostającego, aby nawiązać układy. Chytry Muzułmanin okazał się skłonnym do pośrednictwa, Morawskiego odprawił dobrze i żądał wysłania wielkiego poselstwa, chcąc w ten sposób króla obałamucić i odwieść od przygotowań wojennych. Sobieski jednak znał zanadto dobrze politykę tatarską, aby w szczerość hańskich zapewnień uwierzyć, więc jak z jednej strony — na usilne nalegania senatorów — podawał rękę do zgody i słał posłów z upominkami do tatarskiego obozu, stojącego już pod Husiatynem, tak z drugiej strony nie zaniedbywał środków obrony i raz po razu wydawał uniwersały do rotmistrzów i starszyzny wojskowej, każąc się wszystkim ściągać pod Lwów, skąd tamquam de equo Trojano „wszystkim partyom możnaby dawać posiłki“ i Rzeczpospolitę osłaniać. Ale głos króla był niestety głosem wołającego na puszczy, nikt nie spieszył na obronę zagrożonej ojczyzny.

„Ochoty nie masz — pisał Sobieski do żony — z Polski nikt nie przybywa; jedni za Wisłę a drudzy aż za Gdańsk uciekają. A im się kto ma lepiej w tej ojczyźnie, tem mniej dla niej czyni“. Dnia 7. sierpnia, po przybyciu Michała Radziwiłła z kilkoma chorągwiami litewskiemi, miał król zaledwie 3000 ludzi w obozie lwowskim. Tymczasem Ibrahim basza wyruszył w czerwcu na czele wyborowej — 60.000 — armii nad Dniestr, zdobył Bar i połączył się z hordą tatarską pod Zbarażem. Sobieski, osadziwszy hetmana wielkiego koronnego w Brodach, Jabłonowskiego w Złoczowie, a Mikołaja Sieniawskiego, chorążego wielkiego koronnego, w Brzeżanach, oczekiwał dalszych wypadków, przewidując trafnie, że Turcy swoim zwyczajem zajmą się naprzód zdobywaniem forteczek podolskich i pozwolą królowi na zebranie sił znaczniejszych. Jakoż rzeczywiście, zmarnowawszy czasu wiele na zdobycie Zbaraża, Wiśniowca, Tarnopola i Mikuliniec, a odparty od Załoziec, rozłożył Ibrahim wojsko swoje na polach płuhowskich, a pod Lwów wysłał w 40.000 ordy dwóch sołtanów — braci hana — w celu zbadania sił królewskich. Wiadomość o tem nie przeraziła Sobieskiego. Wzmocniony świeżemi posiłkami pod Benedyktem Sapiehą, odrzucił on ze wzgardą radę tych, którzy go nakłaniali do opuszczenia Lwowa i postanowił wydać bitwę nieprzyjacielowi w otwartem polu. W tym celu obsadził wąwoz od Lesienic wiodący i osłonięty na obu

skrzydłach lasami i oczekiwał Tatarów. Nadlecieli oni jak wiatr od Biłki, ale po półgodzinnej walce — rozbici ze szczętem — rzucili się do ucieczki, jak „stado spłoszonych jeleni“. Po tej próbie nieudałej zaniechał Ibrahim zamiaru dobywania Lwowa, lecz — rozesławszy czambuły tatarskie w okolicę — pozostał w obozie pod Płuhowem do 7. września, poczem spalił Podhajce, wziął bez wystrzału zamek w Zawałowie, a pokusiwszy się napróżno o obronny Buczacz, oblęgł Trembowlę. Zamek trembowelski był po utracie Kamieńca najważniejszą w tych stronach fortecą Rzeczypospolitej. Przebudowany z gruntu przez starostę Bałłabana w roku 1631., opatrzony świeżo — już po nieszczęśliwej wojnie w roku 1672. — artyleryą i amunicyą i warowny z natury, mógł on rzeczywiście dłuższe nawet wytrzymać oblężenie. Ale przy słabości i rozdrobnieniu sił polskich, była Trembowla zupełnie ogołocona z obrońców. Dopiero 17. sierpnia, na wyraźny rozkaz króla, zaniepokojonego o los tej warowni, wysłał Sieniawski na załogę do zamku 80 dragonów pod dowództwem kapitana Jana Samuela Chrzanowskiego.

Chrzanowski, podług powszechnego mniemania — przechrzta, okazał jednak niepospolite uzdolnienie i niezwykłą dzielność osobistą. Zastawszy zamek przepełniony szlachtą okoliczną i włościaństwem, uorganizował on natychmiast obronę, zaprowadził karność żelazną i oczekiwał spokojnie nieprzyjaciela. Dnia 21. września nadciągnął rzeczywiście Ibrahim z całą swoją potęgą i wezwał listownie Chrzanowskiego do poddania zamku, a gdy kapitan odpowiedział ostro i wyzywająco, rozpoczął regularne oblężenie. Ale wszelkie usiłowania Turków rozbijały się bezskutecznie o męstwo obrońców i warowność fortecy. Potężne mury zamku oparły się pociskom wybornej natenczas artyleryi tureckiej, niepowiodło się zakładanie min w skalistym gruncie, a czujność dowódzcy niepozwalała myśleć nawet o podchwyceniu zamku. Razem z mężem brała żywy udział w obronie pani komendantowa Chrzanowska — prawdopodobnie Niemka z pochodzenia — Anna Dorota von Frezen, mylnie przez naszych pisarzy Zofią zwana.[1]) Ona to, gdy przestraszeni obrońcy zamku o poddaniu naradzać się zaczęli, wśród gradu kul pobiegła do męża i uwiadomiwszy go o wszystkiem, przeszkodziła małodusznym zamiarom. Tak wytrzymała Trembowla — dzięki dzielności obojga Chrzanowskich — oblężenie przez dni jedenaście, aż król, zebrawszy tymczasem do 30.000 ludzi, od Buczacza zagrożonej fortecy na odsiecz pospieszył. Ale Turcy — przejąwszy list, wysłany przez Sobieskiego do komendanta twierdzy — nie czekali nadejścia armii polskiej, lecz w nocy z 4. na 5. października zwinęli oblężenie i zostawiając pobojowisko zasłane gęsto trupami, mnóstwem koni, wielbłądów i bydła, cofnęli się w popłochu ku Kamieńcowi, ścigani przez lekkie chorągwie Miączyńskiego i Zawiszy. W ślad za ustępującym nieprzyjacielem podążył sam król, oczyścił z czambułów tatarskich Podole i dnia 10. listopada ogłosił wojnę za ukończoną, zapraszając wszystkich teraz, „gdy Bóg jarzmo nieprzyjacielskie z karków zdjął“, na koronacyę i sejm koronacyjny na dzień 4. lutego 1676. roku.

[1]) A. Czołowski: Wojna polsko-turecka w roku 1675. Kwartal. histor. rocznik VIII. — Górski Konst.: W sprawie wojny polsko-tureckiej. Tamże, rocznik IX.

Chrzanowski w nagrodę znamienitych zasług mianowany został oberstleytnantem, otrzymał na sejmie szlachectwo (herbu Poraj) i sumę 5000 złotych polskich. Spotykamy go następnie jako komendanta miasta Lwowa.

Gdy tak Jan III. z wielką dla siebie i imienia polskiego chwałą, ale z niewielkiem dla Rzeczypospolitej pożytkiem, odpierał rok po roku najazdy tureckie, rozpoczął Ludwik XIV. w roku 1674. nową przeciw Habsburgom wojnę. Chcąc potęgę domu tego złamać zupełnie, rzucił on na kurfirszta brandenburskiego — sprzymierzonego z cesarzem — Szwedów, a z drugiej strony pragnął podać rękę malkontentom węgierskim, którzy pod dowództwem Emeryka Tekely'ego — ufni w pomoc turecką i wojewody siedmiogrodzkiego, Apaffy'ego — gotowi byli podnieść nowe przeciw Austryi powstanie, aby się pomścić śmierci spiskowców, straconych w roku 1670. i oswobodzić od znienawidzonych rządów niemieckich. W jednym i drugim kierunku jednak potrzebował król francuski pomocy Polski, jako najbliższej sąsiadki kurfirszta i Węgier. W Wersalu wiedziano dobrze, jak wyzywające względem Rzeczypospolitej zajmował elektor stanowisko i jakich dopuszczał się na niej gwałtów i na tem, jakoteż na ścisłych stosunkach z Sobieskim, budowano swoje nadzieje. Ale Jan III. nie chciał i nie mógł wchodzić w kombinacye polityczne tego rodzaju tak długo, dokąd nad Polską wisiała groza wojny tureckiej. Dopiero teraz — po zwycięstwie pod Lwowem — czuł się król cokolwiek swobodniejszym; na dworze polskim panowała niechęć ku Austryi, mówiono, że dyplomacya wiedeńska usiłuje przeszkodzić pokojowi z Turcyą i połączeniu Rzeczypospolitej z Moskwą. Korzystając z tego, zaczął gabinet wersalski pracować pilnie nad pozyskaniem Polski dla swoich widoków. Ludwik XIV. wysłał w poselstwie do króla margrabiego de Bethune, szwagra Maryi Kazimiry, ofiarował Sobieskiemu order św. Ducha, a równocześnie wskazywał na niebezpieczeństwa, grożące Rzeczypospolitej ze strony kurfirszta, który miał się układać — jakoby z Szwecyą — o podział Prus królewskich. Wśród takich okoliczności odbyła się koronacya Jana III. i Maryi Kazimiry, a następnie sejm. Jakiekolwiek zamiary miał król, pierwszem jego staraniem musiało być wzmocnienie siły zbrojnej. Nauczony smutnem doświadczeniem lat ubiegłych, pragnął on ograniczyć wybujałą władzę hetmańską, w myśl potępionego niegdyś przez siebie projektu konfederacyi gołąbskiej.

Urząd hetmański miał być nadawany odtąd tylko na przeciąg trzech lat. Plan pożyteczny, popierany gorąco przez Olszowskiego, natrafił jednak na opozycyę królowej, która — z szczególniejszych względów dla Jabłonowskiego, kandydata do buławy mniejszej — sprzeciwiła się zamiarom męża i jak zwyczajnie, zwyciężyła; hetmanem wielkim koronnym został Dymitr Wiśniowiecki, a polnym Jabłonowski.

Lepiej powiodło się królowi z podatkami, uchwalono i pospolite ruszenie i potrójne pogłówne; piechotę, ustanowioną już w roku 1673., poddano rygorowi wojskowemu i nakazano, aby z każdych 20 dymów stawał jeden żołnierz pieszy z muszkietem, amunicyą i barwą, jednaką w każdem województwie i ziemi. Koszta utrzymania mieli ponosić właściciele ziemscy i miejscy. Były to uchwały niezbędnie potrzebne tak ze względu na możliwą wojnę turecką,

jak i na owe zawikłania północne. W ciągu roku 1675. pracowała i dyplomacya francuska i ambasador szwedzki Lilienhöck nad wciągnięciem Rzeczypospolitej w alians przeciw kurfirsztowi. Przebiegły Brandenburczyk, wiedząc o tych usiłowaniach, domagał się od sejmu koronacyjnego zatwierdzenia bydgoskiej ugody, a tymczasem zatrzymywał kuryerów, wiozących depesze do Paryża i intrygował po swojemu w Wielkopolsce, gdzie niestety licznych posiadał przyjaciół. Dwór polski okazał się dość chłodnym dla umizgów elektorskich, ale za mało stanowczym w powściągnięciu owych nadużyć, które ubliżały powadze Rzeczypospolitej. Zatwierdzenie traktatu bydgoskiego odłożono na później, układy z Francyą brały coraz pomyślniejszy obrót, kiedy nowy najazd Tatarów odwrócił uwagę królewską w stronę południową. Zamiast łączyć się z Szwedami i Francyą przeciw elektorowi, należało myśleć o obronie własnych posiadłości. Układy pokojowe zawiodły tak jak w roku poprzednim, król 19. września stanął we Lwowie, a następnie ruszył pod Żórawno. Siły, jakiemi rozporządzał, były — pomimo uchwały sejmowej o aukcyi wojska — bardzo słabe, widocznie brakło czasu do ściągnięcia podatków i do uzbrojenia potężnej armii. Całe wojsko, zgromadzone w obozie pod Żórawnem, nie wynosiło więcej jak 16.000 ludzi. Wobec tego niepodobna było stawić czoło w otwartem polu stotysięcznej potędze tureckiej pod Ibrahimem Szajtanem baszą. Król zajął zatem warowne stanowisko u ujścia Świcy do Dniestru. Mając wody podostatkiem, oparty o zamek żórawiński, dokąd można się było dostać przez most na Świcy zbudowany, zamierzał on tu wytrzymać dłuższe nawet oblężenie i doczekać się odsieczy, którą przynieść miało pospolite ruszenie i wojsko litewskie, pod dowództwem hetmana polnego Radziwiłła. Spóźniona pora roku wreszcie kazała się spodziewać, że Turcy z nadejściem pierwszych mrozów powrócą do domu. Jakoż nadzieje te nie zawiodły króla zupełnie. Stanąwszy w obozie, wyruszył on natychmiast osobiście na rekonans, uwolnił od oblężenia zameczek wojniłowski, dotarł aż do kosza tatarskiego, położył trupem około 1500 najezdników i rzucił popłoch aż do namiotu samego hana. Podrażniony tem nieprzyjaciel, ukazał się dnia 28. września pod wałami polskiego obozu i rozpoczął oblężenie, trwające do dnia 16. października. Nie pomogły jednakże wszelkie jego wysilenia, nie pomogło bombardowanie z dział 48-funtowych, wycieczki polskie — umiejętnie prowadzone — niszczyły oblężnicze roboty tureckie, a znakomita artylerya pod dowództwem Marcina Kątskiego, zrządzała straszliwe spustoszenia w szeregach nieprzyjacielskich. Stało się zatem tak jak król przewidywał, bo skoro tylko nadeszły słoty i zimna jesienne, zgłosił się sam Ibrahim z układami, używając za pośrednika hana tatarskiego. Dnia 16. października zawarto też traktat żórawiński. Dwie trzecie części Ukrainy wróciły pod zwierzchnictwo Rzeczypospolitej, Tatarzy zobowiązali się nie najeżdżać granic polskich i wypuścić z jassyru wszystkich niewolników, zabranych w tej wyprawie.

Walka wpływu austryackiego z francuskim. — Sprawa Radziwiłłówny. — Sejm z roku 1681. — Unia. — Kozaczyzna. Pokój żórawiński, uwalniający Rzeczpospolitę od wojny tureckiej i rozwiązujący ręce królowi, wywołał wielkie niezadowolenie zarówno w Wiedniu, jak i w Rzymie. Austrya obawiała się,

że teraz cała potęga Osmanów zwróci się do Węgier, Stolica apostolska pragnęła nieustającego boju z pogaństwem, ligi państw chrześcijańskich przeciw półksiężycowi. To też papież Innocenty XI., następca zmarłego w tym roku Klemensa X., zawezwał natychmiast Jana III. do zerwania żórawińskiego traktatu, a nuncyusz Martelli rozwinął pomiędzy duchowieństwem polskiem żywą w tym kierunku agitacyę. A i w kraju także powstało głośne narzekanie na pakta żórawińskie. Tasama szlachta, która opieszałością i skąpstwem swojem paraliżowała wojenne działania króla, która z garstką wojska kazała mu stawić czoło olbrzymiej potędze Ibrahima Szajtana, sarkała teraz, że nie odzyskano Podola z Kamieńcem i że część Ukrainy pozostawiono w rękach tureckich. Z tego usposobienia korzystał zręcznie kurfirszt i burzył przez przyjaciół swoich Wielkopolan, a z drugiej strony podawał rękę do zgody, ofiarując Janowi III. dla królewicza Jakóba Inflanty szwedzkie, które Polska w przymierzu z Moskwą i Brandenburgią zdobyć miała. Król jednak, wierny związkom z Francyą, zawarł układ z Ludwikiem XIV.,[1]) zobowiązując się do popierania Szwedów przeciw elektorowi, za co dwór francuski miał mu wypłacić 200.000 liwrów i dopomódz do odzyskania Prus książęcych. Chciwa i niedyskretna Marya Kazimira skorzystała z tej sposobności, aby przez brata swego hr. Maligny domagać się u Ludwika XIV. tytułu książęcego dla ojca swego markiza d'Arquien wraz z stosownem wyposażeniem. Ale wszystkie te zamiary i układy zależały od woli sejmu, od zapatrywań i usposobienia mas szlacheckich, traktujących kwestye polityczne ze stanowiska zagonowej swojej, lub co najwyżej prowincyonalnej polityki. Wiedziano o tem doskonale zarówno w Wiedniu jak i w Berlinie i oba dwory nie szczędziły zabiegów i pieniędzy na pozyskanie silnego stronnictwa w kraju, na najbliższym sejmie. Jakoż usiłowania te nie były bez skutku i sejmiki wielkopolskie, gdzie przeważały sympatye pruskie, zaleciły posłom swoim starania o odnowienie traktatów i zachowanie przyjaźnych stosunków z sąsiedniemi potencyami. Ruch tego rodzaju podawał odrazu w wątpliwość wszystkie zamiary i plany królewskie, stawiał Jana III. w najprzykrzejsze położenie względem aliantów, z którymi świeżo się połączył i groził już w tej chwili zupełnem ubezwładnieniem Rzeczypospolitej. Podobnie jak za czasów króla Michała spotykał się Sobieski i teraz z tymsamym prądem bezmyślnej polityki szlacheckiej i tak jak wtedy widział jedyny sposób ratunku w wywróceniu tej wielogłowej anarchii, w zaprowadzeniu władzy absolutnej, w przekształceniu Rzeczypospolitej na nowożytną monarchię. Ostrożnie zwierzył on się z tym planem margrabiemu de Bethune, chcąc wybadać z niego, czy i o ile mógłby liczyć na poparcie Francyi przy wykonaniu tak ryzykownego przedsięwzięcia.[2]) Margrabia doniósł o tem natychmiast swojemu dworowi i w miesiąc po tem otrzymał odpowiedź od Ludwika XIV., w której monarcha ten oświadcza, że nie widzi dla siebie korzyści w zaprowadzeniu absolutnej władzy królewskiej w Polsce i z tego powodu zaleca jak największą wstrzemięźliwość posłowi. Zanim list ten doszedł do Warszawy, rozstrzygnęły

[1]) Archiwum spraw zagranicznych, francuskie. T. III, str. 321.
[2]) Archiwum spraw zagranicznych, francuskie. T. III, str. 358.

się już losy polityki królewskiej, sejm uchwalił redukcyę wojska z 30.000 na 12.000 i zamknął w ten sposób Rzeczypospolitej drogę do korzystania z zawikłań europejskich.

Skrępowany pokojową polityką sejmu i opuszczony przez Francyą musiał zatem Jan III. poprzestać tylko na pośredniem wspieraniu Szwedów i powstańców węgierskich, oczywiście bez żadnych dla siebie i dla Polski korzyści. Pozwoliwszy na zaciąganie rozpuszczonych żołnierzy, dopomógł on Tekely'emu do opanowania górnych Węgier i chciał dopomódz Szwedom do pognębienia kurfirszta. Ale niechęć hetmana litewskiego Paca i sprzeniewierzenie generała szwedzkiego Benthorna udaremniły nawet i te skromne zamiary, a rozzuchwalony kurfirszt nie wahał się z pogwałceniem polskiego terytoryum wyrzucić korpus szwedzki wraz z owemi zaciągami polskiemi z Prus książęcych. Może być zresztą, że dotknięty ową — powyżej przytoczoną — odmową Ludwika XIV., nie poczuwał się Sobieski tak dalece do obowiązku wykonania zawartych z Szwecyą i Francyą traktatów, że obawiał się także ściągnąć na bezbronną Polskę wojny z Niemcami i kurfirsztem.

Uwaga jego zwracała się w tej chwili już w inną stronę, ku Moskwie i Turcyi, z któremi po rozbrojeniu Rzeczypospolitej koniecznie należało szukać pokoju i porozumienia. Moskale, korzystając z wojny polsko-tureckiej, zdobyli Czehryn, wzięli Doroszeńka do niewoli i ściągnęli tem na siebie mściwy odwet Osmanów. Wypuszczony z więzienia w Konstantynopolu Jerzy Chmielnicki poszedł jako sługa padyszacha wojować z Moskalami na Ukrainę. I dla cara zatem był traktat żórawiński podobnie niedogodnym jak dla Austryi. Polityka moskiewska schodziła się dziwnym zrządzeniem losu z pragnieniami kuryi rzymskiej, a obie znalazły niespodziewane w Konstantynopolu poparcie. Nowy wezyr, następca Achmeta Kiuprilego, Kara Mustafa, chłop gruby i fanatyk pod względem religijnym, przyjął jak najgorzej posła polskiego Jana Gnińskiego i — nie chcąc słyszeć nawet o zwrocie Podola — domagał się oddania Baru, Międzyboża, Kalnika i Niemirowa, w czem go utwierdzał poseł moskiewski, aby ciężar wojny tureckiej zwalić znowu na Polskę. W tak naprężonych stosunkach pękła nagle przyjaźń, łącząca dwór polski z Francyą. Marya Kazimira — obrażona na Ludwika XIV., że ojcu jej odmówił tytułu książęcego i pozwolił markizowi de Bethune zabrać jako posag żonie należny, 20.000 liwrów, które uzyskał stary d'Arquien ze sprzedaży swego stopnia oficerskiego — napisała list pełen wyrzutów do księcia Orleańskiego, a w Polsce wystąpiła stanowczo przeciw zaciągom francuskim dla malkontentów węgierskich. Z jej rozkazu rozpędzono oddział Kozaków, zebranych przez ajenta francuskiego i stracono pewnego oficera, trudniącego się zaciągami,[1]) a równocześnie król, wysławszy do Moskwy Michała Czartoryskiego, wojewodę wołyńskiego, zawarł z carem dalszy rozejm na lat 15. Moskale ustąpili Homla, Siewierza i Wieliża, a za Kijów i Smoleńsk, które zatrzymali jeszcze, wypłacili dwa miliony złotych. W ten sposób przygotowywał się stanowczy zwrot

[1]) Listy Jana Sobieskiego do żony Maryi Kazimiry, wraz z listami tej królewskiej rodziny etc. Wyd. Helcel. Str. 311—314.

w polityce polskiej. Jakoż sejm grodzieński, zebrany 14. grudnia 1678. roku, uderzył gwałtownie na zaciągi francuskie, uchwalił konstytucyę groźną „przeciw swawolnym kupom“ i zajął się przygotowaniami do wojny tureckiej. Myślano o wielkiej lidze mocarstw chrześcijańskich, nuncyusz Martelli zagrzewał publicznie — imieniem papieża — stany Rzeczypospolitej do walki za wiarę, król sam przedłożył sejmowi obszerny memoryał w tym względzie, wyznaczono komisyę do traktowania z posłami cudzoziemskimi, niezmierny zapał ogarnął wszystkich do tego stopnia, że wnioski królewskie przyjęto, wybrano radę z 116 osób złożoną do wykonania wojennych zamysłów, zgodzono się na pomnożenie sił zbrojnych do 43.000 i na nowe znaczne podatki. W istocie miała się rzecz inaczej. Przedsięwzięcie to było wielkie i trudne; żołd zaległy żołnierzom wynosił już 6,318.000 złotych, wydatki na nowe zaciągi obliczano na 17 milionów, a utrzymanie wojska rocznie na 20 milionów. Na to wszystko nie wystarczały podatki, a nadzieja obcej pomocy okazała się wątpliwą. Sam nuncyusz na konferencyi z komisarzami radził wprawdzie natychmiast wypowiedzieć wojnę Turkom, ale co do subsydyów przyrzekał znieść się „z Ojcem św. przez pocztę i za trzy miesiące dać odpowiedź“.[1]) Na obietnicach tego rodzaju nie mógł polegać żaden trzeźwy polityk, uśmierzono zatem zapał wojenny i wysłano do dworów chrześcijańskich poselstwa, w celu traktowania o ligę. Nie odniosły one spodziewanego skutku. Ludwik XIV., zawarłszy z cesarzem pokój w Nimwedze i pogodziwszy się z kurfirsztem brandenburskim w St. Germain en Laye (1679), zobojętniał zupełnie w sympatyach swoich dla Polski i Sobieskiego. Liga, ratująca Austryą w jej kłopotach węgierskich, nie odpowiadała jego widokom politycznym, nie miał też żadnego powodu popierać zamiarów Jana III., lecz przeszkadzał im w dobrze zrozumianym interesie własnym. Więc jak z jednej strony zgotował posłowi polskiemu w Wenecyi jak najgorsze przyjęcie, tak z drugiej strony przez Bethune'a i nowego sprzymierzeńca swego, kurfirszta, wywołał zawikłania, które skończyły się dotkliwą porażką Rzeczypospolitej i samego króla.

Córka znanego nam dobrze Bogusława Radziwiłła, wychowywała się po śmierci ojca (1669. roku) w Berlinie. „Wielce szanowny wuj“ umyślił wydać ją za swego syna Ludwika i zagarnąć w ten sposób ogromną fortunę radziwiłłowską na Litwie. Posażna jedynaczka miała konkurentów wielu. Starał się pomiędzy innymi o jej rękę Stanisław Radziwiłł, marszałek wielki litewski. Król chciał ją wyswatać synowi swojemu Jakóbowi, ale kurfirszt niedopuścił nikogo, a gdy w Polsce z tego powodu wszczął się hałas, przyprowadził jak najspieszniej małżeństwo z Ludwikiem do skutku i postępował przytem z taką perfidyą, że list, w którym uwiadamiał Jana III. o mającym nastąpić ślubie księżniczki, pisany 20. października 1680. roku, dostał się do rąk królewskich w sam dzień wesela, t. j. w styczniu 1680. roku.[2]) Fakt, że tą drogą Ludwik Hohenzollern stawał się właścicielem wielkich obszarów na Litwie, które przynosiły rocznie 600.000—700.000 złotych polskich dochodu i że dzierżył w swojem

[1]) List Grzymułtowskiego do Jana Opalińskiego t. c., str. 102.
[2]) Waliszewski: Archiw. fran., t. VII, str. 87.

ręku kilka twierdz, a pomiędzy niemi warowne Birże, nie mógł być obojętnym ani królowi, ani Rzeczypospolitej. Ale za tą intrygą pruską stał Ludwik XIV. i obrotna dyplomacya francuska, mająca w Polsce silnie zorganizowane stron-

August III.

nictwo. Ambasadorowie francuscy też na dworze polskim, stosując się do instrukcyj, jakie otrzymywali z Wersalu, gotowi byli raczej postarać się o zerwanie sejmu, niż dopuścić do jakichkolwiek uchwał, krzyżujących zamiary

Ludwika XIV. Obawiali się zaś oni tego tembardziej, gdy Jan III. — wierny raz powziętej myśli — zamierzał na sejmie roku 1681. przeprowadzić ligę z cesarzem, a prawdopodobnie i z Moskwą, przeciw Turkom. Ambasadorowie francuscy rozwinęli też czynność niezmierną; z jednej strony starali się pozyskać obietnicami urażoną na dwór wersalski Maryę Kazimirę, z drugiej werbowali dla siebie stronników, nie szczędząc pieniędzy i przyrzeczeń. Jakoż skoro tylko marszałkiem izby poselskiej został obrany Stanisław Hieronim Lubomirski, chorąży koronny, polecił natychmiast Ludwik XIV.,[1]) aby mu wypłacono zaległą pensyą za dwa lata, a cała litania kandydatów, poleconych do gratyfikacyj rozmaitych po sejmie przez ambasadorów francuskich gabinetowi wersalskiemu, świadczy wymownie tak o gorliwości tych dyplomatów, jak niestety i o upadku moralnym społeczeństwa polskiego.

Król, prawdopodobnie poinformowany o tych zabiegach, nie wspomniał w propozycyi sejmowej ani słowa o małżeństwie Radziwiłłówny, mimoto jednak powstał w izbie hałas wielki i odgrażanie przeciw kurfirsztowi i jego synowej. Przypuszczać można, że Jan III. chciał odstraszyć Brandenburczyka od mięszania się w inne ważniejsze sprawy sejmowe. Groźba zaboru dóbr radziwiłłowskich — o czem głośno mówiono i do czego Rzeczpospolita na mocy statutu litewskiego była zupełnie uprawniona — miała być hamulcem dla intryg francuskich i pruskich przeciw lidze. Jakoż zanosiło się na pomyślny dla planów królewskich przebieg sejmu. Uchwalono zawrzeć pokój i przymierze zaczepne z Moskwą, nuncyusz Pallavicini, następca Martell'ego, popierał gorliwie ligę, kiedy w ostatniej chwili zaprotestował przeciw dalszemu trwaniu sejmu Władysław Przyjemski, poseł kaliski. Wielkopolska była oddawna już ogniskiem knowań przeciw królowi, są ślady, że w roku 1675. zanosiło się tam na utworzenie konfederacyi, w cztery lata później — na sejmie grodzieńskim — mówiono wiele o pospolitem ruszeniu, które w Wielkopolsce miał zwoływać wojewoda brzeski Jan Opaliński, w zamiarach nieprzychylnych królowi.[2]) Obecnie zgłosił się do Niemirycza, wojewody kijowskiego, Przyjemski z oświadczeniem, że szlachta wielkopolska zamierza zwołać rokosz, aby króla zmusić do abdykacyi i powoływał się przytem na list Bethune'a, z którym tak on jak i wojewoda poznański Grzymułtowski w ścisłych byli stosunkach. Bethune mógł rzeczywiście — jak to wiemy — wiele zaszkodzić królowi w opinii u szlachty, a że pragnął się zemścić i na Maryi Kazimirze i na jej mężu, więc powątpiewać nie można, że Przyjemskiemu wiadomości ważnych udzielił, mianowicie co do owych absolutnych zamiarów królewskich. Wszczął się więc na sejmie hałas wielki, nacierano na Niemirycza, aby zwierzenia Przyjemskiego publicznie w izbie ogłosił, ale ambasadorowie francuscy, nie chcąc kompromitować Bethune'a i swojego dworu, przeszkodzili skandalowi, zachowując sobie oczywiście Przyjemskiego na stosowną chwilę.[3]) Obecnie, gdy już sejm miał dochodzić i zamiary ligi dojrzewały, popchnięto go do protestacyi, zaprotestował on w istocie i odjechał „końmi wojewody Grzymuł-

[1]) Waliszewski: Archiw. fran., t. VII, str. 116.
[2]) Źródła dziejowe, t. I, str. 103.
[3]) Waliszewski: Archiw. fran., t. VII, str. 116.

towskiego", przyjaciela kurfirszta i wiernego stronnika Francyi. Tak — dzięki intrygom francuskim i brandenburskim — rozwiały się plany królewskie i jeden kurfirszt tylko tryumfował, bo za obietnicę 40.000 talarów i zaręczenie pisemne, że przeciw królowi działać nie będzie, ani też wrazie śmierci Jana III. forytować syna swego na tron polski, zagarnął dla Hohenzollernów ogromną fortunę radziwiłłowską.

A jakby i te niepowodzenia nie wystarczały na pognębienie bohaterskiego monarchy, rozbiły się równocześnie prawie usiłowania jego, zmierzające do połączenia dyzunitów z unitami, rozszedł się na niczem synod, w tym celu zwołany do Lublina w roku 1680. i drugi, zebrany w Warszawie w r. 1681. Pomyślniej udało się zorganizowanie Kozaczyzny polskiej w pozostałej części Ukrainy pod dowództwem Kunickiego, który w wojnie tureckiej z lekką jazdą swoją niemałe królowi i wojsku polskiemu oddał usługi.

Sejm w roku 1683. — Przymierze z Austryą. — Wyprawa wiedeńska. — Liga z roku 1684. Przyczyną klęski, jaką poniósł Jan III. w roku 1681., były nietylko intrygi francuskie i brandenburskie, ale także stanowisko mocarstw, które miały wziąć udział w lidze przeciw Turkom. Moskwa bowiem zawarła z Portą pokój na lat 20, a cesarz Leopold I. — ufając zabiegom posłów swoich w Konstantynopolu — mniemał, że w drodze układów uda się burzę wojenną zażegnać. Usiłowania dworu polskiego i nawoływania Stolicy apostolskiej spotykały się z dziwną obojętnością stron interesowanych; rada notablów austryackich, zwołana na 11. sierpnia 1682. roku do Wiednia, oświadczyła się za pokojem z Turkami, a za wojną z Ludwikiem XIV.,[1]) który zabrawszy niedawno Strassburg, gotował się do dalszego wykonania słynnych swoich reunionów.

Dopiero poselstwo Caprary do Konstantynopola odsłoniło dworowi wiedeńskiemu całą grozę położenia. Dnia 12. maja 1682. r. donosił Caprara, że w Konstantynopolu wszystko do wojny gotowe, a zaledwie list ten mógł dojść do Wiednia, kiedy z północnych Węgier hiobowe nadbiegły wieści, że Tekely zdobył Koszyce i twierdzę Fillek, uważaną za klucz do górnej części królestwa. Na dworze padyszacha powstała wielka radość z tego powodu, dnia 6. sierpnia wystawiono przed pałacem Wysokiej Porty buńczuk, zapowiedź wyjazdu sułtana, a 29. września wręczył poseł sułtański Tekely'emu firman, mianujący go królem węgierskim. Wszystkie te powodzenia zawdzięczał naczelnik malkontentów węgierskich nietylko pomocy tureckiej, ale i poparciu dworu francuskiego. Oprócz zasiłków pieniężnych — w kwocie 30.000 liwrów miesięcznie — dostarczano mu z Polski za staraniem ajentów Ludwika XIV. ochotników, informowano o położeniu politycznem, dodawano utuchy i nieszczędzono obietnic. Sąsiednia Polska była więc zbrojownią i kancelaryą dyplomatyczną dla powstańców węgierskich, wrazie niepowodzenia zaś bezpiecznem schronieniem. Trwało to tak długo, jak długo dwór polski w ścisłych z Ludwikiem XIV. zostawał stosunkach, ale od roku 1679. oziębła przyjaźń serdeczna

[1]) Onno Klopp: Das Jahr 1683 und der folgende grosse Türkenkrieg bis zum Frieden von Carlovitz 1699. Graz 1882. S. 120.

i zaczęła się podziemna robota ambasadorów francuskich w Polsce, przeciw królowi i jego polityce.

Zawiązawszy spółkę z kurfirsztem brandenburskim, werbowali oni stronników i stworzyli w Rzeczypospolitej potężną partyą, która była gotowa, na skinienie z Wersalu nietylko przeszkadzać zamiarom królewskim, ale nawet pokusić się o detronizacyę tego, którego sama na tron wyniosła. Zerwanie sejmu w r. 1681. i towarzyszące temu okoliczności przekonały Jana III., że w Rzeczypospolitej obok jego rządu istnieje rząd inny, tajemny, działający wbrew jego woli i intencyom, a złożony z najpierwszych dygnitarzy w kraju. Głową stronnictwa był podskarbi Andrzej Morsztyn, a około niego grupowali się pierwsi senatorowie i przedstawiciele najznakomitszych rodzin w Polsce, a więc Lubomirscy, wojewoda ruski Andrzej Potocki i hetman Jabłonowski, na Litwie Sapiehowie, a w Wielkopolsce Grzymułtowski. Jedni z nich pobierali wprost znaczne pensye od Ludwika XIV., innym schlebiały ścisłe — jak im się zdawało — z monarchą tak potężnym stosunki, a byli i tacy, którzy za zaszczyt poczytywali sobie, że mogą się zaliczeć pomiędzy poddanych Ludwika XIV. Korrupcya tego rodzaju, niezgodna z dzisiejszemi naszemi wyobrażeniami, nie raziła wtedy nikogo. Ludwik XIV. wydawał na ten cel rocznie 50 milionów, płacił mianowicie królowi angielskiemu 500.000 talarów, kurfirsztowi brandenburskiemu 100.000, dawał subwencyę elektorowi bawarskiemu, opłacał hojnie ministrów na rozmaitych dworach europejskich — niestanowiła więc i Polska wyjątku z ogólnej reguły. Ale wszędzie zresztą rząd silny i tron dziedziczny ubezpieczały panującego od zamachów stanu, tylko losy elekcyjnego tronu polskiego zawisły od zmiennego usposobienia szlacheckich elektorów, ulegających bezwiednie niemal wpływom możnowładczym. Jeżeli więc Jan III. pragnął synowi zapewnić koronę, jeżeli sam chciał uniknąć losu swego poprzednika, to musiał przedewszystkiem stronnictwo francuskie złamać i upokorzyć, musiał — co było naturalnem już tego następstwem — szukać oparcia w związkach z Austryą. Dogadzało to osobistemu jego wojowniczemu usposobieniu, pragnieniom narodu, upokorzonego utratą Podola i Kamieńca i ambitnym zamiarom Maryi Kazimiry, która pałała zemstą przeciw Francyi i szukała dla syna swego stosownych związków małżeńskich w domu cesarskim.

Wszystkie wymienione co tylko okoliczności tłumaczą nam dostatecznie zwrot w polityce zewnętrznej Jana III. Niezrażony zerwaniem ostatniego sejmu, trwa on dalej w zamiarze utworzenia ligi przeciw Turkom i kiedy dnia 16. kwietnia 1682. roku przyjechał na dwór polski nowy rezydent cesarski Zierowski, wystarcza jeden memoryał z jego strony, aby taktykę dworu polskiego w sprawie węgierskiej zmienić zupełnie. Na rozkaz królewski wypędzono więc natychmiast ajenta francuskiego du Vernaya z Niemirowa, zabroniono wspierania powstańców węgierskich, przecięto komunikacyę dyplomatyczną, odbywającą się gościńcem koło Skolego przez kuryerów francuskich i zaczęto systematycznie przejmować depesze, wysyłane do Berlina. Vitry, ambasador Ludwika XIV., donoszący skrzętnie dworowi swemu o tych zmianach, był jednak dobrej myśli. Zdawało mu się, że mając potężne w kraju stronnictwo, które teraz nanowo organizował i wzmacniał, zdoła zniweczyć wszelkie

plany królewskie na sejmie, a w ostateczności sejm zerwać. Ale Jan III. okazał się zręczniejszym od niego politykiem. Dowiedziawszy się z przejętych listów Morsztyna o knowaniach stronnictwa francuskiego, postarał on się na sejmie roku 1683. o wytoczenie procesu podskarbiemu, oszczędzając rozumnie narazie jego wspólników, których usiłował zadowolnić nawet przy rozdaniu wakansów. Jabłonowski otrzymał po Wiśniowieckim wielką buławę, mniejsza dostała się Sieniawskiemu, nieprzyjacielowi królowej, Andrzej Potocki został wojewodą krakowskim. Pomiędzy szlachtą wszczął się na wiadomość o senzacyjnych odkryciach króla rumor niemały, oburzenie powszechne zwróciło się przeciw Francuzom i stronnictwu francuskiemu, skóra zadrżała na skompromitowanych. Może być, że w innych warunkach chwyconoby się jako ostatecznego środka zerwania sejmu, ale król oświadczył wprost, że w takim razie sam zwoła pospolite ruszenie czyli sejm konny i odda winnych pod sąd całej szlachty.[1]) Wobec podobnej alternatywy trzeba było ugiąć karku; Morsztyn złożył urząd podskarbiowski i przeniósł się do Francyi, opozycya przycichła. Tymczasem dyplomacya austryacka pracowała usilnie nad pozyskaniem Polski. Wojna turecka była nieunikniona; Caprara donosił dnia 12. grudnia 1682. r. z Adryanopola, że żadnej nadziei pokoju niema. W Wiedniu zaczęto więc krzątać się pilniej; cesarz pozyskał elektorów bawarskiego i saskiego, z księciem lüneburskim zawarł umowę o dostarczenie 10.000 ludzi, za co miał płacić 50.000 talarów miesięcznie, ale ostatecznie klucz sytuacyi leżał w Polsce i stamtąd tylko można się było spodziewać skutecznej pomocy. Wysłano zatem do Warszawy hr. Althanna, następnie nadzwyczajnego posła hr. Waldsteina i oni to z Zierowskim i nuncyuszem Pallavicinim wzięli się energicznie do dzieła. Wobec systemu korrupcyjnego, wprowadzonego przez dwór wersalski do Polski, musiał przy tych zabiegach pieniądz niepoślednią odgrywać rolę, ale rozstrzygającą bądźcobądź była wola króla i interes Rzeczypospolitej, zagrożonej w swojem bezpieczeństwie od ściany węgierskiej.

Rokowania, podjęte już w styczniu roku 1683., prowadzone dalej podczas sejmu przez osobną komisyę, złożoną z senatorów i posłów, chwiały się tak długo, jak długo partya francuska miała potęgę i znaczenie. Dnia 16. marca spadł grom na Morsztyna, misterna robota gabinetu wersalskiego rozsypała się w gruzy i w dwa tygodnie później (dnia 31. marca) stanęło zaczepno-odporne — przez papieża zagwarantowane — przymierze pomiędzy Polską a Austryą przeciw Turcyi. Leopold I. zrzekał się wszelkich praw swoich do Rzeczypospolitej z powodu posiłków, przysłanych na wojnę szwedzką, a zahypotekowanych na salinach wielickich, przyrzekał wyjednać u króla hiszpańskiego zwrot zaległych procentów od sum neapolitańskich i medyolańskiej puścizny po Bonie, wystawić 60.000 wojska i na koszta wojenne wypłacić królowi 200.000 złotych polskich.

Jan III. zobowiązywał się dostarczyć 40.000 ludzi i prowadzić wojnę na południu wcelu odzyskania Podola i Ukrainy i rozerwania tym sposobem sił tureckich. Wrazie oblężenia Wiednia lub Krakowa pospieszy każdy z monar-

[1]) Archiw. franc. T. VII, str. 336.

chów w pomoc sprzymierzeńcowi, a ten, który obecnym jest w obozie, ma nad całą armią naczelne dowództwo. Żadna z stron kontrahujących nie może zawierać pokoju osobnego z nieprzyjacielem, chociażby pod najkorzystniejszemi dla siebie warunkami, bez zezwolenia drugiego sprzymierzeńca.[1]) Że poza tym oficyalnym aktem przymierza istniały zapewne artykuły tajne lub przynajmniej obietnice uroczyste ze strony dworu wiedeńskiego, co do małżeństwa królewicza Jakóba i sukcesyi po śmierci Jana III., tego domyślać się można, jakkolwiek podstawy realnej brakuje. Sojusz z cesarstwem odpowiadał w tej chwili więcej intencyom króla i interesom Rzeczypospolitej niż związek z Francyą, polegający na obietnicach wątpliwej bardzo wartości.

Ostatnie wypadki przekonały Jana III., że Ludwik XIV. gotów był najlepszych swoich przyjaciół poświęcić samolubnym celom własnej polityki, podczas gdy Austrya — związana z Polską wspólnością interesów — do czasu przynajmniej musiała postępować szczerze i bez obłudy. W tych warunkach zatem było przymierze z cesarzem dość korzystną, chociaż korzystniejszą dla Austryi niż dla Polski, kombinacyą. Leopold I., zagrożony bezpośrednio przez potęgę Osmanów, zyskiwał w Rzeczypospolitej silnego alianta, a przez wpływy Jana III. odwodził nawet powstańców węgierskich od zbyt czynnego udziału w wyprawie wiedeńskiej. Polskę zabezpieczało przymierze przed nawałą turecką, którąby wrazie pokonania Austryi sama wytrzymać musiała i stawiało w perspektywie — prawda, że oddalonej — odzyskanie Podola z Kamieńcem.

Zawarłszy traktat, przystąpił sejm natychmiast do jego wykonania. Tak zwany skrypt „ad archivum“ postanawiał pomnożenie wojska do 36.000, z tego 24.000 przypadało na Koronę, a 12.000 na Litwę, które wyłącznie tylko na wojnę turecką użyte być miały. Oprócz tego zaciągnął na żołd cesarski ochotników Hieronim Lubomirski, komandor zakonu Joannitów w Polsce, stąd zwykle „kawalerem“ zwany. On też pierwszy z pułkami swojemi wyruszył w pomoc cesarskim i — połączywszy się z wojskiem księcia Lotaryńskiego — wziął udział w bitwie pod Preszburgiem, stoczonej z Turkami i Węgrami dnia 29. lipca i znacznie do zwycięstwa się przyczynił.[2])

Tymczasem ogromna armia turecka, złożona z 310.000 ludzi,[3]) stanęła pod dowództwem wielkiego wezyra Kary Mustafy dnia 24. czerwca w Osieku i ruszyła stamtąd na Stuhlweissenburg ku twierdzy Raab, dążąc pod Wiedeń, Olbrzymiej tej potęgi niemógł powstrzymać oczywiście książe Karol Lotaryński. generalissimus wojsk cesarskich, mający pod swojem dowództwem 32.600 żołnierzy i 56 dział.[4]) Ograniczając się zatem do obserwacyi ruchów nieprzyjacielskich i staczając z Turkami drobne potyczki, cofnął on się ostatecznie pod Jedlsee, rzuciwszy poprzednio znaczny oddział piechoty na wzmocnienie załogi wiedeńskiej, która wynosiła teraz około 12.000 ludzi. Naczelne dowództwo nad nią objął hr. Rüdigier Stahremberg. Wiedeń, słabą opatrzony załogą i kilkanaście

---

[1]) Kluczycki: Akta do dziejów Jana III, a osobliwie do wyprawy wiedeńskiej. Str. 63.

[2]) Kluczycki: Akta do dziejów Jana III, a osobliwie do wyprawy wiedeńskiej, str. 203 i list księcia Lotaryńskiego.

[3]) Das Kriegsjahr 1683 nach Acten des k. k. Kriegsarchivs. Wien 1883. S. 53.

[4]) Onno Klopp, l. c, str. 188.

tysięcy jazdy na polach morawskich, to były w tej chwili jedyne podstawy potęgi cesarskiej, ostatnia nadzieja Austryi. Toż nic dziwnego, że z Lincu — dokąd cesarz Leopold I. przesiedlił się z całym dworem dnia 7. lipca — i z obozu księcia Lotaryńskiego biegł list za listem do Polski, błagalne o pomoc zanosząc prośby. Ale uzbrojenie liczniejszego wojska nie było w owych czasach rzeczą łatwą, szczególniej w państwie tak rozległem i pozbawionem komunikacyjnych środków jak Polska. Upływał więc tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a pomoc nie nadchodziła. Tymczasem Turcy, obegnawszy Wiedeń ze wszystkich stron, rozpoczęli dnia 14. lipca oblężenie, kierując atak w stronę Burgu, którą uważali za najsłabszą. Naczelne dowództwo objął tu sam Kara Mustafa, do robienia podkopów użył jeńców chrześcijańskich i prowadził dzieło zniszczenia z taką energią, że już 15. lipca ustawiono bateryę z 30 dział i rozpoczęto bombardowanie. Po trzech tygodniach takiego oblężenia znajdowało się miasto w stanie rozpaczliwym, hr. Kaplirz donosił księciu Lotaryńskiemu: „Enfin niebezpieczeństwo jest większe, niż wypowiedzieć i opisać można“.

Uwiadomiony o tem groźnem położeniu król Jan III. nie zwlekał już dłużej z odsieczą i — nie czekając na wojsko litewskie i Kozaków — skoncentrował armią koronną około Krakowa, ku Żywcowi pchnął generała Łazińskiego i sam wreszcie — pomodliwszy się poprzednio przed cudownym obrazem N. P. Maryi w Częstochowie — wyruszył dnia 15. sierpnia przez Tarnowskie Góry, Szląsk i Morawią ku Dunajowi.

Nieprzyjaciel — czy to że zanadto ufał swojej potędze, czy też że nie spodziewał się tak rychłej odsieczy — nie przedsiębrał nic takiego, coby mogło utrudnić połączenie i pochód dalszy wojsk sprzymierzonych pod Wiedeń. Bez przeszkody więc spotkały się obie armie w równinie tulneńskiej (dnia 7. września) i przeprawiły się, pomimo dobrych mostów, z wielką trudnością na drugą stronę Dunaju. Dowództwo naczelne nad wojskiem całem objął — stosownie do postanowień traktatu z 31. marca — król polski i uspokoiwszy zręcznie spory o pierwszeństwo pomiędzy obecnymi w wojsku elektorami (bawarskim i saskim), książętami i Karolem Lotaryńskim, zwołał radę wojenną, na której postanowiono przez góry lasu wiedeńskiego przeprowadzić armią na Kahlenberg i stamtąd uderzyć na nieprzyjaciela. Po bardzo uciążliwym trzydniowym marszu stanęły nareszcie wojska sprzymierzone 11. września na szczytach Kahlenbergu, skąd otwierał się wspaniały widok na oblężone miasto i olbrzymi obóz turecki. Kilka strzałów armatnich zwiastowało przygnębionym Wiedeńczykom przybycie tyle upragnionej odsieczy, a rakiety — wypuszczane co chwila z wieży św. Szczepana — dały znać sprzymierzonym, że oblężeni zrozumieli umówione sygnały. Wielki dzień 12. września 1683. roku rozpoczęło wojsko uroczystem nabożeństwem; w kaplicy św. Leopolda wysłuchał król mszy św., którą odprawiał Kapucyn ks. Marek d'Aviano, pasował — średniowiecznym obyczajem, na pamiątkę największego dnia w swojem życiu — królewicza Jakóba rycerzem i dosiadłszy konia, pospieszył na pole bitwy, skąd oddawna już dochodził grzmot armatnich strzałów i gęsta strzelanina z broni ręcznej. Siły wojsk sprzymierzonych wynosiły prawdopodobnie 76 000

ludzi, pomiędzy tem 26.000 Polaków. Kara Mustafa wyprowadził w pole co najmniej 107.000 ludzi, podczas, gdy reszta zajętą była szturmowaniem Wiednia. Oprócz liczebnej przewagi pomagało Turkom znacznie dogodne położenie, pola pełne winnic i pagórków, utrudniające w wysokim stopniu pochód wojsk sprzymierzonych, szczególniej wojska polskiego, złożonego przeważnie z jazdy. Około godziny 8-mej zrana zeszły wreszcie chorągwie polskie z Kahlenbergu i zajęły prawe skrzydło, wśrodku stanęły wojska posiłkowe saskie i bawarskie, na lewem skrzydle przy Dunaju książe Lotaryński z armią cesarską. Wkrótce zawrzała bitwa na całej linii i toczyła się z niepewnym skutkiem aż do godziny 1-szej. Dopiero wtedy bowiem dostały się z winnic i leśnych wąwozów chorągwie polskie na równinę i w blaskach wrześniowego słońca zajaśniały nagle, jak zorza wspaniała, stalowe pancerze, zaszumiały skrzydła hussarzy i zagrała artylerya Kątskiego. Na ten widok upragniony zabrzmiały w niemieckich szeregach radośne okrzyki, książe Karol Lotaryński dał znak do dalszej walki, nieprzyjaciel zdumiony przestraszył się i zachwiał. Kara Mustafa kazał więc rozwinąć chorągiew proroka, rzucił na lewe skrzydło swoje największe i najlepsze siły i uderzył z rozpaczą na skrzydlate zastępy polskie. Ale tłumy barbarzyńców nie wytrzymały natarcia, którem kierował król osobiście, w najtęższym stojąc ogniu. Po krótkim boju pierzchły roty janczarów i pułki spahów, a widok uciekających wywołał panikę wśrodku i na prawem skrzydle tureckiem, tak, że wojska niemieckie, nie mając już z kim walczyć, biegły na pomoc Polakom.

„Przybiegały tedy do mnie — tak pisze król — książęta, jakoto elektor bawarski, Waldek, ściskając mnie za szyję, a całując w gębę, generałowie zaś w ręce, w nogi; cóż dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawaleryi i infanteryi wołały: „Ach unser brave Kenik!“ Późno w nocy, gdy się uciszył cokolwiek gwar obozowy, zasiadł Jan III. do zwykłej z żoną korespondencyi. „Bóg i Pan nasz — pisał pod wrażeniem dnia niezapomnianego — na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały“. Proste te słowa oddają znaczenie wiedeńskiej bitwy lepiej, niż najbardziej szczegółowe opisy. Pomimo, że historycy niemieccy zasługę główną zwycięstwa przypisują księciu Lotaryńskiemu, bezstronniejsze źródła współczesne[1]) widzą w Janie III. i hussaryi polskiej właściwych zbawców Wiednia i chrześcijaństwa. Jakoż wątpić nie można, że bez pomocy polskiej musiałaby była stolica Austryi uledz potędze nieprzyjacielskiej, a sam fakt, że Turcy główne siły swoje rzucili na skrzydło polskie i że królowi z samym wezyrem „łamać się“ przyszło, świadczy wymownie o tem, kto bitwę rozstrzygnął i zwycięstwa dokonał.[2]) Ale jak dziś tak i wtedy nie była wdzięczność cnotą pospolitą. Natychmiast po bitwie ustał zapał i przyjaźń, jaką okazywano przedtem Polakom. Wojsko królewskie zostawiono

[1]) Kluczycki: Relacya ks. Anhalckiego, przesłana elektorowi brandenburskiemu. Akta str. 383.

[2]) Dzieło austryackiego sztabu generalnego („Das Kriegsjahr 1683 etc.“) stronniczo napisane i nieprzechylne Polakom, powikławszy się w sprzeczności, musi wkońcu przyznać, że natarcie kawaleryi polskiej zdecydowało los bitwy. Por. str. 259.

w polu czystem, za miastem, żywności ani paszy dla koni nie dawano, chociaż papież na ten cel znaczne łożył sumy, do miasta żołnierzy polskich puszczać nie chciano, pojedynkiem chodzących obdzierano, wozy rabowano, a nawet pazia królewskiego zraniono srodze.

O dalszem ściganiu nieprzyjaciela nikt nie myślał, chociaż król naglił i oświadczał, że dłużej nad sześć dni dla braku paszy pod Wiedniem zostać

Stanisław Staszyc.

nie może. Oficerowie niemieccy jednak, zabawiając się w oswobodzonej stolicy, czekali na cesarza. Nadjechał on 14. września i po długich ceregielach spotkał się z Janem III. w polu pod Szwechatem.

Przywitanie było „ludzkie“, ale sztywne i chłodne, Leopold I. nie okazał nawet tyle grzeczności, aby się odkłonić królewiczowi Jakóbowi i hetmanom, którzy go witali. „Wojsko okrutnie też było żałosne i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodził“.

Mimo tych przykrych doświadczeń, zamierzał Sobieski poprowadzić armię sprzymierzoną wprost pod Budę i zdobyciem stolicy węgierskiej zakończyć tak świetnie rozpoczętą kampanię. Ale posiłkowe wojska niemieckie sądziły, że na oswobodzeniu Wiednia skończyło się ich zadanie. Elektor saski powrócił natychmiast do domu wraz z korpusem swoim, wynoszącym 11.000 ludzi, Waldek zachorował, a Bawarczycy byli znużeni i zniszczeni wojną. Tak więc tylko Polacy i cesarscy ruszyli 18. września ku Preszburgowi i — pominąwszy warowny Najhajzel — zwrócili się ku Ostrzyhomowi. Pod Parkanami król, idący zawsze w przedniej straży, poniósł dnia 7. października znaczną porażkę, wskutek demoralizacyi wojska, trapionego chorobami i niedostatkiem, nazajutrz jednak — połączywszy się z księciem Lotaryńskim — pobił na głowę Turków i zdobył Ostrzyhom, siedzibę prymasów węgierskich, zostającą od lat 142 pod panowaniem półksiężyca. Na tem skończyły się działania wojsk sprzymierzonych. Dżdżysta jesienna pora, zimna i choroby niepozwalały podejmować dalszej wyprawy na odzyskanie Budy. Król — pomimo listów natarczywych z kraju, wzywających do powrotu, i niechęci wojska — zamierzał przezimować w Węgrzech i z wiosną wojnę prowadzić dalej. Stosownie do umowy, wyznaczono armii polskiej kwatery w północnych Węgrzech, które dzierżył Tekely. Zdawało się przez chwilę, że wódz powstańców węgierskich — układający się od dłuższego czasu za pośrednictwem króla polskiego z cesarzem — nie będzie się sprzeciwiał temu zarządzeniu, że wreszcie opuści sprawę turecką i pojedna się z Austryą. Słuchano tego w Wiedniu dość chętnie jak długo miecz pogański wisiał nad karkiem, ale skoro niebezpieczeństwo minęło, wróciła dawna duma i pycha, nie chciano ani amnestyi malkontentom węgierskim udzielić, ani Tekely'ego wynagrodzić. On sam też zbłądził niemało, stawiając dość wygórowane warunki, a teraz — zamiast czekać na Sobieskiego i z nim się porozumieć — uciekł z żoną do Debreczyna, zamki warowne poobsadzał załogami tureckiemi i ludność podburzył przeciw Polakom. Zamiast wygodnych kwater zimowych zastali więc nasi w północnych Węgrzech bandy partyzantów, okrążających wojsko dokoła, musieli przebywać liczne rzeki, piąć się po niedostępnych górach wśród mrozów i zawieruchy, a od czasu do czasu zdobywać zamczyska — leżące po drodze — z wielką uciążliwością i stratą w ludziach. Zaczęło zatem wojsko narzekać i tęsknić do domu, król sam zniecierpliwiony skarżył się głośno na niewdzięczność sprzymierzeńca, a gdy przyszło zdobywać Koszyce i Preszów i krwią dobrze oblewać hyberny, postanowił wojsko poprowadzić do Polski. Zostawiwszy część wojska litewskiego, które niedawno dopiero nadeszło, na Spiżu, a oddział Kozaków w Ungwarze, ruszył sam do Lubowli, a stamtąd po zawalnych śniegach podążył do Starego Sącza, gdzie go oczekiwała ukochana Marysieńka.

Tak skończyła się pamiętna w dziejach Polski i świata całego wyprawa wiedeńska. Zamknęła ona godnie pierwszy i najpiękniejszy okres panowania Jana III., czas najświetniejszych tryumfów i niemiłych rozczarowań. Pomimo demoralizacyi społeczeństwa i upadku ducha obywatelskiego w narodzie, zajaśniała Polska raz jeszcze wspaniałym blaskiem bohaterskich czynów i prawdziwego poświęcenia dla sprawy chrześcijaństwa i cywilizacyi. Rozpocząwszy

swój zawód dziejowy pod znakiem krzyża św., kończyła go na czele nowożytnej krucyaty w stanowczej walce z barbarzyństwem i pogaństwem. Zwycięstwo wiedeńskie było ostatnim blaskiem zachodzącego słońca Rzeczypospolitej; po dniach tryumfu i sławy zaczynała się epoka prostracyi i niesłychanego upadku.

Wzmocnienie ligi. — Wyprawa Jabłonowskiego na Bukowinę. — Traktat grzymułtowski. — Król Jan na Wołoszczyźnie. — Sejmy. — Sprawa Radziwiłłówny. Zaledwie ucichła wrzawa wojenna, rozpoczęły się natychmiast prace dyplomatyczne. Podług uchwały sejmowej z roku 1683. miano zaprosić do udziału w lidze wszystkie mocarstwa chrześcijańskie, starać się o pokój stały z Moskwą i wciągnięcie tego państwa do wojny tureckiej. Ale zabiegi te, połączone z wielkiemi trudnościami, odniosły narazie tylko ten skutek, że Rzeczpospolita wenecka przystąpiła do ligi. Poselstwo polskie — złożone z Grzymułtowskiego, wojewody trockiego Marcyana Ogińskiego i Chreptowicza — wyruszyło wprawdzie przy końcu roku 1683. na traktaty z Moskwą do pogranicznego Kadzynia (w województwie mścisławskiem), dla braku pełnomocnictwa jednak i intryg podkanclerzego Tracha Gnińskiego nic zdziałać nie mogło. W Moskwie panowali natenczas małoletni carowie Iwan i Piotr, właściwie atoli dzierżyła ster rządów w rękach swoich ambitna ich siostra Zofia i ulubieniec jej kniaź Golicyn. Nie zapalając się wcale do ligi, prowadzili Moskale politykę trzeźwą i praktyczną, domagali się mianowicie naprzód wieczystego pokoju z Polską, a gotowi byli — wrazie gdyby do tego nie przyszło — każdej chwili porozumieć się z Turcyą i Rzeczypospolitej wojnę wypowiedzieć. Postępowanie posłów moskiewskich zależało też od powodzenia armii chrześcijańskiej, zwycięstwo pod Wiedniem i pomyślne postępy oręża polskiego na Ukrainie i Wołoszczyźnie, skąd Kunicki — hetman Kozaków polskich — wypędził hospodara Petryczajkę, usposobiły ich cokolwiek łagodniej, ale wiadomość o porażce pod Parkanami nowe wywołała trudności. Ostatecznie rozeszła się konferencya kadzyńska na niczem, wyprawa Jana III. na Kamieniec skończyła się (w roku 1684.) na zdobyciu Jazłowca. W takich warunkach zebrał się sejm w roku 1685. Miał on obmyśleć zapłatę wojska, które z wyprawy wiedeńskiej „bose“ wróciło do domu i środki na dalsze prowadzenie wojny. Ale już na samym początku wszczęła się burza wielka z powodu, że sejm zwołano nie do Grodna — jak należało — lecz do Warszawy, a gdy Litwinów w tym względzie ułagodzono, uderzył starosta żmudzki Pac w spółce z Sapiehami na króla za to, że Janowi Ogińskiemu nadał buławę polną litewską, a Marcyanowi pieczęć mniejszą, obie przed sejmem, co obie rodziny możnowładcze uważały za krzywdę, wyrządzoną sobie. Tak jak butna oligarchia w izbie w obronie rzekomych praw swoich, tak Grzymułtowski w senacie wystąpił z ostrą krytyką administracyi skarbowej, przedstawiając, jak niedostateczne są dochody z ceł i jak łatwo przyszłoby z tego źródła pokryć wydatki na utrzymanie piechoty. Było w tych zarzutach cokolwiek prywaty, bo wojewoda oddawna już ubiegał się o dzierżawę ceł i ofiarował za to dość znaczne podwyższenie dochodów, ale przyznać trzeba, że słusznie krytykował i narzekał, bo gospodarka finansowa Rzeczypospolitej była w istocie w opłakanym stanie. W polityce zewnętrznej nastąpiła o tyle zmiana, że wyprawiono do

Francyi kanclerza Wielopolskiego, aby z Ludwikiem XIV. przyjaźniejsze nawiązać stosunki, ale równocześnie utrzymano w mocy komisye, przeznaczone do układów z państwami pogranicznemi, co oczywiście w pierwszej linii odnosiło się do Moskwy. Tymczasem przyszła do skutku wyprawa hetmana Jabłonowskiego na Bukowinę (r. 1685.), zakończona chlubnym odwrotem armii polskiej i mająca znaczenie dywersyi dla wojsk cesarskich, które zdobyły warowny Najhajzel.

Nowe to niepowodzenie i cała polityka austryackiego dworu dotknęły mocno Jana III. Leopold I., wchodzący właśnie w ligę antifrancuską z Hiszpanią i Hollandyą, zaczynał widocznie lekceważyć sobie sprzymierzeńca polskiego. Arcyksiężniczkę Maryę Antoninę, którą obiecywano królewiczowi Jakóbowi, wydał cesarz za elektora bawarskiego, aby go w ten sposób od Francyi odciągnąć, papież robił trudności królowi w obsadzaniu opactw polskich, wstrzymywał prekonizacyę Wydźgi na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wreszcie nadał kapelusz kardynalski — wbrew intencyom króla — Michałowi Radziejowskiemu, biskupowi warmińskiemu, synowi osławionego Hieronima i podobnemu jak ojciec intrygantowi.

Nic dziwnego zatem, że Jan III. ostygł znacznie w sympatyach swoich dla ligi i że trzeba było użyć nowych środków, aby go skłonić do dalszego udziału w wojnie. Wysłany w tym celu Jezuita ks. Vota, umiał uderzyć w religijną stronę i przekonać pobożnego króla; z drugiej strony ofiarowano Sobieskiemu Wołoszczyznę i Mołdawią dla królowicza Jakóba, cesarz przyrzekał zbrojną pomoc do zdobycia obu tych prowincyj. Tyle razy zawiedziony w swoich nadziejach, zdecydował się Jan III. mimoto na krok stanowczy. Krzysztof Grzymułtowski, wysłany do Moskwy, zawarł w roku 1686. wieczny pokój z carami, odstępując Moskwie oprócz Smoleńska, Czernichowa, Drohobuża i Staroduba, Kijów z pięciomilowym okręgiem na zawsze. W zamian za to obowiązywali się Moskale wypłacić 1,500.000 talarów i prowadzić wojnę z Tatarami, oczywiście we własnym interesie, aby gniazdo rozbójnicze wyplenić i Krymem kiedyś zawładnąć. Dla widoków niepewnych i nadziei zwodniczych pozwalano w ten sposób urość potędze moskiewskiej, odstępowano ziemie, krwią polską obficie oblane, marnowano niebacznie owoce wielkich zwycięstw Stefana i Zamoyskiego, po to, aby w wyprawie na Wołoszczyznę — podjętej w lecie 1686. roku — nie zastać obiecywanych posiłków cesarskich i z niczem powrócić do domu. W tym samym czasie zdobył jednak książe Lotaryński Budę, Fünfkirchen i Szegedyn, a znany z okrucieństwa Karaffa tępił ogniem i mieczem powstańców w północnych Węgrzech i dokonywał pacyfikacyi utrapionego państwa Arpadów. Rok następny był niemniej pomyślnym dla cesarza: Turcy zostali pobici pod Mohaczem, Węgrzy, zgnębieni do reszty, znieśli — mocą uchwały sejmowej — elekcyjność tronu, dziedziczną teraz już koronę św. Szczepana włożył na skronie swoje Józef, syn Leopolda I., Wenecyanie zajęli Moreę, jedna tylko Polska nie mogła ani Kamieńca odzyskać, ani też uwolnić się od zagonów tatarskich. Bolał nad tem król i chwytał się prawdziwie rozpaczliwego środka, zaprzysiągł z płaczem we Lwowie pokój „wieczysty“ z Moskwą, aby uzyskać skuteczniejszą przeciw

pogaństwu pomoc, a równocześnie wracał do dawniejszych swoich planów, pragnął synowi zapewnić koronę. Ale właśnie ten zamiar królewski — tak naturalny zresztą — obudził zazdrość i zawiść oligarchów polskich. Od początku niechętni Sobieskiemu, chociaż sami go na tron wynieśli, pozbawieni wszelkiej myśli politycznej i nie posiadając ducha obywatelskiego, widzieli oni w wolnej elekcyi nie „źrenicę wolności“, jak obłudnie udawali, lecz źródło zysku i własnego wyniesienia. Niepomni więc na zasługi, jakie król około Rzeczypospolitej położył, niepomni na bohaterskie jego czyny i dobro ojczyzny, i tak intrygami do gruntu zawichrzonej, uknuli oni spisek — na wzór Morsztynowego — mający pozornie na celu utrzymanie wolnej elekcyi, ale dążący do wykluczenia Piasta, zatem — jak się zdawało[1]) — królewicza Jakóba od korony. Przed sejmem grodzieńskim (w roku 1688.), który miał się zająć obmyśleniem środków na dalsze prowadzenie wojny, odkrył królowi tę konfederacyą — tak podobną do owej z czasów Michała — kuchmistrz wielki koronny Gałecki.[2]) Należał do niej kanclerz Wielopolski, szwagier królewski, Radziejowski, spokrewniony ze Sobieskim, Sapiehowie, przez króla do najpierwszych dygnitarstw na Litwie wyniesieni, hetman wielki litewski Kazimierz i podskarbi Benedykt, marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski, a nawet biskup kijowski Załuski, szczególnej łaski królewskiej zażywający, otóż sami prawie ministrowie Rzeczypospolitej, ludzie, których obowiązkiem było strzedz interesów państwa, powagi tronu i bezpieczeństwa osoby królewskiej.

Ale ślepa namiętność, prywata i przewrotność przygłuszyła w tych senatorach o miedzianem czole, zarówno głos obowiązku jak i miłość ojczyzny. Wiedziano, że król zamierza na tronie posadzić najstarszego syna, wiedziano może o odkryciu spisku, więc zanim jeszcze przyszło do wyboru marszałka izby poselskiej, zerwał sejm chorąży wileński Dąbrowski na współkę z posłem inflanckim Tokarzewskim, a na radzie senatu — zwołanej bezpośrednio potem — wojewoda sieradzki Pieniążek i marszałek Lubomirski wystąpili z taką bezczelnością przeciw królowi, że zniecierpliwiony monarcha piorunującą odpowiedział mową, którą zakończył proroczemi zaprawdę słowy: „Stupebit posteritas, że po takich zwycięstwach i tryumfach, po tak szerokiej na świat rozgłoszonej sławie aeterna nas, żal się Boże, potkała labes et irreparabile damnum. Jeszcze 40 dni, a Niniwe będzie zniszczoną“.

Ale klęska, poniesiona w Grodnie, była dopiero początkiem utrapień i gorszych stokroć zawodów. Niebawem nadeszła z Berlina wieść, nad wszelki wyraz bolesna dla króla. W roku 1687. owdowiała Ludwika Karolina Radziwiłłówna, wydana za syna elektora i królewicz Jakób, niezrażony poprzedniem doświadczeniem, odnowił zabiegi o rękę młodej wdowy. Sprawa ta była nie tyle familijna co polityczna, bo wobec otwartej już niechęci Sapiehów i dawnej nieprzyjaźni Paców, król potrzebował silniejszego poparcia na Litwie, a i Rzeczypospolitej nie mogło być obojętnem, kto będzie panem kolosalnej fortuny

[1]) Że tak nie było, dowiodły późniejsze wypadki. Porów. Walewskiego „Dzieje bezkrólewia po skonie Jana III.“ Kraków 1874. Str. 99.

[2]) Tarnowski Stan.: „Tajemnica roku 1688.“ Rocznik zarządu Akademii Umiejętności z roku 1882.

radziwiłłowskiej. Interes Sobieskich łączył się więc z interesem państwa i zdawało się, że królewicz w staraniach swoich ogólne w kraju znajdzie poparcie. Stało się jednak inaczej. Rafał Leszczyński, wojewoda poznański, ojciec późniejszego króla Stanisława i biskup Załuski odradzali margrabinie małżeństwo z Jakóbem, Sapiehowie zobowiązali się następnie bronić praw jej i jej męża przeciw królowi i Rzeczypospolitej za sumę 60.000 talarów. Margrabina z początku myślała inaczej, starania królewicza przyjęła przychylnie i zobowiązała się na piśmie we wrześniu wziąć ślub z Jakóbem, „a to pod utratą wszystkich dóbr swoich“.

Zaledwie jednakże zadowolony tem królewicz wyjechał z Berlina, zjawił się w ambasadzie austryackiej książe Filip Najburski i w cztery dni potem wziął wieczorem ślub z margrabiną. Nowa ta klęska, spowodowana intrygami swoich i dworu wiedeńskiego, ubodła srodze króla, tak, że w liście — wysłanym do senatorów (18. września 1688. roku) — składał w ich ręce honor swój i Rzeczypospolitej. Zdawało się, że sejm, zebrany w grudniu t. r., ujmie się rzeczywiście za tę niesłychaną krzywdę i zniewagę, że w interesie już nie króla lecz państwa użyje względem margrabiny i jej męża środków surowych, do których był uprawnionym tak z mocy ustaw obowiązujących, jak i z osnowy owego pisma Radziwiłłówny. Jakoż oburzenie powstało wielkie i posłowie gotowi byli uchwalić konstytucyą, polecającą fortece radziwiłłowskie obsadzić załogami Rzeczypospolitej. Równocześnie prawie znalazły się w rękach królewskich nowe dowody zdradzieckich knowań spiskowców, list marszałka wielkiego koronnego do kanclerza cesarskiego Stratmana i akt, w którym Sapiehowie za 60.000 złotych obowiązali się bronić sprawę księżnej Najburskiej, chociażby z bronią w ręku.

Nadarzała się teraz sposobność pożądana do zgniecenia hydry oligarchicznej. Odkryć rzecz całą przed sejmem, oprzeć się na szlachcie, która — jakkolwiek politycznie niedojrzała — była zanadto uczciwą i patryotyczną, aby się wdawać w spiski przeciw królowi i Rzeczypospolitej i na tej podstawie ugruntować silniej władzę królewską, to zadanie było tak proste i tak łatwe wtedy do wykonania, że dziwić się trzeba, dlaczego Jan III. w ostatecznej chwili się zawahał i ustąpił. Napróżno wołała szlachta o konfederacyą przy królu, nadaremnie ułożono akt konfederacki, król wdał się w rokowania ze spiskowcami, zaufał obłudnym obietnicom Sapiehów i przyjął pośrednictwo kardynała Radziejowskiego. A jednak mimoto niedowierzali malkontenci królowi — więcej może szlachcie — trwożył ich projekt konstytucyi, zakazującej wszelkich związków z postronnymi, używania cyfer w korespondencyach i wyjazdu za granicę bez paszportu. Więc aby tym groźnym dla siebie uchwałom przeszkodzić, podstawiono Litwina Szołkowskiego, który pod błahemi pozorami zerwał sejm, z polecenia Sapiehów.

Ostatnie lata i śmierć Jana III. Jakby na pocieszenie króla za tyle zniewag i utrapień wyjaśnił się cokolwiek horyzont polityczny. Turcya, dzięki usiłowaniom i zdolnościom nowego wezyra Mustafy Kiuprilego, dźwignęła się chwilowo z upadku, odparła zwycięsko wojska cesarskie, na województwie siedmiogrodzkiem osadziła Tekely'ego, odzyskała Nissę, Semendryą i Belgrad.

Leopold I., zagrożony tak znowu w posiadaniu Węgier, zajął względem dworu polskiego przychylniejsze stanowisko i ofiarował królewiczowi Jakóbowi rękę księżniczki Najburskiej, która była siostrą owego Filipa, ożenionego z Radziwiłłówną i cesarzowej. Małżeństwo przyszło do skutku w lutym roku 1691., a poseł cesarski hr. Thun oświadczył równocześnie, że Austrya dostarczy 5000 posiłków na zdobycie Mołdawii i Wołoszczyzny. Sejm, zwołany wśród tych układów matrymonialnych w roku 1690., zgodził się — po zaciętej walce pomiędzy stronnictwem austryackiem a francuskiem — na dalsze popieranie wojny. Jakoż w roku 1691. (w sierpniu) podjął król ostatnią swoją wyprawę na Wołoszczyznę i — niedoczekawszy się posiłków cesarskich — poniósł wskutek słot nadzwyczajnych i braku żywności zupełną klęskę.

Razem z tem niepowodzeniem uderzyły w skołatanego króla nowe burze domowe. Marya Kazimira, kłócąca się z synową i synem, zatruwała mu życie rodzinne i sprzedawaniem urzędów demoralizowała i tak już skorrumpowane możnowładztwo polskie; Sapiehowie, opanowawszy swojemi wpływami zupełnie Litwę, występowali coraz zuchwalej, działając w porozumieniu z kurfirsztem i cesarzem. Kazimierz Sapieha, hetman wielki litewski — z nienawiści do biskupa wileńskiego Brzostowskiego — niszczył dobra kościelne i łupił kościoły, a zapozwany przed sąd sejmowy w roku 1693. zerwał go, aby się od odpowiedzialności uchylić. Podobny los spotkał sejm następny w roku 1695. Brzostowski wyklął wprawdzie hetmana, ale kardynał Radziejowski zniósł klątwę, a w kołach sapieżyńskich mówiono głośno o detronizacyi króla. Tymczasem Tatarzy zapuszczali rok po roku czambuły swoje na Ruś, w roku 1695. dotarli nawet pod Lwów, gdzie ich odparł szczęśliwie Jabłonowski.

Wśród tego zamętu i rozprzężenia ogólnego dogorywał bohater z pod Chocima i Wiednia, trapiony chorobą i strasznemi przeczuciami. Kiedy biskup Załuski nakłaniał go do spisania testamentu, zawołał król z goryczą: „Na miły Bóg, czyż ty naprawdę myślisz, że w naszych czasach może zdarzyć się co dobrego? Czyż nie widzisz, że złe tak się rozmnożyło, że ledwo jeszcze jakie miejsce dla miłosierdzia Bożego zostało? Czy nie widzisz, że taka się między ludźmi zagnieździła niegodziwość, taka złość we wszystkich sercach osiadła, że poczciwość już nie rzadką, ale prawie jest żadną? Wszyscy jak na wyścigi pracują nad tem, by złe z dobrem pomięszać, obyczaje w ostatnim upadku, a tobie się zdaje, że je podźwignąć zdołasz? Kiedy żywi rozkazujemy, nikt nas słuchać nie chce, a mamy się łudzić, że słuchać nas będą umarłych?“

Były to ostatnie jego słowa, przekazane potomności; dnia 17. czerwca 1696. roku zakończył on życie w ulubionym swoim Wilanowie. Rzeczpospolita, dotknięta straszną chorobą, zmarnowała jedynego człowieka - bohatera, który mógł ją jeżeli nie odrodzić, to przynajmniej od upadku rychłego powstrzymać. Zaślepienie i złość ludzka zniszczyły ostatnią deskę zbawienia i odtąd zaczęło się powolne — lecz nieuchronne w tych warunkach — konanie potężnego organizmu.

August II. Sas. 1697—1733.

Stanisław Leszczyński, obrany królem w roku 1704.

Elekcya. — Wyprawa na Kamieniec. — Sejm pacyfikacyjny. — Pokój karłowicki. — Pogrom i upadek Sapiehów. — Początek wojny szwedzkiej. Po smutnem nad miarę, acz świetnemi tryumfami jaśniejącem panowaniu Jana III., nastąpiła najsmutniejsza i ostatnia wolna elekcya w Polsce. Kandydatów do osieroconego tronu nie brakło; Otwinowski[1]) naliczył ich 18-stu, bo Polska — jakkolwiek podupadła wskutek anarchii wewnętrznej — była jeszcze zawsze państwem rozległem, mającem wszelkie warunki świetnego rozwoju, mogła — zreformowana i rządna — stać się potęgą groźną dla sąsiadów, rozstrzygającą tak jak dawniej sprawy wschodniej Europy. Starali się więc o koronę i swoi i obcy; naprzód królewicz Jakób, zięć zmarłego króla elektor bawarski, bratanek zmarłego papieża Innocentego XI. Liwiusz Odescalchi, margrabia badeński, książe Lotaryński i Najburski, książęta francuscy Henryk Condé i Ludwik Conti, a i pomiędzy możnowładztwem polskiem było wielu takich, co zachęceni wyborem Wiśniowieckiego i Sobieskiego, po cichu do najwyższej władzy w Rzeczypospolitej wzdychali. Z obcych mocarstw Austrya popierała Jakóba, któremu dwór francuski — jako krewnemu cesarza — stanowczo był przeciwnym i przez posła swego opata Polignaca forytował Condégo, a następnie księcia Conti, elektor brandenburski wysuwał kandydaturę badeńską, ale wszystkie te zabiegi — wobec niesłychanej sprzedajności możnych panów polskich, wobec braku wszelkich zasad politycznych u tej oligarchii butnej i zuchwałej względem swoich, a płaszczącej się przed każdym dynastą zagranicznym i wobec ciemnoty mas szlacheckich — o tyle tylko mogły mieć powodzenie, o ile kandydaci byli w stanie chciwość wpływowych elektorów zadowolnić i pieniądzmi drogę do tronu sobie utorować. Stała się więc rzecz w tych warunkach nieunikniona, że został niespodziewanie królem ten, który ostatni z kandydaturą swoją wystąpił i — gdy fundusze wszystkich innych się wyczerpały — obficie sypnął groszem, a jeszcze obficiej obietnicami. Był nim Fryderyk August, elektor saski, syn Jana Jerzego, tego samego, co walczył pod Wiedniem, człowiek młody, okazałej postawy, silny jak Herkules, przy kielichu i w romansach niezrównany, usiłujący naśladować Ludwika XIV., rozrzutny i lekkomyślny w najwyższym stopniu, niemający żadnych zasad w życiu publicznem ani w prywatnem, natura z gruntu despotyczna i do gruntu cyniczna.

Nie myślał on z początku wcale ubiegać się o koronę polską. Gdy jednak skutkiem intryg Maryi Kazimiry, kłócącej się ciągle z synem i słabego poparcia ze strony dworu wiedeńskiego, a wielkiej dla Sobieskich niechęci Sapiehów i Lubomirskich, wybór królewicza Jakóba zdawał się wątpliwym, gdy posłowie francuscy — wydawszy wszystkie pieniądze — w kłopotliwem znaleźli się położeniu i nadejścia nowych zasiłków z Paryża wyglądali, zdawało się elekto-

[1]) „Dzieje Polski za Augusta II.“ Str. 173.

rowi saskiemu rzeczą łatwą wybór swój przeprowadzić. Zachęcił go do tego kasztelan chełmiński Przebendowski, człowiek chciwy i przewrotny, który — służąc Jakóbowi, sprzedał się Francuzom [1]) — królewicza najhaniebniej zdradził, a następnie przeszedł na stronę saską i przez teścia swego Fleminga podsunął Fryderykowi myśl ubiegania się o koronę polską. Elektor, żądny sławy, przypadł na to natychmiast, a że mu wyznanie przeszkadzało, porzucił z lekkiem sercem protestantyzm, przeszedł na łono kościoła katolickiego i temsamem

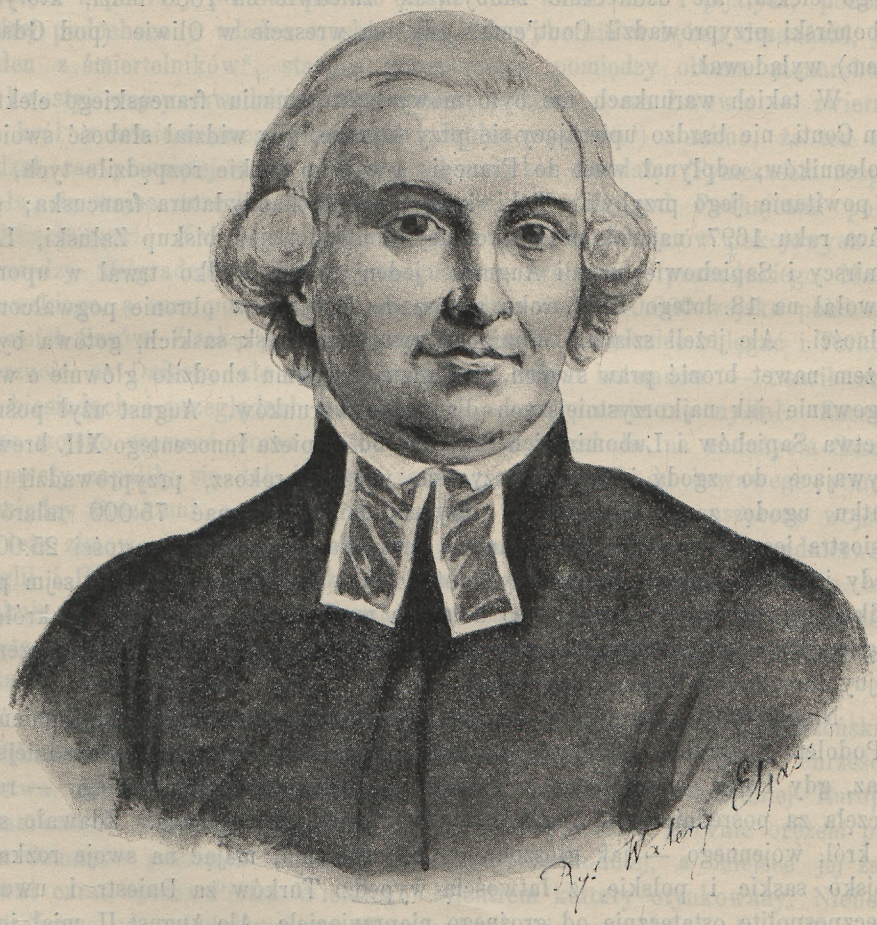

Hugo Kołłątaj.

już pozyskał sobie względy papieża i pewne poparcie ze strony nuncyusza. Niemieckie potencye także, które wolały na tronie polskim mieć Niemca niż Polaka lub Francuza, z obawy przed Contim zgodziły się na Fryderyka, a car Piotr Wielki poparł go w ten sposób, że w liście — pisanym do stanów polskich — groził wojną na wypadek wyboru Francuza. Mimoto przy elekcyi oświadczyła się większa liczba głosów za kandydatem francuskim, mniejszość za Sasem. Przyszło więc do podwójnego wyboru; prymas Radziejowski nomi-

[1]) Walewski: „Dzieje bezkrólewia po Janie III.“ Str. 173.

nował królem Conti'ego, biskup kujawski Dąbski Augusta. Tak wybór jak i ogłoszenie tego ostatniego były oczywiście nielegalne i nieważne, ale elektor, który z wojskiem czekał już u granic polskich, pospieszył natychmiast do Krakowa, po drodze w Piekarach poprzysiągł pakta konwenta, 15. września 1697. roku odbył koronacyę i wysłał pod generałem Brandem wojsko do Prus przeciw księciu Conti i jego stronnikom. Bezradna partya francuska zawiązywała tymczasem konfederacye, zwoływała pospolite ruszenie w celu poparcia swego elekta, ale ostatecznie zdobyła się zaledwie na 1000 ludzi, których Lubomirski przyprowadził Conti'emu, gdy ten wreszcie w Oliwie (pod Gdańskiem) wylądował.

W takich warunkach nie było mowy o utrzymaniu francuskiego elekta. Sam Conti, nie bardzo upierający się przy koronie, gdy widział słabość swoich zwolenników, odpłynął wnet do Francyi, a wojsko saskie rozpędziło tych, co na powitanie jego przybyli. Taki koniec miała kandydatura francuska; do końca roku 1697. najznakomitsi stronnicy Conti'ego, jak biskup Załuski, Lubomirscy i Sapiehowie uznali Augusta, jeden prymas tylko trwał w uporze i zwołał na 18. lutego 1698. roku rokosz do Łowicza w obronie pogwałconej wolności. Ale jeżeli szlachta, oburzona gwałtami wojsk saskich, gotowa była orężem nawet bronić praw swoich, to Radziejowskiemu chodziło głównie o wytargowanie jak najkorzystniejszych dla siebie warunków. August użył pośrednictwa Sapiehów i Lubomirskich, uzyskał od papieża Innocentego XII. brewe, wzywające do zgody i rozerwawszy tem poczęści rokosz, przyprowadził do skutku ugodę z przeciwnikami. Prymas miał otrzymać 75.000 talarów, a siostra jego Towiańska, kasztelanowa łęczycka, klejnoty w wartości 25.000, kiedy jednakże zamiast prawdziwych ofiarowano jej fałszywe, został sejm pacyfikacyjny zerwany i dopiero po dalszych targach uznali rokoszanie królem Augusta II., zastrzegłszy sobie pomiędzy innemi, że wojska saskie po ukończeniu wojny tureckiej z Polski wyprowadzi.

Najgorętszem pragnieniem narodu było oddawna już odzyskanie Kamieńca z Podolem i Ukrainą, a chwila do tego zdawała się być najodpowiedniejszą teraz, gdy Porta — osłabiona zwycięstwami Eugeniusza Sabaudzkiego — rozpoczęła za pośrednictwem Anglii układy pokojowe z cesarzem. Zdawało się, że król, wojennego — jak głoszono — usposobienia, mając na swoje rozkazy wojsko saskie i polskie, z łatwością wypędzi Turków za Dniestr i uwolni Rzeczpospolitę ostatecznie od groźnego nieprzyjaciela. Ale August II. miał inne zamiary. Absolutny z natury, przywykły do nieograniczonej władzy w Saksonii, nie mógł on się pogodzić ze stosunkami polskiemi. Raziła go buta magnatów, wolnomyślne instytucye i niesłychane ograniczenie władzy królewskiej. Zamyślał więc to wszystko zmienić — jeśli nie złamać — i dlatego pragnął wojsko saskie w Polsce jak najdłużej zatrzymać. Łączył się z tem plan inny, podsunięty Augustowi przez wychodźcę inflanckiego Jana Reinhalda Patkula, człowieka niepospolicie zdolnego, a zawziętego wielce na Szwedów, którzy Inflantczyków srodze uciskali, plan wojny szwedzkiej, w celu odzyskania utraconej w pokoju oliwskim prowincyi inflanckiej. Rzecz zdawała się łatwa, bo w Szwecyi panował natenczas młody i niedoświadczony Karol XII., a szlachta

inflancka gotowa była powrócić pod panowanie polskie. Tak twierdził przynajmniej Patkul, a to wystarczało dla Augusta II., który widział w wojnie szwedzkiej dogodną sposobność do zyskania sławy, do zatrzymania wojsk saskich i do wykonania dalszych swoich zamiarów. Porozumiał się więc w Jansburgu z elektorem brandenburskim Fryderykiem III., następcą „wielkiego kurfirszta“ i podczas wyprawy na Kamieniec, bo wreszcie w r. 1698. podjąć ją musiał, zjechał się w Rawie ruskiej z carem Piotrem Wielkim, wracającym z podróży po Europie do kraju. Tu wśród uczt i pijatyki, podczas której podochocony władca moskiewski „bił wybornie w bęben dragoński, jak żaden z śmiertelników“, stanęło porozumienie pomiędzy oboma monarchami w kwestyi wojny szwedzkiej. Natychmiast po tem — we Lwowie — zwierzył się król z zamiaru swego hetmanowi Jabłonowskiemu [1]) i mimo, że ten odradzał, raz powziętej myśli z głowy sobie wybić nie dał. Tymczasem rozpoczęła się wojna turecka napadem Tatarów, których pod Podhajcami pobił Feliks Potocki. Król wysłał jako pełnomocnika do traktatów pokojowych — pomiędzy Belgradem a Piotrowaradynem — wojewodę poznańskiego Małachowskiego, a sam pospieszył do obozu, gdzie zastał 40.000 wojska polskiego i swoich Sasów. Z taką potęgą można było śmiało Kamieniec oblęgać i Turków wyrzucić za Dniestr, ale August — wbrew radom hetmanów — trawił czas na biesiadach i przeglądach wojskowych, a o wyprawie nie myślał. Zaczęło więc wojsko szemrać coraz głośniej, szlachta narzekała na nadużycia Sasów i umysły zapaliły się tak bardzo, że przy rewii omal do krwawego starcia pomiędzy Polakami a Sasami nie przyszło. Ostatecznie rozpuszczono wojsko na leże zimowe i wyprawa spełzła na niczem. Szczęściem za pośrednictwem Anglii i Hollandyi stanął pokój w Karłowicach w roku 1699. i Polska odzyskała Kamieniec, Podole i Ukrainę, zwracając w zamian za to miejscowości zajęte w Mołdawii. Zniesiono również daninę tatarską, Porta zobowiązała się Tatarów wypędzić z Budziaku.

W ten sposób zbierała Rzeczpospolita owoce wyprawy wiedeńskiej i kilkunastoletnich wysiłań, podjętych w obronie własnej i całego chrześcijaństwa, zbierała je w chwili, gdy system polityczny wschodniej Europy gruntownemu ulegał przeobrażeniu, gdy złamana polskim głównie orężem potęga Osmanów przestała zagrażać cywilizacyi zachodniej, a miejsce jej zajmował carat, przez Piotra Wielkiego blichtrem kultury otynkowany. Niebezpieczeństwo od południowej strony przesuwało się na północne kresy Rzeczypospolitej i nakazywało szczególniejszą względem możnego sąsiada ostrożność. Nie zrozumiał tego ani August II. ani jego doradcy, przeciwnie z lekkomyślnością niepojętą rzucali oni siebie i Polskę w objęcia tego, którego celem ostatecznym musiało być zniszczenie i złamanie a następnie ujarzmienie Rzeczypospolitej.

Uczyniwszy krok pierwszy do nieszczęsnego sojuszu z carem w Rawie ruskiej, zwrócił król całą uwagę swoją na Litwę, gdzie od dłuższego już czasu

[1]) Chomętowski Wład.: „Rodzina hetmana Jabłonowskiego“. Biblioteka warszawska z roku 1880.

wrzała walka pomiędzy Sapiehami a szlachtą. Ucisk, jakiego się dopuszczała można ta rodzina, wywołał gwałtowną reakcyę. Na sejmie elekcyjnym przeprowadzono na żądanie szlachty litewskiej t. zw. koekwacyą Litwy z Koroną, wskutek czego władza hetmańska i podskarbiowska — będące w rękach Sapiehów — znacznemu uległy ograniczeniu. Mimoto jednak nie ustały spory, Grzegorz Ogiński zawiązał konfederacyę przeciw Sapiehom, a pobity przez nich, wysłał deputacyą do króla, do obozu pod Brzeżanami, podczas wyprawy tureckiej.

August II., nienawidzący Sapiehów dla ich wielkiej potęgi i wpływów, przyjął chętnie rolę pośrednika, przyprowadził do skutku ugodę w Puzenicach, wielce dla szlachty korzystną. Wojsko litewskie zredukowano do 3000, a dla zabezpieczenia Litwy rozłożono w kraju wojsko saskie. Ale sejm pacyfikacyjny warszawski (w roku 1699.) wystąpił energicznie przeciw Sasom; uchwalono twarde dla króla konstytucye, August musiał się zobowiązać do wyprowadzenia wojsk saskich z Polski, miały one pozostać tylko na Litwie, bo przecież Litwini sami tego żądali. Wystarczało to zupełnie do wykonania zamiarów królewskich. Ułożywszy z Patkulem plan opanowania Inflant i zawarłszy zaczepno-odporne przymierze z carem i Danią, wysłał August 7000 Sasów do Kurlandyi, aby znienacka opanować Rygę. Zamach nieudał się, równie jak i drugi przez Fleminga wykonany w lutym roku 1700. Wtedy dopiero — zrzuciwszy maskę — rozpoczęli Sasi wojnę otwartą ze Szwedami, zdobyli forteczkę Kober i Dynzamindę, a król zwołał radę senatu do Warszawy nie w innym celu, jak tylko aby Rzeczpospolitę wciągnąć w wojnę. Większość senatorów okazała się nieprzychylną zamiarom królewskim, hetman Jabłonowski odradzał Augustowi stanowczo od wojny, ale prymas i Sapiehowie — zagrożeni przez szlachtę litewską — ośmielili go do zwołania pospolitego ruszenia na Litwie. Królowi dodało to otuchy, ruszył więc sam do Inflant i zaczął oblęgać Rygę. Tymczasem Karol XII. uderzył na najbliższego swego nieprzyjaciela Duńczyka i zagroziwszy samej stolicy Kopenhadze, zmusił króla duńskiego do pokoju w Travendalu. W trzy tygodnie potem wypowiedział Piotr Wielki wojnę Szwedom i wysłał 100.000 wojska na zdobycie Narwy.

Kiedy tak wojna — lekkomyślnie rozpoczęta — zbliżała się do granic Rzeczypospolitej, zawrzała na Litwie walka bratobójcza. Sapiehowie, niezadowoleni z puzenickiej ugody i w przekonaniu, że pozyskali sobie łaskę króla, który właściwie zguby ich pragnął, zaczęli podczas kadencyi trybunału w Wilnie znowu drażnić i wyzywać przeciwników. Zamach na dwóch Wiśniowieckich, Janusza i Michała, wykonany — jak twierdzono — z polecenia Sapiehów, dolał oliwy do ognia. Szlachta, stosownie do uniwersałów królewskich, zebrała się na pospolite ruszenie; naczelne dowództwo objął Michał Wiśniowiecki i zamiast bronić Litwy przed najazdem szwedzkim, uderzył na Sapiehów pod Olkienikami (w roku 1700.), wojsko ich rozgromił i syna hetmana, Michała, koniuszego litewskiego, wziął do niewoli. Rozsrożona i podpita szlachta wyciągnęła nazajutrz jeńca z więzienia i okrutnie zamordowała, a dokonawszy tego wstrętnego czynu zawiązała konfederacyę, odsądziła Sapiehów od wszelkich dygnitarstw, skonfiskowała im dobra, a ich samych skazała na

banicyą. Możni jeszcze do niedawna potentaci, musieli teraz szukać ocalenia w ucieczce, udali się do Prus, a gdy król August nie chciał się ująć za nimi, rzucili się w ramiona Szwedów, z którymi już dawniej byli w stosunkach.[1]) Równocześnie prawie z tą katastrofą rozegrały się losy Inflant, Karol XII. wylądował bowiem na czele 8000 ludzi w Parnawie, uderzył wbrew radom generałów swoich na Moskali, oblęgających Narwę i korzystając z zamieci śnieżnej, zdobył obóz moskiewski wraz z całą artyleryą. August II. przerażony tą klęską, gotów już był zawrzeć pokój ze Szwedami, kiedy go odwiódł od tego Piotr Wielki. Stanęła więc w Birżach (w lutym r. 1701.) nowa umowa pomiędzy carem a Augustem II., Piotr zobowiązał się dostarczyć 20.000 posiłków i 100.000 rubli subsydów. Z tym traktatem, zawartym bez wiedzy i upoważnienia Rzeczypospolitej, pojechał król na sejm warszawski i spotkał się tam z gwałtowną — a przyznać trzeba — i słuszną opozycyą. Uprawniała do tego stany cała dotychczasowa polityka królewska i uciążliwa dla kraju obecność wojsk saskich i zuchwałe postępowanie elektora brandenburskiego, który nietylko niedawno z powodu pretensyj, jakie miał do Rzeczypospolitej jeszcze z czasów Jana Kazimierza, Elbląg zajechał, ale teraz nawet przywdział koronę z tytułem króla pruskiego. Był to ze strony dawnego lennika krok zuchwały, a zagrażający bezpośrednio Polsce, posiadającej Prusy królewskie i musiał wywołać tem większe oburzenie sejmu, gdy August II. zamiast przeciw koronacyi zaprotestować, pierwszy elektorowi złożył powinszowanie. Nic dziwnego zatem, że sejm był burzliwy i że królowi postawiono dość twarde warunki, a pomiędzy innemi także wyprowadzenie wojsk saskich do 1. stycznia roku 1702. August II. zgodził się na wszystko, nie myśląc oczywiście obietnic wypełnić i spodziewając się pomyślnego dla siebie obrotu rzeczy w Inflantach, gdzie znaczne zgromadził siły. Ale nadzieja zawiodła go, Karol XII. pobił Sasów i Moskali w krwawej bitwie nad Dźwiną i stanął u granic Rzeczypospolitej.

Wojna szwedzka. — Zajęcie Warszawy. — Bitwa pod Kliszowem. — Detronizacya Augusta II. — Wybór Stanisława Leszczyńskiego. — Pokój altransztadzki. — Wyprawa moskiewska Karola XII. — Klęska pod Pułtawą. Polskę zastawał najazd szwedzki zupełnie nieprzygotowaną. Uspokojono się zapewne myślą, że wojna inflancka była prywatnem króla przedsięwzięciem, że naród polski żadnego w niem nie miał udziału, że nieprzyjaciel zatem z samego poczucia sprawiedliwości Rzeczypospolitej zaczepiać nie będzie. Było w tem zapatrywaniu oczywiście sporo illuzyi i naiwności, ale także i ciche zadowolenie z tego, że ten król — pijaństwu oddany i gronem ladaszczyc otoczony, a gwałcący na każdym kroku niemal poprzysiężone pakta i prawa narodu — znalazł się nagle w położeniu niezmiernie trudnem, że będzie musiał odpokutować za wszystkie winy i błędy, które bądź popełnił, bądź popełnić zamierzał. Dwa ubiegłe panowania minęły wśród spisków przeciw nieudolnemu Michałowi i bohaterskiemu jego następcy. August II. nie był chyba lepszym od Wiśniowieckiego, a w niczem niedorównywał Janowi III. Detronizacya

[1]) Chomętowski Wład.: l. c., str. 40.

Sasa wydawała się więc wszystkim niezadowolonym, a niezadowolonym był naród cały, zupełnie uzasadnioną. I oto nastręczała się sposobność dogodna, aby bez spisków i konfederacyj pozbyć się króla, który zawiódł zupełnie oczekiwania Rzeczypospolitej. Wszyscy więc obrażeni i prześladowani przez niego — a takich było sporo — widzieli w tym młodym, zwycięskim królu szwedzkim naturalnego swego sprzymierzeńca. Zaślepieni zemstą nie widzieli oni ani okropności wojny domowej, ani tych nieszczęść strasznych, w jakie popaść musiała bezbronna Rzeczpospolita, wydana na łaskę najezdzcy i niesumiennego jego przeciwnika.

Najlepsi i najzacniejsi, jak hetman Jabłonowski, przemawiali za pokojem ze Szwedami, chociaż gotowi byli wrazie najazdu bronić Rzeczypospolitej. Brak pieniędzy i niedowierzanie Augusta II., który hetmanowi nie ufał, przeszkodziły wykonaniu tych zbawiennych zamiarów i w chwili, gdy Karol XII. stanął u granic polskich, zdobyła się Rzeczpospolita tylko na dyplomatyczną demonstracyę, prymas napisał do króla szwedzkiego list, prosząc, aby szanował neutralność Rzeczypospolitej. Trzeba było zaprawdę niesłychanej naiwności, aby mniemać, że po zwycięstwie pod Narwą i rozbiciu wojsk saskich uszanuje on granice państwa, pozbawione wszelkiej obrony. Nie myślał też o tem wcale Karol XII., lecz uniesiony powodzeniem i zawzięty na Augusta II., wystąpił odrazu z projektem jego detronizacyi i w tym duchu wypadła więc odpowiedź, jaką dał prymasowi.

August II. tymczasem pracował usilnie nad wciągnięciem Rzeczypospolitej do wojny, lekkomyślnie podjętej i nad przejednaniem narodu. Zasłaniając się tem, że podług paktów konwentów był obowiązany odzyskać oderwane od państwa prowincye, co się odnosiło do Inflant, wydał on rozkaz wymarszu wojsk saskich z Polski, ogłosił napuszystą odezwę do narodu i zwołał sejm, puszczając równocześnie ruchawkę litewską Ogińskiego na podjazdową wojnę ze Szwedami w Kurlandyi. Ale sejm (w grudniu roku 1701.) zawichrzył się odrazu walką stronnictw. Zaranek, przywódzca konfederatów litewskich, oskarżył Sapiehów o zdradzieckie z Karolem XII. stosunki, odpowiedziano mu zarzutami, że konfederaci unię zerwali, że służą absolutnym króla zamiarom, żądano inkwizycyi kto wojnę wywołał, wkońcu Pac, kawaler multański, przyjaciel Sapiehów, zerwał obrady. Rada senatu, zwołana bezpośrednio po tem, postanowiła wysłać poselstwo do Karola XII., żądając opuszczenia granic polskich i odtrącając projekt detronizacyi Augusta II. Niezawiśle od tego zaczął król na własną rękę układy ze Szwedem, naprzód przez słynną z piękności kochankę swoją Aurorę Königsmark, matkę Maurycego Saskiego, ale Karol odmówił jej posłuchania, przez szambelana swego Vitzthenna. Podstawą traktatów miał być... podział Polski! Karol XII. jednak nie dał się powstrzymać temi spóźnionemi zabiegami dyplomatycznemi od dalszego działania. Ze Żmudzi ruszył on do Kowna, z Kowna do Grodna, w Różanymstoku odpowiedział poselstwu polskiemu, że wojnę prowadzi przeciw Augustowi, jako gwałcicielowi pokoju, że pragnie połączyć się z Rzeczpospolitą w celu obrony praw jej i wolności. Za główny warunek kładł detronizacyę króla i w tym duchu wydał następnie manifest do narodu polskiego, poczem bez oporu zajął Warszawę.

Wszystkie te zapewnienia — szczere czy nie szczere — nie mogły chybić celu u wielkiej części narodu, zniechęconej do Augusta II., do całej jego polityki i drapieżnych Sasów. Nikt, z wyjątkiem może konfederatów litewskich, nie poczuwał się do obowiązku bronienia króla, ale brakło i takich niestety, którzy myśleliby o ratowaniu utrapionej ojczyzny. Umarło właśnie wtedy dwóch najznakomitszych senatorów: marszałek Stanisław Lubomirski i hetman wielki koronny Jabłonowski, pierwszy uczony i mowca niepospolity, drugi wódz sławny, uczestnik tryumfów Sobieskiego. Król oddał laskę marszałkowską Józefowi Lubomirskiemu, bratu stryjecznemu zmarłego, buławę wielką Feliksowi Potockiemu, a po jego rychłym zgonie Hieronimowi Lubomirskiemu, polną Adamowi Sieniawskiemu; podkanclerstwo otrzymał Rafał Leszczyński. Ale nowi dygnitarze nie mogli stać się podporą upadającego tronu. Ambitny Hieronim Lubomirski zamyślał sam o koronie, podkanclerzy — niegdyś przeciwnik Jana III. — był teraz zawołanym stronnikiem Sobieskich, którym Karol XII. tron polski przeznaczał, a i prymas Radziejowski chwiał się w wierności dla Augusta II. i oczekiwał tylko dalszych zwycięstw szwedzkich, aby porzucić stronę saską. Jakoż niebawem nastręczyła się do tego sposobność.

Karol XII. pobił Augusta pod Kliszowem (dnia 7. lipca 1702. roku), dzięki dwuznacznemu zachowaniu się wojska polskiego pod Hieronimem Lubomirskim, i bez wystrzału opanował Kraków. Nieszczęśliwe miasto musiało zapłacić znaczną kontrybucyę, zamek — zajęty przez załogę szwedzką — wygorzał prawie do szczętu, ocalała tylko jedna izba „pod głowami na rogu“, szkodę niepowetowaną obliczano na kilka milionów.[1]) August II. tymczasem zwołał pospolite ruszenie do Gorzyc i skleił tam konfederacyę sandomierską, która stała wprawdzie w obronie tronu i Rzeczypospolitej, ale do energicznego działania porwać się nie dała. Nadto województwa ruskie, zajęte nowym buntem chłopów ukraińskich pod wodzą Somusia i Paleja, nie wzięły w tym ruchu udziału, a Wielkopolska za przewodem Leszczyńskich zajęła wprost stanowisko chwiejne i wątpliwe.

Wtedy uczynił prymas krok stanowczy, zwołując samowolnie radę senatorów do Warszawy. Zagrożony tak zewsząd, pobity nanowo przez Szwedów pod Pałtuskiem (30. kwietnia 1703. roku) chwycił się August II. ostatecznego środka i — zawezwawszy senatorów do Malborga — wydał za ich zgodą wici na pospolite ruszenie i uniwersały, zwołujące sejm do Lublina. Karol XII., zajęty właśnie oblężeniem Torunia, nie mógł czy nie chciał przeszkodzić zgromadzeniu i sejm zebrał się liczny z przychylnem dla króla usposobieniem; nie brakło nawet Radziejowskiego, którego Piper zupełnie zasłużenie „hipokrytą“ nazywał. Sejm lubelski stanął twardo przy Auguście II.; żądano wprawdzie od niego rozmaitych zapewnień pisemnych, że praw i przywilejów dochowa, że Sasów po skończonej wojnie z kraju wyprowadzi, że traktatów na własną rękę zawierać nie będzie, ale zarazem wydano ostre przeciw stronnikom szwedzkim konstytucye, uchwalono powiększenie wojska, podatki i pospolite ruszenie,

[1]) Otwinowski Erazm: „Dzieje Polski pod panowaniem Augusta II.“ Kraków 1819. Str. 35.

prymasowi kazano złożyć przysięgę, że ze Szwedami w stosunki nie wchodził i wchodzić nie będzie, a na wniosek Adama Śmigielskiego — starosty gnieźnieńskiego — wyrzucono z izby posłów wielkopolskich, jako partyzantów szwedzkich. Ostatni ten krok gorączkowy i nierozważny zaszkodził niesłychanie sprawie Augusta II., obrażeni Wielkopolanie bowiem zawarli natychmiast za przewodem Stanisława Leszczyńskiego konfederacyę „wbrew knowaniom niektórych“, a w celu przywrócenia pokoju i sparaliżowali tym sposobem całą działalność lubelskiego sejmu. Wysłani z Lublina komisarze do traktatów ze Szwedami otrzymali odpowiedź odmowną, Karol XII. oświadczył, że w obec konfederacyi wielkopolskiej nie może uważać lubelskiego sejmu za reprezentacyą prawdziwą Rzeczypospolitej. Wkrótce po tem zdobył on Toruń, ściągnął kontrybucyę ogromną z Gdańska i Elbląga i zawarł przymierze z Anglią, Hollandyą i królem pruskim.

W tej chwili tak krytycznej dla Augusta II. stanął przed nim jak duch-kusiciel Patkul z poselstwem od cara Piotra Wielkiego. Piotr, jeden z pomiędzy wszystkich monarchów, biorących udział w tej wielkiej wojnie, nazwanej „północną“, miał świadomość celu i jasno wytkniętą drogę. Autokrata, działający samowolnie, nieskrępowany żadnemi względami, niezaślepiony namiętnością jak Karol XII., wyzyskiwał on położenie polityczne z oczywistą szkodą swoich sprzymierzeńców. Niezrażony klęską narewską, zwaliwszy cały ciężar wojny na Polskę i rozpaliwszy bunt chłopski na Ukrainie, zabrał on się do zdobywania nadbałtyckich prowincyj szwedzkich, których posiadanie otwierało mu upragniony tyle przystęp do morza i stosunki z cywilizowanym zachodem. Postępując ostrożnie i wytrwale, zajmował on miasto po mieście i był tak pewnym zdobyczy, że w roku 1703. na ziemi dotąd szwedzkiej założył fundamenta przyszłej swojej stolicy, Petersburga. Ażeby jednak podbojów tych dokonać zupełnie i ubezpieczyć je, trzeba było podtrzymywać wojnę w Polsce, zatrudniającą Karola XII. i niedopuścić do podźwignienia Rzeczypospolitej. W tym celu zawiązał on przez Patkula — a może i za jego radą — nadwątlone cokolwiek z Augustem II. stosunki i ofiarował mu pomoc wtedy, gdy ten król najbardziej jej potrzebował. August wiedział dobrze, że traktat tego rodzaju Rzeczypospolitej nie obowiązuje, zwołał przeto senatorów na radę do Jaworowa, aby od nich pełnomocnictwo uzyskać do zawarcia układów z Moskwą. Ale senatorowie, nawet królowi oddani, zaprotestowali jak najmocniej przeciw negocyacyom i poselstwom do cara. Wtedy August II. przez Michała Wiśniowieckiego i Ludwika Pocieja przyprowadził do skutku partykularne przymierze Litwy z Moskwą, pozwalające na wprowadzenie wojsk rosyjskich do kraju bez ograniczenia ich liczby. Dość, smutno powiedzieć, że Wiśniowiecki za tę przysługę otrzymał od cara 40.000 rubli. Piotr Wielki przyrzekł Augustowi 12.000 piechoty i 300.000 rubli.

W odpowiedzi na ten krok samowolny zarówno jak i zgubny, zwołała konfederacya wielkopolska, obradująca pod laską starosty pydrskiego Piotra Bronisza, zjazd do Warszawy (w styczniu roku 1704.) w porozumieniu z prymasem, który wzywał do łączenia się przeciw tym, co „w saskich, kozackich i moskiewskich wojskach położyli nadzieję“. Celem zjazdu, stojącego jeszcze

przy majestacie królewskim, były układy pokojowe ze Szwedami. Kiedy jednakże pełnomocnik Karola XII., Arwid Horn, przedstawił zebranym znaną korespondencyą Augusta II., traktującą o podział Polski, zawiązano konfederacyą z wypowiedzeniem posłuszeństwa królowi i przygotowano akt ogłaszający bezkrólewie. Plan Karola XII. był więc bliskim urzeczywistnienia, na tronie polskim miał zasiąść królewicz Jakób, od dłuższego już czasu utrzymujący stosunki z malkontentami wielkopolskimi i z królem szwedzkim, który mu listownie wszelkie przyrzekał poparcie. August II., uwiadomiony o tych stosunkach przez kapelana królewicza Kittena, postanowił pokrzyżować zamiary przeciwników i — wysławszy dragonów swoich na Szląsk — kazał porwać królewiczów Jakóba i Konstantego, jadących z Olawy do Wrocławia i osadzić ich w więzieniu w Pleissenbergu, a następnie w Königsteinie. Niesłychany ten gwałt skłonił wreszcie zjazd warszawski do ogłoszenia bezkrólewia; prymas zwołał sejm elekcyjny na 22. czerwca 1704. r. Przestraszony August chwytał się godziwych i niegodziwych środków. Mając za sobą Litwę i województwo sandomierskie, postarał się o zawiązanie generalnej konfederacyi sandomierskiej przeciw warszawskiemu związkowi, a równocześnie przyjmował projekt podziału Polski, ułożony przez Patkula i wysyłał awanturnika tego do Berlina, aby na tej podstawie traktować z królem pruskim o przymierze przeciw Szwedom.

Ale i w Warszawie działo się także nie dobrze. Uwięzienie królewiczów Sobieskich pozbawiło konfederatów gotowego już kandydata do korony, a gdy najmłodszy syn Jana III. Aleksander, obecny w Warszawie, odrzucił stanowczo ofiarowany mu wybór, odezwały się natychmiast ambicye możnych, rozrywające obóz konfederacki na rozmaite fakcye i stronnictwa. Jako kandydaci do tronu, przedstawieni przez prymasa królowi szwedzkiemu, wystąpili: hetman Lubomirski, Benedykt Sapieha, wojewoda sieradzki Jan Pieniążek, znany krzykacz z czasów Sobieskiego, i wreszcie na ostatniem miejscu podany Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański. Mnogość współzawodników groziła rozbiciem całemu stronnictwu; odżyły bowiem natychmiast prywaty i niechęci osobiste, zaczęły się intrygi i wzajemne podkopywania, ten i ów zrażony lub obrażony wracał do obozu Augusta II. Tak uczynił pomiędzy innymi Adam Sieniawski, hetman polny koronny, a za jego przykładem poszedł niebawem także Lubomirski wraz z całą swoją rodziną.

Rozbicie Rzeczypospolitej objawiło się raz jeszcze jaskrawo, prywatny interes możnowładczych rodzin brał górę nad interesem publicznym, ci, co ojczyzny bronić nie umieli lub nie chcieli, gotowi byli poświęcić wszystko osobistej ambicyi. I trzeba było znowu obcej interwencyi, aby konfederacyą uratować, trzeba było szwedzkiego sic volo sic jubeo, aby rozprzężone żywioły skupić i dzieła rozpoczętego dokonać. Karol XII., upodobawszy sobie Leszczyńskiego, poparł energicznie jego kandydaturę, o zwłokach i naradach słyszeć nie chciał, sprowadził wojsko na pole elekcyjne i wybór przeforsował. W nieobecności prymasa, który w sam czas zachorował, i innych biskupów, ogłosił elekcyą Stanisława biskup poznański Mikołaj Święcicki. Elekcya, przeprowadzona w ten sposób gwałtownemi środkami, była oczywiście zupełnie

nielegalna i stała się przyczyną nietylko wojny domowej, ale i ostatecznej ruiny kraju. Nowy król, odznaczający się wielkiemi przymiotami serca i umysłu, nie mógł mimoto pozyskać ogólnego uznania, jako monarcha, narzucony przez obcą potencyą z jawnem pogwałceniem praw i swobód szlacheckich, burzyła się więc przeciw niemu szlachta nawet w samej Wielkopolsce, burzyli się przedewszystkiem możni, nieznoszący władzy równego sobie, a z tego rozdwojenia korzystał August II., coraz ściślej łącząc się z carem na zgubę Rzeczypospolitej. Z drugiej strony Karol XII. uważał za punkt honoru dla siebie elektowi swemu w całym kraju zapewnić uznanie i Augusta II. zmusić do abdykacyi. Zaczęły się zatem — z wielkiem utrapieniem Rzeczypospolitej — marsze i kontramarsze wojsk szwedzkich, saskich i posiłkowych moskiewskich, srogie kontrybucye, łupienie domów szlacheckich, porywanie i więzienie senatorów, straszliwa orgia wojenna, oświecona łunami pożarów, zrumieniona krwią winnych i niewinnych.

Natychmiast po elekcyi Leszczyńskiego ruszył Karol na południe, zdobył i zdarł kontrybucyami Lwów, podczas gdy August, korzystając z tego oddalenia Szwedów, ubiegł Warszawę i zniszczywszy pałac Radziejowskiego i Lubomirskiego, i wycisnąwszy 10.000 talarów na mieszczaństwie, wziął w areszt biskupa Święcickiego. Na wiadomość o tem powrócił Karol forsownemi marszami nad Wisłę i odzyskał bez wystrzału stolicę. August II., rozporządzający znacznemi siłami, nie umiał ani bronić Warszawy ani też stawić czoła Szwedom. Ucieczka jego do Krakowa i bezmyślne rozkazy, rozpraszające całe wojsko nie wiedzieć po co i na co,[1]) dowiodły raz jeszcze, że jest to nietylko szalbierz polityczny, ale i wódz nieudolny. Karol XII., nienamyślając się wiele, poszedł w pogoń za uciekającym Augustem, zwrócił się jednak do Wielkopolski przeciw uchodzącemu Schulenburgowi, stoczył z nim niezupełnie szczęśliwą dla siebie bitwę pod Poniecem i niemogąc przeszkodzić odwrotowi Sasów za Odrę, stanął na leże zimowe w Rawiczu.

Haniebna ucieczka Augusta II. do Krakowa i nagły wyjazd do Drezna dla widzenia się z tyle słynną później hrabiną Kozel, która w sercu królewskiem zajęła miejsce Aurory Königsmark, podały wprawdzie lekkomyślnego króla w pogardę u własnych jego sprzymierzeńców, ale nie u polskich poddanych. Hetman Lubomirski, obrażony na Karola XII., przeszedł wraz z całą swoją rodziną do obozu saskiego, na Litwie trwali w niezachwianej dla Augusta wierności Ogińscy i Wiśniowieccy, a w Wielko- i Małopolsce służyli mu dzielni partyzanci Chomętowski i Śmigielski. Wobec takiego zachowania się Polaków poczynał sobie król coraz to zuchwalej, oprócz biskupa Święcickiego wtrącił do więzienia wojewodę łęczyckiego Towiańskiego, a na początku roku 1705. także kanclerza Załuskiego. Popierała go w tem postępowaniu surowem z biskupami Stolica apostolska, niezmiernie względna dla nowo nawróconego; uwięzionych prałatów osadzono w Ankonie, prymasa oddano pod sąd nuncyusza, a papież wystosował brewe do biskupów polskich, zakazujące koronacyi Leszczyńskiego. Mimoto Karol XII. dokonał zamierzonego dzieła, dnia

[1]) Jarochowski Kazimierz: „Bitwa pod Poniecem". Z czasów saskich. Poznań 1886.

4. października 1705. roku ukoronował Stanisława w Warszawie arcybiskup lwowski Zieliński, mianowany w nagrodę za to, po śmierci Radziejowskiego († 13. października) prymasem. Teraz dopiero zawarł Karol z Polską przymierze przeciw Moskwie i Augustowi na podstawach oliwskiego traktatu, przyrzekając zwrot dawnych prowincyj polskich, które miano zdobyć na carze i zastrzegając sobie restytucyą Sapiehów do dóbr i godności. Stronnikom Augusta wyznaczono termin trzymiesięczny do poddania się królowi Stanisławowi. Groźne postępy Szwedów w Polsce i elekcya Leszczyńskiego zaniepokoiły oczywiście w wysokim stopniu cara Piotra i skłoniły go do silniejszego — aniżeli dotąd — poparcia Augusta. Sam własną osobą więc wyruszył on na Litwę, w Połocku wydał manifest przeciw stronnikom Leszczyńskiego, a następnie zjechał się z Augustem w Tykocinie, gdzie za zgodą rady konfederackiej ratyfikowano zaczepno-odporne z Moskwą przymierze; car obowiązywał się oddać Rzeczypospolitej Białocerkiew i Inflanty, wypłacić 2,000.000 złotych polskich jako żołd wojsku polskiemu i dostarczyć 12.000 posiłków na wojnę szwedzką. Pociej, główny przymierza tego promotor, otrzymał pozwolenie na otwarcie mennicy, na której — fałszując pieniądze pod podrobionym stemplem cesarskim — znacznej dorobił się fortuny. Dla ukoronowania wiekopomnego dzieła ustanowił August II. order orła białego z napisem: pro fide, lege et grege.

Na wiadomość o tem zwrócił się Karol — zostawiając w Polsce Renskiölda — w 20.000 ludzi na Litwę, nie mógł jednak zdobyć ani Tykocina ani Grodna i zapędziwszy się w błota pińskie, zaniechał dalszego pochodu, obracając marsz na Wołyń. Wszędzie, gdzie tylko wojska szwedzkie się pokazały, zawiązywała szlachta bądźto przestraszona, bądź z niechęci ku Augustowi, konfederacye przy królu Stanisławie, cały Wołyń uznał nowego pana, a car zaniepokojony zaczął obwarowywać Kijów. Nagle jednak zwróciła się armia szwedzka przez ziemię chełmską i lubelską ku Wielkopolsce, gdzie tymczasem Renskiöld pobił pod Wschową na głowę Schulenburga, wiodącego posiłki dla Augusta. Przez pewien czas nie wiedziano jakie są zamiary Karola XII., kiedy w tem dnia 2. września 1706. roku wkroczył on na Szląsk i — gwałcąc neutralne terytoryum cesarskie, czego sobie zresztą i August często pozwalał — najechał bezbronną Saksonię. Niespodziewane pojawienie się Szwedów w sercu środkowej Europy wywołało niesłychane przerażenie. Była to bowiem właśnie chwila, kiedy Ludwik XIV. toczył z koalicyą zawziętą wojnę o sukcessyę hiszpańską, obawiano się przeto, aby Karol XII. — nieobliczalny w swoich postanowieniach — nie wmięszał się do tej walki, aby nie zawarł przymierza z Francyą, dawną Szwedów przyjaciółką. Do Altranstadtu więc — do głównej kwatery Karola — zjeżdżali się dyplomaci mocarstw skoalizowanych, przesadzający się nawzajem w grzecznościach dla młodego wojownika, cesarz Józef I. (następca Leopolda) oświadczył gotowość do ustępstw względem protestantów szląskich, słynny Marlborough złożył hołd swój niezwyciężonemu dotąd bohaterowi, ale najbardziej przerażonym i zgnębionym był August II., któremu król szwedzki przez najazd Saksonii odbierał główne źródło, dostarczające ludzi i pieniędzy. Nieczekając więc długo, wysłał

on natychmiast do Karola pełnomocników swoich Pfingstena i Imhofa w celu zawarcia pokoju, chociażby pod najuciążliwszemi warunkami. Rzeczywiście dnia 24. września 1706. roku stanął traktat w Altransztadzie, haniebny dla Augusta; zrzekał on się korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, miał uwolnić Sobieskich, wydać Patkula, zerwać wszelkie przymierza przeciw Szwedom i Leszczyńskiemu i o rezygnacyi swojej uwiadomić stany Rzeczypospolitej. Układy te — trzymane w największej tajemnicy — ukończono w chwili, kiedy Augustowi II. nadeszły znaczne posiłki moskiewskie pod dowództwem Menżykowa i kiedy nadarzała się dogodna sposobność do zgniecenia słabych sił szwedzkich w Wielkopolsce. August więc — podpisawszy traktat, przywieziony przez Pfingstena w Piotrkowie — ruszył na nalegania generałów rosyjskich i hetmanów polskich przeciw Mardefeldowi, który połączywszy się z Józefem Potockim stał pod Kaliszem, a niesłuchając przestróg saskich cofnąć się nie chciał. Tak przyszło do bitwy pod Kaliszem dnia 29. października 1706. r., Szwedzi zostali przez przeważające siły polsko-rosyjsko-saskie zupełnie pobici, a Józef Potocki wraz z całą rodziną swoją dostał się do niewoli. Po tym łatwym tryumfie udał się August do Warszawy, ogłosił tu manifest — bez wzmianki o zawartym pokoju — i pojechał do Altransztadtu, aby się upokorzyć przed Karolem.

Król szwedzki, wycisnąwszy na biednej Saksonii 40,000.000 talarów kontrybucyi i pomnożywszy siły swoje przez rekrutacyą do 44.000, zabawił do września roku 1707. w dziedzicznym kraju Augusta i dopiero na wiadomość o gospodarce moskiewskiej w Polsce powrócił przez Wielkopolskę na lewy brzeg Wisły. Po drodze stracono w sposób okrutny Patkula. Powodzenia szwedzkiego sprzymierzeńca nie przyniosły wielkich korzyści Leszczyńskiemu. Uznały go wprawdzie królem polskim dwory wiedeński i berliński, ale w kraju trwała po staremu waśń i niezgoda stronnictw. Trzymali się mianowicie Augusta wszyscy ci, co jemu wyniesienie swoje zawdzięczali lub Leszczyńskiemu korony zazdrościli; a więc biskup kujawski Szembek, przez Augusta prymasem mianowany, „pan dobry i pobożny, ale dom swój raczej niż dobro publiczne kochający“, hetman Sieniawski, który sobie rościł prawa do tronu, chciwy Denhof, marszałek konfederacyi sandomierskiej, wreszcie Grzegorz Ogiński, hetman polny litewski. Wszyscy oni po pogromie doszczętnym Augusta zwrócili uwagę swoją na Moskwę i stamtąd oczekiwali pomocy. Car ze swojej strony — jakkolwiek niezadowolony z dotychczasowego sprzymierzeńca — czuł dobrze, że teraz kolej przyjdzie na niego i wytężył wszystkie siły ku temu, aby uznaniu Leszczyńskiego przeszkodzić i wojnę domową w Polsce podtrzymać; obok tego miał także i dalsze plany, zamyślał bowiem syna swego Aleksego osadzić na tronie polskim. W tym celu udał się w maju roku 1707. do Żółkwi, zwołał tu przychylnych stronie saskiej senatorów i po długich z nimi konferencyach — nie szczędząc obietnic, pensyj, gratyfikacyj i gróźb — skłonił Denhofa, jako marszałka konfederacyi, do zwołania sejmu. Sejm, zwołany do Lublina, pod pressyą Piotra, który tam przybył i hetmana Sieniawskiego, który nie przestał marzyć o koronie, ogłosił bezkrólewie. Dalszym postępom partyi sasko-rosyjskiej przeszkodził powrót Karola XII. do

Polski. Uniesiony powodzeniem — stał on bowiem wtedy na szczycie sławy — postanowił król szwedzki teraz upokorzyć najgroźniejszego swego nieprzyjaciela, Piotra Wielkiego. Pomimo przedstawień generałów swoich i Leszczyńskiego ruszył on też w styczniu roku 1708. do Litwy i dotarł aż do Radoszkowic; Moskale — unikając bitwy — cofali się przed natarczywością Szwedów, z wielkiem całego kraju zniszczeniem. Uprowadzano ludność w głąb Moskwy, wywożono całemi gromadami dzieci polskie, palono — skoro letnia pora nadeszła — zboża i trawy, aby nieprzyjaciela nękać głodem i niedostatkiem. Karol jednak omylił nadzieje Piotra, z Radoszkowic bowiem zwrócił się nie ku Petersburgowi — jak mniemali Moskale — lecz na Ukrainę. Na to postanowienie króla wpłynął głównie hetman kozacki Mazepa. Niegdyś dworzanin Jana Kazimierza, znany z awanturniczych przygód, które z takim humorem Pasek w pamiętnikach swoich opisał, rzucony losem pośród Kozaków, zdobył sobie Mazepa ich zaufanie i względy cara do tego stopnia, że mu atamańską powierzono buławę.

Ale niebawem odezwała się w nim natura polska i miłość wolności. Nie mogąc się pogodzić z porządkami moskiewskiemi na Ukrainie, zaczął on przemyśliwać nad wydobyciem się z pod jarzma carskiego, znosił się w tym celu z hetmanem Jabłonowskim, porozumiewał się z Karolem XII. i Leszczyńskim podczas ich wyprawy na Wołyń i gotów był wtedy oddać Kijów, Czernichów, i Smoleńsk wzamian za Witebsk i Połock jako lenne księstwo dla siebie. Nie przyszło wtenczas do żadnego w tym względzie postanowienia i teraz dopiero powziął fantastyczny w planach swoich Karol zamiar skorzystać z propozycyj Mazepy, który wszystko do buntu przygotował. Jakoż niespodziewanie ruszyli Szwedzi ku Berezynie, pobili pod Hołowczynem Moskali i zajęli Mohylew. Tu jednak zamiast czekać na Löwenhaupta, który z Inflant prowadził 11.000 posiłków, poszedł Karol dalej ku Deśnie, aby się z Mazepą połączyć. Tymczasem ten, zdradzony przez pułkownika swego Skoropadzkiego, przyprowadził zaledwie 4000 do 5000 Kozaków, podczas gdy Löwenhaupt — napadnięty przez przeważające siły moskiewskie — zaledwie w 6700 ludzi przedarł się do obozu szwedzkiego. W listopadzie udał się Karol pod Baturyn, gdzie były nagromadzone przez Mazepę magazyny, ale Moskale uprzedzili go i — zrównawszy miasto z ziemią — pozbawili Szwedów jedynego schronienia. Wśród stepów ukraińskich spędziła więc armia Karola straszną zimę, w obozie panował głód, setki Szwedów marzły na czatach, w szeregach kozackich zaczęła się dezercya. Z wiosną, gdy roztopy zwyczajne w tej porze roku ustały, oblęgli Szwedzi Pułtawę. Oblężenie wlokło się z powodu braku ciężkiej artyleryi przez trzy miesiące, wreszcie nadszedł na odsiecz z ogromnem wojskiem Piotr Wielki. Karol XII., popełniając błąd za błędem, podzielił i tak szczupłe siły swoje, część zostawił pod Pułtawą, na czele drugiej zaś wydał bitwę Moskalom dnia 8. lipca 1709. roku, która zupełną jego skończyła się klęską. Zaledwie z trzema tysiącami Kozaków i Szwedów — z Mazepą u boku — schronił on się pod opiekę turecką do Benderu. Losy Polski i Szwecyi były rozstrzygnięte, u granic cywilizowanej Europy stanęła straszna ogromem potęga caratu.

Powrót Augusta II. — Upadek Leszczyńskiego. — Konfederacya tarnogrodzka. — Sejm niemy w roku 1717. Oddalenie się Karola XII. z Polski zachwiało tronem Leszczyńskiego, a klęska pod Pułtawą zgotowała protegowanemu przez Szwedów królowi zupełny upadek. Znane nam są pobudki, które kierowały polityką magnatów polskich, trzymających się uporczywie Augusta II., obecnie — po powrocie Leszczyńskiego z Saksonii — niechęć ku niemu w tym obozie wzrosła jeszcze bardziej skutkiem rozdania dygnitarstw ludziom nienależącym oczywiście do partyi saskiej. Sieniawski oburzył się, że buława wielka koronna dostała się Józefowi Potockiemu, Wiśniowiecki — jakkolwiek uznał Leszczyńskiego — zazdrościł buławy wielkiej litewskiej Janowi Sapieże, a Andrzej Załuski pieczęci wielkiej Janowi Stanisławowi Jabłonowskiemu. Tak prywatne urazy i egoizm wysoko postawionych dygnitarzy Augustowej kreacyi niedopuścił do uspokojenia Rzeczypospolitej, wojna domowa toczyła się dalej z niepomyślnym dla Leszczyńskiego skutkiem. Wojsko jego pod Józefem Potockim i Adamem Śmigielskim, który po bitwie kaliskiej porzucił Augusta, poniosło klęskę pod Koniecpolem od generała Rybińskiego i Ludwika Pocieja, a zwycięstwo to otworzyło kwarcianym Sieniawskiego kraj cały aż po Gdańsk, zamykając dla partyzantów Leszczyńskiego krakowskie i sandomierskie województwo. W roku następnym ruszył Stanisław z oddziałem szwedzkim generała Krassaua i z Potockim na Ruś, naprzeciw Karola XII., kiedy wiadomość o bitwie pułtawskiej — a przedtem jeszcze niechęć Szwedów i ich dowódzcy — skłoniły go do odwrotu. O tych kłopotach biednego króla wiedział niewątpliwie August II. i na nich — jakoteż na pomocy moskiewskiej — zakładał swoje nadzieje.

Rozsyłając na wszystkie strony dyplomatów, traktując z królem duńskim, pruskim i malkontentami polskimi, zawarł on wkońcu — na kilka dni przed bitwą pułtawską — z pełnomocnikiem carskim zaczepno - odporne przymierze i mając na mocy tego układu tron polski zapewniony dla siebie i swojego syna i porozumiawszy się z Denhofem, biskupem kujawskim Szaniawskim i kanclerzem Szembekiem, którzy na własną rękę przybyli do Drezna, wydał dnia 8. lipca 1709. roku manifest, zrywający traktat altransztadzki — jako nieformalnie zawarty — i zapowiadający powrót prawowitego króla Augusta II. do Polski. Strapiony tem wszystkiem i ubolewający szczerze nad smutnym losem ojczyzny Leszczyński usiłował napróżno pojednać się z przeciwnikami. Projekt jego, aby cały spór o koronę oddać pod sąd sejmu, rozbił się o zawziętość Sieniawskiego, który wziął w areszt posłów Stanisława, a równocześnie podejmował u siebie wspaniale Piotra Wielkiego, jako tryumfatora i obrońcę Rzeczypospolitej. W takiem położeniu nie pozostawało Leszczyńskiemu nic innego, jak tylko z wojskiem szwedzkiem opuścić ciężko utrapioną Polskę i udać się na tułaczą po obcych krajach wędrówkę. W październiku roku 1709. wyruszył on na Pomorze do Szczecina, podczas gdy Józef Potocki powrócił do kraju, a pobity przez Moskali, przedarł się na Węgry, gdzie walczył dzielnie pod sztandarami Rakoczego przeciw Austryi.

Tak skończył się trzeci z kolei najazd szwedzki, najstraszniejszy ze wszystkich. Na olbrzymich obszarach Rzeczypospolitej, zoranych tysiącami

kopyt końskich, przesiąkniętych krwią ludzką, zapanowała cmentarna prawdziwie cisza. Kraj, zrujnowany ekonomicznie przez wojnę i nieodłącznych jej towarzyszy głód i zarazę morową, przedstawiał obraz dzikiej pustyni, urozmaiconej pogorzeliskami i mogiłami. Województwa, stawiające przedtem 500 do 600 ludzi, zdobyły się teraz zaledwie — w czasach największej potrzeby — na dwie kuse chorągwie po 80 żołnierzy, pola niegdyś uprawne leżały odłogiem, a ludność w lasach i miejscach niedostępnych szukała schronienia. Toż nie przesadzał sejmik radziejowski, kiedy do Rzeczypospolitej w rozpaczliwym odzywał się tonie: „Niepodobna cierpiącym milczeć, utrapionym nie płakać, konającym nie westchnąć“.[1]) I konała w istocie utrapiona do ostateczności Polska.

Bywają wojny nawet nieszczęśliwe, które wstrząsają społeczeństwem, oczyszczają powietrze, podnoszą naród moralnie, budzą w nim wojennego ducha, kształcą wodzów, tworzą rycerzy. O wojnie szwedzkiej powiedzieć tego nie można. Społeczeństwo polskie wyszło z niej bardziej zdemoralizowane niż przedtem; złamane na duchu, zubożone i znędznione, zatraciło ono nawet tę sławę rycerską, jaka mu pozostała po wielkich przodkach. Przepadły gdzieś bez śladu owe żelazne zastępy, o które się łamała dzicz azyatycka, znikli bohaterowie, będący niegdyś postrachem najezdników, rycerstwo polskie, słynne z waleczności, nie może nigdzie dotrzymać pola szwedzkim lub moskiewskim najemnikom, dziesięcioletnia wojna nie wyrabia ani jednego talentu wojskowego, oprócz mniej lub więcej głośnych partyzantów, niedorównywujących w niczem Czarnieckiemu. O wiele gorsze jeszcze są skutki wojny pod względem politycznym. Ścisły sojusz Augusta II. z carem podaje Rzeczpospolitą w zawisłość od Moskwy, otwiera kraje polskie dla „auksyliarnych“ wojsk carskich i na miejsce korrupcyi francuskiej wprowadza ruble rosyjskie. Raz stanąwszy silnie na ziemi polskiej, nie myśli Piotr Wielki opuścić zdobytej pozycyi. Odgrywając zręcznie rolę sprzymierzeńca Augustowego, to znów opiekuna polskiej wolności, występuje on wreszcie w roli pośrednika pomiędzy narodem i królem, aby — narzuciwszy wolę swoją jednemu i drugiemu — Rzeczpospolitą ubezwładnić i skrępowaną uczynić powolnem narzędziem polityki carskiej, a wkońcu ujarzmić. Pomagał mu w tem z wiedzą czy bezwiednie August II., trzymający się uporczywie korony polskiej. Skoro tylko Leszczyński opuścił Polskę, zjechał on się z carem w Toruniu i tu w obecności senatorów polskich odnowiono dawne z Moskwą traktaty, zrzekając się nawet myśli odzyskania Inflant. Senatorowie, należący do stronnictwa Leszczyńskiego, arcybiskup Zieliński i hetman Michał Wiśniowiecki zostali wywiezieni w głąb Moskwy; osobnym uniwersałem uwiadomiono naród o powrocie króla Augusta II. i zwołano radę konfederacką na dzień 4. lutego 1710. roku do Warszawy. Zjazd — pod naciskiem posła moskiewskiego Dołhorukiego — uchwalił wszystko, czego tylko od niego żądano, a więc aukcyą wojska do 40.000, potwierdzenie paktów Grzymułtowskiego i Działyńskiego, poselstwo do cara i sułtana, a otrzymał w zamian za to obietnicę, nikogo nieobowiązującą, że wojska moskiewskie

[1]) Pawiński: „Rządy sejmikowe“, str. 404.

będą z Polski wycofane. Poza tem toczyły się poufne układy pomiędzy Piotrem, Augustem i królem pruskim o podział Rzeczypospolitej.

Przeszkodził im narazie Karol XII., który — wysławszy do Konstantynopola Stanisława Poniatowskiego — skłonił Portę do wojny z Rosyą. Sułtan zażądał zwrotu Azowa, wyprowadzenia wojsk moskiewskich z Polski, uznania królem Leszczyńskiego, niepodległości Kozaków i oddania Szwedom prowincyj nadbałtyckich, a gdy Piotr na to się nie zgodził, wysłał Tatarów wraz z Józefem Potockim na Ukrainę. Na wiadomość o tem ruszył car osobiście za Dniestr, tu jednak — otoczony przez przeważające siły tureckie i przyparty do Prutu — znalazł się w fatalnem położeniu. Czekała go niechybna klęska i sromotna niewola, kiedy przekupiony wezyr zmiękł nagle i — zadowolniwszy się ustąpieniem Azowa i obietnicą wyprowadzenia wojsk moskiewskich z Polski — wybawił cara i armią jego od oczywistej zguby. Narazie wykonał Piotr Wielki warunki pokoju, wycofał armię swoją z Polski, zabierając przy tem wszystko, co się zabrać dało, a więc z ogrodu królewskiego z Warszawy posągi, fontanny, drzewka kosztowne, naostatek wszystkie ozdoby i galanteryjne kosztowności.[1]) Tymczasem Karol XII., nieposiadając się z gniewu, a nie mogąc nakłonić Turków do nowej wojny z Moskwą, gotował na rok 1712. skombinowaną wyprawę do Polski; od strony Wołoszczyzny wkroczył ze Szwedami i Polakami starosta rawski Grudziński, od północy dążył generał Stenbok z Leszczyńskim ku Wielkopolsce. I jedno i drugie nie powiodło się, Grudziński został rozbity przez cześnika Brzuchowieckiego, Stenbok — po kilku szczęśliwych bitwach, otoczony przez przeważające siły sprzymierzonych — musiał kapitulować w Tonningen. Zanim do tego przyszło, jeszcze próbował Leszczyński układów z Augustem II. i pojechał do Benderu, aby Karola dla tej myśli pozyskać. Ale w Benderze nie zastał on już ani króla szwedzkiego, ani jego otoczenia. Turcy, zrażeni dumą niesłychaną Karola i ciągłemi jego intrygami w Konstantynopolu, postanowili wreszcie pozbyć się niewygodnego gościa, a gdy go żadną miarą do wyjazdu skłonić nie mogli, wydał sułtan rozkaz, aby upartego Szweda siłą do Adryanopola sprowadzić. 30.000 Turków z artyleryą otoczyło obóz szwedzki i po krwawej walce udało się janczarom szaleńca ubezwładnić i odstawić do zamku Timurtasz, gdzie do roku 1714. przebywał. Jego miejsce w Benderze zajął Stanisław, otoczony przyjazną Wielkiej Porty opieką. Zwolna zgromadzili się około niego wychodźcy polscy: Józef i Michał Potoccy, Wiśniowiecki, który uciekł z niewoli moskiewskiej, kuchmistrz koronny Jan Tarło, Grudziński i Sapieha. Radzono tu o nowych do Polski wyprawach, zajmowano się tworzeniem wojska polskiego, licząc na pomoc Turcyi i niezadowolenie, jakie panowało w kraju, z powodu nadużyć Sasów i przybyłych znowu wojsk moskiewskich. Sam August był zaniepokojony tą burzą, jaka się nad głową jego zbierała, mówiono o spisku na życie królewskie; Jabłonowskiego — posądzonego o udział w tym ruchu — uwięziono, ale klęska Szwedów na Pomorzu nadała inny obrót całej sprawie, sułtan ratyfikował pokój z Moskwą zawarty, Leszczyński wyjechał na mieszkanie do dzie-

[1]) Otwinowski, str. 188.

dzicznego księstwa Karola XII. Dwóch Mostów (Zweibrücken), a adherenci jego powrócili do kraju i uznali Augusta.

Tak uspokoiła się cokolwiek Rzeczpospolita w roku 1714., narzekała tylko szlachta zrujnowana ekonomicznie i trapiona ciągle przez wojska saskie. Król, głuchy na te skargi, wypoczywał po trudach wojennych wśród zabaw

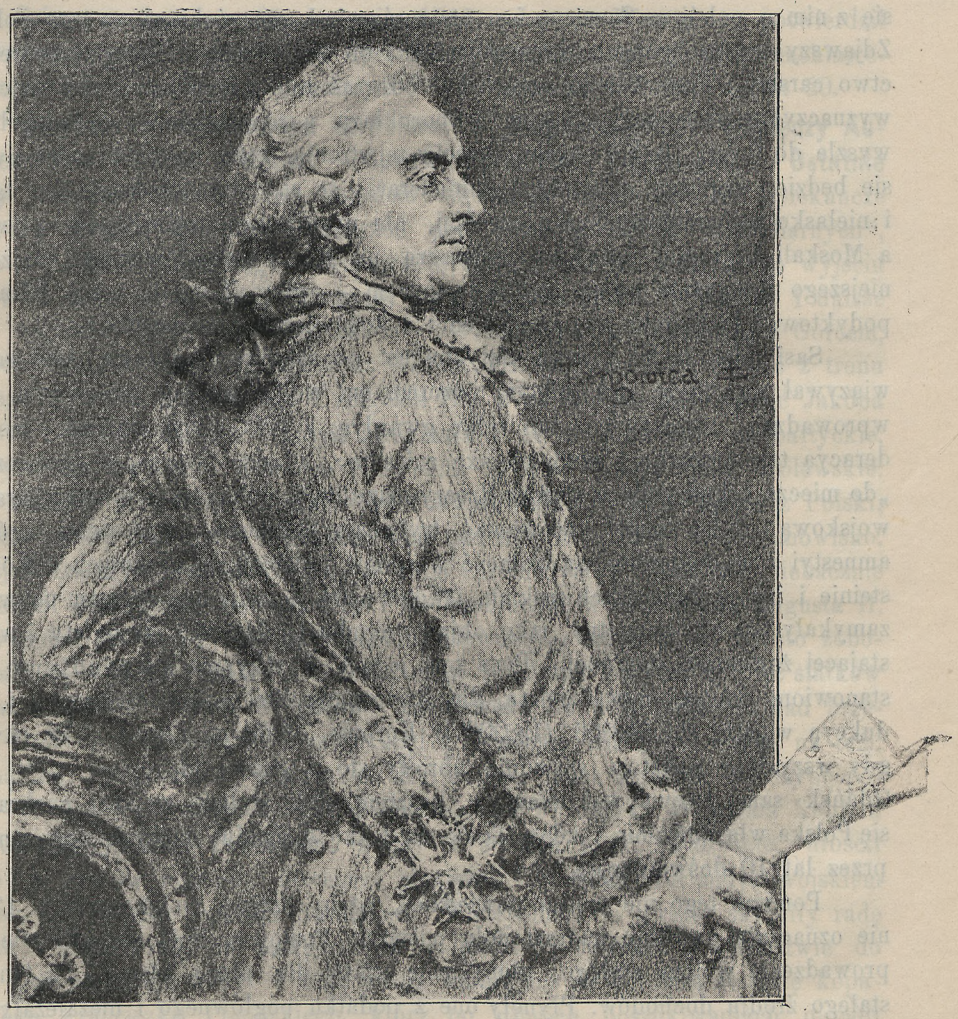

Stanisław August Poniatowski.

i dorywczych miłostek, nie troszcząc się wcale o zniszczenie kraju i opłakany stan swoich poddanych. Ostatecznie jednak przebrała się miarka cierpliwości, niezadowolenie tłumione i tajone wybuchnęło jasnym płomieniem, wojsko wypowiedziało hetmanowi posłuszeństwo, w rozmaitych okolicach uderzono na Sasów, znosząc drobniejsze oddziały i zawarto wreszcie w Tarnogrodzie konfederacyą pod laską Stanisława Leduchowskiego, podkomorzego krzemienieckiego. Groźny ruch objął niebawem i Litwę, przystąpiła do niego Wielko-

polska i zdawało się przez chwilę, że naród — do ostateczności przywiedziony — zdobędzie się na krok stanowczy i sam o sobie radzić będzie. Stało się jednak inaczej, konfederaci zawezwali pośrednictwa Piotra Wielkiego, który właśnie w Gdańsku wyprawiał wesele swojej siostrzenicy, wychodzącej za mąż za księcia Meklemburskiego. Przestraszył się tej medyacyi August II., bo wiedział, że car zostaje w stosunkach z Görcem, ministrem Karola XII. i że układa się z nim o pokój ze Szwecyą i o przywrócenie Leszczyńskiego na tron polski. Zdjąwszy przeto pychę z serca pojechał i on do Gdańska i przyjął pośrednictwo carskie. Piotr Wielki gotów był odegrać rolę pacyfikatora, na rozjemcę wyznaczył w zastępstwie swojem Dołhorukiego, a równocześnie oświadczył, że wyszle do Polski 18.000 wojska przeciw tej stronie, która pokojowi sprzeciwiać się będzie. Zapóźno spostrzegli konfederaci, że się zdali właściwie na łaskę i niełaskę wspaniałomyślności carskiej, ale przyciśnięci przez Sasów z jednej a Moskali z drugiej strony — zwłaszcza po klęsce Gniazdowskiego, najzdolniejszego partyzanta swego pod Kowalewem — przyjęli ugodę taką, jaką im podyktował Dołhoruki w porozumieniu z konsyliarzami królewskimi.

Sasi mieli wyjść z kraju natychmiast po ratyfikacyi układu, król zobowiązywał się nigdy pod żadnym pozorem ani wojsk saskich ani obcych niewprowadzać; pozostawiono mu tylko gwardyą, z 1200 ludzi złożoną. Konfederacyą tarnogrodzką i sandomierską zniesiono, władzę hetmanów ograniczono „do miecza i komendy na rozkaz Rzeczypospolitej“, odbierając im administracyą wojskową, którą miały sprawować trybunały skarbowe. Ogłoszenie ogólnej amnestyi i wypuszczenie na wolność więźniów polskich, zamkniętych w Königsteinie i innych twierdzach saskich, jakoteż ostre przeciw innowiercom uchwały, zamykały ten akt pamiętny, jako objawy ugodowej dążności stronnictw i wzrastającej żarliwości religijnej. Poza tem jednak w skrypcie ad archivum postanowiono zmianę najważniejszą, dla Rzeczypospolitej najszkodliwszą, t. j. redukcyą wojska do 24.000 (18.000 w Koronie, 6000 na Litwie). W chwili, gdy wszystkie państwa sąsiednie zbroiły się i pomnażały swoje siły, gdy Gdańsk sam utrzymywał własnym kosztem 8000 stałego wojska, rozbrajała się Polska własnowolnie i zdawała się na łaskę sąsiadów, których drapieżności przez lat 10 doświadczyła.

Pomimo tego nie można powiedzieć, ażeby ustawa wojskowa z r. 1717. nie oznaczała pewnego na tem polu postępu. Postępem było niewątpliwie zaprowadzenie wojska stałego, obmyślenie stałej dla niego płacy i na ten cel stałego źródła dochodów. Płynęły one z podatku pogłównego i niezależały już na przyszłość od fantazyi sejmu i dobrej woli sejmików. Błędem było tylko, że Rzeczpospolita bezpieczeństwo swoje oparła na sile 4085 bagnetów, że wobec zupełnej zmiany taktyki wojskowej upatrywano główną potęgę armii polskiej w t. zw. poważnych znakach kawaleryi narodowej, która była „martwym cieniem dawnej bohaterskiej jazdy polskiej“, że zaniedbano zupełnie artyleryą i nie ustanowiono wcale gaży dla inspektora piechoty, ustanowionego mocą uchwały sejmowej. Ogółem tak jak zawsze tak i teraz nie wadliwość ustawy, ale niedbałe jej wykonanie stało się przyczyną, że i ta garstka wojska stałego istniała na papierze, a nie w rzeczywistości, że żołnierz był i licho

płatny i źle odziany, że regimenta piesze mianowicie — jakkolwiek uchwalone przez sejm — nie mogły być do życia powołane, że brakowało szpitali, środków leczniczych, szkół wojskowych, słowem tego wszystkiego, od czego zawisł rozwój armii, zdrowie i energia żołnierza.[1]) A jakby jeszcze i to nie wystarczało do ubezwładnienia i zgnębienia Rzeczypospolitej, poddano całą ustawę pod gwarancyę Rosyi.

Sejm, zwołany na 31. stycznia 1717. roku do Warszawy, potwierdził w przeciągu siedmiu godzin bez dyskusyi (stąd niemym zwany) machiawelistyczne dzieło dyplomacyi carskiej i Polska popadła w letarg na lat 50.

Gospodarka moskiewska w Polsce. — Nieporozumienia pomiędzy Augustem II. a Piotrem Wielkim. — Sprawa toruńska i kurlandzka. — Ostatnie plany i śmierć króla. Nad narodem znękanym roztoczyły się opiekuńcze skrzydła carskiej gwarancyi, naprzód pod postacią „wojsk auksyliarnych“, które — pomimo uroczystego zobowiązania się Augusta II. — nawet po wyjściu Sasów w kraju pozostały. Wymagała tego polityka Piotra Wielkiego i dalsze ego względem Rzeczypospolitej zamiary. Wszedłszy w porozumienie z Görcem, wszechwładnym natenczas ministrem Karola XII., zamierzał on strącić z tronu Jerzego I., króla angielskiego i Augusta II., a na ich miejsce osadzić Jakóba Stuarta i Leszczyńskiego. Rosya otrzymałaby za to prowincye nadbałtyckie, zdobyte na Szwedach, Szwedzi Norwegią, a król pruski Prusy królewskie. Aby zamiary te wykonać, trzeba było wyprowadzić wojska saskie z Polski, Rzeczpospolitę rozbroić i w prowincyach nadbałtyckich zająć silne stanowisko. Z największem zadowoleniem przyjął więc car medyacyą, jaką mu niebacznie ofiarowali konfederaci tarnogrodzcy i — korzystając z przerażenia Augusta II. — wymusił (w roku 1716.) na Gdańsku konwencyą, mocą której miasto zobowiązało się wypłacić Moskwie znaczną sumę pieniężną i wystawić pięć statków (t. zw. kaprów) z osadą do połowy moskiewską, w celu czuwania nad brzegami Bałtyku i przecinania komunikacyi z Szwecyą. Nie poprzestając na tem, sięgnął car równocześnie prawie po Kurlandyą, lenne księstwo Rzeczypospolitej. Wydał on bowiem za księcia tamtejszego Fryderyka Wilhelma Kettlera synowicę swoją Annę Iwanównę, a gdy ta w roku 1711. owdowiała, urościł sobie do stanów rozmaite pretensye pieniężne i obsadził Kurlandyą wojskiem swojem pod wodzą generała Bestużewa. Niesłychane te gwałty skłoniły radę senatu w roku 1717. do energicznych środków. Wysłano w poselstwie do cara, podróżującego wtedy z żoną swoją Katarzyną po Europie, starostę kopanickiego Franciszka Ponińskiego, który po długich poszukiwaniach dopadł Piotra Wielkiego wreszcie w Paryżu i otrzymał od niego zapewnienie, że wojska moskiewskie z krajów polskich wyprowadzi, sekwestru jednak — rozciągniętego na Kurlandyą — nie zniesie. Ale nawet i ta marna obietnica nie miała żadnego skutku, wojska moskiewskie odbywały po staremu marsze i kontramarsze w zachodnich prowincyach Rzeczypospolitej, Dołhoruki wymusił na Gdańsku wypełnienie warunków owej konwencyi z roku 1716.

---

[1]) Górski Konstanty: „Historya piechoty polskiej“, Rozdział VI. — Pawiński: „Rządy sejmikowe“, str. 306.

i w nagrodę za trudy poniesione przy tem kazał sobie zapłacić 6000 rubli i wydać obraz znakomitego pędzla, przedstawiający „Sąd ostateczny“,[1]). Ucisk, jakiego się „wojska auksyliarne“ dopuszczały, doprowadzał szlachtę do rozpaczy, tak, że już o nowej konfederacyi myśleć zaczynała. Rada senatu zatem — zebrana w Wschowie — wyprawiła ponownie, tym razem już do Petersburga, Ponińskiego z ponownem żądaniem wycofania wojsk nietylko z Polski, ale i z Kurlandyi. O Gdańsku, co jest dość charakterystycznem, nie wspomniano ani słowa. Poniński przybył do Petersburga w chwili, kiedy car — sprowadziwszy ze schronienia w Neapolu, syna swego Aleksego — wytoczył mu proces o zdradę stanu. Musiał wią poseł polski przejeżdżać się z Petersburga do Moskwy, był tam świadkiem straszliwych egzekucyj, spełnianych na wspólnikach Aleksego, widział, jak ścinano arcybiskupa Rostowskiego, jak wbijano na pal majora Glebowa, jak innych kołem łamano, doczekał się skazania na śmierć i tragicznego zgonu carewicza w więzieniu petersburskiem (8. lipca 1717. roku), ale właśnie z powodu tych zajść nie mógł prędko poselstwa załatwić. Tymczasem nadjechał starosta wołkowyski Galiński, który z polecenia dygnitarzy litewskich misyą Ponińskiego osłabiał i podkopywał. W takich warunkach, niepoparty demonstracyą zbrojną, czego się słusznie domagał u króla, powrócił starosta kopanicki z niczem do kraju i zastał tam inną kombinacyą. August II. wysłał feldmarszałka Fleminga do Wiednia, aby się starać o rękę arcyksiężniczki Maryi Józefy dla królewicza Fryderyka Augusta i zarazem przyprowadzić do skutku przymierze z cesarzem przeciw Moskwie i Prusom. Misya powiodła się; dnia 5. stycznia 1719. roku zawarł cesarz Karol VI. i król angielski Jerzy z Augustem II. — jako elektorem saskim — przymierze odporne przeciw każdemu nieprzyjacielowi. Chodziło teraz o to, aby Rzeczpospolita traktat ten przyjęła i aby go sejm ratyfikował. Jakoż nie ulega wątpliwości, że polityka Augusta II. w tym wypadku była trafna, dawała bowiem Polsce sposobność przez związki z mocarstwami zachodniemi — oparte na realnych podstawach — uwolnić się od zawisłości moskiewskiej. Ale Rosya, widząc na co się zanosi, użyła wszelkich środków, aby przymierzu przeszkodzić. Za staraniem Dołhorukiego zerwano dwa sejmy, jeden po drugim (w roku 1719. i 1720.) pod pozorem, że Fleming dzierży nieprawnie nad zaciągiem cudzoziemskim komendę, którą mu hetman Sieniawski dobrowolnie odstąpił.

Zanim do tego jeszcze przyszło, rozchwiały się układy cara z Szwecyą, Karol XII. zginął przy oblężeniu Frederikshalu (w grudniu roku 1718.) na tron szwedzki wstąpiła siostra jego Ulryka Eleonora, która — ograniczona w władzy swojej przez senat — musiała się stosować do woli gnębionej dotąd oligarchii. Pierwszą ofiarą nowego kierunku padł Görc, skazany na śmierć za zdradzieckie — jak twierdzono — przeciw Szwecyi knowania, ale ci, co politykę jego potępiali, nie umieli się zdobyć ani na energiczne prowadzenie wojny, ani na zawarcie korzystnego pokoju. Zawierano traktaty z mocarstwami sprzymierzonemi po kolei, sprzedając jedną prowincyę niemiecką po

[1]) Jarochowski: „Dwie misye Frańciszka Ponińskiego do cara Piotra Wielkiego“.

drugiej, ostatni pozostał na polu walki Piotr Wielki, który — podług dawniejszych zobowiązań — nie miał bez udziału Augusta II. układać się ze Szwecyą, ale — jak zwykle — lekceważąc sobie te umowy, zawarł pokój w Nystädt (1721. roku) i otrzymał Inflanty, obiecane niegdyś Polsce, Estonią, Ingryą i część Karolii. Bezpośrednio potem przybrał on tytuł cesarza Wszech Rosyi, groźny dla ruskich prowincyj Rzeczypospolitej, podobnie jak tytuł króla pruskiego dla Prus królewskich. Od północnego wschodu i od zachodu miała teraz Polska dwóch sąsiadów, którzy każdej chwili na mocy prawnych pozornie pretensyj mogli sięgnąć po spory kawał kraju, pozbawionego i obrony i rządu.

Rzeczpospolita przyjmowała obojętnie te ciosy i upokorzenia. Po roku 1717., po całym szeregu klęsk i nieurodzajów, nastało dziesięć lat dziwnie żyznych, jakby zesłanych przez Opatrzność na zagojenie ran, zadanych przez najazd szwedzki, głód i morowe powietrze. Ludność zgnębiona i zdziesiątkowana jęła się pługa i roli, szlachcic zapobiegliwy wynagradzał sobie niewczasy wojenne i klęski ekonomiczne zyskownem zajęciem gospodarskiem, zbieraniem nowych dostatków i tym pokojem błogim, którego dawno nie zaznał, a który stał się teraz jedynem jego pragnieniem politycznem. Owładnęła więc całe pokolenie ówczesne łatwo zrozumiała ale w wysokim stopniu szkodliwa inercya, lenistwo ducha i ospałość ciała, objawiające się w unikaniu wszystkiego tego, coby pokój upragniony zamącić mogło. Znoszono więc cierpliwie obecność „wojsk auksyliarnych“, fukania i gwałty carskie, spoglądano obojętnie na opressyą Gdańska i zabór Kurlandyi, odrzucono wreszcie przymierze z Austryą i Anglią, aby tylko wojny nowej nie ściągnąć i wczasów pokojowych sobie nieprzerwać.

Naród usypiał politycznie, usypiał i duchowo. Wychowanie publiczne, ujęte w szablonową metodę szkół jezuickich, wydawało pieniaczy palestranckich, napuszystych mowców sejmikowych i zelantów religijnych, skłonnych zarówno do fanatyzmu jak i do obłudy w życiu prywatnem i publicznem. Bezustanne wojny z poganami i heretykami i klęski dotkliwe, jakie Rzeczpospolita wskutek tego ponosiła, rozwinęły w narodzie polskim ową nadzwyczajną gorliwość religijną, która — podniecana przez duchowieństwo, zwłaszcza niższe, przy braku zupełnem zdrowej oświaty — wybujała w fantastyczną do innowierców nienawiść. I stało się, że to samo społeczeństwo, co z dziwną pobłażliwością spoglądało na swawolę, anarchią, sprzedajność i częste krzywoprzysięstwa, co spisek przeciw pomazańcowi Bożemu uważało raczej za objaw wolnomyślności i republikańskiego ducha, niż za karygodną zbrodnię, co zrywanie sejmów — będące zdradą ojczyzny — przyjmowało obojętnie jako przywilej poselskiej wolności, że tosamo społeczeństwo każde chociażby pozorne wykroczenie przeciw religii karało z nieubłaganą surowością i okrucieństwem. Objawy tego ślepego fanatyzmu spotykamy już za czasów Jana III., kiedy Kazimierza Łyszczyńskiego, wychowańca szkół jezuickich, oskarżonego o ateizm, skazano na spalenie, chociaż tak obwiniony jak i jego obrońca dowodzili jasno, że Łyszczyński był katolikiem, chodził do spowiedzi i napisał testament, rozpoczynający się od wezwania Trójcy św. Przysięga delatora,

stolnika bracławskiego Brzoski, wystarczyła jednak, aby nieszczęśliwego potępić. Brzoska otrzymał za to połowę majątku skazanego. Mimoto tosamo społeczeństwo wybrało w kilka lat później królem neofitę Augusta II., którego całe życie było jednem pasmem kłamstwa, przeniewierstwa i najwyuzdańszej rozpusty. Najazd szwedzki, gwałty Sasów, protestantów, Moskali i schyzmatyków podrażniły jeszcze więcej uczucie religijne. Sejm niemy nakazał zburzenie nowych zborów innowierczych i zastrzegł, aby kanclerze z ubliżeniem katolików nie pieczętowali przywilejów dyssydenckich. Skutki tej uchwały okazały się już w roku następnym. Na sejmie grodzieńskim, podczas głosowania na marszałka, zjawił się w izbie ksiądz Kazimierz Ancuta i zatamował activitatem posłowi wieluńskiemu Piotrowskiemu, kalwinowi, utrzymując, że żaden dyssydent nie powinien zasiadać w sejmie. Napróżno domagał się głosu Piotrowski, szlachta tak drażliwa zresztą na punkcie wolności i nietykalności poselskiej, „huknęła“ nań, że mu się justyfikować niepozwoli i sprawa skończyła się wyrzuceniem z izby Piotrowskiego.[1]) Równocześnie prawie toczył się proces Zygmunta Unruga, starościca wałeckiego, pułkownika wojsk koronnych i szambelana królewskiego, który — oskarżony przez Andrzeja Potockiego na podstawie zgubionych przypadkowo zapisków, o bluźnierstwo przeciw Bogu i wierze katolickiej — został skazany przez trybunał na karę śmierci i oczywiście konfiskatę majątku, którego połowę delatorowi przysądzono. Zajścia tego rodzaju utrzymywały umysły w stanie ciągłego przeciw dyssydentom rozdrażnienia, podczas gdy masy narodu — trapione niezliczonemi klęskami — szukały u stóp ołtarzy pociechy i ratunku. Rosła więc pobożność i zelozya u góry i u dołu. Przeor częstochowskich Paulinów, ksiądz Kozbiałowicz, przyprowadził do skutku w roku 1717. wspaniałą koronacyą cudownego obrazu N. P. Maryi, za tym przykładem poszły inne w Sokalu, Tuchowie i Studziennej, wszystko przy assystencyi wojskowej, gęstej strzelbie, „wielkich tryumfach i pyrobolikach w nocy“. „I od tego roku — pisze współczesny pamiętnikarz — nastały roki dziwnie obfite“. Używano tej obfitości nie w zupełnym wprawdzie spokoju, ale z niemałem zadowoleniem, kiedy nagle w roku 1724. spadła jak grom wiadomość o wielkim tumulcie i skandalu, jaki się wydarzył w Toruniu.

Rzecz sama w sobie nie była ani nowa ani tak straszna, jak ją następnie przedstawiano. Podczas procesyi uroczystej w dzień Matki Boskiej szkaplerznej (dnia 16. lipca) uczeń z kollegium jezuickiego Lisiecki zrzucił kapelusz jakiemuś lutrowi; powstała z tego powodu burda, przyczem studenta aresztowała straż miejska i osadziła go w więzieniu. Koledzy aresztowanego ujęli się za nim, a gdy nie mogli uzyskać uwolnienia, pochwycili studenta protestanckiego Nagórnego i uprowadzili go do kollegium jezuickiego. Wtedy tłum ludu rzucił się na kollegium, wyłamał drzwi, sprzęty zniszczył i ułożywszy z nich stos wielki, przyczem i obrazów kościelnych nie szczędzono, spalił wszystko. Wypadek sam w sobie — jakkolwiek ubolewania godny —

[1]) Kraushar: „Sprawa Zygmunta Unruga“, t. II. Kraków 1890. Podług dyarusza rękopism. w bibliotece Ordynacyi Zamoyskich.

nie był niczem innem, jak tylko prostą burdą uliczną, wywołaną niebacznie przez lekkomyślnego chłopca i przez drażliwość ludności protestanckiej. Ale przy ówczesnym nastroju umysłów wydała się sprawa toruńska zdarzeniem niezwykłem, bluźnierstwem, profanacyą, zamachem na kościół katolicki, a że dopuścili się tego nadto jeszcze mieszczanie, więc oburzenie nie miało granic. Obsadzono miasto wojskiem, wysłano komisyą, złożoną z dwóch biskupów, czterech księży i kilku dygnitarzy świeckich, a ich sprawozdanie — oczywiście nie bezstronne — stanowiło materyał dowodowy dla sądu assesorskiego, który się zebrał podczas sejmu. Król, zamiast łagodzić wzburzenie, dolewał oliwy do ognia, aby Polskę wobec świata zohydzić i wywołać interwencyą mocarstw protestanckich. W takim razie myślał on z burzy ogólnej skorzystać i absolutne zamiary swoje łacniej przeprowadzić. Wyrok wypadł więc nadzwyczajnie surowy, jedenastu mieszczan skazano na śmierć, jeżeli Jezuici winę ich przysięgą stwierdzą, czterdziestu ukarano w inny sposób, a kościół protestancki dotąd, św. Anny, oddano OO. Bernardynom. Napróżno wstawiał się za skazanymi nuncyusz Santini, nadaremnie, gdy prośby jego odrzucono, wysłał kleryka do Torunia, zabraniając Jezuitom przysięgi; Jakób Rybiński, dowodzący załogą toruńską, kazał zamknąć bramy miasta, posła nie wpuścił i wyrok wykonano. Ogółem stwierdzić należy, że Stolica apostolska na te orgie fanatyzmu inaczej się zapatrywała, że inaczej je oceniała światła część duchowieństwa polskiego. Tak jak teraz za skazańcami toruńskimi wstawiał się nuncyusz, tak potępieniu Unruga sprzeciwiał się zacny biskup poznański Tarło, sprzeciwiał się nuncyusz i sam Ojciec św. Ale zaślepiony fanatyzm głuchym był na głos rozsądku i zwierzchności kościelnej i znaleźli się nawet tacy, co papieża papieżem kalwińskim nazwać się odważyli. Szczególniejszą zaś nienawiść ściągnął na siebie nuncyusz Santini, słusznie zresztą występujący przeciw nadużyciom przy nadawaniu opactw. Rzucono się na niego z całą zajadłością, w r. 1726. wyprawił sejm do Rzymu wojewodę lubelskiego Jana Tarłę, który rzeczywiście skłonił Stolicę apostolską do odwołania Santiniego.

Sprawa toruńska poruszyła, tak jak sobie życzył August II., wszystkie dwory protestanckie. Prusy, acz uciskające u siebie katolików, rozpoczęły kroki dyplomatyczne u cesarza, jako gwaranta oliwskiego pokoju, zapewniającego innowiercom wolność wyznania, przyłączyła się do tego Anglia, a Piotr Wielki oświadczył, że jest gotów starania mocarstw protestanckich poprzeć zbrojną ze swej strony interwencyą. Śmierć cara (w roku 1725.) uspokoiła jednak na nieszczęście całą tę burzę. Możeby wtedy Rzeczpospolita, ożywiona zapałem religijnym, zerwała się była do czynu, możeby w obronie wiary zdobyła się na czyn bohaterski, na odparcie najazdu i zrzucenie opieki moskiewskiej. Tak skończyło się wszystko na interwencyi dyplomatycznej. Poseł angielski Finch nie otrzymał posłuchania uroczystego na sejmie, senatorowie polscy stanęli twardo, a gdy przeciwna strona nie miała ochoty do wojny, poszła rzecz cała w zapomnienie.

Opinia publiczna w Polsce zajęła się zresztą inną sprawą. Przybył wtedy do Warszawy Maurycy saski, syn Augusta II. i Aurory Königsmark, sławny wódz i marszałek francuski i postanowił ubiegać się o rękę Anny Iwanówny,

panującej jeszcze zawsze w Kurlandyi. Okoliczności zdawały się sprzyjać temu przedsięwzięciu, bo i księżna przyjmowała chętnie konkury głośnego zdobywcy serc niewieścich i dwór moskiewski, gdzie panowała żona Piotra Wielkiego, Katarzyna I., przyznająca się do pokrewieństwa z polską rodziną Bronikowskich, okazywał pewną przychylność dla starań Maurycego, pomimo intryg Menżykowa. Szlachta kurlandzka obrała też rzeczywiście księciem swoim rycerskiego marszałka, w Polsce popierała go hetmanowa Pociejowa. Ale właśnie te zabiegi wywołały namiętną opozycyę, sejm roku 1726. uchwalił unią zupełną Kurlandyi z Rzeczpospolitą. Na nieszczęście Maurycego umarła tymczasem Katarzyna, na tron moskiewski wstąpił małoletni Piotr II., a w jego imieniu objął ster rządów Menżykow, który wezwał natychmiast Maurycego do opuszczenia Kurlandyi, a gdy to nieskutkowało, wyparł go stamtąd siłą zbrojną. Komisya, przez sejm polski wysłana, dokonała wcielenia księstwa do Rzeczypospolitej i obsadziła Kurlandyą załogami polskiemi.

Król nie brał sobie tej klęski Maurycego zbyt do serca, bo przy nadwątlonym stanie zdrowia swego zwrócił on całą uwagę na zapewnienie następstwa w Polsce synowi swemu Fryderykowi Augustowi. Największą przeszkodą był mu w tym względzie Stanisław Leszczyński, król-wygnaniec, mieszkający obecnie w Weissenburgu w Alzacyi.

Dawno już przemyśliwał August II. nad tem, aby tego niebezpiecznego współzawodnika z drogi usunąć, urządził nawet zamach na jego życie, szczęściem bezskuteczny, bo wcześnie odkryty, ale obecnie stawał się ten Leszczyński groźniejszym niż przedtem, bo książe Bourbon, dzierżący ster rządów we Francyi, przyprowadził do skutku małżeństwo pomiędzy Ludwikiem XV. a piękną i cnotliwą królewną Maryą, córką Stanisława. Otóż zdawało się przynajmniej Augustowi II., że Francya będzie usiłowała dopomódz Leszczyńskiemu do odzyskania tronu polskiego i przeszkodzi wyborowi Fryderyka. Ażeby temu zapobiedz, szukał on sprzymierzeńców dla siebie w Wiedniu i Berlinie, a w Polsce pracował nad utworzeniem silnego stronnictwa saskiego, wynosząc rodziny dotąd mało potężne i znaczne, Czartoryskich i Poniatowskich przeciw magnatom trzęsącym Rzeczpospolitą. Dopomogła mu w tych zabiegach śmierć, zabierająca po kolei wszystkich hetmanów. Umarł najpierw Adam Sieniawski, wkrótce po nim następca jego Stanisław Mateusz Rzewuski, hetman polny litewski Denhof, koronny Chomętowski, wreszcie w roku 1730. Ludwik Pociej, piastujący wielką buławę litewską. Król nie spieszył się z rozdaniem tych godności; komendę nad wojskiem powierzył podskarbiemu litewskiemu Stanisławowi Poniatowskiemu, jako regimentarzowi, wdowę po Denhofie Sieniawską, dziedziczkę olbrzymiej fortuny hetmańskiej, wyswatał Augustowi Czartoryskiemu i zobowiązawszy tak sobie całą tę rodzinę — bo Poniatowski ożenił się z Konstancyą Czartoryską — złożoną z ludzi niewątpliwie zdolnych i obrotnych, otrzymał od nich zapewnienie, że syna jego przy przyszłej elekcyi popierać będą. Wobec tego mało go już obchodziło zrywanie sejmów (w roku 1729. i 1739.), uniesiony powodzeniem zaczął on marzyć nietylko o koronie polskiej ale i cesarskiej dla syna, który przecież był mężem arcyksiężniczki. Ale właśnie układy, jakie prowadził w tym celu z Francyą i Bawaryą, zdra-

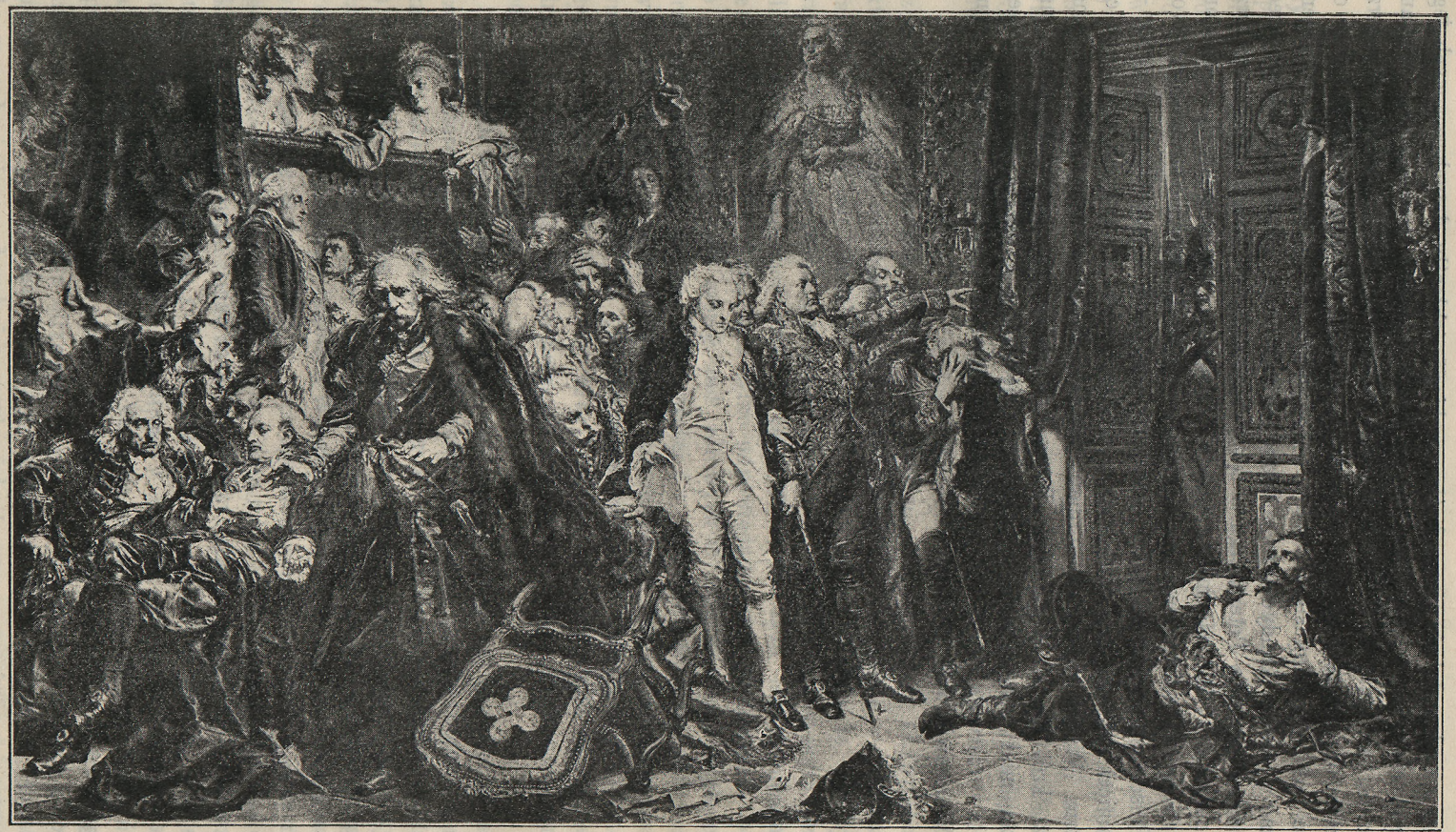

Rejtan na sejmie roku 1773.

Podług obrazu J. Matejki.

dzone prawdopodobnie przez króla pruskiego, skłoniły dotychczasowych jego sprzymierzeńców do zupełnej zmiany frontu. Hrabia Löwenwolde, wysłany przez carowę Annę do Berlina i Wiednia, przyprowadził do skutku przymierze tych trzech mocarstw w sprawie elekcyi polskiej. Wykluczono mianowicie od tronu tak syna Augusta II. jak i Leszczyńskiego i postanowiono wspólnemi siłami popierać kandydaturę infanta portugalskiego Emanuela, który przedtem konkurował w Petersburgu o rękę carowej Anny. Traktat, podpisany przy końcu roku 1732., nie mógł pozostać tajemnicą dla Augusta II. Spłoszony tym niespodziewanym zwrotem pragnął on naprzód wzmocnić stronnictwo swoje w Polsce przez rozdanie buław pomiędzy partyzantów saskich, ale Potoccy — pominięci przytem — postarali się o zerwanie sejmu i nawiązali stosunki z cesarzem. Wtedy ułożył król projekt podziału Polski. Austrya miała otrzymać Spiż, król pruski Kurlandyą, Prusy królewskie i część Wielkopolski, nad resztą miał panować jako monarcha dziedziczny Fryderyk August. Śmierć nagła przerwała te niecne knowania; August II. umarł na początku sejmu w Warszawie dnia 1. lutego 1733. roku.

August III. 1733—1763.

Elekcya. — Oblężenie Gdańska. — Konfederacya dzikowska. — Abdykacya Leszczyńskiego. Szalbierska polityka Augusta II. i opłakany stan Rzeczypospolitej wywołały w społeczeństwie polskiem zbawienną reakcyę. Opinia publiczna, bałamucona dotąd przez ambitnych pyszałków lub sprzedajnych służalców obcej polityki, przekonywała się zwolna, że cudzoziemcy — ubiegający się o koronę polską — więcej szkody niż pożytku przynoszą Rzeczypospolitej, że wyzyskują kraj i stanowisko swoje dla celów dynastycznych lub osobistych i że gotowi są poświęcić nawet interesa najżywotniejsze państwa dla dopięcia egoistycznych zamiarów. Równocześnie rozumniejsi i światlejsi zaczynali zastanawiać się nad wadliwą organizacyą Rzeczypospolitej i podsuwać społeczeństwu ostrożnie wprawdzie, ale systematycznie i wytrwale rady i sposoby zahamowania anarchii i poskromienia wybujałej swawoli.

W roku 1730. wydał Jan Jabłonowski, syn hetmana a wuj Stanisława Leszczyńskiego, bezimienne dziełko pod tytułem „Skrupuł bez skrupułu“, w którem — ganiąc nieśmiało jeszcze liberum veto — upatruje w poprawie moralnej jedyny sposób ratunku. O wiele praktyczniej traktuje tę kwestyą w trzy lata później sam Stanisław Leszczyński („Głos wolny“). I on wprawdzie — licząc się z usposobieniem szlachty zapewne — nie żąda także zniesienia liberi veto i wolnej elekcyi, lecz tylko odpowiedniego ich ograniczenia, podaje jednak zarazem cały szereg rad zdrowych i rozumnych pod względem reformy administracyi, wojska, skarbowości i t. d. i oświadcza się stanowczo za wyborem Piasta, a przeciw kandydatom cudzoziemskim. Daleko racyonalniejszą przynajmniej w motywach jest „Rozmowa ziemianina z sąsiadem“. Autor krytykuje niemiłosiernie liberum veto, uderza na fałszowanie konstytucyj w druku, w zakończeniu atoli domaga się jedynie zniesienia „niepozwalam“ przed wyborem marszałka.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń i ostrożności, jakich używają bezimienni najczęściej autorowie, odbijała ta literatura polityczna przedwyborcza dość wiernie usposobienie społeczeństwa, bo gdy prymas Teodor Potocki zwołał sejm konwokacyjny na dzień 26. kwietnia, uchwalono prawie jednomyślnie wykluczenie obcych kandydatów i to wbrew protestacyi posła moskiewskiego Löwenwolda i austryackiego hrabiego Wilczka, którzy imieniem dworów swoich stawali „w obronie wolnej elekcyi“ przeciw możliwemu wyborowi Leszczyńskiego, odsądzonego jakoby od tronu przez sejm roku 1710. Protest austryacko-moskiewski miał oczywiście inne znaczenie, bo tymczasem toczyły się pomiędzy dworem saskim a Wiedniem i Petersburgiem targi o koronę polską, zakończone wreszcie układem z dnia 16. lipca, w którym elektor zobowiązał się uznać sankcyą pragmatyczną Karola VI. i po wygaśnięciu rodziny Kettlerów — panującej w Kurlandyi — oddać to księstwo kandydatowi z Petersburga zaleconemu. Za te ustępstwa otrzymał on od Austryi i Rosyi obietnicę zbrojnego poparcia, a sprawa musiała być dość głośna, kiedy równocześnie ukazała się broszura bezimienna, doradzająca wybrać króla w porozumieniu z postron-

nemi państwami, „choćby im przyszło coś ustąpić“.[1]) Ale przeciw tej gospodarce austryacko-moskiewskiej w Polsce wystąpiła energicznie Francya i dodała przez to otuchy stronnictwu narodowemu. Stanęła zatem konfederacya, wymierzona przeciw kandydatom cudzoziemskim i zwołała pospolite ruszenie szlachty na sejm elekcyjny, który miał się odbyć dnia 25. sierpnia. Dotąd szły zgodnie wszystkie prawie stronnictwa. Kierunek ruchu objęła rodzina Potockich, a z nią połączyli się Czartoryscy i Poniatowski, a więc bądź co bądź wszyscy ludzie polityczni i światli, nawet przyjaciele zmarłego króla. Garstka tylko malkontentów, jak biskup krakowski Jan Lipski, Janusz Wiśniowiecki i Teodor Lubomirski dodali przy podpisywaniu aktu konfederackiego zastrzeżenie praw wolnej elekcyi.

Tak jak konwokacya tak i sejm elekcyjny wypadł po myśli stronników Leszczyńskiego. Pomimo, że Moskale w 40.000 wkroczyli na Litwę już dnia 2. sierpnia pod dowództwem generała Lascy, udało się malkontentom w jednym tylko Grudziądzu wywołać konfederacyą przy prawach dyssydentów. Dwór petersburski oświadczył jednak, że wybór Leszczyńskiego uważać będzie za casus belli i wysłał na morze Bałtyckie flotę, aby kandydata — przybywającego z Francyi — do Polski niedopuścić. Ale Leszczyński omylił czujność Moskali i przebrany za kupca dostał się przez Niemcy do Warszawy.

Elekcya odbyła się dnia 12. września z rzadką w takich wypadkach jednomyślnością. Nie brakło wprawdzie odosobnionych protestów, ale ostatecznie ogromna większość oświadczyła się za Leszczyńskim, którego też prymas królem nominował. Malkontenci usunęli się na Pragę, wydali w cztery dni później manifest przeciw pogwałceniu wolności i pod osłoną wojsk moskiewskich, które pod stolicę przybyły, obrali królem Augusta III. Biskupi Jan Lipski i poznański Hozyusz odspiewali w kościele parafialnym w Kamieniu Te Deum przy tak silnych salwach artyleryi rosyjskiej, że aż posadzka kościelna się zawaliła.

Jeżeli stronnictwo narodowe do tego czasu okazywało zgodność w działaniu i znaczną — jak na owe czasy i stosunki — energią, to na widok armii moskiewskiej ogarnęła je dziwna jakaś małoduszność i zwątpienie. Pierwszy ustąpił z pola walki niewojenny z usposobienia król Stanisław i udał się wraz z posłem francuskim hr. Monti do Gdańska, aby nigdy już do Polski niepowrócić, a wskazanym przez niego szlakiem podążyły ku bałtyckiej metropolii całe szeregi karet i powozów, unosząc senatorów polskich z zagrożonej stolicy. Na miejscu pozostał tylko wojewoda kijowski Józef Potocki, ale i on także po kilku drobnych utarczkach wycofał się w Sandomierskie. Oczy wszystkich zwróciły się teraz na zachód, ku Francyi, stamtąd oczekując pomocy i zbawienia. Kardynał Fleury, kierujący podtenczas polityką wersalskiego dworu, starzec skąpy i pragnący spokoju dla siebie i dla państwa zmęczonego tyloletniemi wojnami, zajął z początku przychylne dla Leszczyńskiego stanowisko, ale ostatecznie kiedy wojska moskiewskie wkroczyły do Polski, uderzył nie na

[1]) „Prawdziwe, szczere, nieparcyalne zdanie jednego poczciwego, rzetelnego, polskiego patryoty i t. d.“ 1733.

Rosyą, lecz na dawną rywalkę Francyi — Austryę — i w przymierzu z Hiszpanią i Sabaudyą rozpoczął t. zw. wojnę sukcesyjną polską, niewiele zresztą troszcząc się o los Rzeczypospolitej i Leszczyńskiego. Dla łatwo zapalnych umysłów polskich wystarczała ta demonstracya francuska nad Renem i we Włoszech, więc nie wchodząc w właściwe intencye wersalskiego dworu, spuszczono się na pomoc francuską, a w kraju zadowalniano się zawiązywaniem konfederacyj, które nie były w stanie nawet przynieść odsieczy oblężonemu Gdańskowi. Gdańszczanie jedni okazywali więcej energii i poświęcenia, aniżeli całe stronnictwo Leszczyńskiego. Przyjąwszy z czcią należną i zapałem króla Stanisława w murach starożytnego swego grodu, nie szczędzili oni ani kosztów na przyzwoite jego utrzymanie, ani wydatków na wojsko i obronę miasta. Pomnożyli więc siły zbrojne do 23.000 ludzi, zalali od wschodu żuławy wodą z Motławy i wzięli się dzielnie do obrony, oczekując odsieczy konfederatów i pomocy francuskiej, którą napewno obiecywał ambasador Monti. Ale nadzieje te zawodziły jedna po drugiej. Tarło, wojewoda lubelski, zebrał wprawdzie 12.000 ludzi nieregularnego wojska i zbliżył się aż do Tucholi, tu jednak przez własną nieostrożność został ze szczętem rozbity; kardynał Fleury zaś zdobył się zaledwie na 1500 ludzi, którzy wskutek nieudolności dowódzcy wrócili do Kopenhagi. Wprawdzie ambasador francuski na dworze duńskim hr. Plelo objął sam komendę nad posiłkami i doprowadził je do Gdańska, ale do miasta ściśle zewsząd otoczonego dostać się już nie mógł i poległ przy szturmie na okopy moskiewskie. Tak Gdańsk — ściśnięty ze wszystkich stron przez Sasów i Moskali pod wodzą Münnicha, odcięty od morza przez flotę rosyjską — musiał kapitulować dnia 9. lipca 1734. roku. Leszczyński, przebrany za wieśniaka, ratował się ucieczką na terytoryum pruskie. Münnich rozgniewany, że króla nie pojmał, nałożył na Gdańszczan 1,000.000 talarów kontrybucyi.

Tryumf Augusta III. zdawał się już pewnym. Ukoronowany 17. stycznia w Krakowie koroną, zrobioną na ten cel w Wiedniu, bo wszystkie klejnoty koronne wywiózł podskarbi Ossoliński, stronnik Leszczyńskiego, nie mógł on wprawdzie odbyć sejmu koronnego dla zbyt małej ilości posłów i senatorów, ale teraz kapitulacya Gdańska zmieniła wszystko. Senatorowie z partyi Stanisława podpisali akt submissyi, Czartoryscy, Poniatowski i Załuski uznali elekta saskiego, powitali go w Oliwie i — po złożeniu przysięgi na wierność — wyrzekli się Stanisława; jeden tylko prymas wytrwał w wierności dla niego i przesiedział za to dłuższy czas „pod flintami“ moskiewskiemi. Tymczasem nagle dnia 20. sierpnia pojawił się manifest Leszczyńskiego, datowany z Królewca i wzywający szlachtę do zawiązania generalnej konfederacyi. Dowiedziano się, że król pruski przyjął wygnańca z należnemi mu honorami i wnioskowano stąd, że polityka gabinetu berlińskiego — acz sprzymierzonego z cesarzem — na inne weszła tory, że Fryderyk Wilhelm I. gotów jest razem z Francyą popierać Leszczyńskiego. Jakoż rzeczywiście było w tem cokolwiek prawdy, bo przebiegły Hohenzollern ofiarował Stanisławowi za odstąpienie Warmii neutralność swoją, a nawet zbrojne poparcie,[1]) otrzymał jednak odpowiedź odmowną.

[1]) Szujski: „Jerzy Ożarowski i kardynał Fleury“. Dzieła, serya II, t. VI., str. 177.

W kraju nie wiedziano oczywiście nic o tych targach królewieckich, radowano się owszem z pomyślnego obrotu rzeczy i jak najspieszniej zawiązano konfederacyą w Dzikowie pod laską młodego Adama Tarły, starosty jasielskiego. Przedsięwzięcie, jakkolwiek z poczciwych i patryotycznych płynące pobudek, było z początku już zwichnięte, wywołało bowiem natychmiast niezgodę pomiędzy rodziną Tarłów a Józefem Potockim, który obrażony że nie jemu pierwsze miejsce w konfederacyi przypadło, zaczął się odtąd chylić ku stronie saskiej. Ale i Tarłowie sami zamiast wziąć się raźno do dzieła i szlachtę przeciw inwazyi sasko-moskiewskiej poruszyć, spuścili się zupełnie na pomoc francuską i wysłali do Paryża Ożarowskiego z żądaniami tak wygórowanemi i naiwnemi (n. p. zaprowadzenie wolnej Rzeczypospolitej w Moskwie i wysłanie floty na Czarne morze), że żaden trzeźwy polityk na ich podstawie z bezsilną konfederacyą traktować nie mógł. To też Ożarowski, szlachcic najpoczciwszy w świecie i do Leszczyńskiego szczerze przywiązany, lecz nieposiadający żadnych zdolności dyplomatycznych, odgrywał na dworze francuskim smutną rolę statysty, oszukiwanego i okłamywanego przez ministrów wersalskich. Gdy poseł polski w najlepszej wierze energiczną dłonią swoją kołatał o pomoc dla Leszczyńskiego i konfederatów, kardynał Fleury — mając tylko korzyść Francyi na względzie — zawierał po cichu (3. października 1735. roku) z cesarzem preliminarz pokoju w Wiedniu i zobowiązywał się skłonić Stanisława do abdykacyi. W zamian za to miał on odzyskać dobra swoje i otrzymać od Karola VI. dożywociem księstwa Baru i Lotaryngii, które po jego śmierci stawały się własnością Francyi. Księcia Lotaryńskiego wynagrodzono Toskanią, hiszpański Don Karlos wziął Neapol i Sycylię, król sardyński Nowarę i Tortonę, cała koalicya uznała sankcyę pragmatyczną. Tak skończyła się wojna sukcesyjna polska porażką nową Habsburgów i wzrostem potęgi francuskiej. Polska, oddana na łaskę Sasów i Moskali, mogła się pocieszać chyba tem, że honor Leszczyńskiego został poniekąd uratowany, że jako tytularny król polski miał on zapewnione przyzwoite stanowisko i znośny byt materyalny na koniec burzliwego swego życia.

W kraju te matactwa dyplomacyi francuskiej sprawiły jak najgorsze wrażenie. Opuszczeni konfederaci dzikowscy, niezdolni do czynu, stracili zupełnie i nadzieję i odwagę, prymas Potocki i regimentarz Józef poddali się Augustowi III., wojewoda lubelski Jan Tarło — bawiący w Królewcu — pomimo odradzań przyjaciół pojechał do Warszawy, postępowanie dworu pruskiego po odmownej odpowiedzi co do Warmii zmieniło się zupełnie, nędza zaglądała w oczy i Stanisławowi i nielicznym jego stronnikom w Królewcu. W takiem położeniu nie było innej rady, jak poddać się konieczności. Dnia 26. stycznia 1736. roku podpisał więc Stanisław akt abdykacyi i wyjechał do Lotaryngii, poczem sejm pacyfikacyjny — zwołany na 25. czerwca i obradujący pod laską Wacława Rzewuskiego — dokonał bez trudności uspokojenia Rzeczypospolitej. Król przyrzekł w przeciągu dni 40-tu wyprowadzić wojska saskie i moskiewskie z kraju, ogłosić powszechną amnestyą i oddać dobra Leszczyńskiemu. Za wpływem moskiewskim i dworskiego stronnictwa uchwalono konstytucyę, która z pominięciem ustawy z roku 1726. dozwalała królowi

po śmierci księcia Ferdynanda nadać inwestyturę kurlandzką innemu z prawem dziedziczenia w linii męskiej. W ten sposób mógł August III. dopełnić zobowiązań swoich względem Rosyi, a rozdaniem dygnitarsw wakujących zjednał sobie do reszty umysły malkontentów. Józef Potocki otrzymał upragnioną buławę wielką koronną, Jan Klemens Branicki polną, podkanclerstwo dostało się staroście opoczyńskiemu Janowi Małachowskiemu, który na polu elekcyjnem protestował przeciw wyborowi Leszczyńskiego, Jan Tarło postąpił na województwo sandomierskie, lubelskie wziął po nim syn Adam, marszałek konfederacyi dzikowskiej, młodzieniec liczący zaledwie 23 lata.

Charakter Augusta III. — Plany Józefa Potockiego. Nowy król, który teraz dopiero rozpoczął właściwie trzydziestoletnie swoje panowanie, nie był w niczem podobny do ojca. O ile August II. hołdował rozpuście, o tyle syn jego był wzorowym mężem i ojcem rodziny, a ociężały z natury i leniwy nie miał skłonności ani do polityki, ani do wojny. Wspaniałej, prawdziwie królewskiej postawy, pokrywał tą okazałością ciała i tuszy ubóstwo myśli i próżnię serca. Z rycerskich, a przynajmniej rycerstwem pokostowanych skłonności ojca, odziedziczył tylko zamiłowanie do myślistwa i przepychu, który odpowiadał jego wysokim wyobrażeniom o godności królewskiej i wrodzonej dumie. Zresztą nie troszczył się o nic i wszystkie sprawy publiczne zdawał na swoich ministrów, początkowo na Sułkowskiego, syna naturalnego Augusta II., następnie na wszechwładnego i próżnego Henryka Brühla, którego Fryderyk II. scharakteryzował w następujący sposób: „Był to jedyny człowiek w tym stuleciu, który miał najwięcej sukien, zegarków, koronek, butów, trzewików i pantofli. Trzeba było takiego monarchy, jak August III., aby powierzyć urząd pierwszego ministra człowiekowi tego rodzaju, co Brühl“.[1]) Pod panowaniem podobnych ludzi nie mogła się Polska spodziewać niczego dobrego, a najmniej wydźwignięcia z niedoli, w jaką ją pogrążyła anarchia i nieuczciwa polityka Augusta II. Widzieli to wszyscy, nawet stronnicy dworscy i nie oglądając się na króla i rząd, zaczęli przemyśliwać nad ratowaniem ojczyzny. Pierwszy, który wziął w tym względzie inicyatywę, był hetman Potocki. Człowiek nad miarę dumny, marzący o Polsce oligarchicznej, miał on jednak wiele patryotycznego uczucia i spoglądał z boleścią na coraz to groźniejsze rozpościeranie się wpływów i gospodarki moskiewskiej w kraju. W roku 1736. wyprawił się feldmarszałek Münnich na pokonanie Tatarów krymskich i — zdobywszy Bakczy saraj — dokonał tego, o co nigdy nie chcieli się pokusić Polacy. Równocześnie zaś wzniecił ruch hajdamacki pod Bohunem i Tarasem, zgnieciony szybko przez wojsko koronne. W roku następnym zwaliło się 70.000 Moskali pod Oczaków, który wzięto szturmem, Austrya wypowiedziała wojnę Turcyi, kongres w Niemirowie — zwołany za pośrednictwem Anglii i Hollandyi — rozszedł się na niczem. Wszystkie te wojenne przedsięwzięcia dotykały mocno krajów polskich, narażonych na bezustanne marsze głodnych wojsk moskiewskich, ale wobec szczupłych sił niepodobna było myśleć o jakimkolwiek oporze. Nie dosyć na tem, nadał August III. po śmierci ostatniego Kettlera w r.

[1]) Histoire d. m. temps. I, str. 30.

1737. Kurlandyą Ernestowi Bironowi, faworytowi carowej Anny, a w r. 1738. ruszyli Moskale znowu na Turków, przez południowe prowincye Rzeczypospolitej. Wobec tego domagał się Potocki słusznie powiększenia sił zbrojnych, a gdy dwór obojętnie projekt ten przyjął i wykonaniu jego wprost przeszkadzał, postanowił zawiązać konfederacyą i w porozumieniu z Szwecyą, Turcyą i Francyą uwolnić się od opieki Sasów i Moskali. Projekt, jakkolwiek poczciwie pomyślany, był trudnym do wykonania i w zasadzie błędnym, opierał się bowiem na związku z mocarstwami osłabionemi i nieposiadającemi dostatecznej potęgi do zwalczenia Rosyi, jak Szwecya i Turcya, i na pomocy francuskiej, która świeżo Polskę zawiodła. Nie można też było łudzić się nadzieją, że społeczeństwo — rozerwane przez stronnictwa nie polityczne, lecz możnowładcze — da się skupić pod sztandarem ogólnej konfederacyi lub, że sejm zgodzi się na powiększenie siły zbrojnej. Zrywanie obrad sejmowych stało się bowiem od pewnego czasu nałogiem, chorobą polityczną, która zwykłemi środkami uleczyć się nie dała. Za panowania Augusta II. zerwano sejm siedem razy, pod rządami jego następcy działo się jeszcze gorzej. W roku 1738. udaremniło aukcyą wojska i dojście sejmu niezręczne postępowanie samego hetmana i niechęć dworu, obawiającego się wojny z Moskwą. W dwa lata później, w przededniu wojny sukcesyjnej austryackiej, gdy sam król w propozycyach sejmowych domagał się powiększenia sił zbrojnych, zerwano sejm z niewiadomych powodów. Tymczasem umarł cesarz Karol VI., a w kilka dni po nim carowa Anna i niebawnie wybuchnęła wojna szląska i srogie zamięszanie w Petersburgu. Nad małoletnim Iwanem, synem księcia brunświckiego Antoniego i Anny, wnuczki cara Iwana, objął rejencyą Biron, ale zwaliła go wnet rewolucya, wzniecona przez Münnicha i matkę carską. Biron został wywieziony na Sybir, a nowy zamach stanu wprowadził na tron carski Elżbietę, córkę Piotra Wielkiego, Münnich i Ostermann poszli na wygnanie. I jeden i drugi wypadek dawał możność Polsce wydźwignięcia się z niedoli i to tem łatwiej, gdy Szwecya w roku 1741. wypowiedziała wojnę Rosyi. Ale nieprzygotowana Rzeczpospolita z niczego już korzystać nie mogła. Wobec srożącej się o miedzę zawieruchy wojennej było jedynem pragnieniem szlachty zachowanie najściślejszej neutralności. Hetman Potocki, jakkolwiek sam niedawno nawoływał do przymierza z Szwecyą przeciw Moskwie, nie usłuchał teraz rozkazu króla, który polecił mu na granicy szląskiej postawić korpus obserwacyjny, aby przynajmniej w ten sposób uchronić Wielkopolskę od nadużyć wojsk obcych i podnieść powagę Rzeczypospolitej wobec znanej drapieżności króla pruskiego. Zrozumiał te zamiary dworu polskiego Fryderyk Wielki lepiej niż hetman wielki koronny i postarał się o zerwanie sejmu (w roku 1744.), nie chcąc dopuścić do zamierzonej i tym razem aukcyi wojska.

Stronnictwo Czartoryskich. — Ich projekt reformy Rzeczypospolitej. — Związek z dworem i Brühlem. — Ordynacya ostrogska. Niepowodzenie Potockiego przekonało wszystkich myślących ludzi, że tą drogą do celu się niedojdzie, że Rzeczpospolitą można podnieść z upadku tylko przez gruntowne przeistoczenie anarchicznych urządzeń, przez zniesienie osławionego „nie pozwalam“. Wymagało to jednak zmiany wyobrażeń społecznych, przeobrażenia

myśli ducha narodowego, a zarazem silnie zorganizowanego stronnictwa któreby z poświęceniem i wytrwałością zdążało do zamierzonego celu, któreby miało program jasno wytknięty i posiadało środki potrzebne do jego wykonania. Ciężkiej tej pracy podjęli się Czartoryscy. Widzieliśmy, jak z małych początków rodzina ta dobijała władzy i znaczenia. Spokrewnieni z Jagiello-

Ignacy Potocki.

nami, na ziemi ruskiej zrodzeni i trzymający się wiernie obrządku wschodniego aż do końca XVI. wieku, okazywali oni od samego początku wiele bystrości politycznej i ducha obywatelskiego. Aleksander Czartoryski, wojewoda wołyński od roku 1560., popierał gorliwie unię lubelską i zręcznem swojem postępowaniem przyczynił się niemało do szczęśliwego przeprowadzenia tego wiekopomnego dzieła. Wkrótce po tem przeszli Czartoryscy na łono kościoła kato-

lickiego, a właściwe znaczenie ich w Rzeczypospolitej ugruntował znany nam Floryan Kazimierz, biskup kujawski, a następnie prymas. Od jego czasów zaczęło się Czartoryskim lepiej powodzić. Bratanek prymasa Kazimierz, ożeniony z Izabellą Morsztynówną, córką Jana Jakóba Morsztyna, znanego tłumacza „Cyda“ i gorącego zwolennika francuskiej polityki, uzyskał wraz z wzrostem fortuny niemałe w Rzeczypospolitej wpływy i ułatwił karyerę dwom synom swoim, Michałowi i Augustowi, córkę Konstancyą wydał za Stanisława Poniatowskiego, ojca późniejszego króla. Zjednało to Czartoryskim względy i poparcie Augusta II., który Poniatowskiego dla jego zdolności cenił wysoce i poważał i dopomogło braciom Konstancyi do dalszego wyniesienia. Starszy z nich, Michał, powróciwszy po ukończeniu nauk z zagranicy, zbliżył się do wszechwładnego wtedy na dworze Fleminga i za jego wpływem został w 28. roku życia podkanclerzem a następnie kanclerzem litewskim. Młodszy — August — bawił się przez czas niejaki żołnierką, walczył na galerach maltańskich przeciw Turkom, odbył kampanią belgradzką pod rozkazami księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, który go za męstwo, przy zdobyciu Belgradu okazane, szpadą honorową obdarował i — powróciwszy do ojczyzny — ożenił się z Zofią Sieniawską, panią słynącą zarówno z rozumu jak i niezmiernych bogactw. Przez to małżeństwo położył on właściwie podwaliny przyszłej potęgi Czartoryskich w Polsce.

Rządny i zapobiegliwy oczyścił majątek swojej żony z ciążących na nim długów, a pomnażając stale fortunę własną z dochodów, jakie z dóbr olbrzymich płynęły, stał się „Krezusem“ rodziny, podczas gdy brat jego Michał — „ministeryalną głową“ zwany — nadawał kierunek całej polityce swojego domu. W ten sposób powstała w Polsce nowa, nieznana dotychczas potęga, którą nieprzyjaciele z przekąsem „familią“ nazywali, a która z biegiem czasu miała objąć naczelne spraw publicznych kierownictwo. Był to fakt nie małej wagi. Gdy bowiem do niedawna jeszcze polityka arystokratycznych rodzin polskich miała charakter wyłącznie niemal familijny i partykularny, gdy każdy z magnatów naszych dążył przedewszystkiem do dopięcia drobnych, samolubnych celów, Czartoryscy pierwsi postawili sobie za główne zadanie reformę Rzeczypospolitej, a liczyć musieli przytem na własną siłę i własne zdolności.

Nie brakło wprawdzie natenczas ludzi w Polsce, którzy fortuną i znaczeniem — odziedziczonem po przodkach — przewyższali świeżą potęgę Czartoryskich, ale rodziny te — pychą magnacką zarażone, skłonne do anarchii, grzęznące w samolubstwie i prywacie, a przytem nieposiadające ani zdolności ani wykształcenia — mało się troszczyły o dobro publiczne i o los Rzeczypospolitej, która — podług zdania Wacława Rzewuskiego — „dawno już umarła, tylko wywrócić się zapomniała“. Byli więc najpierw Potoccy z hetmanem wielkim koronnym, a później z wojewodą kijowskim Franciszkiem Salezym na czele, panowie ogromnych majątków i popularni pomiędzy szlachtą; był Michał Kazimierz Radziwiłł „panie Rybeńku“ zwany, hetman litewski, posiadacz 30-milionowej fortuny; był Janusz Sanguszko, właściciel ordynacyi ostrogskiej, byli wreszcie Lubomirscy, do niedawna jeszcze najmożniejsi po-

między możnymi, ale żaden z nich prawie oprócz wybryków fantazyi pańskiej, przechodzącej już w stan chorobliwych objawów niczem się nie przyczyniał do podniesienia srodze utrapionej ojczyzny, wyjąwszy chyba Józefa Potockiego, który przez pewien czas snuł więcej fantastyczne niż praktyczne plany o ogólnej konfederacyi i przymierzach z ościennemi potencyami. Każdy z tych panów utrzymywał na swoim dworze po kilka tysięcy milicyi, złożonej ze szlachty, włościan i Kozaków, ale żaden z nich nie doprowadził do tego, aby ta siła zbrojna należycie była wyćwiczona i uorganizowana, a przecież mogły te hufce nadworne — gdyby były z rzemiosłem wojennem dobrze obeznane — zaważyć na szali wypadków i bezbronną Rzeczpospolitę od niejednej ochronić klęski. Tymczasem chowano te zastępy darmozjadów dla wspaniałości i splendoru, popisywano się niemi przy festynach dworskich i uroczystościach kościelnych, ubierano, żywiono i płacono po to, aby — jak to przyszłość niedaleka wykazała — przy pierwszem spotkaniu z wojskiem regularnem cała ta czereda rozbiegła się na cztery wiatry. Nie był to jednak jedyny ujemny rys działalności wielkopańskiej. Dwór każdego magnata tworzył ognisko, z którego cała okolica, nieraz cała prowincya, czerpała światło, do którego stosowała swoje wyobrażenia społeczne i zasady polityczne. Rozchodziły się więc stamtąd po dworach i dworkach szlacheckich najdziwaczniejsze pojęcia o Rzeczypospolitej, o prawach obywateli i o ich stosunku do państwa. Pod ich wpływem kształciła się szlachta do życia publicznego i nabierała tych narowów anarchicznych, które przejmują dziś zgrozą każdego myślącego człowieka. Przy ówczesnym upadku wychowania publicznego nie mogło być jednak inaczej. Młody szlachcic po ukończeniu szkół nie umiał w gruncie rzeczy nic, jak tylko rozmówić się licho po łacinie. Historyi nie uczono wcale, a matematykę i nauki przyrodnicze traktowano albo bardzo powierzchownie, albo też pomijano zupełnie. Za to na ławkach szkolnych już oddzielano młodzież zamożniejszą od uboższej, dla synów senatorskich urządzano siedzenia wspanialsze, podczas gdy dzieci uboższe musiały się mieścić na prostych deskach, położonych na ziemi i nieraz najniższe posługi oddawać paniczom. Młodzieniec, który wyrósł wśród takich wyobrażeń, był wcześnie zaprawiony do służalstwa i pochlebstwa, lub do pomiatania drugimi. Trzymanie się klamki pańskiej u jednych i niepomierna duma u drugich były też naturalnym skutkiem wychowania. Po ukończeniu szkół rzadko kto udawał się na uniwersytet, lecz szedł na dwór jakiegoś znacznego pana, gdzie „polerował“ swoje obyczaje i dorabiał się chleba. Tu pracował czasem ciężko o chłodzie i głodzie,[1]) brał bizuny byle tylko na kobiercu, zresztą towarzyszył swojemu panu na sejmikach i trybunałach, rąbał się za niego, nie pytając wcale czy sprawa, której mu bronić kazano, była słuszna lub nie. Inni szli na praktykantów do t. zw. „palestry“ i tu — nosząc papiery do sądu za mecenasami, przepisując pozwy, pijąc i bijąc się na przemiany — trawili wiek młody na próżniactwie i rozpuście.

Nie lepsze wykształcenie otrzymywało duchowieństwo. Seminarya duchowne, gdzie nauka trwała trzy lata, były urządzone w sposób całkiem nie-

[1]) Porówn. Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, kanonika katedralnego gnieźnieńskiego, z rękopisu, wydane przez Ed. Raczyńskiego w Wrocławiu 1844.

odpowiadający wzniosłemu powołaniu kapłańskiemu. Rzadko który kleryk ukończył zupełnie nauki, niedostatek bowiem i potrzeba jak najprędszego wyświęcenia dla braku księży odrywały ich od studyów. Nadto i tam już objawiała się jaskrawo różnica stanów i majątku. Ubodzy otrzymywali z funduszu tylko stół i nauki, o inne potrzeby sami starać się musieli. „Klerycy o swym koszcie edukujący się — tak pisze dobrze świadomy stosunków ówczesnych ks. Kołłątaj[1]) — byli to panięta, z którymi łagodniej postępować wypadało jako przeznaczonymi przez swe urodzenie do pierwszych kościelnych dostojeństw. Oni musieli mieć stół nieco wygodniejszy, prace lżejsze, a nawet względem pilności w naukach jakieśkolwiek pobłażanie. Familiom i biskupom szło o to, aby takowa młodzież nie odstręczała się od stanu duchownego. Taki kleryk już zwał się kanonikiem, czy nim był, czy oczekiwał na jaką prebendę, czy też posiadał już pewność przez kredyt.

Społeczeństwo takiemi karmione zasadami i wśród takich rozwijające się warunków nie mogło oczywiście podźwignąć się z upadku własnemi siłami tak długo, dokąd nie nastąpiła reforma wychowania publicznego, a z nią zmiana w wyobrażeniach dotychczasowych. Pierwszy zaczął pracować w tym kierunku król Stanisław Leszczyński. Na dworze swoim w Nancy gromadził on młodzież polską, która wyjeżdżała zagranicę, zwyczajnie do Francyi, starał się ją oświecać i wskazywać drogę obywatelskich obowiązków. Drugim z kolei był ks. Stanisław Konarski, Pijar. Urodzony w roku 1700., powróciwszy z podróży naukowej do Rzymu i do Francyi, przywiązał on się do Leszczyńskiego i przejął się światłemi jego zasadami. Towarzysząc Ożarowskiemu w niefortunnej missyi do Paryża, wspierał go nie tyle radą może co ciętem piórem swojem, a następnie — gdy burza wojny domowej przycichła — zabrał się do ulubionego swego planu, założył w roku 1740. konwikt dla młodzieży szlacheckiej w Warszawie i postarał się o stosowną reformę systemu nauczania. Nieznośnego i trudnego Alwara zastąpił więc gramatyką łacińską, po polsku napisaną, kazał uczyć w swoim zakładzie geografii, historyi i początków fizyki, urządził teatr, gdzie przedstawiano klasyczne sztuki francuskie i dał później pobudkę do założenia podobnego konwiktu w Wilnie. Collegium nobilium Konarskiego było — jak to już nazwa świadczy — przeznaczone wyłącznie dla młodzieży szlacheckiej, ale okoliczność ta nie umniejsza w niczem jego zasługi, owszem dowodzi, że myślał i działał trafnie, że — chcąc zreformować społeczeństwo polskie — rozpoczynał dzieło swoje od zreformowania tej warstwy społecznej, która stała u steru rządów i na sprawy publiczne stanowczy wpływ wywierała.

Słusznie też uczcił król Stanisław August zasługi znakomitego obywatela medalem na cześć jego wybitym z napisem Sapere auso (Temu, co się odważył mieć rozum). To była jedyna nagroda, jaką odniósł Konarski, bo nie przyjął zresztą ani biskupstw ani godności, ofiarowanych mu przez Augusta III.... drugą, wspanialszą nagrodą jest wdzięczna i niezagasła pamięć potomności.

---

[1]) „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. (1750—1764)". W Poznaniu roku 1840.

Starania i zabiegi Konarskiego popierali usilnie Czartoryscy, gromadząc około siebie ludzi zdolnych, bez względu na ich pochodzenie i dopomagając im do należytego wykształcenia. Gdy jednak praca tego rodzaju dopiero po dłuższym przeciągu czasu mogła pożądane przynieść owoce, a opłakany stan Rzeczypospolitej jak najszybszego wymagał ratunku, wypadało przeto innych energiczniejszych chwycić się środków.

Próbowano wpływać na opinię publiczną przez pisma ulotne. Przed sejmem roku 1744. wydał Stanisław Poniatowski broszurę, w której domagał się aukcyi wojska, podniesienia ceł i podatków, zniesienia klasztorów, pewnej liczby świąt i tolerancyi religijnej;[1]) w kilka lat później ukazała się „Anatomia Rzeczypospolitej polskiej“ Stefana Garczyńskiego, wojewody poznańskiego, podobnie w postępowym napisana duchu, ale skutek tych usiłowań publicystycznych nie mógł oczywiście zdziałać wiele. Sejm z roku 1744. został — jak wiemy — zerwany, a równocześnie spotkała Czartoryskich inna klęska. Adam Tarło, znany nam z czasów konfederacyi dzikowskiej, posiadający od tego czasu wielką u szlachty popularność, połączył się był z domem Potockich, współzawodniczących z „familią“ i dopomógł im do ufundowania trybunału w roku 1743. Nienawidzili go z tego powodu Czartoryscy, a dumna Konstancya Poniatowska wyrządziła Tarle afront na balu u marszałka koronnego Bielińskiego. Z awantury tej — głośnej natenczas — wyniknął pojedynek pomiędzy wojewodą a synem pani Konstancyi Kazimierzem, w którym Tarło zginął, zabity — jak mówiono — przez jednego z świadków spotkania, majora saskiego Korffa. Powstało stąd w kołach szlacheckich wielkie na Czartoryskich oburzenie, z czego znowu korzystali Potoccy, aby „familią“ pognębić. Nie było to jednak rzeczą łatwą, bo Czartoryscy posiadali już wtedy wielki kredyt u dworu, mianowicie umieli pozyskać sobie względy wszechmocnego Brühla i razem z nim trzęśli Rzeczpospolitą. Ponieważ Brühl, jako cudzoziemiec, nie mógł w Polsce ani urzędów piastować ani też mięszać się do rządów, dopomogli mu Czartoryscy w roku 1748. do uzyskania indygienatu. Znaleźli się ludzie — nibyto uczeni — którzy dowiedli, że Brühlowie to stara polska szlachta, że opuścili ojczyznę w roku 1496. i że właściwie nazywali się Ocieskimi od wioski Ocieszyna.[2]) Naciągnięte te wywody wystarczyły; trybunał piotrkowski skazał Brühla w roku 1749. na używanie praw szlachectwa polskiego i otworzył mu przez to drogę do wszystkich godności. Został więc Brühl natychmiast generałem artyleryi koronnej, starostą bolimowskim, lipnickim i piackim, dla 12-letniego syna swego otrzymał starostwo warszawskie, córkę wydał za marszałka nadwornego Jerzego Wandalina Mniszcha i jął trząść Rzeczpospolitą, sprzedając urzędy i mięszając się do wszystkich spraw publicznych. Wiedzieli o tych nadużyciach Czartoryscy, ale milczeli, bo pomoc Brühla była im potrzebna tak przeciw Potockim, jak i do przeprowadzenia politycznych zamiarów. W Rzeczypospolitej działo się coraz gorzej, zamęt i anarchia przybierały zastraszające rozmiary, sejmy zrywano

[1]) „List pewnego polskiego szlachcica do swego przyjaciela z innego województwa“.

[2]) Grabowski i Przeździecki: „Źródła“, Wiadomość o Henryku hr. Brühlu. Str. 111.

raz po razu (w roku 1746. i 1748.), w roku 1749. przyszło nawet do zerwania trybunału, do zatamowania biegu sprawiedliwości. Wśród tego skończyła się wojna sukcessyjna austryacka pokojem akwisgrańskim w roku 1748., burze — mącące całą Europę środkową — ustały, dwór saski nawiązał przyjazne stosunki z Austryą i z Francyą; córka Augusta III. wyszła za mąż za Delfina, syna Maryi Leszczyńskiej, królewicz Fryderyk Chrystyan ożenił się z arcyksiężniczką Maryą Antoniną, siostrą cesarzowej Maryi Teresy. Tej chwili ogólnego pokoju zamierzał użyć dwór — zapewne nie bez wpływu Czartoryskich — na przeprowadzenie reformy. Postanowiono znieść liberum veto i zapytywano w tym względzie w Wiedniu. Austryaccy dyplomaci odradzali, mniemając, że krok podobny może wywołać koalicyą Francyi, Prus, Szwecyi i Porty w obronie „zagrożonej wolności polskiej“,[1]) ale dwór stanął twardo przy swoim projekcie, Wacław Rzewuski złożył godność wojewody podolskiego, aby zostać posłem i marszałkiem sejmu konfederackiego w roku 1750. i reformę wpływem swoim i zręcznością przeprowadzić. Rzecz, dobrze pomyślana, rozbiła się jednak o opozycyą Potockich, poseł bełski Wydźga zerwał sejm, knujący — jak mówiono — zamach na wolność narodu. Niebawnie po tem umarł hetman Potocki, osieroconą przez śmierć jego buławę wielką koronną otrzymał Jan Klemens Branicki, ożeniony z Izabellą Poniatowską, siostrą Stanisława Augusta, trzy lata wcześniej został prymasem Adam Komorowski, stronnik dworu, a w roku 1752. postąpił Michał Czartoryski z podkanclerstwa na kanclerstwo litewskie. Potęga „familii“ wzrosła skutkiem tego tak bardzo, że w roku 1752. — po zerwanym sejmie grodzieńskim — postanowili Czartoryscy zawiązać konfederacyą i tym sposobem Rzeczpospolitę zreformować, licząc przytem szczególniej na poparcie Branickiego. Ale hetman, jakkolwiek od początku trzymał się partyi saskiej, przerzucił się nagle na stronę Francyi. Pociągały go do tego wspomnienia lat młodych — służył bowiem w grand-muszkieterach Ludwika XIV. — a nadewszystko wpływ Jędrzeja Mokronowskiego, który — spędziwszy czas pewien w służbie francuskiej i pruskiej utrzymywał ciągle stosunki z Wersalem, a pobierając pensyę od Ludwika XV., poczuwał się niejako do obowiązku popierania polityki francuskiej w Polsce. Tymczasem na dworze warszawskim zaczynały się ścierać ze sobą natenczas dwa prądy. Poseł angielski Williams pracował nad utworzeniem przymierza pomiędzy Polską, Rosyą i Austryą przeciw Prusom i Francyi, podczas gdy ambasador francuski hr. Broglie robocie tej starał się przeszkodzić. W takim stanie rzeczy zależało gabinetowi wersalskiemu na utrzymaniu anarchicznych stosunków w Polsce, bo Rzeczpospolita zreformowana mogła w zamierzonej koalicyi poważną odegrać rolę. Zalecano zatem w instrukcyach ambasadorom francuskim w Warszawie, aby przeszkadzali wszelkim związkom konfederackim i wszelkiej reformie, podnoszącej znaczenie i potęgę skołatanego państwa.[2]) Otóż Mokronowski, zapewne w najlepszej działając wierze, stał się bezwiednem narzędziem w rękach Brogliego i dyplomacyi pruskiej, która także obawiała

[1]) Dr. R. Roepeu: „Polen um die Mitte des XVIII. Jahrhunderts“. Gotha 1874. Str. 80.

[2]) Tamże, str. 115, podług Flassana, IV, 134—141.

się wzmocnienia Rzeczypospolitej, a że posiadał w zupełności zaufanie chwiejnego hetmana, więc powiodło mu się pociągnąć Branickiego ku Francyi i wszystkie zamiary Czartoryskich udaremnić.

Bezpośrednio po tych ubolewania godnych wypadkach wszczął się spór zawzięty o ordynacyą ostrogską. Ogromna fortuna Ostrogskich stała się po śmierci ostatniego ordynata Aleksandra jabłkiem niezgody dla możnowładztwa polskiego. Podług ustawy miał sejmik krakowski wybrać następcę ordynata, któryby się odznaczył szczególniej w walce z pogaństwem. Wybór padł na znanego Hieronima Lubomirskiego, ale Ostrogszczyzna pozostała mimoto w rękach Dymitra Wiśniowieckiego, którego żona — siostrzenica króla Jana III. — była siostrą ostatniego ordynata. Wiśniowiecka wyszła powtórnie za mąż za Józefa Lubomirskiego, a gdy syn jej jedynak umarł w roku 1720., wystąpił z pretensyami do ordynacyi Paweł Sanguszko i nie pytając wiele, opanował Dubno siłą zbrojną i ostatecznie w posiadaniu się utrzymał. Obecnie dzierżył ordynacyę marszałek nadworny litewski Janusz Sanguszko, największy hulaka i marnotrawca owego czasu. Zadłużywszy się po uszy pomimo olbrzymich dochodów, ścigany przez wierzycieli, postanowił on ratować się w ten sposób, że podzielił ordynacyą pomiędzy kilka rodzin i otrzymał od nich za to pieniądze na spłacenie długów. Na tych warunkach stanęła t. zw. transakcya kolbuszowska w roku 1753. i dobra ordynackie rozebrali pomiędzy siebie Lubomirscy, Sapiehowie, Potoccy i Czartoryscy. Ci ostatni wzięli najmniej, bo tylko 18 wsi.

Najgorzej wyszła na tem Rzeczpospolita, gdyż ordynat miał obowiązek utrzymywać w stanie obronnym fortecę Dubno i dostarczać na potrzeby publiczne 600 żołnierzy, niemniej źle drobna szlachta, trzymająca dobra ordynackie już to w zastawie, już na mocy gratyfikacyi, udzielonej przez dawniejszych posiadaczy. Powstał więc — jak łatwo zrozumieć — krzyk w całym kraju niezmierny, posypały się ze wszech stron manifesta, zapisano mnóstwo papieru, odbyto kilka zjazdów, hetman Branicki ujął się za pokrzywdzonymi i siłą zbrojną zajął Dubno, ale gdy sprawa wytoczyła się przed sejm, postarali się uczestnicy kolbuszowskiej ugody o zerwanie obrad.

Stronnictwa. — Missya Poniatowskiego do Petersburga. — Wojna siedmioletnia. — Śmierć carowej. Skończyło się więc na rozdrapaniu ogromnej fortuny, na skrzywdzeniu Rzeczypospolitej, Czartoryscy skorzystali atoli zawsze, bo pozyskali sobie poparcie rodzin możnych, biorących udział w sprawie ordynackiej. Tak stały naprzeciw siebie dwa stronnictwa: Branicki, marzący o podniesieniu Rzeczypospolitej przez związki z Francyą, Szwecyą i Turcyą, a więc podejmujący niejako dawne plany Potockiego, i Czartoryscy, silni organizacyą wyborną i rozległemi stosunkami, zamierzający zreformować państwo także z pomocą obcą, byle nie francuską, do której zaufania nie mieli. Na pierwszem miejscu nastręczała się ich uwadze Rosya. Posiadała ona już wpływ wielki w Polsce, starała się go utrzymać i wzmocnić, potrzebowała zatem stronnictwa silnego, któreby w jej widokach działało. Połączyć się z tą polityką i pod jej osłoną przeprowadzić zwolna i nieznacznie reformę Rzeczypospolitej, było wprawdzie rzeczą hazardowną, ale nie niepodobną. Ociężałość

carowej Elżbiety, sprzedajność jej ministrów, zaufanie w zręczność własną i spryt niepospolity, a wreszcie rozpaczliwe położenie ojczyzny, skłoniły Czartoryskich do chwycenia się tej — jak mniemali — ostatniej deski ratunku. Liczyli oni zresztą na przyjazne swoje z Petersburgiem stosunki, na przychylność Kajzerlinga, posła rosyjskiego w Warszawie, który z nimi tak się zaprzyjaźnił, że udzielał lekcyi logiki młodemu Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, a że potrzebowali kogoś ze swoich mieć na dworze rosyjskim, więc postanowili wysłać tam siostrzeńca swego, który zdawał się być odpowiednim do missyi tego rodzaju kandydatem. Ułatwił im tę sprawę poseł angielski Williams, bo — przenosząc się na ambasadę do Petersburga — zabrał ze sobą w roli sekretarza swego młodego Poniatowskiego. Stanisław August, syn kasztelana krakowskiego i Konstancyi Czartoryskiej, liczył natenczas lat 23.

Otrzymał on bardzo staranne, jakkolwiek ówczesnym obyczajem więcej powierzchowne niż gruntowne wykształcenie, odbywał podróże za granicę, mówił biegle pięcioma językami i posiadał przytem powierzchowność ujmującą i w obejściu uprzejmość, która mu serca łatwo jednała. Przy tych wszystkich zaletach jednak był Poniatowski człowiekiem lekkomyślnym, miękkim i próżnym. Wychowany pod okiem matki, nie mógł wyrobić w sobie charakteru męskiego, ani zasad, na którychby się w życiu opierał, przyjemności życia znaczyły u niego więcej, niż poczucie obowiązku lub nawet własnej godności, a egoizm — posunięty do wysokiego stopnia — czynił go niezdolnym do wykonania pięknych zamiarów, jakie często w żywej jego wyobraźni powstawały Takim był Stanisław August Poniatowski, kiedy — zaszczycono świeżo godnością stolnika litewskiego — udawał się z Williamsem do Petersburga i dziwić się nie można, że tu odrazu zwrócił na siebie uwagę młodej żony wielkiego księcia Piotra, Katarzyny, i z pomocą swojego mentora pozyskał — nie trudne zresztą do zdobycia — serce owej „Semiramidy północnej". Carowa Elżbieta, bezdzietna, przeznaczyła na następcę swego siostrzeńca Piotra, księcia holsztyńsko-gottorpskiego, któremu Fryderyk II. wyswatał księżniczkę Anhalt-Zerbst, późniejszą Katarzynę II. Małżeństwo nie było dobrane. Następca tronu, człowiek w całem tego słowa znaczeniu ograniczony, znajdował największą przyjemność grając w karty ze swoimi lokajami, lub ćwicząc żołnierzy swoich na wzór pruski. Zresztą wielbił Fryderyka II. i starał się we wszystkiem monarchę tego naśladować. Katarzyna przeciwnie była kobietą niewątpliwie wyższego umysłu. Bystra, olśniewająca, wtedy przynajmniej, pięknością, znalazłszy się nagle w otoczeniu z gruntu zdemoralizowanem, oddana człowiekowi nikczemnemu i pozbawionemu wszelkiej inteligencyi, poszła więc natychmiast na bezdroża, zmieniając kochanków jak rękawiczki. Zastanawiającem jest jednak w każdym razie, że pomimo tego umiała zachować trzeźwość całą umysłu i z wytężeniem pracować nad dopięciem głównego swego celu. Rosya była przyzwyczajona od lat 20-tu do panowania kobiet, następcą Elżbiety miał zostać Piotr, Niemiec z wychowania i przekonań, nie lubiany od narodu i arystokracyi rosyjskiej. Cóż naturalniejszego zatem, jak, że Katarzyna, górująca inteligencyą nad tem całem nikczemnem otoczeniem, mogła myśleć

i myślała zapewne o koronie, o nieograniczonej władzy? W tej chwili poznała Poniatowskiego. Serce jej było narazie wolne, gdyż Sołtyków, pierwszy jej amant, został wysłany do Hamburga. Powierzchowność Stanisława Augusta, jego stosunki w Polsce, o których wielka księżna niewątpliwie dobrze była poinformowana, zresztą usłużność Naryszkina i zabiegi Williamsa, który przez stolnika litewskiego zamierzał wpływać na Katarzynę w duchu polityki angielskiej, wszystko to — razem wzięte — utorowało Poniatowskiemu drogę do komnat książęcych.

Odtąd stał on się niewolnikiem wielkiej księżnej, a opisując na jej żądanie własny swój portret, oświadczył, że „czułby się najnieszczęśliwszym z ludzi, gdyby kiedykolwiek w miłości swojej miał doznać zawodu“.[1]) Katarzyna umiała należycie ocenić sentymentalność i niedoświadczenie młodego człowieka, widząc zaś słaby jego charakter i niepodzielając jego miłośnych zapałów,[2]) postanowiła posługiwać się nim, jako narzędziem dogodnem w polityce. A właśnie nadarzała się do tego najlepsza sposobność. W roku 1756. bowiem zawrzała wojna siedmioletnia. Przeciw Fryderykowi Wielkiemu połączyła się Austrya z Francyą, Saksonią i Rosyą, do aliansu tego przystąpiła niebawem i Szwecya, król pruski w przymierzu z jedną tylko Anglią musiał stawić czoło tej potężnej koalicyi. Głównem zadaniem jego musiało więc być powstrzymanie Polski od udziału w tej wojnie i paraliżowanie działań Rosyi. W Polsce nagły zwrot polityki francuskiej, która przeszła na stronę Austryi i Moskwy, wywołał konsternacyą w obozie hetmana Branickiego, który na pomocy gabinetu wersalskiego główne swoje pokładał nadzieje. Opuszczony przez najlepszego swego sprzymierzeńca i od dworu, popierającego w ostatnich czasach stronnictwo hetmańskie z obawy przed zbytnią potęgą Czartoryskich, znalazł on się nagle w położeniu niezmiernie trudnem, jak statek bez steru i żagli. Czartoryscy przeciwnie, znając dokładnie stosunki w Petersburgu, przewidywali, że przymierze rosyjsko-austryacko-francuskie długo trwać nie może, że w stolicy caratu nastąpi niebawem zwrot dla Fryderyka II. pomyślny. Oba stronnictwa zatem zbliżyły się do siebie i zaczęły kokietować z Prusami. Obawiano się, że król z pomocą wojsk rosyjskich, które przechodziły teraz ciągle przez Polskę, przeprowadzi swoje zamiary, Czartoryscy układali projekt konfederacyi i — utrzymując ścisłe z Berlinem stosunki — pracowali niemniej gorliwie na korzyść Fryderyka II. w Petersburgu. W tym celu uzyskali od nieostrożnego Brühla dla Poniatowskiego nominacyą na posła saskiego przy dworze rosyjskim. W tym charakterze — już urzędowym — działał on zupełnie w duchu polityki angielskiej i pruskiej, idąc na rękę wielkiej księżnie i jej mężowi. Skombinowanym tym staraniom powiodło się sparaliżować akcyą wojsk posiłkowych rosyjskich. Fryderyk II., który w roku 1756. nagłym napadem opanował Saksonię, a pobiwszy wojska austryackie pod Łowożycami, zmusił Sasów do kapitulacyi pod Pirną, ponosił w roku następnym klęskę po klęsce. Austryacy zbili go pod Kollinem, Francuzi znieśli armię angielską pod Hastenbeck, a feldmarszałek Apraksyn zadał klęskę wojsku pruskiemu pod Gross-

[1]) „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego“, z autografu francuskiego przełożone przez Br. Zaleskiego. Drezno 1870. Str. 220.

[2]) Pisze o tem poseł francuski Durand w depeszach do swego dworu. „La cour de Russie il y a cent ans 1725—1738“. Leipzig 1860. Str. 170.

jägerndorf. Jeszcze chwila, a potęga Fryderyka II. byłaby zgnieciona zupełnie. Wtedy przyszły mu w pomoc intrygi petersburskie, Apraksyn powrócił nagle — odwołany rozkazem kanclerza Bestużewa — do domu. Oburzyła się na to zdradzieckie postępowanie słusznie Austrya i Francya i usiłowaniom ambasadorów obu tych mocarstw powiodło się zniweczyć narazie knowania nieprzyjaciół. Bestużew został uwięziony, a jakkolwiek zdołał poprzednio zniszczyć papiery, kompromitujące jego i wielką księżnę, to jednak odjęto mu urząd kanclerski i skazano na wygnanie. Odtąd i stanowisko Poniatowskiego w Petersburgu było zachwiane, on sam spostrzegł ze smutkiem, że „trzeba wyjeżdżać“ i opuścił stolicę rosyjską w roku 1759., uwożąc zapewnienie jak najsilniejszego dla siebie poparcia, skoro tylko Piotr i Katarzyna zasiędą na tronie carskim, co wobec chorobliwych ataków, jakim ulegała często Elżbieta, mogło się spełnić w bardzo krótkim czasie. Rozkochany stolnik powracał zatem do kraju, jako przyszły kandydat do korony polskiej. W Polsce zastał znaczne zmiany. Czartoryscy, budując nadzieje swoje na stosunkach petersburskich, wystąpili przeciw dworowi, połączyli się z Branickim i sprzeciwili się na radzie senatu oddaniu Kurlandyi królewiczowi Karolowi. Mimoto większość senatorów poparła wniosek królewski, książe Karol odbył wjazd uroczysty do Mitawy, a carowa Elżbieta zrzekła się wszelkich pretensyj swoich do Kurlandyi. Tymczasem Rzeczpospolita stała się karczmą zajezdną wojujących mocarstw i ponosiła — mimo neutralności — wszystkie ciężary toczącej się wojny.

Co chwila waliły się przez Polskę posiłki moskiewskie, gospodarując jak w własnym kraju, pobite chroniły się na terytoryum polskie i wywoływały odwetowe wyprawy pruskie. Wojska Fryderyka II. wkraczały też bezkarnie do Wielkopolski, zapędzały się aż pod Poznań, niszczyły magazyny rosyjskie, zabierały rekrutów, ba... nawet porwały byłego ministra saskiego Sułkowskiego, mieszkającego w Radzyniu. Co gorsza, król-filozof kazał bić fałszywą monetę pod stemplem saskim i zasypując nią Polskę, rujnował kraj pod względem ekonomicznym. Wszystkie te klęski i nieszczęścia przypisywano królowi i jego polityce, a Czartoryscy — będący już w wojnie z Brühlem — podniecali ogólne niezadowolenie. W tej chwili umarła carowa Elżbieta (styczeń roku 1762.), a śmierć jej stała się powodem zupełnej zmiany systemu politycznego w Petersburgu.

Piotr III. — Katarzyna II. — Plan detronizacyi Augusta III. — Walki stronnictw. — Śmierć króla. Piotr III. porzucił natychmiast przymierze austryacko-francusko-saskie, zawarł alians z Fryderykiem Wielkim, a w tajnym traktacie zobowiązał się, w porozumieniu z królem pruskim, utrzymać tron elekcyjny i liberum veto w Polsce. Kurlandya miała się dostać księciu holsztyńskiemu Jerzemu Ludwikowi. Względem Augusta III. i jego posła zachował się car niegrzecznie, niemal wyzywająco, równocześnie zaś posłał księciu Adamowi Czartoryskiemu order św. Andrzeja, doręczony uroczyście w Puławach przez Wojejkowa. Ale i panowanie Piotra III. nie trwało długo; w lipcu tego samego roku padł on ofiarą pałacowej rewolucyi i na tron carów — zbroczony krwią męża — wstąpiła Katarzyna II. Pomimo dawniejszych sympatyj pruskich nie poszła ona wprawdzie drogą przez Piotra III. obraną, bo obawiała się na początku panowania swego wikłać się w wojnę, której losy są zawsze niepewne, ale nie powróciła także do przymierza austryackiego

z czasów Elżbiety. Polityka jej była narazie wyczekująca. Zawarłszy pokój z mocarstwami, toczącemi wojnę, pragnęła Katarzyna przedewszystkiem utwierdzić się na tronie, w kwestyi polskiej jednak zajęła natychmiast stanowisko jasno określone. Dnia 2. sierpnia już, donosząc Stanisławowi Augustowi o swojem wstąpieniu na tron, pisała pomiędzy innemi w ten sposób: „Posyłam niezwłocznie hr. Kajzerlinga jako posła do Warszawy, aby po śmierci teraźniejszego króla Was zrobił królem, a gdyby mu się to może udać nie mogło, w takim razie księcia Adama“.

Jakkolwiek zapewnienie to niezupełnie zgadzało się z widokami Czartoryskich, którzy na tronie polskim pragnęli widzieć innego człowieka niż był ich siostrzeniec, to zawsze dodało im śmiałości. Zaczęli też odtąd energiczniej występować przeciw dworowi, a jawniej okazywali sympatyą swoją Katarzynie II., która nieomieszkała nawzajem przy najbliższej sposobności wziąć ich najwyraźniej w swoją szczególniejszą opiekę. Oczywiście odgrywał interes rosyjski w tym wypadku pewną rolę. Carowa postanowiła zagarnąć Kurlandyą, więc ponieważ Biron został odwołany z wygnania, ujęła się za jego prawami do księstwa i wysłała 15.000 wojska, aby księcia Karola z Mitawy wypędzić. Król pobity, wypędzony z dziedzicznej swojej Saksonii i zachwiany w Polsce, szukał porozumienia z Czartoryskimi, ofiarując im i ich stronnikom wszystkie dygnitarstwa, jakie na sejmie roku 1762. miały być rozdane. „Familia“, uniesiona powodzeniem, odrzuciła propozycye królewskie, stolnik Poniatowski — obrany posłem — zażądał wyrugowania z izby młodego Brühla, jako nieszlachcica, porwano się do szabel i sejm spełzł na niczem. Tymczasem wojska moskiewskie wypędziły księcia Karola z Kurlandyi, a jakkolwiek rada senatu wbrew Czartoryskim energiczne powzięła uchwały przeciw temu jaskrawemu pogwałceniu praw Rzeczypospolitej, nie było siły, aby gwałt gwałtem odeprzeć. „Familia“ jawnie już łączyła się z Moskwą i kiedy przy ufundowaniu trybunału wileńskiego Karol książe Radziwiłł — „panie kochanku“ — wojewoda wileński, pomimo protestacyj Czartoryskich został obrany marszałkiem, zażądali oni wprost pomocy rosyjskiej. Jakoż bezzwłocznie wkroczył generał Sołtyków w 8000 ludzi na Litwę. „Familia“ tryumfowała, układała plan konfederacyi i myślała o detronizacyi Augusta III., kiedy z Petersburga inne nadeszły rozkazy, Katarzyna II. sprzeciwiła się rewolucyi. Jak grom z jasnego nieba spadła ta wiadomość na Czartoryskich, kanclerz wielki litewski zachorował wskutek tego obłożnie. Bystry umysł jego odgadł bowiem odrazu jak niebezpiecznym był sojusz z Rosyą i jak dalece różniła się polityka Katarzyny od postępowania Elżbiety, która w sprawach polskich kierowała się głównie radami Czartoryskich i własnego planu nie miała. Bądźcobądź trzeba się było zastosować do woli imperatorowej, czekać śmierci Augusta III., a tymczasem prowadzić dalej walkę z rozdrażnioną opozycyą, kupiącą się około starego Branickiego. Z obu stron gotowano się też do stanowczego spotkania przy otwarciu trybunału w Piotrkowie, szczęk oręża napełniał okolice spokojnego zwyczajnie miasteczka, ulicy roiły się od zbrojnej szlachty i hufców najemnych, co chwila oczekiwano starcia, kiedy nadbiegła wiadomość, że król August III. zakończył życie w Dreźnie, dnia 5. października 1763. roku.

Stanisław August Poniatowski. 1764—1795.

OKRES PIERWSZY: Od roku 1764. do pierwszego rozbioru.

Konwokacya. — Reformy Czartoryskich. — Elekcya. Bezkrólewie po śmierci Augusta III. przypadło na czas, gdzie wszystkie niemal mocarstwa europejskie, zmęczone siedmioletnią wojną na lądzie i morzu, pragnęły szczerze utrzymania pokoju. Położenie Polski było więc tym razem o wiele korzystniejsze niż w wielu innych podobnych wypadkach i gdyby stronnictwa, walczące zażarcie ze sobą, mogły się były zjednoczyć i pogodzić, byłaby prawdopodobnie Rzeczpospolita uniknęła smutnej katastrofy. Tak jednak — jak rzeczy się układały oddawna i jak ułożyły się wkońcu — było wszelkie porozumienie wręcz niepodobne, a starcie nieuniknione.

Pomimo wybornej organizacyi swego stronnictwa, wielkich środków i pomocy rosyjskiej nie była „familia“ zupełnie przygotowaną do działania. Potrzebowała ona czasu, pragnęła więc odwlec konwokacyą i elekcyą i użyła do tego prymasa. Na stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie zasiadał natenczas Władysław Łubieński, człowiek do pewnego stopnia uczony, szczerze pobożny, ale nieposiadający ani zdolności politycznych ani silnego charakteru i ulegający podszeptom bezecnego kanclerza swego ks. Młodziejowskiego. Jego to radom i rublom rosyjskim[1]) powiodło się zupełnie pozyskać prymasa dla planów Czartoryskich. Stosując się do ich woli, złożył więc konwokacyą dopiero na dzień 7. maja 1764. roku, przez co „familia“ zyskała sześć miesięcy do agitacyi i przygotowania, nieprzeczuwając wcale, że w tymsamym czasie poza jej plecyma dojrzewało ścisłe porozumienie pomiędzy Rosyą a Prusami, wymierzone przeciw Polsce i całej reformatorskiej pracy Czartoryskich. Dnia 22. kwietnia 1764. roku ratyfikowały te państwa obustronnie przymierze zaczepno-odporne — gdyż zeszłoroczne z powodu śmierci Piotra III. ratyfikacyi się nie doczekało — które pomiędzy innemi miało na celu utrzymać w Polsce obieralność królów i niedopuścić do przekształcenia Rzeczypospolitej w państwo dziedziczne. Na wniosek Fryderyka II. dodano jeszcze artykuł jeden, odnoszący się do dyssydentów, oba państwa obowiązywały się mianowicie w stosownej chwili przywrócić im dawne prawa i przywileje. Traktat sam i sposób w jaki go zawarto był arcydziełem zręczności dyplomatycznej Katarzyny II. Nawiązując stosunki to z Wiedniem to z Wersalem dla porozumienia się w kwestyi polskiej, doprowadziła ona starego i zmęczonego wojną siedmioletnią Fryderyka II. do tego, że przyjął, co do Polski, wszystkie artykuły, jakie mu w Petersburgu podyktowano i poddał Rzeczpospolitą zupełnie pod wyłączny wpływ Rosyi. Mając zapewnioną pomoc zbrojną ze strony Prus na wypadek, gdyby jakiekolwiek mocarstwo do spraw polskich mięszać się

[1]) Łubieński wziął od Rosyi 80.000 rubli na wybór Stanisława Augusta. — Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“, t. I, str. 255.

chciało, lub gdyby republikańskie urządzenia Rzeczypospolitej były zagrożone, mogła ona gospodarować swobodnie od Budziaków po Bałtyk i od Smoleńska aż do Wschowy, czyli innemi słowy, rządzić Polską jak podległą sobie prowincyą. Gdy zaś Francya i Austrya, którym najwięcej powinno było zależeć na tem, aby Prusy i Rosya stanowczej w Polsce nieuzyskały przewagi, wobec elekcyi Stanisława Augusta zupełnie prawie obojętnie się zachowały, a Czartoryscy działali w porozumieniu z carową, więc cały ciężar opozycyi spadał na barki t. zw. stronnictwa narodowego i dworu saskiego. Dwór saski starał się już za życia Augusta III. o następstwo w Polsce. Żona królewicza, energiczna Marya Antonina, udawała się w tym względzie do Fryderyka II., prosząc go o radę i poparcie w Petersburgu. Stary lis odpowiedział jej, że wolałby napisać komentarz do summy św. Tomasza, niż prowadzić dyskusyą polityczną, wkońcu mniemał jednak, że Katarzyna z powodu sprawy kurlandzkiej jest na Sasów zagniewana i że należy postępować bardzo ostrożnie. Jedna Marya Teresa sprzyjała szczerze kandydaturze kurfirszta, ale wszechwładny w Wiedniu Kaunitz nie mógł się zdecydować na krok stanowczy, zwlekał, temporyzował i badał opinię dworów tak długo, aż chwila sposobna do działania minęła, aż Katarzyna — ubezpieczona przymierzem pruskiem — przestała oglądać się na opinię chwiejnej Austryi i obojętnej Francyi. Śmierć kurfirszta saskiego, który niespodziewanie umarł na ospę, pogorszyła jeszcze bardziej sytuacyą. Dwaj bracia jego, Ksawery i Karol, nie mogli już liczyć tyle co on na powodzenie w Polsce. Pierwszy — mniej znany — nie posiadał w kraju sympatyi, drugi był stanowczo skompromitowany wobec dworu petersburskiego sprawą kurlandzką. Chwycono się zatem w Dreźnie kandydatury hetmana Branickiego. Osiemdziesięcioletni ten figurant miał otrzymać koronę polską pod warunkiem, że w dogodnej chwili złoży ją na rzecz księcia saskiego.

Wobec tej polityki chwiejnej, zmieniającej się z dnia na dzień, jedna Katarzyna miała cel jasno wytknięty i dążyła do niego z niezachwianą niczem wytrwałością. Już dnia 18. października 1763. roku oświadczyła się ona w liście do Fryderyka II. za kandydaturą Stanisława Augusta, bo — jak pisała wtedy — „nie znajdziemy dla naszych wspólnych interesów dogodniejszego indywiduum“. Dla króla pruskiego była kwestya osobista rzeczą podrzędną, byle tylko Rzeczpospolita nie dźwignęła się z anarchii, byle nie stała się państwem silnem i dla sąsiadów groźnem, gotów on był zrobić królem polskim Czartoryskiego, Poniatowskiego, lub każdego innego magnata polskiego. Carowa, upewniona w ten sposób co do intencyj gabinetu berlińskiego, dopełniła formalności, poddając rzecz całą pod rozwagę senatu rosyjskiego, który oczywiście zgodził się na wszystko, i wyprawiła w roli nadzwyczajnego posła do Warszawy — do pomocy staremu Kajzerlingowi — księcia Mikołaja Repnina z niezmiernie szczegółowemi instrukcyami. Miał on żądać uznania tytułu cesarskiego dla Rosyi, nadania Bironowi Kurlandyi i uregulowania granic z uwzględnieniem pretensyj rosyjskich i starać się zresztą o utrzymanie anarchicznych stosunków w Rzeczypospolitej. Ażeby zaś uspokoić obawy Kaunitza, który w przymierzu prusko-rosyjskim wietrzył zamach na całość Polski,

wydały oba dwory — tak berliński jak i petersburski — deklaracyą, zapewniającą, że o oderwaniu jakiejkolwiek prowincyi od Rzeczypospolitej nie myślą wcale i że mięszają się do elekcyi jedynie po to, aby uszczęśliwić naród polski wyborem rodaka, znającego prawa i obyczaje i równie zamiłowawanego w swobodach ojczystych. Gdy tak Rosya w spółce z Prusami omotała siecią machiawelistycznej iście polityki i naród polski i mocarstwa w sprawie tej interesowane, przedstawiało działanie stronnictwa narodowego opłakany widok. Ani stary hetman Branicki, ani wiecznie pijany Karol Radziwiłł, ani Potoccy, z niechęci ku Czartoryskim trzymający się opozycyi, ani wreszcie biskup krakowski Sołtyk, gwałtowny a niepolityczny, nie umieli postawić jasno wytkniętego programu politycznego i zorganizować energicznej obrony przeciw gwałtom, jakich dopuszczali się Czartoryscy i sprowadzone przez nich do kraju wojsko rosyjskie.

Zjazd — zwołany do Białegostoku, rezydencyi hetmańskiej — obliczył, że możnaby zebrać na obronę Rzeczypospolitej 40.000 ludzi. Gdy jednak żołd półroczny dla takiej siły wynosił 200.000 dukatów, oświadczyli zgromadzeni, że nie mają potrzebnych na ten cel funduszów i udali się z prośbą o pieniądze do ambasadora francuskiego markiza Paulmy. Najbogatsi magnaci polscy więc, właściciele milionowych fortun, pomiędzy którymi Potoccy n. p. świeżo — z krzywdą Rzeczypospolitej — zabrali dwa wielkie klucze z ordynacyi ostrogskiej, nie zdobyli się na jednorazowy datek dla ratowania ojczyzny i żądali zasiłków od Francyi, która przecież w całej tej sprawie mniej od nich była interesowana.

Ale ani gabinet wersalski ani Austrya nie myślały poświęcać wielkich sum na poparcie opozycyi — widocznie bezsilnej — i poprzestały na nic nieznaczących krokach dyplomatycznych. Sejmiki wypadły więc po większej części pomyślnie dla Czartoryskich, a sejm konwokacyjny, zwołany do Warszawy, dowiódł wyraźnie, że stronnictwo republikańskie jest zarówno bezsilne jak i bezradne. Kiedy bowiem obie partye ściągnęły do stolicy znaczne zastępy zbrojne i gdy walka na śmierć lub życie zdawała się nieuchronną, republikanie w chwili stanowczej ograniczyli się do ogłoszenia manifestu przeciw gwałtom Czartoryskich i opuścili ku wielkiemu zadowoleniu swoich przeciwników Warszawę, ścigani przez wojska rosyjskie pod dowództwem generała Ronikera i koronne pod Ksawerym Branickim. A jak gdyby niedość było jednego tego błędu, rozdzielono po wyjściu ze stolicy i tak nieliczne swoje siły. Branicki udał się ku Karpatom, gdzie naciśnięty przez Moskali, rozpuścił żołnierzy i ujechał na Węgry; Karol Radziwiłł ruszył na Litwę, stoczył pomyślną potyczkę z Rosyanami pod Słonimem, ale niepoparty przez Potockiego, wojewodę kijowskiego, który się od związku z republikanami usunął, i — zagrożony od przeważających sił nieprzyjacielskich — wycofał się na Wołoszczyznę, pod opiekę turecką, stamtąd zaś przez Węgry podążył na stały pobyt do Drezna.

Czartoryscy byli w ten sposób panami sytuacyi i rozpoczęli działanie swoje od wyboru marszałka sejmowego, którym został książe Adam, syn wojewody ruskiego, i od zawiązania konfederacyi. Pozostawała jednak druga,

ważniejsza część dzieła, t. j. przeprowadzenie reformy. Nie ulega wątpliwości, że pomimo niechęci przeciw „familii“ i zaślepienia szlachty, która z wytrwałością godną lepszej sprawy broniła dawnych anarchicznych urządzeń Rzeczypospolitej, przekonania ogółu wielkiej uległy zmianie. Było to naturalnym skutkiem owej reformy wychowania publicznego, rozpoczętej przez Konarskiego i owych usiłowań światłych ludzi, którzy od lat kilkudziesięciu pismem i słowem przedstawiali narodowi wadliwości urządzeń publicznych i nawoływali do poprawy złego.

Z początku były te głosy głosami wołających na puszczy, ale klęski, jakich doznała Rzeczpospolita w drugiej połowie panowania Augusta III. i regularnie powtarzające się zrywanie sejmów, przywiodły wielu do upamiętania i przekonały ich o gwałtownej potrzebie reformy. Podczas gdy niedawno jeszcze pisemka ulotne, domagające się naprawy Rzeczypospolitej, nie wielu znajdywały zwolenników, obecnie dzieło Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“ (1760—1763), skierowane głównie przeciw nieszczęsnemu liberum veto, sprawiło w kraju ogromne wrażenie. Po wydaniu pierwszego tomu swej pracy otrzymał autor pięćdziesiątkilka listów dziękczynnych od najznaczniejszych osób; biskup Sołtyk przyznawał, „że cała nacya jest już skonwinkowana, iż ginie ex mala consiliorum forma“, a poseł pruski w Warszawie Benoit raz po razu donosił Fryderykowi II. o wielkich zmianach, jakie zaszły w usposobieniu Polaków wskutek ogłoszenia dzieła Konarskiego. „Ks. Konarski — pisał on 22. czerwca 1763. roku — który od roku albo od dwóch lat głosi reformę ustawodawstwa polskiego, znajduje teraz tylu zwolenników, ilu niechętnych liczył poprzednio. Powiadają Polacy, że będą przynajmniej za to wdzięczni WKMości, że ich zmusiłeś stać się narodem potężnym“.

Położenie Czartoryskich było więc w roku 1764. o wiele pomyślniejsze niż wszystkich tych, którzy kiedykolwiek o zreformowaniu Rzeczypospolitej zamyślali. Jedyną przeszkodą w przeprowadzeniu pożytecznego dla ojczyzny dzieła mogli być reprezentanci Rosyi i Prus, z nieufnością spoglądający na całą działalność konwokacyjnego sejmu. Co do Kajzerlinga, to był on mniej niebezpiecznym. Zaprzyjaźniony z Czartoryskimi, nieumiejący wcale po polsku, z trudnością tylko mógł się oryentować w sprawach sejmowych. Wnioski — stawiane w izbie — tłumaczono dla niego na język łaciński i objaśniano w ten sposób, że traciły właściwą swoją doniosłość. Bystrzejszy od Kajzerlinga Fryderyk II. stał pilniej na straży swoich interesów i przy każdej sposobności występował w obronie dawnej anarchii szlacheckiej i za utrzymaniem liberi veto. Zniesienie więc tej kardynalnej przeszkody pomyślnego rozwoju ojczyzny było i tym razem niepodobne. Wszystko, co na sejmie konwokacyjnym uzyskano, to było ustanowienie czterech komisyj: wojny, sprawiedliwości, policyi i skarbu, jakoteż zaprowadzenie cła generalnego na wszystkie towary, co obalało jeden z najważniejszych przywilejów szlacheckich. W ten sposób ograniczono szkodliwą dla państwa władzę hetmanów, kanclerzy, podskarbich i marszałków i poddano wszystkie ich czynności kontroli osób, wybieranych przez sejm. Uchwalono dalej regulamin sejmowy, zaprowadzono na sejmikach wojewódzkich większość głosów i postanowiono, aby na

sejmach odtąd sprawy skarbowe i ekonomiczne także większością głosów były rozstrzygane.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te uchwały były bardzo zbawienne, że dawały Rzeczypospolitej rząd lepszy i pod niejednym względem kładły tamę dotychczasowej anarchii. Trudno jednak nie przyznać także, że to, co zrobiono, było dopiero początkiem reformy i że tak dalsze przeistoczenie machiny państwowej — jak i utrzymanie świeżych zdobyczy w zakresie ustawodawstwa — było zawisłe od monarchy, którego miano wybrać. Wybór ten był niestety z góry już przesądzony i Czartoryscy, znając położenie polityczne, nie robili nawet usiłowań, aby przeszkodzić elekcyi Stanisława Augusta. On sam tylko zdawał się nie ufać swojemu wyniesieniu i — chociaż niegdyś w Oranienbaumie zapewniał Katarzynę, że „nosi w głębi serca przeczucia niezmiernego szczęścia w przyszłości“, to teraz, gdy się zbliżała chwila stanowcza — uczuwał w duszy wielką niepewność. Z tego powodu pisywał też raz po razu do Katarzyny listy błagalne, pełne strzelistych afektów i zapewnień uległości, a dla rezydenta pruskiego w Warszawie był niezmiernie grzeczny i uprzedzający, wiedząc dobrze, jaki wpływ wywiera Fryderyk II. na postanowienia petersburskiego dworu. Nic dziwnego więc, że oba gabinety oceniały należycie charakter stolnika litewskiego i kandydaturę jego wszelkiemi postanowiły popierać siłami. Miał on w Petersburgu także możnych nieprzyjaciół w Orłowach i Czernyszewie, którzy obawiali się, aby Katarzyna — idąc za głosem uczucia — nie zechciała pomyśleć o małżeńskich związkach z dawnym swoim kochankiem. Pogłoski tego rodzaju doszły nawet do Konstantynopola i zachwiały chwilowo kandydaturę Poniatowskiego, gdyż Porta żądała wyraźnie od posła rosyjskiego Obreskowa,[1]) aby na tronie polskim zasiadł „Piast żonaty“. Z tego powodu też usiłowano skleić małżeństwo Stanisława Augusta z Potocką, chciano „kazać mu poślubić którąkolwiek damę polską“, ale stolnik — ufny w swoją gwiazdę i marzący zawsze o związkach z Katarzyną — nie dał się do tego nakłonić i dopiął wreszcie upragnionego celu. Dnia 7. września 1764. roku obwołano na polu elekcyjnem, królem Stanisława Augusta Poniatowskiego, a dnia 25. listopada, w dzień imienin Katarzyny II., odbyła się uroczystość koronacyjna w Warszawie, a nie — jak zwyczaj kazał — w starożytnym Krakowie. Koroną podwatowaną — bo dawniejsze, piastowskie, okazały się za duże na małą głowę stolnika — ozdobiono skronie siostrzeńca Czartoryskich, ubranego przy tych festynach w strój hiszpański lub staroniemiecki, poczem na placu, gdzie „złoczyńców tracono“, złożyła Warszawa hołd nowemu panu.

Gwałtowne postępowanie Rosyi i Prus. — Sprawa dyssydentów. — Konfederacya radomska. — Wywiezienie senatorów. — Protest Wybickiego. Wybór Stanisława Augusta należy do najnieszczęśliwszych zdarzeń w dziejach Polski. W chwili bowiem, kiedy reforma państwa stała się konieczną i kiedy cały naród uznawał jej potrzebę, wstępował na tron człowiek, najmniej posiadający warunków do wykonania wielkiego dzieła. Narzucony narodowi obcą

[1]) Askenazy Szymon: Z korespondencyi pruskiej.

przemocą i zabiegami „familii“, nie mógł Stanisław August posiadać sympatyi pomiędzy szlachtą ani pomiędzy możnowładztwem polskiem. Możnowładztwo widziało w nim parweniusza wątpliwego pochodzenia, którego dziad miał być ekonomem Sapiehy, szlachta zaś człowieka, przesiąkniętego cudzoziemskiemi nałogami, chwiejnego w rzeczach wiary i pozbawionego podstawy moralnej. Pomimo zepsucia, wdzierającego się już wtenczas do kraju, pomimo lekkości

Stanisław Małachowski.

obyczajów, panującej w wyższych warstwach społecznych, trzymał się ogół szlachty jeszcze zawsze wiernie tradycyi ojców swoich i zasad Kościoła i potępiał jednomyślnie niemal człowieka, któremu występny stosunek z Katarzyną utorował drogę do tronu. Człowiek ten nie posiadał nadto żadnych zasług osobistych, ani też takich przymiotów charakteru, któreby wyniesienie jego po części przynajmniej usprawiedliwić mogły. Był on tem, za co go powszechnie uważano, powolnym sługą carowej i dogodnem narzędziem w rękach Czarto-

ryskich. Czyż można się dziwić przeto, że nie zdołał obudzić w narodzie ani szacunku, ani zaufania nawet wtedy, gdy rzeczywiście dobra tego narodu pragnął i dla jego szczęścia chciał pracować?

A jeżeli kiedy, to właśnie w roku 1764. potrzebowała Polska tej harmonii pomiędzy tronem a społeczeństwem, potrzebowała skupienia wszystkich sił i wszystkich stronnictw pod jednym sztandarem, bo na zegarze wieków wybiła ostatnia dla niej chwila ocalenia. Ale sztandaru tego nie mógł podźwignąć słabą swoją dłonią Stanisław August, bo imię jego było zanadto sponiewierane w opinii publicznej, ażeby mogło stać się gwiazdą przewodnią dla społeczeństwa, rozbitego na stronnictwa i zarażonego jadem anarchii. Nie zdołali uczynić tego i Czartoryscy, jakkolwiek obdarzeni wielkiemi zdolnościami politycznemi, bo brakowało im tej równowagi umysłowej i spokoju, które są niezbędnemi warunkami powodzenia w rzeczach wielkich. Skoro tylko odnieśli stanowcze zwycięstwo nad swoimi przeciwnikami, nie znali oni pomiarkowania, ani granic zawziętości. Przed samą konwokacyą stronnictwo republikańskie — widząc przewagę Czartoryskich — pragnęło się z nimi porozumieć i pogodzić; wdawali się w tę sprawę agenci francuscy, próbowali układów Potoccy... wszystko nadaremnie. Kazimierz Poniatowski i książe Adam Czartoryski odpowiadali: „Hetman wielki ma w ręku siłę i chce nas zgnieść, myślimy o najpilniejszym, niech będzie co chce, z dwóch despotyzmów mniej straszny dla nas despotyzm Moskwy, niż wielkiego hetmana; lepiej cierpieć od nieprzyjaciela, niż od równego sobie“. Wyrażenie to, przytoczone w raportach francuskiego posła, charakteryzuje zaciętość stronniczą Czartoryskich. Ale jeżeli da się ona usprawiedliwić poniekąd w przededniu stanowczej walki, to po zwycięstwie odniesionem była niechybnie wielkim błędem politycznym. Dopuścili się go Czartoryscy. Bo kiedy po dokonanej elekcyi wszyscy niemal przeciwnicy Stanisława Augusta — pomiędzy nimi i hetman Branicki — uznali nowego władcę, a za ich przykładem chciał pójść także Karol Radziwiłł i używał w tym celu rozmaitych instancyj, sprzeciwił się amnestyonowaniu upokorzonego magnata na radzie senatu książe Michał Czartoryski, zbywając proszących łacińskiem przysłowiem: „Lupus, dum languebat, agnus esse volebat“ („Wilk, gdy zniedołężniał, chciał być jagnięciem“). Podobnie odmawiano pozwolenia do powrotu innym magnatom, będącym w bliskich stosunkach z Radziwiłłem i tworzono tą taktyką nierozważną całe zastępy malkontentów w chwili, gdy od strony Moskwy i Prus poważne zaczęły powstawać niebezpieczeństwa.

Oba te mocarstwa nie po to dopomogły Stanisławowi Augustowi do uzyskania tronu, a Czartoryskim do pokonania republikańskiego stronnictwa, aby się przypatrywać spokojnie zreformowaniu Rzeczypospolitej, której bezsilność była głównym celem ich polityki. Podczas sejmu koronacyjnego więc wystąpił Repnin z rozmaitemi żądaniami. Domagał się mianowicie uregulowania granic w ten sposób, że Rosya zyskała przytem 60 mil kwadratowych obszaru, ujmował się za dyssydentami i proponował Rzeczypospolitej zaczepno - odporne przymierze. Król pruski ze swej strony zaprotestował przeciw ustanowieniu ceł. Izba poselska odpowiedziała na to wołaniem o wycofanie wojsk rosyj-

skich z kraju, kanclerz Czartoryski odrzucił projekt przymierza zaczepno-odpornego, godząc się tylko nad odporne, posłowi pruskiemu oświadczono grzecznie lecz stanowczo, że niema prawa mięszać się do wewnętrzych spraw Rzeczypospolitej. Powstało jednak skutkiem tego znaczne naprężenie stosunków. Fryderyk II. ustanowił koło Kwidzynia — nad Wisłą — komorę celną, w której wybierał wysokie cło od zboża polskiego; Repnin, mszcząc się na Czartoryskich, zaczął popierać ich nieprzyjaciół i patronować im w Petersburgu, gdzie Orłów — obecny faworyt carowej, a niechętny zdawna Stanisławowi Augustowi — działał zgodnie z intencyami prokonsula warszawskiego, Saldern wreszcie — sekretarz Panina, przysłany na początku roku 1766. do Polski — zażądał kategorycznie spełnienia wszystkich żądań imperatorowej. Pomiędzy tem odgrywała najważniejszą rolę sprawa dyssydencka, dająca Rosyi możność wichrzenia na całym prawie obszarze ziem polskich. Położenie innowierców w Polsce pogorszyło się — jak wiadomo — w ostatnich czasach znacznie i dostarczało pozorów tak Rosyi jak i Prusom do mięszania się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. W istocie jednak rzecz miała się inaczej. Liczba dyssydentów nie była znaczna. Podług prawdopodobnych bardzo obliczeń [1]) wynosiła ilość protestantów w Polsce około roku 1791. nie więcej jak 200.000 głów, liczba dyzunitów — czyli prawosławnych — przenosiła zaledwie 500.000. Przed pierwszym rozbiorem były te cyfry zapewne cokolwiek większe, ale wszyscy dyssydenci razem wzięci nie dochodzili wtedy nawet do miliona, co wobec 11,500.000 mieszkańców było cząstką bardzo małą. Zresztą nie mieli oni większego znaczenia w społeczeństwie polskiem. Ludność protestancka, osiadła głównie po miastach wielkopolskich i pruskich, należała przeważnie do klasy rękodzielniczej i kupieckiej i posiadała pewien zasób wykształcenia, przeciwnie dyzunici, składający się z włościan lub drobnej, zagonowej szlachty, stali na bardzo niskim stopniu oświaty. Sam Repnin tak się o nich wyraża: „Ja szukam już od pewnego czasu i umyślnych gońców rozsyłam, żeby mi przysłano (z pomiędzy dyzunitów) kogokolwiek mniej więcej zdatnego, ale dotychczas nie znalazłem nikogo, bo wszyscy oni sami rolę orzą i żadnego nie mają wychowania“. Usunięcie zatem innowierców od sprawowania funkcyj poselskich i urzędów publicznych — jakkolwiek niesłuszne — mogło dotykać tylko nielicznych rodzin szlacheckich. Masa dyssydentów nie brała w życiu publicznem udziału i pokrzywdzoną wcale się nie czuła. Dla niej wystarczała wolność wyznania, czemu zresztą nikt tak bardzo nie przeszkadzał. Pomimo tego jednak polityka pruska i rosyjska widziała w dyssydentach polskich dogodne narzędzie do zamięszania i skłócenia Rzeczypospolitej, a Fryderyk II. i Katarzyna upatrywali nadto w podniesieniu tej kwestyi wyborną sposobność do zamanifestowania wobec Europy rzekomej tolerancyi swojej i humanitarnych zasad. Wysłano zatem do Warszawy Konińskiego, biskupa schyzmatyckiego mohilewskiego, który zażądał zwrotu 150 cerkwi, zabranych przez unitów, jeździł z Kozakami po wschodnich prowincyach, ściągał popów z Moskwy, rozwijał agitacyą religijną i przygotowywał grunt dla dal-

[1]) Korzon: „Dzieje wewnętrzne“, t. I, str. 174 i 180.

szych uroszczeń rosyjskich. Dziwić się zatem nie można, że cała ta działalność — z politycznych podjęta pobudek — wznieciła powszechne w narodzie polskim oburzenie, że poruszyła fanatyzm religijny i przeniosła nienawiść ku Moskwie i Prusom także na dyssydentów, uciekających się pod opiekę obcych mocarstw. Więc kiedy Repnin podczas sejmu koronacyjnego — w myśl instrukcyj otrzymanych z Petersburga — domagał się u króla i Czartoryskich przywrócenia praw odjętych dyssydentom, a prymas ogólnikowo wspomniał o tem w izbie, powstała taka burza pomiędzy posłami, że o żadnych ustępstwach w tym kierunku nie mogło być mowy. Tem postępowaniem sejmu czuła się mocno dotkniętą Katarzyna i wkrótce przed sejmem roku 1766. otrzymał Repnin z Petersburga nowe instrukcye w sprawie dyssydenckiej tak surowe, że — jak sam się wyrażał — włosy mu na głowie powstawały. Obawy jego były rzeczywiście uzasadnione, bo wskutek gwałtownej opozycyi biskupa krakowskiego Sołtyka i wileńskiego Massalskiego, tak w izbie sejmowej jak i u ogółu podniosło się gwałtowne przeciw dyssydentom oburzenie. Nieszczęściem dla Polski wchodziła cała ta drażliwa sprawa na porządek dzienny w chwili najkrytyczniejszej, kiedy król — działając zupełnie w duchu reformy, rozpoczętej na sejmach roku 1764. — wniósł projekt o porządku traktowania skarbowych materyj na sejmach, tak zręcznie ułożony, że w razie jego przyjęcia liberum veto byłoby faktycznie zniesione. Projekt ten spotkał się w sejmie z zaciętą opozycyą. Nadaremnie przedstawiał zacny kanclerz Zamoyski w wymownych słowach propozycye królewskie i dowodził, jak zbawiennie wpłynęły ustawy z roku 1764. na uporządkowanie finansów państwa, napróżno wykazywano w sprawozdaniu rządowem, że dochody podniosły się do przeszło 16,000.000, a w skarbie pozostała zwyżka około 4,000.000 złotych polskich wynosząca, zdarzenie w dziejach skarbowości polskiej niesłychane, wszystkie te argumenta nie zdołały ani przekonać ani zmiękczyć opozycyi. Zaślepieni w swoim uporze, powodowani jedynie nienawiścią ku Stanisławowi Augustowi, którego polityka w tym wypadku była zupełnie zgodna z dobrem kraju, posunęli zwolennicy dawnej anarchii zapamiętałość swoją do tego stopnia, że nie wahali się Repninowi, który — po śmierci starego Kajzerlinga — sam polityką rosyjską w Warszawie kierował, tłumaczyć doniosłość ustaw z roku 1764. i przedstawiać je jako zamach na wolność narodu. Przestraszony tem ambasador zażądał wyjaśnienia uchwał sejmowych z roku 1764. i zgodnie z posłem pruskim złożył królowi deklaracyą, w której oba rządy domagały się, aby sejm obecny osobną ustawą obwarował liberum veto. Równocześnie niemal obaj pomienieni posłowie wnieśli na uroczystem posłuchaniu w izbie sejmowej drugą deklaracyą dworów swoich na korzyść dyssydentów. Położenie stało się krytycznem; jedyną drogą wyjścia było naturalnie zadośćuczynienie w kwestyi dyssydenckiej.

Wprawdzie ubliżało to wielce honorowi narodu, że musiał ustępować pod naciskiem obcej interwencyi, oburzenie na dyssydentów było usprawiedliwione tem, że uciekali się oni pod opiekę cudzoziemców, zamiast w sposób właściwy żądania swoje sejmującym stanom przedłożyć, z drugiej strony jednak należało uwzględnić położenie polityczne i — nadając dyssydentom równo-

uprawnienie — ratować ustawy z roku 1764. Można bowiem przypuścić, że wrazie uwzględnienia jednej deklaracyi tak Prusy jak i Moskwa w kwestyi politycznej zgodziłyby się były na pewne — jeżeli nie całkowite — ustępstwa. Równouprawnienie dyssydentów zaś, usprawiedliwione zupełnie ze stanowiska ogólno ludzkiego, nie byłoby naraziło Rzeczypospolitej na żadne niebezpieczeństwa, gdyż innowiercy tak pod względem ilości jak i wykształcenia swego nie mogli wywierać wpływu wielkiego na sprawy publiczne, a nawet trudno przypuścić, aby wobec usposobienia, panującego w kraju, zdołali uzyskać jakąkolwiek reprezentacyą w izbie sejmowej. Pomimo tego wszystkiego sejm z r. 1766. nie stanął na wysokości swego zadania, lecz — idąc jedynie za głosem źle zrozumianej gorliwości religijnej — oparł się ustępstwom na rzecz innowierców i poprzestał na nic nieznaczącej w tym względzie rezolucyi, oddającej sprawę dyssydencką w ręce biskupów; w kwestyi politycznej natomiast znalazł w łonie swojem nikczemnika, posła Wielhorskiego, który bez zarumienienia się uczynił wniosek w duchu żądań prusko-rosyjskich, o obwarowanie ustawą wolnego głosu. Zniesienie konfederacyi, zawiązanej w roku 1764., uwieńczyło ostatecznie to dzieło przemocy i podłości, a ambasadorowie — przemawiający niedawno jeszcze z takim zapałem w obronie dyssydentów — umilkli teraz zupełnie i zadowolnili się wspomnianą wyżej obietnicą, która położenia innowierców w niczem niezmieniła i sejmu właściwie nie obowiązywała. Za cenę tego marnego i chwilowego tylko ustępstwa, zgodzono się na obalenie całej dotychczasowej reformacyjnej pracy Czartoryskich i zniweczono najlepsze chęci króla, który w tym wypadku okazał pochwały godną stałość umysłu i niepospolitą zręczność dyplomatyczną. Nie dosyć jednak było na tej jednej klęsce, bo zaczęły się sypać wnet nowe, jak z rogu obfitości. Repnin, rozdrażniony uporem sejmu w jednej, a ośmielony powolnością jego w drugiej sprawie, licząc przytem na zaślepienie opozycyi, która położenia ojczyzny nie rozumiała wcale i pocieszała się przekonaniem, że dla utrzymania równowagi politycznej w Europie mocarstwa nie pozwolą na uszczuplenie granic Rzeczypospolitej, posuwał się do coraz to nowych a sroższych gwałtów. Już przed sejmem roku 1766. rozkazał on generałowi Sołtykowi, aby korpus swój rozlokował w dobrach biskupów krakowskiego i wileńskiego, następnie — widząc opozycyą sejmu w sprawie religijnej — zaczął się krzątać około zawiązywania konfederacyj dyssydenckich, wkońcu zaś zażądał przysłania posiłków, bo siły, któremi rozporządzał, wydawały mu się za słabe. Wszystkie te zabiegi Repnina były tem niebezpieczniejsze dla Polski, gdy nawet w stronnictwie rządowem panowało w tej chwili zupełne prawie rozbicie. Starzy Czartoryscy bowiem, którzy zgodzili się niechętnie na wybór Stanisława Augusta w tem jedynie przekonaniu, że młody król całkowicie zasadami ich polityki kierować się będzie, spostrzegli niebawnie wielką zmianę w jego postępowaniu. Stanisław August usiłował widocznie wyemancypować się z pod wpływu swych wujów, otoczył się młodymi doradcami, pomiędzy którymi pierwszą odgrywali rolę bracia królewscy i Ksawery Branicki, i zaczął działać na własną rękę — a podług zdania Czartoryskich — zbyt porywczo i nierozważnie. Powstałe stąd nieporozumienia zaostrzył jeszcze bardziej sejm z roku 1766., gdzie Czar-

toryscy — widząc groźne niebezpieczeństwo ze strony Prus i Rosyi — doradzali królowi, aby cofnął swój wniosek o uchylenie liberi veto, a wkońcu sami zażądali rozwiązania konfederacyi, która była ich dziełem. Repnin, poinformowany dokładnie o tych stosunkach, budował na nich poczęści swoje plany i przypuszczał trafnie, że Stanisław August — poróżniony z Czartoryskimi, a znienawidzony przez opozycyą — żądaniom rosyjskim będzie musiał wkońcu uledz. W tym celu zawiązywał z wielkim trudem i kosztem konfederacye innowierców w Toruniu i Słucku, gdy jednak przekonał się dowodnie o słabości dyssydentów, postanowił innego użyć środka, a mianowicie porozumieć się z opozycyą. Za narzędzie do tego hazardownego kroku i do wykonania prawdziwie szatańskiego pomysłu użył on ks. Gabryela Podoskiego, referendarza koronnego, późniejszego prymasa, o którym Saldern pisał następnie: „Nie masz dlań ani prawa, ani wiary, ani kredytu; lud go nie szanuje, gardzą nim możni, nienawidzą go słabi“.

Podoski, stronnik dynastyi saskiej, przewrotny ale przytem zręczny, zgodził się chętnie na projekt Repnina w tem także przekonaniu, że uda mu się strącić z tronu Stanisława Augusta. Ambasador rosyjski wiedział wprawdzie, że carowa nigdy na to się nie zgodzi, ale mimoto półsłówkami utwierdzał Podoskiego w raz powziętem mniemaniu, a półkownicy rosyjscy Karr i Igelström głośno odzywali się na zgromadzeniach szlacheckich o detronizacyi Stanisława Augusta. W ten sposób udało się Podoskiemu pozyskać wszystkich nieprzyjaciół króla i „familii“, a nawet księcia Karola Radziwiłła, który — prześladowany niebacznie przez Czartoryskich — rzucił się bez zastanowienia w ramiona Moskwy, sądząc, że przez to zbawi ojczyznę. Stała się więc rzecz niesłychana. Książe „panie kochanku“ — do niedawna wróg Rosyi, popierającej Stanisława Augusta — napisał w dniu 28. lutego 1767. roku z Drezna list do Repnina, w którym obiecywał pomiędzy innemi, że „zawsze będzie się trzymał stronnictwa rosyjskiego, że rozkazy, jakie się podoba dworowi rosyjskiemu przesłać mu, będą zawsze przyjmowane z uszanowaniem i posłuszeństwem, że będzie je wykonywał bez najmniejszego uporu jawnego lub ubocznego“, a nadto przyrzekał popierać sprawy dyssydentów i prosił o przysłanie urzędnika rosyjskiego, któryby go objaśniał o zamiarach i życzeniach imperatorowej. Po tym haniebnym akcie, który przypieczętował sojusz opozycyi z Repninem, przyszła do skutku konfederacya radomska, zawiązana pod opieką moskiewskich bagnetów. Ściągali do niej szlachtę łatwowierną i Potoccy, mianowicie reprezentant ich główny Franciszek Salezy i marszałek nadworny Jerzy Mniszech, podskarbi Teodor Wessel, kuchmistrz wielki litewski Michał Wielhorski i strażnik litewski Pociej, nie był obcym całej tej niecnej robocie także Adam Krasiński, biskup kamieniecki, słowem... przeważnie stronnicy sascy, wyprowadzeni w pole przez Repnina.

Kiedy jednak członkowie nieszczęsnej konfederacyi zgromadzili się w Radomiu i gdy im przedłożono akt konfederacki, napisany z polecenia Repnina, wtedy dopiero spostrzegli, że Rosya nie myśli wcale o detronizacyi króla, który wtedy już zupełnie zdał się na łaskę carowej, i że oni sami stali się tylko powolnem narzędziem przewrotnej polityki rosyjskiej. Otoczeni atoli woj-

skiem moskiewskiem, nie znaleźli w sobie tyle odwagi, aby narazić życie i mienie w obronie dobrej sprawy, i — podpisawszy akt konfederacyi — wysłali z podziękowaniem deputacyą do Katarzyny, prosząc „o wielowładną jej gwarancyą dla trwałości szczęścia i wolności narodu“.

Tu jednak miał być kres upodlenia i karygodnej lekkomyślności, i jeżeli w dalszym toku historyi naszej zbyt często niestety napotykamy jeszcze podłe charaktery i podlejsze od charakterów czyny, to równocześnie zaczyna budzić się w duszy narodu poczucie godności własnej i to wezbranie gorącego patryotyzmu, które daje otuchę lepszej przyszłości. Pierwsze objawy tego rodzaju spotykamy na najbliższym sejmie warszawskim.

Repnin przygotowywał wszystko do walnego zamachu na niepodległość Polski. W sfałszowanej — jak twierdził biskup Sołtyk — czy też wymuszonej gwałtem instrukcyi posłów radomskich, jadących do Petersburga, umieszczono ustęp: „Prosimy, aby na sejmie z posłem Waszej imperatorskiej Mości decydowano formę rządu“. Opierając się na tem, zażądał Repnin zalimitowania sejmu i wybrania delegacyi, któraby z nim układała się o przymierze z Rosyą i o gwarancyę praw kardynalnych Rzeczypospolitej i dyssydentów. Akt ten, podający właściwie Polskę w zupełną od Moskwy zawisłość, miał następnie ratyfikować sejm, a że był zawiązany w konfederacyę i skutkiem tego rozstrzygał wszystko większością głosów, a nie jednomyślnie, więc ambasador miał wszelką nadzieję, że użyciem gwałtownych środków, groźbą, namową i przekupstwem celu swego dopnie. Tak sprawa, religijna początkowo, przybrała charakter polityczny. Chodziło już nie o równouprawnienie dyssydentów, ale o wolność i niezawisłość narodu i Rzeczypospolitej. Zrozumieli to zacniejsi posłowie i dołożyli wszelkich starań, aby zamiary Repnina zniweczyć. Pierwszy zaprotestował przeciw limicie sejmu Kożuchowski i został uwięziony. Nie odstraszyło to innych. Pomimo gwałtów ambasadora, pomimo sekwestru nałożonego na oponentów, pomimo szczęku oręża, jakim żołnierz rosyjski napełniał Warszawę, pomimo jawnego niemal przekupstwa, znaleźli się patryoci, którzy — narażając życie i mienie swoje — ratowali honor sponiewieranego narodu. Na czele tej garstki zacnych obywateli stali biskupi: lwowski Sierakowski, chełmski Turski, krakowski Sołtyk i kijowski Załuski, a obok nich starosta ziołowski Pac i starosta doliński Seweryn Rzewuski. Wtedy Repnin, ośmielony instrukcyami z Petersburga, dopuścił się niesłychanego w historyi gwałtu i kazał dnia 13. października 1767. roku porwać i wywieźć do Kaługi trzech senatorów: Sołtyka, Załuskiego, hetmana Rzewuskiego i syna jego Seweryna. Brutalny ten krok wywołał wprawdzie powszechne przerażenie i wielkie wzburzenie umysłów, ale sejm zdobył się tylko na wysłanie deputacyi do ambasadora z prośbą o uwolnienie aresztowanych. Ambasador odmówił, a pomiędzy senatorami znalazł się jeden, Andrzej Zamoyski, co złożył pieczęć kanclerską w ręce królewskie. Stanisław August nie wahał się oddać ją Młodziejowskiemu, który pobierał 3000 czerwonych złotych pensyi z Petersburga, później 1000 od Wołkońskiego i za te srebrniki judaszowe zdradzał Rosyi wszystko, co na tajnych konferencyach u króla senatorowie Rzeczypospolitej uchwalali.

Po porwaniu senatorów ustała prędko opozycya, sejm zgodził się na ustępstwa dla dyssydentów i wybrał z łona swego delegacyę, która miała — podług życzeń Repnina — ułożyć traktat z Rosyą i narodowi polskiemu nową nadać konstytucyę. Przewodniczącym delegacyi został Gabryel Podoski, wyniesiony przedtem za swoje zasługi przez protekcyę rosyjską na godność prymasa Rzeczypospolitej.

W takim składzie rzeczy postępowały prace delegacyi zupełnie po myśli Repnina; dyssydentom przyznano wszystkie prawa, zniesiono dawne przeciw innowiercom edykta; pod względem politycznym postanowiono, że forma rządów republikańskich w Polsce nigdy zmienioną być nie może, zaprowadzono na wieczne czasy liberum veto i wolną elekcyą i całą ustawę poddano pod gwarancyą Rosyi. Nowy, lepszy cokolwiek kierunek objawił się w konstytucyach, dotyczących mieszczaństwa i stanu włościańskiego. W miastach powściągnięto bowiem samowolę starostów, podniesiono sądownictwo miejskie, a włościan wyjęto w sprawach karnych z pod władzy dziedziców, postanawiając zarazem za rozmyślne zabicie poddanego podobne kary, jak za inną zbrodnię tego rodzaju. Ale w chwili, kiedy sejm, zwołany na dzień 1. lutego 1768. roku, w niemem przerażeniu przyjmował ten akt haniebny, odezwały się głośne przeciw niecnej robocie protesta. Z mocarstw europejskich protestował jeden tylko nuncyusz Durini, w Grodnie zaniósł manifest do grodu imieniem Sołtyka dworzanin jego Żukowski, zaprotestował również Litawor Chreptowicz, najgłośniej i najśmielej wreszcie, bo wobec Repnina, w pełnej izbie sejmowej, młody poseł Józef Wybicki.

Konfederacya barska. — Pierwszy rozbiór Polski. Protesty rozległy się donośnem echem po całym kraju i wskutek panującego powszechnie rozdrażnienia wywołały ruch elementarny, nieprzygotowany, nieobmyślany należycie, objaw obrażonego ducha narodowego, ostatni poryw szlacheckiej Polski. W cztery tygodnie po rozpoczęciu warszawskiego sejmu (29. lutego 1768. r.) zawiązała się w Barze — małej podówczas nadgranicznej mieścinie — konfederacya, stąd barską zwana. Okoliczności, towarzyszące temu głośnemu później i doniosłemu w dziejach polskich zdarzeniu, nie zdawały się rokować wielkich na przyszłość nadziei. Wbrew utartym dotąd zwyczajom nie wzięły w przedsięwzięciu tak wielkiem i hazardownem udziału potężne rody możnowładcze. U kolebki barskiego ruchu brakło Potockich, Radziwiłłów, Sapiehów, Rzewuskich lub Czartoryskich, naczelne kierownictwo i inicyatywa spoczywały w rękach szlachcica miernej fortuny, ale gorącego serca. Był nim Józef na Pułaziu Pułaski, starosta warecki, wiekiem wprawdzie pochylony, bo liczący wtedy lat 60, pod względem śmiałości jednak i energii młodzieńczym ożywiony duchem. Jako jeden z konsyliarzy radomskiej konfederacyi, miał on już ostre starcie z Repninem, a następnie — zabrawszy trzech swoich synów, Kazimierza, Franciszka i Antoniego, w towarzystwie Michała Krasińskiego, podkomorzego różańskiego — podążył do Lwowa, skąd po naradzie z arcybiskupem Sierakowskim, starostą kaniowskim Potockim i kasztelanem bracławskim Czarnockim ruszył na Podole, zgromadził kilkuset szlachty w Barze i ogłosił akt konfederacki. Zgromadzeni wiązali się podobnie jak radomscy konfederaci,

przy wierze, wolności i starożytnych prawach, ale w celu przywrócenia dawnego religijnego i politycznego stanu Rzeczypospolitej. Wyliczenie gwałtów moskiewskich, przytoczonych w akcie konfederackim, nadawało związkowi cechy ruchu, wymierzonego przeciw obcej przemocy i narzuconej co tylko gwarancyi. Że zaś powodem nieszczęść, jakie spadły na Rzeczpospolitę, byli — przynajmniej podług powszechnego mniemania — innowiercy, więc konfederacya barska stanęła silnie na gruncie katolickim, pod hasłem „Jezus, Marya“, pod sztandarem, ozdobionym znakiem krzyża św. z jednej, a wizerunkiem Matki Boskiej z drugiej strony, a każdy jej uczestnik obowiązywał się „od Boga zaczynać i przenajświętszemi Sakramentami kończyć“. Marszałkiem został Michał Krasiński, regimentarzem Pułaski.

Pięknym i wzniosłym zasadom religijnym, które wzniecał i podtrzymywał O. Marek, Karmelita, nieodpowiadały niestety ani siły ani zdolności konfederacyi i jej przywódzców. Idąc za popędem szlachetnych porywów serca i ducha, ożywionego gorącą miłością ojczyzny, przekonani o słuszności sprawy, której życie poświęcić byli gotowi, zapomnieli oni, że powodzenie powstania zawisło nietylko od zapału, lecz i od środków materyalnych, od przygotowania umysłów, od kierownictwa i organizacyi. Nienauczeni świeżym przykładem dzikowskiej konfederacyi, mniemali, że w imię wiary i ojczyzny porwą za sobą masę szlachecką, że wywołają ruch narodowy i religijny zarazem, że zwrócą na Polskę uwagę całej Europy, zastraszą ją wzrostem potęgi rosyjskiej i skłonią dwory interesowane do czynnego wmięszania w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Wobec tego podrzędnem zdawało się pytanie dla nich, czy konfederaci zdołają stawić czoło wojskom regularnym rosyjskim, czy będą mogli rozwinąć tyle sił i zebrać tyle zasobów, aby nieproszonych gości za granice kraju wyrzucić, aby stać się dla mocarstwa — przychylnego ruchowi — sprzymierzeńcem jeżeli nie potężnym, to przynajmniej pożytecznym i na poparcie zasługującym? Zamiast rozważyć te wszystkie okoliczności, zabrano się z gorączkową skwapliwością do rozpoczęcia dzieła, zdając dalszy rozwój wypadków na wolę Opatrzności i łaskę sąsiadów. Dowództwo sił zbrojnych powierzono więc Pułaskiemu, gorącemu patryocie, ale z zawodu prawnikowi, niemającemu pojęcia o sztuce wojskowej, urząd kanclerski również palestrantowi miernemu Kochanowskiemu, a dyplomatyczne zabiegi rozpoczęto od wysłania listu do papieża i od wezwania księcia saskiego Karola, aby jako książe kurlandzki stawił się pod sztandary konfederackie i odzyskał zabrane sobie nieprawnie lenno. Do Wiednia i Drezna pojechał taki dyplomata jak starosta kaniowski, do hana tatarskiego Makowiecki. Zbrojne siły konfederackie znajdowały się w opłakanym stanie. Młody Wybicki, który — uciekając przed prześladowaniem Repnina — po pełnej przygód podróży zajechał wreszcie do Baru, zadrżał, zobaczywszy ten stan rzeczy, ale — mianowany konsyliarzem konfederackim — od pracy się nieuchylił i z właściwem sobie poświęceniem pomagał sprawie świętej, choć nieudolnie pokierowanej.

Pomimo tego wiadomość o zawiązaniu konfederacyi w Barze wywołała w Warszawie u wielu przerażenie. Król zwołał radę senatu, która uchwaliła — wbrew opozycyi kilku członków — wezwać pomocy rosyjskiej przeciw

konfederatom, pierwej jednak wysłać w celu układów Mokronowskiego. Powołany do Warszawy jenerał, wyjechał z początkiem kwietnia do Krystynopola,[1]) a Moskale ograniczyli się tymczasowo do rozciągnięcia kordonu, oddzielającego ognisko ruchu od wnętrza Rzeczypospolitej. Kiedy jednakże z Petersburga stanowczy nadszedł rozkaz, aby konfederacyą czemprędzej stłumić, a poselstwo Mokronowskiego się niepowiodło, ruszył Apraksyn na zdobycie Baru, a Kreczetników pod Berdyczów. Barska forteczka, będąca właściwie dworem szlacheckim,[2]) niezgrabnie okopanym, poddała się za pierwszym szturmem, Berdyczowa bronił dzielnie Kazimierz Pułaski przez trzy tygodnie przeciw połączonym siłom Kreczetnikowa i Podgoryczaniego, musiał jednak wkońcu poddać się i podpisać rewers, że przeciw Rosyi walczyć nie będzie. Przy wzięciu Baru dostał się do niewoli ksiądz Marek, odesłany jako jeniec „sekretny“ do obozu Kreczetnikowa,[3]) a stamtąd do Kijowa. Gorący patryota, kapłan natchniony, prorok i cudotwórca — jak współcześni twierdzili — odegrał ks. Jandałowicz — bo takie było nazwisko jego[4]) — niepospolitą rolę w początkach konfederacyi, odznaczył się wielce przy obronie Baru, powróciwszy z niewoli rosyjskiej był przeorem w Barze, następnie od roku 1783. w Annopolu. Konfederacya zawdzięczała mu ten kierunek mistyczno-religijny, który nadawał ruchowi cechę rycerską, średniowieczną, dokąd jej niezwichnęły wewnętrzne rozterki i prywata. Równocześnie z tą podwójną wyprawą Kreczetnikowa i Apraksyna, któremu towarzyszył Ksawery Branicki z ułanami królewskimi, wzniecił rząd rosyjski straszny bunt hajdamaków na Ukrainie. Fanatyczna propaganda czerńców dyzunickich z okolic Kijowa, manifest carowej Katarzyny — wzywający ludność prawosławną do rzezi — i dawne wspomnienia z czasów Chmielnickiego, Paleja i Barabaszeńki, poruszyły łatwo umysły skłonne do rabunku i krwi rozlewu. Pierwszą bandę sformował Maksym Żeleźniak z moskiewskich Zaporożców, a że cała Śmilańszczyzna była już podburzona staraniem Melchizedecha Jaworskiego, ihumena motrenińskiego monasteru, więc płomień buntu ogarnął łatwo pograniczne powiaty, wyrżnięto Śmiłę, Lisiankę i Żwinogródek, wzięto wreszcie wskutek zdrady setnika Gonty Humań, gdzie całą ludność bez różnicy płci, wieku i wyznania wymordowano straszliwie.

Wtedy dopiero ruszyły wojska rosyjskie z rozkazu carowej na stłumienie buntu. Jeden pułk karabinierów i prosty podstęp pułkownika Gurjewa i pomocnika jego Gołogrzywego wystarczył, aby całą rzeszę pijanych hajdamaków pokuć w dyby przygotowane i oddać w ręce sprawiedliwości. Słuszna w tym wypadku pomsta dotknęła jednak tylko poddanych polskich. Gontę stracono w srogi sposób, Żeleźniak wyszedł cało. Uspokojenia kraju dokonał oboźny koronny Stępkowski, poznosiwszy do reszty bandy hajdamackie i pokarawszy winnych.

---

[1]) List Repnina. Radom i Bar, str. 199.

[2]) Pamiętniki Wybickiego.

[3]) Pamiętniki Kreczetnikowa (Radom i Bar), str. 152.

[4]) Smoleński Władysław: „Ksiądz Marek, cudotwórca i prorok konfederacyi barskiej“. Ateneum z roku 1886. T. II.

Zdobycie Baru i Berdyczowa, jakoteż wyrzucenie Joachima Potockiego, który do konfederacyi przystąpił, z Podhajec, zdawało się całemu ruchowi nagły gotować koniec. Bunt hajdamacki przeszkodził rozszerzeniu się powstania w województwach południowych, dowódzcy konfederacyi szukali przytułku na Wołoszczyźnie, żołnierze — głodem przymierający — uciekali z powrotem do kraju, pomiędzy starszyzną zaczęły się — jak zwyczajnie w chwilach niepowodzenia — rozterki, Krasiński zarzucał Pułaskiemu, że zbyt nagle i niebacznie wzniecił ruch wojenny, sekretarz konfederacki Kochanowski umarł, wszystkich cisnęła nędza straszna, skarb publiczny wynosił 40 czerwonych złotych. Jedni Potoccy, Joachim i Maryan, podtrzymywali ducha cokolwiek, powagą swoją i pieniądzmi pozyskali do pewnego stopnia przychylność chocimskiego baszy, wysłano Wybickiego do Cieszyna, gdzie przebywał biskup kamieniecki Adam Krasiński, chroniąc się przed prześladowaniem. Pieszo, przebrany za wolarza, z narażeniem życia i zdrowia, o głodzie i chłodzie, przedarł się zacny ten młodzieniec na Szląsk i uwiadomił biskupa o rozpaczliwem położeniu konfederatów. Krasiński — jakkolwiek także winę niepowodzenia przypisywał gorączce Pułaskiego — ruszył natychmiast w przebraniu za granicę do Wiednia i Paryża, aby mocarstwa — Rosyi nieprzychylne — poruszyć.

Tymczasem w kraju przykład barski wywołał cały szereg nowych związków: w Wielkopolsce zawiązał konfederacyą Rydzyński, w Sieradzkiem Bierzyński, w ziemi gostyńskiej Michał Dzierżanowski, na Litwie wystąpili Kozieł, Medeksza, Szymon Kossakowski, najsilniejszy ruch jednak wszczął się w ziemi krakowskiej pod laską Michała Czarnockiego. Konfederaci opanowali Kraków, powołali pod broń mieszczan i chłopów, siły ich wzrosły do 6000 ludzi. Nieszczęściem wszystkie te porywy odosobnione, działające bez związku i porozumienia, kierowane przez szlachtę poczciwą, patryotyczną, ale niemającą wyobrażenia o sztuce wojennej, nie były w stanie dokonać wielkiego dzieła oswobodzenia kraju od obcej przemocy. Regularne oddziały wojsk rosyjskich rozpędzały z łatwością niewprawne zastępy konfederatów, słynny z okrucieństwa pułkownik Drewicz rozbił Rydzyńskiego pod Freinem na Szląsku, Apraksyn — pomimo dzielnej obrony — zdobył Kraków i znaczną część załogi wraz z dowódzcami popędził w Sybir.

Wśród tego powiodło się nareszcie usiłowaniom posła francuskiego w Konstantynopolu hr. Vergennes skłonić Turków do wypowiedzenia wojny Rosyi. Stało się to, czego najbardziej obawiała się Katarzyna i jej sprzymierzeniec pruski, sprawa polska wchodziła na porządek dzienny polityki europejskiej, mogła wywołać wielkie zamięszanie i powszechną wojnę, konfederaci — gnębieni i lekceważeni — stawali się potęgą, która rzeczywiście Polskę z niewoli podźwignąć mogła. Sprzyjała tym zamiarom konstelacya polityczna; gabinet wiedeński, z obawą i niechęcią spoglądający na przymierze rosyjsko-pruskie, pragnął ograniczyć wpływ moskiewski w Polsce, Kaunitz pisał w styczniu roku 1769. do ambasadora austryackiego w Berlinie, że carowa musi znaczne poczynić ustępstwa, zadowolnić się wolnością religijną dyssydentów,

unieważnić ustawy z roku 1768. i zrzec się gwarancyi.[1]) Sam Fryderyk II., który na wypadek wojny tureckiej był obowiązany dostarczyć Rosyi posiłków, albo wypłacić znaczną sumę pieniędzy, podzielał do pewnego stopnia zapatrywania Kaunitza na sprawę polską, doradzał w Petersburgu umiarkowanie i drżał na myśl o nowej wojnie europejskiej. W Warszawie także oceniano wypadki dość trafnie. Czartoryscy i król podnieśli śmielej głowy i zaczęli się wyzwalać z pod brutalnej opieki Repnina. Na żądanie jego, aby przeciw barskiej robocie utworzyć rekonfederacyę, odpowiedziano odmownie, domagając się naprzód zniesienia gwarancyi. Zdawało się, że jeszcze chwila, a stronnictwa narodowe — złączone razem i poparte przez mocarstwa niechętne Rosyi — uwolnią Rzeczpospolitę i od gwarancyi i od przemocy moskiewskiej. Warunkiem powodzenia w tym względzie było skupienie wszystkich sił narodowych i zorganizowanie konfederacyi. Nie stało się ani jedno ani drugie. W głównym obozie konfederackim w Dańkowcach (nad granicą turecką) panowały dalej rozterki i spory, których ofiarą wreszcie padł Józef Pułaski, osadzony w więzieniu chocimskiem, gdzie życie zakończył; w kraju wystąpiło nagle na widownię stronnictwo saskie, dążące do detronizacyi Stanisława Augusta. Naczelnikiem tego ruchu był nikczemny prymas Podoski w spółce z podskarbim Teodorem Wesslem, Jerzym Mniszchem i wojewodą płockim Mostowskim. Memoryał, ułożony przez prymasa i wysłany do Petersburga, miał na celu przekonać carowę, że tylko dynastya saska na tronie polskim dogodzić może interesom polityki rosyjskiej. Mimo tych cokolwiek uspokajających objawów uważała Katarzyna za stosowne zmienić dotychczasowy system polityki swojej w Polsce, gwałtownego Repnina zastąpiono więc łagodnym księciem Wołkońskim, dodając mu do boku generała Wejmarna, jako naczelnego wodza sił rosyjskich. Równocześnie z tą zmianą rozpoczęła się wojna turecka. Krym Geraj, han tatarski, znany z nienawiści swojej do Moskwy, przeszedł w styczniu roku 1769. na czele wielkiego wojska Dniestr i — rozpostarłszy się bez oporu pomiędzy Bohem, Dnieprem i Donem — uprowadził 40.000 jassyru. Śmierć jego, wskutek zadanej przez lekarza greckiego trucizny, ubezwładniła energię turecką. Wielki wezyr, Mehemet Emin, nie spieszył się wcale, cały miesiąc (kwiecień) maszerował z Konstantynopola nad Dunaj, przerzucił następnie Moskali — atakujących Chocim — za Dniestr, ale na tem drobnem powodzeniu poprzestał i cofnął się do Benderu, podczas gdy Kazimierz i Franciszek Pułaski — po bohaterskiej obronie okopów św. Trójcy i Żwańca, niepoparci przez Turków — musieli ratować się ucieczką na Ruś czerwoną i do Chocima. Wyprawa turecka nie ziściła w ten sposób wprawdzie wygórowanych nadziei, ale rozbudziła i spotęgowała ruch konfederacki w kraju. Co chwila pojawiały się w województwach środkowych i zachodnich nowe związki, lecz i nowe do niezgody i waśni pobudki. Naprożno usiłowali marszałkowie konfederaccy, bawiący w Muszynie (na granicy węgierskiej), zaprowadzić ład jakiś i porządek wśród niesfornej rzeszy ambitnych partyzantów, zazdrość wzajemna i prywata udaremniały wszelkie zabiegi tego rodzaju i sprowadzały jedną ka-

[1]) Beer Adolf: „Die erste Theilung Polens“. Wien 1873. T. I, str. 293.

tastrofę po drugiej. Józef Bierzyński ogłosił się generalnym regimentarzem, Ignacy Malczewski utworzył osobną izbę konsyliarską w Poznaniu, najdzielniejsi ze wszystkich — Pułascy — odsądzeni niemal od czci i wiary, musieli działać na własną rękę, bez żadnego zresztą poparcia. Nieuchronnem następstwem tego działania bez planu były coraz dotkliwsze klęski. Pułkownik Drewicz, najpospolitszy stupajka, stał się postrachem konfederatów, rozbił pod Radomiem Cieleckiego, Malczewskiego pod Wilczynem; nielepszego losu doznali Pułascy, opuszczeni z zazdrości przez Bierzyńskiego. Franciszek zginął pod Łomazami, Kazimierza pobito pod Włodawą, Bierzyński poniósł klęskę koło Białegostoka.

Z boleścią spoglądał na tę niezgodę Adam Krasiński i jego energicznym staraniom powiodło się nareszcie doprowadzić do skutku zjazd w Białej, pogranicznem miasteczku, należącym do Sułkowskich i na tej generalności — jak zgromadzenie nazywano — dokonać organizacyi związku. Naczelne kierownictwo konfederacyi powierzono Michałowi Krasińskiemu i Joachimowi Potockiemu, marszałkowstwo litewskie Pacowi, a dworzanin radziwiłłowski Ignacy Bohusz został sekretarzem. Samozwańczych i niepewnych marszałków — Bierzyńskiego i Dzierżanowskiego — złożono z urzędów, pierwszego zastąpił Szaniawski, drugiego Józef Zaremba. Równocześnie wysłano posłów do Paryża, Wiednia, Stambuła i Berlina.

Pomyślne — jak się zdawało — zmiany w łonie konfederacyi i nadzieje, przywiązywane do wojny tureckiej, wpłynęły na usposobienie Czartoryskich i Stanisława Augusta. Wołkoński zastał już zupełną zmianę stosunków w Warszawie; król — za radą wujów i ekskanclerza Zamoyskiego — nosił się z myślą utworzenia konfederacyi przeciw narzuconym narodowi ustawom z r. 1768.; rada senatu, zwołana na dzień 30. września z powodu wypowiedzenia wojny ze strony Turcyi Stanisławowi Augustowi, jako zależnemu od Rosyi, postanowiła wysłać posłów do mocarstw gwarantujących traktat karłowicki, a w Petersburgu zażądać uwolnienia uwięzionych senatorów, odwołania wojsk rosyjskich i wynagrodzenia szkód wyrządzonych. Wszelkie remonstracye i groźby Wołkońskiego okazały się bezskuteczne. Widocznem było, że król i „familia“ szukają drogi do porozumienia z Barszczanami, że zanosi się na połączenie wszystkich stronnictw przeciw obcej pomocy.

Wtedy zwrócił się ambasador do Podoskiego i partyzantów saskich, aby w odmiennych cokolwiek warunkach powtórzyć robotę radomską i... niezawiódł się w swoich rachubach. Kiedy król i Czartoryscy przez Joachima Chreptowicza i Mokronowskiego układali się z Choiseulem w Paryżu o przystąpienie swoje do konfederacyi, a Wielhorski — poseł Barszczan — u dworu francuskiego w traktaty te wchodził, intrygował Wessel pomiędzy członkami generalności, przeniesionej już do Preszowa na Węgrzech, w duchu stronnictwa saskiego i parł wszelkiemi środkami do detronizacyi Stanisława Augusta. Chwila do tego niepolitycznego i szkodliwego przedsięwzięcia była jak najgorzej obrana. Ani Wessel ani dwór drezdeński nie wiedzieli, że Fryderyk II. dnia 12. października 1769. roku przydłużył przymierze z Rosyą na dalszych lat osiem i że zobowiązywał się tym nowym traktatem przeszkadzać kandyda-

turze saskiej w Polsce.[1]) Nie myślała zatem ani Katarzyna ani król pruski o detronizacyi Stanisława Augusta, cała polityka europejska obracała się około wojny rosyjsko-tureckiej, Fryderyk II. z ciężkiem sercem wypłacał subsydya (480.000 talarów) carowej, Austrya spoglądała z niechęcią i obawą na zwycięstwa rosyjskie, stawiała korpus obserwacyjny na granicy Wołoszczyzny, a Kaunitz opracowywał właśnie dla pozyskania Prus swój projekt podziału Polski, ofiarując Fryderykowi II. Kurlandyą i część Prus królewskich w zamian za Szląsk, który miał powrócić pod berło Habsburgów.[2]) Coraz jaśniej występował zatem plan uspokojenia Europy kosztem Polski. Wprawdzie Józef II., od roku 1765. powołany do udziału w rządach przez matkę, sprzeciwił się narazie zamiarom Kaunitza, jako zbyt ryzykownym i trudnym do wykonania, ale mimoto — idąc albo za popędem własnego usposobienia albo też za zdaniem kanclerza, który pragnął koniecznie zbliżyć się do Prus — pojechał do Nissy (na końcu sierpnia 1769. roku), aby się widzieć z Fryderykiem II.

Ani tu jednak, ani na drugim zjeździe monarchów w Najsztadzie na Morawii — gdzie już i Kaunitz był obecnym — nie przyszło do porozumienia pomiędzy Austryą a Prusami. Fryderyk II., mając w kieszeni nowy traktat z Rosyą, nie chciał się widocznie wiązać z mglistą i niejasną polityką austryackiego kanclerza, chociaż zwycięstwa rosyjskie wielką napełniały go obawą i ukończenia wojny tureckiej pragnął gorąco. Sprawie polskiej przypisywał podrzędne znaczenie, mniemając, że da ona się bardzo łatwo uregulować i uspokoić. Zasada ta, wypowiedziana w Najsztadzie, daje wiele do myślenia. Że o Polsce mówiono i tu i w Nissie, to nie ulega wątpliwości i na to są autentyczne dowody. Treści rozmowy nie znamy dokładnie, ale zbieg faktów każe się domyślać, że poruszono tam — może nawiasowo tylko — projekt rozbioru. Pierwszy podniósł ten plan Fryderyk II., posyłając do Petersburga w lutym roku 1769. gotową już w tej mierze propozycyę, opracowaną rzekomo przez znanego dyplomatę pruskiego, hr. Lynara. Podług tego miała Austrya za pomoc, udzieloną Rosyi przeciw Turkom, do czego zresztą nie przyszło, otrzymać Lwów z okolicą, Prusy zabrać Prusy królewskie, Warmią i dostać zwierzchnictwo nad Gdańskiem, podczas gdy Rosya mogła dowolnie sama udział swój w tym zaborze oznaczyć. Dziwnem jest, że niezawiśle od tego projektu wymyślił w kilka miesięcy później Kaunitz ową kompensatę dla Prus w zamian za prowincyą szląską, jeszcze dziwniejszem, że równocześnie prawie z wysłaniem propozycyj pruskich do Petersburga, rada wojenna wiedeńska zażądała[3]) zajęcia Spiża, co też bezzwłocznie wykonano, a w r. 1770. pomknięto kordon dalej i — już za radą Kaunitza — obsadzono starostwo nowotarskie, czorsztyńskie i saliny w Bochni i Wieliczce.

Wszystko to działo się z obawy przed zbytnim wzrostem potęgi rosyjskiej i pod wrażeniem wojny tureckiej, która w istocie była pełna niespo-

[1]) Beer Adolf: „Die erste Theilung Polens". Wien 1873. T. I, str. 304.
[2]) Beer Adolf: „Die erste Theilung Polens". Wien 1873. T. I, str. 294.
[3]) Beer Adolf: „Die erste Theilung Polens". Wien 1873. T. II, str. 48 (30. stycznia 1769. roku).

dzianek. Po nagłym odwrocie armii tureckiej z Benderu, oddał sułtan — rozgniewany tem — wezyrat i naczelne dowództwo Moldawandżemu baszy, Mehemet Emin przepłacił nieudolność swoją i zdradę zasłużoną karą śmierci. Ale i następca jego nie okazał się dzielniejszym. Przeszedłszy Dniestr i odparłszy Rosyan, przestraszył on się do tego stopnia wezbrania rzeki za plecyma swojej armii, że bez namysłu powrócił pod Chocim, poczem całe wojsko w haniebną poszło rozsypkę. Nazajutrz ośmiu Kozaków, przebywszy Dniestr na łódce, zajęło bez wystrzału opróżnioną z obrońców twierdzę chocimską z 184 działami. Pierwsza ta kampania, gdzie walczył „jednooki z ślepymi“, jak dowcipnie wyraził się Fryderyk II., była tylko zapowiedzią dalszych rosyjskich tryumfów. Ośmielony powodzeniem dwór petersburski wzniecił powstanie Majnotów w Peloponezie, flota rosyjska popłynęła na pomoc Grekom, a jakkolwiek Turcy zgnietli powstanie, to admirał Spirydow zniszczył flotę turecką w bitwie pod Czesme (d. 5. lipca 1770. roku) i omal nie zdobył Konstantynopola. Równie świetnie powodziło się Moskalom na lądzie, Rumiańcow pobił wielkiego wezyra nad rzeką Kagul i dotarł aż do Dunaju. Niespodziewane zwycięstwa rosyjskie zatrwożyły słusznie Austryą i Prusy, a że każde z tych mocarstw pragnęło wojny uniknąć, więc dla zrównoważenia możliwych zdobyczy rosyjskich na nieudolnej Turcyi, postanowiono zabrać przyległe sobie prowincye polskie. Tak kosztem Rzeczypospolitej, przez Rosyę niemal zawojowanej, miały się ubezpieczyć chwilowo przynajmniej Austrya i Prusy przed potęgą, która wzrosła nad miarę wskutek własnej ich obojętności i fałszywej w Polsce polityki. Zamiast uznać ten błąd popełniony, dopomódz Polsce do podźwignięcia się i postawić silną zaporę pomiędzy caratem a zachodnią Europą, sądzili politycy berlińscy i wiedeńscy, że najkorzystniej będzie urwać dla siebie po kawałku ze zdobyczy, którą Rosya sobie tylko przeznaczała, bo i tak przyjdzie czas — mówił Fryderyk II. — kiedy ani Austrya ani Prusy nie zdołają powstrzymać potęgi rosyjskiej i cała Europa będzie musiała przeciw niej się połączyć.

Postawiwszy raz taką zasadę, aby uspokoić nie tyle własne sumienie, co pewne skrupuły i obawy wiedeńskiego dworu, wysłał Fryderyk II. w czerwcu roku 1770. generałów swoich Thadena i Bellinga w celu rozciągnięcia kordonu wojskowego w Wielkopolsce, Warmii i Prusach królewskich, pod pozorem zarazy morowej. Wśród niesłychanych gwałtów, nakładając olbrzymie kontrybucye na obywateli, posuwały się wojska pruskie w głąb krajów polskich, a równocześnie z postępem tej „tatarskiej“ okupacyi rzucono pomiędzy ludność 2,000.000 fałszywych talarów, wybitych z polecenia króla pruskiego pod stęplem polskim z wizerunkiem króla Stanisława Augusta,[1]) aby Rzeczpospolitą zgnębioną politycznie i pod względem ekonomicznym zrujnować.

W Petersburgu przyjęto początkowo rozbiorowe propozycye pruskie niechętnie. Panin zgadzał się w zasadzie na to, aby Prusy za usługi, wyświadczone Rosyi, w Polsce szukały dla siebie wynagrodzenia, ale co do Austryi sądził że powinna ona raczej uderzyć na Turków i podsuwał myśl potrójnego

[1]) Korzon: „Dzieje wewnętrzne“ (wydanie drugie), t. II, str. 34.

przymierza w celu wypędzenia Osmanów z Europy do Azyi. Plan tego rodzaju, mogący wzniecić wielką wojnę europejską, nie zgadzał się z polityką Fryderyka II. Pocóż bowiem miał on narażać się na niepewny los walki, kiedy mógł bez dobycia oręża zagarnąć najpiękniejsze prowincye polskie. Ażeby więc przekonać dwór rosyjski, wysłał w roku 1770. brata swego Henryka do Petersburga. Książe stanął w nadnewskiej stolicy w chwili, kiedy nadeszły tam niepokojące wiadomości o postępach okupacyi austryackiej. Dnia 20. listopada roku 1770. pojawił się dekret, ogłaszający przyłączenie Spiża — zastawionego w roku 1412. — do Węgier, a komisarz węgierski Török wydawał w Sądeczczyźnie rozporządzenia takie, jak gdyby prowincya ta należała już do państwa austryackiego. Katarzyna była widocznie rozdrażniona cokolwiek tem postępowaniem i zapytała Henryka półżartem, dlaczego Fryderyk nie zajął całej Warmii; tosamo powtórzył księciu Czerniszew, mający wtedy wielkie wpływy u dworu. Taki był narazie rezultat missyi Henrykowej do Petersburga. Wystarczał on zupełnie Fryderykowi do rozpoczęcia dalszych, energicznych kroków celem dokonania rozbioru.

Kiedy tak w głębi gabinetów — pod osłoną nieprzeniknionej tajemnicy — rozstrzygały się losy Polski, karmiła się konfederacya złudzeniami. Idąc za radą cesarza Józefa II., podaną za pośrednictwem generała Esterhazego, przeniosła generalność siedzibę swoją z Białej do Preszowa i oddała się przez to zupełnie w opiekę władz węgierskich. Łatwo zapalne umysły polskie wiązały z tem zdarzeniem wielkie nadzieje. Zdawało im się, że Austrya — dając przytułek bezpieczny konfederatom u siebie — pochwala całą ich działalność, wymierzoną przeciw Rosyi i królowi, a Józef II., odwiedzając członków generalności w Preszowie i rozmawiając z nimi uprzejmie o wszystkiem, tylko nie o polityce, zdawał się te przypuszczenia najoczywiściej potwierdzać. Ośmieleni więc przychylną postawą Austryi, ufni w pomoc Francyi, która wtedy właśnie wysyłała do Polski jako organizatora sił zbrojnych konfederackich Dumourieza poszła generalność za podszeptami Wessla i stronników saskich i wydała dnia 9. kwietnia 1770. roku uniwersał, ogłaszający bezkrólewie, a równocześnie wysłała do Wiednia Paca i Lnińskiego z grzecznem podziękowaniem cesarzowej za opiekę i z prośbą o uznanie konfederacyi, jako strony wojującej. Posłów przyjęto dobrze, ale za radą Kaunitza odrzucono główną ich prośbę, pozwalając tylko na sprowadzanie broni i amunicyi. Kanclerz austryacki, jakkolwiek uważał detronizacyę Stanisława Augusta za błąd polityczny, nie chciał zrywać z konfederatami zupełnie, bo niewiedział jeszcze, jaki obrót wezmą układy z Prusami i z Rosyą.

W Warszawie sprawiło ogłoszenie bezkrólewia oczywiście jak najgorsze wrażenie. Król i Czartoryscy ujrzeli się nagle zawiedzeni w swoich nadziejach i zupełnie odosobnieni, podczas gdy Wołkoński połączył się ściśle ze stronnictwem saskiem i utworzył z jego członków najwybitniejszych t. zw. radę patryotyczną (w grudniu roku 1770.), która stała się narzędziem powolnem polityki rosyjskiej. Na tem jednak skończyła się jego działalność. Rosya, pobiwszy Turków, postanowiła w Polsce pójść przebojem. Miejsce łagodnego Wołkońskiego zajął więc gwałtowny i brutalny Holsztyńczyk Saldern, który

miał siłą zgnieść konfederacyą i przeprowadzić akcyą rozbiorową. Działanie jego obracało się w dwojakim kierunku: od króla i Czartoryskich żądał rekonfederacyi, od rady patryotycznej pogodzenia się z królem, a wszystkie wojska rosyjskie ruszył na zgniecenie powstania. Jakoż Stanisław August, zagrożony detronizacyą przez Barszczan, zgodził się na propozycyą Salderna i łowczy Branicki poszedł uspokajać kraj razem z Suwarowem, Drewiczem i Łopuchinem.

Konfederacya tymczasem stała w tej chwili silniej niż poprzednio. Pułaski opanował Częstochowę, Zaremba — najzdolniejszy może z wodzów konfederackich — pobił w Wielkopolsce Rönnego, Sawa-Caliński — Kozak — niepokoił Warszawę, a Dumouriez pod osłoną obwarowanej Lanckorony, Bobrka i Tyńca organizował partyzanckie oddziały i tworzył z nich regularną armię. Wszystko to jednak było dopiero w zawiązku, kiedy wyruszyła skombinowana wyprawa rosyjska. Skutek nie mógł więc być wątpliwym. Zaremba pobił wprawdzie Branickiego pod Widawą, ale Suwarow za to razem z Drewiczem znieśli Dumourieza w bitwie pod Lanckoroną, a Drewicz wziął w Piotrkowie do niewoli dzielnego rzeźnika Morawskiego, który przez dłuższy czas był postrachem Moskali.

Nagłe powstanie hetmana litewskiego Ogińskiego skończyło się po zwycięstwie nad Albiszewem, zupełnem rozbiciem niezdolnego hetmana w Stołowiczach; Sawa poległ w bitwie pod Szreńskiem. Pomimo tych niepowodzeń nie upadli konfederaci na duchu. Na miejsce kłótliwego i nieznośnego Dumourieza przybył z Francyi Viomenil z całem gronem oficerów i — wziąwszy się zręcznie, szkoda tylko że zapóźno, do rzeczy — nadał lepszy cokolwiek obrót działaniom wojennym. Dnia 2. lutego 1772. roku powiodło się podpułkownikowi Choisy podstępem opanować zamek krakowski. Chwilowy ten tryumf nie mógł jednak mieć większego znaczenia, ani podnieść upadającej sprawy konfederackiej. Błędy konfederatów z jednej, a chciwość pruska — pracująca usilnie nad rozbiorem — z drugiej strony, przyspieszały katastrofę. Jeszcze pod wrażeniem klęsk, doznanych w roku 1771., powstał w otoczeniu Pułaskiego zamiar porwania króla Stanisława Augusta. Konfederat Strawiński razem z Łukawskim i kilkudziesięcioma ochotnikami dostali się niespostrzeżenie do Warszawy i w nocy dnia 3. listopada uprowadzili króla, powracającego od księcia kanclerza Czartoryskiego. Wśród ciemnej nocy jednak — zmyliwszy drogę — rozprószył się cały oddział, król znalazł się w polu sam w towarzystwie jednego konfederata Kuźmy, czyli Kosińskiego, który — zmiękczony wymową podrapanego i zziębniętego Stanisława Augusta — zaprowadził go do młynu w Marymoncie, dokąd niebawem, wezwany listownie przez króla, przybył generał Coccei z gwardyą i przestraszonego przyprowadził do Warszawy. Jakkolwiek generalność osobnym manifestem wyparła się wszelkiego udziału w tem awanturniczem przedsięwzięciu, a konfederaci nie myśleli wcale o zamachu na życie królewskie, to dwory sąsiednie nieomieszkały z tego korzystać. Cnotliwy Kaunitz wypowiedział przytułek Pułaskiemu w krajach austryackich, bo już wtedy dobijał targu w Petersburgu przez wysłanego w tym celu księcia Lobkowica. Po rozmaitych demonstracyach ze strony gabinetu wiedeńskiego na rzecz zagrożonej Turcyi, co miało na celu wywarcie nacisku na dwór rosyjski, zgodził się nareszcie Panin — przez Salderna obrobiony —

zasadniczo na rozbiór Polski. Początkowo zamierzano w Petersburgu wynagrodzić Rzeczpospolitą za utracone prowincye Mołdawią i Wołoszczyzną, aby oczywiście i te kraje poddać pod wpływ rosyjski, kiedy jednakże propozycya ta natrafiła na opór w Wiedniu i w Berlinie, podpisano dnia 6. lutego 1772. roku konwencyą podziałową w Petersburgu, dnia 19. t. m. w Wiedniu i „zamotano węzeł między trzema dworami — jak się wyrażał Saldern — tak zręcznie i silnie, że nawet sam szatan nie potrafi go rozplątać“.

Udział w rozbiorze Polski zwalniał Kaunitza od wszelkich dla konfederacyi względów. Dnia 18. kwietnia wypowiedziano więc przytułek generalności, która z Preszowa przeniosła się była do Cieszyna, dnia 8. czerwca zajęły wojska austryackie Lanckoronę, po bohatersku prawdziwie — bo do końca marca 1773. roku — bronił się Tyniec. W Częstochowie wytrzymał Pułaski przez 18 dni szturmy Moskali, wreszcie opuścił sam niespostrzeżenie fortecę, polecając załodze, aby się poddała królowi. Zamek krakowski wziął na mocy kapitulacyi Suwarów dnia 28. kwietnia, a dzielną załogę popędzono na Sybir.

Tak skończył się ostatni poryw staro-szlacheckiej Polski w celu odzyskania niepodległości i przywrócenia dawnego porządku rzeczy. Konfederacya barska — rozpoczęta bez przygotowania, bez sił i zasobów, bez przywódzców obznajomionych ze sztuką wojenną i dyplomacyą, oglądająca się bezustannie na pomoc zagraniczną i w interwencyi mocarstw obcych pokładająca największe nadzieje — zajaśniała mimo tego blaskiem rzadkich cnót i poświęcenia i dowiodła temsamem żywotności społeczeństwa, które nie pojmowało wprawdzie prądów czasu, ale miało w sobie wszelkie warunki pomyślnego na przyszłość rozwoju. Jako powstanie, w początkach wyłącznie szlacheckie, przyciągnęła konfederacya z biegiem czasu do siebie także gorętsze żywioły nieszlacheckie i stała się przez to bezwiednie zwiastunką nowej epoki, której dążenia znalazły wyraz w działaniu czteroletniego sejmu i w konstytucyi 3-go maja. To, że w szeregach konfederackich obok Krasińskich, Potockich, Radziwiłłów, Pułaskich i Ogińskich walczy rzeźnik Morawski, szewc Szczygieł i Kozak Sawa, dowodzi jasno, że poczucie obywatelskie sięgnęło już w głąb warstw społecznych i że naród polski przestał być narodem wyłącznie szlacheckim. Wobec powszechnej demoralizacyi społeczeństwa, wobec upadku warstw wyższych, które w chwili największego poniżenia ojczyzny, w chwili porwania senatorów z Warszawy, tonęły w zbytkach i rozpuście,[1]) była konfederacya barska nadto pierwszym dowodem budzącego się sumienia narodowego, pierwszym głośnym protestem wobec Europy przeciw gwałtom i niesłychanemu uciemiężeniu.

Konwencya petersbursko-wiedeńska rozstrzygnęła zasadniczo kwestyą rozbioru pierwszego Polski, ale nie oznaczyła wcale udziału trzech mocarstw w projektowanym zaborze. Fryderyk II. pragnął szczególniej Gdańska i Torunia; Kaunitz, przezwyciężywszy argumentami swojemi skrupuły cesarzowej Maryi Teresy, która do ostatniej chwili podziałowi się sprzeciwiała, sięgał do Wisły i Bugu, domagał się województwa ruskiego, lubelskiego, bełskiego i ziemi chełmskiej. Żądania te niepodobały się bardzo królowi pruskiemu. „Panowie macie rzeczywiście dobry apetyt“, powtarzał on kilkakrotnie posłowi

[1]) „Pamiętniki Wybickiego“. Przemyśl 1883. Str. 35.

austryackiemu Van Swietenowi, gdy mu propozycye gabinetu swego przedłożył, a w Petersburgu podnosił także Panin niemałe trudności. Wskazywano na wielką wartość salin wielickich i bocheńskich, które przypaść miały Austryi, na urodzajność i rozległość krajów, na ważność Lwowa, gdzie się odbywały zjazdy szlachty i t. zw. kontrakty. Gryzło to i niepokoiło Fryderyka II., gdyż obawiał się trudności ze strony Francyi i Anglii. Jakoż krążyły wtedy pogłoski, że książe d'Aiguillon — następca Choiseula — stara się nakłonić gabinet londyński do wspólnego działania w sprawie polskiej, co znowu przebiegły Kaunitz na swoją wyzyskiwał korzyść. Wreszcie po długich targach, niezliczonych deklaracyach i notach dyplomatycznych zawarto dnia 5. sierpnia 1772. roku w Petersburgu traktat podziałowy, rozpoczynający się od wezwania „św. Trójcy". Rosya otrzymywała wskutek tego układu województwa witebskie, połockie i mścisławskie; Prusy województwo pomorskie bez Gdańska, malborskie z Elblągiem, chełmińskie bez Torunia i Warmią, od Wielkopolski oddzielała zabór pruski Noteć; Austrya wzięła kraj po prawym brzegu Wisły położony aż do ujścia Sanu, stamtąd szła granica nowa prostą linią na Frampol i Zamość, z Zamościa na Hrubieszów do Bugu, od Bugu zwracała się ku Zbarażowi, a od Zbaraża wzdłuż „rzeczki Podhorce" aż do ujścia jej do Dniestru.

Lobkowic obliczał wartość udziałów — na podstawia raportów polskich — w następujący sposób: Zabór rosyjski obejmował 550,600 mieszkańców i przynosił 920.480 złotych polskich dochodu; austryacki 816.800 ludności i 1,408.600 złotych polskich dochodu; pruski wreszcie 378.750 głów i przynosił 534.750 talarów dochodu.[1]) Ratyfikacya traktatu, dokonana 22. września 1772. roku, napełniła radością wszystkie trzy dwory: Kaunitz był dumnym z tego, że zdołał — podług swego mniemania — utrzymać równowagę pomiędzy Prusami i Austryą, Katarzyna wyznała ambasadorowi austryackiemu, że „nigdy z większem zadowoleniem nie podpisywała żadnego aktu dyplomatycznego", a Fryderyk II. uważał tę chwilę jako początek „szczęśliwej epoki".

[1]) Evaluation, aussi preuse etc. u Beera (t. III, str. 121). Dokumenta.

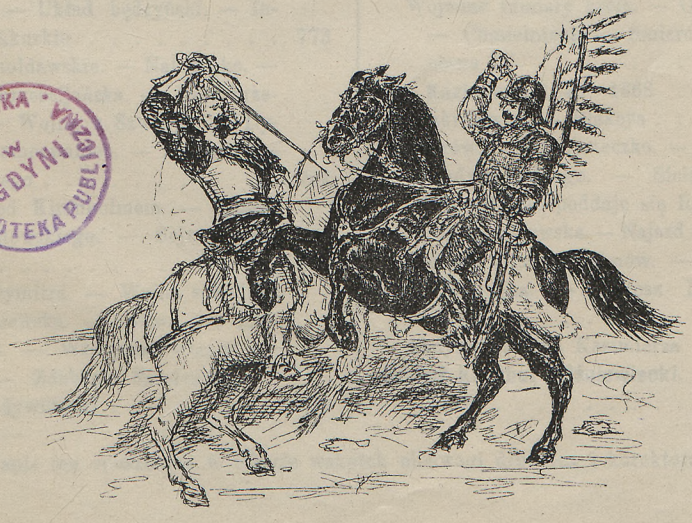

MIEJSKA WYŻSZA W GDYNI BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Treść tomu III.

Epoka trzecia. — Polska pod rządami królów elekcyjnych. Od roku 1572. do 1795.[1])

	Strona
Bezkrólewie po śmierci Zygmunta Augusta	665
Henryk Walezyusz. 1573—1574	679
Stefan Batory. 1576—1586	686
Bezkrólewie. — Elekcya	686
Zjazd jędrzejowski. — Przybycie Stefana Batorego. — Koronacya	691
Początki panowania. — Wojna gdańska	695
Sejm r. 1578. — Ustanowienie trybunałów. — Stosunki z Turcyą. — Wojna moskiewska	707
Sejm w r. 1581. — Wyprawa pskowska. — Pokój zapolski w r. 1582	730
Sprawa Zborowskich. — Plany wojny tureckiej. — Śmierć króla	742
Sprawy wewnętrzne. — Ruch umysłowy	754
Zygmunt III. Waza. 1587—1632	760
Bezkrólewie. — Elekcya	760
Oblężenie Krakowa. — Bitwa pod Byczyną. — Układ będzyński. — Intrygi rakuskie	773
Sprawy mołdawskie. — Nalewajko. — Liga chrześcijańska. — Unia brzeska. — Wojna z Szwecyą. — Dymitr Samozwaniec. — Śmierć Zamoyskiego	794
Bitwa pod Kirchholmem. — Rokosz Zebrzydowskiego. — Sejm z roku 1607	822
Śmierć Dymitra. — Wojna szwedzka i moskiewska. — Bitwa pod Kłuszynem. — Władysław obrany carem. — Zdobycie Smoleńska. — Pokój dywiliński	835
Sprawy wołoskie. — Stosunki z Turcyą i Tatarami. — Śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą w r. 1620. — Wojna chocimska	844
Wojna szwedzka. — Ugoda kurukowska. — Śmierć Zygmunta III.	859
Ogólne uwagi. — Literatura. — Oświata	865
Władysław IV. 1632—1648	874
Charakter króla. — Elekcya	874
Wojna moskiewska i turecka. — Rozejm sztumdorfski z Szwecyą	879
Sprawy religijne. — Kudak. — Małżeństwo Władysława IV. z Cecylią Renatą. — Bunty kozackie	883
Uwięzienie królewicza Jana Kazimierza. — Zwrot ku Francyi. — Syn królewski. — Śmierć Cecylii Renaty. — Colloquium charitativum. — Drugie małżeństwo Władysława IV.	890
Wojenne zamiary króla. — Opozycya. — Chmielnicki. — Śmierć Władysława IV.	897
Jan Kazimierz. 1648—1668	912
Bezkrólewie. — Elekcya	912
Zborów. — Beresteczko. — Sprawa Radziejowskiego. — Siciński. — Chmielnicki poddaje się Rosyi	919
Wojna moskiewska. — Najazd szwedzki	934
Projekt reformy sejmów. — Sprawa sukcesyjna. — Rokosz Lubomirskiego	950
Abdykacya Jana Kazimierza	962
Michał Korybut Wiśniowiecki. 1669 do 1673	964

[1]) Napis ten opuszczono w tekście wskutek nieuwagi drukarza i korektora.

Strona

Elekcya. — Charakter nowego króla. Spisek senatorów. — Hrabia Sain-Paul de Longueville 964
Małżeństwo króla Michała. — Zmiana polityki francuskiej. — Wojna turecka. — Konfederacya gołąbska. — Zwycięstwo pod Chocimem 968
Jan III. Sobieski. 1674—1696 975
Elekcya. — Kandydaci do korony . 975
Stosunki polityczne. — Wojna turecka. — Zwycięstwo pod Lwowem. — Obrona Trembowli. — Wyprawa żórawińska 977
Walka wpływu austryackiego z francuskim. — Sprawa Radziwiłłówny. — Sejm z roku 1681. — Unia. — Kozaczyzna 981
Sejm z roku 1683. — Przymierze z Austryą. — Wyprawa wiedeńska. — Liga z roku 1684 987
Wzmocnienie ligi. — Wyprawa Jabłonowskiego na Bukowinę. — Traktat grzymułtowski. — Król Jan na Wołoszczyźnie. — Sejmy. — Sprawa Radziwiłłówny 995
Ostatnie lata i śmierć Jana III. . . 998
August II. Sas. 1697—1733. — **Stanisław Leszczyński** obrany królem w roku 1704 1000
Elekcya. — Wyprawa na Kamieniec. — Sejm pacyfikacyjny. — Pokój karłowicki. — Pogrom i upadek Sapiehów. — Początek wojny szwedzkiej 1000
Wojna szwedzka. — Zajęcie Warszawy. — Bitwa pod Kliszowem. — Detronizacya Augusta II. — Wybór Stanisława Leszczyńskiego. — Pokój altransztadzki. — Wyprawa moskiewska Karola XII. — Klęska pod Pułtawą 1005
Powrót Augusta II. — Upadek Leszczyńskiego. — Konfederacya tarnogrodzka. — Sejm niemy z r. 1717 1014
Gospodarka moskiewska w Polsce. — Nieporozumienia pomiędzy Augustem II. a Piotrem Wielkim. — Sprawa toruńska i kurlandzka. — Ostatnie plany i śmierć króla . . 1019
August III. 1733—1763 1027
Elekcya. — Oblężenie Gdańska. — Konfederacya dzikowska. — Abdykacya Leszczyńskiego 1027
Charakter Augusta III. — Plany Józefa Potockiego 1031
Stronnictwo Czartoryskich. — Ich projekt reformy Rzeczypospolitej. — Związek z dworem i Brühlem. — Ordynacya ostrogska 1037
Stronnictwa. — Misya Poniatowskiego do Petersburga. — Wojna siedmioletnia. — Śmierć carowej 1039
Piotr III. — Katarzyna II. — Plan detronizacyi Augusta III. — Walki stronnictw. — Śmierć króla . . . 1042
Stanisław August Poniatowski. 1764 do 1795 1044
Konwokacya. — Reformy Czartoryskich. — Elekcya 1044
Gwałtowne postępowanie Rosyi i Prus. — Sprawa dyssydentów. — Konfederacya radomska. — Wywiezienie senatorów. — Protest Wybickiego 1048
Konfederacya barska. — Pierwszy rozbiór Polski 1056

Miejska Biblioteka Publiczna
w Gdyni
10444232

CZYTELNIA
NAUKOWA
MBP
W GDYNI

4447/3